

Elizabeth Hand

DŁUGA NOC ZIMOWA

Thumaczył Jacek Spoiny

Tytuł oryginału WINTERLONG

*(...) wiemy w głębi duszy,
Grzebiąc swoich umarłych, że cierpienie nie znaczy
Nas nadaremnie jak pustyni (...)
Kogokolwiek złapałby reflektor,
cokolwiek głośnik nam wykracze,
Mamy nie poddać się rozpaczy.*

Dla Paula Witcovera

*Gdy z głębi jego gardła zaczęło dobywać się charczenie, spytałem: „O czym myślisz?”
Zawsze dopytuję się o myśli człowieka w agonii. I odpowiedział mi: „Cały czas nasłuchuję
deszczu”. Po grzbiecie przebiegły mi ciarki. „Cały czas nasłuchuję deszczu”. Tak powiedział.*

Bertolt Brecht, Baal (przeł. J. Spoiny)

*

CZEŚĆ PIERWSZA

CHŁOPIEC NA DRZEWIE

Serce zamiera nam w piersi

Jestem w jej wnętrzu, jestem cieniem w jej mózgu. Odległe kaniony, w nich widmowe błyskawice: wyładowania neuronów, gdy przysysam się do serca poetki, do ciemnego jądra, w którym stapiają się groza i pożądanie, a Morgan raz po raz wygląda przez okno autobusu. Ciemność ustępuje. Przez chwilę czuję smak metalicznej żółci, który jest sygnałem, że rozpoczyna się terapia. Potem mnie nie ma.

Jadą autobusem, siedzą z tyłu, gdzie przy dość szybkiej jeździe można poczuć wyboje na kruszącej się autostradzie. Wpadający przez otwarte okno strumień wiosennego powietrza rozwiewa mi włosy. Później dojdzie mnie woń kwiatów jabłoni w kasztanowych warkoczach. Na razie czuć zsiadłe mleko w miejscu, gdzie Ronnie Abrams rozlał wczoraj swoją porcją.

- Posuń się, Yates!

Ronnie spada z siedzenia naprzeciwko, kopie mnie po nogach, po czym cofa się i okłada piąściami brata. Z przodu dobiega głos kierowcy, ryczącego: „Zamknąć się!”, na próżno usiłującego uciszyć czterdzieścioro kilkoro rozśpiewanych dzieciaków.

Mój biedny nauczyciel Padł cały zlany krwią W sercu najdzikszej głuszy, Gdzie zastrzeliłem go.

Ronnie szczyrzy do mnie zębami w uśmiechu, błyszczą mu oczy, wtem pluje mi prosto na brodę. Zatykam uszy i kulę się przy oknie.

Wyszedłem na podwórko Ze swą wierną dwururką I biedaczek już mnie nie uczy.

Autobus wjeżdża do miasta i zwalnia, przystaje za ciężarówką pełną żołnierzy, janczarów z ostatniej Ascenzji. Przyciskam twarz do pękniętej szyby, aż okulary dotykają szkła, i widzę wyraźnie ulicę. Młoda kobieta w lachmanach stoi przy krawężniku, trzymając na rękach dziecko zawinięte w brudny różowy kocyk. U jej nóg płacze się pies, wynędzniały, kłapouche szczeniak, które gorączkowo macha ogonem i kąsa ją po gołych nogach. Stukam w szybę, próbując zwrócić uwagę psa. Dwaj mężczyźni w wytartych żółtych mundurach gramolą się z ciężarówki przed autobusem i zaczynają się kłócić. Kobieta z twarzą wykrzywioną grymasem, odzywa się do mężczyzn, najwyraźniej ze złością. Pies znowu rzuca się na nią, ona delikatnie go kopie i szczeniak objaja się o krawężnik. Żołnierze spoglądają na kobietę, dostrzegają stojący autobus i wracają do ciężarówki. Słyszę syk zwalnianych

hamulców. Autobus rusza i moje okulary uderzają w szybę. Tylne koła pojazdu ocierają się o krawężnik.

Pies szczeka i skacze na kobietą. Gdy unosi ręce w geście przerażenia, kwiaty jabłoni opadają z drzewa poza nią; nasadam okulary na nos, a kobieta upuszcza dziecko pod koła autobusu.

Robi mi się niedobrze, próbuję odciągnąć Morgan od okna. Wilgotna mgiełka kreśli zarysy jaskrawych płatków na szybie i na jej plastikowych szklach kontaktowych. Szyja mnie boli, kiedy próbuję odwrócić się od okna i na zawsze wymazać z pamięci ten bezgłośny deszcz. Ale nie mogę się poruszyć. Ona jest zbyt silna. Nie jestem w stanie odwrócić wzroku.

Szarpię przytrzymujące mnie więzy. Adiutant zrywa mi z głowy przewody, Morgan Yates wrzeszczy tuż obok mnie. Słyszę aksamitny szelest myśli pompowanych do jej szarych komórek. Połączenie zostaje przerwane.

Usiadłam, gdy odwozili ją do pomieszczenia obok. Krzyki Morgan raptownie ucichły, w miarę jak zaczynały działać endorfiny, a głowa osunęła się na stół na kółkach. Gdy Adiutant Justice doszedł z Morgan do drzwi, na chwilę odwrócił się i rzucił na mnie okiem. Unikał mojego wzroku.

Tak jak wszyscy.

Przez szybę widziałam, jak Emma Harrow biegnie z jakiegoś laboratorium. Pochyliła się nad Morgan i wyciągnęła przewody spomiędzy białych warkoczy, w których migotały miedziane kosmyki. W porównaniu z nią Adiutant Justice sprawiał wrażenie zmartwionego. Z sąsiednich pokoi zeszli się inni lekarze z wyrazem napięcia na twarzach i zasłonili widok.

Gdy nabrałam pewności, że o mnie zapomnieli, wygrzebałam papierosa - dostałam go rano od Anny za dawkę fenotiazyny - i zapaliłam. Popiół strząsałam do buta, dym wydmuchiwałam w kratkę wentylacyjną. Wiedziałam, że Morgan sobie nie poradzi. Zawsze byłam w stanie to określić, lecz tym razem doktor Harrow mnie nie słuchała. Morgan Yates była zbyt ważna: jedna z nielicznych żyjących pisarek, których dzieła były wciąż aprobowane przez Ascendentów.

- Załamie się - oświadczyłam doktor Harrow po lekturze biogramu kobiety. Siedem tomików poetyckich i dwa autoryzowane manifesty, które ukazały się w czasie ostatniej insurekcji; powieść historyczna, zawierająca szczegółowe opisy przerażającej, stuletniej Nocy z okresu Pierwszej Ascenzji; udratyzowana wersja biblioklazmu, wystawiona przed nowymi Rządcami Ascendentów, która zdecydowała o uchwaleniu Dialektycznego Przekleństwa. Od tamtej pory nawiedzały ją koszmary o jakimś traumatycznym przeżyciu w janczarskim żłobku, seksualnym sadyzmie i patologicznym lęku przed psami. Nic

szczególnego; ale wiedziałam, że nie da sobie rady.

- Skąd wiesz?

- Jest zbyt silna. - Wzruszyłam ramionami.

Doktor Harrow wbiła we mnie wzrok, zagryzła wargi. Nie bała się moich oczu.

- Może się jednak uda - mówiła w zadumie, pociągając kosmyki krótko przyciętej, szarej grzywki. - Twierdzi, że z tego powodu nie napisała nic od trzech lat, i obawia się, że zabiorą jej pozwolenie na publikację.

- Może się i powiedzie - ziewnęłam - ale nie zgodzi się, żebym jej to odebrała. Nikomu nie pozwoli.

Miałam rację. Gdyby doktor Harrow nie zależało aż tak bardzo na ocaleniu jednej z przeklętych, a przy okazji i własnego dobrego imienia, też by się tego domyśliła. Psychopatów, autystów, artystów ascendenckich mniejszego formatu dało się zmienić za pomocą empatoterapii. Wysysałam ich choroby i nocne zmyły, wdychałam fobie jak eter, od którego kręciło mi się w głowie przez następne parę dni. Ale ci najwięksi - u których obłąd był wypielegnowany równie troskliwie co związki chemiczne mózgu, pozwalające istotom mojego typu przyssać się do nich - byli odporni. Czepiali się swych szaleństw gorączkowo jak prawdziwi narkomani. Nie odstraszały ich nawet niebezpieczeństwa towarzyszące empatoterapii: nie mogli ulec.

Stojąca w sąsiednim pomieszczeniu doktor Harrow uniosła głowę i na widok mojego papierosa zmarszczyła czoło. Zgasiłam go w bucie i cofnęłam nogę, czując pod stopą piekący żar.

Wyszła z laboratorium ekspresowego. Z westchnieniem oparła się o szybę i spojrzała na mnie.

- Jak było, Wendy? Usunęłam z wargi okruszek tytoniu.

- Nie najlepiej. - W tym momencie poczułam napływającą do mózgu krew i przypomniałam sobie, jak stojąca przy oknie Morgan zawodzi. Musiałam zamknąć na chwilę oczy, pozwalając unieść się tej fali, aż serce zwolniło, i wtedy mogłam spojrzeć w twarz zdawkowo uśmiechniętej doktor Harrow.

- Czyli nie najgorzej. - Jej zaciśnięte usta nigdy nie okazywały pogardy lub niechęci do innych. Tylko umiarkowane osłupienie, coś w rodzaju niezdrowej dumy z istoty, którą stworzyła z pewnej autystycznej dziewczyny i kilku uncji lśniących związków chemicznych.

- No to... - Westchnęła i podeszła do biurka. - Możesz zająć się tym teraz. - Rzuciła mi raport i wróciła do laboratorium ekspresowego.

Usiadłam z powrotem na leżance i wbiłam wzrok w kartkę.

IMIĘ, NAZWISKO I NUMER: Błędna Wendy, Przypadek 117

Rozbudowany neurologicznie empat, wyznaczony do emocyjnej terapii engramowej

Litery zlały się w jedną plamę. Złapałam za brzeg leżanki. Nagle poczułam mdłości, w głowie narastało palące ciśnienie, aż zaczęłam walić czołem w brzeg stołu, raz za razem, dopóki Adiutant doktor Harrow nie podbiegł do mnie z krzykiem i nie wbił mi w szyję zawartości jakiejś ampułki. Stał nade mną i czekał, aż lek zadziała, gotowy powstrzymać mnie, gdy tylko będę chciała znów walić głową w stół. Po kilku minutach wzięłam głęboki oddech i utkwiałam wzrok w ścianie; potem złożyłam sprawozdanie z nieudanego spotkania z poetką.

Tego wieczoru poszłam nad rzekę. Trzy łodzie ochrony, w kolorze brudnej piany, dryfowały z prądem. Zawsze sądziłam, że łodzie są po to, by strzec nas tutaj w LIL, ale Adiutant Justice uświadomił mi, że kontrolują tereny po drugiej stronie rzeki, zarośnięte alejki i ogrody w ginącym Mieście Drzew.

- Przemytnczy - stwierdził, pociągając za kolczyki z brązu, będące oznaką jego stopnia i poziomu. - Ascendenci kupują u Botaników z Miasta opium i rzadkie zioła w zamian za metale szlachetne i żywice. Czasami ich hojność jest tak wielka, że giniemy przez nią jak muchy od jakiejś nowej zarazy.

Czyjaś drobna postać na jednej z łodzi uniosła rękę i pomachała w moją stronę. Odpowiedziałam tym samym gestem, po czym odwróciłam się. Szłam brzegiem rzeki, mijając po drodze próchniejące, dębowe ławki i ruiny szklanych budowli, patrząc, jak słońce tonie pośród srebrzystych burzowych chmur.

Nad promenadą wznosił się jedyny ocalały ziggurat usługowy, w którego cieniu leżały ruiny budynków dla uciekinierów z krótkiego okresu Drugiej Ascenzji. W tamtych czasach istnieli jeszcze na świecie uchodźcy i rozbitkowie, dopiero później Rządcy zaczęli zwalczać zgłodniałych buntowników za pomocą mutagenów pierwszej generacji.

Taka przynajmniej była wersja wydarzeń przedstawiona przez Adiutanta Justice'a. Pochodził z Miasta i wiedział wiele dziwacznych rzeczy, chociaż o swoich ludziach, którzy tam pozostali, wspominał rzadko.

- Tęsknisz za nimi? - spytałam go pewnego razu. Czekaliśmy na wyniki prześwietlenia, które miało wyjaśnić, czy u leczonej przeze mnie kobiety występują objawy schizotypii. Uśmiechnął się ze smutkiem i skinął głową.

- Oczywiście, że tak. Ale to ludzie proszą, zupełnie inni niż ci tutaj...

Po wyrazie twarzy widać było, że trochę się ich wstydził. Podniecało mnie to: wstyd

nie był uczuciem zbyt często spotykanym w Laboratorium Inżynierii Ludzkiej.

- Czy są przemysłowcami? - zapytałam.

- Niektórzy pewnie tak. - Justice zaśmiał się.

Wtedy opowiedział mi o Mieście, historii zupełnie różne od opisywanych przez doktor Harrow i wersji oficjalnej, zawartej w programach nauczania Czwartej Ascenzji. W LL bowiem dowiadaliśmy się, że po długiej nocy Pierwszej Ascenzji opuszczona stolica została znów zaludniona i stała się centrum kultury, w którym grupa naukowców i żołnierzy czuwała nad Muzeami, Archiwami i Bibliotekami upadłego narodu. Niestety po Drugiej Ascenzji o Mieście wszyscy zapomnieli. Dowódcy nielicznej ludności Miasta zostali zabici lub wygnani na terytorium Wspólnoty Bałkańskiej (w tym okresie w jej olbrzymich stepach i górach zginęło więcej więźniów, niż liczyła sobie obecnie ludność całego świata). A mieszkańców Miasta spotkało zapomnienie, samotność, samo Miasto zaś opustoszało; większość wyginęła w czasie Pierwszej Ascenzji. Tych, którzy pozostali, nie warto było chwycić czy zatrzymać w areszcie. Było to kilkuset naukowców, żołnierzy i prostytutek, które poszły śladem tamtych do Miasta nad rzeką. Ich potomkowie stali się mieszkańcami ruin, squatterami, którzy utrzymywali się przy życiu dzięki ludożerczym obrzędom i plodom zanieczyszczonej ziemi.

Adiutant Justice mówił jednak o Kuratorach z szacunkiem. Ludzi swego plemienia nazywał Dziećmi Magdaleny. Należało się bać jedynie łazarzy, ofiar wirusowych uderzeń buntowników i partyzantów ze Wspólnoty Bałkańskiej. Łazarzy i niewolników genetycznych, którzy błądzili po lasach i pustkowiach.

- Ono jest piękne, Wendy, piękne są nawet ruiny i zatrute lasy...

Właśnie w tym momencie przerwała nam doktor Harrow, która chciała, żeby Justice pomógł jej ustanowić łączność między mną a kolejnym pacjentem.

Rozpadające się ławki promenady zostały zastąpione lekkimi konstrukcjami z zardzewiałego, żelaznego filigranu. Przy jednym z tych stołów zobaczyłam kogoś z Laboratorium Inżynierii Ludzkiej.

- Anna czy Andrew? - zawołałam. Gdy zbliżyłam się na taką odległość, że mogła mnie już usłyszeć, poznałam, że to Anna: pawie i błękitne papuzie pióra zdobiły miękkie, nabrzmiałe żyły na jej wygolonych skroniach.

- Wendy. - Sennym ruchem ręki wskazała betonową ławkę. - Usiądź.

Przysiadłam przy niej, gdy gładziła jakieś pióro barwy kobaltu, i z miejsca pożałowałam, że nie nałożyłam ognistych piór pardwy, które podarowała mi wiosną zeszłego roku. Uroda Anny była jak zwykle olśniewająca: błyszczące od oktyny piwne oczy, małe

piersi, sterczące pod obcisłym frakiem. Była jedynym spośród pustko w, z którymi utrzymywałam częstsze kontakty, mimo że ogrywała mnie w faraona, a pewnego dnia Andrew w amfetaminowym amoku złamał mi zęba. Na stole przed nią stał spodek z połamanymi słómkami do kandykainy. W żłobkowanym, szklanym pucharku do lodów leżało kilka pipet. Napełniłam jedną z nich i rozsiadłam się wygodniej, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Miałaś dzisiaj tę kobietę - syknęła mi do ucha Anna. Na dźwięk jej chrapliwego głosu przechodził mnie dreszcz rozkoszy. - Tę poetkę. Chyba jestem wściekła.

- Podziękuj za to tym słómkom. - Wzruszyłam ramionami.

- Jaka była? - Zamrugała powiekami, a ja patrzyłam, jak powietrze między nami wypełnia się złotym pyłem. - Dobra? - Poglaskała mnie po udzie, a ja zachichotałam.

- Świetna. Była świetna. - Spuściłam głowę i mrużyłam oczy, dopóki stół nie zmienił się w stalową krawędź siedzenia w autobusie.

- Pokaż. - Jej oddech przypominał pisk hamulców. - Wendy... Nie potrafiłam oprzeć się narastającej rozkoszy. Przyciągnęła mnie do siebie, najpierw zetknęły się nasze policzki, potem usta. Poczulałam smak jej śliny, a w nim metaliczną gorycz kandykainy; potem żółć, letnie powietrze i spaliny...

Za szybko. Gwałtownie uniosłam głowę i odsunęłam się od Anny. Wpatrywała się we mnie pustym wzrokiem.

- Uff - sapnęła, drobina śliny wylądowała w pucharku. Zakłęłam, złapałam ją za podbródek i popatrzyłam z bliska w twarz.

- Anna! - zawołałam. - To ja, Wendy...

- A-a-ch. - Jej spojrzenie było już przytomne, cofnęła się. - Wendy. Niezły towar. - Oblizwała usta; miała jeszcze trochę bezwładny język i ciekła jej ślina. Skrzywiłam się.

- Jeszcze, Wendy...

- Nie teraz. - Złapałam dwie słómkę i jedną przełamałam. - Kolejna sesja z nią jutro rano. Na mnie już czas. - Pokiwała głową. Rzuciłam jej serwetkę. - Anno, wytrzyj usta. Powiem doktor Harrow, że się z tobą widziałam, więc nie będzie się martwiła.

- Do zobaczenia, Wendy. - Pojawił się serwant, pokrzywionymi kołami zgrzytając o spękany beton, gdy przechylał się w stronę stołu. Zobaczyłam w jego pustej czarnej twarzy swoje odbicie i przyspieszyłam kroku, podczas gdy za moimi plecami Anna zamawiała kolejne pipety.

Nie pamiętam czasów przed doktor Harrow. Podawane mi leki - zbyt duże dawki jak na trzylatka - spopielili wszystkie tego typu wspomnienia i wytrawiły swym zarem każdą

gałąź układu nerwowego, dzięki której mogłabym, jak inni ludzie, wspiąć się, by poczuć ciepło słońca. Ale dzięki lekom przestałam się miotać, walić głową i krzyczeć. Nowe medykamenty powoli torowały sobie drogę przez płataninę neurytów i tworzyły nowe ścieżki. Po kilku miesiącach odzyskałam wzrok. Po paru kolejnych - władzę w palcach. Przewody, które już raz uciszyły moje wrzaski, kazały mi krzyczeć na nowo, aż wreszcie pękła jakaś neuronowa tama i po roku zaczęłam mówić. Fundusze Ascendentów płynęły już wtedy innymi, równie krętymi kanałami, które także wiodły do splotu elektrod w moim mózgu. W pierwszych etapach swoich prac, tuż po moim przybyciu do LIL, doktor Harrow wypróbowała na nas dwóch szereg neuroelektrycznych wszczepów. Była to nieudana próba odwrócenia szkód wyrządzonych przez substancje biochemiczne. Siedmioro dzieci zmarło, zanim ustalono minimalną dawkę: wystarczającą do przekształcenia układów nerwowych odpowiedzialnych za zachowania autystyczne, lecz niewystarczającą do samodzielnego wytworzenia przez pacjenta własnych reakcji emocjonalnych na bodźce wewnętrzne i zewnętrzne. Do dzisiaj po szczepach pozostały mi blizny, mięsiste węzły, niczym niewielkie uszka, które usiłują wyrosnąć ze skroni.

Z początku żyło nam się dobrze. Później Rządcy uznali, iż badania mogą stworzyć nową technologię, równie rewolucyjną i zabójczą jak wynalazki, przez które, dwa stulecia wcześniej, w kraju zaczęły grasować mutageny. W miarę jak kształtowano nowych empatów, a z funduszy tymczasowych Ascendentów sphywało coraz więcej środków, żyliśmy na wysokim poziomie. Doktor Harrow uważała, że możliwość odczuwania wrażeń pozwoli w końcu na wytworzenie prawdziwych uczuć u jej emocjonalnie obojętnych wychowanków. W ten sposób Laboratorium Inżynierii Ludzkiej przeniosło się z ciemnego i zimnego hangaru fug do rozległego, porzuconego majątku Linden Glóry za murami starożytnego Miasta.

Do wyłożonych boazerią sypialni wprowadzili się neurologowie Ascendentów. Psychobotanicy z chwilowo Zjednoczonych Prowincji uprawiali zapuszczone francuskie ogrody i w cieplarniach w kształcie dzwonów wyhodowali nowe szczepy oleandra. Pustki zajęły chaty zamieszkiwane niegdyś przez lokajów i kucharzy.

Dawno temu Lawrence Linden był mecenasem sztuk. Ozdobę bibliotek w Chwale Lindenów stanowiły autografy Joyce'a i Stein oraz zagubione rękopisy Crowleya. Mieliśmy jedno z mniej znanych płócien Botticello, dwa wystrzępione obrazy Rothko i wiele Rafaelów; osławiony zbiór sztuki prekolumbijskiej, o który rozegrała się cała wojna; monety o wartości antykwarycznej i półki zastawione pięknymi i rzadkimi szklami z Egiptu. W wiktoriańskich pokojach muzycznych z próchniejącymi boazeriami Whistlera rozlegały się pawie wrzaski pustków i pacjentów, którzy byli poddani terapii.

Pozostawałam ulubienicą doktor Harrow: potworem doskonałym, zdolnym do naśladowania każdego ludzkiego uczucia, wręcz doznającym niektórych z nich poprzez terapię, której się poddawałam. Lekarze co wieczór robili nam zastrzyki, podawali kapsułki i plastry, które tkwiły przyklejone do skroni niczym rzepy, wydzielając związki chemiczne wprost do naszego *corpus striatum*. Co rano budziłam się z cudzych snów.

Gdy przyszedłam na spotkanie, Morgan siedziała w pawilonie widokowym, głowę okrywał jej aksamitny beret koloru indygo, zsunięty na tył jak czepiec. Zdażyła już zjeść, lecz zapracowane serwanty LIL nie sprzątnęły jeszcze ze stołu. Zaczęłam żuć kawałki słodkiej skórki brioszki.

- Podobno brakuje wam ogłady, co? - Uśmiechnęła się, lecz zaczerwienione oblicze przesłaniała chmura nienawiści. - Mówili o tym podczas orientacji.

- Zgadza się. - Skinęłam głową i wydłubałam z siekacza słodką grudkę.

- Niczego nie czujecie ani się nie uczycie, jeżeli nie wsypią wam tego rano do kawy.

- Ja piję herbatę. - Rozglądałam się po Ogrodzie Orficznym za serwantem. - Wcześniej pani przysła.

- Nie mogłam spać.

Pokiwałam głową i dokończyłam brioszkę.

- Nie mogłam spać, bo nic mi się nie śniło. - Pochyliła się nad stołem i wysyczała: - Nic mi się nie śniło. Zachowywałam to wspomnienie przez sześćdziesiąt lat, a nocą nic mi się nie śniło.

Ziewnęłam, podrapałam się z tyłu głowy, poprawiając przy okazji pióro.

- Nie utraciła pani żadnych wspomnień. Doktor Harrow mówiła, że chce się pani pozbyć koszmarów. Trudno mi uwierzyć, że nam się powiodło.

- Wcale ci się nie powiodło. - Stanęła nade mną, chwytając za krawędź stołu i przechylając go w swoją stronę. - Potworze.

- Święty potworze. Sądziłam, że lubi pani takie istoty. - Roześmiałam się od ucha do ucha, cieszyłam się, że zapamiętałam wiersz dołączony do karty jej przypadku.

- Ty suko. Jak możesz się ze mnie śmiać. Ty kurwo... Same z was kurwy i złodzieje. - Zrobiła krok w moją stronę, obcasem zahaczyła o szczelinę między kamykami mozaiki. - Koniec... koniec z kradzieżą mojej osoby...

Odsunęłam się trochę, w szmaragdowym świetle mrugając powiekami i czując pierwszy zastrzyk adrenaliny.

- Nie powinna pani zostawać sama. Czy doktor Harrow o tym wie? - zapytałam.

Zasłoniła słońce, które rozkwitło wokół brzegów beretu lśniącymi garlandami.

- Dowie się - szepnęła. Wyciągnęła z kieszeni pistolet i strzeliła sobie w oko.

Zerwałam się, przewracając krzesło, i uklęknęłam, zatrzymując w pamięci jej sączącą się krew, pochylając się i smakując językiem przerwany tok jej myśli.

Światło zalane granatowym blaskiem, który przenika moje ręce. Topiący się wosk w małej, niebieskiej szklance. Śmiejący się pies; potem ciemność.

Ukryli mnie pod pozorem ochrony przed wstrząsem. Dla Rządców złożyłam pod przysięgą oświadczenie, a w kostnicy LIL potwierdziłam, że to długie ciało o poczerniałej twarzy rzeczywiście jadło ze mną rankiem tego dnia brioszkę. Zauważyłam doktor Harrow, o twarzy ściągniętej i bladej, gdy Odolf Leslie i inni wysocy dygnitarze Ascendentów wzięli ją w krzyżowy ogień pytań przed dyżurką. Potem Adiutant Justice przeprowadził mnie pospiesznie do zachodniego skrzydła, obok kolekcji prekolumbijskiej i schodków z kości słoniowej, do starożytnej, wiktoriańskiej windy, nierzeczywistej i rozklekotanej jak teatralne smoki.

- Doktor Harrow uznała, że spodoba ci się Pokój Horne'a - kaszląc, oznajmił Justice i odsunął się dwa kroki do kąta windy. Mosiężne drzwi zamknęły się i utworzyły konstrukcję przedstawiającą liście i gołębie, które zmieniały się w pawie. - W tej chwili powinni tam już przynieść twoje rzeczy. Jeżeli będzie ci czegoś jeszcze potrzeba, po prostu daj jej znać. - Odchrząknął i zapatrzył się przed siebie, gdy przemierzaliśmy zarośnięte orchideami klerestoria i pomieszczenia, w których chrapali i krążyli w swych snach onironauci. Winda zatrzymała się ze zgrzytem na czwartym piętrze. Przez chwilę szarpał się z drzwiami, wreszcie je otworzył i wypuścił mnie na korytarz.

- Nigdy jeszcze nie byłam w Pokoju Horne'a - oświadczyłam, idąc za nim.

- Pewnie dlatego jej zdaniem powinien ci się spodobać. - Mimochodem zerknął w ozdobne zwierciadło. Nim zdążył się odwrócić, ujrzałam w jego oczach cień litości. - Tędy.

Szeroki korytarz kończył się łukiem, zwieńczonym połączanymi figurami satyrów.

- To tutaj. - Po prawej stronie stały otworem ciężkie, dębowe drzwi. Ubrani w żółte stroje Adiutanci już rozciągali tam kable. Z grymasem na twarzy zapukałam do drzwi. Ustąpiły gwałtownie, zatrzymując się na zwoju przewodów, które prowadziły do rzędu ekranów, zainstalowanych obok ogromnego łóża. Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Adiutanci kończyli pracę w gorączkowym pośpiechu, zerkając na mnie z boku. Nie zwracałam na nich uwagi i po prostu usiadłam na parapecie okna bez żadnej moskitiery. Koło brody przeleciała mi z szumem zmierzchnica. Pomyślałam sobie, że będę mogła wieszać karmę dla kolibrów i może uda mi się znieść jakieś na wyciągnięcie ręki. Anna zrobiła sobie z piór kolibrów opaskę, która bardzo mi się podobała. Zmierzchnica wylądowała na ekranie

BEAM przy łóżku. Adiutanci właśnie kończyli się pakować.

- Mogłabyś się tu na chwilę położyć, Wendy? Chcę to przetestować. - Justice położył za zagłówkiem pęk przewodów. Skinęłam głową i wyciągnęłam się na łóżku, waląc pięściami w poduszkę, gdy on umieszczał mi na czole i skroniach przewody. Obróciłam się na bok, żeby obejrzeć stary monitor BEAM; skrzydła zmierzchnicy zasłaniały migającą mapę moich myśli.

- Agresja, błogość, dobroć - pomrukiwał Justice, odganiając ćmę z popękanego ekranu. - Pożądanie, zazdrość, lęk. - Westchnęłam i odwróciłam się, a on nastawiał pokrętła. W końcu odłączył kable. Tamci wyszli, a Justice jeszcze chwilę kręcił się po pokoju.

- Możesz już iść - powiedziałam, ciskając poduszkę o zagłówek.

Stał niepewnie przy drzwiach, wreszcie odezwał się:

- Doktor Harrow kazała mi sprawdzić, że obejrzysz swoje lekarstwa. Zwiększyła ci dawkę acetylenu.

Przesunęłam się na drugą stronę łóżka, gdzie wisiała niewielka lodówka z medykamentami. Otworzyłam ją i zobaczyłam znajomą baterię fiolek i buteleczek. Jeszcze jako małe dziecko, będące pod opieką doktor Harrow, wyobrażałam sobie, że są jak miasto, które dojrzałam z okien najwyższych pięter LIL. Długie cylindry i bursztynowe fiołki przypominały mi wtedy porzucone flanki i wieże, na które należało się wspiąć i je zbadać. Teraz żyłam wśród tych mroźnych kolumn, jedyne przedmioty mojej czci w jasnych katedrach.

- Dwieście miligramów - powiedziałam posłusznie i odstawiłam buteleczkę. - Dziękuję bardzo.

Wychodził przy akompaniamencie mojego chichotu.

Wzięłam cieniutkie włókna, które przeniknęły do zasobu moich wspomnień, i je zaplotłam, potem wsunęłam ten splot pod poduszkę i wsparłam się na niej. Łoże niczym piracki statek, rzeźbione podpory jak pęknięte maszty, pnące się ku podniebnemu sufitowi. Nigdy w życiu nie widziałam okrętu piratów, lecz pewnego razu przyssałam się do syna Rządcy, który się onanizował, wyobrażając sobie żółte flagi, wzburzone morze i wyjące kobiety. Przypomniałam to sobie w tej chwili, odłączyłam ze splotu jeden drucik, umocowałam go na skroni i masturbowałam się, dopóki na monitorze nie ukazał się ostrzegawczy płomień, krwawy błysk na moim nieobliczalnym mózgu. Potem zasnęłam.

Wkrótce zbudziło mnie ciche pukanie do drzwi.

- Andrew - odezwałam się, zerkając na palec u nogi, który wystawał przez dziurę w połatany kocu. - Wejdz. Siadaj.

Delikatnie zamknął drzwi i wsunął się pod pościel.

- Wiesz, że nie powinnaś przyjmować gości?

- Naprawdę? - Przeciągnęłam się i nakryłam wystający palec drugą stopą.

- Tak. Cały dzień kręcił się tu doktor Leslie. Rządzący się złościł. Anna mówi, że będą nas stąd zabierać.

- Mnie też?

Pokiwał głową i mocniej objął zagłówek.

- Wszystkich. Na zawsze. - Uśmiechnął się i w tym wieczornym półmroku jego twarz była tak samo ładna jak oblicze Anny. - Po jego odejściu widziałam, jak doktor Harrow płacze.

- Jak się tu dostałeś? - Usiadłam i zaczęłam bawić się jego włosami, długimi i jedwabistymi blond kosmykami, które nie odrosły tylko w miejscach, gdzie nabrzmiały węzły chłonne. Założył na głowę opaskę Anny. Teraz delikatnie mu ją zdjęłam.

- Schodami od tyłu: nikt z nich nie korzysta. Tamtędy. - Leniwym ruchem nogi wskazał ciemny kąt. Nagle w jego głosie pojawiła się skarga: - Dzieliliś się tą poetką z Anną. Powinnaś ją ocalić.

Wzruszyłam ramionami.

- Ciebie przy tym nie było. - Opaska Anny była dla mnie za luźna. Gdy ją ścieśniłam, maleńkie szmaragdowe piórka niczym łuski ciem sparzyły mrozem moje palce. - Jak myślisz, czy Anna byłaby skłonna mi ją podarować?

- Dają tobie, jeśli się ze mną podzielisz. - Andrew wsparł się na łokciach i jedną ręką pogładził mnie po piersi.

- Za mało tego zostało - odpaliłam i odsunęłam się. Zobaczyłam swoje odbicie w niewielkim lusterku zawieszonym na lodówce. Cętkowane, zielone pióra przydawały moim kasztanowym włosom głębszego odcienia, upodabniając je do włosów poetki. Wplotłam między pióra kilka ciemnych kędziorów i wydełam usta. - Jeśli mi jadasz...

Już wyciągał rękę w moją stronę.

- Zamknięte? - spojrzałam na drzwi.

- Ciii...

Potem dałam mu jedną ze swoich nowych pigulek. Z Morgan niewiele już pozostało i obawiałam się, że jego rozczarowanie przywoła Annę, która zażąda opaski.

- Czemu nie mogę przyjmować gości?

Wyłączyłam oświetlenie gazowe. Andrew siedział na parapecie i srebrną zapalniczką wabił siatkoskrzydłe. Goniące za owadami nietoperze zbliżały się na kilka cali do jego

twarży, po czym uciekały, gdy śmiał się i udawał, że chce je złapać.

- Doktor Harrow mówi, że być może trzeba cię będzie poddać badaniu. Żeby sprawdzić, czy jesteś poczytalna.

- No i?... - Już raz przeszłam badanie. Było to wtedy, gdy sześćioletni schizofrenik po odbyciu ze mną terapii powiesił się na wstążce. - Nie mogę ponosić za cokolwiek odpowiedzialności. I nie ponoszę. - Wybuchnęliśmy śmiechem: klasyczna linia obrony empatów.

- Doktor Leslie chce spotkać się z tobą w cztery oczy. Zrzuciłam pościel na podłogę i przyciemniłam pusty BEAM, żeby lepiej widzieć siatkoskrzydło.

- Skąd ty o tym wszystkim wiesz?

Rozległo się krótkie skwierczenie: to jakaś ćma przypaliła sobie skrzydła. Andrew zmarszczył brwi i zgasił zapalniczkę.

- Anna mi powiedziała - odparł i raptownie zniknął. Zakłęłam i zaczęłam tak układać włosy, żeby nie było spod nich widać opaski. Siedząca na parapecie Anna patrzyła pustym wzrokiem na zapalniczkę, wreszcie sięgnęła do kieszeni po skręta. Z chłodnym wyrazem twarzy rzuciła okiem na lustro, przesunęła do przodu kosmyk włosów, który opadł jej na policzek.

- Kto ci ją dał? - zapytała, wydmuchując dym za okno.

- Przecież wiesz - odpowiedziałam płaczliwym głosem i odwróciłam się. - Nie wolno mi przyjmować gości.

- Możesz ją zatrzymać.

- Naprawdę? - Z radości klasnęłam w dłonie.

- Zrobię sobie następną. - Skończyła palić i wyrzuciła peta za okno, tak że zakreślił w powietrzu bursztynowy łuk. - No, na mnie już chyba czas. Gdzie wyjście?

Wskazałam jej drogę, o której wspominał Andrew, przyciągając do siebie i całując w język.

- Dziękuję, Anno - szepnęłam, stojąc w progu. - Bardzo podoba mi się ta opaska.

- Mnie też się bardzo podobała. - Kiwnęła głową i poszła.

Doktor Harrow zaprosiła mnie nazajutrz na obiad w Brzoskwiniowym Dworze. Justice czekał w progu, gdy nakładałam ciemne, wysadzane szlachetnymi kamieniami okulary i aksamitny beret, podobny do tego, który nosiła Morgan Yates.

- Bardzo ładnie - skomentował ubawiony. Uśmiechnęłam się. Gdy miałam ciemne okulary, nie bał się patrzeć mi w twarz.

- Nie chcę, żeby ludzie widzieli opaskę. Anna i tak ukradkiem ją sobie odbierze -

tłumaczyłam, unosząc beret i pokazując twardą jak skóra wstążkę.

Roześmiał się i potrząsnął głową tak, że długi blond warkocz znalazł się pomiędzy jego łopatkami. Podziękowałam, gdy otworzył przede mną drzwi, i poszłam za nim.

Na schodach do Ogrodu Orfickiego zobaczyłam głównego neurologa LIL, doktora Silverthorna, w towarzystwie Gligora, który był jego ulubionym empatem, tak jak ja byłam faworytką doktor Harrow. Gligor przypatrywał mi się obojętnie zza czarnej przesłony na oczy, wykonanej z ciężkiego laminatu. Doktor Silverthorn śledził moje kroki pełnym niechęci wzrokiem.

- Doktor Harrow czeka - odezwał się. Ujął Gligora pod ramię i odprowadził go, byle dalej od nas, na brzeg ścieżki, porośnięty małymi żółtymi truskawkami. Gligor, potykając się, bezmyślnie je tratował, aż w jesiennym powietrzu rozniosła się słodka woń. Machnął ręką na oślep w naszym kierunku, kręcąc niepewnie głową, gdy usiłował namierzyć mnie zza przesłony, tak jak kobra wyczuwa szczura po temperaturze ciała.

- Wendy! - zawołał. - Słyszałem, to...

- Cicho! Sza! - upomniał go doktor Silverthorn. Gdy go mijaliśmy, chował się w wysoki bukszpanowy żywopłot, aż gałązki krzewów zaczęły łamać się pod jego ciężarem. Ale Gligor czekał na mnie na ścieżce. Złapał mnie za rękę i przyciągnął. Czułam adrenalinowy smród jego potu, gdy musnął językiem mój policzek.

- Anna mi mówiła - szepnął. - Przyjdę później.

Odwzajemniłam pocałunek, zbierając językiem ze skóry szczypiący smak zazdrości. Nie zwracałam uwagi na czekającego Justice'a, uniosłam okulary przeciwsłoneczne i wbiłam wzrok w opiekuna Gligora.

- Dobrze, Gligor - odpowiedziałam, wpatrując się w pełne wściekłości oczy doktora Silverthorna, nie zaś w hebanową kratę, która skrywała spojrzenie Gligora. - Do widzenia, doktorze Silverthorn.

Nasunęłam z powrotem na nos ciemne okulary i podreptałam za Justice'em do Ogrodu Orfickiego. Serwanci przeciągnęli węże z wodą przez rząd lip i myli kamienną mozaikę. Zapuściłam żurawia za żywopłot, ale nigdzie nie było ani śladu krwi Morgan.

Gdy znaleźliśmy się na cienistej ulicy Brzoskwiniowej, zdjęłam okulary i włożyłam je do kieszeni. Justice błyskawicznie odwrócił wzrok. Dróżka biegła w dół, do zakrętu, przy którym rosły ciemnozielone forsycje. Po trzech kolejnych stopniach ścieżka rozgałęziała się: w prawo do Szklanej Fontanny, na lewo do Brzoskwiniowego Dworu, gdzie w Małej Pagodzie oczekiwała mnie doktor Harrow.

- Dziękuję, Justice. - Doktor Harrow wstała i skinieniem głowy wskazała niski stół, na

którym podano obiad dla dwóch osób. Choć serwanci z wielką starannością wstawili do popękanego wazonu z porcelany jeden jedyny hiacynt, nie zadali sobie trudu posprzątania Pagody. Na warstwie złotego pyłku kwiatowego, który wyścielał podłogę, widniały ślady wiewiórek oraz szczurów, znaczone ich odchodami. Justice z grymasem na twarzy podszedł do lakierowanej tacy, skąd miał wybrać dla mnie lekarstwa. Potem skłonił się doktor Harrow i odszedł.

Przez otwory w bambusowej kratce nad nami sączyło się światło słoneczne; doktor Harrow wzięła mnie za rękę i przyciągnęła do siebie.

- Nie zapomniałaś zażyć nowej dawki?

- Nie. - Zdjęłam beret i potrząsnęłam głową. - Anna dała mi tę opaskę.

- Śliczna. - Przyklękła przy stole, dając znak, żebym poszła w jej ślady. Miała opuchniętą twarz i małe oczy. Zastanawiałam się, czy płakała z mojego powodu, tak jak wczoraj przez Andrew. - Jadłaś już śniadanie?

Podano klopsy z dorsza w sosie koperkowym oraz auszpik na krwi jagnięcia. Doktor Harrow piła angielskiego szampana z osiemnastego wieku i dała mi spróbować łyk - coś okropnego, smakował jak słona woda. Następnie przerobiony serwant szklarniowy (niosąc jeszcze wąż) sprzątnął ze stołu i podał mi czekoladowego wafelka, którego wsunęłam do kieszeni, żeby potem wymienić z Anną na nowiny.

- Wyspałaś się - stwierdziła doktor Harrow. - Co ci się śniło?

- Pies Melisandy. - Doktor Harrow pogładziła się po brodzie i poprawiła pincenez.

- A nie pies Morgan?

- Nie. - Melisanda była dziewczynką w moim wieku, znaną z dręczenia i napastowania seksualnego zwierząt. - Mały, biały pies. O, taki. - Mówiąc to, nacisnęłam i rozpląszczyłam sobie nos.

- To dobrze, bo mnie śnił się pies Morgan. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. Widząc mój pytający wzrok, potrząsnęła głową. - Nie, nie, to tylko przenośnia. Nie spało mi się najlepiej. - Westchnęła i przechyliła starożytny kielich, który rozjarzył się złocistymi diamentami. - W przypadku Morgan Yates popełniłam straszliwy błąd. Nie powinnam cię była do niej w ogóle dopuszczać...

- Wiedziałam, co się zdarzy.

Doktor Harrow spojrzała najpierw na kieliszek, potem na mnie.

- No, tak, wszyscy zastanawiają się mocno nad tym faktem, Wendy. - Nie odrywała spojrzenia od okna. - Zastanawiają się, skąd wiesz, kiedy terapia się uda, a kiedy nie. Czy przypadkiem sama nie przyczyniasz się zarówno do niepowodzeń, jak i sukcesów

terapeutycznych.

- Nie odpowiadam za to. Nie mogę...

Odstawiła kielich z szampanem na lakierowany stół i ujęła mnie za rękę. Celowo ścisnęła mocno, żeby zadać mi ból.

- W tym sęk, Wendy. Jeżeli jesteś za to odpowiedzialna - o ile empati mogą za cokolwiek odpowiadać - to grozi ci śmierć za morderstwo. Nas wszystkich mogą pociągnąć do odpowiedzialności za twoje porażki. Albo... - wyprostowała się, tak że musiałam bardziej pochylić się w jej stronę - wezmą cię Rządcy.

Opadłam z krzesłem na podłogę.

- Andrew mi mówił.

- Niekoniecznie tylko ciebie. - Wzniosła oczy ku niebu. - Mogą wziąć Annę: stworzyli ją, więc ją odbiorą. Ale pozostali... - Machnęła ręką, by wycelować we mnie palec. - Świat na zewnątrz znowu się zmienia, Wendy. Wam wszystkim, dzieci, żyje się tu zbyt wygodnie. To moja wina, ale myślałam... - Słowa utonęły w westchnieniu, a gdy mnie puściła, zauważyłam, że trzęsą jej się ręce. - Zresztą to, co myślałam, nie ma już znaczenia. - Uniosła wzrok, w którym zobaczyłam taką rozpacz, że natychmiast zapragnęłam jej posmakować, dowiedzieć się, co może przerazić kobietę pokroju doktor Harrow. Zaczerpnęła tchu i mówiła dalej: - Wieść niesie, że NASNA przymierza się do uderzenia na Wspólnotę Bałkańską. Poniosą klęskę. NASNA i obecni Rządcy zostaną obaleni, a Wspólnota zrobi z nami to, co oni z Brazylią i diarchią azjatycką: kolejne mutageny, wirusowe ataki i pożary, dopóki nie pozostanie kamień na kamieniu.

Ziewnęłam. Od ostatniej Ascenzji minęło wiele dziesiątków lat. Wspólnota leżała na drugim końcu świata. Dla mnie i innych pustków z LIL przedstawiała się jako kilka różowych i purpurowych plam na mapie, oddzielonych od nas błękitnym morzem, którego przepłynięcie zajęłoby wiele tygodni. Napiałam się jeszcze łyk szampana, ponownie się krzywiąc. Gdy uniosłam wzrok, doktor Harrow wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem.

- Czy to do ciebie nie przemawia, Wendy?

- Co? NASNA? Wspólnota? - Wzruszyłam ramionami. - A powinno?

- Przecież wtedy NASNA będzie potrzebować nowych typów broni. Oznacza to coraz dalej idącą ingerencję w nasze badania i nadużywanie efektu Harrow. Będą traktować was jak króliki doświadczalne, jak niewolników genetycznych. Nie pojmujesz tego, Wendy? Jeżeli wytropią to, co robisz, odkryją bioślad i go zsyntezują... - Nacisnęła palcem czubek mojego nosa, aż zaczęłam chichotać. - To, co z ciebie zostanie, da się wtedy upchnąć w jednej fiołce.

Zastukała palcem w krawędź stołu. Złocisty blask zachodzącego słońca padał na moją

głowę; z uśmiechem potrząsnęłam głową, odrzucając włosy i wchłaniając jego ciepło. Na drzewku brzoskwiniowym przed Małą Pagodą rozległy się tryle przedrzeźniacza. Doktor Harrow milczała, nasłuchując.

- Był tu wczoraj Odolf Leslie - odezwała się po dłuższej chwili. - Przysyłają nowego Rządcę...

- Tutaj? - Uniosłam głowę. - Do LIL?

- Nie. - Uśmiechnęła się złośliwie na widok mojego zawodu.

Do Miasta. Chcą mieć na nie pilniejsze baczenie. Czarny rynek za bardzo się rozrósł, poza tym Rządców nie wiedzieć czemu nagle zainteresowały Archiwa. Tak brzmi wersja NASNA; ja znam inną. Na terenie Miasta znajdowały się niegdyś arsenały broni, broni i innych tajemniczych rzeczy, utraconych podczas Długiej Nocy.

Przybrałam pewnie sceptyczny wyraz twarzy, bo doktor Harrow krótko i chrapliwie się zaśmiała.

- Sądziłaś, że znasz tu na wylot wszystkie kąty, Wendy? Możesz mi wierzyć, że wy, dzieci, w ogóle nie znacie świata, nawet tego kawałka świata na drugim brzegu rzeki. Niegdyś stało tam wielkie miasto, większe niż najpotężniejsze miasta teraźniejszości; a ukryte są w nim sprawy tak ogromnej wagi, że biedni głupcy, którzy tam teraz mieszkają, nie mają o nich zielonego pojęcia.

- Jednak Rządcy uznali, że najwyższy czas znów uważnie przyjrzeć się Miastu Drzew. Myślę, że poszukują silników, które stały się przyczyną Długiej Nocy. W przeciwnym razie po co byłoby mianować zarządcą Miasta Awiatora?

- Awiatora? - zdziwiłam się, ale doktor Harrow jakby mnie nie słyszała.

- Bohatera Konfliktu Archipelagu. Margalis Tasfannin, geniusz z Akademii NASNA. Poznaliśmy go tam z Aidanem. Jego zadaniem jest objęcie władzy w Mieście i utworzenie przyczółka janczarów.

Myślałam o opowieściach Justice'a, o ludziach zamieszkujących Muzea i ruiny starodawnych Ambasad.

- A co się stanie z tamtymi ludźmi?

Doktor Harrow odchyliła głowę i zamknęła oczy, na jej twarz padły promienie popołudniowego słońca.

- Przypuszczam, że w razie oporu zostaną zabici lub wzięci do niewoli. Chociaż Margalis Tast'annin nie wygląda na człowieka, który skłonny jest do brania zakładników.

- Pojawił się wczoraj wraz z doktorem Lesliem, który opowiedział mi o tobie, Melisandzie i Morgan Yates. Chce wziąć cię... na obserwację. Chce tego... - Dotknęła rękami

skroni, po czym machnęła nimi ku niebu, nie przyciętym, uginającym się od owoców drzewom i zapuszczonym zboczom Chwały Lindenów. - Tego wszystkiego, Wendy. Ogłoszą, że jestem niekompetentna, że badania niczego nie przyniosły. Chcą ująć ster rządów w swoje ręce. Szukali pretekstu, i samobójcy, Wendy, w sam raz im się nadadzą. Serwant ogrodowy dołał mi wody mineralnej. Napiałam się i zapytałam:

- Czy doktor Leslie jest miłym lekarzem?

Przez chwilę myślałam, że przewróci stół, jak Morgan Yates w Ogrodzie Orfickim, ale po chwili odparła:

- Nie wiem. Możliwe. - Westchnęła i dała serwantowi znak, żeby przyniósł jeszcze jedną butelkę wina. - Zaczną od Anny - odezwała się po kilku minutach, jakby głośno myślała. - Za szpiegostwo. Będą otrzymywać wielokrotne osobowości, które będą ćwiczyć od bardzo młodego wieku. Idealnie nadają się na terrorystów.

Dopiałam wodę i zagapiłam się na szczeliny w drewnianym dachu Pagody, wyobrażając sobie Annę i Andrew beze mnie. Wyjęłam z kieszeni czekoladowy wafel i zaczęłam pogryzać.

Serwant wrócił ze srebrnym, pokrytym rosą kubelkiem i otworzył drugą butelkę szampana. Zaczęła go saczyć, obserwując mnie spod przymrużonych powiek.

- Wendy - odezwała się w końcu - zostanie przeprowadzone śledztwo. Na życzenie Tasfannina. Będzie to prawdopodobnie ostatnia czynność, jaką tu pokieruję. Ale przedtem kolej na jeszcze jednego pacjenta. - Z teczki pod stołem wyciągnęła płaską paczuszkę. - To charakterystyka. Przeczytaj, proszę.

Wzięłam teczkę. Doktor Harrow dopiła szampana, wstała i skinęła głową serwantowi.

- O drugiej jestem umówiona z doktorem Leslie. Ale może zjemy razem kolację?

- Gdzie?

- W Pawiej Komnacie. O siódmej. - Skłoniła się lekko i zniknęła pośród drzew. Wtedy dałam ręką znak serwantowi.

- Poproszę jeszcze czekoladę - Po chwili wrócił po skrzypiącej zakurzonej podłodze, i podał mi na schłodzonym, marmurowym talerzu trzy wafelki. Ugryzłam kawałek jednego i wbiłam wzrok w okładkę teczki z imitacji pergaminu, opatrzonej mottem:

LABORATORIUM INŻYNIERII LUDZKIEJ
PÓLNOCNO-WSCHODNIEJ FEDERACJI AMERYKI
PAULOMAIORA CANAMUS!

- Zanućmy wznioślejszą melodię” - przetłumaczył mi kiedyś Gligor. - Wergiliusz. A powinno być *deus ex machina* - dodał ze złośliwym uśmiechem.

Bóstwo z maszyny.

Oblizalam czekolade z palcow i pograzylam sie w lekturze, przegladajac kolejne wykresy i anamnezy. Na ostatniej kartce przeczytalam: „Klient zyczy sobie terapii w celu okreslenia natury i przyczyny tych powracajacych koszmarow”.

Ponizej znajdowaly sie zawijasy podpisu doktor Harrow i rozmazana, zolta gwiazda z trojkatem, herb Federacji. Wlozylam do ust ostatni kawalek wafelka i dalam serwantowi znak, ze skonczylam.

Kolacje w Pawiej Komnacie jadlośmy tylko we dwie. Po ustawieniu nakryc na olbrzymim hebanowym stole serwanci znikneli na wladczy znak doktor Harrow. Kilka minut jadlośmy w milczeniu, ktorému towarzyszylo jedynie syczenie gazowych lamp.

- Przeczytalam charakterystyke, ktora ci dalam? - zagaila z wystudowana nonszalancja.

- Hm - steknelam.

- I?...

- Nie da rady.

- Dlaczego? - Doktor Harrow nieznacznie spuscala glowe.

- Nie wiem. - Ssalam widelec.

- Nie potrafisz mi wyjasnic, co sklania cię do takiego twierdzenia?

- Nie. Ja nigdy niczego nie twierdze.

- No dobrze, to skad mysl, ze ona nie nadaje sie do analizy?

- Nie wiem, tak tylko... - Widelec zabrzeczal o zęby. - To jest tak jak wtedy, gdy zaczynam walić w coś głową - wszystko drzy i robi mi się niedobrze. Ale nie wymiotuję.

- Coś w rodzaju ataku. - Doktor Harrow odchyliła głowę, wbiła we mnie wzrok i uśmiechnęła się.

- Kiedy ją poznam? - Odložylam widelec i rozejrzalam się zniecierpliwiona.

- Juz poznalam.

- Kiedy? - Kopnelam w krzeslo.

- Czternaście lat temu, gdy zjawilas się w LL.

- Czemu jej nie pamietam?

- Alez pamietasz. - Pochyliła się i klepnęła mnie nozem w rękę. - To ja.

- Zdziwiona? - Doktor Harrow uśmiechnęła się od ucha do ucha i uniosła rękawy haftowanego haiku, tak że przez przezroczyste nici przeświecał blask porannego słońca.

- Piękne - wyszeptalam, z zazdrością gładząc palcami jedwabistą tkaninę. Uśmiechnęła się i spojrzala na NET przy łóżku.

- Dzisiaj kolej na mnie. Gotowa?

Przytaknęłam. Tego dnia nie zaglądali do mnie żadni Adiutanci; nie było raportu o ukradzionych mi snach; Justice nie dostał żadnych próbek krwi. Doktor Harrow przysunęła starą, rozchwierutaną leżankę i usiadła na niej, szykując ekrany. Usadawiłam się na swoim łóżku i czekałam, aż skończy. Na koniec zwróciła się do mnie i przymocowała mi do żył na skroniach przewody z elektrolitem, inne druty umieściła na głowie i policzkach, po czym te same zabiegi przeprowadziła na sobie.

- Justice pani nie pomaga? - zapytałam.

Potrząsnęła głową bez słowa, ustawiając monitory i kładąc się wreszcie na leżance. Opadłam na poduszkę i zamknęłam oczy.

Ostatnim dźwiękiem, jaki dobiegł moich uszu, było pstryknięcie przedłużacza, który przepuszczał prąd, i łagodny wydech, przypominający trochę westchnienie.

*

Tutaj stoimy...

Tutaj stoimy...

Tutaj leżymy...

Tutaj leżymy...

Oko przy ręce, serce przy głowie,

Głęboko w grobie z umarłymi.

Wiosna, wcale nie jest ciemno, lecz powtarzam zaśpiew, podczas gdy mój brat Aidan Harrow z powagą obsypuje mi głowę kwieciem jabłoni. W gałęziach pod nami sójka skrzeczy na widok naszej suczki, buldoga Molly, która jęczy i z nadzieją drapie w koszyk.

- Może byśmy ją tu wciągnęli? - Wyglądam znad krawędzi chwiejnej platformy i Molly parska z radości.

- Cii! - nakazuje mi Aidan, który zamyka powieki i usiłuje się skupić. Po chwili lekko otwiera oczy i sięga po swój zmięty sweter. Kilka listków curry, podprowadzonych z kuchni, kruszy nad moją głowę, a ja zaciskam powieki, żeby okruchy nie dostały się do oczu.

- Nie cierpię tych śmieci we włosach - sarkam. - Następnym razem sama odprawię czary.

- Me możesz. - Aidan staje na palcach i zrywa kolejną gałązkę z kwiatkami, aktorskim gestem wacha je i zarzuca mnie biało-różowym welonem. - Potrzebna jest dziewica.

- No to co? - Szarpię za sznurek przywiązany do koszyka Molly. - Jesteś prawiczkim, więc następnym razem wykorzystamy ciebie.

Wpatruje się we mnie, czoło przeorała mu bruzda.

- *To by się nie liczyło. Powtórz to jeszcze raz, Emmo.*

- *Tutaj stoimy...*

- *Przychodzimy tu co dzień: do zapuszczonego sadu, nie uprawianego od ponad stu lat. Nadgryzione zębem czasu, szare mury zaznaczają granice jakiegoś gospodarstwa, byliny jagody zasypują kamienie rozwiewanymi nawietrze płatkami. Miejsce to pokazał nam ojciec. Dawno temu zbudował ten domek z drewna, które pokryły zielone porosty i nadgryzły korniki. Po drodze na górę drapię się w kolana zardzewiałymi gwoździemi: tyle już tylko zostało z innych platform i ambony w koronie drzewa.*

Kończę, zaśpiew i kląkam, wołając do Molly, żeby wróciła do koszyka. Gdy słyszą ryk brata bliźniaka, oznajmiam nie znoszącym sprzeciwu tonem:

- *Dziewicy potrzebna jest towarzyszką. Molly, chodź Pomaga mi wciągnąć psa. Molly cała się trzęsie. Jak zwykle skulona w koszyku.*

- *Siedzi na kanapkach - zauważam. Aidan w pośpiechu odsuwa psa i ocala dwie spłaszczone torebki. - Zarządzam przerwą obiadową.*

Jemy w pełnej zadumy ciszy. Nigdy nie rozważamy na głos przyczyn niepowodzenia zakłąć, ale każdego dnia po południu Aidan chowa się w kryjówce za krzesłem i przegląda kolejne kruche tomy. Czasami czują, jakby wywoływały jakiś efekt - powietrze uspokaja się, wiatr niespodziewanie cichnie i las rozbłyskuje na chwilę jasnym, głębokim blaskiem, tonąc w zielonym, nieruchomym cieniu: i tajemnica czeka na wyjawienie, magia na realizację, a opowieść na rozpoczęcie. Twarz Aidana pokrywa rumieniec, oczy mu błyszczą unosi race i...

I nic. Już po wszystkim. Nigdy nie wiadomo, czy o chwilę za szybko, czy za późno; tak czy inaczej, znowu przepuściliśmy okazję. Na moment oczy Aidana zachodzą łzami. Potem zrywa się wietrzyk, Molly ziewa i zaczyna węszyć, i raz jeszcze odkładamy czary na rzecz obiadu i innych rozrywek.

Nocą krąca się niespokojnie w łóżku, wreszcie rzucam poduszką o półkę z książkami. Przez otwarte okno słycać śpiew ptaków na bagnach, przeplatany kumkaniem ropuch i żab. Gdy miotam się gorączkowo w pościeli, to znowu nadchodzi; zastygam w bezruchu: drżenie niczym westchnienie, gwiazdy, obietnica drzwi, które otwierają się tuż poza zasięgiem ręki, niczym westchnienie gwiazdy. Wstrzymują oddech, czekam: czy znowu się zamkną?

Tym razem nie. Zastłonki falują na wietrze, zsuwam się z łóżka i biegną do okna, bose stopy kurczą się na zimnych deskach podłogi.

Stoi na łące na skraju lasu, jego ciemne włosy spowija mglisty blask gwiazd, w ciemności podżama tli się widmowym, niebieskim światłem. Na moich oczach unosi race ku niebu i mimo że z tej odległości nie jestem w stanie usłyszeć jego słów, szepczą je, gdy serce

wybija kontrapunkt dla naszego zaśpiewu. Po chwili on cichnie i stoi czujny.

Nie słysząc już ptaków. Zerwał się silniejszy wiatr i szum buków na skraju boru tłumi wszystkie inne dźwięki. Czują teraz bicie jego serca w moim i widzą cienie pod jego oczami.

Na niższych gałęziach wierzby, samotnej wierzby, która czerpie żywotne soki z ukrytego źródła obok łąki, widać chłopca. Jego zielone, lśniące jak turmalin oczy przyciągają ćmy. Ręce ściskają delikatne wierzbowe witki: silne ręce, takie blade, że prawie widzą płynącą pod skórą krew i mięśnie, napięte niczym młode pady wina. Pochyliła się, jego głowa znika pod gałęzią, w blond włosy wplątują się następne liście, potem wolno prostuje rękę i kiwa na swojego brata.

Wzmaga się wiatr. Pokryta rosą trawa ciemnieje w punktach, gdzie biegnący coraz szybciej Aidan dotyka jej bosymi stopami, wreszcie pędzi tak prędko, że zdaje się ledwie muskać łąkę. I właśnie w miejscu, gdzie wierzba zaczyna rzucać swój cień na zalane blaskiem gwiazd zbocze i gdzie wyciąga rękę chłopiec na drzewie, przytrzymują brata siłą i klnącego sprowadzają na ziemię.

Przez moment patrzy na mnie nie rozumiejącym niczego wzrokiem. Po chwili wrzeszczy i daje mi klapsa, bije coraz mocniej, wreszcie opamiętuje się, odpycha mnie i z trudem staje na nogi.

Wszystko już zniknęło. Wierzba drży, lecz świeże liście porusza tylko wiatr. Znad trzęsawisk unosi się i narasta dźwięczny śpiew ptaków. W jednym z okien na piętrze starego domu pojawia się plama Żółtego światła, rozlega się wołanie ojca, sennego, potem zaniepokojonego, wreszcie ryczącego na nas z balkonu. Aidan ogląda się to na dom, to na wierzbę, patrzy na mnie rozpaczliwym wzrokiem. Zanim zdążę coś powiedzieć, daje mi kuksańca i ucieka z płaczem do lasu.

Rozłączenie przebiega łagodniej niż zwykle. Leżę kilka sekund z zamkniętymi oczami, starając się zachować w pamięci woń kwiatów jabłoni i pokrytej rosą trawy. Rozpływają się jednak w powietrzu wraz z eteryczną siecią drzew i gwiazd. Kręciło mi się w głowie, przewody miałam wciąż podłączone; wstałam i popatrzyłam na doktor Harrow, która była już zajęta ściąganiem z NET-u obrazu reakcji swoich kończyn.

- Dziękuję ci, Wendy - odezwała się, nawet na mnie nie spoglądając.

Rzuciłam okiem na monitor BEAM, z którego zniknął stopniowo mgławicowy obraz mojego mózgu, a ostatnie wyładowania nerwowe zabarwiały płat skroniowy na jasnoturkusowo.

- Nigdy nie widziałem takiego koloru. - Gdy chciałam nachylić się w tamtą stronę, ogarnęła mnie fala mdłości. Zatoczyłam się na łóżku, wyrwijąc przewody.

Oczy: jasnozielone, przybarwione dwucyjanem, nieruchome jak bliźniacze chryzolity. Potop światła: liście poruszające powierzchnię martwego stawu. Wyglądały ze strefy cienia, nieporuszone grą światła i księżyca, dni, lat i stuleci. Wpatrywałam się w pusty ekran, który przecinała chwiejna linia. Oczy w mojej głowie nie poruszyły się, nie mrugnęły, nie zniknęły. Patrzyły bezlitośnie z mroku, aż w końcu sama ciemność zawrzała i została pochłonięta ich dzikim spojrzeniem. Zobaczyły mnie.

Nie widziały doktor Harrow, Aidana, Morgan, Melisandy czy innych, których pochłonełam w czasie terapii.

Widziały mnie.

Podeszłam niepewnym krokiem do okna, ciągnąc za sobą przewody i nie zwracając uwagi na osłupiałą doktor Harrow. Jęknęłam, potrząsając głową, po chwili ujęłam ręką parapet i zaczęłam walić głową w dębową framugę, raz za razem, dopóki nie odciągnęła mnie stamtąd doktor Harrow. Jednak cały czas je widziałam: nieruchome, szkliste oczy, pograżające się w ciemności, w miarę jak doktor Harrow faszerowała mnie środkami uspokajającymi.

Po długiej przerwie obudziłam się i ujrzałam doktor Harrow, która wpatrywała się we mnie z przeciwległego kąta pokoju. Następnie podeszła wolno do łóżka.

- Co to było? - spytała, siadając obok mnie i przyglądając fałdy haiku - Możesz mi powiedzieć?

- Nie wiem. - Potrząsnęłam głową, przygryzłam koniuszek kciuka. Wreszcie przekręciłam głowę i wbiłam w nią spojrzenie. - Kim był ten chłopiec?

- To mój brat Aidan. Bliźniak - odbąknęła.

- Nie... ten drugi... chłopiec na drzewie.

Tym razem przez dłuższą chwilę wstrzymała oddech, by w końcu przeciągle westchnąć.

- Nie wiem. Czy ty go pamiętasz? Widziałaś?

- Widzę go nawet teraz. - Skinęłam głową. - Gdybym... - Zamknęłam oczy i odpłynęłam gdzieś daleko, by gwałtownie powrócić do rzeczywistości. - On sam do mnie przychodzi. Nie muszę go nawet przywoływać w pamięci. Jak... - bezradnym ruchem zgięłam palce - ...jak we śnie. Tyle że teraz nie śpię.

Doktor Harrow pokręciła powoli głową i wyciągnęła rękę w moją stronę.

- Aidana też odszukał w ten sposób, wtedy, ostatnim razem. I mnie. A teraz ciebie. - Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że w jej oczach rozbłysła iskierka nadziei, która jednak błyskawicznie przygasła, a ona pochyliła głowę. - Wiesz co, Wendy - zaczęła,

opanowując emocje - lepiej będzie, jeśli na razie zatrzymamy to dla siebie. Może jutro spróbujemy jeszcze raz.

On mnie widzi.

Zbudziłam się, serce waliło mi jak młotem, tak że przez chwilę sądziłam, że mam atak, i odruchowo założyłam ręce na kark. Ale nie: to sen, to On...

Nabrałam powietrza w płuca, usiłowałam zatrzymać ten sen, w końcu otworzyłam oczy i zobaczyłam swój pokój, skąpany w poświęacie monitorów i słabym świetle brzasku. W powietrzu unosiły się jeszcze Jego zielone i roześmiane oczy, ta piękna, chłopięca twarz pośród wirów świeżych liści, bardziej namacalnych niż wilgotna pościel, która okręcała mi nogi. Wyciągnął rękę i dał mi znak, ogarnęła mnie wielka radość, poczułam zapach świeżej ziemi, kwiatów jabłoni, a powiew wiatru przyniósł obietnicę słońca, nieba i soczystych owoców. Pochyliłam się, schwyciłam pościel i próbowałam złapać jego białą rękę...

Z tej ręki, niby z jakiegoś owocu, zeszła skóra, spod której wyłoniły się roje larw, potem zmarszczyła się i odpadła. Kościec palców poruszał się rozpaczliwie, czekając na mój uścisk. Okryta skorupą czaszka zaświeciła przenikliwym, białym blaskiem. Krzyknęłam, cofnęłam rękę, zerwałam się z łóżka i zatoczyłam w stronę I okna. Już go nie było.

Nie wiem, jak długo klęczałam z czołem opartym na parapecie, mrugając i usiłując powstrzymać napływające łzy: prawdziwe, moje własne. Bo w oczach mej duszy płonęło nie to ohydne truchło, lecz chłopiec o zielonych oczach i blond włosach, jego uroda rozdzierała mi serce, zielone liście ocierały się o jego czoło, w półmroku dookoła rozlegał się rechot żabek. Po przebudzeniu poczułam się samotna w tym pustym pokoju. Pomyślałam o płaczącym Aidanie Harrow: zobaczył promieniejącą obietnicę tych oczu, a potem przepadł bez śladu...

Usłyszałam jakiś dźwięk za oknem. To falanga dzikich gęsi, których czarne sylwetki odcinały się na tle bladego wrześnieowego nieba. W ich okrzykach słyhać było tylko smutek i żal za minionym latem, i dojmującą tęsknotę za czekającym gdzieś daleko ciepłem. Odprowadziłam je wzrokiem, aż wreszcie ich żałość została zagłuszona przez szum zrywającego się wiatru, a ja sama zasnęłam oparta na łokciach. Po kilku godzinach zbudziło mnie pukanie do drzwi. Doktor Harrow oznajmiła, że tego dnia eksperyment nie zostanie powtórzony.

Od samobójstwa Morgan Yates upłynęło kilka dni. Pewnego wieczoru Justice zrobił mi rutynowe prześwietlenie powstrząsowe. Siedziałam cierpliwie przy oknie i wpatrywałam się w słońce, które zachodziło ponad koronami żółkniejących lip, podczas gdy on zakładał przewody i wywoływał przepływ najświeższych wspomnień.

Krew spływająca po brudnym szkle. Wyimaginowany tupot nóg janczarów na popękany asfalcie. Krew i tkanka, wybuchająca spod czaszki Morgan. Przyspieszyłam oddech, gdy przypomiinałam sobie wściekłość Morgan i jej słowa...

„Suko! Kurwo! Jak możesz się ze mnie śmiać?” Przywoływałam w pamięci sobie wiersz w jej pliku danych - *Święte potwory* - i jej twarz wykrzywioną w krzyku na mnie. Justice gapił się w ekran, by w końcu pokiwać głową. Potem zgodnie z przewidywaniami przycisnął mi do szyi środek uspokajający i na wszelki wypadek zostawił jeszcze kilka dawek. Skinęłam głową na pożegnanie i czekałam na następnych gości.

- Cześć, Wanna - usłyszałam skrzek. Trójkątna twarz wisiała do góry nogami w oknie, czarna i pomarszczona jak u nietoperza.

- Cześć, Gligor - odparłam i posunęłam się, żeby mógł usiąść przy mnie na łóżku.

Zaczął drapać rękami w parapet, myślałam nawet, że upadnie, ale odzyskał równowagę i zobaczył mnie, a może i ciepłą poświatę monitorów, które w jego umyśle pojawiły się jako jaskrawe impulsy. Potem wgramolił się do pokoju, jedną ręką oparł się na parapecie i stanął dla zaczerpnięcia tchu. Wyginając się na wszystkie strony, w końcu mnie wypatrzył i odczekał, aż jego osłony umiejscowią mnie w sieci. Wtedy z niespodziewaną gracją usiadł przy mnie na łóżku.

- Co ci dali?

Podaliśmy mu środek uspokajający, który przycisnął do skroni, odczekał chwilę, by w końcu skrzywić się i go odrzucić.

- Tylko tyle? - jęknął. - Merle mówiła, że wczoraj widziała tu przy NECIE doktor Harrow.

Już chciałam przytaknąć, ale się powstrzymałam. Nie wiedzieć czemu, nie chciałam o wspomnieniach Emmy opowiadać ani Gligorowi, ani Annie, ani nikomu innemu. Spod łóżka wyjęłam skręta i go zapaliłam. Następnie podeszłam do okna i patrzyłam na trawniki, gdzie serwanci strzygli trawę.

- No? - przynaglił Gligor. Z głodu pociągał nosem.

- Daj mi spokój. - Wypuściłam dym za okno. Nie miałam ochoty patrzeć na niego ani częstować go papierosem.

Z drugiego końca pomieszczenia dobiegło mnie nieznaczne skrzypienie i stłumiony chichot. Zacisnęłam zęby i odwróciłam się. W tym czasie drzwi się otwarły i ukazał się w nich Andrew.

- Ha, ha! Śledziła mnie Merle, ale poszedłem schodami od tyłu, tajną drogą, i teraz będzie sobie myślała, że jestem w wieży północnej. Co cię tu przyniosło, Gligor?

Opadł na łóżko koło tamtego, dmuchając w gładką powiekę Gligora, po czym narysował w zgęszczonym powietrzu zygzak. Gligor ujął go za rękę i ugryzł w nagie ramię.

- Mmmm - zamruczał. Odchylił się i podniósł osłonę, tak że widziałam puste, białe gałki oczne. Oblizął się. Wiedziałałam, że chce mnie rozdrażnić. Parsknęłam i spojrzałam na Andrew.

- Co cię tu przyniosło? - powtórzył. Przy łóżku stała niewielka lodówka, nad którą się nachylił i zaczął w niej grzebać. Gligor na powrót opuścił osłonę.

- Wanna nie chce się ze mną podzielić - zaskomlił. - Harrow coś jej wczoraj zrobiła i teraz nie chce się podzielić...

Jeszcze raz zaciągnęłam się papierosem i wyrzuciłam go za okno.

- Nic się nie stało - odpowiedziałam, wpijając wzrok w tył głowy Andrew.

Ten zniecka odwrócił się w moją stronę. Jego oczy się rozszerzyły. Zamrugał nimi jeden raz, z pełnym rozmysłem, i spuścił głowę. Po chwili ujrzałam mroczną, przebiegłą twarz i usłyszałam bardziej chrapliwy głos Anny.

- Ja wszystko wiem! - zawołała tryumfująco. - To ma coś wspólnego z tą poetką, z samobójstwami!

Gligor syknął z podziwem. Zesztywniałam, zacisnęłam rękę na parapecie. Anna uśmiechnęła się od ucha do ucha. Potem, zanim się zorientowałam, rzuciła się na mnie i ściągnęła na podłogę.

- Do roboty, Gligor! - warknęła, przygniatając mi ręce i wbijając się we mnie z całych sił kolanem. - Niedawno podzieliła się ze mną i było naprawdę cudownie...

- Nie! - protestowałam, gdy Gligor stanął za Anną i zaczął bezradnie klepać mnie po stopach. - To nie przez poetkę, przysięgam...

- Dobry pomysł, trzymaj ją za nogi! - nakazała Gligorowi. Roześmiana usiadła mi na piersiach i spojrzała na mnie. Na jej twarz wypełził rumieniec radości, taki sam, jaki tyle razy w podobnych okolicznościach zjawiał się na moich policzkach. - A teraz się nie ruszaj, Wendy...

Anna schwyciła mnie silnymi dłońmi za głowę i przytrzymała. Nachyliła się nade mną i pocałowała: najpierw delikatnie spenetrowała językiem usta, potem skubnęła, wreszcie mocno ugryzła dolną wargę, by wessać trochę krwi. Potem zamknęła oczy i odrzuciła do tyłu głowę, głęboko wzdychając. Kilka sekund odczekałam, a następnie zepchnęłam ją z siebie i kopnęłam zaskoczony Gligora, który rozłożył się plackiem na podłodze. Wściekła zwróciłam się w stronę Anny.

Nie byłam w stanie już nic zrobić. Nie zdążyłabym zahamować reakcji, jaką

przebieżniki nerwowe w mojej krwi niosły właśnie do jej mózgu. Pozostawała tylko nadzieja, że zbyt mała ilość krwi lub zawartych w niej rezonansowych związków chemicznych nie zaspokoi jej głodu odczuć zmysłowych.

Wbiłam w nią gniewny wzrok i czekałam, jak zareaguje. Leżący obok Gligor tarł nogę i również patrzył. Od czasu do czasu rzucał w moją stronę ukradkowe spojrzenia, tak że widziałam swoje odbicie na matowej powierzchni jego osłony.

- Wanna, patrz - szepnął.

Anna przykucnęła, oczy miała ciągle zamknięte. Na jej twarzy widniał wyraz zachwytu, tak że sprawiała wrażenie postaci bardzo od nas oddalonej, niezemskiej. Nie mogłam oderwać od niej wzroku, zastanawiając się, czy zobaczyła tę samą osobliwą postać co ja, czy też wciąż przeżywa śmierć Morgan Yates. Gligor kiwał głową w tył i przód, jakby poszukiwał w bijącym od Anny ciepłe jakiegoś logicznego układu.

Nagle otworzyła oczy. Wpatrywała się w jakiś umieszczony wysoko punkt i uśmiechała w zachwycie, jakby w pustym powietrzu witała się z ukochanym przyjacielem. Chciałam pochwycić jej wyciągnięte ku czemuś ręce, ale nie zdążyłam jej jeszcze dotknąć, gdy zmienił się wyraz jej twarzy. Pojawił się na niej grymas, ręce cofnęła z wysiłkiem, jakby komuś się wyrwała, potem skierowała swój niewidzący wzrok na mnie.

- Oj, Wendy - dyszała. Niedowierzenie w jej głosie podszyte było trwogą. - Coś ty narobiła?

Wtedy zaczęła wrzeszczeć.

Próbowałam zagłuszyć jej krzyki i ryknęłam na Gligora, żeby mi pomógł. Ten jednak odruchowo wskoczył na łóżko i stał tam, jęcząc, gdy ja usiłowałam uspokoić Annę. Zaczęła wymachiwać rękami, aż uderzyła mnie w bok głowy, tak że się zatoczyłam, ani na chwilę jej nie puszczając.

- On! - wyła, przygryzając sobie przy każdym krzyku język, z którego zaczęła spływać mi na ręce krew. - On!

Krzykałam do Gligora, żeby dał mi jeden ze środków uspokajających, leżących przy łóżku, ale ten nawet nie drgnął. Po chwili usłyszałam jakieś głosy i tupot nóg na korytarzu. Do pokoju wpadło kilku adiutantów i doktor Silverthorn.

Uspokoił ją, choć nie obyło się bez szamotaniny. Adiutant Justice siarczyście zaklął, gdy Anna go ugryzła. Doktor Silverthorn odepchnął Justice'a i zaaplikował Annie środek uspokajający. Dopiero gdy wynieśli ją na zewnątrz, dostrzegł skulonego w kącie Gligora.

- Gligor! - Doktor Silverthorn delikatnie nim potrząsał, dopóki wystraszony chłopiec nie przestał skamleć. - Co się tu stało?

- Coś tam było... - Zamilkł, złapał się za głowę. Doktor Silverthorn objął go ramieniem i przyciągnął do siebie. Mnie obrzucił spojrzeniem tak chłodnym, że na chwilę zapomniałam o swoim gniewie i rozczarowaniu.

- Co ty tu do cholery wyprawiałaś, Wendy?

- Anna się do mnie przyssała. Ostrzegałam ją. - Wzruszyłam ramionami.

- Czy ty nie rozumiesz, jakie to pociąga za sobą konsekwencje?

- zawołał. Gligor wzdrygnął się i chciał wyrwać z objęć tamtego.

- Zabiorą jego, zabiorą was wszystkich...

- Ale to prawda - wtrącił się Gligor. - To nie przez Wendy... Taki jestem zmęczony.

Czy mogę odejść, doktorze Silverthorn?

Doktor Silverthorn skinął głową i odprowadził Gligora do drzwi, cały czas obrzucając mnie spojrzeniem pełnym odrazy.

- Chyba zapropomuję, żeby zakazano wam się ze sobą widywać. Ale tobą zajmie się już doktor Harrow - zapowiedział, wychodząc z pomieszczenia.

- W ogóle nie dotarło do ciebie, co mówiłam ci parę dni temu, Wendy?

Doktor Harrow stanęła przed oknem, z dezaprobatą patrząc na szarą kupkę papierosowego popiołu w rogu parapetu. Przygwoździła mnie badawczym spojrzeniem.

- Czy ty nie rozumiesz, co się dzieje i dlaczego musimy bardzo uważać, dopóki oni tu są? - Ruchem ręki pokazała na zewnątrz, gdzie doktor Leslie oprowadzał grupę Rządców i towarzyszących mu janczarów po terenie Laboratorium.

Usiadłam na łóżku i zaczęłam bawić się przewodami, które Harrow starannie rozłożyła na wytartej narzucie, przygotowując je do naszej następnej sesji.

- Rozumiem - odparłam.

- Nie sądzę. - Nie odrywała ode mnie baczego spojrzenia. Z westchnieniem rzuciła okiem na drzwi, w których założono nowy zamek. - Anna chyba się z tego wylize.

Potrząsnęłam głową obojętnie. Nie rozpytywałam o Annę, bo wiedziałam, że jej się nic nie stanie. Empaci zawsze wychodzą z wszystkiego cało. Oczy doktor Harrow zwężyły się.

- Jest ci wszystko jedno, co? Wy w ogóle nie przejmujecie się innymi.

Ziewnęłam. Nie warto było podkreślać, że swój brak reakcji emocjonalnych zawdzięczamy staraniom personelu Laboratorium Inżynierii Ludzkiej. Obawiałam się jedynie tego, że doktor Harrow dowie się, iż Anna dotarła do wspomnienia, które prześladowało doktor Harrow przez większość jej życia, a za karę zostanie mi odebrane prawo kontynuowania empaterapii - albo, co jeszcze gorsze, że doktor Harrow w swojej

przewrotności postanowi odbywać ją z Anną. Tymczasem doktor Harrow zjawiała się razem z NET, przyprowadziła ze schowka rozpadający się wózek i można było sądzić, że wszystko odbędzie się zgodnie z planem.

- Możemy zaczynać? - zapytałam. Westchnęła, odgarnęła włosy za uszy i zdjęła pincenez.

- Chyba tak.

Choć podczas uruchamiania BEAM-u ręce w ogóle jej się nie trzęsły, wyczuwałam w jej oddechu senny zapach absyntu, a w pocie, niczym potężną tęsknotę, strach.

- *Emmo - szepcze przez s'wielik nad drzwiami - wpuść mnie.*

Kołdra na mojej twarzy tłumi jego głos. Woła raz jeszcze, głośniejsze, aż jęczę, budzę się i wstaję, przecieram oczy i wpatruję się w czubek jego głowy ponad drzwiami.

Za progu dochodzi mnie odgłos cichego drapania, skomlenie Molly. Łoskot. Znowu drapanie: Aidan, kucając pod drzwiami, warczy, z trudem tłumiąc śmiech. Owijam się kołdrą i nachylam, żeby odsunąć zasuwę.

Molly pada na nos, parska, z pyska cieknie jej ślina, chce przeprosić. Za nią wpada do środka Aidan, trzęsący się w swoim znoszonym kimonie z wystrzępionymi rękawami i starym pasku od jednej z moich sukienek. Chichoczę, ruchem ręki nakazuję mu zamknąć drzwi, żeby nie usłyszał nas Ojciec w pokoju na dole.

- *Cholernie tu zimno!* - woła Aidan, przygważdżając mnie do łóżka i naciągając nam na głowy kołdrę. - *Chodź, piesku.* - *Stękając z wysiłku, taszczy ją na łóżko.* - *Mój pokój jest jak A rkyta, jak Ziemia Ognista, jak bałkańskie stepy.* - *Rytm słów podkreśla pocałunkami, odsuwa Molly, która usiłuje lizać nam twarze. Wywijam mu się i wyglądam nocną koszulę.*

- *Cii, bo obudzisz Ojca.*

- *Daruj mi.* - *Aidan przewraca oczami i przywiera do ściany. Przez rozdarcia w kimonie dostrzegam jego skórę, ciemną w blasku księżyca. Prócz Aidana tylko ja mam taką skórę: nie białą, lecz o najbledszym odcieniu szarości, niemal błękitną, gładką i delikatną jak skorupka jajka. Ludzie na ulicy gapią się na nas, zwłaszcza na niego. W Akademii dziewczyny na jego widok zaprzestają rozmów, wbijają we mnie spojrzenie zważonych w szparki oczu, a ich wydęte usta zadają nie wypowiedziane pytanie.*

Aidan ziewa przeciągle jak kot. To Aidan jest piękny: jego oczy w słońcu skrzą się zielono, podczas gdy moje bledną i błękitniejącego owinięte wokół mojego ciała, długie nogi zawstydzają mnie; jego włosy są z najczystszej złota, gdy moje odlano z matowego brązu.

- *Chodź, Molly.* - *Kładzie ją sobie na kolanach, stęka z wysiłku, przyciąga również mnie, aż zbijamy się w jedną gromadkę na środku łóżka. Stykamy się głowami, on ruchem*

podbródka wskazuje lustro.

- Czy nigdy nie widziałas obrazu pod tytułem „Nas troje”? - świergocze. Potem zrzuca Molly na podłogę, bierze mnie za barki i ściąga ze mnie koldrę.

*Córka mojego ojca kochała mężczyznę,
Jak to się czasem zdarza, gdybym była mężem,
Może bym, panie, wiedziała.*

Recytuje cicho, swoim własnym głosem, nie tym, którego używał podczas sztuki, wystawianej tamtej zimy w Akademii. Zaczynam zsuwać się z łóżka, ale ściska mnie mocniej, przekręca w swoją stronę, dopóki nie zetkną się nasze czoła; i wiem, że lustro z tyłu odbija zalanego blaskiem księżyca Rorschacha i naszą wężącą, żalostną i głupiaprzyjaciółkę.

„A czy twoja siostra umarła z miłości, mój chłopcze? „- szepczę, muskając ustami jego kark w miejscu, gdzie niemodne długie włosy uformowane są w doskonały kształt litery S.

Jestem wszystkimi córami domu mego ojca, I wszystkimi braćmi; a jednak nie wiem.

Zamyka mi usta pocałunkiem. Później wyszeptuje jakieś bzdury, moje imię, słowa rymujące się w wymyślonym przez nas języku; potem zapada długa i pełna napięcia cisza.

Następnie zasypia, a ja jeszcze jakiś czas leżę, gładzę jego włosy i obserwuję falowanie szczupłej klatki piersiowej. Gdy robi się zimno, on się budzi i wpatruje we mnie rozszerzonymi i czarnymi oczami, przewraca się na bok i jęczy, jakby miało pęknąć mu serce. Zaciskam zęby i patrzę w sufit, staram się nie mrugnąć nawet powieką nie słyszeć i nie czuć go u swojego boku, jego bładoszarej skóry, oczu: mój piękny brat w ciemności.

Gdy po tej sesji odzyskałam przytomność, mój wzrok spotka się z zaczerwienionymi oczami doktor Harrow; wyszła pośpiesznie, doradzając, bym nie opuszczała swojego pokoju, dopóki nie wezwie mnie do siebie. Spałam smacznie aż do późnego popołudnia, gdy zbudziło mnie dudnienie jesiennego deszczu o szyby weneckich okien. Sporo czasu przeleżałam, wpatrując się w długą, cienką rysę, która przecinała sufit. Kojarzyła mi się z rozległą, potworną gałęzią jakiegoś drzewa, które bierze w posiadanie całe pomieszczenie. W końcu musiałam zejść na dół, ignorując przestrogi doktor Harrow.

Pogrążona w rozmyślaniach szłam długim, nakrytym szklanym dachem korytarzem do przybudówki w stylu prekolumbijskim. W głębi ducha pragnęłam, żeby Justice zauważył mnie tu i zatrzymał, odesłał do siebie, zmienił lekarstwa albo zorganizował testy, dzięki którym osłabnie ten dziwny niepokój. Dzisiaj Adiutanci mieli spotkać się z Margalisem Tast'anninem i jego sztabem. Wyżsi rangą pracownicy LIL odejdą do swoich prywatnych pokoi, empaci będą oddawać się sekretnym rozrywkom, tak żeby nie można było ich nadzorować. Przystanąłam, zerwałam kwiat rosnącego w terakotowej donicy hibiskusa i

wplotłam go we włosy za uchem. Po chwili dotarłam do starej windy z jej osobliwymi, splatającymi się arabeskami.

Empaci mieli wzbroniony wstęp na drugie piętro, lecz Anna zapamiętała kod jakiegoś zmarłego pacjenta i od czasu do czasu zakradałyśmy się tu i przysysałyśmy do śpiących obiektów badawczych. Tych pomieszczeń nie patrolowali Adiutanci. Serwanci pilnowali monitorów i zapisywali wszystkie reakcje. Senne powietrze mąciło jedynie skrzypienie ich kółek i monotony szum zbiorników danych. Po każdej dwunastogodzinnej zmianie do pokojów wpadali na chwilę lekarze, odpinając onironautów i odprowadzając ich do innych pomieszczeń, gdzie mogli zapaść w kolejne, tym razem pozbawione marzeń sny. Piracki kod wprowadziłam do pierwszego napotkanego serwanta bezpieczeństwa i odczekałam, aż sprawdzi mój odcisk siatkówki i wyda kod dostępu, dzięki któremu rozsunęła się makieta ściany.

Tutaj rozciągały się laboratoria snu: izby spowite w poźółkły jedwab i nadjedzone przez mole prześcieradła, ogromne łoża z baldachimami, gdzie leżeli zamaskowani onironauci (nieszczęśni rozbitkowie po poprzedniej Autokracji Ascendentów lub wzięci do niewoli w czasie poprzedniego Konfliktu Archipelagu), którzy przekręcali się z boku na bok i wzdychali, i gdzie szumiały skryte w zakamarkach monitory. Skórę mieli szklisto białą. Oczy pod maskami od przymusowej senności przybrały lekko zieloną barwę. Możliwie najdłużej wstrzymywałam oddech: powietrze przesycone było snami. Poszłam spieszenie do pokoju z otwartymi na oścież drzwiami i łukowym oknem z białymi zasłonami. Na wiśniowym łożu leżała nie znana mi kobieta. Skromna, domowa koszula, żółta, z wyhaftowanym pięciocyfrowym numerem nie harmonizowała z łotrowską maską. Wśliznęłam się do środka, zamknęłam za sobą drzwi i zwróciłam się w stronę łóżka.

Na tle pomiętej pościeli włosy obiektu badań wyglądały jak ciemny filigran. Nachyliłam się i pocałowałam ją w usta, chcąc mieć pewność, że się nie zbudzi. Potem wsunęłam język między jej wargi i wycofałam go, zamykając oczy i próbując zrozumieć siłę pożądania i mrocznej rezygnacji, i chochlikowych kaprysów. Po chwili wszystko rozplynęło się w powietrzu: sny są w końcu tylko snami. Odczepiłam przewody łączące ją z monitorami, ustawiłam parametry i przyłączyłam je do NET-u. Za pomocą dodatkowych kabli podłączyłam również siebie, kierując sygnały z BEAM-u na przekaźnik. Poprawiłam pościel, położyłam się obok niej i zamknęłam oczy.

Srebrna kopuła, przez którąprześwieca blask słoneczny. Wyczuwam zapach filtrów i dusznego powietrza. Z oddali dobiega szum obracających się płyt słonecznych - to stacja NASNA w milczeniu przemierza atmosferę. Odwracam się i dostrzegam rząd karłowatych,

szarozielonych drzew. Idziemy w tamtą stronę; wola onironautki nagina się do mojej z taką łatwością, że z trudem wyczuwam jej obecność: jest jednym z licznych sztucznych powiewów wiatru.

Drzewa są coraz bliżej. Wpatrują się w nie, aż nagie, obwieszane porostami gałęzie przemieniają się w konary uginające się od zielonych liści. Stają się wielkimi ociekającymi zielenią stworami, które nigdy w życiu nie pojawiłyby się na terenie stacji. Czują, że ta przemiana zabiła onironautkę z tropu, ale już po chwili znajdujemy się pod ociężałymi, zacisznymi gałęziami drzew.

Kładą ręką na szorstkiej korze i wpatrują się w serce zieleni. W szmaragdowym cieniu coś się porusza. Oświetlone słońcem, fragmenty liści i gałązek układają się w kształt rąk. Cienie formujądwoje skośnych, berylowych oczu. To coś czai się w konarach niczym cętkowany kot, jego kędziory zdobi wieniec z liści, rozchylone usta ukazują małe, białe zęby. Uśmiecha się do mnie.

Nie zdołała przyciągnąć mnie bliżej, bo zrywam przewody. Drzewo drga i zmienia się w białą pościel i owinięte w całun ciało kobiety obok.

Walenie serca powoli ustawało, gdy wspierałam się na łokciach, obserwowałam ją i ostrożnie zdejmowałam jej z twarzy maskę. Pod powiekami, znaczone siateczką delikatnych, błękitnych żyłek, gałki oczne poruszały się w poszukiwaniu czegoś niewidocznego. Nagle uspokoiły się. Usta ułożyły się w uśmiech, po chwili tak radosny, że bez namysłu pocałowałam ją, czując eksplozję ekstatycznej, nieziemskiej rozkoszy.

Nagle gwałtownie się cofnęłam, gdy zaczęła zniecka łapać mnie rękami za piersi, a usta jakby chciały coś wykrzyknąć: nie rozległ się jednak żaden dźwięk. Rozkosz przekształciła się w przerażenie. Oczy otworzyły się i zapatrzyły nie we mnie, lecz w coś, co rysowało się groźnie tuż przed nimi. Przejęte grozą źrenice rozszerzyły się, chwyciła mnie za twarz, wyrwała z włosów kwiat hibiskusa i mało nie wydała wrzasku, który stłumiłam poduszką.

W pośpiechu znowu nastawiłam monitory oraz parametry NET-u.

Uciekłam, lecz w korytarzu zatrzymałam się i obejrzałam za siebie. Kobieta na oślep waliła przed siebie pięściami; nie widziała mnie. Zerwałam się do biegu, dotarłam do schodów prowadzących na niższe piętra i wymknęłam się nie zauważona.

Na dole panowała cisza. Serwanci mijali mnie ze skrzypieniem, roznosząc do pomieszczeń lekarzy herbatę. Ruszyłam w pośpiechu do konserwatorium, gdzie spytałam o Adiutanta Justice'a. Jakiś serwant skierował mnie do sali, gdzie Justice nagrywał wyniki sztucznie wywołanego skanu potencjalnego.

- Wendy! - Zaskoczenie ustąpiło miejsca przestraszowi. - Co ty tu robisz?

Zamknęłam drzwi, podeszłam do okna, zasuważąc ciężkie, aksamitne story, od których w sali zapanował mrok.

- Chcę, żebyś mnie zeskanował.

Zdenerwowany potrząsnął głową, splatając długi blond warkocz.

- Co? Dlaczego... - Złapałam go za rękę, gdy chciał bardziej rozjaśnić pomieszczenie; pokiwał głową i ściemnił ekran, na którym pracował. - Gdzie doktor Harrow?

- Masz to zrobić. - Ścisnęłam go mocniej. - Zdaje mi się, że wkroczyłam w stadium fugi.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- To niemożliwe, nie byłabyś w stanie tego odczuć... popadłabyś w katatonię albo... - Wzruszył ramionami, popatrzył niespokojnie na drzwi. - O co ci chodzi? Wiesz przecież, że nie mogę tego zrobić sam, zwłaszcza teraz.

- Ale znasz się na tym - nastawałam, gładząc go po ręce. - Poznałeś arkana ich sztuki, jesteś w tym równie dobry co doktor Harrow. - Wsparłam się czołem o jego czoło i pocałowałam go w usta. Na jego twarzy pojawił się strach. Chciał się odsunąć. Kontakty seksualne pomiędzy obsługą a personelem doświadczalnym były zabronione pod karą śmierci dla rzeczonoego Adiutanta, ponieważ sądzono, iż empaci nie potrafią takiego kontaktu nawiązać. Przycisnęłam mu ręce do stołu, aż w końcu skinął głową i wskazał monitor PET.

- Siadaj. - Zarygłowałam drzwi i usiadłam w fotelu naprzeciwko rzędu ekranów.

Po chwili doszedł mnie szum skanerów: Justice tworzył łącze czytnika. Oczekałam, dopóki na monitorze nie pojawił się dobrze mi znany schemat mojego mózgu.

- Widzisz? - W jego głosie słyhać było ulgę, przechylił nawet ekran, żebym lepiej widziała. - Wszystko w normie. Prawdopodobnie źle ustaliła ci dawkę. Może doktor Silverthorn zaproponuje...

Dalsze słowa uwięzły mu w gardle. Zamknęłam oczy i wywołałam obraz drzewa, berylowych oczu i wyciągniętej ręki; gdy je otworzyłam, na monitorze PET widoczne były sygnały obecności jakiegoś intruza w płacie skroniowym: fale mózgowo jednoznacznie wskazywały na rodzenie się drugiej osobowości.

- To niemożliwe - wybełkotał Justice. - Nie masz MP, samodzielnych emocji... Co to, do diabła, jest? - Trzęsącą się ręką obwiodł zarys interesujących nas układów, potem odwrócił się w moją stronę. - Coś ty zrobiła, Wendy?

Potrząsnęłam głową, skuliłam się w fotelu i zdjęłam przewody. Ostatni obraz zadrżał na monitorze niczym duch mózgu.

- Trzymaj. - Podałam mu przewody. - Nikomu o tym nie wspominaj.

Nie odezwał się ani słowem. Dopiero gdy dotykałam klamki, położył mi rękę na ramieniu.

- Skąd się to wzięło? - zająknął się. - Co to jest? Wpatrywałam się w pulsujące cienie na ekranie.

- To nie ja - odezwałam się w końcu. - To Chłopiec na Drzewie.

Badaczkę snu znaleziono w czasie wieczornej zmiany personelu. Wisiała na girlandzie, która zdobiła jej łóżko. Anna opowiedziała mi o wszystkim przy kolacji.

- Monitory zarejestrowały narodziny AO. - Oblizwała się niczym kotka. - Jak sądzisz, udałoby się nam przedostać do kostnicy?

- Zwariowałaś? - Ziewnęłam i potrząsnęłam głową.

- Tak jak wszyscy. - Zachichotała i otarła się o mój kark. Do jadalni weszło kilku Adiutantów, uważnie rozejrzeli się po pomieszczeniu, podchodzili do empatów, klepali ich po ramieniu i ruchem ręki wskazywali drzwi. Obejrzałam się na Justice'a stojącego z tyłu z bladą i ściągniętą twarzą.

- Margalis Tast' annin zarządził ewakuację wyższego stopniem personelu do tymczasowej stolicy. Nowi ludzie dokonają oceny Projektu Harrow. Macie udać się do swoich izb - obwieścił. - Doktor Harrow zabrania wam kontaktować się z kimkolwiek, dopóki nie spotkacie się osobiście z Tast'anninem. - Przełknął ślinę, unikając mojego spojrzenia. Po chwili po raz pierwszy spojrzął mi w oczy. - Mówiłem jej, że cię nie widziałem, ale wolałem dać ci znać...

Skinęłam głową i odwróciłam wzrok. Oddalił się w mgnieniu oka, a ja weszłam na schody.

- Widziałam już doktora Lesliego - zauważyła Anna, jeszcze zanim ruszyła do swojego pokoju. - Uśmiechnął się i pomachał mi ręką. - Zawahała się, zagryzła w zamyśleniu wargę. - Może tym razem będzie się ze mną bawił - powiedziała, odchodząc błotnistą od deszczu ścieżką.

W Pokoju Horne'a zastałam stojącą przy wysokim oknie doktor Harrow. W ręce trzymała zwiędły kwiat hibiskusa.

- Zamknij drzwi na klucz - nakazała - i siadaj.

Złamała kwiatek. Na palcach pojawiła się plama od jego soków: żółć zmieszana z wrzodowatą sinością. Rzuciła mi hibiskus na kolana.

- Wiedzą, że kręciłaś się po laboratorium snu - zaczęła. - Doktor Silverthorn znalazł odcisk twojej siatkówki w banku danych. Jak mogłaś pomyśleć, że ujdzie ci to na sucho? -

Opadła na łóżko, oczy pociemniały jej ze znużenia.

Deszcz, po kilkugodzinnej przerwie, uderzał teraz w szyby, a jego monotonna kanonadę przerywało od czasu do czasu bębnienie kulek gradu.

- Nie chciałam doprowadzić do jej śmierci. - Wyglądziłam sukienkę i upuściłam kwiatek na ziemię. Rozgniotła go pod podeszwą, po czym wyrzuciła za okno.

- Ta jej twarz - mówiła, jakby odpowiadała na jakieś pytanie. - Jak twarz mojego brata Aidana. - Patrzyłam na nią pustym wzrokiem. - Gdy go znalazłam - obróciła ku mnie błyszczące oczy - na drzewie.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. - Potrząsnęłam głową. Zaciśnęła wargi; na dolnej pojawiła się kropelka krwi. Mocno pragnęłam pochylić się i jej posmakować, ale nie śmiałam.

- W sumie ona miała rację. Kradniesz nam sny...

- To niemożliwe. - Skrzyżowałam ręce na piersiach, drżąc od wilgotnych podmuchów wiatru. - Sama mi pani mówiła, że to niemożliwe. Nienaukowe. Że tak myślą laicy.

Uśmiechnęła się i oblizwała krew z wargi.

- Laicy? Przecież wiesz, że to wszystko była bardzo amatorska robota, Wendy.

- Ustawa Norymberska z poprawkami stanowi, iż żaden Ascendent nie może przeprowadzić na żadnym obiekcie badań naukowych, którym sam by się nie poddał. - Doktor Harrow potrząsnęła głową i przecesała mokre włosy.

- I ty myślałaś, że to są badania naukowe?

- Nie... nie wiem. - Wzruszyłam ramionami. - Ten chłopiec.. to pani brat bliźniak?

- Aidan... - Wsparła rękę na narzucie i rozłożyła palce, zgięła palec z ciężkim pierścieniem, wysadzonym nie oszlifowanymi kamieniami, układającymi się w litery NASNA. - Dowiedzieli się. Instruktorzy. Ojciec. O nas. Zdradził nas kolejny... obiecujący uczeń. Rozumiesz? - Na powrót rozpałała się iskierka uczucia, które płonęło w łóżku między nią i bratem. Zmrużyłam oczy, śledziłam lot tej iskry.

- Tak - wyszeptałam. - Chyba tak.

- To jest... - z trudem dobierała słowa - przestępstwo. Rozdzielili nas. Aidana... zabrali gdzie indziej. Robili mu testy.

Wstała i podeszła do okna, oparła się jedną ręką na zewnętrznym parapecie, wychylając się tym samym na deszcz. Po chwili odwróciła się w moją stronę.

- Oszałał. Wiesz, tamtej nocy w lesie coś się wydarzyło. - Zaczęła okładać ścianę rękami. - Już nigdy nie był taki sam. Miał koszmary, nie mógł sam zasnąć... od tego wszystko się zaczęło...

Potem, wiosną, puścili go w odwiedziny do domu. Nie chciał wyjść ze swego pokoju. Jednego ranka wyszłam z Ojcem z domu, a gdy wróciliśmy, nie było go w pokoju, w ogóle nigdzie... To ja go odnalazłam. Miał... - głos jej się załamał, wbiła wzrok w ścianę za mną - we włosach kwiat jabłoni. A twarz...

Myślałam, że się rozplacze, ale wyraz jej twarzy gwałtownie się zmienił, jakby chciała się roześmiać.

- Jak jej...

Zbliżyła się, a wtedy z bliska spojrzałam jej w oczy. Pociągnęłam nosem i ostrożnie odsunęłam się na brzeg łóżka: nałykała się skopolaminy, otrzymywanej w herbarium. Płatał jej się język.

- Wiesz, co teraz będzie? Wieczorem zjawilo się więcej janczarów. Odwołali termin zakończenia badań. Już po nas. Koniec. Od jutra oni przejmują władzę. Nowy personel. Przedstawiciele Rządów. Konowały po specjalnych szkoleniach w NASNA, osobiście dobierani przez Margalisa Tasfannina. - To nazwisko wyrzuciła z siebie z obrzydzeniem, mlaskając językiem. - I ty, Wendy. I Anna. Jak genetyczni niewolnicy: zabawki. Broń. - Zachwiała się i nachyliła w moją stronę. - Zwłaszcza ty. Znajdą go, wyciągną choćby spod ziemi i wykorzystają...

- Kto, doktor Harrow? - Na jej czole perliły się krople potu. Dotknęła mojej twarzy, aż się wzdrygnęłam.

- Mój brat - wymamrotała.

- Nie o to mi chodzi. Kim byli ci inni, którzy was zdradzili...

- Mówiłam przecież, że się przyjaźniliśmy - weszła mi w słowo. - Aidan mu ufał...

- Komu?

- Margalisowi. - Położyła swoją dłoń na mojej i poczułam, jak jej palce zaciskają się wokół mojego nadgarstka.

- A ten drugi... kim był ten Chłopiec na Drzewie? Uśmiechnęła się i przyciągnęła mnie w swoją stronę. Otrzeptała kolorowe przewody NET-u z deszczu.

- Zaraz się dowiemy...

Krzyknęłam na widok tych niezgrabnych ruchów. Na jej skroni ukazał się krwawy punkcik. Dotknęłam swojej twarzy, z miejsca cofając palec, umazany galaretowatym płynem, którym beztrąsko nasmarowała policzek od ucha do brody. Jeszcze nie zdążyłam się położyć, gdy nawiązała łączność, i raz jeszcze zawołałam, tym razem na widok przyprawiających o zawrót głowy obrazów, które mi się ukazały przed oczami.

Anilinowa błyskawica. Między synapsami płynie strumień pochodni słonecznych, usta

zalewa ślina, unoszę odruchowo głowę i walę nią w zagłówek. Nie przywiązała mnie. Skopolamina przepala mnie jak żrąca żółć, otwieram usta do krzyku. Na sekundę przed jego rozpoczęciem wyczuwam w jej gardle nieznaczny, gryzący smak i usiłuję wyswobodzić się z jej objęć. Potem już mnie nie ma.

Przed moimi oczami wyrasta mi wierzba, drżąca na lodowatym wietrze w cieniu górskich szczytów na północy. Sok wycieka z płaskiego, żółtego nacięcia nad moją głową, gdzie dwa dni temu ojciec odpiłował uszkodzoną gałąź. Załamała się pod ciężarem. Znalazłam go leżącego na połamanych gałązkach, zgniecionych, świeżych liściach i okruchach kory, i tylko kwiaty w jego włosach pozostały nienaruszone. Jedna raka leżała na piersiach, w blasku słońca skrzył się sygnet Akademii. Teraz stają na palcach i gładzą złamaną wierzba, następnie całują palec. Zamykam oczy, które tak bardzo pieką. Nie mam już łez; czują tylko to okropnie suche pulsowanie, jakby gałki oczu obsypano mi piaskiem. Znowu narasta łkanie. Kamień w piersiach ściąga mnie na ziemię, kucam przed drzewem, czołem dotykam trawy, podeptanej przez pogrążoną w żalu rodziną i znajomych z Akademii. Jęcząc i usiłuję wymyślić jakieś słowa, zaklęcia, przekleństwo, poprzez które wyrwą światło i życie ze świata, który został tak nagle zduszony i znieruchomiał. Ale stać mnie tylko na pojękiwania. W ustach czuję piach i okruchy granitu. Paznokcie wbijają się w ziemię, jakby chciały wyrwać z niej coś ponad korzenie i czmychające w popłochu robaki. Ziemia pochłania mój głos; dźwigam się na kolana i unoszę wzrok na drzewo.

Wystarczy. Usłyszał mnie.

Zza zasłony świeżych liści wyglądają jego łagodnie błyszczące oczy. Czoło otoczone jest chmurą pierwszych, majowych kwiatów jabłoni. Jego oczy są olbrzymie, barwy najczystszej zieleni, opalizującej w chłodnym, porannym słońcu. Przyglądają mi się bez mrugnięcia, twarde, jasne i nieubłagane niczym blask księżycy; omdlewającym ruchem wyciąga ku mnie ręką.

Stają na nogi, z dłoni spadają mi grudki ziemi. Wzmaga się północny wiatr, który targa gałęzie wierzby. Za sobą słyszą trzaskanie drzwiami i głos ojca, przywołującego mnie z powrotem do domu. Zaczynam się odwracać, chcąc rozwiać czarodziejski sen, który trzyma mnie przy tym miejscu, z tym drzewem poruszonym zatrutym wiatrem, dmącym z ponurego i bezgłośnego brzegu.

I wtedy przystają, jak było to setki razy we śnie, i odwracam się w stronę drzewa. Nasze spojrzenia spotykają się pierwszy raz.

Czeka, jak czekał zawsze i będzie czekał na wieki. Moją szyję chłosta zimny wiatr, poruszając kołnierzem bluzki, tak że ciarki przeszły mi aż do piersi i wtulają się pomiędzy nie.

Kiwam nieznacznie głową i oglądam się na dom.

Świat opuściły wszystkie barwy. Widzę to po raz pierwszy wyraźnie: szara skóra, ciasno opinająca granitowe wzgórza i pozbawione trawy doliny; sine chmury rosną na widnokrągu jak kopiec pogrzebowy; puste kości i ręce bez nerwów utonęły w czarnych wodach, uderzających w brzeg spalonego sadu. Reszta umknęła i widzę teraz prawdziwą postać świata, świata budzącego się i wznoszącego ze zgliszcz, świata, który szepcze na wietrze do moich uszu: właśnie to cię czeka, to i nic więcej, kłamstwo zostało obnażone, budzisz się i nadszedł czas, chodź do mnie, chodź.

W widmowym poblasku lśnią tylko Jego oczy, do nich się też zwracam, w jego białe, zimne i wyciągnięte ręce wkładam swoje dłonie, to do Niego przyszłam; nie płaczę, o nie, nigdy więcej, nie śmieję się, jestem nieruchoma, twarda i zimna jak ziemia pod moimi nogami, szara ziemia, która karmi korzenie, konary i drżące liście drzewa...

Potem przeszywa mnie ból, moje usta i uszy wypala fala ognia, aż z trudem unoszę się z łóżka, gdy drzewo, niebo i ziemia przechylają się i drżą niczym obrazy w czarnej wodzie. Duszę się, sięgam po kapsułkę, którą nadgryzła Emma Harrow: staram się złapać oddech pośród wyziewów, zdzierających mi skórę z dziąseł. Otwieram usta, chcę krzyknąć, lecz w gardle i piersi szaleją płomienie, oczy wylewają się z twarzy i zabarwiają niebo na karminowo.

Wtedy padam. Przewody odrywają się od czaszki.

Leżąca obok na podłodze doktor Harrow wymachuje rękami, wpatruje się obłąkanym wzrokiem w sufit, przez zdrętwiałe usta wymiotuje krwią z pogryzionego języka. Uderza mnie wydzielany przez nią zapach gorzkiego migdału; nagle zamiera w bezruchu. Szybko przyklękam i przechylam jej głowę, tak że odgryziona połowa kapsułki wypada na podłogę. Czekam chwilę, potem nachylam się i przywieram ustami do jej złamanej szczęki; język sięga ostrożnie po krew, która utworzyła kałużę na jej policzku.

Chłopiec siedzący na drzewie śmieje się. Ugięta gałąź drży i powoli unosi się z ziemi. Kołysze się na niej jeszcze jeden chłopiec, kosmyki jego złotych włosów owinięte są wokół skórzanego paska. Patrzę, jak unosi głowę i uśmiecha się, podczas gdy świat umyka, pozostawiając za sobą czarno-czerwoną smugę.

Obłok kadzidła. Siedem gwiazd na tle świetlika nad drzwiami. Chłopiec z małym buldogiem; a ona nie żyje.

Nie mogę teraz wyjść z pokoju. Na ekranie przy mnie pląsają barwne światła, które w czasie moich snów wybuchająaskrawo. Nie jestem sama, nigdy...

Widzę go czekającego w kącie. Jego zielone oczy przemykają pomiędzy gałęziami i

kratami w oknie, wreszcie zmienia się natężenie światła słonecznego i znowu Go nie ma, znika wśród cętkowanych i szemrzających liści.

CZEŚĆ DRUGA

OPOWIEŚCI DLA CHŁOPCÓW

1. Pierwotna strefa Bohemii

- Rafael...

Znowu rozległo się westchnienie. Na moment zamarłem z głową odrzuconą w tył i zimnym potem na ramionach, próbowałem przypomnieć sobie, kto tak jęczy pode mną. Po chwili poczułem podmuch wiatru od strony ukrytej płyty, uchylonej, żeby Patroni mogli, jeśli zechcą, sobie popatrzeć; chłodne powietrze przywiało zapach ziemi i spalonych liści. Botaniczka, Irys Bergenia, znajoma mojego Patrona Rolanda Nopcsy, jest kobietą zupełnie przeciętną. Najbardziej zapada w pamięć dojrzały odór gliny, bijący od wpijających się we mnie szorstkich palców. Wymamrotałem jakieś idiotyczne spieszczenie i spowolniłem ruchy w nadziei, że przyspieszę w ten sposób jej szczytowanie i zdążę do Domu na ostatnią modlitwę. Potem zmieniłem zdanie, przebiegłem jej ręką po czaszce (jak wszyscy Kuratorzy, miała krótko obcięte i niezbyt czyste włosy), a gdy usłyszałem jej pospieszny i płytki oddech, pociągnąłem ją za włosy i wyszeptalem jej imię. Westchnęła i krzyknęła. Wyszedłem z niej i padłem obok na łóżko. Jęknąłem niby z rozkoszy, mając nadzieję, że nikt w Tajemnym Adytonie nie widzi, jak grymas niesmaku ustępuje miejsca szerokiemu uśmiechowi, podczas gdy ona cały czas popiskuje i wzdycha.

- Ach, Rafaelu - zamruczała w chwilę później, gładząc długie, złote włosy, które opadały mi na plecy. Ziewnąłem i przeciągnąłem się, uśmiechając się szeroko, odwróciłem do niej tyłem i zacząłem nakładać tunikę.

- Było cudownie - oświadczyłem. Na podłodze znalazłem swoją wstążkę, którą beztrasko splotłem włosy w warkocz, koniec obwiązując błyszczącym kawałkiem brokatu. Wstałem. Gestem Pafianów przytknąłem trzy palce do ust i zapatrzyłem się w swoje odbicie w starożytnym zwierciadle, zawieszonym u sufitu seraju. Szczupły, zwieńczony złotem cień stał nad masywną postacią Irys Bergonii, która naciągała ciężkie, robocze buciory. Powtórzyłem swoje słowa i popatrzyłem na nią, lecz ona włożywszy toporne, brązowe spodnie i bluzę roboczą, skryła już wszelkie ślady pożądania, które kazało jej starać się o mnie od momentu naszego spotkania tydzień wcześniej na Maskaradzie Sotycznej Iliryjczyków. Skrzywiłem się. Mało który z Patronów miał nam później cokolwiek do powiedzenia.

Jeszcze mniejsza grupa wykazywała chęć, by na nas patrzeć i przypominać sobie o brzydocie swego ciała i duszy, zapomnianej na chwilę w objęciach paty lub mopsy.

- Przyniosłaś nalewkę na opium? - zapytałem, wstrząsając warkoczem i zapalając kolejne świece.

- No... nie... to znaczy... - jąkała się Irys, z łoskotem uderzając nogą w podłogę. Spojrzała na mnie stropiona. - Miramar wspominał, że ma zostać dostarczona później.

- Aha - bąknąłem, wkładając w to całe swoje szyderstwo i niedowierzanie. W żółtym świetle rozpalających się stoczków spotkała mnie nagroda w postaci rumieńca na jej twarzy. Na samą myśl, że ich powiązania z nami to coś więcej niż czysty handel, nawet najbardziej oddana Patronka Wzgórza, Płomienna Magdalena, wpadała w popłoch. Wiedziałem, że Miramar wścieknie się na wieść o tym, że moja bezczelność zakłopotła Irys Bergenię. Zdawałem sobie również sprawę, że żadna kara nie spotka Rafaela Miramara, ulubieńca Domu Miramar i pieszczoszka Rolanda Nopcsy. - No, skoro Gower Miramar się tego spodziewa...

Przeciągnąłem się, zastanawiając, czy wymiana za moje usługi może dać nam jeszcze trochę kosmetycznej marzanny, którą Botanicy dali nam podczas ostatniej Maski.

- Czy mogę odprowadzić cię do twoich przyjaciół, Irys?

- Nie. - Zbierała w pośpiechu pelerynę i sakwę, zmatowiały karabin obrotowy, który - jak wiedziałem - nie był naładowany, ale Botanicy zawsze je nosili, gdy odwiedzali nasze Domy. - Chyba pamiętam, jak się stąd wychodzi...

Odprowadziłem ją do drzwi izby, obejmując. Bawiło mnie zmieszanie. Kiedy zamknąłem oczy i westchnąłem jej do ucha, poczułem, jak się wzdryga i odsuwa ode mnie. W wymuszonym uśmiechu pokazała zęby. Tak jak wielu Botaników, miała równy rząd białych zębów: Miramar twierdził, że to dzięki żuciu gałązek brzozy. Przez chwilę w jej oczach pojawiła się iskierka ciepła.

- Roland nie mylił się co do ciebie - oznajmiła. Obdarzyła mnie przelotnym uśmiechem. Skłoniłem głowę w udawanym geście skromności.

- Powtórzę Miramarowi, że obiecałaś szybkie dostarczenie nalewki.

Uśmiech zgasł najej ustach. Wzruszyła ramionami i czmychnęła.

- Phi - powiedziałem na głos. - Stara dziwka. Zebrałem z łóżka pierścienie i aluminiową bransoletkę, którą Roland podarował mi w zeszłym roku po wyborze na kacyka podczas Maski Nocy Zimowej. Była to urocza błyskotka, pochodząca z Sali Urzędniczej Muzeum, gdzie mieszkał Roland i gdzie ja sam miałem wkrótce - wkrótce! - zamieszkać. Kilka minut siedziałem przed zwierciadłem, czesząc i splatając włosy w warkocz. Tym razem

związałem go długą wstęgą barwy indygo, sztywno, by ukazały się tytanowe spinki do uszu, kolejna oznaka szczodrości Rolanda, starożytne ozdoby, które wygrzebał z ruin pod Obeliskiem. Puściłem warkocz i dotknąłem szorstkiego policzka. Patroni woleli raczej najmłodsze dzieci. Tych z nas, którzy mieli już co golić, zachęcano do robienia tego rano i wieczorem. Roland zdradził mi jednak, że Irys będzie woleć mnie nie ogolonego, zatem tego wieczoru zaniechałem zabiegu. Mimo to oblicze, które jaśniało wśród cieni na popstrzonej powierzchni zwierciadła, nie ustępowało pięknnością malowanym wizerunkom w Sali Zmarłych Królów. Rafael Miramar, najświętsze spośród Dzieci Magdaleny, ukochany Pafianów i Kuratora Rolanda Nopcsy.

Dzisiaj oznajmię Miramarowi, że odchodzę.

Uśmiechnąłem się do lustra, znowu wykonując gest pozdrowienia Pafianów. Kiedy zbierałem się do odejścia, przez pokój przemknął rozchichotany cień.

- Fancy! - zawołałem ze śmiechem, obracając się na pięcie i próbując ją złapać. Blask świec na kostkach jej ramion, obojczyka, kolan, przemieniał białą tunikę w złocisty całun. Pisnęła, gdy ją pochwyciłem, i padliśmy na gruby dywan. Przygwoździłem ją na chwilę do ziemi, czując te ostre, chude żebra, które mógłbym skruszyć niczym strączek fasoli. Po chwili wyslizgnęła się z moich objęć i wpełzła pod łóżko.

- Miramar czeka! - oznajmiła, skierowując w moją twarz tuman kurzu. - Puszczaj! - Wyrzała z mroku pod łóżkiem: ogromne oczy w trójkątnej twarzy; złote włosy urosły zaledwie na tyle, by można je było zapleść w dwa ciasne warkocze, obok których sterczały żałośnie uszy, bezbronne, wystawione na jesienne przeciągi, hulające po naszym Domu.

- To wychodź. - Przykucnąłem.

- Nie złapiesz mnie.

- Złapię, jak tam wejdziesz.

- Nie możesz, jesteś za duży... - Zaśmiała się, schwyciła jedną z ciężkich, rzeźbionych nóg łóżka i za nią przepęzła.

- Tu cię mam. - Odrywałem jej palce od nogi mebla.

Wypadła z wrzaskiem spod łóżka. Nie zdążyła uciec do Tajemnego Adytonu. Przyciągnąłem ją do siebie i ucałowałem w policzek, chłonąc jej delikatny, słodki i mleczny aromat dzieciństwa.

- Jak długo się tam chowałaś, zmijko?

- Krótko. Godzinę... - Zarumieniona wzruszyła ramionami i obciągnęła sukienkę.

- Godzinę! - Udałem, że chcę ją pociągnąć za warkocze, gdy wtem z dołu dobiegły chrapliwe tony sistrum, które zapowiadały ostatnią modlitwę; doktor Foster zaintonował

pierwszy wers *Magdaleny*.

- Chodź już - powtórzyła i pobiegliśmy na dół.

W chwili naszego przybycia do świątyni zastaliśmy tam tylko leżących plackiem Miramara i doktora Foster. Wszystkie starsze dzieci i patycy udali się na Maskę Ugody w Świątym Alabanie. Jako że nadszedł Dzień Trzeci, kiedy to doktor Foster miał nadzorować obrzędy oczyszczające Miramara, wiedziałem, że pozostając tam, będę miał okazję oznajmić mu swoją decyzję przeniesienia się do Rolanda w Muzeum. Oczekałem, aż stojąca na palcach Fancy dotrze do misy z piżmem i olejkiem różanym, starając się nie wyśmiewać z jej powagi, gdy się namaszczała. Moje namaszczenie było mało staranne, zresztą zostałem natychmiast ukarany za swoje niechlujstwo, gdyż olejek zalał mi ornat. Miramar, nie zwracając uwagi na mnie i na Fancy, odśpiewywał długie strofy *Obowiązków względem rozkoszy*. Doktor Foster pociągał nosem i zaczął przewracać oczami, gdy zająłem miejsce obok niego: duszący zapach róż mieszał się z wonią płonących na ołtarzu konopi.

Po kilku zaledwie minutach doszedł mnie spowolniony oddech śpiącej już smacznie Fancy. Jak Miramar i doktor Foster potrafili nie zasnąć podczas obrzędów, i to po wielu godzinach zajmowania się sprawami Magdaleny, i pomimo licznych samowarów uspokajającej herbaty, które wychylali pomiędzy Wizytami Kuratorów i innych Pafian? Ziewnąłem i jak zwykle skupiłem uwagę na starożytnym posągu Magdaleny. Spowite w kłęby dymu, dochodzące z poczerńiałego koksownika, blade kontury Jej oblicza wskutek powtarzanych od wieków dotknięć tysięcy rąk zostały zrównane z pozbawionymi oczu płaszczyznami. Żeby nie zasnąć, liczyłem gwiazdy na jej błękitnej szacie i zastanawiałem się, ile stuleci upłynęło od czasu jej wyrzeźbienia. Być może wiele setek. Miramar i doktor Foster utrzymywali, że nasza Magdalena była najstarsza na Wzgórzu Płomiennej Magdaleny. Przeniesiono ją tu ze zrujnowanej Świątyni w północno-wschodniej części Miasta w pierwszych latach Drugiej Ascenzji.

Jeszcze wtedy deszcze róż nie spustoszyły tamtego obszaru, szakaludzie, hydropiteki i inni niewolnicy genetyczni nie przepędzili Kuratorów i pierwszych Pafian z ich siedzib do Muzeów i Ambasad, które teraz zajmowaliśmy. Dom Świątego Alabana toczył z nami spory o starszeństwo swojej Magdaleny, która przybyła z Katedry, znajdującej się wciąż na północnym zachodzie, na Wzgórzu Świątego Alabana. Ale Katedra była złowrogim miejscem. Nawet ziemia była tam trująca, zanieczyszczona deszczami róż. W ruinach przemieszkiwali obecnie tylko łazarze, choć doktor Foster mówił, że jeszcze przed Pierwszą Ascenzją duże oddziały janczarów strzegły tam arsenału broni.

- Tylko jakiś Świąty Alaban może rościć pretensje do obrazu rodem z Otchłannej

Katedry - powtarzał ze wzgardą Miramar. - Skoro są tak dumni ze swojego rodowodu, to czemu nie wrócą do ziemi przodków?

Słowa te rozdrażniały wszystkich obecnych Alabanów, lecz my wybuchaliśmy wtedy śmiechem.

Z naszego Domu, położonego na niewielkim grzbiecie górskim nad Jarem Rzeki, rozciągał się widok na dwa pozostałe Domy - Świętego Alabana i Persję. Ku południowi opadało łagodne zbocze, Wzgórze Płomiennej Magdaleny, rzucające cień na ozdobne fortece Ilirii i zwieńczone minaretami i błyszczącymi światłami Wysokiej Brazylii. W dzieciństwie często skupialiśmy się u zbijanych na ciosy okien żłobka i patrzyliśmy, jak Miramar i inne dzieci przemierzają Most Bizona w drodze na Maski, które odbywały się w oświetlonych gazowymi lampami salach, lub zaczynają dłuższe pielgrzymki na skraj Wąskiego Lasu, gdzie mieszkali Kuratorzy. Gdy już wyrosłem na tyle, żeby wyprawiać się z Patronami na zewnątrz, dowiedziałem się (niestety!), że Dom Miramar ustępował zamożnością Domowi Wysokiej Brazylii (który miał niemal monopol na goszczenie Botaników, dostarczających tam opium i atropę belladonnę); że samego naszego doktora Fostera odsprzedali Domowi Miramar za fiolkę nalewki opiumowej i belę wodoszczelnego jedwabiu (czemu przypisywaliśmy jego upodobanie do laudanum i kosztownych tkanin) hydropitecy, którzy pożarli jego rodziców; że odwiedzający od czasu do czasu naszych Patronów Ascendenci muszą być bezwarunkowo zabawiani; że w zamian za chimeryczną lubieżność możemy domagać się od Kuratorów orchidei, materiałów i kosmetyków, ale nie nauki.

Jednak żaden Uiryjczyk czy Kurator nie byłby w stanie obsypać nas tyloma dowodami sympatii i luksusami co Miramar. Na ścianach żłobka mozaiki ze złota i indygo ciągle skrzyły się, chociaż w ich geometrycznych wzorach można było znaleźć wiele nieścisłości. Kuratorzy w Muzeum Techniki albo projektowali i tkali nasze ubrania, albo zdobywali je od kupców Ascendentów. Patronów zabawialiśmy w serajach oświetlonych dziesiątkami elektrycznych świec, spaliśmy na łózkach sprowadzonych przed wiekami z krajów bałkańskich. Z mojego balkonu rozciągał się widok na rzekę, radiofon miałem podłączony do prądnicy Domu. Późno w nocy, długo po wizycie ostatniego Patrona, leżałem i słuchałem walców, nadawanych z Muzeum Techniki, medytując nad kruchymi stronicami tomów, ofiarowanych mi przez Rolanda Noppsy podczas zeszłej Nocy Zimowej. Były to książki o takich tytułach jak: *Starożytne dzieje Ziemi*, *Współczesne zmiany na Ziemi: jej mieszkańcy jako odpowiedniki przekształceń geologicznych*, czy *Zarys historii wielkiej grupy wymarłych gadów*. W jedną bezwietrzną, późnojesienną noc wyłapałem sygnał radiowy Ascendentów, nadawany z terytorium Zjednoczonych Prowincji. Wiele godzin słuchałem starej, bardzo starej opowieści

o człowieku odkupionym przez duchy, aż wreszcie sygnał, sam podobny do ducha, rozpląnął się wraz z nastaniem świtu.

Teraz jednak nie miałem żadnej nadziei na radiofoniczne rozrywki: pozostała mi tylko pozbawiona rysów twarz Magdaleny, jej złączone gipsowe ręce, trzymające paciorki, którymi odliczała Dziesięciolecia. Pięć grup paciorków; pięć Domów. Doktor Foster odpowiadał monotonnym szeptem na wezwania Miramara do Świętego Nefrytu, sekretne imiona Pożądania. Oddech Fancy jeszcze bardziej przycichł, zadymione powietrze nasyciły ciepłe sny.

Chyba sam przysnąłem. Miałem wrażenie, że postać Magdaleny przycisnęła swoją szatę do ud. Na moich oczach wiła się z bólu, co sprawiało, że widok jej bezokiej twarzy był nie do zniesienia. Szata falowała, aż wreszcie się rozdarła. Wtedy zobaczyłem, że u jej stóp przykucnął chłopiec o blond kędziorach i zielonych jak trawa oczach, piękny jak dzieci Pafian. Przypominał lustrzane odbicie innych wizerunków Magdaleny, dorównywał jej urodą, lecz jego usta układały się w okrutny uśmiech kota, w oczach zaś pojawiła się przebiegłość. W rękę trzymał podarty brzeg szaty Magdaleny, z której ran na rękach i nogach sączyła się krew. Błyszczące gwiazdy na Jej szacie zmieniły się w krwawe łyzy.

Zauważyłem, że chłopiec również jest ranny. Z szyi zwisał mu kawałek sznura albo winorośli, od którego miał na karku czerwoną bliznę. Nie sprawiał jednak wrażenia cierpiącego, raczej uśmiechał się na widok zbolącej Magdaleny, która wyciągała do niego pomocne, a może przebaczące dłonie. Wtedy domyśliłem się, że to on zadał Jej rany. Zerwałem się wściekły, chcąc go uderzyć.

Walnąłem głową w krawędź ołtarza. Upadłem, stękając. Nade mną pochyliły się zatroskane twarze Miramara, doktora Fostera i Fancy.

2. Zbieżność oddzielnych i niezależnych prawdopodobieństw

- Nie ruszaj się i łyknij walerianę - polecił doktor Foster. - Benedick, podaj to Rafaelowi.

- Dzięki, kuzynie - powiedziałem, biorąc z rąk Małego Benedicka parujący kubek. Oczekałem, aż powrócił do doktora Fostera, skrzywiłem się i wypłem to świństwo.

Ku mojemu przerażeniu, umieszczono mnie w lazarecie doktora Fostera. Tak naprawdę był to przedsionek jego kwatery, nazwany lazaretem chyba tylko dzięki wypaczonej, drewnianej półce, uginającej się pod ciężarem bardzo starych, szklanych flasz. Można było w nich dostrzec pływające w mętym spirytusie homunkulusy, zaciśnięte, pierzaste liście osobliwych roślin i zakonserwowaną kończynę mięsożernej betulamii. Na

szczęście nigdy nie zdarzyło mi się być świadkiem, jak używał tych substancji w trakcie leczenia, zresztą leczył nas jedynie nalewką z opium i herbatką z szamomili (na bóle lub nadmierne pobudzenie) albo maczanką na winie i wywarem walerianowym (na wszelkie inne dolegliwości).

- Nic mi nie jest. - Spojrzałem z gniewem na Małego Thomasa i Benedicka, i inne maleńkie dzieci, które siedziały u stóp doktora Fostera w drugim końcu sali i chichotały na mój widok. Na czole czułem siniaki od uderzeń w ołtarz, pojawiło się też znajome, tępe pulsowanie, które następowało zawsze po modlitwie, a spowodowane było wdychaniem dymu konopi. Doktor Foster pokiwał głową, gładząc żółte, zakręcone kosmyki włosów Fancy.

- Niech ci będzie, ale mimo wszystko wypij napar i postaraj się trochę odpocząć. Zdaje się, że nie wybierałeś się na Maskę Ugody, nie ma więc powodów do pośpiechu. - Uśmiechnął się i odrzucił w tył włosy (siwiejące na skroniach i rzednące na czubku głowy, pomimo regularnego stosowania wody bzowej i miodu). Zmienił pozycję, tak by jeszcze więcej dzieci mogło oprzeć się o jego nogi, i odchrząknął. Doktor Foster lubił mówić, zwłaszcza gdy miał słuchaczy. Z racji podeszłego wieku nie mógł być zatrudniony u Patronów, lecz z drugiej strony nieprzeciętna inteligencja uchroniła go od losu, jaki przeważnie spotykał starszych, którzy byli niemalże niewolnikami swych młodszych kuzynów. Dzięki darowi gawędziarstwa i (raczej zmyślonym) umiejętnościom leczniczym zdobył sobie odpowiednią pozycję w Domu Miramar. Nie był to żaden wielki zaszczyt, lecz wciąż cieszył się sympatią Miramara i innych mieszkańców Domu. Nam, starszym patykom, znudziły się już jego historie - opowieści dla chłopców i opowieści dla dziewcząt, jak je nazywał - woleliśmy prawdziwe intrygi nie kończącej się karuzeli maskarad i skomplikowanych związków, które im towarzyszyły. A jednak leżenie na chwiejącej się wersalce pod puszystym szalem z kociego futra i wdychanie słodkich wyziewów z jego nargila, gdy powtarzał starożytne opowieści o Mieście Drzew i tragicznych romansach, za którymi przepadali Pafianie, były dla nas nie lada przyjemnością.

- ...tak też schwytali go szakaludzie, a Lilith Saint Alaban oddała im się w zamian za jego życie; lecz szakaludzie i tak go zabili, a potem ją; a ich syn, Mały Hilliard, zginął w deszczu róż. - Doktor Foster westchnął.

Wzdrygnąłem się ze świadomością, że pewnie znowu zapadłem w sen.

Ale to nieistotne. Wszystkie jego opowieści kończyły się tragicznie: piękni, młodzi Pafianie i Pafianki byli porywani przez niewolników genetycznych bądź pożerani przez łazarzy albo też popadali w niewolę u Ascendentów i Kuratorów. W porównaniu z tym nasze

życie okazywało się nie najgorsze; z czasem przekonywaliśmy się, że te opowieści przeważnie przedstawiały prawdę o życiu.

- A teraz historia dla chłopców - domagał się Mały Thomas, szczypiąc Fancy i potrząsając kędziorami.

Doktor Foster zaciągnął się z nargila i zapatrzył w mozaikowy sufit, jakby odczytywał z niego jakąś osobliwą opowieść.

- Jaka? - odezwał się w końcu.

- Moja! - zawołał Mały Thomas.

- Historia Rafaela! - krzyknęła Fancy, kopiąc chłopca i obejmując doktora Fostera. - Proszę, doktorze!

Podciągnąłem szal pod brodę i owinąłem warkocz wokół szyi. Doktor Foster wypuścił dym i rozpoczął:

- Pamiętam dzień, kiedy Rafael zjawił się u nas. Szesnaście lat temu; w ten dzień Tranem Wysoka Brazylia wykonał przed Kuratorami swój natchniony taniec Akolazjański i w wyniku ich przesadnego zachwytu zginął; warto było zobaczyć coś takiego. - Westchnął na to wspomnienie. - Matka Rafaela była piękną dziewczyną, właściwie jeszcze dzieckiem, w twoim wieku. - Tu przechylił głowę w moją stronę. - Miramar chciał ją przyjąć, taka była piękna; odradzałem mu to, przekonując, że zbyt długo przebywała pośród łazarzy. Ale zdawało nam się, że jest Pafianką ze Świętego Alabana, ze względu na oczy. Miała zielone, jak wielu z nich. Urodziła dwoje dzieci, bliźnięta...

- Bliźniaki! - wykrzyknął Thomas. Był bardzo mały i słyszał o tym pierwszy raz w życiu.

- Bliźnięta - powtórzył z namaszczeniem doktor Foster. - Rafaela i jego siostrę. Kupiliśmy ich oboje - wiecie, jaką rzadkością są bliźnięta, a te były na dodatek nadzwyczajnej piękności.

- Alabanowie uważają, że bliźniaki są święte - dorzucił Thomas. Miał na myśli Maskaradę Baala i Anat, która odbywała się co Czasień u Świętego Alabana.

- No tak - parsknął doktor Foster. Odwrócił się w moją stronę i uśmiechnął. Spuściłem wzrok i udałem, że wyciągam nitkę z ornatu, podczas gdy spojrzenia wszystkich dzieci zwróciły się ku mnie.

- I umarła? - nie ustawała Fancy.

- Matka? Ależ naturalnie. Wygląda na to, że szakaludzie szli za nią aż do naszych drzwi i myśleli, że jakimś sposobem uda im się zdobyć wszystkich troje. Zdaniem Miramara okazałem się bez serca, chcąc wyrzucić ją z powrotem, ale... - Wzruszył ramionami. -

Uważałem, że z niemowlętami możemy zaryzykować, wszystko wskazywało na to, że nie są zarażone. Z początku sprawy układały się jak najlepiej. Po kilku miesiącach chłopiec - końcem nargila wskazał na mnie - to znaczy Rafael zaczął mówić. Dziewczynka nigdy jednak nie zdobyła tej umiejętności. ■- Urwał, jedną ręką poklepał Thomasa. - Waliła głową w ścianę. Patroni byli przerażeni. Robiłem wszystko, co w mojej mocy.

Zrobił gest w kierunku półki z medykamentami. W duchu podziękowałem Magdalenie, że doktor nigdy nie musiał robić czegokolwiek dla mnie. Potrząsnął głową.

- Nie chciała słuchać. W końcu sprzedaliśmy ją Ascendentom. Po tych słowach Benedick sapnął ze złością. Ostatnimi czasy wielu Patronów skarżyło się na agresję, jaką okazywał w dziecięcym seraju.

- Ale z chłopcem było wszystko w porządku - podjął doktor, na pocieszenie ciągnąc Benedicka za warkocz. - Po połogu przyciągał najwięcej Patronów: prawdziwy syn Magdaleny!

Nagle urwał i wbił wzrok w swoją fajkę, ciągle trzymając warkocz Benedicka. Gdy dzieci zorientowały się, że to koniec, zaczęły ziewać i wiercić się. Ja urządziłem sobie zabawę, robiąc okrutne miny do Benedicka, aż zaczęło mu się zbierać na płacz.

Z izby wahadłowej kilka kondygnacji nad nami usłyszeliśmy niewyraźne uderzenia w gong: dzieci powinny już dawno temu leżeć w łózkach. Miramar zniecka wystawił głowę zza drzwi niczym Monsieur Czerw w pewnej sztuce teatralnej.

- Doktorze Foster! - upomniał, klaszcząc w dłonie, aż długie mankiety lazuruwej szaty ze świstem się o siebie otarły. - Niegrzeczny doktor Foster! Chodźcie, dzieciaki! Fancy, jesteś już przecież duża i mądra! Benedick, jutro po śniadaniu przyjdzie do ciebie Magnus Gronostaj...

Dzieciaki rozbiegły się z trelami i świegotaniem niczym wystraszone wróble, mówiąc dobranoc doktorowi Fosterowi, Miramarowi i mnie. Na korytarzach czekali już na nich starsi, którzy wzięli je na ręce i ponieśli do sypialni na górze. Doktor Foster odruchowo się z nimi pożegnał i zapadł w drzemkę. Miramar stał z uśmiechem w progu.

- Czy twoja głowa ma się już dobrze, kuzynie? - zapytał mnie.

- Tak, wuju - odparłem, tracąc nagle poprzedni spokój. Niemal już zapomniałem, dlaczego postanowiłem spędzić ten wieczór w domu. Gdy sobie przypomniałem, spytałem łamiącym się głosem: - Czy mogę z tobą porozmawiać?

Skinął głową i ruchem ręki dał mi znak, że mam udać się z nim do jego kwatery.

Na niskim, mosiężnym stole stała parująca karafka i dwa kubki. Zaniepokoiłem się, czy jakimś cudem nie przewidział mojego przybycia. Miramar przykląkł i zaczął nalewać

nam herbaty, do każdego kubka dodając trochę pokruszonych liści mięty i nierafinowanego cukru.

- Za twoją przyszłość - powiedział, uniósł kubek i błyskawicznie wychylił jego zawartość.

Kolana się pode mną ugięły: wiedział. Opadłem na poduszkę.

- Dziś wieczorem Irys Bergenia powiedziała mi, że Roland Nopcsa zaproponował ci dzielenie z nim łoża w Muzeum Historii Naturalnej.

Zagryzłem wargi, żeby z ust nie wyrwało się przekleństwo, i w duchu poprzysiągłem sobie, że przy najbliższej okazji publicznie upokorzę Irys. Zachowałem jednak spokój.

- Miałem powiedzieć ci o tym dzisiaj...

Słuchał z wystudiowaną obojętnością, wpijając wzrok w fusy po herbacie na dnie pustej karafki. Uniósł ją, wysypał liście na spodek, zmrzył oczy i zaczął wróżyć.

- Co z nich wyczytujesz?

- Jak zwykle: miłość z romantycznym nieznajomym - uśmiechnął się. Pstryknięciem żłobkowanego paznokcia przemienił fusy w wilgotną kupkę. Nasze spojrzenia spotkały się.

- Pójdę do niego, wuju.

Planowałem oznajmić mu to w inny sposób; ale cóż, stało się. Wbiłem wzrok w stopy.

- Hm. - Nie okazał zdziwienia, lecz usta mu drżały, jakby za chwilę miał się rozplakać. Westchnął. - Wiesz, że mógłbym ci nie zezwolić. - Po jego pełnej smutku minie poznałem jednak, że mi nie odmówi. Jak zawsze.

- Liczyłem, że zostaniesz z nami... - ciągnął, wycierając palce płócienną serwetą.

- Możliwe, że wrócę - odparłem i z miejsca zawstydzilem się swoich słów. Dowodziły bowiem, że się boję, że dręczą mnie wątpliwości; a przecież chciałem odejść bez wahania. Zawadziłem o stół i strąciłem kubek, który Miramar podniósł z westchnieniem.

- Mam nadzieję. Bo jesteś... - Uniósł wzrok na polerowany, miedziany sufit, gdzie nasze odbicia pływały zanurzone w roztopionym morzu. - Najpiękniejszy z nas wszystkich. Chcieliśmy... ja chciałem, żeby twoje córki urodziły się tutaj, bo też nigdy nie mieliśmy tak pięknego dziecka.

Odwrociłem się. W jego oczach rozbłysły łzy i wiedziałem, że również się rozplacę i zmienię zdanie, gdy tylko zobaczę jego płacz.

- Dziękuję, wuju.

- Pozwalając ci odejść, oddaję ci iście niedźwiedzią przysługę. Wpatrywałem się w arabski dywan, lecz zdradzał mnie żal w głosie.

- Uważasz to za nierozsądne z mojej strony - stwierdziłem.

- Jesteś rozpieszczony, nie znasz życia - tak jak my wszyscy - odparł łagodnie.

- Zwłaszcza Rafael.

- Zgadza się. - Poglądził mnie po nodze. - Ale zdajesz chyba sobie sprawę, dlaczego tak jest.

- Bo wart jestem więcej niż cała reszta.

- Bo jesteś piękniejszy od wszystkich innych; ponieważ cię kochamy. A tam nie spotkasz się z miłością.

- Kuratorzy... - zacząłem. Straciłem jego dłoń z nogi.

- Dla Kuratorów jesteśmy bandą kurew i głupców! Czy sądzisz, że Rolanda pociąga twoja wiedza?

- A sądzisz, że mnie on pociąga?

- Posłuchaj! - jęknął zdesperowany Miramar. - Jeśli chcesz, możesz побыć trochę z Rolandem, wykorzystać jego książki, a później wrócić i uczyć tu dzieci...

- Uczyć kurwy i głupców - warknąłem, zbyt późno ugryzłszy się w język.

Twarz Miramara zamarła, złożył ręce na mosiężnym stole.

- Swoich kuzynów - powiedział cicho, lecz ja wiedziałem, że ten błysk w oku jest oznaką gniewu. - Czy ty myślisz, że jesteś pierwszą ładną zabawką, która idzie do nich po naukę?

Pochylił się, aż zadrżał stół. Puste kubki spadły na podłogę. Sprzątając, próbowałem wydukać jakąś odpowiedź, lecz zbyt mnie niecierpliwym machnięciem ręki.

- Wiesz, co przydarzyło się innym?

Chciałem coś powiedzieć, lecz przekrzyknął mnie, wymieniając po kolei imiona:

- Estevan Wysoka Brazylia: zgwałcony i oślepiony przez Bibliotekarzy; Lorelei Święty Alaban, uduszona po omdleniu, gdy zabawiła gości na przyjęciu urodzinowym Nelsona Dewarsa. Troje dzieci z Persji wziętych do kotylionu Senatora, uduszonych we śnie. Życie wśród Kuratorów nie zapewnia nam bezpieczeństwa, Rafaelu. Może kiedyś, zanim założyliśmy swoje Domy i dzięki wymianie zgromadziliśmy swoje dobra, było inaczej. Ale nie teraz; zwłaszcza nie teraz. - Urwał, przesuwał palcem po krawędzi szklanej karafki. - W zeszłym tygodniu zabawiałem w Wysokiej Brazylii pewnego janczara Ascendentów. Odbierał ładunek opium od Botaników...

- Mówiłeś... - przerwałem mu niecierpliwie.

- Cóż ja ci mówiłem! Whisky uderzyła mu do głowy i wtedy rozwiązał mu się język. Ascendencki dowódca ma objąć władzę w Mieście...

- Wolne żarty - uśmiechnąłem się.

Miramar nalał sobie jeszcze kubek herbaty. Sącząc ją, patrzył na mnie przez szparki oczu.

- Może jednak kłamał i wcale się tak nie stanie. Ale Kuratorzy są niespokojni. Jeżeli ta pogłoska okaże się prawdą, jeśli rzeczywiście posyłają do Miasta Rządcę, oznacza to zaprzestanie handlu w obrębie Miasta i zlikwidowanie czarnego rynku wymiany z Ascendentami. - Dopijał herbatę, ja czekałem na ciąg dalszy.

- No i?

- Ten janczar mówił, że mają zamiar ponownie przejąć Miasto. W takim razie dla nas nie będzie już tam miejsca.

Rozmyślałem nad jego słowami, wreszcie spytałem:

- A właściwie czemu miałby ci o tym opowiadać?

- A kim dla niego byłem? - Miramar wzruszył ramionami. - Bezmyślną kurtyzana, tak samo jak dla Kuratorów. Być może chciał mi pomóc, ostrzec, doradzić ucieczkę. Ale dokąd? Co zostałyby nam bez Miasta i bez Kuratorów?

- Czyli mamy tkwić tu bez końca i robić za ich kurwy i alfonsów?

- Jesteśmy kapłanami i kupcami! - Rozdrażniony Miramar tupnął nogą w podłogę.

- Oraz walutą obiegową!

Myślałem, że po tych słowach każe mi odejść, ale zakołysał się na piętach i po chwili roześmiał.

- Rafaelu, Rafaelu, jakbym słyszał samego siebie w twoim wieku.

- To czemu nie chcesz puścić mnie bez tych wszystkich ceregieli?

- Bo nigdy nikogo nie puściłem bez ostrzeżenia. Bo boję się o ciebie, o nas wszystkich. Znudzi się Rolandowi, to pewne. - Przerwał moje protesty, kładąc trzy palce na moich ustach i przesuwał nimi po zarysie warg. - Ponieważ cię kocham. Żywiłem kiedyś nadzieję, że zostaniesz suzerenem, zajmując moje miejsce. - Mówił cicho, lecz w głowie nie było czuć żadnego pochlebstwa. W jego spojrzeniu wyczytałem tylko uczucie i pożądanie.

Ująłem go za rękę i mocno ścisnąłem.

- Chcę odejść, wuju.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę tymi swoimi złotymi oczami, wzrokiem pustym i niezbadanym niczym w gładkim obliczu Magdaleny.

- Czasem zastanawiam się, czy przypadkiem twoja siostra nie odziedziczyła po przodkach całej mądrości. Przynajmniej tyle, żeby trzymać język za zębami.

W jego głosie słyhać było gorycz, lecz wiedziałem, że to już koniec. Westchnął i pochylił głowę, jakby się modlił. Gdy ją uniośł, uśmiechał się i z drwiącym ukłonem postawił

mnie na nogi.

- Jeżeli pozwolisz - zamruczał. Odciągnął ciężkie kotary w barwie indygo, które oddzielały sypialnię od reszty apartamentu.

- Pożegnaj się z ulubionym siostrzeńcem.

- Dziękuję, wuju. - Gdy po raz ostatni się obejmowaliśmy, w oczach czułem piekące łzy.

3. Na scenie pojawiają się nowe formy życia

- Nie spodoba ci się ten Świat na Zewnątrz - szeptała do mnie znacznie później Keturra. Wróciła już z Maski u Świętego Alabana i leżeliśmy w jej sypialni. - Gdy w zeszłym roku zamieszkałam z Florą Pyracanthą, bili mnie we śnie, dopóki nie wróciłam tutaj. - Oblizwała dolną wargę, jakby w ten sposób chciała poczuć smak tamtej krwi.

- Co za głupcy - ziewnąłem. - Nie wiedzieli, że nadajesz się do czego innego? - Poglądziłem ją po piersi, a ona usiadła i naciągnęła kołdrę na nagie ramiona.

- Niech cię szlag, Rafaelu, powinieneś słuchać rad mądrzejszych. Oni są zupełnie inni...

- Pod jakim względem? - Uniosłem swoją połowę kołdry i wsunąłem się pod nią.

Keturra parsknęła gniewem, złapała mnie za warkocz i tak przekreśliła, że zobaczyłem swoje odbicie w lustrze.

- A jak sądzisz?

- Może mają krótkie włosy? - Wzruszyłem ramionami.

- Nie wyglupiaj się. - Pociągnęła mnie mocno za włosy, co odwzajemniłem, kopiąc ją.

- Roland ma włosy. Wszędzie. - Roześmiałem się i skryłem twarz w poduszce.

- Jest jeszcze młody. Z wiekiem... - Zebrała swoje długie rude kędziory i odsunęła je z twarzy, tak że białe skronie i policzki zaśniły w blasku świecy. - Są łysi. Brzydcy, co do jednego. - Wzdrygnęła się. - Nawet się nie domyślałam, jak strasznie...

- To zamknij oczy i pomyśl o mnie. Ja właśnie tak robię. - Zamknąłem oczy i z szerokim uśmiechem wyciągnąłem rękę w jej stronę.

- Kretyn! - Odepchnęła mnie z zadziwiającą gwałtownością. - Przed odejściem powinieneś jeszcze nauczyć się bić, pedale...

Wtedy ją złapałem, ściągnąłem z niej kołdrę i ugryzłem w ramię, aż złagodniał jej kpiący głos, a niepewne ręce zaczęły rozplatać mój warkocz.

- Po co się bić, kiedy możemy zająć się czym innym? - wymamrotałem.

Westchnęła i odwróciła się.

- Po prostu nie wiesz, czego chcesz. Kuratorzy są zupełnie inni. Nie chcą, żebyśmy plątali się im pod nogami; wolą nas wykorzystać i zaraz zostawić. Flora się mną bawiła, później ją znudziłem, aż zaczęła nienawidzić mojej młodości i urody w końcu. Wszyscy mnie nie znosili. A przecież były to trybadki, Botaniczki. Inni Kuratorzy są gorsi...

Wodziłem palcem po krętych rowkach w skórze jej piersi, którą w końcu pocałowałem.

- Roland zawsze traktował mnie dobrze.

- Bo jesteś jeszcze młody. Bo jeszcze się tobą nie znudził. Flora też taka była, dopóki stąd nie odeszłam. - Potrząsnęła głową i spojrzała za okno. - Niedługo będę musiała zobaczyć się z Adolfem Drakiem - oznajmiła z pełnym smutku uśmiechem. - No cóż, jak dotąd życie nie nauczyło cię rozumu, więc ja też nie mogę tego zrobić. Ale... - Wstała i podeszła do szafy. - Mogę dać ci coś takiego.

Mebel zdobił sześciolodygowy wzór w kształcie kwiatu. Katura nacisnęła jedną z drewnianych łodyg i wysunęła się małeńka szufladka. Przez chwilę grzebała w jej zawartości, złamanych słomkach do kandykainy i piórach antykoncepcyjnych, kilku starych wstążkach i pękniętej klawiaturze starożytnego komputera, wreszcie wyjęła niewielki przedmiot, zawinięty w papier.

- Weź to ode mnie.

Papier kruszył się, nagle ukazało się spod niego coś w rodzaju otwartej bransolety. Jej brudnoszarą, gładką powierzchnię w bladolawendowe paski, przecinała sieć krętych żyłek. Jak na ozdobę, zdawała się niezgrabna i prymitywna, stąd też obrzuciłem Keturę pytającym wzrokiem. Nie zareagowała, podczas gdy ja uważnie oglądałem bransoletę w nadziei, że odnajdę skryty w jej niezbyt atrakcyjnych splotach jakiś cenny klejnot. W końcu wzruszyłem ramionami i zacząłem ją zakładać.

- Nie tak. Pokażę ci. - Wzięła bransoletkę i ostrożnie wsunęła ją na nadgarstek. Podniosła głowę. - Teraz spróbuj mnie skrzywdzić.

- Jakbym słyszał Irys Bergenię! - Zaśmiałem się.

- Mówię poważnie: postaraj się zadać mi ból.

- Nigdy mnie o to nie prosiłaś, kuzynko. - Zacząłem się niespokojnie wiercić na łóżku.

- Teraz też nie chcę, ale muszę coś ci pokazać. Dawaj... - Odrzuciła grzywę ognistych włosów, po czym wskazała zawieszoną na szafie szpicrutę. - Możesz, na przykład, z niej skorzystać.

Wziąłem bicz - piękny bat z jasnej, zaplatanej skóry łani, подарowany jej pewnego roku przez Patronkę, Florę Pyracanthę - i z żalonym uśmiechem go uniosłem. Po uderzeniu

Ketura sapnęła: nie spodziewała się aż takiej siły. Upuściłem szpicrutę i chciałem ją pocieszyć.

- Nie! - Odepchnęła mnie i uniosła zaciśniętą dłoń. - Patrz...

Szara bransoletka lśniła bladym światłem, na którego tle lawendowe paski przybrały fioletową barwę. Na otwartym końcu szarej obręczy pojawił się otwór, który rozjarzał się na moich oczach, aż z jednego ze żłobków wysunął się czarny, błyszczący kolec. Kobaltowa kropla na jego końcu lśniła niczym perła. Gwałtownie chwyciłem ustami powietrze i wyciągnąłem rękę w tamtym kierunku.

- Nie ruszaj się. - Ketura odsunęła się, trzymając cały czas sztywno rękę przed sobą. Kolec powoli się cofnął. Obrzuciłem ją zdumionym wzrokiem.

- Co to, do diaska, jest?

Ketura patrzyła na mnie zmrużonymi oczami, potem ostrożnie zdjęła bransoletkę i podała mi ją.

- Powinieneś mi teraz gorąco podziękować.

- Przecież nawet nie wiem, co to takiego. - Przezornie trzymałem klejnot na dłoni, czekając, aż sama wsunie mi go na rękę. Stawał się coraz cieplejszy, jakby przystosowywał się do temperatury ciała. Niepewnie dotknąłem szarej powierzchni.

- To strzalec, sztucznie stworzony mięczak w czasach Drugiej Ascenzji. Bardzo jadowity i rzadki okaz.

- A to jego skorupa?

- Żyje w środku, zwinięty w kłębek jak ślimak.

- I jest jadowity?

- Tak. Gdybym cię zaatakowała, już byś nie żył.

- Kto ci go dał?

- Chłopiec, poznany na Masce Maków w Ogrodach Botanicznych.

- Botanik? - Uniosłem brwi.

- Nie. - Ketura potrząsnęła głową. - To nie był Botanik. Sama nie wiem. Piękny, lecz nie wywodził się z Pafian. Flora mówiła, że nigdy wcześniej nie widziała go na oczy; nie wiadomo, co tam robił i kto go zaprosił na Maskę.

- Nawet go nie zabawiałam, tylko porozmawiałam trochę w jednej cieplarni. Dał mi to... - tu wskazała szarego i zimnego strzalca na moim nadgarstku - ze słowami, że posłuży przez jakiś czas, a gdy mi się znudzi, mam dać go jakiemuś przyjacielowi. - Potrząsnęła głową. - Rzadki dar, no nie?

- Rzeczywiście. - Uniosłem rękę i wbiłem w nią wzrok. - A przede wszystkim brzydki.

- Wiem i przepraszam. - Keturą kiwnęła głową. - Przyszło mi jednak do głowy, że może ci się niedługo przydać.

- To broń. - Spojrzałem na nią chłodno. Skinęła głową. - Jak działa?

Oparła się o szafę i odgarnęła włosy z czoła.

- Żywi się martwą skórą nadgarstka. A reaguje na zmiany sygnalizujące lęk lub agresję. Wtedy wysuwa szpikulec...

- Wszystkiego sama się domyśliłaś? - spytałem z podziwem. Zarumieniła się.

- Nie. Chłopiec mi to powiedział. Wy tłumaczył, kiedy i jak mam tego używać.

Czekałem, co będzie dalej, lecz ona tylko podeszła do szafy. Pogrzebała w szufladzie, wreszcie wyjęła czarną lśniąca sukienkę, wykończoną kocim futrem, w którą się wsunęła; wygładziła futro, aż zaczęło lśnić. Obracałem strzalca na wszystkie strony, uważając tylko, by nie dotknąć jego otworu gębowego. Po dłuższej chwili Keturą powiedziała:

- Mógłbyś tu zostać i wzbogacić się. Nie ma sensu tam chodzić.

- Ty odeszłaś. - Skrzyżowałem ręce na piersi, uważając, by nie dotknąć strzalca.

- Chciałam uczyć się pod kierownictwem Botaników. Ale jestem starsza od was wszystkich. Za rok będę już pracować w kuchni, wynosić pomyje albo... - Potrząsnęła głową.

- Dlaczego ty masz odchodzić, jesteś taki młody? Miramar chciałby cię zatrzymać - stwierdziła z goryczą.

- I uczynić następnym suzerenem.

- Powinno ci to pochlebiać. - Z jej *chignon* wypadła kościana spinaka. Podniosłem ją i podałem Keturze. Przez chwilę dotykała mnie palcami i czułem ich opuszki, zrogowaciałe od wieloletniego używania pejcza na Patronach. Były to palce, z którymi nie wpuściliby jej do żadnego innego Domu. W końcu wzięła spinakę i odwróciła się. - Gdyby Miramar starał się mnie zatrzymać, z pewnością bym została. Ale nie zrobił nic. Jego zdaniem jestem już i tak za stara.

Patrzyłem, jak pokrywa sobie twarz kredą i zapuszcza do oczu po dwie krople oktyny.

- Rafaelu, ty po prostu nie masz pojęcia... Wstałem i wielkimi krokami podeszedłem do okna.

- A ty myślisz, że zjadłaś już wszystkie rozumy, bo jesteś taka stara.

- Nie o to chodzi! - Pod chińskim ołowiem na jej policzkach ukazały się rumieńce. - Tam czyha na nas niebezpieczeństwo. Nawet Botanicy chcą nas teraz skrzywdzić i upokorzyć. Dochodzą ich nowiny z zagranicy, pogłoski o kolejnej Ascenzji, żywią więc nadzieję, że skorzystają na tym. Obawiają się, że swoją wiedzą nie są już w stanie ogarnąć rzeczywistości, lecz zdają sobie sprawę, że jesteśmy ciągle piękni! Dlatego się nas boją i

nienawidzą. Uroda, młodość i rozkosz już nie wystarczają. Pragną cierpienia i śmierci, nie chcą już dzielić się z nami Miastem. Zauważyłeś coś takiego u swoich Patronów?

- Nie - potrząsnąłem głową. - Moi Patroni oczekują ode mnie czegoś innego niż cierpienie.

- Pewnie. Same najśłodsze kandyzowane owoce dla Rafaela Miramara. - Westchnęła, mówiła tonem twardym, lecz spojrzenie, którym mnie obrzuciła, było łagodne. - Po prostu boję się o ciebie i o nas wszystkich. Co będzie, jeżeli Kuratorzy nas zdradzą?

- Dlatego też przenoszę się do Rolanda. - Zacząłem się ubierać. - Chcę się uczyć, być może pewnego dnia wrócę tu i podzielę się swoją wiedzą.

Ketura zwróciła się w stronę lustra. Po kolei dotknęła trzema palcami dolnej wargi, potem obnażyła zęby w złośliwym uśmiechu.

- Ale oni nie chcą, żebyśmy się czegokolwiek nauczyli...

- Daj spokój. Znam ten stek kłamstw równie dobrze jak ty. - Schwyciłem ornat, jednocześnie obserwując się w lustrze. - Nie wiem, czy śmiać się, czy płakać z powodu tych nudnych opowieści dla chłopców i dziewcząt doktora Fostera! Robi to dlatego, żeby wybić nam z głowy myśl o opuszczeniu tego miejsca... - Luźno związałem włosy i podszedłem bez słowa do drzwi.

Na progu zawahałem się i spojrzałem na szarą opaskę na nadgarstku.

- Ketura...

Potrząsnęła głową i z uśmiechem odwróciła się od lustra w moją stronę.

- Przepraszam. Może masz rację i Roland Nopcsa jest naprawdę inny. - Pocałowała mnie, odsunęła się i musnęła moją wargę trzema palcami. - Uważaj na niego. - Skinęła głową w stronę strzalca, przystawiając dłoń do jego obręczy. - Chroni gospodarza, lecz jego jad jest zawsze śmiertelny. - Urwała, by po chwili dodać:

- Ale wiesz co...

Stała w drzwiach, nakładając na twarz czarną chustę.

- Co? - przynagliłam.

- Kiedy umierają, są prawie piękni. - Po tych słowach odeszła korytarzem na spotkanie z Patronem.

4. Przerwa w przekazie historycznym

- Nasi poprzednicy wierzyli w proces powolnej ewolucji. My wiemy, że nowe formy życia powstają nagle - można zaobserwować to w Wąskim Lesie oraz dzięki pracy Zoologów nad szakaludźmi i niewolnikami genetycznymi.

- W ten sposób? - spytałem, wskazując pisklę proteceratopa, wynurzające się z długiego skórzastego jaja.

Roland wypił duży łyk piwa i skinął głową.

- Dokładnie. Z tą różnicą, że my możemy wybierać postać naszych dziejów, w przypadku protoceratopów zaś byłoby to niemożliwe.

Nad nami szumiał cicho szkielet *quetzalcoatlusa northropi*, którego pustymi kośćmi poruszał strumień powietrza z otworów wentylacyjnych. Pochyliłem się i dmuchnąłem w niebieskoszarą bryłkę sprasowanych ziół, płonących na niewielkiej, mosiężnej tacy, którą podarowała mi na pożegnanie Fancy. Patrzyłem, jak kłęby dymu wiją się wokół wyprężonych szponów i nieprzyzwoicie wypiętej miednicy *Deinochieriusa*, który trzymał straż przy łóżku Rolanda. Jako Regent Historyków Naturalnych, Roland wybrał sobie kwatery w obrębie Muzeum: Izbę Archozaurów, gdzie co wieczór rozmawialiśmy, paliliśmy, piliśmy i kochaliśmy się. Miramar miał rację: Rolandowi wcale nie zależało na moim wykształceniu.

Od dawna marzyłem, by nauczyć się prawdziwych dziejów starego świata, poznać alfabet wyryty w warstwach wapiennych skał, dzięki któremu w nowym błocie i spękanych asfalcie za oknem mógłbym dostrzec żłobki i układy, kształtujące przyszłość. Byłem przekonany, iż Roland posiadał tę wiedzę, jako że był potomkiem tych, którzy stali się stróżami wiedzy Miasta po Pierwszej Ascenzji.

- A cóż niezwykłego dane było archozaurom? - zapytałem, nurkując w stertę wełnianych narzut, okrywających łóżko.

- Zwyczajne życie - odparł. - Czas. Dużo jedzenia. Ciepłe dni lata i chłodne, choć raczej przyjemne noce. Na wizytę w mezozoiku zabierz sweter. - Łóżkiem zatrząsł potężny wybuch śmiechu, gdy Roland zdusił w olbrzymich rękach zagłówek. - Archozaurom tym głodnym i okrutnym olbrzymom, niezgrabnym i łagodnym, powodziło się wspaniale. Pozostały odciski ich nóg, a my, małe myszki, zeszliśmy z drzew, by spijać z tych odcisków wodę i budować domy pośród ich kości. - Dopił piwo, oparł się o bezułkę przy łóżku i nalał sobie kolejną porcję. - Rafaelu, dlaczego odszedłeś z ciepłego domu na wzgórze i przyszedłeś do mnie? Cholernie tu zimno. - Jego ciężkie łapy objęły mnie w pasie i przyciągnęły do siebie. Poczulem zapach jego potu, słodko-kwaśny od lagera Botaników.

- Przyszedłem cię ogrzać - powiedziałem posłusznie, tuląc się do jego piersi. Był niższy ode mnie, lecz dobrze zbudowany: potężna klatka piersiowa, uda jak pnie drzew, pozornie niezgrabne ręce, które z zadziwiającą delikatnością składały pierzaste liście morskich lilii, rozkwitających na nowo w jego brązowych rękach.

- Ale orchidee giną od zimna - sztychł. - Miramar nigdy by mi nie darował, gdyby taki

rzadki kwiat tu usechł.

- Nie ma obaw - uspokoiłem go.

Roland zaśmiał się jeszcze głośniejsze i przyciągnął mnie do siebie.

- Chłodno mi - oznajmił i pochylił moją głowę. Na pewien czas zajęliśmy się innymi sprawami.

W nocy przebudziłem się. Roland był moim Patronem od sześciu lat. Poznałem tę ogromną izbę równie dobrze jak swój pokój w Domu Miramar, ale w pierwszych tygodniach po przybyciu tutaj nie sypiałem najlepiej; często budziłem się w zimnie i ciemnościach, wzdrygając się na widok wznoszących się nade mną gigantów. Wpatrywałem się w nich także teraz, zastanawiając się, jakim sposobem ich kości znalazły się w tych pomieszczeniach i w ogromnych magazynach Muzeum, gdy po szczątkach ludzi, którzy ginęli ledwie kilka stuleci przed nami, nie pozostało ani śladu.

- Zauważyłeś, które dzieje wolimy sobie przypominać? - zapytał pewnego razu Roland, unosząc manekina. - Zwróć uwagę, że jedynie Adiutanci i Technicy sypiają w Izbie Człowieka - dokończył pogardliwie.

Adiutant, który pomagał nam w przestawieniu eksponatu, popatrzył na mnie groźnie, gdy głośno się zaśmiałem.

- My wypracowujemy sobie miejsca w najlepszych Izbach. Zaslужujemy na swoje łóżka i spanie.

Zamilkłem zawstydzony. Nawet Roland przez chwilę nic nie mówił, by w końcu stwierdzić:

- Franca, Rafael zasłużył sobie na miejsce w Domu, skąd pochodzi.

- To nie to samo. - Była kilka lat młodsza ode mnie. Niedawno ścięła włosy, co oznaczało, iż dopiero co awansowała z Docenta na Adiutanta. Obrzucała pogardliwym spojrzeniem mój długi, opleciony kokardami warkocz, podczas gdy wleliśmy z powrotem do magazynu ciężkie, stalowe biurko. - Powinni znać swoje miejsce.

- Rafael uczy się pod moją pieczę od dzieciństwa. Pozwól nam, Regentom, na pewne przywileje i namiętności. - I puścił do niej oko. Błyskawicznie odwróciłem głowę, nie mogąc znieść pełnego zrozumienia uśmiechu, którym się wtedy obdarzyli.

Teraz jednak Roland śnił u mego boku. Jego ciężka ręka przyciskała mnie do łóżka, chrapał. Westchnąłem i spojrzałem na sufit, gdzie nietoperze przemykały pomiędzy szkieletem *Deinochirusa* a pustymi oczodołami trachodontów. W najciemniejszych zakątkach galerii buszowały szczury, bezowocnie poszukując pośród rozrzuconych tam kości czegoś dla siebie. Oglądałem nieustający taniec szczurów, wreszcie ponownie zasnąłem, a we

śnie prześladowało mnie bezkrwiste echo ich pieśni.

5. Mroczny labirynt wieków

Codziennie budziła nas zgrzytliwa trąba Regentów, której dźwięk rozlegał się w Rotundzie. Jej jazgot zrywał ze snu zarówno Regentów, jak i Adiutantów i Techników, rozproszonych na noc po galeriach; ci drudzy zaczynali swoje żmudne, codzienne prace związane z utrzymaniem Muzeum. Roland brał udział w nie kończących się dysputach na temat bezwartościowych materiałów naukowych, wydobywanych z Bibliotek. Ostatnimi jednak czasy Regentów zajmowało chyba co innego. Roland wracał do Izby Archozaurów później i nie w głowie były mu igraszki ze mną. Staralem się nie myśleć o przestroгах Miramara, o plotkach, które przez kilka ostatnich tygodni dochodziły nawet do pafiańskiej prostytutki: że Kuratorzy postanowili zmierzyć się z Ascendentami. Popełniono morderstwo, może więcej niż jedno; czy czeka nas teraz zemsta?

- Myślałem, że zakazesz używania tego cholernego rogu - odezwałem się, przekręcając na bok i zakrywając uszy wałkiem.

- Nawet Regenci nie są w stanie zmienić tradycji - odparował. Dźwięk trąby rozlegał się z przerwami jeszcze przez chwilę. W nastającej po nim ciszy zaczął narastać szum głosów, tupot kroków i skrzypienie drzwi, stłumiony trzask i warkot muzealnego generatora, który zaczynał działać w piwnicy. Roland westchnął: - Uwielbiam te poranne odgłosy; pomyśleć tylko, że w ten sposób budziło się kiedyś do życia Miasto...

Ziewnąłem i potrząsnąłem zmierzwionymi włosami.

- Za wcześnie! Nic dziwnego, że poddali się Ascendentom bez walki.

Roland obrzucił mnie wrogim spojrzeniem.

- Co dziś zamierzasz? - zapytał, rzucając mi szatę. Ubrałem się w nieprzyjemnie szorstką, płócienną tkaninę. Swoje własne stroje zostawiłem na maski i rzadkie spotkania z innymi Pafianami.

- Dewon. - Przechyliłem głowę w kierunku przyległej galerii. - A ty będziesz w Bibliotece?

Skinął głową.

- Regent Awiatorów zakwestionował moją obronę *quetzal-coaltusa* jako modelu Aerodromu Langleya Numer Trzy.

- Mój pomysł! - zawołałem żarliwie, lecz natychmiast wszedł mi w słowo.

- Nic na to nie poradzę. Wpuszczam cię do Biblioteki, kiedy tylko mogę...

- Jak dotychezas tylko raz!

- To nie zależy ode mnie, musimy być posłuszni zasadom wyznaczonym przez Radę Regentów.

Odwrociłem się do lustra, które oparłem o ścianę pod *allozaurusem*. Takiej chudej i zagniewanej twarzy nie widywałem w lustrach Domu Miramar. Odrzuciłem włosy i spojrzałem na skryty pod rękawem szaty strzalec. Lśnił bladoróżowo. Zakryłem go rękawem. Roland już podczas jednej z poprzednich kłótni zauważył, jak szara skorupa zaczyna błyszczeć. Wiedziałem, że nosząc go, narażam siebie i innych na niebezpieczeństwo. Nigdy jednak nie zapomniałem słów Ketury. Była to w końcu moja jedyna broń na wypadek zdrady.

Za mną stanął Roland, trzymając w ręce zwój dokumentów.

- Czemu się ze mną kłócisz, Rafaelu? - Przyklęknąłem przy lustrze i z lakierowanej kosmetyczki (pożegnalnego daru Miramara) wyjąłem laseczkę węgla.

- Bo chcę się uczyć! Bo mam już dość traktowania jak dziecko...

- Nic na to nie poradzę. - Sięgnął ręką po węgiel. - Ale może ty mógłbyś pomóc mnie...

Odepchnąłem go. Zaskoczenie zmieniło się we wściekłość, gdy wypadłem z izby.

- Rafaelu! - zawołał.

Nie zdążył nawet rzucić się w pogoń, gdy przebyłem jeden, potem drugi, wreszcie jeszcze jeden korytarz. Po pewnym czasie zorientowałem się, że przechodzę przez olbrzymie szczęki rekina wyspiarskiego, które pełniły funkcję bramy do Izby Głębin.

Ochłonałem już trochę z gniewu. Żałowałem nawet, że odszedłem w przypiływie wściekłości. Do porządku przywołała mnie perspektywa późniejszego z nim spotkania: był człowiekiem niezwykle wybuchowym. Teraz uspokajał mnie widok egzotycznych skorup i gąbek morskich, lektura starożytnych plakatów i wykresów, które zdobiły każdą gablotę.

Skręciłem właśnie za róg wielkiej wystawy z doradami, gdy mało co nie potknąłem się o stos pustych wiader. Zorientowałem się, że natknąłem się na obszar pracy Adiutanta Franceski, z którą spotkałem się owego dnia w Izbie Człowieka.

- Dzień dobry, Franca. - Ukłoniłem się, zamiatając podłogę warkoczem.

- Francesca - syknęła; w rękach trzymała całe pęki różnej długości szczotek. Była mała i zwinna, jej płaskie, chłopiące piersi i długie nogi przypominały mi Fancy, której niezgrabne kończyny nie nadążały za resztą ciała. Jednakże łagodne, błękitne oczy Fancy nigdy się nie zwężyły i nie ciemniały z wściekłości, tak jak oczy tej dziewczyny. Poza tym Fancy za nic w świecie nie obciąłaby swych blond włosów.

- A, to przepraszam, Francesco.

- W ogóle się do mnie nie odzywaj, kurwo.

Jej usta w twarzy szerokiej i płaskiej jak talerz wykrzywiły się. Już dawno temu zrezygnowałem z poszukiwania u Kuratorów choćby śladów urody. Ale tęskniłem za domem i czułem się tak samotny, że przyglądałem się, jak czyści gablotę wypełnioną barakudami. Pozbawiona wdzięku niczym szczeniak: skóra rąk popękała i pokryła się plamami od szorowania mydłem z łożu i ługu. Wąskie oczy miały barwę wosku. Przydałoby się rozjaśnienie oktyną i poczernienie niewidocznych rzęs węglem. Ale grubo ciosanych policzków nic już nie zmieni, chyba żeby dołki pod kośćmi posypać pudrem.

- Przestań się na mnie gapić, kurwo. - Weszła stopień wyżej po drabinie, w stronę marlina błękitnego. Drabina była już bardzo stara, tak jak wszystko, co było własnością Kuratorów. Byłem pewien, że trzyma się jeszcze kupy tylko dzięki złośliwości Franki. - Nie odzywaj się do mnie - przestrzegła, odsuwając z oczu kosmyk włosów. - Podaj mi tę szczotkę.

Spełniłem polecenie i przykucnąłem, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

- Czemu obcinacie włosy?

- Zdawało mi się, że od sześciu lat uczysz się pod kierownictwem Nopcsy.

- Zajmowałem się paleontologią. - Wzruszyłem ramionami.

- Bo tylko kurwy noszą długie włosy - odparowała, nie patrząc na mnie.

- Kurwy i niektórzy łazarze - poprawiłem.

Obrzuciła mnie zaskoczonym spojrzeniem, po czym na powrót zajęła się marlinem.

- Dobrane towarzystwo. - Po chwili spytała: - Po co ci te wstążki?

Ująłem warkocz, przesunąłem go do przodu i zapatrzyłem się na niego z udawanym zdumieniem.

- Te wstążki? - powtórzyłem, gładząc wplecione między włosy barwne szmatki.

Kiwnęła głową. Przez moment do złudzenia upodobniła się do pafiańskiego dziecka podczas modlitwy, poważnego i nieruchomego.

- Ten - zacząłem, dotykając zielono-złotego kawałka brokatu - oznacza mój dom. A ten jest od mojego ulubionego Patrona. - Cienkie, wytarte paski brzydkiej tkaniny w czerwoną kratę były niestarannie pozszywane.

- Roland ci to dał? - Franca potarła krótko ostrzyżone włosy, po czym zdmuchnęła kurz z pomalowanych łusek marlina.

Z niezadowoleniem odrzuciłem warkocz w tył. Żałowałem, że ta mała nie widziała mnie na ostatniej Masce w Ilirii, gdy wplatanie trzydziestu czterech wstążek zajęło mi ponad godzinę, a Magdalena utonęła wśród kwiatów rzuconych przez moich wielbicieli. Westchnąłem i przesunąłem się wraz z nią do następnej szklanej gabloty.

Po chwili zeszła na dół z kaszlem, wywołanym przez kurz, który wytrząsnęła ze ścierki. Usiadła na najniższym szczeblu i wbiła we mnie wzrok.

- Widziałeś ich? - zapytała wreszcie. Potrząsnąłem głową, nie bardzo rozumiejąc.

- Łazarzy. - Z łokciami wspartymi na kolanach i brodą spoczywającą na brudnych rękach wyglądała jak brzydkie dziecko, które czeka na opowieści doktora Fostera. W porę powstrzymałem śmiech.

- Widziałem kiedyś jednego, martwego - zacząłem wolno. Zmrużyła oczy. - Dwa lata temu. Z Rolandem. Po deszczu róż...

- Tylko kurwy tak to nazywają. - Skrzywiła usta. Wzruszyłem ramionami i udałem, że przyglądam się jakiejś muszli z boku. Mlasnęła i podjęła: - Nigdy nie nazywacie niczego po imieniu., JDeszcz róż” - dodała szyderczo. - Przecież tak naprawdę jest to atak wirusowy.

- Nieważne, tamten nie żył. A w ogóle to chcesz słuchać dalej czy nie?

- Tak, bardzo proszę. - Nagle spoważniała i kiwnęła głową.

- Była bardzo blada i miała splątane włosy... - Przynąłem się do drabiny.

Przypomniałem sobie tamtą noc: łagodny wiatr niósł słodki aromat kwiatów jabłoni i lekko duszny zapach, który zaczyna pojawiać się godzinę lub dwie po deszczu. Było nas sześcioro, może siedmioro - pamiętam albinosa Whitlocka z Wysokiej Brazylii. Roland odprowadzał nas do Domu Miramar.

Whitlock zobaczył ją pierwszy. Wrzasnął i zaczął uciekać, zaplątał się w poły szaty i upadł na spękane cegły u mych stóp. Wraz z Rolandem pognałem naprzód. Nie bałem się niczego, wiedząc, że w kaburze u boku ma broń kupioną od Ascendentów.

- Nie żyje - stwierdził stanowczo, rzuciwszy okiem w głąb wąskiego parowu, gdzie leżała obok próchniejącego pnia drzewa. - Chodź...

Nie mogłem się jednak ruszyć; stałem, zafascynowany jej pięknnością.

- Wyglądała na śpiącą.

- Widziałam już zmarłych - wtrąciła Franca - przed spaleniem. Czasami wyglądają tak, jakby spali.

- Ja widziałem tylko jedną.

- U nas zdarza się mnóstwo wypadków. Zatrucia w garbarniach, czasem spada na nich jakaś ciężka skrzynka. Niektórzy umierają po prostu ze starości. U was coś takiego nie ma miejsca?

- Nie - odparłem. - My się nigdy nie starzejemy.

- Ale widziałeś... - w jej głosie zabrzmiała nutka podziwu - łazarza...

Nie opowiedziałem jej, jak to Roland odesłał wszystkich z powrotem do Domu;

później wrócił, przycisnął mnie do ziemi tak, że cały czas mogłem widzieć łązarka: cienie policzków, fosforyzujące oczy, kędziory włosów, które poruszały się od buszujących po nich much mięsnych. Tak mnie to osłabiło, że później musiał podnosić mnie z ziemi. Przypisywał to strachowi, ale to wcale nie był strach...

- Że co?... Nie - odparłem, wyrwany zniemacka z zamyślenia. Pytanie Franceski złowiłam tylko jednym uchem. - Nie, nie bałam się.

I przeniosłem wzrok na sufit, pod którym zawieszono wykonane z modeliny lewiatany; nie miałem już bowiem ochoty na pogaduszki.

6. Zwierzęta wymowne

Roland ani słowem nie wspomniał o tamtej porannej kłótni. Zaczynała się Czasień i miał pełne ręce roboty. Tak przynajmniej mówił. Coraz częściej przebywałem w Izbie Głębin z Franca, która z początku mnie ignorowała, lecz stopniowo coraz częściej odpowiadała na pytania, aż wreszcie pozwoliła pomagać sobie w pracy.

Przez tydzień czyściliśmy modele i umieszczaliśmy w gablotach ryby, zwisające z sufitu lub akwamarynowych ścian.

- Ledwie skończymy, a już te pierwsze zdążą się zabrudzić - narzekałem.

Nad nami, zawieszona na niewidocznych linach, znajdowała się gondola z wielorybami z włókna szklanego. Niebieskawe klosze lamp elektrycznych, rzucały fale sennego światła na ściany, podłogę i potężnie żebrowane brzuchy wielorybów. Powodowało to we mnie znużenie. Stałem przykucnięty na szczycie chwiejnej drabiny, często ziewałem i leniwie omiatałem podwieszane kadłuby delfinów i płetwali.

- Spadniesz! - ryknęła z dołu Franca, ocierając czoło ręką.

- Prędzej zapadnę w sen! - odkrzyknąłem. - Właż na górę. Zaczęła się wspinać, ale w połowie drogi oparła się o ścianę.

- Nie podoba ci się ta galeria, prawda?

- Nie ma tu ludzi.

Zaśmiała się, brudną pięścią odsuwając z czoła kosmyk jasno blond włosów. Uśmiechnąłem się. Przyzwyczailem się do pospolitych, nieregularnych rysów Kuratorów, do ich niezgrabnego chodu, donośnego głosu, a nawet do zapachu: potu, formaldehydu i cedrowych wiórów, odstraszaających mole od futer wypchanych lemurów i skoczków pustynnych. Na niewyraźnej twarzy Franki odkryłem miejsca, które może nie były piękne, lecz mnie fascynowały. Gdy na jej piwne oczy padał ukośny promień porannego słońca, przybierały zadziwiającą barwę topazu. Ten sam blask potrafił rzucić na jej krótką fryzurę

smugi złota. Zastanawiałem się, czy gdyby je zapuściła, to starczyłoby słońca, żeby rozblęsnęły jak grzywa małej Fancy. Kiedyś, po dniu spędzonym w pełnym blasku słońca przy zawitych żłobkach i grzbietach muszel rozkolców, na jej policzkach pojawiły się ledwo widoczne piegi. I nie wiedzieć czemu bardzo mnie to uradowało.

- To ludzie je tutaj umieścili. - Napluła sobie na rękę i wytarła ją o tunikę. - A w ogóle co komu po trupach?

- Twoje cenne ptaki też zdechły - zareplikowałem. - W ogóle są tu same trupy.

- Nie zawsze tak było. - Przytrzymała się ręką drabiny, drugą wskazując wysokie sklepienie nad nami, gdzie starożytne szybki z ołowiowego szkła przepuszczały nagle smutki dziennego światła.

- Czasami widać tam żywe ptaki: dostają się do środka, wiją gniazda. Kuratorzy jednak zawsze je zabijają - dodała ze smutkiem.

- Twierdzą, że niszczą im Kolekcję.

Zapatrzyłem się na sufit, przypominając sobie nietoperze w izbie Rolanda.

- Na Zewnątrz można zobaczyć ich bardzo dużo.

- To będzie możliwe, kiedy będę starsza. - Zrobiła grymas.

- Teraz to zbyt niebezpieczne.

- Kiedyś w końcu zobaczysz tyle ptaków, ile będziesz chciała.

- Pochyliłem się i ująłem kosmyk jej krótkich włosów, owinąłem go wokół palca, po czym puściłem, żeby opadł z powrotem na czaszkę. Przekręciła się i popatrzyła na mnie swoimi chłodnymi oczami.

- A ty kiedyś w końcu zobaczysz tylu martwych ludzi, ilu tylko będziesz chciał - odparowała i wybuchnęła śmiechem. Ja również się zaśmiałem. Gdy zeszła na ziemię, ujęła się pod boki i wbiła we mnie wzrok; wszystkie szczotki i szczoteczki sterczały jej spod pachy.

- Mam dość tego miejsca - oznajmiła, rzucając wszystkie narzędzia na marmurową podłogę. - Chodźmy na spacer.

Zszedłem za nią. Stara drabina zaskrzypiała z ulgą, gdy w końcu znalazłem się na ziemi.

- Na Zewnątrz?

- Oczywiście, że nie. Ale... - Zaczęła gryźć w zamyśleniu paznokcie. - Możemy odwiedzić Egipcjan. To ludzkie trupy. Spodobają ci się. Byłeś tam kiedyś?

- Nie. Gdy po raz pierwszy zwiedzałem Muzeum, Roland pokazywał mi drogę do tamtego skrzydła. - Objąłem wzrokiem długą Izbę po cieniście łuki, prowadzące do korytarzy ku innym Kolekcjom. - A nikt nie sprawdzi, co robimy?

Franca przewróciła oczami.

- A widziałeś tu kogoś takiego? Chodź. Wszyscy tak robią. - Pociągnęła mnie za rękaw. Gdy musnęła ręką mój nadgarstek, poczułem przyśpieszone bicie serca.

- Zgoda. - I poszedłem jej śladem.

7. Dzieje niektórych ras sięgają niepamiętnych czasów

Do Izby Zmarłych Królów poszliśmy okreśną drogą: za nami pozostały chłodne błękity i zielenie Izby Ryb, znaleźliśmy się pośród przydymionych barw Izby Człowieka. Korytarz tej galerii był długi, wąski i ciemny, padało tylko światło z dwóch krańców tunelu. Szedłem szybko, szczelnie otulając się tuniką. O Izbie Zmarłych Królów wiedziałem niewiele. Roland nie miał ochoty o niej rozmawiać.

- Wzniesli piramidy i wielki obelisk przy Wąskim Lesie - mówił, gdy pewnego wieczoru przechodziliśmy obok, wracając z Maski Iliryjskiej w Zachodnim Skrzydle. - Uważa się, że stworzyli także Widmowych Wojowników dla Pierwszej Ascenzji. Regent Awiacji się z tym nie zgadza. - I przystanął przed wejściem do Skrzydła Egipskiego, wpatrując się ponurym wzrokiem w rozpadającą się tapicerkę barwy kości słoniowej.

Zastanawiałem się właśnie, jakim sposobem Franca zniknęła tak szybko w mrocznym korytarzu, i pognałem jej śladem. Ciarki przebiegły mi po grzbiecie na myśl, że moje postępowanie, rozgniewa Rolanda. Ostatnimi czasy bardzo się od siebie oddaliliśmy. Wielokrotnie rzucał kąśliwe uwagi na temat moich pękniętych paznokci i zrogowaciałej skóry palców...

- Takich rąk nie muszę szukać daleko, znajdzie się ich trochę w naszym żłobku - oświadczył, odpychając mnie. - Czy twoi rozwiążli przyjaciele nie mogliby przysłać ci jakichś nowych ciuchów?

Na to wspomnienie moja twarz pokryła się rumieńcem, zacząłem okładać pięścią ścianę i cicho kląć. Światło stawało się jaśniejsze. Zauważyłem te same gobeliny, które niegdyś wskazał mi Roland: kanciaste postaci o głowach psów albo ptaków, naszkicowane na wystrzępionym i pleśniejącym materiale. Zmrużyłem oczy i kilka metrów przed sobą na tle kwadratu jaskrawego blasku starałem się wypatrzeć sylwetkę Franki. W końcu dotarłem do spróchniałego, drewnianego wejścia. Po przejściu przez jedno, następnie drugie drzwi, utworzone z wielkich bloków ciętego kamienia, wreszcie znalazłem się w zalanym słonecznym blaskiem pomieszczeniu. Zamrugalem powiekami, zastanawiając się, gdzie podziała się Franca.

- Jaaau! - Jakaś postać wynurzyła się z mroku i złapała mnie za ramiona. Cofnąłem

się, klnąc, i zobaczyłem śmiejącą się do utraty tchu Franke. - Nastraszyłam cię...

Złapałem ją w nadgarstku i przyciągnąłem wijącą się do siebie. Kiedy chciała się odsunąć, wzmocniłem uścisk.

- Auu... przestań, to tylko żart!

Ciągle trzymając ją za rękę, wdychałem przez chwilę zapach jej włosów, zlepionych brudem, czułem mydło i pot. Zakręciło mi się w głowie od tego zapachu i ciepła jej ciała. Pośpiesznie ją wypuściłem.

- Bardzo śmieszne. - Wygładziłem tunikę. - I to są ci twoi Egipcjanie?

Skinęła głową, usiłując odzyskać oddech.

- Taak - sapnęła i zagryzła wargę. Przyglądała tunikę, niczym dziecko, które spóźnia się na pierwszą modlitwę. Gdy zorientowała się, że się w nią wpatruję, błyskawicznie odwróciła wzrok. - Oto i Egipcjanie.

Objąłem spojrzeniem Izbę Zmarłych Królów.

8. „Zagadka zbolalej ziemi...”

Były ich całe dziesiątki, starożytnych mężów, w rzędach ciągnących się po najdalsze zakątki galerii. Nawet Franca zamilkła na ten widok.

- Byłaś tu już kiedyś? - szepnąłem.

Bez słowa kiwnęła głową i zaczęła chodzić między katafalkami. Poszedłem za nią, ciągle trochę oślepiony jaskrawym światłem, wpadającym przez łuki sklepienia. Od podłogi z marmuru odbijało się czarne jak pantera światło. Trumny natomiast lśniły złotym, lazurowym i szkarłatnym blaskiem, a patyna kurzu sprawiała, iż wyglądały jak spowite w aksamitną tkaninę. W pomieszczeniu rozstawiono gdzieś tam ogromne posągi, niby strażników czuwających nad spokojem snu swych panów; w wielkich blokach piaskowca widniały płaskorzeźby ludzi i zwierząt. Po ucisku w piersiach zorientowałem się, że wstrzymałem oddech. Wciągnąłem powietrze, czując zapach drzewa sandałowego i pleśniejących tkanin.

Ile eonów czekali na złożenie tu do snu w milczących rzędach, pod błyszczącymi kolumnami kurzu i słońca? Powietrze było rozgrzane od ich snów. Przystanąłem przed pierwszym katafalkiem, położyłem rękę na gładkiej drewnianej pokrywie i poczułem, jak w pory skóry sączy mi się pył stuleci, tak że gdy uniosłem i odwróciłem dłoń, podświadomie spodziewałem się ujrzeć na niej odcisk enigmatycznego uśmiechu i pary onyksowych oczu. Zamiast tego na skórze znalazły się bladoszare smużki brudu oraz roztrzaskany pancerz jakiegoś chrząszcza. Przypomniałem sobie pewien fragment książki Rolanda, opisującej ekshumację pierwszych archozaurów: „Zagadka zbolalej ziemi...”

Odszedłem od pierwszej podobizny, za którą ciągnęły się w nieskończoność mumie i katafalki. Ten bezkresny obraz zakłócały jedynie nieregularne rysy w miejscach, gdzie przesunęło się posrebrzane szkło, i świadomość, że całą przeciwległą ścianę izby stanowi lustro. Franca zagłębiła się pomiędzy katafalki, jej odbicie lawirowało jak biały cień między kamiennymi twarzami.

Jak we śnie krążyłem między trumnami. Królowie, królowe, regenci; królewscy balsamiści i woźnice rydwanów. W szklanych gablotach znajdowały się odwodnione zwłoki kotów, ich pomarszczone kończyny owinięto szpagatem i jakąś rudą tkaniną. Ibisy, zawinięte tak, że przypominały zniekształcone flaszki, ustawiono w wydrążonych, kamiennych naczyniach. I wszędzie te puste, nieruchome oczy, patrzące z katafalków i urn pogrzebowych, złote napierśniki i pozłacane czaszki szakali.

- Kim byli? - spytałem i aż wzdrygnąłem się, gdy odpowiedź Franki dobiegła z odległości zaledwie metra.

- Pojawili się tu pierwsi - szepnęła. - To Pielgrzymi. Przebyli ocean w statkach powietrznych, uciekając przed prześladowaniami w Starym Świecie. Chcąc upamiętnić swoją ojczyznę, wzniesli w Mieście wielkie pomniki. Smutny Lincoln, Obelisk, Biblioteka Podboju.

- Jesteś pewna? - spytałem zdziwiony, zdrapując z jednej z gablot etykietę. - Zdawało mi się, że zbudował je ktoś inny, Ascendenci...

Potrząsnęła stanowczo głową.

- Nie. Egipcjanie przybyli do Miasta po Trzydziestu Wojnach na Wschodzie, po zbombardowaniu ich pustyni. Wszyscy zginęli w okresie Długiej Nocy od zarazy. Dlatego też wylądowali w Muzeum...

- Umarli na zarazę? - Oderwałem rękę od szklanej płyty.

- Nie. Woleli zabić się, niż poddać władzy Ascendentów. Ich kapłani ukryli ich w skrzyniach i przywieźli do pierwszych Kuratorów. Jeszcze zanim my się tu pojawiliśmy, przed Drugą Ascenzją. Od tego czasu ich chronimy. - Uśmiechnęła się, dopraszając się pochwały jak dziecko, które wykuło na pamięć jakąś lekcję.

- To dlatego nikomu nie wolno tu zaglądać? - Przesunąłem palcem po złotej rysie na drewnie. - Skoro ich chronicie, to gdzie są strażnicy?

- Zastanawiałaś się, dlaczego żadni strażnicy nie chronią waszej bezcennej Magdaleny? - Wzruszyła ramionami.

Zagryzłem wargi.

- Bo nikt nie odważy się jej tknąć - odparowałem wreszcie. Franca oparła się łokciem o kamienną skrzynię z mumią.

- Nawet zapatrzeni? - zapytała przebiegle. Sapałem i zrobiłem minę.

- Zapatrzony - poprawiłem ją. - Myślałem, że nic o nas nie wiesz. - Klepnałem ją w policzek i wtedy roześmiała się od ucha do ucha.

- Zeszłej zimy oglądałam przedstawienie u Świętego Alabana. O chłopcu i dziewczynie, bliźniętach...

- Aha. Święci Alabanowie: Maska Baala i Anat.

- Właśnie! - Ożywiła się i wyczekiwała z napięciem. - Znasz ją?

- Zabobonne bzdury, które wpajają im Historycy. - Potrząsnąłem głową. - Wam, Kuratorom, zdaje się, że jesteśmy małymi dzieciakami. Tak naprawdę w takie rzeczy wierzą jedynie Święci Alabanowie. Przeważnie robimy to... chyba z przyzwyczajenia. Po co trzymacie otwarte galerie, czyścicie gabloty i porządkujecie eksponaty?

Franca skuliła się, po czym wybuchła śmiechem.

- Dla Egipcjan! Czekamy na Egipcjan! - I pobiegła ze śmiechem przed siebie, zatrzymując się przed pękniętym lustrem i składając niezgrabny pokłon.

9. Nagie i okropne drgawki natury

Obserwowałem jej uśmiech. Rzadko kiedy widywało się uradowanych Kuratorów, choć my, Pafianie, chętnie dzieliliśmy się z rozsądnymi Patronami własną beztruską z powodu głupoty tego świata i rozkoszami ciała. Śmiech nie przydał jej urody, lecz jego widok i dźwięk należały do takich rzadkości, że samo to mnie podnieciło.

- Nie boisz się, że ich zbudzisz? - zapytałem, stając za jej plecami.

- Ja miałabym się bać? - Odwróciła się na pięcie i uderzyła w ciężki piedestał. Przytrzymałem ją za ramię. - Czy prawdą jest to, co mówią? - spytała zdecydowanie.

Dotknąłem jej łokcia, a gdy mnie nie odepchnęła, pogładziłem po ramieniu.

- To znaczy co? - spytałem cicho.

Przechyliła głowę. Na mgnienie oka słońce zmieniło jej zmierzwione włosy w aureolę.

- Że miałeś tysiąc kochanków?

- Co najmniej. - Moja ręka sięgała już jej krzyża. Wpatrywała się we mnie podejrzliwie. Widząc, że się nie uśmiecham, skinęła głową.

- Mówią, że twój pan chciał mianować cię następnym rządcą Domu. - Wzruszyłem skromnie ramionami. - To po co przyszedłeś tutaj, gdzie nigdy nie będziesz mile widziany?

Uniosłem wzrok, zaskoczony jej otwartością.

- Nie wiedziałem, że nigdy nie okażą mi tu serdeczności - oznajmiłem z goryczą. - Miałem nadzieję, że dowiem się rzeczy wielkich, którymi podzielę się potem z moim ludem...

Potrząsnęła głową.

- Przecież nigdy w życiu nie zdradzilibyśmy swoich tajemnic przed kurwą. - W jej głosie nie było żadnej złośliwości. - Nie możesz nam nic dać w zamian.

- Nic? - Przyciągnąłem ją do siebie. - Twoi zabierają nam wszystko, co cenne - młodość, urodę i miłość - po czym odrzucają to ze wzgardą! - Zbladła i chciała się ode mnie odsunąć, ale ująłem ją pod brodę i odwróciłem w swoją stronę, by móc pocałować. Wargi miała popękane, usta smakowały poranną owsianką i jabłkami. Gdy rozluźniłem uchwyt, nie odsunęła się. - Co po tej waszej nauce dziewczynie, która jeszcze nigdy nie całowała się z mężczyzną? - spytałem łagodnie i chciałem wziąć ją za rękę.

Zarumieniała się, odwróciła, ale ujrawszy tylko własną twarz w lustrze, natychmiast zwróciła się ku mnie.

- Ja... już się całowałam. - Wbiła wzrok we własne stopy. - Ale nie na serio. - Tym razem to ona przysunęła się do mnie i zaczęła niezręcznie błędzić rękami po moich plecach.

Zdjąłem jej tunikę, pod którą odkryłem słodkie ciało młodego chłopca, długonogiego, usianego pieprzy kami, z niewielkimi piersiami i dopiero rysującymi się wyraźniej biodrami i brzuchem. Przesuwałem ręce powoli, żeby się nie przestraszyła. Zdumiała mnie jej niewinna reakcja na pocałunek, zdumiała i podnieciła zarazem. Od czasu do czasu rzucałem okiem na nasze odbicia, patrzyłem, jak rozplata mi warkocz, aż moje włosy rozlały się wszędzie niczym bursztynowe fale. Zdziwił mnie też niepomiernie fakt, że Kurator potrafił mnie aż tak podniecić... Przytuliłem ją mocniej, zacząłem zdejmować spodnie. Wtedy zaczęła się wycofywać.

- Co robisz?

- Czekaj chwilę - nakazałem i próbowałem ściągnąć ją na podłogę.

Odepchnęła mnie, chciała się wyrwać.

- Nie, Rafaelu, przestań, boję się tutaj...

- Co? - Z niedowierzaniem potrząsnąłem głową. Wtedy przypomniałem sobie, jak Irys Bergenia udawała, że się ze mną szamoce w mojej izbie. Złapałem France za włosy i rzuciłem na podłogę. - Nauczę cię wszystkiego o Pafianach - szepnąłem, przytrzymując ją pod sobą.

- Nie! - Kopnęła mnie, aż upadłem, ale zdążyłem ją złapać. Dyszałem, rozzłoszczony, z trudem ją trzymając. Cały trząsałem się z podniecenia i wściekłości. Wpatrywała się we mnie dzikim wzrokiem, nie rozgniewana, raczej przerażona. Jeszcze nigdy w życiu nikogo tak nie pożałowałem.

- Teraz - wyszeptalem. Gdy przyciągnąłem jej twarz do swojej, znowu wymierzyła mi kopniaka. Odruchowo ją uderzyłem, zobaczyłem fioletowy błysk na jej szyi. Zadrzała, z

miejsca pożałowałem swojego zachowania. Jej usta się rozchyliły.

- Rafaelu - wymamrotała. Coraz bardziej wytrzeszczała oczy. Źrenice gwałtownie się rozszerzyły, potem równie nagle zmniejszyły do rozmiarów ziarenek maku.

- Franca - wybełkotałem przerażony. Jej głowa opadła bezwładnie na ramię. Odsuwając rękę, poczułem lekkie szarpnięcie za nadgarstek. Popatrzyłem w tamtą stronę.

Do napiętej szyi jej skóry jak pijawka przyssał się strzalec. Uniosłem pięść, nie wierzyłem własnym oczom. Zobaczyłem, jak kolec barwy kości słoniowej wycofuje się, czułem lekkie przesunięcie ciężaru, gdy przednia część korpusu kryła się z powrotem w muszli. Po chwili moja ręka opadła.

- Franca - uniosłem głos. - Franca. Zbudź się. Zacisnęła usta. Na dolnej wardze pojawiły się kropelki śliny, które znaczyły srebrzysty ślad na brodzie. W miejscu, gdzie utkwił strzalec, w miarę jak pękały naczynka krwionośne, zakwitła purpurowa gwiazda, a pod skórą rozkwitały smużki krwi. Z żyły, która jeszcze niedawno wyraźnie pulsowała, wyrosła fioletowa nić, śmiertelna igła, która przebije zaraz serce. Nie zważając na szalejące w jej ciele trucizny, wsparłem policzek o jej usta.

Nie żyła. Jak we śnie pozwoliłem zwłokom opaść na podłogę i ukląknęłam obok. Szeptalem jej imię, jak szalony rozglądając się po olbrzymiej galerii; milczące postacie i lśniąca katafalki obmywało teraz bursztynowe światło.

- Franca...

W ciągu kilku następnych minut jej ciało pokrywało się blado-sinymi plątkami. Wzór przesunął się od szyi po piersi, sine od niewidzialnych pocałunków, ręce zrobiły się ciemnoniebieskie od nagromadzonej w opuszkach palców krwi. Jej uda splamiły różowe kwiaty, które jakby spadły z sufitu. Przez głowę przebiegła mi bezsensowna piosenka łazarzy, którą śpiewaliśmy w dzieciństwie:

Deszcz różany roni Bukiety piwonii Popioły, popioły Padaj nam wesoly...

Spod skóry pokazywała się już czaszka. Pomrukiwałem jej imię, myśląc, jaka jest teraz piękna, jak bardzo rozgniewałaby ją ta zdrada ciała z urodą, ten septyczny ogród, który zakwitł wokół kości. Potem ją wziąłem.

Pośpiesznie, bo jej ciało zaczynało się już kurczowo wokół mnie zaciskać, piersi miały zimny, słodkawy smak. Gdy ucichły moje jęki, wypuściłem ją z objęć. Uderzyła głową o podłogę. Z trudem wstałem, zbyt późno myśląc o tym, czy trucizna wtargnęła także do mojego organizmu. Oparłem się o jakiś stojący z tyłu piedestał, płakałem, tuliłem zimny kamień, dopóki nie uspokoilem się na tyle, że mogłem na nią spojrzeć.

W jej oczach wykwitły rakowate narośla. Wpiła w moją otępiałą twarz spojrzenie

oczu koloru bratków. Zakryłem jej twarz tuniką, z trudem stojąc, dławiąc się i czując jednocześnie, że chcę ją mieć raz jeszcze. Serce na moment przestało mi bić na widok tej sztywnej, białej postaci, leżącej pośród złocistych śpiących. Niemal zmusiłem się do odwrócenia głowy w stronę starożytnego lustra, by ujrzeć szaloną postać: zmierzwiłone, kasztanowe włosy, twarz pokryta kurzem i łzami. Mało co nie roześmiałem się na taki widok: duma Domu Miramar płacząca nad zwłokami służącej!

Wtedy z odległej Izby Głównej dobiegły mnie ryczące dźwięki wezwania pierwszej zmiany na kolację. Byliśmy z Franca w trzeciej zmianie, ale wkrótce zorientują się, że gdzieś przepadliśmy. Odwróciłem się do jej nieszczęsnych zwłok z nadzieją, że powstaną i dodadzą mi otuchy. Wpadłem na niewielki katafalk na popękanej, marmurowej kolumnie, w ostatniej chwili przytrzymałem pokrywę, która mało co nie spadła. Po chwili odzyskałem panowanie nad sobą.

Obok pękniętej kolumny ustawiono pionowo sarkofag, który uchyliłem na tyle, by dojrzeć w środku postać starożytnego króla. Zatrzasnąłem pokrywę i pospieszyłem do następnego. Jego pokrywa ani drgnęła, tak samo kolejna i jeszcze jedna. Stały tu setki skrzynek i z pewnością w ciągu tylu eonów niektóre zostały okradzione lub naruszone...

Znalazłem go w ciemnej niszy. Bez wątplenia krył niegdyś szczątki jakiegoś książątka: pod pokrywą widać było poślizganą twarz z olbrzymimi lapisowymi oczami i zadziwiająco spokojnymi ustami, nieco wyдутymi, jakby śniły mu się osobliwe rzeczy. Zastukałem niepewnie w wieko. Odpowiedziało głuche echo. W mgnieniu oka odemknąłem pokrywę, znajdując w środku tylko żółty pył po zgniłych całunach i skurczone resztki mrówkolwów i rybików.

Wewnętrzne ściany sarkofagu pokrywały dziwaczne litery. Zawahałem się, ogarnął mnie paniczny strach przed samą trumną. Przypomniałem sobie jednak, że Franca kochała ptaki, a tu namalowano takie, które zapewne miały zanieść duszę do nieba: orły, sokoły i ibisy, kanie i czujne sowy. Zdmuchnąłem ze skrzyni kurz i udałem się po Franceskę.

Możliwe, że doktor Foster słusznie przypisuje duszy wagę i substancję, miałem bowiem wrażenie, że ona w ogóle nic nie waży. Jej biedne, sine ciało owinąłem znoszoną tuniką jak całunem; znowu rozplakałem się, tym razem na myśl, że nie mam lepszej szaty, w której mógłbym złożyć ją na wieczny odpoczynek. Pocieszała mnie myśl, że dzieli łożę z prochem książąt. Pokrywa znalazła się na miejscu, jakby nigdy jej nie otwierano. Wpatrywałem się przez chwilę w sarkofag, wreszcie pochyliłem się i złożyłem pocałunek na zimnym odcisku ust.

W progu przystanąłem. Nade mną wisiało pasmo podartej tkaniny, poruszające się od

jakiegoś nieznacznego powiewu. Na jego brzegach wypatrzyłem kolejne, tym razem mniejsze, piktogramy - poźółkłe i postrzępione od wieków używania. Zmrużyłem oczy i odczytałem niezręczne tłumaczenie jakiegoś starożytnego epitafium:

Leżymy

Głowa przy głowie

Głęboko w mroku ze zmarłymi.

Zadrzałem i wyszedłem z Izby Zmarłych Królów.

10. Otwierają się nieskończone widoki na przyszłość

Wróciłem do miejsca, gdzie zaczęliśmy pracę. Po drodze do Wielkiej Izby minęło mnie kilku Adiutantów. Ich wzgardliwe spojrzenia uświadomiły mi, że towarzystwo Franki nie tylko urozmaicało mi czas, lecz również zmniejszało ich nienawiść i lekceważący stosunek do mnie. Myśl o pozostaniu wśród nich, z tak niechlujnie pochowanym trupem Franceski nieopodal, napelniała mnie przerażeniem. Mijałem Kuratorów, zmierzających do stołówek poniżej. Przez chwilę rozważałem możliwość wyznania wszystkiego Rolandowi Nopcsie i zdania się na jego łaskę i niełaskę - był koniec końców Regentem i potrafiłby stanąć w mojej obronie przeciw tym, którzy żądaliby mojej egzekucji.

Przypomniałem sobie jednak przykrości, jakie mu ostatnio wyrządziłem: gniew na widok moich niedopasowanych ubrań i znużenie po całym dniu harówki w piwnicach Muzeum. Moi rówieśnicy bywali wyrzucani przez Patronów jak wyżęte szmaty. Chociaż Roland wyśmiewał się ze mnie i nazywał cieplarnianym kwiatem, co wieczór oczekiwał delikatnych rąk i pachnących włosów. Popatrzyłem na swoje ręce, na połamane paznokcie, za które zaszedł brud, na pokryte pęcherzami dłonie i z żalem pomyślałem, że zmarnowałem całą swą urodę i skazałem się na śmierć z dala od bliskich!

- Ty dziwko!

Wzdrygnąłem się, przetarłem oczy i napotkałem zimny wzrok Technika - nadzorcy Franceski. Bez słowa stanąłem.

- Powiedz swojej koleżance, że zostaje skierowana do innej pracy. Masz się do mnie jeszcze tego dnia zgłosić: Roland Nopcsa weźmie dziś udział w Balu Motyli w Wysokiej Brazylii - ogłosił ze złośliwą uciechą. Gapiłem się na jego dziobatą twarz, na wyszczerbiony kawałek żółknącego, złamanego zęba w nierównych ustach, na opadające, kościste ramiona. - Słyszałeś? - Technik machnął mi przed twarzą ręką i dotknął moich włosów. Odsunąłem jego rękę i poszedłem dalej.

- Ty kurwo! - ryknął. - Rozumiesz, co się do ciebie mówi? Odwróciłem się i złapałem

go jedną ręką za gardło.

- Nie słyszałem ani słowa - syknąłem i przyparłem go do ściany. Odszedłem przy akompaniamencie jego przekleństw i spluwania.

Mój niepokój na wieść, że Roland idzie na bal beze mnie, zmniejszył się nieco na widok naszej opustoszałej izby; nie będę musiał jeszcze stawać z nim twarzą w twarz. Zatrzasnąłem ciężkie drzwi i opadłem na łóżko.

Przez jakiś czas leżałem, trzęsąc się i próbując powstrzymać płacz. Zrozumiałem już, że będę musiał uciekać. Samotność Rolanda na wysokobrazylijskiej Masce będzie zarówno dla Kuratorów, jak i Pafianów znakiem, że popadłem w niełaskę. Domy zażarcie ze sobą współzawodniczyły, a Wysoka Brazylia i Miramar walczyły już o zdobycze mniejsze niż łaska Historyków Naturalnych. Znajdą się tacy, których ucieszy wiadomość o moim upadku, i nie omieszkają okrasić opowieści o nim barwnymi szczegółami.

A jeszcze skrzywiona twarz Technika i zabójstwo Franki...

Wstałem i zacząłem chodzić po pokoju, spoglądając na ulubione archozaury Rolanda.

- Co byś teraz zrobił? - szepnąłem, gładząc długi, obsydianowy ogon *Deinochieriusa*. Na wspomnienie kpin Franki ze zgromadzonych tu staroci zalałem się łzami, wiedząc, że już ich nigdy nie zobaczę; wiedziałem, że niezależnie od odpowiedzi udzielonej przez ich puste oczodoły, nie mogę już ukrywać się pośród zmarłych.

CZEŚĆ TRZECIA

PO DESZCZU RÓŻ

Wszędzie widzę oczy. Oczy doktor Harrow, zmienione w oczy jej brata Aidana. Anna i Andrew rozpadają się jak ameba, z szerokim uśmiechem podają mi pierzastą przepaskę. Na szafie siedzi śmiejący się chłopiec. Jego śmiech jest zduszony żelaznym kołnierzem, gdy pada u stóp mojego łóżka. Nad głową unosi się Margalis Tasfannin, cichym głosem powtarzający dzień w dzień to samo pytanie, które przeniknęło już do moich snów: „Jak to robisz, Wendy? Jak się czujesz, co widzisz, gdy ich uśmiercasz?”

Krzyczę i rzucam się do przodu, pościel płąta mi się wokół rąk, gdy próbuję wstać.

Potem pokój rozdarło światło. Świeczka, kapiąca na osłaniającą ją dłoń, rzuca na zakapturzoną twarz złote i czarne płatki.

- Wstawaj - syknął, ściągając mnie z łóżka. Wygramoliłam się, w głowie wciąż mi się kręciło od lekarstw, które przyjmowałam. Chciałam wytłumaczyć, iż po poprzedniej, bolesnej sesji nie jestem w stanie prawidłowo śnić. Język zaplątał się między zęby i z wymiotowałam, czując posmak własnej krwi.

- Cicho - nakazał szeptem.

Poczułam na karku ostre ukłucie igły. Nie trafił w żyłę, więc aż zajęczałam. Przyciągnął mnie do siebie, zatkał usta dłonią i odrzucił kaptur. Był to Adiutant Justice.

- Wychodzimy - oznajmił. Szybkim ruchem, jakby zabijał owada, wbił mi w szyję następną igłę. - Acetylen.

Po kręgosłupie przebiegł mi nagły dreszcz rozkoszy. Skinęłam głową z wdzięcznością. Porządnych leków nie podawano mi już od wielu dni - trudno powiedzieć, od ilu. W miejscu wygolonym na umieszczenie elektrod i ampulek z chemikaliami, które aplikowali mi w trakcie nie kończących się eksperymentów, bolała mnie głowa. Dopiero od kilku dni, po odejściu Tasfannina, serie pytań i testów ustały. Zrzuciłam żółtą nocną koszulę, którą mi dali, i zaczęłam szperać w szafie, wyrzucając ubrania na chodnik.

- Szybko. - Justice obejrzał się i kopnął kilka szalików i skórzaną kamizelkę. Gdy sięgałam po swoje ulubione niebieskie haiku, wtrącił się: - Nie... nie bierz niczego, co mogliby rozpoznać. - Przez chwilę się we mnie wpatrywał, potem wierzchem dłoni przesunął po mojej krótko ostrzyżonej głowie. Spuścił wzrok i posunął nogą coś leżącego na podłodze. - Te...

Włożyłam spodnie i luźną, białą koszulę. Do kieszeni wsunęłam przepaskę Anny z piór kolibrów i zaczęłam szperać w czeluściach szafy, gdy Justice gwałtownie mnie stamtąd odciągnął.

- Wystarczy. - Powłókł mnie za sobą ku drzwiom. Uchylił je i wyjrzał na zewnątrz, wyrzucając za siebie ogarek. Patrzył, jak chwieję się i próbuję odzyskać równowagę. Wreszcie zamknął ostrożnie drzwi i dał mi znak, że ruszamy korytarzem.

Z wrażenia zakręciło mi się w głowie. Ścienne boazerie pęczniały w mroku. Dywan w kwieciste wzory mienił się złotem i błękitem w wilgotnym, deszczowym świetle. Justice wziął mnie za rękę i prowadził półmrokiem korytarza jak dziecko. Nagle zatrzymał się i zaciągnął mnie do jakiejś alkowy. Wyjął coś z kieszeni. Wyczułam jego strach i zamknęłam oczy, dopóki nie przeszło silne pragnienie, by się do niego przyssać.

- Teraz cię zabiję. - Rozwarł dłoń i pokazał mi kobaltową igłę. - Chyba że ze mną pójdziesz?

Przytaknęłam. Wbił we mnie wzrok, po chwili schował jednak igłę i skierował się do drzwi. Gdy ustąpiła wykonana w dawnym stylu kłódka, drzwi otworzyły się, ukazując ciemną, wijącą się w dół klatkę schodową: tajemne przejście Andrew. Popatrzyłam na schody z odrobiną nadziei, że ujrzę go, jak kuca na schodach i zapalniczką wabi pająki.

Nic takiego się nie wydarzyło. Przez całe tygodnie widywałam jedynie doktora Lesliego, Tast'annina i janczarskich felczerów, którzy zjawiali się, gdy podano mi już środki uspokajające. Potem we śnie przypinali mi do głowy hydrauliczne lewarki. Zaczęłam się trząść i oparłam się o Justice'a. Ścisnął mnie za rękę.

W nieprzeniknionych ciemnościach nie widziałam nawet stopnia, na którym stałam. Nagły trzask: Justice trzymał w drugiej ręce kolejną świeczkę. Oparł się o ścianę i rzucił na mnie okiem.

- Chcieli cię zabić - oznajmił. - Wykończyli już większość innych. Dasz radę pójść sama?

Przytaknęłam i pogładziłam go po ciepłej, spoczonej twarzy. Przywarł do mokrej ściany. Językiem dotknęłam swej wilgotnej dłoni. W jego pocie poczułam jednoznaczne pożądanie i zadrzałam na myśl, że on zawsze pragnął jakiegoś pustka, tak samo jak niektórzy moi pacjenci chcieli przespać się z umarłymi. Wbiłam w niego wzrok, aż odwrócił twarz i tak ustawił świeczkę, że jego twarz znalazła się w cieniu. Zeszliśmy po schodach.

Im niżej schodziliśmy, tym powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Drewniane, gładkie ściany ustąpiły miejsca bardziej szorstkim, z granitu i popękanych cegieł. Wychwyciłam fetor zamrażania, uschniętych orchidei, senne opary laboratoriów snu. Jasny

blask świeczki przygasł.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - spytałam.

- Nie bardzo. - Zwolnił kroku. - Ale sędzę, że idąc tą drogą, odsuniemy moment, gdy wpadną na nasz trop. - Obrzucił mnie niepewnym spojrzeniem. - Tędy można dotrzeć do wyjścia. Nie możemy zostać na terenie Laboratorium, bo psy z pewnością nas wysłedzą.

- W którym miejscu wychodzi się na Zewnątrz?

- Przy Szklanej Fontannie.

- A potem?

Wzruszył ramionami i potrząsnął świeczką, na próżno usiłując uzyskać jaśniejsze światło.

- Ciągnie się tamtędy stare ogrodzenie i prawdopodobnie nie ma tam nadzoru. Nigdy nie zależało im na zatrzymaniu was tutaj, starali się raczej odciąć od świata zewnętrznego. Za ogrodzeniem znajduje się las i stary cmentarz. Może się przestraszą i nie pójdą tamtędy za nami. - Schody tak raptownie zakręciły, że na mgnienie oka straciłam go z oczu, słysząc tylko echo jego słów. - Tak czy owak, nie mamy innego wyjścia.

- Więc co zrobimy? - Zakaszlałam, próbując za nim nadążyć. - W lesie nas znajdą...

Machnął świeczką, jakby chciał odgonić niewidzialnych wrogów.

- Wiem. Ale czytałem dysk aplikacyjny twojego przypadku, Wendy...

U dołu dojrzałam jakiś jaśniejszy punkt.

- Masz. - Zatrzymał się, wziął mnie za rękę i zaczął gmerać w kieszeni. - Na wypadek, gdyby nas złapali. - W rozwartej pięści ukazało się pięć lśniących, kobaltowych ampułek.

- Nie chcę - Potrząsnęłam głową. Gapił się na mnie nieruchomym wzrokiem, dotykając kaptura. - Nie boję się. Mogą mnie zabić.

- Nie o to chodzi. - Wepchnął ampułki z powrotem do kieszeni. - Chodzi o sposób...

- Nieważne. On jest w mojej głowie, nie mogę się Go pozbyć. Ona mi Go dała, doktor Harrow.

Nie dokończyłam. Skręcił w otwierające się bez trudu drzwi. Wyszliśmy na jakiś wewnętrzny dziedziniec, zalało nas światło latarni. Justice mocniej naciągnął na twarz kaptur i wyrzucił wypaloną świeczkę.

Zbiegaliśmy schodami, które w blasku siarkowych lamp lśniły żółto i różowo. Wysoko ponad naszymi głowami, na sterzących poddaszach i wieżyczkach LIL, zamigotały przez chwilę jakieś światła. Usłyszałam przeciągły jęk monitorów, które obserwowały górne ogrody.

- Jesteś pewna, że dobrze idziemy? - szepnął Justice. Zbyłam to milczeniem, kierując

się zarówno węchem, jak i wzrokiem: wśród bukszpanów wyczułam drzewa cytrusowe, dalej była kępa karłowatych fortunelli, a stamtąd łatwo już było znaleźć jodły, porastające granice posiadłości.

- Wspominałeś o Szklanej Fontannie. - Tu wskazałam mu punkt, w którym płasała i śpiewała w łagodnym deszczu, tworząc baldachim tęczowego światła.

- Widzisz za nią ogrodzenie?

Mrużąc oczy i wytyżając wzrok, potrząsnęłam głową.

- Będziemy musieli minąć fontannę.

Zeszliśmy z niewielkiego pagórka, kryjąc się w jego cieniu. Z tyłu dobiegło nas szczekanie psów, które pilnowały terenu. Chwilę później rozległo się dzikie wycie, oznaczające, że z jamy pod cieplarnią wypuszczono mastiffy. Justice złapał mnie za rękę.

- Tam! - sapnął.

Wpadliśmy na niski kamienny mur. Po bokach rozciągał się wysoki, nieprzenikniony żywopłot, złożony z lip i ciernistych krzewów, który otaczał cały obszar LIL. Przed nami pojawił się pochylony płot z drutu kolczastego, porośnięty cierniami i bluszczem, z wyjątkiem kilkumetrowej przerwy, w którą zaplatały się pióra i kręgosłup jakiegoś małego, schwytanego w pętlę zwierzęcia. Za drutami rozciągał się las i przekrzywione, niskie garby nagrobków.

Ze wzgórza za naszymi plecami dobiegło szczekanie mastiffa. Obróciłam się na pięcie w stronę Justice'a.

- A mówiłeś, że jest wyjście...

Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w to, co działo się za nami. Potrząsnęłam go za ramię, a on wskazał ziemię, na której leżał prawie przerdzewiały kawałek drutu.

- Tamtędy...

Rozgrzebaliśmy małą powierzchnię, gdy nasze palce napotkały spękany beton i żużel. Justice przykucnął na piętach i zaklął.

Pokręciłam głową, zaczerpnęłam tchu i przywarłam do ziemi. Jakiś kolec przebił się przez ubranie i przeorał mi grzbiet niemal do krzyża. Posuwałam się na czworakach do przodu, ręce i łokcie ocierały się o kruszejący beton i szkło.

Kiedy byłam już po drugiej stronie, Justice się zawahał, wreszcie rzucił się na śliską ziemię, wrzeszcząc, gdy drut rozharatał mu policzek. Po kilku sekundach wygramolił się po mojej stronie. Kamieniami i liśćmi zakryliśmy płytką dziurę, następnie odwracając się, objęliśmy wzrokiem tęczową Fontannę oraz lśniące, szmaragdowe łąki, opadające w dół i ukoronowane diademem strażniczych reflektorów. Gdy za żywopłotem rozległo się

szczekanie psów, zagłębiliśmy się w czarny, ociekający wodą las.

Przez kilka ostatnich stuleci drzewa rosły tu zupełnie dziko. Odgłosy naszych kroków tłumiły gnijące liście. Deptałam po muchomorach wielkości dużych talerzy, z których wydobywały się obłoki brązowego, kwaśno śmierdzącego pyłu. Po kilku minutach Justice zagwizdał, że mam stanąć.

Las ustąpił miejsca polanie z kopułami mauzoleów i kolumnami zakrytymi przez zarośla kudzu. Kępa młodych miłorzębów zasłała ziemię pożółkłymi już liśćmi. Niczym kostki domino, wystające spod poszycia, leżały rozrzucone nagrobne kamienie. Przekręciłam głowę ku zachodowi, w kierunku Chwały Lindenów.

- I po co... - zaczęłam.

- Słuchaj. - Otarł jakiś nagrobek z deszczu i oparł się o jego omszały bok. - Słyszysz? -

■ Ujadanie psów narastało, by zniecka ucichnąć.

- Niemożliwe, żeby dali tak szybko za wygraną. Gdzie... Wtedy to usłyszałam. Wysoko nad głowami rozległ się cichy warkot, nieustający jak szmer deszczu. Po zalanych światłem łąkach LIL pełzło coś czarnego i ogromnego, jakby cień wielkiej chmury.

- Wendy. - Justice stał zapatrzony w niebo. Wykonał jakiś dziwny gest, krzyżując ręce na wysokości nadgarstków. - Wendy, to atak...

W wieżach pojawiło się jeszcze więcej światła, rozległy się krzyki i trzask otwieranych drzwi. Widziałam czekające na łąkach mastiffy, machające niespokojnie ogonami i zapatrzone w niebo. Ich panowie biegali po trawnikach. Reflektory z najwyższej wieży omiatały ciemność, aż wreszcie odszukały cel.

Był to statek powietrzny, jeden z dużych sterowników zwanych fugami. Gigantyczny i niemal bezszelestny, z matowoniebieskim kadłubem i wymalowaną przy tylnym napędzie białą ręką z sierpem księżycy.

Flagowiec Wspólnoty Bałkańskiej.

Nigdy nie widziałam fugi, więc zerwałam się na równe nogi, ale Justice złapał mnie za rękę. Z rykiem zaczął ciągnąć mnie do jednego z mauzoleów.

Pod nogami trzaskały gnijące żółędzie. Popękany blok marmuru stał oparty o grobowiec, który ograbiono wiele dziesiątków lat wcześniej. Justice odsunął blok i zaciągnął mnie do środka. Śmierdziało zbutwiałymi liśćmi. Oderwał brzeg swojej kurtki i owinął mi nim głowę. Chciałam się wyrwać, ale uciszył mnie i ruchem ręki wskazał na zewnątrz.

Nad łąkami, na tle czarnego nieba rysowała się sylwetka fugi; cisza była znacznie bardziej przejmująca niż na przykład wycie syren. Z jej gondoli wypłynęły zniecka strumienie oślepiającego światła, omiatając teren LIL i sięgając skraj lasu. Na naszych

oczach rozpoczynał się atak wirusowy.

Wkrótce usłyszeliśmy odgłos miękkich uderzeń o trawę i korony drzew. Były jak wiatr, który zdawał się zapowiadać wiosnę. W wilgotnym powietrzu rozniosła się słodka woń, aromatem milionów róż maskowano odór mutagenów. Reflektory ogarniały łąki i rozpałały płytkie kałuże, w których gromadził się wirusowy deszcz. Justice wpatrywał się nieruchomo w ten obraz, trzymając w swoich zimnych rękach moje.

Potem fuga wycofała się równie nagle i cicho, jak się zjawiała. Jej światła zgasły, łąki na powrót okryły cienie. Czarny, nieruchomy las wciąż ociekał deszczem. Wypelzłam z kryjówki i spojrzałam na spustoszone ogrody LIL.

Stojące na trawie mastiffy potrząsały łbami. Jeden z nich upadł i lizał przednie łapy. Inny drapał się po pysku, jakby chciał wyciągnąć jakiegoś kleszcza lub rzep. Dookoła zataczali się ich panowie. Usłyszałam krzyk, stłumione głosy innych wołały o pomoc lub jęczały, pozostali zdzierali z siebie ubrania. Zbyt późno rozległo się wycie syreny, ostrzegającej lokatorów Laboratorium Inżynierii Ludzkiej. Justice zadrzał i wypuścił z płuc powietrze. Odwróciłam się i przykucnęłam przy nim.

- Chodziło im o nas? Kim byli?

Potrząsnął głową. Wyglądał na równie oszołomionego.

- Nie wiem. To chyba buntownicy. Fugi z dostaw Wspólnoty.

- Ale co oni tu robią? - Zdjęłam tkaninę, którą okrył mi głowę, i mało nie udławiłam się mdłym zapachem róż. Oparłam się o ścianę, szukając jakiegoś wygodnego miejsca.

- Kto to wie? - Potrząsnął głową. - Może to sprawka Awiatora; może chcieli zrobić na nim wrażenie swoją potęgą...

- Ale jego tu nie ma. Tydzień temu odszedł ze strażą do Miasta. - W ciemności słyszałam jedynie, jak Justice odsuwa kamienie i przegniłe liście.

- Może o tym nie wiedzą. Albo jest im wszystko jedno. A może on już nie żyje, a oni chcą nam to w ten sposób oznajmić.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Syrena na zewnątrz także ucichła. Zastanawiałam się, czy teraz ktoś wyjdzie, aby nas tropić.

- Nie - odezwał się Justice, jakby czytał w moich myślach. Ujął mnie za rękę. - Sądzę, że jesteśmy bezpieczni. Wszyscy w LIL pomyślą, że padliśmy ofiarą deszczu. Nie będą nas szukać, przynajmniej nie dziś wieczorem. Boją się buntowników; będą chcieli wykryć źródło natarcia.

- A co z nami? Czy nie odnajdą nas tutaj łazarze? Na jego twarzy pojawił się grymas.

- Będziemy musieli zaryzykować. Ale chyba jesteśmy tu bezpieczni, przynajmniej po

tej stronie rzeki. - Przytulił mnie. - Jesteśmy wolni, Wendy. Rano będziemy mogli odejść. Znam jedno takie miejsce, gdzie możemy zatrzymać się na kilka dni...

- Ale - wybąkałam - co poczniemy? - Wyobrażałam sobie w ciemności jego wydęte, zamyślane usta.

- Pójdziemy do Miasta - oświadczył na koniec. - Żyją tam moi ludzie, więc może nam pomogą. - Jego głos był jednak pełen wątpliwości.

- Przecież domyśla się, kim jestem. - Przycisnęłam się do ściany, nie podobała mi się bowiem ta przymusowa bliskość. Po zażyciu leku poczułam przyływ sił i pragnęłam już nadejścia świtu. Chciałam się stąd wydostać.

- Nikt o tobie nic nie wie, Wendy - stwierdził cicho. - Poza LIL nikt nie słyszał o tobie i kimkolwiek.

- Nie będą cię szukać?

- Zlikwidowali mnie dwa dni temu, ale panuje tam teraz taki bałagan, że nie zmienili jeszcze kodu przepustki. Wpuścił mnie jeden z serwantów. Nie będą się przejmować. Jestem w końcu marnym Adiutantem. - Zawahał się, by dorzucić: - I nie jestem Ascendentem.

Wsparłam się bezwładnie o ścianę grobowca.

- Co ze mną? - Z LIL wychodziłam wyłącznie pod kontrolą na spacerzy nad rzekę i szaleńcze eskapady do zigguratu w towarzystwie Anny i kilku innych pustków.

- Umiesz cokolwiek robić?

- Potrafię pomóc przy emocyjnej terapii engramowej.

- Cóż. - Nie zrobiło to na nim większego wrażenia. - Mój... lud... jest w Mieście. Może będą w stanie nam pomóc. Może ktoś się tobą zainteresuje. - Spojrzał na mnie krytycznym wzrokiem. - Nikt nie pozna cię w takim stanie.

- Nikt poza LIL mnie nie zna. - To stwierdzenie przypomniało mi smutek i samotność doktor Harrow; zadrzałam. Przyciągnął mnie do siebie.

- Możesz przybrać jakieś imię. Podróżować w przebraniu. To może być ciekawe. - Tarł mnie po karku, pod włos. - Będziesz udawać Kuratora.

- Nazywam się Błędna Wendy.

- To obierz sobie jakieś chłopięce imię i nazwisko. Po chwili zastanowienia obwieściłam:

- Niech mówią na mnie Aidan.

Wyciągnęłam się na mokrej, marmurowej podłodze obok niego i powoli zapadłam w sen.

Spałam niespokojnie. Nie przeszkadzał mi szum wiatru w koronach drzew ani ciche

kroki przechodzących zwierząt, ale nie potrafiłam przyzwycząić się do obcego ciała Justice'a, do migotliwych cieni jego snów. Kilkakrotnie budziłam się przerażona, widząc, jak para błyszczących, zielonych oczu wtapia się w ścianę grobowca. W głowie co rusz rozlegał się głos doktor Harrow, wypowiadający imię moje i jej brata Aidana; wreszcie umilkł.

Tuż przed świtem zbudził mnie dotyk ręki Justice'a, wsuwającej mi się pod koszulę.

- Idź stąd - ostrzegłam go, choć przecież nie miał dokąd pójść. Odsuwając się od niego, czułam jego podniecenie. Przyparł mnie do ściany, jego kurtka łopotała nad nami niczym namiot. Próbowałam ugryźć go w ramię, lecz odepchnął mnie tak, że otarłam się policzkiem o marmur. Mrucząc moje imię i gładząc po głowie, ujął moją twarz w swoje ręce i zaczął całować. Kiedy ugryzłam go w język, odsunął się ze zdławionym krzykiem, lecz odrobina krwi pozostała mi w ustach: starczyło, żeby poczuć jego żądzę, i z drżeniem zamknęłam oczy.

Zaklął i kiedy dotknął czubka języka, na jego palcu pozostała krew. W niemal zupełnej ciemności przypominał kamiennego anioła, który spadł z jednego z nagrobków. Zwrócił się w moją stronę, oczy zamącił mu gniew.

- Niewdzięczna...

Na jego wardze pojawiła się kropla krwi, więc nachyliłam się, żeby go pocałować. Język zebrał resztkę krwi z małej ranki, błysk jego gniewu rozplynął się w rozczarowaniu i dezorientacji. Starał się mnie niezgrabnie objąć, lecz przywarłam do ściany. Bez słowa położył się plecami do mnie. Jeszcze przez długi czas czułam, że nie śpi.

O brzasku wypełził z kryjóWKi. Po chwili wrócił i zaczął mnie budzić.

- Wstawaj. - Zaplótł włosy w warkocz, którego koniec związał czarną jedwabną wstążką. - Nie możemy tu zostać, nawet jeżeli uważają nas za umarłych.

- A wirus?

- Na otwartym powietrzu jest w stanie przeżyć najwyżej godzinę. Nie mamy pewności, czy Leslie i spółka nie zaczną poszukiwać twoich zwłok.

- Czy łazarze będą nas prześladować? - Przeciągnęłam się, myśląc, kiedy i gdzie znajdziemy coś do zjedzenia. Justice stał z rękami w głębokich kieszeniach kurtki i patrzył, jak wpuszczam koszulę w spodnie.

- O tej porze chyba najłatwiej im umknąć. Po deszczu róż czują się... nasyceni.

- Nigdy żadnego nie widziałam - przyznałam z uśmiechem. - I chce mi się pić.

Wbił we mnie wzrok, jakby czegoś oczekiwał: może przeprosin. Poprawiłam mankiety koszuli, żalując, że nie zabrałam jakichś innych ubrań. Po chwili potrząsnął głową.

- No, to chodź.

Nad zachodnim skrajem lasu unosiła się rozświetlona słońcem mgiełka, tam też, przez gęstwą ciemnozielonych liści, dojrzałam opalizującą mgiełkę Szklanej Fontanny i czysty szmaragd łąk LIL.

- Jak chcesz, możesz wrócić i sprawdzić, co się tam dzieje - zaproponował Justice.

- Nie chcę. - Po raz ostatni rzuciłam okiem na dom i poszłam jego śladem. - Nie musiałeś mnie uwalniać. Jeśli chcesz, mogę sobie teraz radzić sama.

- Ha, ha! - parsknął, jednocześnie przytrzymując mi nad głową żylaste pnącze sumaku.

- Po co miałbym zostawiać cię tu na łaskę losu po tym, co razem przeszliśmy. - Nieco podniesionym głosem zapytał: - Dlaczego mnie w nocy ugryzłaś?

- Bo nie lubię jebania.

- To dlaczego mnie pocałowałaś?

- Przyssałam się.

Jego oczy pociemniały, gdy stanął obok, kopiąc grzyby i mokre liście.

- Ze co?

- Potrafię odczytać kody we krwi. - Zmrużyłam oczy, by odnaleźć pośród starożytnych drzew ścieżkę.

Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, wruszyłam ramionami i zaczęłam przedzierać się przez leśną gęstwinę.

Szliśmy w milczeniu, podczas gdy słońce wspinało się coraz wyżej. Zdaje się, że Justice kierował się położeniem słońca i rzeki. Czasami dostrzegaliśmy poprzez listowie jej niebiesko-złoty błysk.

Nad ziemią zaczęła unosić się ciężka, przesycona wonią jaśminu para. Jej źródłem były kobierce małych białych kwiatów, okrywających grunt niczym mech; ich kielichy były nie większe od moich paznokci. Gdy przy nich przystawałam, kielichy otwierały się i zamykały niczym usta. Dotknęłam jednego i wtedy chciał zacisnąć się na moim palcu.

- Justice, patrz! Jest głodny... Potrząsnął głową i postawił mnie na nogi.

- Nie rób tego, Wendy.

- Są trujące?

- Czasami. Po deszczu róż wszystko się zmienia.

Poszłam za nim. Gdy był odwrócony, kopałam białe kwiatki i obserwowałam, jak rozwierają się ich kielichy.

Mijaliśmy spróchniałe fundamenty małych drewnianych budynków, rumowiska stalowych ścian, przepaścistych bunkrów i zigguratów handlowych, które wzniesiono na ruinach w czasie Trzeciej Ascenzji. Na rozpadających się schodach zigguratu dostrzegłam

zwinęte w kłębek, drzemiące miedzianki i inne większe węże, czarno-niebieskie, pokryte długimi i delikatnymi łuskami, które wręcz przypominały pióra. Zwalone, stalowe łuki obsiadły jaszczurki o złotych ślepiach i błękitnych jezorach, czekające cierpliwie, aż zbudzone świerszcze przylecą wygrzewać się na metalu. Chciało mi się jeść. Justice zaczął na mnie przy kępie drzew. Machnąłam ręką na znak, że może iść dalej, a gdy się odwrócił, schwyciłam drzemiącą jaszczurkę. Była piękna, okrągłe, wypukłe łuski miała podobne do rdzawo-lazurowych ćwieczków. Wolałabym zachować jej skórę, lecz musiałam zabić ją błyskawicznie, gryząc w szyję. Wyssałam krew z jamy ciała i połknęłam kęs mięsa z brzucha i ogona. W mózgu zabłysła iskra głodu i gorąca zwierzęcia: ciepło owadów, potem szybkie cięcie moich zębów przez kręgosłup. Tyle tylko z niej wydobyłam. Żal mi było tych łusek.

Dogoniłam Justice'a i szliśmy dalej w milczeniu.

- Jeszcze chyba nigdy nie zapuszczałaś się tak daleko, prawda? - przerwał w pewnej chwili milczenie.

- Nie było po co wychodzić z LIL.

Rzeczywiście, po co? Doktor Harrow przestrzegala, że świat zewnętrzny jest pełen zepsucia i zagrożeń. Zwłaszcza ruiny Miasta Drzew nie były miejscem odpowiednim dla istoty, której życie zależało od starannie dobieranej diety, złożonej ze związków chemicznych i skradzionych snów. Justice dał mi teraz znak ręką i nakazał podejść na brzeg lasu. Za nami zostało chłodne schronienie drzew.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałam, omijając roztrzaskane granitowe bloki.

- Koło Mostu Klucza.

Ułożona z popękanych kamieni biała ścieżka zaczynała się przy drodze i wiała pomiędzy drzewami. Justice zawahał się i przykucnął na asfaltowym występie.

- Zabłądziliśmy? Potrząsnął głową.

- Nie, ale wkrótce zapadnie zmrok. Tam zaczyna się Miasto. Wskazał przeciwległy brzeg rzeki. Przez zasłonę roślinności dojrzałam zniszczone dachy i wieże, które na wyścigi z koronami drzew chłonęły popołudniowe słońce.

- Zmęczona?

- Nie. - Byłam podenerwowana, czujna. W LIL o tej porze ubieralibyśmy się na kolację lub kradli wszystko, co potrzebne na tajne spotkania w swoich kwaterach. W myśli wkradła mi się jakaś niepewność: strach przed tymi lśniącymi oczyma i tęsknotą, którą we mnie rozpałały; strach przed samotnością, który powracał, gdy tylko przypominałam sobie białą postać doktor Harrow, leżącą na podłodze w Pokoju Horne'a...

- To dobrze. Przejdziemy tamtędy...

Pobieglam spojrzeniem za ruchem jego ręki i usiłowałam przebić wzrokiem gąszcz. Wreszcie ujrzałam wzniesiony nad mroczną rzeką most: starożytne, przerdzewiałe kratownice tworzyły filigranową, czerwono-czarną mozaikę, dzikie wino okrywało niższe rozpory zielonymi falbanami, które drżały na ciepłym wietrze.

Wstąpiliśmy na ścieżkę z białych kamieni. Pokryto nimi dawną drogę, wysadzaną wysokimi dębami i okoloną krętą siecią rowów, w których stała teraz zatechła woda. Od czasu do czasu spod zieleni lub bagnistej kałuży wychylała się skorupa samochodu lub roweru. Usłyszeliśmy nawet, że coś miota się w rowie. Justice pociągnął mnie w zarośla, skąd patrzyliśmy, jak jakaś blada, szczupła kończyna lub macka delikatnie burzy powierzchnię czarnej wody. Justice czekał obojętnie, dopóki macka nie skryła się w zamulonej wodzie i nie zniknęły wywołane przez nią fale.

Po kilku minutach dotarliśmy do mostu. Justice kręcił głową, jakby coś węszył. Potem odwrócił się do mnie i roześmiał z ulgą.

- Jesteśmy na miejscu. Udało się.

Idąc za Justice'em, znienacka poczułam w sobie Jego obecność, ocierającą się o pancerz nerwów i kości. Zdawałam sobie sprawę, że ciemna strzała, która mnie przeszła, nie była wyrazem radości ani mojej, ani Aidana czy doktor Harrow, lecz Jego, tego Drugiego ze mną i we mnie.

On sam też zobaczył Miasto i widok ten nappełnił go wściekłą radością: radością, głodem krwi i pragnieniem czci.

Zastanawiam się, co w chwili przekraczania rzeki, leniwego strażnika mojego dzieciństwa, poruszyło mnie na widok upadłego Miasta Drzew, rozwiniętego przede mną jak podarta flaga, jeszcze dzielniejszego za sprawą swych zdeptanych herbów?

Doktor Harrow przedstawiała nam Miasto jako brudną metropolię, słusznie opustoszałą: tanią błyskotkę, niewartą zachowania. Jego mieszkańcy zginęli straszną śmiercią podczas Długiej Nocy Pierwszej Ascenzji - z głodu, od choroby popromiennej, zarazy. Władcy zdążyli uciec na zachód. Tam zginęli wśród pustkowi lub dołączyli do rodzącego się sojuszu, który sto lat później miał rozpocząć Drugą Ascenzję. Od tego czasu Miasto zajmowali badacze (i markietanki), posłani dla odzyskania części wiedzy Urzędników, potem zaś, w chaosie, jaki zapanował po pierwszym użyciu mutagenów, zupełnie o nich zapomniano. Byli teraz właścicielami Miasta: wściekli strażnicy bezużytecznej wiedzy i ich kurwy, pasące się na ruinach jak tłuste kleszcze. Po ulicach grasowały dzieci - ludożercy i niewolnicy genetyczni, pożerający żywych.

Doktor Harrow nieodmiennie szkicowała nam obraz szarego, niewartego wzmianki

miasta, okolonego martwą rzeką.

A przecież teraz jej nurt jakby zbudziły odgłosy naszych kroków, ciężkie wody rozbłysnęły pod mostem srebrem i błękitem. Zamiast ryb o łuskach koloru błota, które żerowały na naszych nabrzeżach w oczekiwaniu na rzucane im okruchy, ujrzałam olbrzymiego złotego karpia, który z wolna dopłynął do powierzchni, by spojrzeć na nas swoimi okrągłymi, mądrymi oczami. I ptaki morskie, których przenikliwe krzyki budziły w martwym powietrzu echa białych wybrzeży, rybitwy i orły, polujące na szlachetnego karpia, wydry, rozdzierające lśniące wody niczym strzały. Zastygłam w bezruchu.

- Co ci jest? - zawołał Justice, odwracając się w moją stronę.

Pokręciłam głową i jedną ręką wsparłam się o zardzewiałą żelazną poręcz. „Za dużo!” - miałam ochotę wrzasnąć; odruchowo przykucnęłam, by uderzyć czołem w słupek. Jednak nawet tam kłębiło się życie: rząd szkarłatnych robaczków przedzierał się pośród odpadających płatków zielonej farby, kłęczce kudzu jakby kiwało na mnie palcem. Zaczęłam wrzeszczeć.

- Wendy! Przestań... - Justice ukląkł przy mnie. Złapał mnie w nadgarstkach i odciągnął od balustrady, tak że uderzyłam głową w powietrze.

Chciałam walnąć w jego pierś i uciszyć jazgot w głowie, usunąć widok wszystkich tych poruszających się i błyszczących rzeczy. Mocno mnie przytulił do siebie i po chwili uspokoiłam się: wreszcie znowu mogłam skupić wzrok na spękany beton, podartym brzegu jego kurtki, moich knykciach, do których napłynęła krew.

- Już dobrze? - Twarz miał bladą jak płótno. - Co to było?

Głęboko wciągnęłam powietrze, tak jak, zgodnie ze wskazówkami doktor Harrow, powinnam oddychać po ataku; potem zamknęłam oczy i skupiłam się, próbując przywołać jakieś wspomnienie, które zatamowałoby tę straszną powódź odczuć i światła. Nie odnalazłam jednak niczego podobnego do tej rzeki, tych ptaków, tej złotej mgiełki, która zasłaniała wschodni brzeg. Pojawiło się tylko niejasne, pocieszające wspomnienie uschłych drzew i pagórków, tkwiące we mnie jak zimna grudka złota; więc skoncentrowałam się na tym, dopóki nie uspokoiłam się i nie byłam w stanie coś wykrztusić.

- Za dużo - szepnęłam, osłaniając oczy od słońca. Justice okrył mnie kurtką i pomógł wstać.

- Pójdiesz sama?

Przytaknęłam i owinęłam twarz fałdami tkaniny.

- Za szybko - wyszeptałam.

- Nigdy nie wychodziłaś na zewnątrz - stwierdził, jakby dopiero teraz w całej pełni

zdał sobie z tego sprawę.

- Już ci mówiłam. Przejdzie, po prostu, za dużo światła, te wszystkie... - Machnęłam ręką na migotliwe kształty, które dostrzegałam kątem oka, mewy, igrające przy mostowych wałach.

- Przepraszam... nie chciałem ryzykować i kraść jeszcze więcej lekarstw. Możesz...

Ale już poczułam się silniejsza - jak po każdym nowym odczuciu, o ile nie zmiażdżyły mnie pierwsze gwałtowne wrażenia. Zaczepiłam tchu i podniosłam głowę.

- Już mi lepiej. - Wyciągnęłam rękę i zgięłam ją, czując przepływającą szybko krew. Popatrzyłam na Justice'a. W dali za jego plecami można było z trudem dostrzec ruiny, które były moim domem. Odwróciłam się w stronę nieznanego Miasta, mającego początek zaraz za mostem. Nagle roześmiałam się tak głośno, że sznur przelatujących w pobliżu mew raptownie się od nas oddalił. Potem pokonałam kilka ostatnich stopni na przeciwległy brzeg.

Tym sposobem wkroczyliśmy do Miasta Drzew. W zapadającym zmierzchu wyglądało bardziej osobliwie, kontury ruin i zielonych drzew zalewało ponure światło. W powietrzu czuć było jeszcze lato, dzięki winogrona, dzwonki i zatęchły oddech rzeki. Szliśmy wśród gruzów dawnej drogi. Nad betonem wznosiły swe korony dęby i złotowłose. Powierzchnię drogi porastał bluszcz i pędy ciernistej rośliny. Wchodziliśmy łagodnym stokiem wzgórza, gdzie unosiły się wonie dzwonków i innych, nie znanych mi kwiatów. Szmer rzeki stopniowo cichł za naszymi plecami. Justice stawał się coraz bardziej czujny. Często przystawał i oglądał resztki jakiejś starożytnej budowli - metalowy pomnik w kształcie człowieka o twarzy porośniętej dziką różą, wielką maszynę z jakiegoś gładkiego, pozbawionego rys materiału, cały czas szumiącą i wibrującą, mimo że na jej czarnej powierzchni wygrzewały się całe stada scynków - mlaskał z niesmakiem językiem lub cicho kłął.

- Tak szybko się to zmienia - odezwał się. Zdesperowany spojrzał na karoserię autobusu, leżącego w rowie niczym jakieś zwierzę, które utonęło, wreszcie popatrzył w stronę widnokręgu.

Od głodu i pragnienia zaczynało mi się robić słabo i niedobrze. Co gorsza, przestawał działać acetylen. Odczuwałam skutki wielodniowego braku leków: pustka w głowie i Ciche Głosy, które - gdy się w nie wsłuchiwałam - wołały nie cicho, lecz natarczywie. Były to migotliwe iskry świadomości wszystkich pacjentów, do których przyszałam się w LIL, rozpalone okruchy pamięci i pożądania, utrzymywane w więzieniu mej duszy ciągłymi dawkami lekarstw. Teraz znowu wypełzały z ukrycia, jak działo się to we śnie, po zmianie dawki albo po bezlitosnym sondowaniu przez felczerów doktora Lesiego. Potknęłam się i

zakryłam uszy, jakbym chciała w ten sposób je uciszyć.

- Co ci jest? - Justice obserwował mnie z troską.

- Ciche Głosy. - Tak nazwałyśmy je z Anną w dzieciństwie, zanim jej ulubiony Głosik nie zmaterializował się w postaci Andrew, sobowtóra.

Justice obrzucił mnie niczego nie rozumiejącym spojrzeniem. Wzruszyłam ramionami i dalej szłam za nim przez poszycie. Byłam tak wyczerpana, że do bełkotu Głosów przyzwyczaiłam się tak samo jak do treli ptaków i świerszczy. Po dłuższej chwili piski prawdziwych ptaków, układających się na noc do snu, zagłuszyły Głosy.

Przemierzyliśmy polanę, okoloną białymi drzewami, podobnymi do brzóz. Powietrze nasycił zapach ciepłej ziemi i nagietków, a jednocześnie jakiś odór, jakby cuchnącej wody w pustym pniu spróchniałego drzewa. Zieleń i błękit nieba stawały się coraz głębsze. Westchnęłam, czując chłodny powiew wiatru na wygolonej czaszce, i patrzyłam, jak długie, smukłe gałęzie brzóz kołyszą się na wietrze, jakby wyciągały się w moją stronę. Już sięgałam po jedną z nich, zamierzając umościć sobie na niej miejsce do drzemki, gdy Justice złapał mnie i odciągnął stamtąd.

- Nie rób tego, Wendy!

Oparłam się na nim i próbowałam się wyrwać, ale on przytrzymał mnie mocniej i obrócił głowę.

- Patrz...

Oparte o pnie dwóch drzew, w pozycji wymarzonej przeze mnie do odpoczynku, pod koronkowym listowiem brzóz, leżały dwie postacie. Głowy zapadły się w luźne fałdy janczarskich mundurów. Wiciowate gałęzie oploty się wokół nich, wijąc pomiędzy warstwami żółtej tkaniny, by spocząć na rękach, oczach i piersiach. Jedna z postaci zarzuciła rękę na oczy, jakby chciała osłonić je przed słońcem. Z jej nadgarstka zwisały pomarszczone płaty skóry. W policzkach robaki wywierciły niewielkie, doskonale okrągłe otwory. Reszta twarzy zsunęła się z czaszki jak cienka, źle dopasowana maska.

Druga postać patrzyła na nas nieruchomym wzrokiem. Na moich oczach jej usta bezgłośnie się poruszyły, wypełził z nich czarnoskrzydły żuk, który przeszedł przez brodę i wylądował na kołnierzu munduru. Wokół niej falowała sieć gałązek, których kora ledwie widocznie pulsowała, gdy żywiły się jej ciałem.

Justice odwrócił się i chciał mnie za sobą pociągnąć, ale ja nie mogłam oderwać wzroku. Obraz rozmazał się. Blask słoneczny ustępuje miejsca szaremu zmierzchowi, białe żebra i kości palców wynurzają się z czarnej wody, kolejne drzewo o konarach złamanych pod ciężarem ciała. Pada, zwraca ku mnie nagie, wytrzeszczone oczy, a ja wrzeszczę i

odwracam głowę...

- Ciszej, Wendy. - Justice wyprowadził mnie z polany, odsuwając rojące się od pszczoł i wróbli pnącza, aż nie znaleźliśmy bezpieczniejszego zakątka. - Siadaj tutaj...

Usadowiłam się na sporym kamieniu, oddychając głęboko, dopóki się nie uspokoiłam.

- Betulamia - wyjaśnił. Siedział jakiś metr ode mnie, ze stopami opartymi o kamień, a głową spuszczoną na kolana. - Nic nam już nie groziło, bo się najadły.

Oderwałam liście od rosnącego u stóp dąbka.

- Nie w tym rzecz. Przypominały mi coś innego. Odpoczywaliśmy kilka minut. Justice rozejrzał się na zachód i północ, starając się zorientować w położeniu. Gdy ruszyliśmy w drogę, spytałam:

- Gdzie idziemy?

- Niedaleko stąd mieszka kobieta z mojego Domu; jeżeli nie odeszła, nie wygnali jej albo...

Lasy pozostały w tyle, naszym oczom ukazała się szeroka, trawiasta aleja, przerywana pędami drzew i zielonymi kopczykami zarośniętych samochodów. Po jednej stronie zbiegała ku rzece. Na lewo wznosił się pagórek, gdzie stała budowla o złotej kopule i marmurowych kolumnach zarośniętych wistarią i bluszczem. Zachodzące słońce rozplómięło kopułę, tak że nie sposób było patrzeć na nią, nie mrugając powiekami, natomiast z wąskiego, zakratowanego okienka na parterze biło światło znacznie bledsze.

- Jest u siebie! - stwierdził Justice.

Pozwoliłam pociągnąć się przez omszały krawężnik ku niewielkiemu, oczyszczonemu z roślinności patio. Zmrużyłam oczy i odczytałam napis na popękanej kopule:

RI S ANK NARÓD

Na drzwiach wisiała mała drewniana tabliczka, na której wypisano wyblakłą, lecz staranną kursywą:

OSTATNI BANK NARODOWY

Lalage Święty Alaban

Filtry miłosne

Wrózenie z fusów herbaty

Leki psychotropowe

- Co to takiego? - zaczęłam, lecz Justice zdążył przebiec schody wiodące do olbrzymich metalowych drzwi. Wisiał tam wielki krąg ze stali. Justice uderzył nim raz i drugi. Gdy w pustej ulicy rozniósł się trzeci łoskot, drzwi nieznacznie się uchylały. Wyjrzały przez nią zadziwiająco błękitne oczy.

- Lalage! - ryknął. - To ja, Justice...

Niebieskie oczy zniknęły. Ostry zgrzyt oznaczał odsuwanie rygli. Jedno ze skrzydeł bramy otworzyło się.

- Justice!

W ciemności wypatrzyłam niewielką postać, która na mój widok stanęła jak wryta. Justice ominął mnie i wszedł do środka. Wahałam się.

- Nic się nie bój, Wen... Aidan - rzucił za siebie. - To tylko Lalage!

- Justice - burknęła kobieta. Wbiła we mnie podejrzliwe spojrzenie.

- To mój przyjaciel, Lalage. Patron.

- No, dobrze - westchnęła i nieco szerzej rozchyliła drzwi. Ukazała się przestronna izba. Światło wpadało do środka przez umieszczone bardzo wysoko okna, zabarwiając wnętrze na zielono i złoto. Na podłodze poustawiano stoły z części samochodów, wokół nich leżały lub stały krzesła. Wszędzie kręciły się jakieś małe stworzenia, a w powietrzu roznosił się silny zapach zwierzęcia.

- Dziękuję, Lalage. Nie miałem pewności, czy jeszcze cię tu zastanę... - Jego głos rozlał się po przepastnym pomieszczeniu. Kobieta roześmiała się, przekręcając szereg zamków i rygli w drzwiach.

- A gdzie miałabym się podziąć? Jestem już za stara na niesienie rozkoszy. Nie wyobrażasz mnie sobie chyba w kuchniach Świętego Alabana, co?

Roześmieli się oboje. Lalage przeszła pokój i objęła Justice'a; ja zostałam sama, błakając się pośród sprzętów opustoszałego przytułku. Ruchliwe kształty okazały się ptakami: perliczkami, pawicami i gołębiami. Pawie wlekły usmolone ogony po brudnej podłodze. Umieszczone w cieniu, zakratowane komory strzegły rozbitych monitorów i pozostałych krzesel.

Justice zawołał mnie i przeszłam na drugi koniec pomieszczenia, spychając z drogi perliczki.

- Lalage, pozwól, że przedstawię ci mojego towarzysza, Aidana. Nachyliła głowę w moją stronę. Uśmiechnęła się i uniosła trzy palce do ust w geście, który natychmiast podchwycił Justice: pafiańskiego pozdrowienia.

- Przystojny luby - stwierdziła i mrugnęła okiem do tamtego.

- Zwłaszcza jak na Kuratora...

- Nie jestem żadnym jego lubym! - zaczęłam gorąco protestować, lecz Justice natychmiast wszedł mi w słowo.

- To prawda, nie jest moim kochankiem. Po prostu razem podróżujemy.

- Rozumiem. - Lalage skinęła głową, ale w kącikach jej ust ciągle igrał uśmiezek. Staliśmy na samym środku izby, dzięki czemu mogłam jej się dokładniej przyjrzeć. Była niższa ode mnie i Justice'a, bardzo chuda, miała sukienkę z jakiejś niezwykle ciężkiej, zielonej tkaniny, niegdyś z pewnością wykwintnej, teraz niechlujnie obwiązanej jakąś czarną wstęgą i upstrzonej ptasimi odchodami i smugami brudu. Jej ręce - choć brudne - były małe i zgrabne, obwieszane drogocennymi bransoletami i starożytnymi pierścieniami. Oczy starannie podmalowała, by uwydatnić ich matowy połysk i osobliwą barwę: ciemnego błękitu. Siwe włosy - kiedyś blond jak u Justice'a - splecione w warkocze opadały znad szpiczastej, lisiej twarzy. W jej pocie wyczuwałam drogie przyprawy - cynamon, drzewo sandałowe, gorzką rutę. Wzięła z ziemi uwalaną brudem perliczkę i łagodnie ją głaskała.

- Ciekawy towarzysz podróży. - Wpatrywała się w moje krótkie, kasztanowe włoski. - Kiedyś będziesz musiał opowiedzieć mi o swych przygodach w Cytadeli. - Przechyliła głowę w stronę rzeki, w kierunku LIL. - Sądziliśmy, że porzuciłeś nas dla Ascendentów.

Justice odrzucił głowę, unikając jej spojrzenia.

- Tęskniłem za swoim ludem. Ale powiedz no, kuzynko: nie spodziewasz się gości?

Lalage westchnęła, wrywając z piersi perliczki kępki puchu.

- Rzadko kiedy. Handel z ludźmi spoza Miasta osłabł. Spodziewałam się otrzymać od Botaników więcej frilitu i morfy, ale nie widziałam ich na oczy od dwóch tygodni. - Zniżyła głos, spoglądając na wysokie łuki sklepienia. - Pojawiły się pewne kłopoty. Z Cytadeli wysłano tu nowego Rządcę. Kuratorzy nie posiadali się z oburzenia. Zjawił się u nas w zeszłym tygodniu...

- W lesie widzieliśmy dwóch janczarów uwięzionych przez drzewa. - Justice kiwnął głową.

- Oni towarzyszyli Rządcy. Przybyli w nocy, nakarmiłam ich, udawałam nieświadomą niczego, nawet oddałam ostatnie fiolki morfy. Nazajutrz posłałam ich w drogę.

Jej oczy rozbłysły. Zapach jej sprytu przypominał woń gęstego piżma. Wypuściła perliczkę w powietrze, ta zatrzepotała i odleciała w ciemność.

- Rządcy już się z nimi nie spotkają.

- Ale poza tym wszystko pozostało bez zmian? Jak nasi ludzie? - Justice rzucił mi niespokojne spojrzenie.

- Rzadko tu zagląдают. - Potrząsnęła głową. - Boją się przebywać tak blisko granic Miasta. Cały tydzień siedzę sama. Z wielką przyjemnością ugoszczę was kolacją. Chodźcie.

Poszliśmy jej śladem; Justice posyłał mi ostrzegawcze spojrzenia, gdy tylko próbowałam go o coś zapytać. Przy przeciwległej ścianie izby ustawiono okrągłe stoły, na

niektórych jeszcze stały kielichy klejące się od absyntu i wypełnione pipetkami do kandykainy. Wśród śmieci buszowały wychudzone koguty i czarne kury. Kopnęłam pękniętą rurkę po morfie, jaskrawa dawniej etykieta z Księżycowym Człowiekiem zmieniła się na niej w bladą plamę.

- Już dawno tu nie sprzątałam - przyznała Lalage. - Bez Patronów w sumie nie warto...

Weszliśmy za nią w wąski korytarz. Podłogę okrywały płyty marszczonej gumy, kruche i ze starości zawijające się po brzegach.

Korytarz oświetlały długie rury, zawieszane u sufitu. Wypełniono je mętną wodą, która lśniła zielono i niebiesko, a zanurzone w niej fosforyzujące algi i okrzemki wysyłały bladą, dziwną poświatę. Na szczęście ptaki wołały półmrok rotundy. Z pewną ulgą poczułam w płucach chłodniejsze powietrze, lekko naznaczone słodko-gorzkiem zapachem starego absyntu.

- Zaczekajcie chwilę, a ja przygotuję atrium. - Posłała mi promienny uśmiech i zniknęła za wystrzępioną zasłoną.

Wtedy zwróciłam się do Justice'a.

- Jesteś Pafianem - stwierdziłam, przypierając go do ściany. - Sprowadziłeś mnie tu jako prostytutkę.

Skrzywił się i potrząsnął głową.

- Nic z tych rzeczy, Wendy. Ale rzeczywiście, jestem Pafianem. - Przytknął trzy palce do dolnej wargi: pafiańskie pozdrowienie, oznaczające trzy płcie. - Nie mam do ciebie żadnego prawa, lecz oni by cię zabili, Wendy. Gdybym jednak musiał cię im zostawić, najpierw sam bym cię zabił...

Znowu poczułam zapach podniecenia, tym razem z metaliczną domieszką strachu, gdy się ode mnie odsunął. Poczułam nagły przypływ energii, jakbym dostała zastrzyk acetyleny. Z obrzmiałych węzłów chłonnych na skroniach promieniowało ciepło, aż skóra na głowie zaczęła swędzieć, a włosy stawać. Nagle to poczułam, poczułam Jego, to wszechogarniające pożądanie i grozę, które zalało mnie jak przypływ surowej adrenaliny. Zaśmiałam się.

- Ukradłeś niewłaściwą zabawkę, Justice - szepnęłam. Przysunęłam się do niego, aż poczułam jego płytki, ciepły oddech. Następnie polizałam policzki, czując gorzki smak. Chwilę później ugryzłam go w usta, tak mocno, że zęby zetknęły się, przebijając miękkie ciało.

Krzyknął i odepchnął mnie, ale i tak zdążyłam go pocałować i wyssać sporą porcję krwi. Intensywność jego żądz była tak duża, że zatoczyłam się, a potem ręką starłam z brody krew. Zaczęłam oblizywać palce, lecz złapał mnie za rękę.

- Nie ukradłem cię! Ocaliłem...

Jego słowa odbiły się ode mnie jak od ściany, gdy trzęsłam się od nagłego przypływu rozkoszy. Zamachnęłam się na niego, ale potknęłam się tylko i upadłam. Ból zlał się w jeden obraz, stworzony z ostatniej kropli krwi na języku:

Moja twarz, spokojna i bez wyrazu na poplamionej poduszce. Jakaś złotowłosa postać stoi nade mną w milczeniu, całymi godzinami przyglądając mi się we śnie...

- „Wendy...”

Zamrugałam powiekami i zobaczyłam go przed sobą, bladoniebieskie światło zabarwiało jego kości policzkowe i błyszczące oczy. Nie miał już na sobie złotych szat z LIL, strąki włosów luźno zwisały. Potrząsnęłam głową, usiłując wstać. Justice obejrzał się za siebie i podał mi rękę, pomagając odzyskać równowagę.

- Zemdląłeś. - Pocierał ze smutkiem ciemną szramę na dolnej wardze. - Ty naprawdę zwariowałaś.

Wbiłam wzrok w fosforyzujący sufit. Głowa pękała mi z bólu, a przyprawiające o zawrót głowy napady pożądania powoli mijały. Czułam tylko dość obojętny żal, że skrzywdziłam chłopca, który mnie uratował.

- Nie jestem dla ciebie dobrym towarzystwem, Justice - stwierdziłam. - Zawsze będę cię niechcący krzywdzić.

Przysunął się w moją stronę, kątem oka obserwując drzwi, za którymi zniknęła Lalage.

- Tamtego popołudnia zobaczyłem twój skan. - Mówił cicho, nie odwracając ode mnie niebieskich oczu. - Wtedy, gdy przyszło ci do głowy, że rozpoczyna się u ciebie stan fugi.

- Myliłam się.

- Coś się jednak wydarzyło; dlatego też przyszedłeś do mnie na skan. Zabiłeś ich, prawda?

Czułam nabrzmiewający w piersi ciężar.

- Nie - wyszeptałam. - Już im wszystko opowiedziałam, nie zabiłam.

- Ale jakimś sposobem zmusiłeś je do samobójstwa: Morgan Yates, Emmę Harrow, badaczkę snu. Te wszystkie dzieci. Dlaczego? Jak?

Schyliłam się i złapałam za kolana. W mojej głowie powstawała wizja nie związana z zalany przyćmionym światłem pomieszczeniem, w którym staliśmy. Przygryzłam wargę, zrobiło mi się niedobrze od smaku własnej krwi; pomyślałam, żeby raz jeszcze przyssać się do Justice'a, wprowadzić go w roziskrzony pejzaż, który czał się gdzieś pod moimi powiekami. Czarne góry, nieskończona równina, zalana białym, martwym blaskiem. Jeszcze

coś innego zaczęło powstawać w powietrzu przede mną. Jakaś widmowa postać przyciąła się, jakby do skoku.

Wyrwałam rękę z dłoni Justice'a i zaczęłam walić w ścianę za nami, mocno, aż z bólu odebrało mi oddech. W moim wnętrzu zadrżał jaskra wy horyzont. Zniknęła widmowa sylwetka. Siedziałam w wąskim korytarzu z migoczącymi, niebieskimi światłami i dzikim wzrokiem wpatrywałam się w młodego blondyna.

Zazgrzytałam zębami, czekając, aż ustanie pulsowanie w knykcjach.

- Justice - zaczęłam - doktor Harrow sama zgłosiła się do mnie na terapię. Wiedziałaś o tym? - Źrenice nakrapianych złotem oczu zwężają się: nie. - Stało się coś złego. Bardzo dawno temu... Razem z bratem bawiła się w... w... magię. Przywołali coś, i to coś przybyło. Coś silnego i niebezpiecznego. Zabiło jej brata; oszalał i powiesił się. Ale ta... hipostaza... cały czas tkwiła uśpiona w jej głowie. Gdy przed czternastu laty zakładała mi neuronowe wszczepy, engramy miały niespotykaną siłę. Nieświadomie mnie zaprogramowała, sama nie wiedząc, że to we mnie jest. Zresztą ja sama nie miałam o tym pojęcia. I nic się nie działo, dopóki nie osiągnęłam wieku, w którym oni dwoje zbudzili tę istotę, a wtedy... wtedy się ujawniło.

- I według ciebie to jest przyczyną śmierci doktor Harrow? - Przechylił głowę z niedowierzaniem. - Co powiesz o innych?

- Czekają, aż przyssam się do kogoś podatnego na jego działanie. Przyczepiało się do nich: do Morgan, Melisandy...

- Poetka i chore dziecko, śniąca kobieta - wolno cedził Justice - i doktor Harrow... - Spletliśmy palce. - Ale co to takiego?

- Nie wiem. Jakaś hipostaza. Jakiś okropnie niszczycielski impuls...

- Bliźnięta i... to coś. - Wpatrywał się we mnie z zadumą. - Jak Baal i Aanat.

- Że co? - Zniecierpliwiona potrząsnęłam głową.

- Taka opowieść, nasza maska o bliźniętach. W Świętym Alabanie. Baal budzi Śmierć, lecz jego siostra Aanat go ocala. Tak naprawdę to opowieść z Magdaleny. Bajka. - Parsknęłam, na co się obruszył. - Ale skoro nosisz to w sobie, to czemu nie miało na ciebie wpływu? Dlaczego jeszcze żyjesz? Czemu nie wykończyło innych empatów, do których się przysysałaś?

- Nie wiem. Może wynika to z naszej natury, że nie ma się czym w nas karmić. Ale ją doprowadziło to do rozpacz. To, co z niej pamiętam... - Na samo wspomnienie oblizałam wargi.

Justice aż się wzdrygnął i ostrożnie potarł usta.

- Czyli to coś w rodzaju rodzącej się, odrębnej osobowości - stwierdził. - Jak Andrew...

- Nie! - zaproponowałam. - Andrew jest częścią Anny. Wywołali jego istnienie, gdy była jeszcze mała. Bała się ciemności - przypomniałam sobie z nostalgią. - Ale to coś nie jest moje.

- Skąd wiesz? Wszystkie wtórne osobowości w LIL uważały się za niezależne.

- Nie jestem sobowtórem! - warknęłam.

Złapał mnie za rękę, lecz w tej chwili usłyszeliśmy szum odsuwanych za nami zasłon.

- O, przepraszam was bardzo - powiedziała z uśmiechem Lalage. Odsunęłam się od Justice'a i nieco za szybko wstałam. Znowu zakręciło mi się w głowie. Justice schwycił mnie za łokieć i skinął na Lalage.

- Jest zmęczony - oznajmił, spoglądając na mnie z troską. - Tyle przeszliśmy... - Lalage przytrzymała zasłony, byśmy mogli przejść do następnego wąskiego korytarza.

- Kuratorzy łatwo się męczą, prawda, Aidanie? - dodała ze współczuciem.

Teraz miała na sobie luźną, szkarłatną tunikę, równie zaplamioną jak poprzednia; lecz na tej ciemniejszej tkaninie trudniej było dostrzec brud. I zaplotła sobie włosy w sztywne warkoczki za uszami.

Że też chciało jej się dbać o siebie dla dwóch podróżnych, poza tym zauważyłam, że pytania nieodmiennie kieruje do mnie. Nawet gdy głos zabierał Justice, ani na chwilę nie spuszczała wzroku z mojej twarzy.

- Co nowego w Mieście? - zapytał, gdy szliśmy za nią krętym korytarzem. Przy ścianach stały kosze i ciężkie worki, majątek Lalage. Powietrze przepelniał intensywny zapach kminku, kolendry i cynamonu.

- Nadchodzi ciężka zima. Łazarze z dnia na dzień są coraz bardziej zuchwali. Ascendenci, których zabawiałam w zeszłym tygodniu, przechwalali się, że prowadzą wojnę ze Wspólnotą Bałkańską.

Chciwie chłonęłam te wieści, gdy w pewnej chwili Justice jej przerwał:

- A co w naszych Domach, Lalage? Co się tam dzieje?

- Same skandale! Salamanda Illiria rozprawiczyła swojego syna dwie noce przed tym, jak miał zadebiutować z Rufusem Lynxem, Regentem Zoologów. Cliantha Persja wykradła bibliotekarzom piękne dziecko, a ci z zemsty zabrali Tarletona Persję. Rafael Miramar opuścił swój Dom i zamieszkał wśród Historyków Naturalnych. Bez niego Dom Miramar traci Patronów; słyhać już jednak głosy, że Roland Nopesa porzuci Rafaela dla albinosa z Wysokiej Persji... - Ziewnęłam, na co ona się roześmiała. - Zapomniałam, że Kuratorów

strasznie nudzą nasze plotki. No, Aidanie, tu powinienes znaleźć coś ciekawszego.

Korytarz kończył się zakratowaną bramą. Lalage otworzyła ją i przed nami pojawiło się patio pod gołym niebem. Tak przynajmniej zdawało mi się z początku, lecz gdy uniosłam głowę, wysoko nad nami zobaczyłam szklany dach. Latały pod nim liczne motyle i jakieś małe stworzenia, lśniące w blasku zachodzącego słońca.

- Kolibry! - Podbiegłam do kępy skrzypów, wyrastającej z wyszczerbionej, porcelanowej misy. Pośród szkarłatnych kwiatków uwijało się kilkanaście kolibrów, szmaragdowo-błękitnych strzał, które na wyścigi z motylami spijały nektar.

- Na wasze przywitanie, kuzyni, piekę kapłona, czekają was też brzoskwinie, warzywna sałatka i pierwsze wino śliwkowe tego roku - obwieściła z dumą Lalage. Wskazała płaską, metalową karoserię jakiegoś pojazdu, opartą na kamieniach i służącą jako stół. - Zaraz wracam. - Musnęła palcami wargi i zniknęła.

Usiedliśmy na trawie przy stole. Rosnące wokół, ciężkie od owoców śliwy brzęczały od pszczoł. Niektóre z nich były dłuższe niż mój środkowy palec. Lądowały na naszym stole i smakowały przejrzałych spadów, które rozbijały się na metalowej powierzchni. Roześmiałam się i polizałam wierzch dłoni, potem patrzyłam, jak truteń siada i leniwie żeruje na wilgotnym punkcie.

Po chwili wróciła Lalage. Za nią turkotał bardzo stary, zardzewiały serwant domowy, piszczący i jęczący jak niegrzeczne dziecko.

- Stój - zawołała Lalage i klasnęła w dłonie.

- Tak pani tak pani tak - pisnął serwant i zderzył się ze mną. Ustawił na prowizorycznym stole parujące wazy i wyszczerbione talerze. Lalage rozstawiła trzy różne kieliszki i kopnęła serwanta.

- Witam pani pani pani - seplenił, pnąc się po korzeniu drzewa. Lalage uśmiechnęła się i usiadła pomiędzy nami.

- To dla mnie zaszczyt, że mogę podzielić się z wami jedzeniem. - Skłoniła głowę.

Justice poszedł jej śladem, szturchając mnie, dopóki nie zrobiłam tego samego.

Potrawy były zadziwiająco dobre, o czym nie omieszkałam powiedzieć Lalage, która natychmiast się rozpromieniła. Co prawda w LIL mieliśmy bardzo dobre jedzenie i zawsze sądziłam, że zawdzięczamy to tylko łasce i dobrotliwości naszych ascendenckich nadzorców. Ale to chyba nie Ascendenci zaopatrywali Lalage w kolendrę, goździki i absynt.

Po moim śmiałym pytaniu Lalage wytrzeszczyła oczy, a potem tak się roześmiała, że zakrzuszyła się winem i Justice musiał walić ją po plecach, by się nie udławiła. Obydwoje zdążyli sobie już nieźle popić. Ja z uprzejmości przełknęłam mały łyk, chociaż napój

smakował lepiej niż woda z zardzewiałej karafki.

- Urodzony dowcipniś! - wykrzyknęła, gdy już nabrała tchu. Oparła się o mnie rozbawiona. Jej ręka najpierw zaszeleściła w trawie, a potem zaczęła przesuwać się po moim udzie. Zbliżyłam się do Justice'a, starając się nie okazywać po sobie obrzydzenia. - Czyżbyś był aktorem, monsieur Aidan? Jak na Kuratora jesteś zbyt piękny!

- Aidan od lat nie mieszka wśród swoich - pośpieszył z wyjaśnieniami Justice. Z palca zlizął kroplę tłuszczu.

- To czemu jest taki wygolony? - Drugą ręką przesunęła po moich plecach i dotknęła krótkiej fryzury.

- Na znak szacunku dla swego ludu - tłumaczył Justice, jednocześnie spoglądając na mnie.

Pijana Lalage pokiwała głową, jej głos złagodniał.

- No, to teraz już wszystko jasne, drogi Aidanie. Zmierzchało. Westchnęłam i pozwoliłam ująć się za rękę, podczas gdy ona ciągnęła:

- Nasi ludzie pochodzą z Domu Świętego Alabana. I mimo że wyrzucili mnie, bo jestem stara... - Owinęła wokół palca luźny kosmyk jednego z pukli, zamrugła powiekami. - Jak widzisz, w odróżnieniu od niektórych starców potrafię jeszcze o siebie zadbać. - Urwała, zmęczona. Skorzystałam z okazji, żeby wysunąć rękę z jej dłoni. Szarpnęłam nogę kapłona i zaczęłam ją ogryzać.

- Aidan nie jest obdarzony aż tak daleko sięgającą pamięcią - wtrącił się Justice. Przyciągnął mnie do siebie, pogładził po karku. Czułam się znużona, jak po zabawie w całowanie z Gligorem i Anną. Zaczęłam się odsuwać, gdy usłyszałam:

- Pomocy pani. Pomocy pomocy pomocy pomocy - pisał serwant. Uderzył w przeciwległą ścianę atrium, nogi zgrzytały mu o cegły.

Z zewnątrz dobiegł nas inny dźwięk. Stłumione głosy. Potem śmiech i uderzenia silnej ręki w drewno. Lalage wyprostowała się i ostrożnie odstawiła kieliszek.

- Zapytaj, kto to - nakazała serwantowi, lecz ten tylko pomiaukiwał: „Pomocy pomocy pomocy”.

- Niech to szlag! - zakląła Lalage. Wstała i lekko się zachwiała. - Kto tam? - krzyknęła, idąc ku przeciwległej ścianie.

- „Ambasador Krainy Czarów ze swą swiłą - ktoś donośnie cytował - prosimy o niezwłoczne posłuchanie”. - Sprawiał wrażenie pijanego.

Lalage wytarła ręce o sukienkę, pobiegła ku ścianie, potknęła się o kamień, aż wystraszyła pawicę, która uciekła z jazgotem. Spojrzałam na Justice'a, czekając na sygnał,

czy mamy czmychnąć; ale on tylko odczekał, aż Lalage dostatecznie się oddali, by móc dopić jej wino.

Wstałam i podążyłam za gospodynią. W półmroku z trudem dojrzałam ciężkie, zbite z desek drzwi w ścianie, wzmocnione pasami metalu, z otworem do nasłuchiwania, dzięki czemu słyszałam, jak nasi goście chodzą po trawie i chichoczą. Lalage pogmerała przy kilku zamkach, w końcu wyprostowała się i obwieściła: - Otwarte - po czym drzwi raptownie otworzyły się na zewnątrz. Dał się słyszeć jakiś łoskot, po którym nastąpiły kolejne krzyki i przekleństwa. Po chwili do atrium wkroczyła uwalana błotem procesja.

- Toby! - Lalage rzuciła się na szyję najwyższemu człowiekowi, który - sądząc po stroju i zachowaniu - był tu przywódcą. Za jej plecami żałośnie piszczał serwant, dopóki jakaś młoda dziewczyna w krótkiej spódnicy i obcisłej, szkarłatnej kurtce nie uciszyła go kopniakiem. Przywarłam do wysokiej śliwy.

- Przerwaliśmy jakąś romantyczną schadzkę! - rzekł donośnie wysoki mężczyzna. Miał głęboki głos i długą, rumianą twarz, zakończoną czarną, niesforną brodą. Omiótł spojrzeniem całe atrium i kpiąco machnął ręką w stronę Justice'a. - Mieliśmy szczęście! Natrafiliśmy na małego Pafianina, jeszcze jednego Świętego Alabana. - Posłał tamtemu pocałunek i odwrócił się z powrotem do Lalage.

- Serdeczne pozdrowienia, kochana kuzynko! Z drogi, dziewczęta. Odsunął się, żeby pozostali mogli wdrzeć się na dziedziniec.

Było ich czworo: pierwsza była pulchną dziewczyną, która zajęła się zrywaniem śliwek i próbowaniem, czy są dojrzałe; druga - wysoka, zwalista dziewczucha miała czarne włosy i wąsy. Dźwigała ciężki tornister. Za nimi zjawił się energiczny chłopiec o śniadej skórze, w wieku pomiędzy mną a Justice'em. Miał na sobie aksamitne sztylpy, spod których wyglądały zgrabne opalone nogi z bulwiastymi kolanami niczym dwiema gałęziami tarniny.

W końcu zza Toby'ego wychyłała drobna postać w sukience i koronkowym czepku. Wychyliłam głowę zza drzewa, by się jej lepiej przyjrzeć.

- A oto jeszcze jeden! - zakrzyknął Toby, zmiatając z drogi Lalage i podchodząc do mnie jednym długim krokiem. - Drogie kuzynie, czy robisz tu za alfonsa?

Skuliłam się, lecz wywlókł mnie zza krzaków. Dwie głowy wyższy ode mnie, miał sterzące włosy, które tworzyły niechlujną aureolę, dodającą mu jeszcze wzrostu. Kościsty tułów spowijała luźna tunika, ponure wspomnienie po wspaniałej, błękitnej tkaninie, śmierdział pudrem do twarzy i potem. Wsadził mi niedźwiedzie ręce pod pachy i uniósł, tak że zawisłam przy nim twarzą w twarz.

- Ładny pedał - oznajmił, pocałował w usta i postawił na ziemię. - Chłopcze, nazywam

się Tobiasz Rhymer - obwieścił, wyciągając do mnie rękę. - To rzecz jasna pseudonim sceniczny. Nazwisko rodowe Tobiasz Crouch, Historyk. - Tymczasem przy moim boku stanął Justice. Toby skinął głową w jego stronę. - Tobiasz Rhymer, mój drogi.

- Justice Święty Alaban ■- odparł. - Właśnie poznałeś mojego towarzysza Aidana.

- Aidana - powtórzył Toby.

- Aidana - zawtórował cichy głosik i zza Toby'ego wychynęła drobna postać, na którą już wcześniej zwróciłam uwagę. Wyteżyłam wzrok, starając się rozróżnić rysy pomarszczonej twarzy, skrytej za podartą koronką. Zza białego obłoku tkaniny ledwie mnie dobiegł błysk inteligentnych, czarnych oczu, które mnie lustrowały., - To kobieta, monsieur - szepnęła. Justice aż się zdrygnął, ale Toby tylko wybuchnął rubasznym śmiechem i szczypnął mnie w policzek.

- Pójdę o zakład, że potrafiłbyś zagrać rolę kobietą o wiele lepiej ode mnie, co, chłopcze? - Zaśmiał się i obrzucił Justice'a pełnym podziwu spojrzeniem. - Urodziwa ta twoja luba, Święty Alabanie.

Odsunęłam się, żeby lepiej przyjrzeć się osobie, która z taką łatwością mnie rozpoznała. Zza fałd czepek wyglądało pomarszczone oblicze, więc z początku myślałam, że to ktoś bardzo stary. Miała za to niezwykle błyszczące oczy i delikatny głos. Kiedy spokojnie odwzajemniła moje spojrzenie, przysunęłam się jeszcze bliżej, aż znalazłam się z nią oko w oko i odruchowo odchyliłam jej jedwabny czepek.

Zdumiona cofnęłam się,

- Justice! - sapnęłam. - Patrz!

Drobna postać westchnęła i uniosła wzrok ku Toby'emu, by następnie ująć smukłymi, brązowymi palcami czepek i z powrotem go włożyć. Justice wstrzymał oddech.

- Małpa!

Toby Rhymer potrząsnął głową i ukląkł obok niej, osłaniając ją ramieniem.

- Nie - oświadczył. - Panna Scarlet to cud, objawienie tej genialnej epoki; troglodyta o wdzięku i dowcipie Pafiana oraz błyskotliwości Kuratora, niczym światło latarni w naszych mrocznych i beznadziejnych czasach. Jednym słowem aktorka.

Tymczasem ona przechyliła skromnie głowę i rozciągnęła długie wargi, ukazując żółte zęby.

- Och, Toby - zamruczała; jej głos przypominał szelest liści. - Aktorstwo weszło mu w krew - zwierzyła mi się przepaszającym tonem, po czym wbiła we mnie przenikliwe spojrzenie. Już się więcej nie odzywała, lecz z głęboko osadzonych oczu odczytałam, że co prawda przejrzała mnie, lecz nie zdradzi tajemnicy.

- Droga panno Scarlet. - Lalage udało się wreszcie przerwać krąg nieustępliwych rąk i pomstowań trupy Toby'ego, by powitać szympansicę. - Tak dawno nie miałam okazji oglądać pani na scenie.

- Jaka pani miła - zamruczała Scarlet, podając do ucałowania te swoje niezwykle smukłe palce.

Za jej plecami pulchna dziewczyna i jej wąsaty towarzysz przedrzeźniali powitanie Lalage. Toby obrzucił ich groźnym spojrzeniem.

- Drogie panie! Sądzę, iż nasza gospodyni nie będzie miała nic przeciw temu, byśmy przed wieczornym wykonaniem *Sinobrodego* lub *Hamleta* dokonali ablucji? - Pochylił głowę ku Lalage.

- Ależ oczywiście. - Wstała, otrzepując strój z trawy i dała dziewczętom znak, żeby udały się za nią.

- Fabian... pomóż Lalage w przygotowaniu wieczery - nakazał Toby. Długonogi młodzieniec mrugnął okiem i skierował się za tamtymi.

- Proszę mi wybaczyć moją szorstkość - zaczął Justice, lecz Toby odsunął go na bok i ujął za rękę pannę Scarlet.

- Nie potrzeba mi twoich przeprosin, natomiast panna Scarlet Pan jest ponad takie drobiazgi. Taka jest jej wola. Możemy się przy siąść?

Zajęliśmy na powrót miejsca za metalowym stołem. Toby stał, dopóki nie upewnił się, że jego subretka nie znalazła wygodnego siedziska. Nie potrafiłam odmówić sobie oglądania panny Scarlet. Kiwnęła, żebym usiadła obok niej.

- Nigdy jeszcze nie spotkałam mówiącego zwierzęcia - oznajmiłam. Siedzący naprzeciwko Justice częstował Toby'ego resztką śliwkowego wina Lalage. - Mieliliśmy w LIL ary i nierozłączki, ale one po prostu powtarzały po nas, same pozbawione rozumu.

Szympanica kiwnęła głową, wyciągnęła nogę i chwytnymi palcami wzięła sobie brzoskwinę. Ujęła owoc w rękę i zaczęła go wykwinie pogryzać.

- Wychowałam się u Zoologów - zaczęła, strącając z wargi kroplę ambrozji. - W dzieciństwie przechodziłam liczne choroby i poddawałam się wielu operacjom, po których następowały długie okresy rekonwalescencji. Zoologowie mają kinematograf, rzutniki i ekrany wideo. Zdrowiejąc, oglądałam przedstawienia z ostatnich stuleci. To rozbudziło we mnie niegasnącą miłość do chwały proscenium i bezpowrotnie utraconych srebrnych ekranów. Krótko mówiąc, znalazłam się pod urokiem sceny.

Pilnie łowiłam każde słowo, doszukując się w jej historii odległych analogii do własnego losu.

- Czyli dzięki tym operacjom posiadałaś dar mowy?

- Tak - skinęła głową. Poglądziła się po szyi, gęsto porośniętej lśniąco ciemną sierścią.

- Jeszcze mam blizny, tutaj i... - delikatnie przeczesła włosy na skroniach, tak że odgarnęła je i byłam w stanie dostrzec nieznaczny ślad nacięcia - tutaj. - Obrzuciła mnie zaintrygowanym spojrzeniem.

- Czyżbym wyczuwała w tobie, Aidanie, zrozumienie dla mojego losu? - Zniżyła głos do chrapliwego szeptu. - Nazywam cię Aidanem tak jak twój przyjaciel; może jednak posiadasz jakieś inne, bardziej kobiece imię? Czy także przywiązujesz wielką wagę do syrenich pieśni Kirke, Melpomeny, Talii i Kaliope?

Pokręciłam głową. Toby Rhymer z zanadru tuniki wydobyl jakąś flaszkę. Popijał z niej wraz z Justice'em, byli pogrążeni w rozmowie, która dała Toby'emu pretekst do wbicia we mnie przeciągłego, badawczego spojrzenia. Odwróciłam się z powrotem do panny Scarlet.

- Tak jak ty, jestem heteroklitą. - Skłoniłam głowę, by ukazać blizny na skroniach. - Zdolność mowy uzyskałam jako dziecko...

- Nikt ci jednak tego nie zabraniał. - Panna Scarlet dotknęła węzła chłonnego przy moim uchu. Zadrżałam: dotyk tej sękatej dłoni, tak podobnej, a tak zarazem obcej moim rękom, napełnił mnie ogromną i przejmującą trwogą. - Ale wszystkie takie wenesekcje mają swoją cenę. Utraciłam wszelki kontakt z rodziną, nie czuję się członkiem swej rasy. Gdy po raz ostatni widziałam rodziców, nie mogłam uwolnić się od strasznej myśli, że są i zawsze będą bezrozumnymi zwierzętami. - Przycisnęła palce do wystających ust, jakby chciała odegnąć bolesne wspomnienie. - A tobie co odebrali, Aidanie?

- Serce - odparłam cicho. - Duszę.

- Podróżując w tak romantycznym towarzystwie jednego z Dzieci Magdaleny - tu wskazała Justice'a - nie możesz być pozbawiony serca. A dusze mamy wszyscy.

- Nie jest moim kochankiem - zareplikowałam. - A moja dusza nie należy do mnie.

Przysunęła się jeszcze bliżej, jej halki z szelestem otarły się o moje kolana.

- Rozumiem. - Wpatrywała się we mnie z taką uwagą, że musiałam się odwrócić. - Zza twoich oczu przygląda mi się jeszcze jedna para oczu. Opętał cię jakiś duch. Demon. - Wyprostowała się, kładąc rękę na moim kolanie, żeby dodać mi otuchy. - Nie jest tak źle, Aidanie. Podrzutki mają swego rodzaju szczęście, literatura nas tego uczy, oraz urodę; i nawet pozbawieni serc i dusz mogą wspomagać śmiertelników w ich krwawych wysiłkach...

Delikatnie odkaszlnęła, po czym zaczęła cicho recytować:

Kto mogąc gardzić, nie okaże wzgardy

I kto nie czyni, co się czynić zdaje,

*Innych wzruszając, jest jak kamień twardy,
Obcy pokusom i zimny zostaje;
Ten, że go słusznie Niebo łaską darzy,
Skarbów Natury przed strwonieniem strzeże,
Jest panem i swym obliczem włodarzy;
Każdy w pokorze z niego przykład bierze. (...)**

* W. Shakespeare, *Sonety*, przeł. M. Słomczyński, Wyd. Zielona Sowa, Kraków 1997.

Słuchałam jak zaczarowana, w bogatej melodyce głosu znalazłam echa jakiejś dawnej bitwy, szczęku i brzęku, brzasku wielkiego dnia, który wkrótce po przebudzeniu ujrzę. Po chwili potrząsnęłam głową, jakbym chciała opędzić się od jakiegoś snu z Pokoju Horne'a.

- Skąd znasz takie rzeczy?

Przez jej pomarszczoną twarz przemknął uśmiech, gdy dotykała palcami warg.

- Nauka zbudziła swą siostrę Magię z długiego snu. Bogini żyje, Magia kroczy po świecie. Razem pójdziemy jej śladem. - Odwróciła się i wzięła Toby'ego za rękę.

Możliwe, że nie zdawałam sobie sprawy, jak długo rozmawiałyśmy. Od tamtej chwili zdarzało mi się być świadkiem błyskawicznego mijania długich godzin, gdy Scarlet stała na scenie, a widzowie budzili się, jakby mieli jej za złe, że ulegli urokowi kilkuminutowego spektaklu. Ze zdziwieniem zauważyłam, że wrócili już Lalage i Aktorzy. Niewielki serwant posuwał się ze skrzypieniem za swoją panią, zbiornik mając napełniony butelkami, kielichami i niewielkim cylindrem absyntu o jadowicie zielonej barwie. Idący za nimi Fabian; zonglował owocami tamaryszków i śliwkami, od czasu do czasu upuszczając je ku uciesze ładniutkiej Aktorki o krągłej twarzy, która niosła miskę polnej rzezuchy i kwiatów nasturcji. Na samym końcu podążała wąsata dziewczyna, na ramieniu niosąc tacę z solonymi gołębiami.

Fabian rzucił śliwkę Toby'emu, który zrobił zamaszysty gest i wręczył ją pannie Scarlet. Lalage skłoniła się przed nami, unosząc przy tym dumnie głowę, mimo że w miejsce schludnych warkoczy pojawiła się na niej krzywa korona z liści.

- Przynosicie mi szczęście, kuzyni! - zawołała do mnie i Justice'a. Justice ucałował ją w usta. Toby przesłał Scarlet całusa.

Gitana postawiła tacę na stole, poprawiła okulary i potarła ręce o uda.

- Podano kolację! - obwieściła i przysiadła na trawie. Ciekawość stanowiła niezłą przyprawę do tego drugiego już posiłku. Toby, Fabian, Gitana i Mehitabel (poznałem jej imię, gdy wyrzucił je Toby, domagający się wina, którego karafkę ścisnęła między kolanami) pałaszowali i nie szczędzili pochwał Lalage. Ta siedła na kolanach Justice'owi, karmiąc go renklodami i pojąc strumieniami burgunda, choć jeszcze więcej go rozlewała. Panna Scarlet

jadła cichutko przy mnie, gromadząc przed sobą mały arsenał śliwkowych pestek.

- Ascendent wśród kucharzy! - zawołał Toby, rzucając Gitanie następnego gołębia. - Może przyłączyłabyś się do naszej trupy, Lalage? Co dzień jedlibyśmy sobie jak Rządcy!

- A ja żyłabym jakjakieś zwierzę, spała w pełnym przeciągów teatrze i nie była pewna, czy w nocy ktoś nie poderżnie mi gardła. - Lalage wstała z trudem. Mehitabel pośpiesznie zajęła jej miejsce i zabrała się do okręcania włosów Justice'a wokół swych wymazanych tłuszczem palców.

Odwróciłam głowę. Toby pochylił się przez stół w moją stronę, nakrył moje obie ręce swoim łapskiem (ze zdziwieniem zauważyłam, że paznokcie ma czyste, zgrabnie ukształtowane i pomalowane szkarłatnym barwnikiem).

- Tobie nie przeszkadzałoby chyba takie życie, monsieur Aidan - zaproponował i odwrócił moje ręce dłońmi do góry. - Tym rękom przydałoby się trochę zaprawy... - Musnął koniuszki palców. - Nigdy nie naszła cię ochota na obejrzenie naszego Miasta nocą, gdy stary znajomy księżyc tworzy w Wąskim Lesie mlecznobiałe przecinki, a szakaludzie przepływają Tygrys, by zapolować na łabędzie i łazarzy?

- Nie - odparłam i odwróciłam się w stronę Justice'a. Wszedł księżyc w nowiu. Lalage krążyła między drzewami, zapalając metalowe pochodnie, które przez chwilę niewyraźnie pełgały, by zapłonąć złocistym ogniem. Po kilku minutach rozmowom zaczął towarzyszyć akompaniament syku i skwierczenia ciem, kończących swój ikarowy lot.

- No, może być jeszcze ciekawiej! - zawołał Fabian. Na stole przed nim leżały rozrzucone jak słomki pipetki do kandykainy. Złamał jedną z nich i głęboko się zaciągnął. - Są także ptaki z kobiecymi piersiami i drzewa, które zaśpiewają kołysankę...

- I wysysają wszystkie soki! - dokończyła Lalage. Fabian nie zwracał na nią uwagi.

- Zobaczyłabym chętnie pafiańskie kobiety! Mężczyzn pewnie też - dorzucił i podał mi pipetkę.

Ktoś pociągnął mnie lekko za rękaw, była to panna Scarlet.

- Miałbyś ochotę zobaczyć nasze przedstawienie? - spytała cicho. Weszła na stół, rozkładając długie spódnice. Nie zdążyłam jeszcze zareagować, gdy Fabian, Gitana i Mehitabel runęli przez mrok w stronę bramy, gdzie leżał ich ogromny tornister. Toby wstał, skłonił się przed Lalage i pomógł panie Scarlet zejść na ziemię.

- Proszę wybaczyć, ale musimy przygotować spektakl. - Spostrzegłam, że wymieniają z Justice'em znaczące spojrzenia, a Toby wyraźnie puszcza oko.

- No, dobrze! - powiedziała Lalage. Wstała, przyglądała włosy i zerknęła bokiem na Justice'a, który uśmiechał się od ucha do ucha. - W takim razie chyba trzeba będzie trochę

posprzątać.

- Pomogę ci - zaoferował się Justice, bezceremonialnie zbierając talerze i ogryzione kości gołębi, ostrożnie jednak, by nie przewrócić żadnego kieliszka i karafki. Przystanął przede mną, dołożył kilka talerzy do sterty, po czym nachylił się i musnął mnie w policzek. Odwrócił się, przy okazji burząc pozostawioną przez pannę Scarlet piramidę pestek.

Przy bramie Aktorzy Toby'ego chichotali i wrywali sobie kostiumy i kwestie. Pierwszy raz od uwolnienia przez Justice'a zostałam sama. Po chwili wyjęłam z kieszeni przepaskę Anny. Obracałam ją w rękach, wreszcie nałożyłam na ogoloną głowę z nadzieją, że panna Scarlet zwróci na nią uwagę. Od tego całego zamieszania szybciej biło mi serce. Zamknęłam oczy i w płątaniu wspomnień szukałam węzła, z którym mogłabym powiązać to uczucie.

I znalazłam go na małej scenie, jakieś pięćdziesiąt lat wstecz, na scenie oświetlonej syczącymi lampami gazowymi, pachnącej tanimi kosmetykami i pudrem, gdzie dziewczynka i chłopiec w dopasowanych do siebie tunikach z brokatu, trzymając w rękach podobne, niebieskie książki, kroczyli po wytartych deskach wyznaczoną drogą i recytowali:

*...Nie miałam nigdy brata;
Nie ma też tego bóstwa w mej naturze
Ni tutaj, ani nigdzie indziej. Miałam siostrą,
Którą ślepe fale, przyboje oceanów
Pochłonęły...*

To wspomnienie Emmy jakimś cudem zabłąkało się pośród moich, niczym komórka, która żeglowała samotnie, by w końcu zderzyć się z inną. Następnie w oknie pamięci rozbłysła kolejna scena. Łóżko Emmy, Emma, Aidan i pomrukująca Molly pochyleni nad zaplamioną narzutą. Przypadkowa myśl, jak wiatr wpadająca przez wybite okno; ten obraz również zmieszał się z innymi w moim wnętrzu.

Przez mgnienie oka zdawało mi się, że leżę w Pokoju Horne'a. Ale teraz drżałam wyczekująco, przystawiona do czoła ręka dotknęła tylko opaski z piór kolibra. Wspomnienie przygasło i zamieniło się w świetlika, który jak błyszczący, zielony skarabeusz opadał w powietrzu. Rozwarłam dłoń. Wylądował, skrzydła połączyły się z twardym pancerzem. Przypomniały mi się latające w popołudniowym powietrzu pszczoły i drzewa, które pochłonęły strażnika Tast'annina. Świetliki i pszczoły rozmiarów kolibra. Gadający szympans. Nawet Aktorzy trochę się nadęli, jakby sądzili, że są mądrzejsi, ładniejsi i odważniejsi niż w rzeczywistości; zbudziwszy się z tego snu, odkryli, że się spełnił.

Ale świetlik potrząsa już skrzydłami i bzyząc odlatuje mi z dłoni. W proggu Justice i

Lalage obejmują się, po czym podchodzą do mnie: Justice trochę przygląda piórka, ma splątane włosy, z wargi znowu cieknie mu krew. Fabian przestawia kilka metalowych pochodni, tak by ich blask padał na ciemną trawę przed nami, po czym z zamaszystym ukłonem obwieszcza:

- *Romantyczna Historia Algernona Moncrieffa i Gwendolen Fairfca*, odegrana przez Tobiasza Rhymera, jego Trupę, z panną Scarlet Pan w roli Lady Bracknell.

I tak po raz pierwszy w życiu jestem świadkiem przedstawienia teatralnego.

CZEŚĆ CZWARTA

KREW NA BALU MOTYLI

1. Odlamki raz po raz rozbijanego świata

Gdy wreszcie przystanąłem, blask zachodzącego słońca zmieniał korony leśnych drzew w złocistą katedrę. W swoim szaleństwie uciekłem z Muzeum, na powrót nakładając brokatową tunikę i wstążki, które były znakiem, że pochodzę z Domu Miramar: oprócz stroju jedyną bronią przeciwko nocy pozostał strzalec. Wkrótce miał zapaść zmrok, a ja pobłądziłem.

Pogłoski, iż Ascendenci planują zemstę za jakieś morderstwo, zaniepokoiły Regentów, którzy rozmieścili posterunki w każdym Muzeum. Technik stacjonujący przy Bramie Północnej tylko zerknął na mnie przelotnie, tak był zajęty tomem archaicznych hologramów, które zawierały opis cykli życiowych wymarłych naczelnych. W pafiańskim ubraniu sprawiałem wrażenie jednego z uczestników wieczornego balu w Wysokiej Brazylii. W Rotundzie napotkałem kilku wysokich rangą Kuratorów, zmierzających do Bramy Północnej na spotkanie lektyk z Wysokiej Brazylii, które miały ich zabrać na maskaradę. Mógłbym pewnie pójść w ich ślady i zarezerwować sobie lektykę, lecz to oznaczałoby konieczność tłumaczenia się przed starszymi z Wysokiej Brazylii, którzy z kolei nie mogliby odnaleźć mojego imienia na liście gości. Na razie nie miałem też ochoty na spotkanie z Rolandem.

Zatem wyszedłem stąd Bramą Południową. Strażniczka uniosła głowę. Widząc, że to tylko ja, powróciła do lektury. Zdecydowanym krokiem schodziłem po popękanych schodach, pośród kolumn prowadzących do Wąskiego Lasu, u skraju którego w końcu się znalazłem. Tu się zawahałem. Łatwo było odnaleźć według popołudniowego słońca kierunek północno-zachodni, gdzie stały nasze Domy. W oddali Obelisk przebijał baldachim drzew, tworząc ciemniejszy punkt w morzu lśniącej zieleni. Gdybym trzymał się jego prawej strony, dotarłbym koniec końców do Strumienia Tygrysu, może nawet do drogi wiodącej na Wzgórze Płomiennej Magdaleny. Wyobraziłem sobie, że przez poruszone wiatrem listowie dostrzegam rzekę. W przyływie odwagi zanurzyłem się pod korony drzew.

Letni upał skapywał przez filtr liści, tworząc w dole niemal dotykalny, złocisty wywar. Nieco za późno przyszło mi do głowy, że powinienem włożyć mundur Adiutanta - poplamiony i paskudny, lecz przynajmniej uszyty z lżejszego materiału. Jednak duma i niewzruszone postanowienie, by na Masce stawić czoło Rolandowi i odzyskać poważanie

wśród swojego ludu, kazały mi nałożyć własne ubrania - które szybko przesiąkły potem. Ciężki warkocz piekł w kark. Kulilem się i przerzuciłem go z ramienia na ramię, aż w końcu zaczepił się o jakiś kolczasty krzew. Usunąłem go stamtąd i umieściłem za kołnierzem. Już po chwili o te same chaszczki zaczepiły się rękawy. Odczepiałem kolce ostrożnie, nie chcąc porwać brokatu; zaraz jednak znowu wpadłem w pułapkę. Buty także nie nadawały się do takiej przechadzki. Filcowe obcasy od razu przemokły w bagnistym gruncie, tak że przy każdym kroku wydawało mi się, że tonę w błocie po kostki. Mimo to parłem naprzód, gnany bólem i oburzeniem.

O tej późnej porze było dość mało prawdopodobne, że kogoś napotkam, chociaż w tej części lasu panował ożywiony ruch pomiędzy Muzeami. Przez jakiś czas ubite ścieżki wiły się pośród starych dębów i dzikich jabłoni, uginających się już od owoców: na zachód do Historyków, na południe do Tkaczy, Awiatorów i Botaników, którzy handlowali z Ascendentami. W kierunku północno-zachodnim biegła kamienna droga do Ogrodu Zoologicznego, odległego mniej więcej o godzinę drogi.

Wybrałem właśnie ją w nadziei, że doprowadzi mnie do Strumienia Tygrysu, z którego biegiem mógłbym dojść do Rocreek, a stamtąd byłoby już niedaleko do Wysokiej Brazylii. Ścieżka porośła mirtem i kudzu; od paproci odrastały pędy jabłoni i wiśni, zapowiadając powstanie nowych dzikich sadów. Do zmierzchu pozostało zaledwie kilka godzin, lecz ja z uporem szedłem dalej, odsuwając gałęzie drzew i pnącza i starając się nie stracić z oczu Obelisku.

Szedłem wolno, odtrącając wlokące się za mną liany i pajęczyny, ciężkie od kwiatowych pyłków i kokonów motyli. Mój szlak przecinał się z innymi traktami, które zdawały się prowadzić donikąd, znanymi zapewne tylko łazarzom z ich nocnych eskapad i napadów. Z pewnością jedynie oni lub wielkie drapieżniki - wilki i dzikie psy, gepardy, jaguary i szakaludzie o psich twarzach, którzy zajmowali poczesne miejsce w krwawych opowieściach doktora Fostera - potrafili przebywać te zarośnięte zielone tunele.

Znienacka ziemia pod nogami zadrżała. Usłyszałem zdławiony krzyk, na dźwięk którego zaskomlałem i uskokczyłem. Na samym środku drogi siedziała ropucha couvado, tłusta, okrągła i zniekształcona jak zgniła dynia. Uśmiechała się głupawo na mój widok. Po chwili rozwarła olbrzymią gębę i z donośnym beknięciem przewróciła się na drugą stronę, ukazując bijące serce i jaskrawe wnętrzności.

Zakryłem rękami usta i błyskawicznie się odwróciłem. Na ślepo wybrałem ścieżkę, która zbaczała w kierunku zachodzącego słońca. Raz po raz potykałem się o zarośla dzwonek i rosnące bezładnie orchidee.

2. Światło wyobraźni gaśnie w mrokach starożytnej historii

Im dalej zagłębiałem się w las, tym mniej wyraźny był szlak. Koniec końców znalazłem się na maleńkiej polance, na której kilkanaście gołych miejsc w poszyciu sprawiało wrażenie ścieżek. Wybrałem jedną z nich ze względu na kobierzec bladoniebieskiego przetacznika. Deptane moimi stopami kwiaty ronily słodkie łzy. Przystanąłem, napawając się ich aromatem i przypominając sobie ich nazwę, której nauczył nas doktor Foster: zapominajki. Ich zapach nie dawał spokoju, kojarząc się z wiosennymi deszczami i zapowiedzią zmierzchu. Gdy znów ruszyłem, nie wiedziałem już, którą drogą chciałem iść. Obróciłem się i spostrzegłem kępę narcyzów, kiwających swoimi główkami w dziupli uschniętego drzewa. Potrząsnąłem głową i starałem się przypomnieć sobie, którą drogę miałem zamiar obrać. Chyba w kierunku słońca? A więc tam, gdzie przez szczelinę w listowiu wlewał się słoneczny blask...

Po chwili jednak klęczałem przed białymi narcyzami.

Nie dziwiło mnie, że te zwiastuny wiosny zakwitły wczesną Czasienią; ani że przy najlżejszym powiewie wiatru szeptały i wdychały niczym wystraszone dzieci, a ja starałem się je pocieszyć. Wiedziałem tylko, że nigdy w życiu nie widziałem cudowniejszych kwiatów i że za nic na świecie nie chcę się z nimi rozstać.

I pewnie zostałbym tam aż do zapadnięcia nocy, co mogłoby mieć fatalne skutki, gdyby czerwona mrówka nie wspięła mi się na rękę i nie ugryzła w nadgarstek. Sapnąłem i jednym gwałtownym machnięciem ręki zabiłem owada. Wtedy przetarłem oczy i z trudem wstałem.

Z góry dobiegało czerwonawe światło. Dawno już straciłem z oczu Obelisk, zatem od chwili wejścia do lasu musiało minąć już wiele godzin. Dostałem gęziej skórki na wspomnienie opowiadań doktora Fostera o złowieszczych kwiatach, zrodzonych przez deszcze róż; o uprowadzeniu Filanty Persji przez łazarzy, gdy poszła posłuchać śmiejących się nad rzeką żonkili; o Botanikach, znęconych śmiertcionośną pokusą wdychających hiacyntów z oczami kobiet; o pachnących migdałowo liliach, których woń starczała, by sprowadzić szaleństwo i śmierć. Nigdy nie traktowałem serio tych historii, a oto sam dałem się zwieść urokowi kępki narcyzów! Chciałem strzepać z włosów liście, gdy zauważyłem zielone pnącze, które oplotło się wokół strzalca, gdy leżałem i śniłem. Krzyknąłem i strąciłem je z nadgarstka. Nie zważając na lamenty deptanych kwiatów, odwróciłem się i pędem ruszyłem przed siebie.

Uparcie biegłem naprzód, gryząc się w rękę, by nie paść ofiarą narkotycznych woni,

które unosiły się nad ziemią z każdym moim krokiem. Nie udawało mi się jednak zadać sobie tyle bólu, żeby zachować w pełni świadomość. Co kilka minut przystawałem, a do biegu zrywałem się dopiero wtedy, gdy głowa opadała mi na piersi. Różowe światło nabrało barwy fioletowej. Gwar pisków i trzepot skrzydeł oznaczały, że ptaki szykują się do nocnego snu. Mościły sobie gniazda, nad moją głową bowiem przelatywały gałązki, liście i ćmy. Zatrzymałem się, by zgarnąć z włosów liście. Po chwili ruszyłem, ale szło mi się ciężko, jakby ziemia przylgnęła do butów i nie chciała puścić. Spuściłem wzrok i krzyknąłem z obrzydzenia.

Przede mną biegł srebrnawy ślad. Moje stopy były lepkie od jakiejś błyszczącej substancji. Parę kroków przede mną pełzł wygięty w łuk ślimak bez muszli, grubości i długości mojego ramienia; perłowe oczy na czułkach bujały się, w miarę jak przelewał się do przodu, wydając dźwięk podobny do odgłosów lubieżnego całowania. Na widok takiego monstrum opuściła mnie wszelka nadzieja. Przetykając lży, zboczyłem ze ścieżki i rzuciłem się na sękatąjabłoń, obejmując ją zrozpaczony. Popatrzyłem na strzalca, który zdawał mi się jedyną szansą ocalenia.

- Franca - wyszlochałem i odwróciłem się, tak że plecami dotknąłem szerokiego pnia. Rozchyliłem tunikę i uniosłem strzalca powyżej piersi, licząc, że uderzy. On jednak nasycił się już widać śmiercią Franki albo też siła mojego pragnienia nie starczała do rozbudzenia go. Był pozbawioną życia ozdobą: ciężką, zimną jak brąz. Uderzyłem się nim, siniacząc okolice żeber; bełkotałem chrapliwie jakieś bzdury, aż zbudziłem złote zięby, które odleciały z rozdzierającym piskiem.

Strzalec pozostawał niewzruszony. Nie miał zamiaru atakować gospodarza.

W końcu dałem za wygraną i ułożyłem się pod jabłonią w oczekiwaniu na śmierć. W takim miejscu powinna nadejść szybko: zasnę, a kwiaty już się mną zajmą. Albo łazarze czy szakaludzie. Wbiłem wzrok w niewinnego strzalca, przysunąłem go sobie do twarzy. Przezroczysta muszla migotała niczym ametyst w blasku świecy. Widziałem nawet skulony w środku korpus, mały palec w rękawiczce światła. Wpatrywałem się w niego bez wyrazu.

Zleciały się przyciągane mdłym blaskiem strzalca ćmy. Krążyły wokół mojej twarzy niczym opadające płatki kwiatów, miałem też wrażenie, że trzepocąc skrzydłami ochładzają duszne nocne powietrze. Zbudziły się również nocne powoje. Drzewo, o które się opierałem, zaszumiało, ukwiecone pnącza poruszyły się, wydając słodki, mdły zapach. Próbowałem oprzeć się temu nowemu atakowi ospałości, wrażeniu, że w moich żyłach znacznie wolniej płynie cięższa teraz krew. Przychodziło mi to z trudem. Rozziewałem się na dobre i po chwili złożyłem głowę na miękkich paprociach.

Raz po raz nawiedzały mnie sny: o France, jej bladej twarzy z sokolimi oczami; o dyszącym nade mną Rolandzie, jego zakutych w łańcuchy światła rękach. Gdy się raz przebudziłem, zobaczyłem” na twarzy i piersi kilkanaście białych ciem. Rozkładały i składały skrzydła, wyciągając czarne nici języków i karmiąc się kapiącym z nocnych pnączy nektarem. Odgoniłem je, więc przeniosły się na nogi. Z westchnieniem opadłem z powrotem na ziemię.

To chyba wtedy miałem ten sen, w niczym niepodobny do wszystkich innych, sen zawierający w sobie wszystkie sny o sprawach, które były i przeminęły; sen o wszystkich snach w moich snach; wreszcie o samej Śmierci, śniącej o wszystkim, co nadejdzie... o archozaurach, zrywających się z twardych leży, by uciec z próżni planety; o wrzących rzekach, szumiących drzewach i zwierzętach, które płakały jak ludzie; o metalowych okrętach, które roznosiły słońce na tysiąc gwiazd, i wyrastającej z ziemi płonącej katedrze; o gromadach pogrzebanych postaci, powstających z kamiennych legowisk, o demonicznej dziewczynie, której oczy płonęły w twarzy bliźniaczo podobnej do mojej; o umierających dzieciach, których głosy rozbrzmiewały niczym łagodne dzwoneczki, i trupie, prowadzącym mądre dysputy ze Śmiercią.

I wszyscy oni, i niezliczone rzesze innych - ja, Roland i Miramar, Fancy, Francesca i doktor Foster - tańczyli rondo przy akompaniamencie donośnych dźwięków z pustych rur, unosząc się cały czas w chmurach.

Wtedy zbudził mnie pocałunek chłodny jak usta Franki, tak że próbowałem sobie wyobrazić, że miękki jak puch, bagnisty grunt pode mną to marmurowa podłoga. Ale gdy poruszyłem się z jękiem, zaszeleściły paprocie; oczy, w które spojrzałem, też nie należały do Franki.

- Zbudź się, Rafaelu - odezwał się jakiś głos. Wciągnąłem raptownie powietrze, płosząc ostatnie pijane ćmy.

Zapadła już noc. Na ciemnoniebieskim niebie pomiędzy drzewami ujrzałem srebrny żagiel księżycy i liczne gwiazdy. Z trudem powstałem, przytrzymując się jabłoni i próbując sobie przypomnieć, gdzie jestem i jaki sprowadził mnie tam sen.

- Budzimy się - szepnął głos.

Usunąłem z oczu nektar, próbując rozpoznać osobę przemawiającą do mnie z ciemności. Przerażony pomyślałem, że to łazarz, ale on nie znałby mojego imienia.

I nie byłby taki piękny.

- Kto ty jesteś? - wydukałem.

Zeskoczył z drzewa kilka kroków przede mną. Otaczała go poświata, jakby promienie księżycy z radością wyszukiwały go w gęstwinie. Nieco młodszy ode mnie chłopiec

uśmiechnął się; nigdy nie widziałem nikogo piękniejszego.

- Rafaelu - zaczął. Głos miał słodki jak miód, jeszcze chłopięcy, tylko że w żadnym dziecięcym głosie nie usłyszałoby się takiego szyderstwa.

Przerażało mnie to jeszcze bardziej niż jego nieziemski uroda.

- Przecież mnie znasz.

Błyskawicznie przypomniałem sobie wszystkich, których kochałem, na próżno szukając go pośród złożonych na poduszkach twarzy w Świątym Alabanie, Persji, Wysokiej Brazylii, w moim własnym Domu. Żaden Pafian nie przyciąłby sobie złotych loków wokół białego czoła w ten sposób; żaden Pafian nie miał skóry takiej, że blask księżyca zdawał się w nią wtapiać, aż oczy lśniły jak dwie księżycowe lilie.

- Nie - odparłem. - Gdybym cię znał, nie mógłbym cię zapomnieć.

- Już zapomniałeś. - Na jego twarzy zaszła nagle jakaś zmiana. Przez mgnienie oka pojawiły się na niej rysy Franki: grudki liści i mokrej ziemi wyglądały przez chwilę jak siniaki, pokrywające jej twarz i piersi. Zrobiłem krok w jej stronę.

To jednak nie była Franca. Jej rysy zafalowały i zniknęły. Wyciągałem rękę do obrzmiałego trupa, opartego o jabłoń, w pustych oczodolach wyrosły fosforyzujące grzyby, roztrzaskana szczeka dyndała na szyi, zrakowaciałej od strzępów konopnej liny. Krzyknąłem; ale znowu przede mną stał, nieruchomy, biały i piękny w migotliwym blasku księżyca.

- Rzeczywiście cię znam - wyszeptalem. Cały się trząsałem. - Powieszony Chłopiec.

- Może być - odezwał się po chwili i skinął głową. - Możesz nazywać mnie jeszcze inaczej. - Uśmiechnął się i skrzyżował ręce na białych, nieowłosionych piersiach.

- Panie... - zacząłem.

- Nie - mruknął.

Niemal widziałem, jak jego nieruchome, zielone oczy przyglądają mi się z politowaniem. Zrobił krok w moją stronę. Cały się trząsałem, stojąc na czworakach jak pies, kolanami jak szalony ugniatając ziemię i szukając gdzieś punktu podparcia.

- Odejdź. - Zamknąłem oczy. - Odejdź, proszę...

- Nie, Rafaelu. Budzimy się - powtórzył.

Wyciągnął ku mnie rękę - która lśniła czystym, wyraźnym światłem - białą i zimną niczym kość. Jego dotyk przypominał pocałunek, który mnie zbudził. I zorientowałem się, że tak naprawdę jeszcze śpię; że w ciągu całych siedemnastu lat życia nie zdążyłem się jeszcze przebudzić. Stało się to dopiero teraz, bo tylko on mógł tego dokonać. Czułem się tak, jakby palcami wbijał mi się w czaszkę, docierając do miękkiego centrum mózgu, gdzie na uwolnienie czekały senne myśli. Chętnie bym krzyknął, lecz jego chłód zamknął mi usta,

ścisnął kark nieugiętym imadłem, zmroził oczy, tak że wpatrywałem się w niego nieruchomym wzrokiem i drżałem z przerażenia.

Bo jego piękność wręcz domagała się czci. Te błyszczące, zielone oczy, promiennie biała twarz i ciało, szczupła sylwetka... Czulem w sobie pożądanie o nie znanej mi dotąd sile, podobne do żądz na widok trupa łazarza przed laty i zwłok Franki po południu, i byłem przerażony; wiedziałem bowiem, że taka piękność nie może być zła, podobnie jak moja; że odnajdzie czcicieli tak samo, jak kwiat znajduje deszcz i słońce.

Choć podniecała mnie jego uroda, dostrzegałem czającą się w jego oczach śmiertelną grozę, zepsucie i kompletne szaleństwo unicestwienia, które wydzielał równie nieświadomie, jak ja oddychałem. Od chwili gdy w zmiażdżonej twarzy Franki dostrzegłem dziwne piękno, wiedziałem, że we wszystkim, co piękne, będę odtąd dostrzegał monstrum, w które się z czasem przemieni.

Wtedy krzyknąłem i zacząłem go błagać, by odebrał mi tę świadomość, ten ohydny kontrpunkt dla moich wzniosłych snów.

- Nie - szepnął. - Przycisnął do moich ust swoje zimne wargi. - Musisz się uczyć, Rafaelu: wszystko to jedno i to samo. Wszystko to jedno...

Na te słowa zemdlałem. Gdy się ocknąłem, już go nie było.

3. Narodziny dnia wczorajszego

Zerwałem się ze snu, międląc palcami trawę. Księżyc zdążył przebyć bardzo niewiele drogi po niebie. Zjęzyków nocnych powojów wciąż sływał powolny, słodki deszcz. Przez chwilę sądziłem, że przeżyłem koszmar właśnie za sprawą tych trujących roślin lub białych ciem, które żywiły się ich sokami.

Wtedy zobaczyłem szakala.

Siedział kilka kroków ode mnie, pod tym samym drzewem, z którego przed chwilą zeskoczył On. Podobny do dzikiego psa, smukły, o długim pysku i szpiczastych uszach; za to z sierścią barwy szronu, mlecznobiałą, z wyjątkiem ciemniejszego paska, który biegł od głowy do ogona. Może uciekł Zoologom. Hodowali je do polowań - choć z drugiej strony nigdy dotąd nie widziałem białego szakala.

Możliwe, że po tylu przejściach w tym przeklętym miejscu oswoiłem się ze strachem, bo się go nie bałem.

- Idź sobie! - ryknąłem, ciskając w niego kamieniem. Odskoczył na bok. Byłem taki wściekły, że z chęcią rzuciłbym się na niego i zadusił własnymi rękami. Złapałem wiszącą nade mną gałąź drzewa i spojrzałem na niego groźnym wzrokiem. Pozostał bez ruchu. Na

nowo usiadł, przechylił łeb i taksował mnie dziwnie wszechwiedzącym spojrzeniem. Chwyciłem następny kamień, ale szakal zniknął w cieniu, by za chwilę pojawić się tak blisko, że wypuściłem z ręki broń i potknąłem się, próbując jak najszybciej stamtąd umknąć.

W czasie upadku wokół kostki owinęło mi się coś miękkiego, lecz nieustępliwego. Próbowałem wstać, ale straciłem równowagę, a moje łokcie zagłębiły się w mulastą ziemię. Gdy się obejrzałem, zobaczyłem pnącze grubości nadgarstka, które okręciło się wokół mojej kostki. Ciągnęło mnie do tyłu, jakby w drzewie ukryty był mały dźwig. Inne pnącza zaczęły opadać na ziemię i prostować się, a ich kielichy otwierały się i zamykały, jakby w powietrzu czuły coś poza swoim mdłym zapachem. Kiedy się do mnie przysuwały, widziałem, jak niewielkie, zielone kolce, pozornie chroniące każdy z kwiatów, przybierają jaskrawoczerwoną barwę, rozkwitając jak gardziel iguany na widok wroga. Lekko świstały, podczas gdy liany kołysały się w powietrzu. Przewróciłem się na plecy i uderzyłem jedno z pnączy, które przelatywało obok mojej twarzy. Wycofało się jak wąż, w pustych kolcach zagwizdał wiatr. Pozostałe liany rzuciły się na moje nogi. Kwiaty w kształcie trąbek nabrzmiały i wypluły na nogi gęsty płyn o mdłym zapachu. W miejscach, gdzie przesiąknął przez materiał spodni, traciłem czucie w nogach.

Wokół stopy okręciła się pierwsza łądyga. Poczułem lekkie ukłucie w punkcie, gdzie przysała się do mnie jakaś mniejsza roślina. Bezradny spoglądałem, jak liany owijają się wokół moich nóg, a skórę przebijają jeden za drugim kolce. Ból był nieznaczny, lecz spostrzegłem ciekącą z buta strużkę krwi.

Cały czas towarzyszył mi dziwny spokój. Wbiłem łokcie w miękką ziemię i uniosłem się, obserwując swoją własną krew przepływającą przez pnącza, które nieznacznie pulsowały. W miejscach, gdzie się nasyciły, ich blado-nefrytowy kolor zmieniał się w ciemnozielony. Narkotyczne działanie kolców chroniło przed bólem i z całą pewnością przytępiło zmysły. Gdy zobaczyłem, jak szakal pędzi w moją stronę, w pierwszej chwili chciałem go odegnać w obawie, że ugryzie mnie w nogę, i bezradnie poruszyłem kończynami. Patrzyłem oniemiały, jak uwija się z wyszczerzonymi zębami wśród pnączy, rozrywając je klami, nieuchwytny jak żywe srebro. Kolce przeczesywały mu futro jak zęby grzebienia. Pies zerwał się do skoku i przegryzł grubą lianę. Połówki opadły, wijąc się na ziemi, a ja zdałem sobie sprawę, że było to pnącze, które trzymało mnie za nogę. Wyrwałem się z sieci niezliczonych pnączy i potoczyłem w bok. Szakal poszedł moim śladem, manewrując wśród wijących się roślin.

Jedna ze ścieżek lśniła w blasku księżyca jaśniej niż inne. Skierowałem się w jej stronę, lecz szakal zagroził mi drogę. Wtedy skręciłem i schowałem się w bluszczu, ale i tam natknąłem się na szakala.

- Idź sobie! - wrzasnąłem. Ułamałem spróchniałą gałąź i zacząłem nią wymachiwać. Zwierzę usiadło i przechyliło łeb. Za nami kłębiły się i szemrały nieszkodliwe już nocne powoje. - Niech cię szlag! - zakląłem.

Byłem zły na siebie, że bałem się tego stworzenia, które właśnie przed chwilą mnie ocaliło. Szakale to dzikie psy, ale podobno od czasu do czasu okazywały ludziom przyjaźń. Miramar opowiadał, jak w dzieciństwie oswoił psa, który później potrafił robić różne sztuczki. Wspominał to z płaczem. Doktor Foster potwierdzał, że psy te były wcześniej szlachetne, dopóki nie doszło do ewolucji kaskadowej i powstania szakaludzi i innych niewolników genetycznych. Miramar klął się na wszystkie świętości, że psy rozumiały ludzką mowę.

Psy, tak samo jak szakaludzie, polowały jednak na ludzi i zjadały ich przy każdej okazji. Machnąłem gałęzią w powietrzu, rozglądając się wśród zalanej księżycowym światłem gęstwiny za znakami obecności innych drapieżnych roślin czy zwierząt. Szakal przechylił głowę i śledził moje ruchy. Nie wyglądał na głodnego. Gdy zrobiłem krok do przodu, wstał i poszedł za mną, merdając ogonem.

- Czego chcesz? - Stałem z nim oko w oko. Niewielka polana, porośnięta kępami bladego mirtu, odbijała blask, padający z nieba przez małą lukę w koronach drzew. Szakal zatrzymał się, odrzucił łeb i wydał z siebie głos.

Nie było to szczekanie czy wycie, jakie często dochodziło do moich uszu z oddali, lecz żalosne zawodzenie, przypominające intonacją i kadencją mowę. Za naszymi plecami nocne powoje zamarły w bezruchu, zamilkł wiatr. Tylko szakal wydawał z siebie głos, jakby mówił coś samym gwiazdom. Na ten dźwięk włoski na karku i ramionach stanęły mi dęba. Powrócił sen o Powieszonym Chłopcu, którego u Świętego Alabana nazywają Rozdziawionym.

To ten, którego znają również jako Króla Psów.

- Czego ode mnie chcesz? - powtórzyłem, tym razem opuszczając kij. - Nie należę do twojego ludu. - Głos załamał mi się jak chłopcu i zrobiło mi się jakoś nieswojo.

Zwierzę stało z pyskiem zwróconym ku gwiazdom. Uniosłem wzrok w tę samą stronę i zobaczyłem księżyc w nowiu. Wiele gwiazd: polarna, gwiazdy myśliwych Cerebus i Syriusz, niezliczone roje innych, które zapewne tylko ja widziałem. Na moich oczach firmament przemierzył jakiś blady punkt, jedno ze smutnych światełek Ascendentów, już na wieki skazane na liczenie chmur. Śledziłem go wzrokiem, dopóki nie schował się za liśćmi. Szakal ciągle wpatrywał się w niebo. Westchnąłem i odwróciłem się. Ostrzegł mnie cichym warknięciem, więc na powrót uniosłem głowę.

Ze środka nieba wybuchła jakaś jasność i rysowało się srebrna szczelina. Rozrastała się tak bardzo, że obawiałem się, iż niebo pęknie, ukazując oślepiającą próżnię, skrytą za zasłonami kosmosu. Szczelina rosła, aż ukazał się w niej drugi księżyc w formie łązy, przesuwany się po nieboskłonie i pozostawiający za sobą ognisty ślad. Po chwili zniknął w kręgu płynnego ognia, a ciągnący się za nim ogon lśnił jak tłący się węgielek.

- O słodka Magdaleno! - sapnąłem.

Takie bowiem znaki poprzedzały każdą z Ascenzji. Były to nowe księżyce, które płonęły i spalały się niczym bengalskie ognie. Wtem ze wszystkich części Miasta rozległy się zgiełki i krzyki. W oddali zabrzmiały syreny, zawarczały fugi i usłyszałem najślabszy ze wszystkich odgłosów - dudnienie rakiet burzących nad rzeką.

Odwrociłem się i potknąłem o szakala. Schwycił mnie zębami za nogawkę spodni i uparcie za nią pociągał. Nabrałem już pewności, że uczestniczę w jednej z przygód, o jakich często opowiadał nam doktor Foster. Bez wahania, niczym wąż zrzucający skórę, wyzbyłem się wszelkich obaw, jakie jeszcze dzień wcześniej miałbym, by pójść śladem jakiegoś widmowego zwierzaka poprzez las, w którym przechadzają się bogowie, a rośliny pożądamy ludzkiej krwi.

- Gdzie tylko zechcesz, Anku! - Tak miał na imię oswojony pies Miramara. Stojący przy mnie szakal mało co nie zatańczył na takie zawołanie, odrzucił głowę i znów wydał z siebie to dziwaczne, przejmujące wołanie. Następnie runął w leśny gąszcz, a jego srebrzyste boki lśniły w chaszczach. Poszedłem za nim, starając się nie zwracać uwagi na dźwięki syren i statków powietrznych. Biegłem z dziką rozkoszą, pełen ufności i spokoju, skoro strzegł mnie pies Śmierci.

4. Istoty organiczne odmiennej natury

Zanurziliśmy się w las. Miałem wrażenie, że jesteśmy tuż od wielu dni, lecz księżyc dopiero zaczynał swoją wędrówkę po niebie. Gnałem za Anku z pochyloną głową, żeby nie stracić go z oczu. Drzewa jakby się przed nami uchylały. Rozdeptywałem piszczące mandragory, z których tryskała biała piana. Ani te odgłosy, ani krzyki betulamii, smukłych, podobnych do brzozy drzew, które wyciągały swoje ramiona, nie mogły mnie przerazić czy powstrzymać. Gdzieś przed nami toczyła się leniwie rzeka i stały rozświetlone Domy Erosa. Gdzieś tam Roland obejmował następnego patyka i wykonywał pierwsze kroki pawany, rozpoczynające każdą pafiańską maskę.

Mając ten obraz przed oczami, zacisnąłem zęby. Poczułem nowy rodzaj pożądania: nagłą potrzebę zadawania bólu, znęcania się, wściekłe pragnienie odarcia z twarzy Rolanda

ciała i ścięgien, by ugasić tę gorączkę jego krwią. Strzalec na nadgarstku zaczął pulsować fioletowym blaskiem. Roześmiałem się i uniosłem pięść, tak że oświetlił ścieżkę przede mną. Anku odwrócił się, a wtedy w tym świetle zabłysły jego białe zęby.

Las stopniowo zmieniał się w rzadki zagajnik, przekłuty szpilkami świetlików. Anku gnał przez wysoką trawę. Oślepiiony jaśniejszym blaskiem księżyca, zawahałem się. Kilka metrów dalej w Strumieniu Tygrysu pełgały odbite gwiazdy. Zawołałem z radości i popędziłem popluskać się w płytkiej wodzie. Anku już w niej brodził, chłepcząc wodę i potrząsając pyskiem. Dobrnąłem do punktu, gdzie woda sięgała po kolana, i zacząłem spoglądać na ukryte za gęstym listowiem Wzgórze Płomiennej Magdaleny. Gdy wyteżyłem wzrok, mogłem wypatrzeć zarysy ruin, a nawet blade migotanie, dochodzące zapewne z Wysokiej Brazylii.

Zaprzagnąłem zobaczyć się z moim ludem: z Miramarem i Keturą, Małymi Thomasem i Benedickiem, nawet ze starym doktorem Fosterem.

I z Fancy. Przede wszystkim z małą Fancy, która tańczyła prawie we wszystkich moich snach i pozostała światłem, które pocieszało mnie w najczarniejszych chwilach. Nawet teraz, gdy otaczały mnie czarne iglice Wąskiego Lasu, a w oddali pohukiwali łazarze, myśl o Fancy, która gdzieś tam (może za mną tęskni?) budzi się z wieczornej drzemki i ubiera na bal, uspokajała mnie jak mało co na świecie. Łatwo było zapomnieć o całym szaleństwie dookoła, gdy tylko człowiek zdał sobie sprawę, że na pafiańskim wzgórzu śpiewa, śpi i tańczy ona; jakbym był księciem z bajki, którego nie można zabić ogniem, mieczem ani kołkiem, gdyż jego serce jest gdzie indziej, w bezpiecznej kryjówce. Gorzka tęsknota, gnająca mnie przez las, ustąpiła miejsca łagodniejszej potrzebie towarzystwa istot podobnych sobie; śmiechu i piękna; a przede wszystkim potrzebie przebaczenia, tego, że ponad różne odmiany miłości wyżej stawiałem na mądrość.

Gdy Anku trącił mnie pyskiem, wzdrygnąłem się i niemal wpadłem do płytkiej wody. Kopnąłem go. Warknął żałośnie, a ja nagle poczułem, że mam dość jego, tego lasu, Kuratorów i całego zła, które się we mnie obudziło. Zwróciłem się w kierunku biegu strumienia, gdzie potok (jak sądziłem) wpadał do rzeki, gdy zauważyłem obserwujące nas po obu brzegach postacie.

W blasku księżyca do złudzenia przypominały zaczarowane drzewa, betulamię albo gorzkie olchy. Chude sylwetki z uniesionymi długimi rękami, milczące, z czarnymi oczami osadzonymi w wynędzniałych twarzach. Cztery na jednym brzegu, trzy na drugim. Przeważnie byli mniejsi ode mnie. Nawet w przyćmionym świetle łatwo się było zorientować, że to dzieci, choć niezupełnie.

Łazarze?

Anku stał obok, czujnie wyprężony. Spojrzałem na niego. W jego oczach błysnęła się płomyk tak niezwyklej inteligencji, że aż zadygotałem, choć woda, w której stałem, była ciepła i leniwa. Uniosłem wzrok i popatrzyłem na najstarszego chyba łazarza. Dziewczyna z dwoma chłopcami po bokach stała na bardziej oddalonym od nas brzegu. Włosy miała niemal do białości spalone słońcem, twarz pociemniała, jakby pomalowana. Na ramiona zarzuciła strzępy żółtej kurtki janczara. Na szyi wisiał diadem, upleciony z ludzkich warkoczy. Chłopcy byli bardzo młodzi, mieli po siedem, może osiem lat. Jeden, o płomiennie rudych włosach, robił miny do grupy na przeciwległym brzegu. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, zachichotał i skrył się za plecami dziewczyny. Pozostali także byli młodzi, ale tak chudzi i brudni, że trudno było odgadnąć, czy to chłopcy, czy dziewczyny, obłóczeni w łachmany, przyozdobione pękami wystrzępionych włosów u pasa. Jedyne ich broń stanowiły oczy: ogromne, błyszczące i rozgorączkowane, wygłodzone.

Byli przy tym tacy drobni, w końcu to tylko dzieci. Uśmiechnąłem się i postąpiłem krok do przodu.

W mgnieniu oka rzucili się na mnie. Zanim upadłem, zauważyłem, jak dwaj chłopcy wyskakują z wysokiej trawy. Jeden runął na moje plecy, kopiąc i wrzeszcząc, i zaczął wbijać się paznokciami w kark. Drugi objął rękami moje kolana, po czym walnął głową w krocze. Zgiąłem się w pół z bólu.

I wpadłem w popłoch. To nie były dzieci, lecz łazarze: chore upiory. Chciałem im umknąć, ale potknąłem się i wpadłem do wody.

Poczułem, jak pierwszy z chłopców wspina mi się po plecach i przytrzymuje głowę, żebym nie wynurzał się spod powierzchni. Próbowałem go strącić i jednocześnie słyszałem, że nie jest już sam. Woda dostała mi się do ust, dławilem się, poczułem na sobie roje dłoni. Po chwili usłyszałem inny dźwięk, głucho dudnienie wody w uszach, potem wrzask, raptownie przerwany. Rozplótł się węzeł rąk. Przetoczyłem się kilka metrów z prądem, wreszcie wstałem, ocierając twarz z wody.

W strumieniu stało teraz sześcioro dzieci, woda kłębiła się wokół kostek ich nóg. Anku przysiadł na mieliźnie pośród nich. Przed nim leżał rudowłosy chłopiec, któremu z gardła płynął strumień krwi, czerwonej jak jego włosy. Kaszłąc, brnąłem pod prąd. Anku zanurzał pysk w wodzie, dopóki go nie obmył. Wtedy przyskoczył do mnie.

Troje z łazarzy wzięło martwego dzieciaka za ręce i zaczęło wlec go ku brzegowi. Pozostali przysunęli się do wysokiej dziewczyny. Płakała cicho, trzymając w ustach kciuk. Napotkałem jej błagający wzrok i poczułem się nieswojo, że zwraca się do mnie -

najstarszego z obecnych - po otuchę. Zwróciłem się do niej.

- Puście mnie! - zawołałem. Anku przysunął się do mojej nogi. - Chcę po prostu przejść do Wysokiej Brazylii. Mam tam uczestniczyć w masce...

Dziewczyna wzięła za rękę dwoje stojących najbliżej niej dzieci i pierwszy raz przemówiła:

- Są głodne. Dzieci rozplakały się.

Rzuciłem okiem ku bliższemu brzegowi. Łazarze, którzy wyciągnęli z rzeki martwego chłopca, kucali teraz przy nim. Trzecie dziecko grzebało w ociekających wodą łachach, dopóki nie wyciągnęło jakiegoś błyszczącego przedmiotu. Odwróciłem oczy.

- Macie teraz jego - stwierdziłem. - Puście mnie.

- Jest za mały - zareplikowała dziewczyna. Jak na swój wiek, głos miała zdumiewająco głęboki. Przyciągnęła do siebie dwoje stojących najbliżej dzieci i zaczęła klepać je po głowach z roztargnieniem charakterystycznym dla dzieci, które naśladują dorosłych.

- Cii - upomniała je. - On teraz śpi. Pomóżcie Tristin.

Tristin. Pafiańskie imię. Ugryzłem się w język, żeby nie krzyknąć: że też taki okropny koniec spotkał któregoś z moich kuzynów! A przecież przytrafiało się to po każdym deszczu róż. Dzieci i starszych Pafianów (przeważnie dzieci, które nie potrafiły aż tak szybko uciekać) łapano na zewnątrz. I nigdy nie dopuszczałem do świadomości faktu, że łazarze, którzy polowali i umierali na ulicach, mogli być kochankami, z którymi spotykałem się w łóżach na Wzgórzu Płomiennej Magdaleny.

Najstarsza z dziewcząt odepchnęła dwie młodsze. Wyszły na brzeg, oglądając się z przestachem na Anku.

- Dziś w nocy spadła gwiazda - odezwała się dziewczyna. Podrapała się po piersi i poprawiła żółtą kurtkę, by otuliła jej biodra. - Widzieliśmy w Katedrze fugi. - Przechyliła głowę, nasłuchując zamierającego dźwięku syren.

- Ja też. - Obejrzałem się, czy za moimi plecami nie gromadzą się jej towarzysze. Skrzyżowałem ręce na piersiach i zrobiłem krok w stronę bardziej oddalonego brzegu. Dziewczyna lustrowała mnie tymi swoimi czarnymi, przenikliwymi oczami, rozpryskując nogami wodę na mieliźnie.

- Jesteś łazarzem - stwierdziła w końcu.

- Nie. Pafianem. Idę na Wzgórze Płonącej Magdaleny, na maskę w Wysokiej Brazylii. Przepuście mnie...

- Ubierasz się tak jak my. - Wskazała moje podarte ubrania. Anku przechylił głowę,

uważnie się nam przypatrując. Dziewczyna wskazała go kciukiem.

- To pies - oznajmiła, jakby spodziewając się, że zaprzeczę.

- W pewnym sensie. To jest szakal.

- Mieliśmy psa - powiedziała z nostalgią. - Ale go zjedli. Byłam mała, więc mnie zabrali. Z zoo.

- Zoo - zawtórowałem. Spojrzałem na północny zachód, gdzie na niewidocznym, skrytym za białymi dębami wzgórzu mieszkali Zoologowie. Czyli pochodziła z Kuratorów. Objąłem ją spojrzeniem: ciemne żebrowanie jej boku, skryte pod strzępami kurtki; wynędzniała, poczerniała twarz; białe blizny na ramionach, w miejscach, gdzie spadły na nią krople deszczu. Mogła mieć trzynaście lat.

- Jak masz na imię?

- Perła. - Przybliżyła się do mnie powolnym, nierównym krokiem, sprawiając wrażenie niezmiernie znużonej lub uspokojonej. Cofnąłem się. Za nią widziałem innych, kłębiących się nad ciałem chłopca. Niektórzy spośród nich rzucali liście i patyki na kamienie obok niego.

- Masz taką białą skórę. - Wyciągnęła rękę w stronę moich piersi.

Anku zawarczał, lecz dziewczyna tylko na niego popatrzyła. Odsunąłem się. Wzruszyła ramionami i odeszła kilka kroków.

- Przepuść mnie. - Anku śledził ruchy zbliżającej się dziewczyny. - Bo będę musiał cię zabić...

Spojrzała na moją uniesioną pięść i nadgarstek, gdzie pełgał blask strzalca. Wzruszyła ramionami.

- I tak jestem już narzeczoną Śmierci. - Obnażyła zęby w ohydny uśmiech. Pochyliła głowę i uważnie mi się przyjrzała.

- Zdaje mi się, że ty też zostałeś przeznaczony Rozdziawionemu.

- Złożyła mi kpiący ukłon i zakaszła. - Przekażę Pocieszeniu Umarłych, że widziałam wybrańca Rozdziawionego, który bawił się w rzece z białym psem. - Warczenie Anku narastało. Przyczał się jakby do skoku. Perła roześmiała się i odeszła parę kroków.

- Kto to taki Pocieszenie Umarłych? - zawołałem. Uśmiechnęła się, znów ukazując żółte zęby, i pokręciła głową.

- Nasz pan - oznajmiła, gramoląc się na brzeg. - Pan Pograżonej Katedry. - Odwróciła się i zamachała ręką. - Malcy boją się tego psa - zawołała - więc cię nie zabiją. A mnie nie chce się już jeść. Zmierzam na spotkanie z Rozdziawionym, z Władcą Psów. Opowiem mu, że cię tutaj spotkałam.

Jej śmiech był radosny i czysty jak każdego pafiańskiego dziecka; wzniosła rękę, naśladując pafiańskie pozdrowienie.

- Byłam ukochaną córką pewnego Zoologa. Teraz nabawiłam się zarazy, od której kości miękną, aż całkowicie stopią się z ciałem jak masło. A jednak... - Wykonała niezgrabny piruet, zatrzymując się na brzegu. - Podoba mi się pysk twojego psa.

Roześmiała się i plusnęła wodą w Anku, który rzucił się na nią, warcząc. Zdążyła jednak już się wydostać na kamienisty brzeg, gdzie w kręgu przy ognisku dzieci powitały ją płaczliwymi okrzykami.

5. Dobrze zachowane skamieliny

Razem z Anku przekroczyliśmy Tygrys w miejscu położonym najbliżej Wzgórza Płomiennej Magdaleny. Cienie łazarzy za nami zasłaniały niewielki jasny punkt ich ogniska. Po kilku chwilach zniknęli nam z oczu.

Wzgórze, na które się wspięliśmy, zaczęło wkrótce opadać. Rozpoznałem już pierwszy z naszych Domów, ozdobne iglice i minarety Świętego Alabana wznosiły się ponad ciemne korony cyprysów, którymi wysadzono łuk podjazdu. Na przemian biegnąc i ślizgając się, pokonałem trawiasty stok do naznaczonej koleinami Starej Drogi, którą Kuratorzy ciągle jeszcze utrzymywali, by służyła im w czasie rzadkich odwiedzin w Mieście. Przystanąłem.

Oparty o pień drzewa, wygładziłem tunikę na kolanach i otrzepałem nogi z kawałków kory i zeschniętych pędów. Widok wystrzępionego rąbka szaty uświadomił mi, że taki strój niezbyt nadaje się na maskaradę. Dotknąłem włosów, próbując rozplatać kłębowisko suchych liści i splecionych kosmyków. Nic dziwnego, że Perła wzięła mnie za łazarza.

Z ponurym uśmiechem postanowiłem wejść na Bal Motyli tak, jak stałem. Będzie mnie jeszcze trudniej rozpoznać. Kto by bowiem pomyślał, że piękna prostytutka Rafael Miramar pokaże się ludziom w tym stanie - na dodatek nie proszony! - wynędzniały i zaniedbany, a przy tym piękny i krwiożerczy jak sam Rozdziawiony, w towarzystwie śmiejącego się psa i ukrytego żądła jadowitego skorupiaka? Zaśmiałem się, odrywając od tuniki pasmo tkaniny, którym przewiązałem włosy. Myśli miałem krwawe. Zawołałem Anku i ruszyłem w stronę drogi.

Tę trasę już niegdyś przemierzałem, chociaż nigdy sam i nigdy nocą. Przedemną wyrosło Wzgórze Płomiennej Magdaleny, ozdobione drogą białą od marmurowych ułomków i skrzywionych resztek latarni z kloszami *ignis florum*. Starsi musieli przez całe popołudnie zajmować się wypuszczaniem paziów i ciem samburów, na cześć których co Czasień odbywał się Motyli Bal. Dorosłe sambury w ogóle nie jedzą. Żyją przez jedną zaledwie noc, podczas

której się rozmnażają, i właśnie to krótkie przejście od poczwarki do martwej łupiny świętowaliśmy. Motyle błdziły po drodze, wlokąc tylne skrzydła po marmurze i pozostawiając za sobą lśniący blado barwnik. Za to ćmy latały wszędzie, przyciągały je zwłaszcza zielonkawe klosze. Wolne ruchy skrzydeł sprawiały, że zdobiące je oczy mrugały sennie, jakby noc była peleryną skrywającą niewidzialnego Argusa.

Jedna z ciem z rozgałęzionymi czułkami przeleciała tak blisko, że od powiewu jej skrzydeł poruszyły się włoski na grzbiecie mojej dłoni. Uniosłem strzalca, skupiając wezbraną w sercu wściekłość, dopóki skorupa nie zaczęła migotać. Rozwarłem dłoni. Wylądowała na niej ćma, zwabiona fioletowym blaskiem. Pełzła po dłoni w kierunku nadgarstka. Na chwilę przystanęła z drżącymi pierzastymi czułkami. Przypomniałem sobie zdradę Rolanda, furię i moje pożądanie trupa Franki, aż poczułem, jak krew zaczyna żywiej krążyć w moich żyłach.

Czarna iskra jedynego żądła strzalca wysunęła się i przebiła tułów ćmy. Po chwili szpikulec się schował. Małeńkie nóżki zeszywniały, pusty żołądek wypuścił cząsteczkę powietrza, podmuch wiatru poruszył sparaliżowanymi skrzydłami. Dmuchałem na nią i obserwowałem, jak ląduje na drodze, pośród rojów współplemieńców, którzy pełzali wyczerpani po marmurowej drodze. Dałem Anku znak, że idziemy, i wstąpiłem w stado motyli.

Na szczycie wzgórza w blasku światła widniał Dom Wysokiej Brazylii: pod okapem wisiały niezliczone klosze i świece, ich promienie jak w pryzmatach rozszczepiały się w sławnych Hagioskopijnych Glifach. Owalny podjazd zastawiony był lektykami, starsi, którzy je nosili, albo drzemali, albo grali w *go*. Ich ciche głosy i stukanie kamyków o drewniane plansze wywołały falę nostalgicznych wspomnień. Zawahałem się. Dopiero łagodny ucisk pyska Anku na udzie kazał mi wyjść z półmroku drogi na podjazd.

Usłyszałem głośniejszy stuk, gdy wszystkie kamyki opadły jednocześnie, i wtedy odwróciło się w moją stronę kilkanaście bladych twarzy. Przełknąłem ślinę, odrzuciłem włosy i uniosłem do ust trzy palce w geście pafiańskiego pozdrowienia. Znajdujący się najbliżej starszy taksował mnie przebiegłym spojrzeniem; węgiel i przesadzona dawka oktyny korzystnie zmieniały tę zrujnowaną, niegdyś piękną twarz.

- Długą drogę przebyłeś, kuzynie - zagał.

Na moje powitanie uniosła się jeszcze jedna starsza kobieta o spopieliałych blond włosach i szczerbie między zębami, którą ukazała w przelotnym uśmiechu.

- Wejdz powoli do naszego grona - zaśmiała się i dotknęła mojego ramienia. Wyciągnęło się do mnie jeszcze kilka rąk. Staralem się stłumić drzenie, które pojawiło się na

skutek ich dotyku, zdawałem sobie bowiem sprawę, że mój widok rozpała na ich twarzach wąty płomień i każe ręką wędrować w okolice bioder.

- Nie taką znowu długą - odparłem. Kobieta wstrzymała nagle oddech. Obejrzałem się i zobaczyłem z tyłu Anku. - Przyszliśmy z Miramar. Zwierzak jest oswojony...

- Pamiętam psa Gowera Miramara - odezwał się jakiś inny głos. Zobaczyłem, jak Delfina Persja wstaje i składa mi kaleki ukłon.

- Tak jak pamiętam ciebie, Rafaelu.

- Delfina? - Posłałem jej wymuszony uśmiech i wyciągnąłem rękę, muskając jej usta trzema palcami. W dzieciństwie byłem jej ulubieńcem. Już wtedy była stara, około trzydziestki, lecz zachowała jędrną i lśniąca skórę i łagodne, piwne oczy, którymi wodziła za mną, gdy figlowałem w jej seraju. Nie widziałem się z nią od lat. Jej twarz opuchła, włosy pokryły się siecią pajęczyn; łagodne oczy podkreślał węgiel, który zakrzepł w obwisłe fałdy pod wyskubanymi w dwa wykwintne łuki brwiami. Delikatne ręce obrosły mięśniami od noszenia lektyk, a nagie ramiona zdradzały, jak ciężko musiała pracować.

- Słodkie z ciebie dziecko, pamiętasz jeszcze, jak mam na imię - roześmiała się. Ujęła mnie pod brodę i uniosła twarz, żeby lepiej mi się przyjrzeć. - Zmieniłeś się! - Przez jej twarz przemknęło coś pomiędzy przerażeniem a tryumfem. Dotknęła moich włosów, krzywiąc się, gdy wyciągała z nich uschły liść.

- Niezwykły kostium - zauważył mężczyzna o dziobatej twarzy, niewiele starszy ode mnie. W jego oczach płonęła niczym nie uzasadniona złośliwość. - Czym jesteś gościem?

- Rolanda Nopcsy.

Kilku starszych zaczęło coś między sobą szeptać, aż wreszcie ten, który pierwszy odpowiedział na moje pozdrowienia, zwrócił się do mnie z tymi słowami:

- Roland Nopcsa przybył po południu i zaprosił na wieczór Whitlocka Wysoką Brazylię. Sam jestem stamtąd i przenosiłem ich dzisiaj po porannych biczowaniach w Ilirii. - Popatrzył na mnie z pewną dozą współczucia. - Może kto inny zaręczy za ciebie...

- Zaręcę sam za siebie. Najmłodszy ze starszych roześmiał się.

- Trafiłeś pod zły adres, Miramarze! Tylko spójrzcie na niego... - Tu pogardliwym ruchem wskazał moją podartą szatę. - Został zdetronizowany, by Whitlock zajął jego miejsce. Sam słyszałem, jak rano w łaźniach mówiła tak Godiwa Persja.

Przez grupę przetoczył się pomruk. Popatrzyłem na siedzącego w cieniu Anku. Zebrałem się w sobie i skierowałem słowa do **Delfiny**.

- Ten pies ma być darem dla Nopcsy, dzięki któremu chcę odzyskać względy Rolanda.

- Swego czasu Gower Miramar podbił serce Jelliki Persji, darując jej nakrapianego

jaguara!

Jakiś zniewieściał mężczyzna z wytatuowanym na dłoni kwiatem **Ilirii** zachichotał i spojrzał na błyszczące karminowo oczy Anku.

- Jeszcze jeden albinos! Whitlock będzie wściekły.

Na myśl o niezadowoleniu Whitlocka (mimo że całkiem przypadł mi do gustu, gdy złączyliśmy się podczas Nocy Zimowej) roześmiałem się gwałtownie. Starszych też wyraźnie bawiła perspektywa niespodziewanej zabawy. Zastanawiałem się, od kiedy zapraszają ich na maskarady jedynie w charakterze służebnych. Chyba od niedawna, bo dziobaty Pers nie przyzwyczał się jeszcze do niewolnictwa: domyśliłem się tego z jadowitych spojrzeń, jakie mi posyłał.

- To mimo wszystko Dom Whitlocka, a nie Miramara - syknął, ciągnąc się za hebanowoczarny warkocz, jedyną pozostałość po dawnej świetności. - I popatrzcie na jego ubiór! Szydzenie z Rozdziawionego na jego własnym Wzgórzu może się źle skończyć.

- Przez Balfoura przemawia zazdrość, Rafaelu - powiedziała Delfina. Wsunęła mi ręce między nogi. Z tej pieszczoty była znana w młodości. - Whitlock jest jego siostrzeńcem albo bratankiem. Moim zdaniem to ciekawy pomysł - szakał - albinos! Gdzieś ty go znalazł?

- Schwytałem go pod Obeliskiem.

- Pewnie uciekł Zoologom. Nie wiedziałam, że znasz się też na zwierzętach - oświadczył Iliryjczyk z podziwem w głosie.

- Był zdolnym dzieckiem - oznajmiła z dumą Delfina. Gdy zbliżyła do mnie twarz, poczułem w jej oddechu mdły odór likieru z owoców ginkgo.

- A czy mnie pamiętasz z Nocy Zimowej, Rafaelu? - rozległ się nowy, piskliwy głos. Zimne i wilgotne ręce złapały mnie za ramię.

- A mnie? - odezwała się następna, dotykając mojego policzka.

- Chyba nigdy nie zapomniałeś drogiej Delfiny, mój cherubinku? - pytała, jednocześnie przesuwając ręką po udach.

- Naturalnie, że nie. - Ostrożnie wyswobodziłem się z czułych objęć. Podeszedłem do Anku i oparłem się o słup latarni. Wpatrywałem się w kępę błyszczących orchidei, próbując uspokoić drżenie rąk. Wziąłem głęboki oddech.

- Jesteście dla mnie zbyt dużą pokusą, moje drogie! - Ogarnąłem ich wzrokiem. Delfina, wsparta na ramieniu Iliryjczyka. Za jego plecami Trójca złamanych podagrą strachów na wróble, rozbierających mnie wzrokiem. Rzucający groźne spojrzenia Balfour, który okręca sobie warkocz wokół rąk pokrytych bliznami. Za nimi inni, ciągnący ku światłu, o twarzach wypranych z wszelkiej urody i ciepła, o rysach, które świadczyły, że w swoim

życiu ulegali żądzom. Poczułem, jak uginają się pode mną kolana, ale utrzymałem równowagę, podczas gdy Anku skoczył na równe nogi i wydał z siebie ten dziwny, przejmujący głos.

Rozległy się ciężkie westchnienia starszych. Powoli zajmowali swoje miejsca na podjeździe. Delfina schyliła się, żeby pozbiierać rozsypane pionki, rzucając mi przy tym ostatnie, pełne tęsknoty spojrzenie. Tylko Balfour nadal stał i patrzył wyzywająco.

- Mam nadzieję, że zostaniesz wygnany za mieszanie się do cudzych spraw - powiedział, wywołując tym salwy śmiechu, po czym odwrócił się i sztywno odszedł w cień.

- Wybaczcie spieszne odejście - ukloniłem się - ale będę chciał załagodzić tę waśń z moim mentorem...

- Powodzenia, Rafaelu. - Delfina dotknęła ust. - Pamiętaj o mnie na Motylim Balu!

- Pamiętaj mnie! Pamiętaj! - dołączyły się inne ciche głosy. Wzniesając kurz, unosili palce w pafiańskim pozdrowieniu.

- Dobrze - zawołałem niepewnie - dobrze! - Iz pochyloną głową wkroczyłem na marmurowe stopnie do Wysokiej Brazylii.

6. Kolory podstawowe

Budynek pełnił niegdyś funkcję Ambasady Antypodów. Wymyślne płaskorzeźby na marmurowej fasadzie do dziś jeszcze ukazywały wijące się w bólu pyski kapucynek, małe marmosetek i uakari. Portal nad głównym wejściem ozdobiony był wizerunkiem węża, któremu raz na rok wrywano opalowe oczy, by przez jedną noc mógł je nosić kacyk Balu Motyli, wybierany o północy. Było jeszcze wcześniej. Ogniste kamienie ciągle lśniły w oczodołach, jasno świeciły zamontowane na ziemi lampy - mimo że pilnujący drzwi starsi byli już pijani i domagali się prawa do obmacania każdego z przebranych uczestników maski. Przystanąłem na chwilę w cieniu. Anku cicho zajęczał, obserwując regularnie przesuwające się błyszczące postacie chłopców i dziewcząt, które ugiwały się pod ciężarem ozdobionych klejnotami i piórami fryzur oraz jedwabnych skrzydeł.

- Cii - upomniałem go, trącając nogą. - Przynajmniej jesteś ładnym prezentem. - Nachyliłem się, żeby zmierzić jego białą sierść. Anku coraz głośniejsze warczał. Gdy dwaj strażnicy zwrócili uwagę na Aspazję Helenę, wynurzyłem się z mroku i znalazłem w jasnym świetle lamp.

- ...siedem lat, a taka mała!

Jeden ze starszych zawołał z uciechy, gdy Aspazja go uszczypnęła, a w powietrzu uniół się tuman skrzącego się pudru. Słyszając dźwięk moich kroków na schodach, odwróciła

się. Jej figlarne rysy na chwilę spochmurniały. Potem pisnęła i mało nie potknęła się o fałdy dwóch skrzydlatych wyrostków, sporządzonych z zielonego jedwabiu.

- Rafaelu!

Objęła moją szyję, ja zaś skryłem twarz w jej ramieniu, odurzony zapachem perfum z palisandru i dotykiem jej miękkiej skóry. Szeptalem ogłupiały, oszołomiony myślą, że oto znowu się tu znalazłem; tuliłem się do niej tak długo, że w końcu usłyszałem szydercze komentarze strażników.

- Rafaelu - wymruczała, odsuwając się. Gdy uważniej przyjrzała się mojej twarzy, przesunęła się na bok, gładząc nici lawendy wplecione w dekol. - Czy to twój kostium? - Już miałem zamiar jej odpowiedzieć, gdy pisnęła i chwyciła mnie za rękę. - A to co?

- Szakal. - Złapałem Anku za sierść na karku i przyciągnąłem do nogi. - Prezent dla Rolanda Nopcsy.

- Oswojony?

- Jak najbardziej. - Z pewną siebie miną klepałem Anku.

- Jego warczenie nie jest zbyt przyjazne - stwierdziła. Wyciągnęła ozdobioną wstążkami rękę. Anku niepewnie ją powąchał, po czym polizał po nadgarstku. - A! Łaskocze... - Spojrzała na mnie z ukosa. - Co się z tobą działo? Słyszałam, że zamieszkałeś wśród Kuratorów...

- Ale wróciłem. - Widziałem, jak od strony podjazdu nadchodzi tłum gości ze Świętego Alabana, i słyszałem jęki starszych, stawiających na ziemi lektyki. - Wchodzisz?

- No, chyba... tak - odparła, wciąż nie przekonana. - Taki dziwny ten kostium...

- To będę ci towarzyszył. - Ująłem ją pod ramię i odwróciłem twarz, żeby starsi nie mogli zbyt dokładnie jej się przyjrzeć.

- Ej - krzyknął jeden z nich, gdy przebiegł koło niego Anku. Ale Święci Alabanowie wkroczyli już na schody wśród woni jaśminu i szelestu krynoliny. Weszliśmy do środka nie zatrzymywani.

Cała gama zapachów: jaśmin, drzewko ilang, drzewo sandałowe i cibora; przyprawiający o zawrót głowy odór nasączonego opium cedru, który płonął w miedzianych piecykach. Przystanęliśmy przed wielkim łukiem galerii nad Wielką Salą. Aspazja uwolniła się z mojego uścisku. Marmurowa podłoga w dole migotała pod falami uczestników balu w motylach kostiumach. Senatorowie i Kuratorzy ostrożnie lawirowali, trzymając nad ziemią długie poły skromnych strojów nad ziemią. Biało-czarna maska jakiejś Persjanki z biczem stanowiła pstrokatą plamę na tle kilkorga dzieci o skrzydłach ciem, próbujących zatańczyć śmiałą brazylijską maxixę. Wysoko ponad głowami sufit zdawało się też płasnąć: tysiące

zalotnych samburów unosiło się pod mrocznym sklepieniem, ary zaś i złote zięby goniły za wyczerpanymi gośćmi.

- Botanik Edmund Blanche umówił mnie na sali balowej z Beatą Heleną i iliryskim kastratem - oznajmiła Aspazja. Obrzuciła mnie tęsknym spojrzeniem i nałożyła mi na policzek kroplę perfum.

- Na twoim miejscu doprowadziłabym się trochę do porządku - dodała. - Już samo zwierzę źle o tobie świadczy... - Skrzywiła się i wskazała podarte ubrania. - Może później, po wyborze kacyka...

Pocałowała mnie. Niewielki język przesunął się po wewnętrznej stronie mojej dolnej wargi, po czym skinęła i musnęła moje usta palcami. Nie zdążyłem się z nią jeszcze pożegnać, gdy zniknęła wśród balujących.

- No cóż, Anku - westchnąłem. Dwie wysokie prostytutki, umalowane na podobieństwo zodiakalnych Bliźniąt, rozplotły ręce tak, bym mógł przejść pomiędzy nimi. Jedna z nich zaśmiała się i obsypała Anku okruchami motyli skrzydeł. Warczał, a one ze śmiechem potykały się na schodach.

- No, chodź - nakazałem z gniewem, szturchając szakala w głowę. Trzeba przyznać, że jak dotąd mój plan zemsty zaprowadził mnie raczej niedaleko. Wyobrażałem sobie walkę na stopniach Wysokiej Brazylii, Rolanda w roli rozjemcy i siebie, rzucającego się do jego gardła z płonącym strzalcem. Albo to, albo zgoda, która wydawała mi się tak mało prawdopodobna, że na myśl o niej w głowie pojawiały się mgliste wspomnienia rozchylonych ud i mrużanych pieszczotliwych słów. Powrót na pafiański dwór pod opieką rozumnego zwierzęcia jakoś nie przydał mi sprytu i inteligencji. Westchnąłem i wsparłem się na marmurowym słupku balustrady.

Przed moimi oczami przeleciała ćma polifemowa. Obserwowałem, jak żegluję nad tłumami, unosząc się na falach śmiechu i muzyki, dopóki jakaś niewiele większa od niej samej zięba wystrzeliła z mroku i przebiła nieszczęsnego owada swoją włócznią. Przypomniała mi się Francesca, która już nigdy nie zobaczy ptaszarni Zoologów; która już nigdy nie ujrzy bajecznego piękna Wzgórza Płomiennej Magdaleny. Zamknąłem oczy i próbowałem przywołać jej obraz, gdy stała obok mnie w sali Zmarłych Królów. Poczulem muśnięcie jej ręki.

Po chwili obraz zadrżał. Widmo, które wywołałem, rozpadło się na tysiące kawałków, niematerialnych jak rozjaśniające bal motyle. Nagle poczułem przenikliwy swąd, jakby bogata tkanina zajęła się od palonego w dole kadzidła. Mój nadgarstek płonął, jakby złapany w imadło z rozżarzonego metalu. Ulotny obraz polifema: ziejące furią oczy, które mrugały na

piersiach i rękach, ruchliwe czułki wyzierające z rozwartych ust. Wykrzyknąłem, otworzyłem oczy i zorientowałem się, że trzymam się balustrady, jakbym miał zamiar skoczyć w tłum.

- Nerwowy chłopiec - rozległ się za mną jakiś głos. Zobaczyłem wysokiego Murzyna w stroju pasiastym niczym skóra tygrysa. Niósł ślicznego, najwyżej sześcioletniego chłopczyka o kakaowych oczach i skórze barwy rozwodnionego mleka. Po gorączkowym blasku w oczach poznałem, że była to dla dziecka pierwsza Maska.

- Cześć, malutki - szepnąłem i wyciągnąłem rękę, by pogłaskać go po brązowych kosmykach, które okalały twarz. Na ten widok oczy dziecka zrobiły się okrągłe z przerażenia. Różowe policzki nadęły się i pękły niby przejrzałe jabłko. Cofnąłem się ku balustradzie, zasłaniając twarz rękami przed mgiełką tryskającej krwi; spuściłem wzrok i zobaczyłem, że nogi mam zasypane płatkami piwonii i uschłymi półksiężycami irysów.

- Ukąsiła ćma! - zawołał chłopczyk, a policzki spurpurowiały mu od śmiechu. Murzyn także się zaśmiał, choć jednocześnie rzucił kątem oka na moje nogi, jakby spodziewał się również ujrzeć krew.

- Ładny. - Kiwnął głową na Anku. Napotkałem spojrzenie jego czarnych oczu. - Dobrze się czujesz, kuzynie?

Przełknąłem ślinę i próbowałem się uśmiechnąć. Anku warknął i uderzył ogonem w podłogę, zmiatając różane płatki.

- Czekam na kogoś - odparłem i odwróciłem się, jakbym szukał w ciżbie znajomej twarzy.

Mężczyzna zachichotał i roześmiał się; chłopczyk bił go po ramionach, wreszcie na pożegnanie rzucił kolejną garść płatków.

Odczekałem, aż znikną, po czym zagwizdałem cichutko na Anku. Zdecydowanym krokiem ruszyłem w stronę klatki schodowej, próbując się uspokoić i patrząc w podłogę, zasłaną zmiądzonymi kwiatami i miotającymi się ćmami. Znane mi były halucynacje, upojne wizje po grzybkach i jeszcze bardziej szalone otępienie po wywarach opium i herbatki konopnej. Teraz jednak stałem się nieświadomym ujściem dla marzeń i żądz Śmierci. Zacisnąłem rękę na balustradzie i poszedłem przed siebie.

Na zakręcie schodów drogę zagradzało trzech Pafian. Jakaś Iliryjka przesuwiała białą ręką po błękitnych żyłach na szyi towarzysza. Drugą odrywała od skroni zużyty plaster frilitu. Uniosła na mnie swe oczy bez wyrazu i dotknęła wystrzępionego obrąbka mojego stroju.

- Patrz, Johannes - mruknęła. - Przyszedł po ciebie: BaalFlegor, Nagi Pan...

Człowiek, którego nazwała Johannesem, zamrugał i z trudem uniósł na mnie wzrok.

- Aaa - wybełkotał. Po chwili, jakby się czymś dławił, wydał zduszony krzyk i cofając

się, uderzył głową w balustradę. To pobudziło do życia trzeciego członka tego towarzystwa, bardzo chudą, młodą dziewczynę o czarnych włosach i skośnych, mahoniowych oczach Persjanki. Zdumienie i strach przez chwilę zabarwiły jej ostre rysy pikantnym szkarłatem.

- To tylko kostium - stwierdziła oburzona. Odwróciła się, ukazując przetkane złotymi nićmi czarne skrzydła na łopatkach. - Kretyn z ciebie, Johannes. - Ziewnęła i wyciągnęła do niego rękę, lecz ten ją odepchnął i bez przerwy wpatrywał się we mnie wytrzeszczonymi oczami.

- Tylko kostium - zawtórowałem i szturchnąłem Anku. Kiedy Anku przemierzał dwa kolejne stopnie, Johannes kręcił głową. Gdy także zacząłem schodzić, uniósł ręce przed siebie i skrzyżował je w nadgarstkach, z dłońmi rozwartymi w moją stronę. Dziewczyna zachichotała.

- To Święty Alaban - oznajmiła, gdy omijałem jej długie, rozłożone na ziemi nogi. - Taki przesądny!

Alabańczyk natarł na nią i cała trójka, popiskując, podjęła swoją wycieczkę.

Razem z Anku przedzieraliśmy się przez tłum. Biesiadnicy nie zwracali na mnie uwagi; nawet na Anku skierowało się zaledwie kilka zaskoczonych spojrzeń. Z jednego z ustronnych zakątków sali wśród śmiechu i dźwięków kobz dobiegł delikatny odgłos. Kierując się nim, dotarłem do miejsca, gdzie z marmurowej fontanny wypływała szemrząca struga wody. Na powierzchni pływały niczym kwiaty utopione émy. Zgarnąłem ich nieszczęsne trupy z mosiężnego kurka w kształcie głowy pekari. W aromatyzowanej wodzie zanurzyłem twarz i zmyłem z niej brud, po czym rozwiązałem włosy i pozwoliłem im opaść do wody. Na koniec możliwie najstaranniej je wytarłem, pozostawiając do wyschnięcia w bezładnych strąkach.

- Masz - zawołałem do Anku. Nabrałem w dłoń słodkiej wody i dałem mu pić. - Zaraz będzie kolacja.

Przechodząca para zwróciła się naszą stronę i zaczęła chichotać za aksamitnymi maskami. Odpowiedziałem im zimnym spojrzeniem. Wyższy z dwójki, pewnie kastrat, sądząc z pozbawionej zarostu, mięsistej twarzy i dziecinnego głosu, przypatrywał nam się uważnie swoimi szarymi oczami, na poły skrytymi wśród fałd maski.

- Co za nieszczęśliwe spotkanie, młody Panie Śmierć. - Ruchem głowy wskazał wystrzępione ubranie i pnącze, które zwisało mi z szyi. Jego partnerka trzymała się bezwładnie jego ramienia i rzucała mi spojrzenia niczym otulony w szkarłatny mały fantosz.

- Oryginalny pomysł - mruknęła, a jej chrapliwy głos wyraźnie pogłębiała dawka chloralu. - Święci Alabanowie za nic w świecie nie staną do konkursu u boku podobizny

Powieszono Chłopca. - Kastrat kiwnął głową i wyciągnął rękę w stronę mojego policzka.

- Dołączysz do naszych strangulacji, Powieszony Chłopcze? - zapytał i uśmiechnął się, ukazując błyszczący w przednim zębie rubin. Długa, jasna noga wynurzyła się zza fałd przebrania i otarła o moje udo.

Pokręciłem głową, ale nie odsunąłem się, jego gładki dotyk sprawiał mi bowiem przyjemność.

- Szukam pewnego Kuratora - oznajmiłem.

- Wielu z nas znajdzie dziś Patronów - mruknęła kobieta, pochylając się i oglądając swoje odbicie w roziskrzanej wodzie. - Trójka to szczęśliwa liczba, chodź z nami. - Ujęła mnie za rękę i wsunęła ją między swoje nogi, tak że przez moment czułem tylko gorąco i delikatny dotyk aksamitu, przesuwanego się po moim ramieniu. Za plecami usłyszałem ciche warknięcie. Spod fontanny obserwował mnie Anku.

- Zazdrosny kompan - zaśmiał się kastrat. Spod peleryny wyciągnął długą szpicrutę z plecionej skóry. - Chodź z nami, Chłopcze. - Szturchnął mnie lekko batem. - Moja Patronka to Konstancja Beech, Botaniczka. Z przyjemnością pozna cię ze swoimi towarzyszami. Chodź.

W ogromnej sali wybuchła przenikliwa salwa śmiechu, po którym nastąpił aplauz. Na próżno spoglądałem na wirujące cienie, próbując odgadnąć, co to znaczy.

- Wystawiają ORFEUSZA - stwierdziła kobieta. - Chodź, zatańczymy!

- Kurator, którego szukam, jest naturalistą - wtrąciłem szybko, biorąc ją za rękę i przyciskając do piersi. - Regentem. To Roland Nopcsa. Znasz go?

Kobieta potrząsnęła głową i zwróciła się do towarzysza:

- Może go znać Konstancja. - Z powrotem wsunęła rękę za poły peleryny.

- Ja go znam. - Kastrat pokiwał głową. - Kiedyś zatrudnił mnie w roli Inkwizytora przy egzekucji. Świadkiem miążdżenia była również Konstancja. - Stuknął mnie batem po ramieniu. - Ale dziś wieczór towarzyszy mu Whitlock Wysoka Brazylia! Chyba o tym wiesz, cb, Chłopcze? - Nasze chłodne spojrzenia skrzyżowały się. Spuściłem głowę, żeby nie zobaczyć blasku w moich oczach.

- To prawda - potwierdziłem. - Z Whitlockiem zostaliśmy połączeni na Nocy Zimowej. Może nas pamiętasz? - Kastrat lustrował mnie zmrużonymi oczami, kiwając powoli głową.

- Tak, ale wtedy wyglądałeś inaczej - stwierdził w końcu. - Już cię poznaję. Ulubieniec Domu Miramar, Rafael. - Ujął swoją towarzyszkę za łokieć. - Widzisz, kuzynko? To jest właśnie chłopiec, o którym ci opowiadałem, z Miramar...

- Ale on wcale nie jest taki młody, Natanielu - zaoponowała, ciągnąc go za kaptur. - W ogóle jest już późno i musimy się śpieszyć, jeśli chcemy zdążyć na wybory kacyka.

- Rzeczywiście, nie jesteś już pierwszej młodości - przytaknął kastrat Nataniel. Przystawił mi koniec bata do podbródka i uniósł nieco głowę. - Osiemnaście?

- Siedemnaście!

- Aha, siedemnaście... tylko że siedemnastolatki mają pusty wzrok, wpatrzone bez przerwy przed siebie, a twoje oczy są pełne starych marzeń i zadumy nad przeszłością.

Chciałem ostro odpowiedzieć, lecz kastrat uniósł szpicrutę i postukał mnie nią po ustach: raz, drugi, trzeci. Jego lśniąco oczy nakazywały milczenie.

- Miałem jednego lata romans z Rolandem Nopcsą, chłopce z Miramar. - Spojrzenie jego partnerki mówiło, że więcej uwagi zwraca na Wielką Salę niż na któregoś z nas. - Chyba na zbyt dużo sobie pozwalał z młodym, obiecującym śpiewakiem. W moim Domu - znaczy Ilirii, ale tego się już chyba domyśliłeś - nie byli zachwyceni pomysłami Nopcsy, mimo że dzięki niemu zyskali wyśmienity sopran do odśpiewywania *Obowiązków rozkoszy*. Monsieur Nopcsa bardzo lubi dobrą muzykę...

- Słyszałem, że na dzisiejszy wieczór wynajął na prywatny recital w towarzystwie Whitlocka Wyśmienitą Izbę Hagioskopową; dopiero po recitalu mają nadawać klejnoty kacyka.

- No proszę. - Pstryknąłem palcami w stronę Anku. - A gdzie miłośnik dobrej muzyki mógłby znaleźć Wyśmienitą Izbę Hagioskopową? - Nataniel odsunął rąbek peleryny, przy której niespokojnie krążył Anku, i wskazał ręką na przeciwległą stronę sali.

- Pod łukiem z płaskorzeźbą jaguara chwytającego wielką rybę - mruknął, po czym wyciągnął rękę i objął towarzyszkę. - No, to chodźmy, Dydono! Ten chłopiec nie chce się do nas przyłączyć, lecz hermafrodyta Anstycja Helena ma równie ładną twarzyczkę i na nas czeka.

Uklonili się, Nataniel musnął trzema palcami jego usta i na odchodnym dotknął pyska Anku.

- Powodzenia, Miramar - zawołał ściszym głosem. - Przekaż Nopcsie, że Nataniel Iliria nauczył cię pieśni pod tytułem *Toujours Jeune*. - Zagłębili się w mrok.

7. Nieco wątpliwe pokrewieństwa

Przystanąłem, zastanawiając się, czy powinienem teraz spotkać się z Rolandem, po czym obejrzałem się za kastratem i jego partnerką. W przeciwległym krańcu sali zebrała się spora grupa tancerzy. W środku zgromadzenia wznosiły się lśniąco kolumny i szklane rury

wielkiej elektroharfy Wysokiej Brazylii, ORFEUSZA, którego kabina błyszczała wysoko ponad tłumem. Jasne postacie - tancerze w ciemnych okularach, kobiety w srebrnych przepaskach na głowę, obracające się na metalowych kółkach automobile - przesuwały się pod wykwintną czcionką napisu, który wciąż jeszcze lśnił jasnoniebieską i żółtą metaliczną farbą:

Fabryka Machin Echo Ameryka Północna

Pod napisem znajdowała się mrugająca postać, dwukrotnie większa od człowieka: obtłuczona srebrna przepaska na czole, wydęte usta dmuchały w dwie ogromne, szklane rury. Pod jej brodą chwiejnymi literami wypisano ECHO ORFEUSZ.

Przez salę przetoczyła się kolejna fala oklasków. Przetarłem oczy i popatrzyłem na siedzącego między moimi nogami Anku, który gniewnym wzrokiem śledził jaskółkę. Gdy podniosłem głowę, zobaczyłem, że ktoś wyniósł ponad gapiów jakąś kobietę w białej pelerynie i czarnej masce. Przy wtórze hucznych oklasków wspinała się po harfie, przytrzymując się liści i fantastycznych pojazdów na płaskorzeźbach, aż wreszcie zarzuciła nogę na roziskrzoną twarz Orfeusza i uniosła ręce w geście tryumfu. Stojących pod nią zarzuciła gradem kwiatów, czemu towarzyszyły wybuchy śmiechu.

Elektroharfa zadudniła, aż poczułem ból w uszach. Nie wiem, jakim cudem znosiła to kobieta. Mimo hałasu przesuwałem się przez tłum, nie spuszczać jej z oczu. Anku przemykał obok mnie. Gdy od czasu do czasu się o mnie ocierał, czułem, jak przeraża go hałas i dym, więc starałem się uspokoić go dotykiem.

Stanęliśmy w pierwszych rzędach. Za nami dokazywali uczestnicy zabawy, a nad ich głowami unosiła się mgiełka kwiatów i dymu. Przed nami ciągnął się kawałek brzoskwińowego marmuru, drżący od płatków kwiatów i skrzydeł, na środku którego stał ORFEUSZ. Hałastrą chłopaków z Persji i mojego własnego Domu - z bólem serca rozpoznałem Małego Thomasa i Benedicka - wspięła się na przylegający do maszyny balkon. Wymachiwali rękami, jakby dyrygowali instrumentem. W zachwycie wpatrywałem się w metalowy ustnik, z którego dobywały się kłęby konopnego dymu, paraliżujące stada ciem. Tylko Anku pozostał nieporuszony, cichymi jękami przypominając mi, że powinniśmy ruszać dalej.

Karnawałowy hymn skończył się werblami. Kłęb pary i aplauz, potem pierwsze, piskliwe nuty *Pieśni Świętego Alabana*. Rozległy się pijackie głosy. Koło mnie jakiś wysoki Iliryjczyk opadł na kolana przy Botaniku. Stojąca obok dziewczynka, z wplecionymi we włosy wstążkami Świętego Alabana, śpiewała, ciągnąc ich w roztargnieniu za szaty:

O Święty Alabanie Już czas na pożegnanie

Utrąciliśmy serca i kochanków

I trzeba odejść...

Nie wiemy, co jest tego powodem...

Odepchnąłem Anku, znużony jego upartym jęczeniem. Dołączyłem do ogólnej owacji, gdy chłopcy z Miramar rzucili liliową koronę na głowę dziewczyny, która siedziała na ORFEUSZU. Salwa oklasków rozległa się, gdy wyciągnęła z wieńca jeden szkarłatny kwiat. Po nałożeniu korony na głowę wyprostowała się. Omiotła wzrokiem tłum stojących, poszukując godnego odbiorcy daru. Śmiałem się razem z innymi, tak jak oni krzyząc: „Do mnie! Do mnie!” i starając się zwrócić jej uwagę.

Raptem wbiła we mnie wzrok. Twarze innych zaczęły stopniowo zwracać się ku mnie, roześmiane, bo zabawa dobiegła końca. Anku stał między moimi nogami i warczał. Wpatrywał się w postać nad nami, która odwiązała maskę i ukazała swoją twarz: śmiertelnie białą, poznaczoną szerniałymi dziurami, z których wypelzały wijące się pająki. Cofnąłem się, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Ręce posmarowała kredą, żeby zakryć krwawe pręgi - ślady po zmaganiu się z pokrywą sarkofągu. Płaty białego pudru odpadały od świeżych sińców na ramionach. Na jej udach lądowały upiorne ćmy i wolno trzepotały skrzydłami. Dotknęła ust trzema palcami. Potem ze złowieszczym uśmiechem ucałowała każdy z granatowych płatków lilii i ze śmiechem zrzuciła wieniec z zadumanego czoła ORFEUSZA: trująca strzała przeszła powietrze, rozcinając po drodze drzące skrzydła ciem i raniąc kilka chciwych palców.

- Do mnie, Rafaelu!

Rozległ się wrzask, gdy potknąłem się o Botanika, który kurczowo czepiał się mojego boku. Coś białego i warczącego śmignęło obok mnie i rozdarło mu rękaw, tak że padający kwiat obryzgała krew. Anku schwycił w locie szkarłatną lilię, rozdzierając ją przy tym tak, że płatki zawirowały i opadły jak strzepy. Widok zasłoniła mi krwawa mgiełka, nie pozwalając dojrzeć tych, którzy powstrzymywali mnie od ucieczki przed tą ohydą, chichoczącą postacią o krwawiących nogach, które obejmowały mrugającą twarz.

Tłum nagle się rozstał. Opadłem na marmurową ławkę, złapałem się za głowę i zapłakałem.

- Rafaelu!

Z niechęcią obejrzałem się. Na ECHO ORFEUSZU stała kobieta, zasłaniała oczy przed dymem i omiatała wzrokiem salę, nawołując mnie rozpaczliwie, jakby jej miało pęknąć serce.

Nie była to Francesca.

To była Ketura.

- Nie - wyszeptalem. Za nami Pafianie i Kuratorzy tańczyli, jakby lśniacej markizy ich karnawału nie rozdarła żadna rysa. Jedynie osamotniona postać, trzymająca się ORFEUSZA, szukała na Balu Motyli ducha Rafaela Miramara.

- Mało czasu zostało - rozległ się jakiś głos za mną. Wzdrygnąłem się i spojrzałem na Anku, przerażony myślą, że jeśli usłyszę, jak mówi mój dobry szakał, będzie to mój całkowity upadek w szaleństwo. Anku stał jednak czujny i wymachiwał ogonem, wpatrując się w coś poza mną. Obróciłem się na pięcie i ujrzałem szczupłą postać, skrytą w cieniu kolumny. Był nagi, tylko na jego karku wisiał bluszczowy wieniec, a zza maski z liści błyszczały zielone oczy.

- Zbudziła się twoja siostra - oznajmił i wynurzył się z cienia. Anku podskoczył ku niemu i przypadł ze skowytem do jego stóp. Chłopiec pochylił się i pogłaskał szakała po szyi.

- Moja siostra nie żyje - wyjąkałem.

- Spała. - Wyprostował się i spojrzał mi prosto w twarz. - Tak samo jak ja. I ty.

- Czego ode mnie chcesz? - wyszeptalem. Za nami, niezakłócony, trwał bal.

- Rozpoczęcia Ostatecznej Ascenzji. - I roześmiał się, jakby podał odpowiedź na bardzo prostą zagadkę.

- Ale ja nie jestem Ascendentem! - Przycisnąłem się do marmurowej kolumny, jakby jej wielkość mogła mi dodać pewności. - Jestem Pafianem, kurtyzana... jesteśmy kurwami i dziećmi!

Ręką wykonał błyskawiczny gest, jakby coś przecinał.

- Moim dzieckiem jest Żądza i zimna Nauka. - Gdy mówił, jego palce zaciskały się i rozwierały, jakby dusił niewidocznego wroga. - Ale jej mroźne serce roztopi się, a twoja wściekła gorączka wstrząśnie kamieniami ich budowli, Rafaelu Miramarze.

- Nie pragnę takiej mocy - odparłem z drzeniem.

- Mocy? - zawtórował. - Jesteś jej zupełnie pozbawiony.

- To daj mi spokój! - wrzasnąłem. - Nie chcę żadnej twojej Ascenzji!

Straciłem panowanie nad sobą. Anku, widząc to, wstał i zaskomlał. Rzuciłem się na niego, nogą drasnąłem srebrzysty bok. Szakał tylko mrugnął powiekami i opadł na pośladki, przechylając głowę i obrzucając mnie pełnym wyrzutem spojrzeniem.

- Popatrz no, Anku - odezwał się Chłopiec, unosząc jedną nogę, tak że stał teraz niby jakiś tancerz. - Temu płochemu chłopcu zdajemy się muszkami. Chętnie zabiłby nas dla zabawy. - Zaśmiał się, a ja odwróciłem głowę przerażony.

- Rafaelu!

Zobaczyłem wychodzącą z ORFEUSZA Keturę. Płonąłem ze wstydu, gdy wbijała we mnie swój wzrok: nie oskarżał mnie, tylko po prostu pytał, jak mogłem ją zdradzić i od niej uciec. Po chwili zniknęła mi z oczu, a ja znowu skryłem się za kolumną. Kilka metrów dalej stał odwrócony do mnie plecami Chłopiec. Patrzył w kierunku wysokiego łuku, gdzie - jakby zastygły w bladym bursztynie - widniał obraz jaguara, wbijającego zęby w młodą łąnię. Anku leżał pod tym fryzem z pyskiem złożonym na łapach, patrząc na pana.

Poczułem niespodziewany przyływ odwagi. Upewniwszy się, że nikt mnie nie obserwuje, podszedłem do Chłopca, złapałem go za ramię, obróciłem i stanowczo zażądałem:

- Chodź ze mną!

- Dokąd, kuzynie? - odparł przymilny, niezdecydowany głos. Odwrócił się do mnie, skośne, zielone oczy rozszerzyły się pod szerokim, białym czołem i pierzastą czapką, która skrywała mu włosy.

To nie był on.

- Wybacz - wystękałem, zdejmując rękę - wziąłem cię za kogo innego.

Nim zdążył wykrztusić słowo, schowałem się pod łuk, a Anku pognął za mną. Serce waliło mi tak mocno, że bałem się, iż jego uderzenia rozsądzą pierś i przestanę oddychać. Po kilku metrach powietrze zdało mi się czystsze, pozbawione dymu, zapachów i dźwięków. Wciągnąłem je w płuca, czując się tak, jakby zdjęto ze mnie ogromny ciężar. Wkroczyłem w jeden z rozgałęziających się korytarzy, które oplatały pierwszy poziom Wysokiej Brazylii. Dobiegał mnie odległy pomruk wielu głosów, ale nikogo nie widziałem. Niewielkie świece elektryczne lśniły na ścianach zza przezroczystych płatków jadeitu i perydotytu. Rzucały one na alabastrowe podłogi i ściany bladozielone cienie, tworząc podmorski krajobraz, który koił, ale zarazem wzbudzał czujność, jak gdyby berylowe światło odkrywało kształty i widoki zazwyczaj zakryte dla oczu. Z niewidocznych przewodów wentylacyjnych wiał chłodny wiatr. Po obu stronach znajdowały się liczne wąskie drzwi, nad którymi widniały scholiasty w postaci hermafrodyty z jaskrawo pomalowanym fallusem w miejsce języka i piersiami z czujnikami ocznymi zamiast brodawek, obracającymi się, dopóki nie skupiły się na mnie. Mijaliśmy drzwi z aromatyzowanego drewna, wysadzone kryształami plazmy i podgrzewanymi węzami z miedzi, które wydzierały narkotyczną mgiełkę z weronalu. Drzwi z pryzmatycznego szkła odbijały obraz nie mój, lecz hologramy innych Pafian, z palcami na malowanych ustach, oczach i genitaliach, czym zachęcali niewidzialnych gości do wejścia. Gdzieś tam pojawiały się drzwi splecione z metalowych płyt, które bez przerwy odsuwały się i obracały, tak że można było rzucić okiem na mroczne seraje, gdzie poruszały się spocone postacie. W miarę jak zbliżałem się do któregoś z pokoi, dany scholiast stukał i zaczynał

warczeń, fallus rozwijał się, automat zaś przewiercał mnie wzrokiem i mówił czystym, zdyszczanym głosem:

- „Witaj, kuzynie. To Komnata Dwuznacznej Czystości”.

- „Witajcie, siostry. We wnętrzu śpi Esowata Rozjemczym. Wejdźcie i zmierzcie się z jej uściskiem”.

- „Witajcie, kuzyni. Adyton Intryg zajęty jest na Prywatne Kąpiele Kastratów”.

- „Witajcie, kuzyni. Wejdźcie ostrożnie na Pierwszy Stopień Antresoli Obłudnych Westchnień”.

Anku nie zwracał uwagi na ich pomruki, zatrzymując się jedynie przed wejściem, gdzie scholiasta mówił: - „Witajcie, kuzyni. Kirke Wysokiej Brazylii oczekuje na kobiety, które przemieni w łabędzie, i mężczyzn, których zmieni w świnie”. - Niewyraźne stęknięcia i jęki rozkoszy dobiegały zza drzwi wyłożonych wieloma skórami mrówkojadów. Świeżo zdarta skóra młodego jagnięcia zwisała z futryny, krew lała się z niej na marmur. Anku zaczął ją targać. Dałem mu szturchańca i syknąłem, że trzeba iść dalej. Usłuchał z pełnym dezaprobaty warczeniem.

- „Witajcie, bracia, którzy zbłądziliście. Wstąpcie do Komnaty Bicz i Łagodnych Kamienowań”.

- „Witajcie, rapsodowie. Złóżcie głowy na Kanapach Kojącej Alkowy”.

- „Witaj, kuzynie. Wspaniała Komnata Hagioskopowa jest zajęta na Bolesne Dotyki”.

Falliczny jęzor scholiasty zniknął w jamie gębowej. Po obu stronach automatu znajdowały się wysmukłe okna ze szkła, które lśniło w barwach purpury, głębokiego szkarłatu, żonkilowej żółci. Na szybach wymalowano starożytne figury. Przez kilka minut przyglądałem się badawczo tym dziwnym kobietom i mężczyznom, lśniącym pojazdom i zgrabnym awionetkom. Anku siadł mi u moich stóp, a ja zacząłem się zastanawiać, jak przedostać się do komnaty.

Z wnętrza dobiegł mnie nagły cichy śmiech, a po nim stłumione głosy.

- Roland - szepnąłem. Zbladło wspomnienie dramatycznych przejść tego dnia. Zmieniłem się w zaostrowany kolec nagiego uczucia, zniecka zdąłem sobie sprawę, gdzie i po co jestem, i na co poluję. Na rękę padł fioletowy poblask. Anku zajęczał.

- Chcę wejść do Wspaniałej Komnaty Hagioskopowej - oświadczyłem i bez lęku spojrzałem na scholiastę.

Wysunęły się czujniki wizualne. Gdy wyteżyłem wzrok, widziałem za brodawkami układ soczewek, gdy kręciły się i odwracały, skupiając na mnie, wreszcie pojawił się punkcik światła, świadczący o tym, że wewnątrz mechanizmu znajduje się otwór peryskopowy.

- „Komnata została zajęta na prywatne tortury” - oznajmił pusty głos.

- Roland Nopcsa i Whitlock Wysoka Brazylia mnie oczekują. - Spojrzałem na Anku. Czujniki scholiasty również koncentrowały się teraz na nim. Głosy w komnacie stawały się coraz bardziej dobitne, jakby się kłóciły, w końcu zamilkły. - To zwierzę jest prezentem dla Rolanda Nopcsy.

Z wnętrza maszyny rozległ się głośny warkot. Chłodne powietrze z przewodów wentylacyjnych przyprawiało mnie o drżenie, więc odsunąłem się od ściany. Śledziły mnie czujniki.

- „Whitlock Wysoka Brazylia i Kurator Roland Nopcsa nie prosili o pomoc podczas dzisiejszych wieczornych tortur. Komnata nie może zostać zajęta”.

- Nie chcę jej zajmować! Przyniosłem prezent dla Rolanda No...

- „Komnata nie może zostać zajęta...”

- Ale to...

Wysadzany klejnotami pępek scholiasta zniecka się rozszerzył. Zamilkłem i odsunąłem się na drugi koniec korytarza, szturchając po drodze Anku, żeby uważał. Scholiasta wyrzucił z siebie igłę, która rozsiała drobną mgiełkę. Anku zaskomlał. Zakryłem usta rękawem, nie chcąc wdychać usypiających esencji.

Igła zniknęła. Zawirowały malowane piersi. Fallus cofnął się do zimnych, stalowych ust. Czujniki nie zdążyły się na mnie ponownie skupić, gdy z całych sił naparłem na drzwi. Otworzyły się równie łatwo jak wejście do mojego pokoju w Domu Miramar. Czulem, jak ociera się o mnie miękkie futro przemykającego obok Anku, następnie drzwi się za nami zamknęły.

8. Ślady istnienia pewnego ciała

- Magdalena - szepnął ktoś.

Słowo zostało zwielokrotnione i wzmocnione w dzwonie ogromnego pomieszczenia, który jakby obejmował całą Wy soką Brazylię. Stałem w otoczeniu szklanych rur w ostrych kolorach: pomarańczowym, fioletowym, turkusowym i wiśniowym, biegnących do sufitu, złożonego z jaskrawych witraży. Z przeciwległego końca komnaty roztaczał się widok na Wielką Salę, gdzie zamaskowani biesiadnicy zataczali się i krzyczeli pośród przejmującej ciszy, nie zważając na nas, obserwujących ich z seraju na górze. Zorientowałem się, że komnata była położona tuż za ścianą z pryzmatycznego szkła na wschodnim krańcu Wielkiej Sali. Zamknąłem oczy i starałem się zapomnieć o zawrotach głowy, które (jak sobie wmawiałem) nie mogły wynikać z rozmiarów pomieszczenia. Gdy otworzyłem oczy,

napotkałem zamglone spojrzenie piwnych oczu Rolanda Nopcsy.

- Rafael? - zapytał grubym głosem. - To ty? - Machnął ręką w powietrzu.

Cofnąłem się, straciłem równowagę i runąłem na paletę ze stertą satynowych narzutek i pozostałościami pierzastego kostiumu.

- Rafaelu! - zawołał głos, który usłyszałem tuż po wejściu.

- Dzięki Magdalenie, żeś się tu zjawił. To szaleniec. - Z płataniny jaśków i prześcieradeł uniosła się na moje powitanie jakaś postać. Szczupła, o przezroczystej skórze, pod którą pulsowała krew w żyłach, zielononiebieskich i fioletowych. Na ramionach i szyi widniały ślady brutalnych pocałunków.

- Co ci się stało, Whitlock? - Nie zważając na Rolanda, popełzłem w stronę jego kochanka, który tulił do wątlých piersi poduszkę. Rzucił ją i objął mnie ramionami chudymi i bezcielesnymi niczym u widma. Mówiąc, raz po raz mrugał tymi swoimi wodnistymi, cudnymi oczkami, które jakby wciąż skupiały się na kimś innym, stojącym nieco na lewo.

- Zniszczył moje cudowne skrzydła - oznajmił ze śmiechem. Na jego policzkach widniały ślady pociągnięcia pędzelkiem, zmyślnie wysadzane sztucznymi łzami. Pocałowałem go, przypominając sobie nasze złączenie na Nocy Zimowej: moje kasztanowe loki splecione z kosmykami jego lśniących włosów. Z siniakami i w szczątkowym stroju wyglądał dziś nie mniej uroczo, choć jednocześnie dojmująco krucho.

- To pies? - spytał zataczający się Roland, wskazując Anku. - Whitlock, to pies.

Anku znalazł się w przeciwległym końcu komnaty, która sprawiała wrażenie, że łączy się tam z Wielką Salą poniżej. Złoty puder i konające ćmy unosiły się niestrudzenie w powietrzu, nigdy jednak nie dotykając żywych jak srebro szczęk szakala. Jego sylwetka nieco się zamazała, gdy odskoczył na drugi koniec pomieszczenia, następnie zarysowała się wyraźniej, gdy opadł na podłogę.

- Matowe wykusze - wyjaśnił Whitlock. - Nie cierpię ich. Przyprawiają o zawrót głowy. Ale on bawi się myślą, że tam oni wszyscy - wskazał ręką tłum w dole - nas oglądają.

- Rafael - powtórzył Roland i opadł na stos poduszek, zakładając ciężką nogę na szkarłatny szal. - Jak się tu dostałeś?

- Posłałem po niego - wtrącił się Whitlock, kopiąc jedną z poduszek, która wylądowała Rolandowi na nodze. - Tworzymy doskonałą parę. Musiałem w końcu ograniczać mu porcje wina - szepnął do mnie na stronie. Oczy mieniły mu się rubinowo, to znów barwą kości słoniowej. - Nigdy nie miałem twojej kondycji. Kuratorzy są tak wyczerpujący. Jak się z nimi żyje?

- Okropnie. Właśnie odszedłem.

- To dobrze - uśmiechnął się i pocałował mnie w policzek. Kochany Whitlock. - Wiesz, że na Chwalebnej Lemuel złączył mnie z Aspazją Persją - cudowna, przypomniała mi Keturę z twojego Domu, te rude włosy i te nogi - i cały czas myślałem o Nocy Zimowej, gdy...

Trajkotał dalej, a ja słuchałem, oszołomiony...

Sam nie wiem czym. Ulgą? Niezdecydowaniem? Lękiem?

Wszystkim naraz; i swego rodzaju pożądaniem Rolanda, który stał teraz i wpatrywał się w trującą maskaradę. Ręce miał oparte o jakąś niewidzialną barierkę na końcu pokoju, coś do siebie mamrotał, podczas gdy metr od niego leżał czujny Anku. Czulem też pożądanie do słodkiego i niewiernego Whitlocka, który chichotał podczas opowieści o własnych wyczynach w czasie niedawnych chłost i okraszał opowiadania szybkimi, dziecinnymi całusami, i bawił się leżącymi na podłodze wokoło kosmetykami, wstążkami i błyszczącymi słomkami kandykainy.

- ...a dzisiaj Ianta Wysoka Brazylia mówiła, że słyszała odgłosy wypuszczania na rzekę rakiet burzących, Gamaliel i Łabędź Iliria widzieli zaś gromadzących się nad Tygrysem łazarzy. - Urwał i wziął sobie ze srebrnej tacy wisienkę.

- Łazarze - zawtórowałem i zaczerpnąłem tchu. - Widziałem ich...

- Ty, kuzynie?!

- Tak, nad Tygrysem. - Nie spuszczałem wzroku z Rolanda. Zachodziłem w głowę, czy jest na tyle pijany, że gdybym teraz wyszedł, to później by mnie nie pamiętał, czy też powinienem mu wypomnieć odrzucenie mnie.

- Ale byłeś sam! Jak im umknąłeś? - Whitlock schwycił mnie za rękę.

- Aaa... - zająknąłem się, szybko, lecz delikatnie uwalniając się z jego uścisku. Zobaczyłem, że strzalec płonie bladym światłem. Schowałem tę rękę za fałdy tuniki, drugą wskazując na leżącego po przeciwnej stronie pokoju Anku. - Szakał...

- Ale łazarze!... Położyłem mu palec na ustach.

- Kiedy Roland wziął cię do siebie po raz pierwszy?

- Nopcsa? Całe miesiące temu. Tuż po twoim odejściu do Muzeum. - Spojrzał na mnie tymi migotliwymi jak kaboszony oczyma, w których widniało zdumienie. Potem zakrył usta obiema rękami i spojrzał najpierw na Rolanda, później na mnie.

- Rafaelu! Tak mi przykro... nie miałem pojęcia... nie wiedziałeś! - W jego skrusze brzmiała nieznaczna nuta uciechy.

- Nie, nie wiedziałem. - Znienacka na powrót załała mnie fala gniewu, urazy i złości. Obrzuciłem groźnym spojrzeniem swojego dawnego Patrona, ubranego jedynie w luźny

podkoszulek z białego batystu, zaplamiony winem, kątem oka patrzącego na Whitlocka i na mnie. - Nie jestem przyzwyczajony do takiego traktowania.

- O Rafaelu. - W uśmiechu Whitlocka widoczna była złośliwość. Przechylił głowę w stronę Rolanda, po czym sięgnął po pojemnik z odświeżaczem powietrza. Rozległ się cichy syk i wokół rozniosła się woń drzewa sandałowego. - Szczerze mówiąc, ponosi cię duma. Wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni do „takiego traktowania”, tylko Rafael Miramar sądził, że to jego nie dotyczy. Ośmieliłeś się zamieszkać pośród Kuratorów! Nie domyślałeś się, że cię za to znienawidzi?

Wzdrygnąłem się. Przypomniały mi się przestrogi Ketury, wrogie zdumienie Franki, iż mogłem w ogóle pomyśleć o tym, że dla Kuratorów stanę się czymś więcej niż zwykłą kurwą.

- Chciałem się u niego uczyć... - zacząłem, gdy Roland znienacka wykrzyknął:

- Whitlock! Zbierają suzerenów na rozstrzygnięcie konkursu... - Gdy zobaczył mnie, stojącego nad Whitlockiem, jego oblicze spochmurniało. - Miramar. - Nie sprawiał już wrażenia pijanego. Wielkimi krokami przemierzył komnatę. - Kto go tu wpuścił?

Whitlock skulił się i ruchem skrzywdzonego dziecka odrzucił białe włosy.

- Zostaliśmy złączeni...

- Kto go tu wpuścił, ty pacykowana dziwko? - Roland kopnął stos koców.

Whitlock stanął na nogi, owijając szczupłe ramiona prześcieradłem.

- Lepiej już sobie idź, Rafaelu. - Schylił się po kostium. - Ja nie mam pojęcia, kto go tu wpuścił. Może ktoś zepsuł scholiase.

- Kto cię wpuścił? - zagrzemiał Roland. - Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy? Jak się tu dostałeś?

- Przeszedłem Wąski Las - odparłem - i przyniosłem ci, Rolandzie, prezent. Anku!

Szakał pojawił się niczym sączący się przez szpary między deskami podłogi dym u mego boku. Whitlock obserwował go nerwowo, pociągając za rąbek szaty i przestępując z nogi na nogę. Czulem, jak Anku cały drży.

- Szakał albinos - wymamrotał Roland, gładząc się po brodzie i obserwując Anku. Nagle wybuchnął śmiechem. - Miramarze, moim zdaniem zawsze byłeś za sprytny jak na kurwę! - Schylił się i pstryknął palcami na szakała. Anku położył uszy po sobie, ale się nie poruszył.

- Dar dla wyjednanego pokoju - podsunąłem.

- Albinos? - odezwał się niemal płaczącym głosem Whitlock. Serce na powrót zaczęło walić mi w piersi. W nadgarstku czulem przyplływające i odpływające w rytmie

pulsowania krwi w żyłach fale ciepła.

- Takiego pięknego towarzysza jeszcze chyba nie miałeś, Rolandzie - stwierdziłem. Miałem nadzieję, że nie zdradzę się ze swoim podnieceniem i strachem. Z drugiej strony byłem trochę zawstydzony i rzuciłem Whitlockowi przepraszające spojrzenie. Ten wpatrywał się we mnie zaintrygowany. Widziałem, jak jego wzrok przesuwają się z mojej twarzy na rękę, po czym zatrzymuje na nadgarstku. Drugą ręką zasłoniłem lśniącą bransoletkę. U stóp lśniła blada kałuża fioletowego blasku strzalca. Z przerażeniem zauważyłem, że spojrzenie Whitlocka wyraża te same uczucia co moje. Mrugające oczy miały się pomiędzy grozą a zdumieniem, patrzył to na nadgarstek, to na twarz, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Czyżby wiedział, co to jest!

Nasze spojrzenia na moment się spotkały, w duchu błagałem: „Tylko mnie nie wydaj!”, stojąc spokojnie, nawet oddech Anku uciszył się w oczekiwaniu na...

Wtedy...

- No cóż, Rolandzie - zaczął Whitlock tym samym tonem rozleniwionego niezadowolonego, jakby nie do końca się obudził i był tym rozdrażniony. Celowo powolnym ruchem pochylił się i podniósł koronę lazurów i złotych piór ary. - Muszę iść na rozstrzygnięcie konkursu...

- Zabierz mnie - zwróciłem się do Rolanda. Stałem z nim twarzą w twarz, tak blisko, że niemal mogliśmy się objąć. - Zostaw go i zaprowadź mnie tam.

Bo nie wiedzieć czemu ponad wszystko inne - ponad zemstę, ponad ulgę w bólu i znużeniu, nawet ponad pragnienie, by wrócić do niego, gdy będzie mnie na nowo pożądał - ponad wszystko chciałem, by rzeczy wróciły do swego dawnego stanu. Chciałem wkroczyć do Wielkiej Sali u boku Rolanda, spuścić głowę, gdy on będzie się głupekowato uśmiechał na myśl o tym, jaką tworzymy parę, jak działo się to już na tyłu balach i maskaradach. Chciałem, żeby Gower Miramar znów się stał moim kochankiem, powiernikiem i suzerenem, Fancy ukochaną kuzynką, a Keturą o wybuchowym śmiechu i równie gwałtownym temperamencie...

- Już nigdy cię nie opuszczę - błagałem. Rękę położyłem na głowie Anku. Międlilem jego sierść, unosząc wzrok ku Rolandowi.

- Tylko weź mnie teraz ze sobą.

Przez dłuższą chwilę się we mnie wpatrywał. Jego pożądanie zagościło na chwilę na twarzy, by zaraz zniknąć, niczym motyl, który na mgnienie oka siada na jednym kwiecie i zaraz przenosi się na następny.

- Sprytem przerastasz samego siebie, Rafaelu - odezwał się w końcu. Zamachnął się z pogardą na Anku, nie trafiając i kopiąc stos jedwabnych tkanin. - Co za kurewski sposób

zdobywania względów! Biały pies...

Anku warknął i przebiegł w drugi koniec pokoju. Roland popatrzył na Whitlocka malującego węglem oczy i uśmiechnął się.

- Znalazłem już ładniejszą maskotkę. Pośpiesz się, Whitlock.

- Odwrócił się i nie zwracając już na mnie uwagi, zaczął zakładać tunikę i czarno-czerwoną szarfę Regentów.

Obserwowałem go, nie dowierzając, że mnie odrzucił - odrzucił! - z taką łatwością, nie uzasadniając tego choćby stanem moich włosów lub ubrania, nie wyrażając podziwu, że dla niego nie uląłem się nawet Wąskiego Lasu, że ryzykowałem upokorzenie przed własnym ludem, by tylko wdrzeć się do tego wystawnego seraju i jemu się ofiarować.

- Rolandzie... - zacząłem.

Stałem w przeciwległym krańcu komnaty i pociągnął za jeden z wielobarwnych sznurów z plecionego aksamitu, które zwisały z sufitu. Słodki, czysty dźwięk. W ścianie otwarły się niewielkie drzwiczki. Ukazała się w nich twarz z brązu, która zamrugła grynszpanowymi powiekami. Mechanizm mowy zazgrzytał, jakby nie używano go od wielu miesięcy.

- Mów, kuzynie - odezwał się tym samym lodowatym tonem, na jaki silili się scholiastowie.

- Każ starszym usunąć z Cudownej Komnaty Hagioskopowej nieproszonego gościa. Powiadom Lemuela Wysoką Brazylię, że Rafael Miramar, męska prostytutka, dopuścił się zbrodni, naruszając mój spokój.

- „Jak sobie życzysz” - odparła mosiężna głowa.

- Rolandzie! - wysapał Whitlock. Pędzelek do węgla złożył się, wzniciając chmurę czarnego pyłu. - To się równa banicji... nie możesz!...

Roland warknął i przeciął gniewnym ruchem ręki powietrze.

- Chcesz mu towarzyszyć? - Odwrócił się i po omacku zaczął łapać dyndające sznury. Rozległy się piski i brzęki. W kilkunastu niszach z brązowych gardeł dobywały się ciche głosy. - Wezwać Lemuela Wysoką Brazylię!

- Nie! - krzyknął Whitlock, rzucając się na ziemię. Przez mój własny strach i wahanie przebiegło drżenie litości dla niego. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, wyciągnął rękę i ryknął: - Rafaelu!

Odwróciłem się, lecz nie zdołałem już uniknąć sięgającej mi do gardła ręki Rolanda. Padłem na kolana, zacząłem się dusić. Roland chwycił mnie za ramiona i wyprostował, przed moimi oczami pojawiła się jego purpurowa twarz.

- Kurwy i łazarze! Wszyscy na nas żerujecie... - Złapał mnie tak mocno, że krzyknąłem, na co się roześmiał. - Nie jesteś już tak silny i dobrze odżywiony, co, Miramarze? Po banicji długo już nie pociągniesz.

Rozdarł mi tunikę, pchnął na podłogę i jedną rękę zaciskając cały czas na gardle, obrócił na brzuch. Zaklął i uderzył mnie kantem dłoni w twarz. Zakręciło mi się w głowie. Na chwilę znalazłem się z powrotem pod jabłonią w Wąskim Lesie, nade mną stękał nie Roland, lecz Powieszony Chłopiec, na szyi jak pętla zaciskały się jego palce, przeszył mnie ból; głos, który słyszałem, przepełniony był takim tryumfem i rozpaczą, że wrzasnąłem...

- Rafaelu!

„To co cię czeka to i nic innego i to się nigdy nie kończy nie nigdy chodź’chodź...”

- Rafaelu, przestań!

Nade mną kucał nie Roland ani Rozdziawiony, lecz Whitlock, obok którego dyszał Anku. Z szyi Rolanda wystawała pięknieta ampułka.

- ...nie żyje, Rafaelu, zabiłem go, ratuj mnie, Magdaleno, on nie żyje!

Próbowałem coś wykrztusić, lecz nic nie przechodziło przez moje obolałe gardło. Zgiełk w uszach przycichł, ryk rozpadł się na pojedyncze nuty, w których rozpoznałem nareszcie słowa, głosy scholiastów, podających osobno tę samą informację:

- „Wzywamy suzerena Wysokiej Brazylii”.

- „Rafael Miramar dopuścił się zbrodni, naruszając spokój Regenta”.

- „Wzywamy suzerena Wysokiej Brazylii...”

Ściszona muzyka Maski zaczęła zatracać rytm, wreszcie umilkła. Metaliczne głosy scholiastów raz jeszcze obwieściły moje imię i urwały się.

- Whitlock - zacząłem.

- Cii!

Jego strach zmienił się w pełne napięcia skupienie. Wsparłem się na łokciu i wyciągnąłem rękę do Anku. Za szakalem dostrzegłem korpus Rolanda z narzuconą na niego, brązową zasłoną, spod której wystawała jedynie ręka. W złowróżbnej ciszy tylko to zdawało się słuszne: że Roland leży na ziemi martwy, a ja siedzę tuż obok i się z tego cieszę. Poczulem, jak ogarnia mnie śmiech, i zwróciłem się do Whitlocka, jakbym od niego oczekiwał wyjaśnienia tej nagłej radości.

Ale on nie patrzył na mnie. Ani na mężczyznę, którego zabił w mojej obronie. Przechylił głowę i patrzył w sufit, mrugając blad Rubinowymi oczami, jakby w kłębowisku jedwabnych sznurów i pajęczyn chciał odczytać nasze imiona. Anku zachowywał się tak samo: przysiadł, nastawił uszy i utkwiał spojrzenie w suficie.

- Co... - zacząłem, niczego jeszcze nie słysząc. W połowie zdania ugryzłem się w język, bo gdzieś w labiryntach Wysokiej Brazylii zaczął bić dzwon.

- To toksyna - wycedził Whitlock, jakby zależało to od jego słów.

Oszołomiony, skinąłem głową i z trudem wstałem.

- Toksyna - powtórzyłem. Whitlock zwrócił się w moją stronę.

- Wysoką Brazylię oblegają łazarze - orzekł i zataczając się, pobiegł do okien wychodzących na Wielką Salę.

Teraz słyszałem wyraźnie: trzy następujące po sobie nuty, głębokie i straszne. Lęku przed nimi nauczyły mnie opowieści doktora Fostera. Toksyna rozbrzmiewała raz na rok jako zapowiedź Maski Nocy Zimowej, tak że wysłuchiwaliliśmy jej pustej pieśni i zaczynaliśmy bawić się w gobang i lwie paszcze.

Nie była to jednak Noc Zimowa, ale Bal Motyli, i toksyna rozległa się w miejsce roześmianych głosów sędziów, ogłaszających wybór kacyka Maski.

- To niemożliwe - zaproponowałem, choć w głowie słyszałem inne słowa: „Oszalałem... to mi się śni”. Whitlock odsunął zasłonę w kącie i znalazł wyłącznik. Pstryknięcie. Matowy wykusz zdrzął, w pomieszczeniu zrobiło się ciemno.

- Patrz - wyszeptał przyjaciel - zaczęło się. Obszedłem trupa Rolanda i stanąłem przy Whitlocku. Na balkonie przy wejściu zauważyłem szereg szczerzących zęby w uśmiechu, wynędzniałych dzieci, trzymających się za ręce, jakby zamierzały uczynić coś okrutnego. Zerwały z balustrad kwieciste liny i założyły je sobie na szyję, naśladując w ten sposób Pafian. Niektóre miały na sobie strzępy prawdziwych kostiumów. Poznałem ozdobione paciorkami pajęczyny Aspazji Persji, nałożone teraz na zlepione włosy jakiegoś chłopca o płonących oczach i sinej twarzy.

- Musieli złapać ją na zewnątrz - wyszeptał Whitlock. - Zjedzą nas żywcem - Wskazał na milczące rury ORFEUSZA. Biesiadnicy otoczyli masyw harfy ciasnym kręgiem, jakby instrument mógł ochronić ich przed okrucieństwem dzieci.

Na galeriach zbierało się coraz więcej łazarzy, ze szczytów wszystkich schodów i z wnętrza glicyfów zwisały szkielety ich rąk i nóg, przypominające muszki owocówki, nabite na okruchy wielobarwnego szkła. Poruszali się w absolutnej ciszy, jakby czekając na znak rozpoczęcia zabawy.

Nagle usłyszałem przenikliwy krzyk. Z tłumu zgromadzonego dokoła ORFEUSZA wyrwał się w stronę głównych schodów wiotki arlekin, za którym powiewały poły szaty.

Żaden z łazarzy nie pognął za nim. Dotarł na najwyższy stopień i już zdawało się, że mu się uda, gdy zabrzączała cięciwa kuszy. Postać stanęła i zaczęła chwiać się jak dziecinny

bąk. Następnie przewróciła się i stoczyła ze schodów, znacząc za sobą na białych schodach szkarłatną wstęgę.

Po chwili ciszy z głównego balkonu rozległ się dobrze znany głos:

- Witam, kuzyni!

Whitlock wzdrygnął się, gdy ja zacząłem omiatać wzrokiem rozstawione po Domu dzieci, aż w końcu ją odnalazłem.

Żółta kurtka janczara ześliznęła się z jej chudych ramion, gdy tak stojąc na balustradzie, balansowała na jednej nodze. Po obu stronach czekały uśmiechnięte dzieci, gotowe w razie czego złapać ją, gdy zacznie spadać. Uniosła ręce i zaskrzeczała z radości na widok zdjętych grozą biesiadników u jej stóp.

- Złe wróżki przybyły na bal! - roześmiała się.

Zwróciła przenikliwy wzrok w tę stronę Wielkiej Sali, gdzie staliśmy, badając twarze uczestników maskarady. Potem zeszywniała i wolno uniosła wzrok do Hagioskopowej Komnaty, gdzie byłem z Whitlockiem. Wbiła we mnie spojrzenie. Zawadiackim ruchem odrzuciła do tyłu splecione włosy. Janczarska kurtka jeszcze niżej zsunęła się z jej barków, gdy zaczęła przemawiać donośnym głosem:

- Co za nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że oto spotykamy się w blasku księżyca, Młody Baalu! Dziękuję za zaproszenie. Mój pan zaprasza cię teraz do swojej Katedry. Ja zaś idę na spotkanie twojego pana: czeka na mnie pod ziemią. Szukaj mnie na szarych łądach pośród rozdziawionych...

Skoczyła, obracając się w powietrzu tak, że jej blady uśmiech raz jeszcze ukazał się w lawinie białych włosów. Biesiadnicy rozproszyli się, wydając pierwsze okrzyki przerażenia i rozpacz, gdy dziewczyna uderzyła w marmur i - niczym przewracające się w łóżku dziecko - zakryła usta ręką.

- Baal... - szepnął Whitlock. W jego oczach widać było lęk, lecz nie odsuwał się ode mnie. - Nazwała cię Baalem? Skąd ona cię zna?

- Znad rzeki. - Pokręciłem głową. - Bierze mnie za tego, którego Święci Alabanowie nazywają Baalem lub Powieszonym Chłopcem...

W Wielkiej Sali wybuchła wrzawa. Krzyki, wycia i jęki mieszały się z radosnym zawodzeniem łazarzy, obserwujących żalosne próby ucieczki. Kilkoro dzieci, które stały przy Perle, zwróciło się teraz ku gzymsowi, gdzie znajdowaliśmy się z Whitlockiem. Widziałem, jak o czymś z ożywieniem rozprawiają i pokazują nas palcami.

- Powieszonym Chłopcem - zawtórował mój towarzysz, oblizując wargi. Kiwał powoli głową, a jego rubinowe oczy, pomimo uśmiechu, napełniły się łzami. - Czyli to jednak

nadeszło, Rafaelu.

- Co? - zawołałem. - Co nadeszło?

- To, o czym wiecznie mówili nam Święci Alabanowie. Ostateczna Ascenzja, nadejście Powieszzonego Chłopca...

- Nie jestem żadnym Powieszonym Chłopcem! Jestem Rafael Miramar! Znałeś mnie przez całe swoje życie!

Nachylił się i łagodnie ucałował mnie w policzek.

- Tak, tak. Wiem, mój drogi. - Ruchem ręki pokazał na przeciwległy balkon. - Ale oni nas widzą, przyjdą po ciebie, a mnie zabiją... Nie chcę umierać, Rafaelu.

Przyłożył sobie moją rękę do twarzy, chcąc ją ucałować, przy okazji przyciskając do swojej szyi strzalca.

- Zabierz mnie, Rafaelu - zamruczał. - Niech padnę teraz z twojej ręki i zabiorę z sobą jakieś wspomnienie piękna.

Próbowałem go odepchnąć, lecz on tylko się uśmiechał i jeszcze mocniej mnie do siebie przyciskał.

- Mają rację - szeptał między pocałunkami, gdy opadaliśmy na podłogę. - Byłeś najpiękniejszy spośród nas. Chcę teraz z tobą umrzeć...

Bezwolnie oplotłem sobie palce jego srebrnymi włosami i zacząłem go z jękiem całować. Strzalec otaczał jego twarz drżącym fioletowym nimbem. Potem przycisnął sobie bransoletę do gardła i wyprężył się.

Dźwięk cichy jak odgłos zapadającej nocy; rozmyta smuga kolca przebija skórę Whitlocka. Zadrzał. Na moment wbił we mnie łagodne i płomienne oczy.

- Wspomnij mnie podczas Nocy Zimowej - westchnął. I skonał.

CZEŚĆ PIĄTA

KSIĘGA AKTORÓW

- Za dużo czerwieni - orzekła na koniec Panna Scariet. Odęła wydatne wargi, tak że wyglądała na jeszcze bardziej uduchowioną niż zwykle. Jednym palcem dotknęła kącika mojego oka i starła stamtąd nieco różu, który w zbytnim zapale nałożyłam, żeby publiczność wyraźnie widziała oczy. - Wystarczą dwie kropeczki, tutaj i tutaj...

Zamknęłam oczy pod jej dotykiem. Czułam, jak palec nakłada mi na skórę chłodną farbę, i znów pojawiła się ta osobliwa fala, ukłucie radości, które zdarzało się jedynie w tych chwilach, gdy przygotowywaliśmy się do występu. Z maleńkiej sceny Domu Miramar na końcu korytarza dobiegało mnie szuranie i śmiechy zajmujących miejsca widzów: suzerena Domu Miramar i jego gości, Botaników, którzy sprzedawali mu konopie i róże na ostatnią Maskę. W pomieszczeniu, gdzie nakładałyśmy z Panną Scariet kostiumy, w pękniętych flaszach rosły pęki róż, zaścielające krzywą podłogę płatkami. Kwiat o doskonałych kształtach wyzierał zza fałdów peniuaru Panny Scariet. Zatknęła go tam na potrzeby Aktu Trzeciego naszej sztuki, gdzie jako owdowiała Oliwia zaczynała uwodzić mnie w wykonanym przez młodą Wiołę przebraniu Cezaria.

Dyskretne stuknięcie do ciężkich dębowych drzwi naszej izby.

- Już niedługo, Mistrzu Aidanie - zawołała Mehitabel. Po tylu tygodniach ciągle jeszcze słyszałam w jej głosie zdziwienie. Młody aktor na tyle nieśmiały, że może obnażyć się tylko przed szympansicą! - Panno Scarlet...

- Czy widownia jest pełna? - zapytała Panna Scarlet. Jej ręce drżały, gdy zapinała ostatni guzik na moich długich i starannie rozdartych sukniach.

- Nie - odparła Mehitabel - za to sami bardzo dobrze ubrani. Suzeren zaprosił już panią i Toby'ego na kolację. Słyszałam, że Miramar ma wyśmienitego kucharza - dodała, po czym na odchodnym zabębniła palcami w drzwi.

Panna Scarlet westchnęła. Zeszła z niskiego stołeczka, którym posługiwała się, pomagając mi się ubierać; uniosła przy tym rąbek peniuaru niczym nieśmiała panna młoda.

- Zajmiesz się moją fryzurą, Wendy? - zamruczała, sadowiąc się na podłodze przede mną. Ukucnęłam za nią, uważając, by nie zamieść spódnicą podłogi, zaśmieconej płatkami farбки do oczu, pudru i włosami, które wypadły z peruk. Panna Scarlet nogą podsunęła mi poduszkę. Usiadłam i zaczęłam poprawiać jej toaletę.

Panna Scarlet z pomrukiem odsunęła się od moich rąk i skinęła głową.

- Teraz peruka. - Westchnęła z rozkoszą i ujęła w palce nóg pędzelek do tuszu. - Dziękuję, Wendy. Czy mi się tylko zdaje, czy słychać już uwerturę?

W ten delikatny sposób przypominała mi, żebym nie przegapiła swojej kolejki. Rzeczona uwertura polegała na tym, że Gitana brała archaiczny akordeon słoneczny i wydobywała z niego nieprzyjemne dźwięki. Kiwnęłam głową, poprawiłam perukę, na pożegnanie drapiąc ją po głowie, i zniknęłam w korytarzu.

- Witam, szlachetny czarciu - odezwał się głos zza fałd aksamitu. Justice przystąpił do mnie w ciemności. Ciężkie zasłony opadły za jego plecami, zakrywając niewielkie proscenium.

- Witam, Justice. - Odsunęłam łokieć.

Skrzywił się, potem kiwnął głową i odrzucił swoje długie włosy.

- Schowaj mi warkocz pod czapkę - powiedział. Podał mi mundur Kapitana, który nosił w pierwszej scenie. Szybko wykonałam polecenie, nasłuchując nerwowych śmiezków Gitany i Mehitabel, które naciągały chłopięce tuniki (jak zawsze spóźnione), i zastanawiając się, gdzie podział się Toby.

- A, Mistrz Aidan. - Tuż przy uchu usłyszałam jego donośny głos. Na moim ramieniu spoczęła ogromna dłoń, niczym układająca się do snu sowa. Pstryknięciem palców drugiej ręki kazał odejść Justice'owi, wskazując mocującego się z pochodnią Fabiana. - Niezła z ciebie Wiola.

Wyszczrzyłam zęby i skłoniłam głowę, żeby nie dojrzał grymasu. Słyszałam budzące się we mnie Ciche Głosy, Chłopca, który poruszał się przy najmniejszej oznace gniewu lub niepokoju. Moje serce szybciej zabiło; krew pulsowała gwałtownie w węzle pod lewą skronią.

- Dziękuję, panie - odparłam, jeszcze głębiej zapadając się w fałdy postrzępionego szala Wioli. Sprzed sceny doszły mnie bardziej natarczywe pomruki. Przedstawienie się opóźniało. Toby wyprostował się w ramionach i wygładził płaszcz, który nakładał do roli Orsina.

- Gower Miramar zaprosił mnie i Pannę Scarlet na wieczerzę. Jeżeli spodoba mu się twój występ, bez wątpienia zapragnie także twojego towarzystwa. Gustuje w młodych mężczyznach.

Zawoalowana pogroźka. Poprzysięgam obnażać się tylko przed Panną Scarlet i Justice'em, który znał moją tajemnicę. Zorientowałam się bowiem, że po Aktorach często spodziewano się więcej niż jednego występu w ciągu wieczoru. Oprócz mnie jedynie Panna Scarlet nie brała udziału w tych rozrywkach, wciągając wargi na znak subtelnej drwiny, tak

samo jak cofała rękę, którą chcieliby ucałować wielbiciele - głównie Pafianie, od czasu do czasu Zoologowie.

- Jeśli zechce, zjem z nim kolację. Ale nic więcej - zareplikowałam, lecz serce waliło mi jak młotem na myśl, że zetknę się wieczorem z nową krwią.

- Toby, czas! - syknął z boku Fabian. Wcisnął Gitanie akordeon. Toby tymczasem podszedł do przodu sceny i przybrał pozę schnącego z miłości Księcia, unosząc twarz ku światłu z elektrycznego reflektora. Gitana od niechcienia przebierała po klawiszach instrumentu, przewracając przy tym oczami, tak że Mehitabel padła rażona atakiem śmiechu przy sporządzonym z papier-mache bukszpanie. Ręce Toby'ego znalazły się za Mehitabel. Obserwowałam, jak ją przyciska, dopóki ona nie skrzywiła się i nie zwróciła swojej pozbawionej wyrazu ładnej twarzy ku publiczności; przy akompaniamencie westchnień Toby'ego Justice pociągnął za kurtynę na proscenium.

*Jeżeli miłość żywi się pokarmem Muzyki - grajcie, aż poczuję przesyt, Aż mój apetyt osłabnie z nadmiaru i skona**

* W. Shakespeare, *Wieczór Trzech Króli*, przeł. S. Barańczak, Wyd. „W drodze”, Poznań 1994, akt I, scena 1.

Zauważyłam, że kilku widzów rzuca rozbawione spojrzenia, gdy akordeon Gitany wydobywał z siebie pierwszy pisk. Na widowni znajdowało się siedemnastu mężczyzn, głównie Pafian w błyszczących strojach kobiecych. Niewielu. Większość mieszkańców Wzgórza Płonącej Magdaleny zebrała się tego wieczoru w Wysokiej Brazylii na Motylim Balu. Miramar liczył jednak, że nasz spektakl wywrze na Botanikach niezatarte wrażenie, dzięki czemu dostanie od nich więcej szafranu ze skromnych tegorocznych zbiorów.

Pomieszane wonie pafiańskich perfum nie zniechęcały Botaniczek, z których wszystkie były kobietami przeciętnej urody, do otaczania partnerów lubieżnymi zabiegami. Na środkowym fotelu siedział uśmiechnięty Pafianin, bardzo szczupły, o pięknej twarzy ascety, dla której przeciwwagę stanowiła bogata suknia z fioletowej satyny, ozdobiona mnóstwem brokatu. To zapewne suzeren, Gower Miramar. Przy nim siedziała skromna Botaniczka w prostym, brązowym ubraniu. Przebierała leżącym na kolanach rękami, powstrzymując się w ten sposób od pieszczenia siedzącego obok dziecka. Była to drobna dziewczynka w fioletowej sukience, ze złotymi kędziorami ułożonymi w wymyślną fryzurę, przetykaną piórami i trójkątnymi kawałkami szklistej skóry węgorza. Nie wiedzieć czemu fascynowała mnie. Serce liznął mi, na podobieństwo języka jaszczurki, płomyk uczucia.

„Dlaczego ona?” - myślałam, starając się uspokoić oddech. Nigdy przedtem jej nie widziałam. Coś się jednak we mnie zbudziło, może jakiś głód lub pragnienie, pochodzące od

gotowego wyjść na żer Chłopca. Mogła mieć co najwyżej sześć albo siedem lat. W taki szczególny sposób przechylała głowę, by słuchać gładkiego szeptu Botaniczki, zastanawiała jej wyniosłość i sposób, w jaki trzymała wykwintny wachlarz z dorady. Można było odnieść wrażenie, że wachlarz porusza się z własnej woli, w miarę jak sugestie Botaniczki stawały się coraz bardziej lubieżne. Wyczuwało się w tym wszystkim pewne wyrafinowanie, do którego nie pasowała trójkątna twarz i ogromne, niewinne, bursztynowe oczy. Opanowało mnie dziwne podniecenie, złożone z głodu, strachu i żądz. Przysunęłam się do kurtyny proscenium, by lepiej obejrzeć to dziwne dziecko i dać się łatwiej ponieść rozbudzonym przez nie emocjom. Gdy zaczynałam czuć zalewający usta gorzki smak, wpadł na mnie schodzący ze sceny Toby i szturchnął swoją laską.

- Naprzód, chłopcze! - rozkazał. Wypchnął mnie zza aksamitnej kurtyny na chwilowo zaciemnioną scenę za swoimi plecami.

Reflektor wbił się w moje oczy niby lanca. Na moment zaślepiła mnie jakaś krwawa mgła. Przedemną staje Justice, znowu jako Kapitan. Z widowni dobiega bardzo cichy głos, jak jęk dziecka, które na mgnienie oka budzi się, by za chwilę na powrót pograżyć w odmętach snu. Wreszcie mój własny głos, drżący z rozpacz i samotności, gdy ciągnę Kapitana za rękaw:

Co to za kraj?

Justice unika mojego wzroku, bym nie mogła dostrzec w nim cierpienia i pożądania, nawet teraz, nawet sam na sam ze mną na scenie, przed kilkudziesięcioma oszołomionymi opium kurtyzanami i ich drwiącymi Patronami.

To wybrzeże Ilirii.

Otuliłam twarz szalem i uniosłam głos:

Ilirii? Cóż tu po mnie, kiedy Mój brat ogląda Elizejskie Pola. A może jakimś cudem nie utonął?

Justice replikuje:

Cudem jest to, że ty przeżyłaś, pani. Zawołałam:

Mój biedny brat! Oby i on ocalał!

Kolejny dźwięk z widowni. Czyjś donośny głos krzyczy z bólu i zaskoczenia. Chyba jakieś imię. W jego słodkim tonie dało się wyczuć tak dojmujące poczucie straty, że podeszłam do krawędzi sceny i szukałam wzrokiem, kogo do tego stopnia poruszyły moje słowa.

Miejsce obok lubieżnej Botaniczki było puste. Suzeren rozglądał się z niepokojem. Po chwili na krawędzi sceny zobaczyłam dziewczynkę, która koło niego siedziała. Jej fryzura

podskakiwała, gdy usiłowała wspiąć się na scenę, nie spuszczać ze mnie swych złotych oczu.

- Rafaelu! - krzyczała. Gdy wyciągnęła ku mnie jedną rękę, pośliznęła się. Przed upadkiem uchroniła ją zagniewana Patronka Botaniczka, która zaniósła ją na tył teatru, głośno po drodze strofując.

Zza sceny dobiegł donośny szept Toby'ego: - Justice! - Rzuciłam okiem na Justice'a, który odprowadzał wzrokiem protestujące dziecko.

Kaszlnęłam. Justice zwrócił się do mnie i wyjąkał:

*Tak stać się mogło. Pociesze, cię jednym (...)**

* W. Shakespeare, *Wieczór Trzech Króli*, op. cit, akt I, scena 2.

Scena dobiegła końca, kiedy to Kapitan odprowadził mnie, żeby przebrać za młodego Cezaria. Odtrąciłam rękę Justice'a i pobiegłam do pokoju, gdzie z przebraniem czekała już na mnie Panna Scarlet.

- Urzekłaś Pafian - szepnęła, pomagając mi przejść ze spódnicy w spodnie i chwiejąc się przy tym w wysokich, sznurowanych butach Oliwii. W jej głosie wyczułam jednak nutkę niepewności. Marszczyła niespokojnie nos. Mimo smrodu pudru z ołowiowej bieli i różu wyczułam zatykający zapach jej strachu.

- O co chodzi? - Chwyciłam ją za bark i poprzez warstwy krynoliny wyczułam napięte jak postronki włosy i mięśnie. - Co się stało z tym dzieckiem? Poznałaś ją?

- Nie - odparła, dorzucając: - Nie wiem, Wendy. Pochyliłam się, żeby mogła zdjąć mi perukę i zmierzić krótkie włosy tak, by przypominały chłopięcą fryzurę. - Jakby coś przeczuwali. Miramar...

- Suzeren? - przytaknęła.

- Nie spuszczał cię z oczu.

- Nie pójdę na żadne układy z Pafianami. - Ale Panna Scarlet potrząsnęła głową, nakazując milczenie, bo za nami inni aktorzy borykali się z kostiumami.

- Niech będzie; ale i tak ich do siebie przyciągasz. - Westchnęła, zawiązując ostatni supeł na mojej kurtce. - Pośpiesz się, bo się spóźnisz.

Wyszłam razem z Gitaną, cały czas ucharakteryzowaną na służącego (puszek jej wąsów znakomicie się do tego nadawał). Przystanąłam na chwilę, żeby widownia mogła w pełni docenić skuteczność męskiego przebrania. Zdumienie i radość rozpoznania, do których już się przyzwyczaiałam; tym razem jednak kilku widzów bardzo gwałtownie wstrzymało oddech. Nagle poczułam, jak drżą mi kolana, jak zbliża się zawrót głowy, oznaczający, że natrafiłam na coś, na kogoś obcego. Na kogo tym razem?

Emma Aidan Melisanda?

Morgan Justice Scarlet Pan?...

Albo na Niego, którego nosiłam jak nieodwracalnie utkwioną w głowie strzałę, wsysającą wszystkich innych, aż będzie mogła pochłonąć także mnie? Zaczęłam się trząść, pochwyliłam przerażone spojrzenie Gitany i zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy wyczerpało się źródło mojego natchnienia. Za mną stał już na scenie Toby.

- „Do usług, panie, czekam na rozkazy!” - wyjąkałam, podczas gdy Gitana czmychnęła ze sceny. Toby uśmiechnął się. Poklepał mnie z ponurą rubaszością, że mało nie padłam na podłogę.

- „Postój tu trochę, Cezario” - nakazał.

Odzyskałam dech i równowagę, nisko się skłoniłam i pozwoliłam krwi napłynąć do głowy. Wyprostowałam się i podjęłam swoją rolę. Gdy prowadziliśmy zabawne rozmowy, Ciche Głosy odpełzyły do kryjówek jak małe stworzenia o cierpliwych szponach. Przypląw adrenaliny. Obróciłam się na pięcie w stronę wyjścia i odważyłam się spojrzeć wprost na publiczność, wymierzając spojrzenie na środek rzędu, gdzie siedział suzeren...

Wyprostowany jak struna, wpatrywał się we mnie ze zdumieniem. Gdy schodziłam, słyszałam, jak cicho, lecz uparcie powtarza pod nosem: - Rafael.

- Przypominasz go do złudzenia.

Kielich, który podał mi suzeren, lśnił zielono od miętowej herbaty. Zgromadziliśmy się w Seraju Pandory w Domu Miramar. W komnacie rozstawiono telewizyjne ekrany, mające setki lat i nabyte niedawno od Historyków. Przez szczeliny w szklach pełgał blask świec, w jeszcze innych umieszczono niewielkie postacie, lalki automaty, ręce robotów, wysadzone pierścieniami, i etole, bukiety zasuszonych róż i konwalii. Czułam opiumowe opary, uno szące się z nargila w ręku Toby'ego. Obok suzerena leżało na poduszkach troje Botaników o powiekach jak z ołowiu. Przy mnie siedziała Panna Scarlet (tak jak ja odmawiała poczęstunku, z wyjątkiem zwykłej herbaty i talerza słodkich mirabelek), Justice i Toby Rhymer.

- Monsieur Aidan to wręcz nieziemsko utalentowany młody człowiek - mówiła Panna Scarlet, cofając górną wargę i ukazując żółte zęby. Pochyliła głowę ku Gowerowi Miramarowi, wzięła z talerza mirabelkę i podała go suzerenowi.

- Dziękuję, Panno Scarlet - odezwał się Miramar. Gdy się poruszał, lazururowe światełka na jego szacie zapalały się, rysując kształt konstelacji zwanej Kapitołem. Z tyłu, na obwieszonych gobelinami ścianie, płały nasze cienie, schwyte w pułapkę pod złotymi oczami monitorów. Niewielki pokój był dziwnie uformowany, a barwne tkaniny, które

zwisały z sufitu, sprawiały wrażenie, że płyniemy na jakimś okręcie. Miramar pokruszył liść jakiegoś słodkiego ziele, wciągnął jego zapach i podjął: - Ach, Panno Scarlet, nie ma wątpliwości co do nadzwyczajnego talentu Aidana - świetne przedstawienie, monsieur - zwrócił się do mnie. - Zawsze podziwiałem rzemiosło Toby'ego, jego dbałość o szczegóły starożytnej sztuki. Choćby skłanianie młodych mężczyzn, by odgrywali pierwotnie stworzone dla nich role kobiece.

Panna Scarlet pociągnęła nosem. Z trudem powstrzymałem się od uśmiechu na myśl o zdumiewającym obrazie dziewczyny przebranej za chłopca, przebranego za dziewczynę, która na scenie podróżuje incognito!

- Ale wiesz, że nie jestem Rafaelem Miramarem - powtórzyłem. Leżący naprzeciwko młody Botanik chrapał. - Jesteś tego pewien.

- Jestem - odparł Miramar, ale sprawiał wrażenie poruszonego. Wodził wzrokiem po mojej szyi, gdzie jego palce szukały przedtem znamienia, którego nie znalazły. -■ Twoja wiedza dowodzi, że po śmierci rodziców wychowałeś się u Bibliotekarzy... (Tę historyjkę wymyśliliśmy z Justice'em dla wytłumaczenia mojej erudycji, a przy okazji może i urody.) - Czyż masz pewność, że przy życiu nie pozostała żadna rodzina? Żadna siostra?

Zaśmiałam się, ale drżał z lęku niczym osika.

- Nie, panie! Żadnej siostry...

Jestem wszystkimi córkami domu mego ojca I wszystkimi braćmi.

- I jestem pewna, że nie mam braci. Miramar westchnął.

- To i tak bardzo dziwne. Ulubieniec naszego Domu opuścił go dwa miesiące temu. To Rafael, którego tak bardzo przypominasz, że sądziłem, iż jesteś tym drugim dzieckiem, które sprzedałem przed laty Ascendentom...

Moje palce zacisnęły się na kielichu, jakby otwierała się przede mną jakaś wielka i przerażająca perspektywa. Jakby góra, która całe życie wznosiła się za domem, zaczęła drzeć i rozpadać się w kawałki.

„Brat” - myślałam.

Pod warstwami pokrytego bliznami mózgu, gdzie leżała moja przeszłość, coś budziło się do życia, wymachiwało ramionami, by za chwilę wpaść z powrotem w przepaść.

Brat: brat bliźniak. Emma i Aidan Harrow, teraz ja: kolejne bliźnięta. Kolejna dziewczynka oderwana od brata.

Nic dziwnego, że zostałam ulubienicą Emmy. Że łatwo przyszło zaprogramowanie mnie według poskręcanych wież i spiral jej umęczonej świadomości. Nic dziwnego, że doprowadziłam ją do szaleństwa i samobójstwa, gdy nie zdołała dzięki mnie odzyskać

chłopca, którego kochała i utraciła, a przed którym nie mogła umknąć.

„To niemożliwe” - pomyślałam, ale jakiś Cichy Głos wewnątrz (może doktor Harrow) powtarzał, że to jak najbardziej prawda.

Nagle przypomniałam sobie, gdzie jestem, wyprostowałam się i spojrzałam na siedzącego po przeciwnej stronie stołu Justice'a. Zamrugał kilka razy i popatrzył na mnie zdumiony.

„Nic nie mów!” - próbowałam rozkazać mu wzrokiem. Ale już się odezwał, wypowiadając pytanie z osłupieniem.

- Sprzedałeś ją Ascendentom?

- Tak - odparł Miramar. Siedzący obok Toby Rhymer stukał w małą fiolkę, z której do herbaty sypał się obficie brązowy proszek. Panna Scarlet siedziała koło niego sztywno na dwóch poduszkach, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. - Było ich dwoje...

Miramar zawahał się. Toby jednym haustem wypił herbatę i głośno beknął, po czym zamknął oczy i wsparł się o gobeliny na ścianie. Botanicy chrapali niewzruszeni, ich oddechy wysyłały w wonne powietrze zapach ziemi i emulsji rybnej. Tylko Justice, Panna Scarlet i ja czekaliśmy na dalsze słowa suzerena. Po kolei obrzucił nas spojrzeniem, jakby mierzył nas i porównywał.

- No cóż - odezwał się w końcu. Jego wzrok spoczął na mnie.

- To działo się dawno temu... wiele lat temu, oho, ho! - Uniósł ręce w bezradnym geście. - Nie za bardzo potrafimy wszystko spamiętać! Doktor Foster by wam powiedział, ale poszedł na nocne biczowania. Rzeczywiście było dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka. Bliźnięta. Przyjąłem je, bo były niezwyklej urody. Matkę pozostawiłem łazarzom. Była słaba po połogu. Na dodatek szalona, plotła od rzeczy, o jakichś wizjach, że widziała Magdaleny i... Oj, to było tak dawno, mało co już pamiętam.

- Dziewczynka też była szalona. Przynajmniej zdaniem doktora Fostera. Nie umiała mówić. Porozumiewała się z bratem, ale nic z tego nie rozumieliśmy. Rafael Miramar, moje najukochańsze dziecko. - Westchnął i wbił we mnie wzrok. - Nawet oczy masz takie jak on - stwierdził po chwili. Dał znak, żebym się przybliżyła. - I nie chodzi tylko o kolor; te same, szalone, szare oczy. Już w dzieciństwie Rafael miał dzikie spojrzenie, zawsze rozglądał się po kątach i wynajdywał najdziwniejsze rzeczy... - Pstryknął palcami z lekceważeniem. Odwrócił się do Panny Scarlet i dodał z gracją: - Pani oczy są równie głębokie, w uroczym orzechowym odcieniu.

Przyjęła komplement z uśmiechem, mrugając czarnymi rzęsami i mówiąc:

- Być może, lecz Aidan dysponuje potężną wizją, rzadkim i cudownym darem

rzucania uroku na widownię. Wystarczy spojrzeć na klakierów, którzy przychodzą na jego występy. To nasz największy sukces od chwili mojego wstąpienia do trupy. - Obrzuciła mnie tym swoim spojrzeniem, w którym kryły się wspomnienia klatek i zalanych blaskiem księżycy drzew. - I są takie śliczne...

*Oczu napotkać nie śmiem w moich snach W sennym królestwie śmierci... **

* T.S. Eliot, *Wydrążeni ludzie*, w: *Wybór poezji*, przeł. Cz. Miłosz, PIW, Warszawa 1988.

Recytowała cicho, do siebie. Miramar kiwał głową, trzymając w rękach pleciony chwost, zwisający ze ściany za jego plecami.

- Nie mam pojęcia, dlaczego od nas odszedł - przerwał po chwili milczenie. Wyciągnął rękę w moją stronę, jakbym była w stanie odpowiedzieć na to nie dokończone pytanie. - Był najpiękniejszy spośród nas...

- Z pewnością trochę się na tym znasz, Aidanie: wydawać rozkazy jednym spojrzeniem, samym wyglądem?...

- Nigdy nie starałem się nikomu rozkazywać - zaprzeczyłam. Czułam jednak żar tego szalejącego Głosu, który mnie zdradzał.

Bo szukałam władzy, i odnalazłam ją na scenie. Mogłam tam rządzić wzrokiem, gdy wszystkie zauroczone twarze zwracały się na mnie, mnie, MNIE! - nie na Emmę Harrow, Toby'ego czy nawet na Pannę Scarlet Pan, Geniusza Genialnej Epoki - lecz na mnie jedną, Błędną Wendy, sawantkę i idiotkę, ocaloną autystkę, dzikuskę z Laboratorium Inżynierii Ludzkiej.

- ...nie miałem nic złego na myśli, mój miły i młody panie, proszę wybaczyć niebaczne słowa...

Uniosłam gwałtownie głowę, omal nie uderzając w brzeg stołu, który złapałam białymi palcami.

- Wybaczcie - szepnęłam.

Panna Scarlet obserwowała mnie przerażona, lecz Gower Miramar ciągnął, nie zważając na nic:

- Tak, zachowałem się jak gbur, bez cienia wątpliwości jesteś zupełnie inny od tego biednego, chorego dziecka, a nawet od mojego ukochanego Rafaela. Jemu brak jakiegokolwiek dyscypliny, wyjąwszy może sztukę miłosną; i zbyt łatwo odwrócić jego uwagę, zwieść go snami o potędze.

Urwał, nalał Pannie Scarlet zielonej herbaty z samowaru.

- Dziękuję - odezwała się. - Ale co stało się z dziewczynką? Miramar napełnił kielich i

uniósł go do świecy, tak że od rżniętych ścianek kryształu rozprysły się szmaragdowe promienie.

- Pewnego razu doktor Foster spotkał na Masce pewną Ascendentkę, Lekarzkę. W tamtych czasach doktor Foster częściej zajmował się handlem z innymi terytoriami. Ta Ascendentka przybyła na Maskaradę wraz z grupą Lekarzy z Cytadeli; przyjmowali ich Botanicy. Poszukiwali obiektów badań, przywieźli z sobą rzeczy na wymianę: prądnicę, strzykawkę, protezy.

- Opowiedziała mu o swojej pracy. Być może nawet poprosiła o radę. Nasz doktor Foster jest bardzo zdolnym człowiekiem... Jej zdaniem uzdrowienie tego dziecka było w zasięgu możliwości. W najgorszym razie znalazłaby dobrą opiekę. Była tak urzekająco piękna, że nie mogłem pozwolić jej umrzeć.

- Sprzedaliśmy ją Ascendentom. - Przez chwilę wpatrywał się we mnie, potrząsając głową. - Była śliczna, ale bez przerwy uderzała głową w przedmioty i wtedy z jej uszu sączyła się krew. Nic nie mogliśmy na to poradzić. - Wzruszył ramionami i dopił herbatę.

Z drugiego końca pokoju poczułam podniecenie Justice'a. Panna Scarlet uniosła brwi: obawiała się, że tamten mnie zdradzi. Sama też się bałam, że nie będę w stanie wchłonąć jednocześnie tylu nowości. Nachyliłam się nad stołem i ujęłam rękę Justice'a. Miałam nadzieję, iż suzeren nie zauważy drżenia moich rąk.

- Mój drogi, ta ładna opowieść bardzo cię wyczerpała! - Słowa zabrzmiały tak fałszywie, że czekałam tylko, aż Justice mnie zgani. Siedział tylko nieruchomo i trząśł się, podczas gdy ja obchodziłam stół i mijałam śpiących Botaników, by usiąść kolo niego. Zwróciłam się do Miramara:

- Czy możesz dać nam lektykę, która zanieś mnie i Justice'a do teatru na Wzgórzu Biblioteki?

Na jego twarzy pojawił się grymas rozczarowania.

- Sądziłem, że jako moi goście spędzicie tu całą noc. Po jutrzni miała odbyć się saficka burleska - z pewnością nie dorównujemy twemu artyzmowi, młody panie, lecz my tutaj także uważamy się za Aktorów.

Zaczęłam oponować, lecz kątem oka dojrzałam szparki oczu Toby'ego Rhymera, który obserwował mnie, udając, że śpi. Panna Scarlet pod stołem dotknęła mnie stopą.

„Uwaga!” - zdawała się mówić.

Skinęłam głową, uniosłam rękę Justice'a i ją ucałowałam. Język zagłębił się między jego palce, smakując pożądanie i słonawą mgiełkę opium; osad uniesienia po naszej sztuce; i strach.

- Być może jesteś zbyt wykwintny jak na nasze rozrywki - podsunął Miramar; motyle usta nieznacznie mu opadły.

- Nie śmiałybym wzgardzić waszą gościnnością - wycofałam się. Pozwoliłam sobie rzucić okiem na Toby'ego. Napotkałam jego spojrzenie drapieżnika. Przez chwilę z wielkim trudem wpatrywał się w moje oczy, potem poddał się i znowu zaczął udawać, że śpi. - Boję się tylko, iż mój towarzysz wychylił zbyt wiele waszych letejskich czar...

Objęłam Justice'a pełnym poważnej czułości wzrokiem. Lekko się skrzywił, przytaknął, wybałuszył oczy i położył mi głowę na kolanach. Toby, ciągle z przymkniętymi powiekami, zachichotał.

- Nic to, przytrafiają się znacznie gorsze rzeczy! - zaśmiał się Miramar. - Wielu gości pada w objęcia Morfeusza, jeszcze zanim zaznają naszych!

Pogładziłam Justice'a po czole i odezwałam się:

- Ja też jestem zmęczony. Czy mógłbym sam znaleźć drogę do wyznaczonego mi pokoju?

- Będę ci towarzyszył - pośpieszył z propozycją Justice. Chciałam się sprzeciwić, lecz spostrzegłam nieznaczne skinięcie głowy Panny Scarlet, która pochyliła się nad stołem.

- Proszę bardzo.

Gdy wstawałam, Toby zaczął ostentacyjnie ziewać i przecierać oczy.

- Tak wcześnie spać? I w ogóle iść spać, monsieur Aidan? - I rzucił Justice'owi szydercze spojrzenie.

- Nawet Aidan i Justice muszą czasem spać - włączyła się Panna Scarlet. - Daj im spokój, Toby. - Pociągnęła go za kędzior, jeszcze ubielony kredowym pudrem, jakiego używał na przedstawieniach. Toby skierował na nią czułe spojrzenie. Wyciągnął do niej rękę, aż wstała z krzesła i stanęła mu na kolanie.

- Moja droga panna Pan - zamruczał, zanurzając twarz w kołnierzu miękkiej sierści na karku. - Wybacz, Miramarze, my również chcielibyśmy odejść już do naszych komnat.

Miramar wstał, odsunął zasłonę i wskazał nam wyjście z Seraju Pandory. Po kolei przechodziliśmy nad śpiącymi Botanikami, nasz pochód zamykał Toby z Panną Scarlet.

- Nie mogą się nigdy wyspać - sapnął Miramar, gdy Botaników zakryła zasłona. - Pałą, mówią o maku i zasypiają, potem budzą się, trochę pogadają i zapadną na nowo w sen. Są chyba nudniejsi od samych Historyków.

Justice wyprzedził mnie i szedł obok Miramara. Kiwał głową, w miarę jak suzeren paplał o najnowszych skandalach, powodzeniu jednych związków i przewidzianym rozpadzie innych.

- A twój ulubieniec, Rafael Miramar? - dobiegło mnie pytanie Justice. - Tak długo mnie tu nie było, że wszystko jest dla mnie nowością... co się z nim stało, zamieszkał u Kuratorów?

Gower westchnął i dał nam znak, żebyśmy weszli za nim po wąskich schodach na wyższy poziom Domu Miramar.

- Tak. Prosiłem, żeby się dobrze zastanowił, jego Patron znany jest bowiem ze zmienności upodobań. Wieść niesie, że upatrzył już sobie kolejnego patyka, którego poprze w dzisiejszych wyborach na Balu Motylim. Whitlock Wysoka Brazylia, młody...

Ziewnęłam i przepuściłam Toby'ego i Pannę Scarlet, mając już dość ustawicznej paplaniny. Korytarze, które przemierzaliśmy, również zdawały się nie mieć końca. Migotliwe rurki świetlistych okrzemków tylko w niewielkim stopniu rozpraszały ciemność. Chyba zbliżał się świt; od naszego przybycia nie widziałam ani okna, ani żadnego czasomierza.

Atmosferę wiecznego półmroku podkreślały jeszcze grube i pokryte złożonymi wzorami arrasami na ścianach korytarzy i przejść. Jeden przedstawiał wybuch wojny w czasie Pierwszej Ascenzji, jasną gwiazdę, wschodzącą na północ od Miasta. Inny dzielił się na dwie części; na pierwszej widnieli sztywni mężczyźni i kobiety w białych szatach. Niektórzy trzymali zlewki i jakieś skomplikowane urządzenia optyczne; inni siedzieli przed ekranami, na których uwijały się jeszcze mniejsze postacie. Jakaś kobieta szturchała czworonożne ciało, rozłożone na jakimś stole, niewolnika genetycznego o zaszytych oczach. Inne kobiety wpatrywały się z powagą w niebo, gdzie żeglowało tyle sterowców, zeppelinów, lotni, helikopterów, balonów i samolotów, że chyba tylko cudem nie dochodziło do zderzeń. Z tyłu lśniły jeszcze nie porośnięte kudzu Muzea i cały Obelisk. Takie samo tło rozciągało się w drugiej części dyptyku, tyle że tutaj jaskrawo wystrojeni Pafianie płasali przed Muzeami, parząc się z odzianymi w białe szaty Kuratorami na stopniach Smutnego Lincolna.

Inne gobeliny w korytarzu odmalowywały podobne sceny. W licznych pojawiała się pafiańska Magdalena: chroniąc pięć Domów przed ogniem; odstraszać szakaludzi, tak by grupka dzieci mogła bezpiecznie przepłynąć przez rzekę; lecząc łazarzy, którzy ozdrowieni zrywali się na równe nogi. Raz po raz pojawiała się ta sama kobieta w niebieskim stroju, z zamkniętymi oczami, śpiąca, czekająca godziny, gdy Rozdziawiony zbudzi ją na bitwę. Zazwyczaj przedstawiano ją samą, lecz na jednym z arrasów na scenie towarzyszyła jej identyczna niemal postać: zmagali się lub obejmowali, a niezliczeni Pafianie i Kuratorzy oglądali ich Maskę. Pod obrazem wyszyto maleńkie słowa: „Potężny Baal nie żyje”.

Nie wiedzieć czemu przypominała mi się wtedy dziewczynka, która siedziała dziś wieczorem na widowni. Zawołała mnie po imieniu, którym nazywał mnie Miramar: Rafael;

pomyślałam o bracie, moim bracie, znajdującym się gdzieś na terenie Miasta, czy śni o mnie tak, jak Emmie Harrow śnił się Aidan? Naszła mnie niepohamowana ochota, by dowiedzieć się o nim czegoś więcej, lecz nie mogłam narażać się na ryzyko zdradzenia się przed resztą towarzystwa.

Przyśpieszyłam kroku.

- Przepraszam - zamruczała Panna Scarlet. Byłam tak zagubiona w myślach, że nie zauważyłam, iż pozostali zatrzymali się, i nadepnęłam na rąbek jej taftowej sukni.

- Mistrz Aidan i Justice mogą zająć ten pokój - obwieścił Miramar. Zamaszystym ruchem ręki odsunął indygową tkaninę, ukazując wąskie drzwi, wysadzone krążkami z rzadkiego tytanu. - Nie będą wam przeszkadzały trąby, wzywające na pierwszą modlitwę, i promienie wschodzącego słońca.

Justice rozpoczął wylewnie dziękować, lecz mu przerwałam:

- Suzerenie. - Pogładziłam palcami otwartą dłoń na znak, że chciałabym na noc kochankę. Stojącego za mną Justice'a aż zatkało. Toby parsknął, przeszedł koło mnie i ostentacyjnie mrugając, udał się na spoczynek do znajomej sobie komnaty. Drobiąca za nim Panna Scarlet przeszła mnie zza koronkowej mantyli ostrym spojrzeniem.

- Nie śpij zbyt długo, Aidanie - powiedziała tylko. Zniknęli w głębi korytarza.

- O! - wykrzyknął Gower Miramar, uprzejmie się ze wszystkimi żegnając, by na koniec zwrócić się do mnie z promiennym uśmiechem. Interesowałam go tylko ja, mimo że uśmiechał się także do stojącego obok Justice'a, robiącego groźne miny. - Monsieur Aidan, przynajmniej ty nie sprawiasz mi zawodu! Jestem dumny z reputacji naszego Domu - z całym szacunkiem dla Świętego Alabana, oby twój Dom nigdy nie poszarzał. Jednak z zachowania Mistrza Aidana odgadłem, że nie jest przyzwyczajony do naszego sposobu bycia. Z wielką przyjemnością odbędę z tobą zarówno obrzędy Lais...

Przyłożył trzy palce do ust i językiem oblizał kontury jednego z nich. Potrząsnęłam głową; źle mnie zrozumiał.

- Jesteś dla mnie zbyt dobry, suzerenie, ja jednak wolę coś bardziej... - Szukając odpowiedniego określenia, spojrzałam bezradnie na Justice'a. Patrzył na mnie dłuższą chwilę, wreszcie przyszedł mi z pomocą.

- Aidanowi brak śmiałości - oznajmił. Oparł się o ścianę i wziął do ręki wiszący tam, aksamitny sznur. Spuściłam wzrok, chcąc sprawiać wrażenie zawstydzonej, co w takich okolicznościach nie było trudne. Na szczęście Miramar zdobył się na coś w rodzaju współczucia, w miejsce słusznego gniewu za niezamierzoną obrazę.

- Nie ma... doświadczenia z kobietami? - zasugerował. Justice spojrzał na mnie

błyskawicznie. Skinęłam głową do niego, on do Miramara, a ten do samego siebie.

- Może spodoba mu się młody chłopiec? - Uniósł jedną ze starannie wyskubanych brwi niczym biegły kupiec, kierujący opornego klienta ku właściwym towarom. Justice jeszcze raz spojrział na mnie; pokręciłam głową. Wdaliśmy się w tę samą zabawę w niewinność: Justice stał pod ścianą i skubał chwost sznurka, Miramar udawał, że w zamyśleniu dotyka światełek na rękawie i zmienia tworzony przez nie rysunek z Kapitolu w Welon, ja sama powstrzymywałam się od żądania, by Miramar natychmiast dostawił mi na miejsce drobną przyjaciółkę Rafaela.

- Może w takim razie małą dziewczynkę? - zawołał Miramar, udając nagle olśnienie. Wyciągnął rękę, jakby podziwiał nowy układ świateł na swoim ubraniu. - Bardzo małą dziewczynkę? - Skinęłam głową i spojrzałam prosto na niego, przerywając skuwający nas łańcuch oszustwa.

- Może te, które towarzyszyły ci wieczorem: są wolne?

- Leżą w łóżku - odparł zamyślony. - Ale zaraz, chwileczkę... Aretuzę wzięło dwóch Senatorów na płukanie...

- Czy to ta jasnowłosa?

- Nie... chodzi ci o Fancy. - Znienacka obrzucił mnie bardziej przenikliwym spojrzeniem. - Fancy... Wiedziałaś, że była bardzo bliską przyjaciółką Rafaela?

- Nie mogłem nie zauważyć, jak przerywa mi występ. Ale cóż w tym dziwnego? Sam mówiłaś, że był najpiękniejszy z was wszystkich. Jeżeli aż tak bardzo przypominam Rafaela Miramara, mogę chyba żądać towarzyski godnej mojego nieobecnego brata. - Uśmiechnęłam się szeroko, ale zdaje się, że przeholowałam. Miramar przypatrywał mi się chytrze.

- Pod tymi pozorami coś się kryje - orzekł wreszcie. W ciemnych oczach pojawił się gniew. - Wiesz, z kim podróżujesz, Święty Alabanie?

- Wiem. - Justice wyprostował się, z głosu wyparowały mu resztki sennej miękkości.

- Kim on jest? - Oczy Miramara zwężyły się. Mroczny, nasycony woniami korytarz przemienił się raptem w inne miejsce, w niewielką izbę inkwizycyjną, gdzie spędziłam wiele ze swoich ostatnich dni w LIL. Podeszłam do Justice'a.

- Kim on jest, Święty Alabanie? - powtórzył stanowczo Miramar. - Buntownikiem? Donosicielem Ascendentów?

- Nie jest szpiegiem - odparował Justice. - Jest tym, kogo widzisz: moim przyjacielem, Bibliotekarzem, który jeździ teraz z trupą Tobiasza Rhymena. Panna Scarlet może za niego zaręczyć.

Z bufiastego rękawa Miramar wyciągnął listek tabletek anafilaktycznych. Wziął jedną

i przycisnął sobie do skroni, nawet nas nie częstując.

- Chcę po prostu wiedzieć, z kim mam do czynienia. Fancy jest ulubienicą Botaniczki Konstancji Beech.

„Dzięki czemu jest na wagę opium” - dokończyłam w myślach. Zabębniłam palcami w wargi, przedrzeźniając pafiariskie pozdrowienie, i czekałam na reakcję Justice’a. Jego niebieskie oczy zaiskrzyły się na moment gniewem. Wolno wypuścił z płuc powietrze i zaśmiał się.

- Stawiasz trudne warunki, Miramarze. A wszystko to za jednego małego mopsa? Ładniutka, ale bez przesady! Chodź, Aidanie... - Zrobił gest, jakby chciał mnie pociągnąć do naszej komnaty.

Miramar pociągnął nosem i uśmiechnął się. Jego twarz zaczynał oblewać rumieniec. Pastylka działała.

- Wybaczcie, proszę! Doktor Foster będzie musiał mnie zbadać i odesłać po Nocy Zimowej do starszych; starzeję się i nabieram podejrzeń. Tyle się słyszy strasznych opowieści. Przed kilkoma tygodniami pijany janczar mówił mi, że Miastem przyjedzie rządzić Ascendent. Potem słyszeliśmy, że nad rzeką została zaatakowana grupa Ascendentów; że jeszcze inna grupa została schwytana i wymordowana przez Kuratorów. Szukali jakichś więźniów, którzy uciekli z Cytadeli. Wieść niesie, że jakiś przywódca gromadzi w Katedrze łazarzy. Bardzo się ostatnio rozzuchwalili. Jedna banda napadła na gości urodzinowych Mustafy Ilirii i uprowadziła trzech chłopców. W zeszłym tygodniu gościłem Zoologów, którzy opowiadali, że szakaludzie próbują wywabić z zoo dzieci, a betulamia pożarła w pobliżu Ogrodów Botanika.

- Nic o tym nie słyszałem - odparł Justice. - Jak już mówiłem, długo mnie tu nie było... ale wszystko to nie zmieni nam chyba planów na wieczór?

- Ależ oczywiście - westchnął Miramar. - Nie ma co się tym przejmować, niech martwią się Kuratorzy. Rozsądek to śmierć dla interesu! Tyle tylko, że już od dłuższego czasu przepadł słuch o Rafaelu. - Wykonał gest Pafian, uklonił się i znowu spojrzął na nas uśmiechnięty.

- Czyli twój wstydlivy przyjaciel chciałby zająć na resztę wieczoru Fancy Miramar?

Kilka następnych minut zajęło ściszone ubijanie interesu. Dwóch Pafian równie często używało w rozmowie języków, co rąk. W końcu ucałowali się. Wszystko zostało załatwione.

- Przyjdzie tutaj? - zapytałam Justice’a. Tuż obok stał uśmiechnięty Miramar. Świątełka na jego ubraniu migotały coraz szybciej, reagując w ten sposób na szybsze krążenie krwi pod wpływem tabletki.

- Tak, Wendy, on... - Justice spuścił głowę - on nie chce zapłaty.

- To bardzo dobrze. I tak nie mamy nic na wymianę. - Ujęłam klamkę.

- Nie o to chodzi... on chce, żebyś go pocałował. - Kiedy zaczęłam oponować, brutalnie mi przerwał. - Bo jesteś podobna do Rafaela... wiesz, możesz się nie zgodzić, Wendy. - Sapnęłam, a on położył mi rękę na ramieniu. Czyżby był zazdrosny? - Możemy iść spać, jest późno...

- Chcę się zobaczyć z tą dziewczynką - zwróciłam się do Gowera.

- Jak za spotkanie z ulubienicą Rafaela Miramar i Konstancji Beech, żądasz niewielkiej zapłaty. - Nachyliłam się ku niemu.

Pocałował mnie tak gwałtownie, że odskoczyłam, nie chcąc, by wyczuł moje piersi. Na języku pojawił się piekący smak tabletki. Zamknęłam oczy i próbowałam zignorować jego żądzę; twarz, którą pamiętał, tak bardzo przypominała moją, że zrobiło mi się nieswojo, jakbym łykała swoją własną krew. Chwyliłam Miramara za rękaw. Rozległ się jego śmiech, rozsiewający w powietrzu ten gorzki zapach.

- To prawiczek! - zawołał z uciechą. - To dla mnie wielki zaszczyt, Mistrzu Aidanie, że mogę przyprawić cię o zawrót głowy jednym pocałunkiem! Nie, to nie jest Rafael Miramar - zwrócił się do Justice'a. - Całuje jak Kurator, prawda?

Justice skrzywił twarz. Wyswobodziłam się z uścisku Miramara i odsunęłam, spostrzegając, że światełka Miramara błyszczały jasno-fioletowym światłem, przypominając jakieś ostrzegawcze znaki.

- Obudzę Fancy - obwieścił i obrócił się na pięcie.

Już w komnacie zaczęłam własnymi rękami rozgrzewać okrzemkową lampę, jedyne tutaj oświetlenie. Chłodne światło rozbłysło cieplejszym, niebieskim blaskiem, ukazując sypialnię: długi, wąski pokój, także zawieszony tkaninami. Justice stał przy drzwiach i gapił się na mnie w oczekiwaniu na wyjaśnienia. Spojrzałam mu w oczy, jego gniew rozpałał we mnie pożądanie. Odwróciłam głowę.

- Szkoda, że nie poprosiłam o osobny pokój - oświadczyłam, wpatrując się w stojące na środku komnaty łóżko: szerokie, zarzucone poduszkami, z baldachimem ze szklatego aksamitu. Czułam niepokój, jak przed zbliżającym się atakiem, i pustkę, jakby dopiero co wysłał mnie janczar.

- Z tą dziewczynką to niebezpieczne przedsięwzięcie - odezwał się Justice, podchodząc bliżej. - Pozna, że nie jesteś Rafaelem Miramarem.

- Nie mam zamiaru go udawać. Chcę się do niej tylko przyssać.

- Nie wolno ci!

- Dlaczego? Nie zrobię jej krzywdy; chcę się tylko dowiedzieć o nim czegoś więcej...

- Słyszałaś, co powiedział Miramar: dziewczynę sprzedali Ascendentom...

- To ja nią byłam! - Nagle ogarnęło mnie przerażenie, jakiego nie czułam od chwili, gdy ujrzałam po raz pierwszy Chłopca; jednocześnie opanowała mnie furia, jakbym została zdradzona. Złapałam go w przypiływie wściekłości. - Sprzedana przez kurwę jak marne zwierzę! Sprzedana Ascendentom, żeby mogli zaprogramować mi jakiegoś potwora, żeby mogli mnie przetopić!

Wrzeszczałam, cała się trzęsłam. Niewiele brakowało, a zaczęłyby się atak. Gdy Justice próbował mnie przytrzymać, uderzyłam go, aż się zatoczył.

- Gdzie jest ten chłopak? - wyłam. - Jaki ma mózg ten ulubieniec suzerena, dlaczego go nie sprzedali?

Justice patrzył na mnie sparaliżowany strachem. Upadłam na kolana, głos mi się załamał, gdy uderzyłam głową w podłogę.

- Wendy, nie!

Słyszałam krzyk, ale jakby przez mgłę. Uspokajała mnie już jednak napływająca z mózgu fala enkefalin, reakcja na ból, którego nie umiałam odczuwać. Jeszcze kilka razy uderzyłam głową w podłogę, po czym zwałam się na nią wyczerpana, ciężko dysząc. Z drugiego końca pokoju dobiegał płacz Justice'a.

Mijały minuty, po czym usłyszałam nowy, łagodniejszy odgłos. Uniosłam głowę i zobaczyłam stojącego przy otwartych drzwiach Justice'a, który zwracał się do maleńkiej postaci, widocznej na tle delikatnego blasku z korytarza.

- Fancy - wykrztusiłam gardłowym głosem. Myślałam, że przestraszy się mnie skulonej na podłodze, lecz prawdopodobnie w swoim krótkim życiu widziała już wiele dziwniejszych rzeczy. Mrugając sennie, uśmiechnęła się do Justice'a i zerknęła do środka. Jeszcze mnie nie poznała.

- Dziękuję - zawołał Justice do jakiejś odchodzącej korytarzem postaci. Starannie zasłaniał drzwi, żeby nikt nie mógł zobaczyć, co się dzieje wewnątrz.

- Miramar mówił, że zostałam przeznaczona dla dżentelmana. Czy to pan? - Dziewczynka stała na palcach i wyciągała ręce, żeby ją podniósł. Justice zakłopotany spuścił głowę, westchnął, zamknął drzwi i pokręcił głową.

- Nie. To... Zostałaś zamówiona przez kogoś innego, przez Aidana Arenta, Aktora. Tam. - Wskazał na mnie, leżącą na podłodze.

Wciąż uśmiechnięta Fancy odwróciła się i zrobiła kilka kroków śladem cienia jego ręki na dywanie. Na mój widok stanęła.

- Rafael!

Zebrałam siły i wyciągnęłam rękę, żeby się do mnie nie zbliżała.

- Nie, Fancy - zaczęłam, próbując wstać. Ale ona już objęła moje nogi. Czułam, jak jej całe ciało drży z podniecenia. - Aidan, mam na imię Aidan. Widziałas mnie dzisiaj na scenie...

- Rafael - powtórzyła. Przyciskała twarz do mojego uda. Nie zwracała w ogóle uwagi na moje zaprzeczenia. - Tęskniłam za tobą.

- Nie, Fancy - podjęłam z westchnieniem. - Usiądź tutaj - powiedziałam łagodniej, już uspokojona. Usadawiłam się z powrotem na podłodze. Fancy weszła mi na kolana, cały czas unikając mojego spojrzenia. Z drugiego końca pokoju przypatrywał się nam obojętnie Justice.

- Nie jestem Rafaelem Miramarem - powtórzyłam. Ujęłam ją pod brodę i zmusiłam do popatrzenia mi w oczy. - Widzisz? To nie on.

- A wyglądasz zupełnie tak jak on. - Dotknęła moich włosów.

- On miałby je długie, splecione w ciężki rudy warkocz. - Kiwałam głową, gdy ona gładziła nieco obrzmiały węzeł chłonny przy moim uchu.

- Ale nim nie jestem.

- Nie jesteś. - W jej głosie było coraz mniej wątpliwości. Wierciła się na moich kolanach, głaskała po udzie. Raptem przyszło mi do głowy, że może przejrzeć moje przebranie - była w końcu prostytutką - i stopniowo przesuwając ją w stronę kolan. Powiodła ręką po zarysie mojego podbródka. - Jesteś jego bliźniakiem?

- Nie wiem. - Wzruszyłam ramionami. Jakże to miało znaczenie, co sobie pomyśli albo czego dowie się o mnie jakieś dziecko?

- Jestem Aktorem; podróżuję po Mieście z trupą Tobiasza Rhymera. Oglądałaś nas wieczorem.

- Byłaś tą panią... - Zmarszczyła czoło i wsadziła do buzi palec.

- Wiołą. Byłem przebrany. Udawałem w sztuce kobietę. Czy ty czasami też udajesz, Fancy?

- Bez przerwy. - Skinęła głową z namaszczeniem. - Miramar uczy nas sztuki udawania. - Przechyliła głowę i posłała uśmiech Justice'owi, po czym uniosła usta, jakby podawała je do pocałunku. Odwróciłam się, spojrzałam na jej rękę na swoim kolanie. Strupek na nadgarstku, coś jakby gwiazda.

- Skaleczyłaś się?

- Przez Konstancję. - Pokiwała głową. - Za mocno przypięła skrzydło.

Uniosłam jej rękę, chcąc pocałować przeciętą skórę.

- Fancy, chcę, żebyś coś dla mnie odegrała, coś dotyczącego Rafaela. Możesz o nim pomyśleć, przypomnieć sobie coś, co z nim robiłaś?

- Odegrać dla ciebie? Jak w teatrze? - Oczy jej się rozszerzyły. - Spełnię każde pana życzenie, monsieur.

Spojrzałam na Justice'a. Blady, przykucnął na poduszce koło drzwi, lecz nie odwracał oczu. Zwróciłam się z powrotem do Fancy.

- Pomyśl o Rafaelu. - Nachyliłam się i szeptałam w jej małe ucho: - Nie udawaj, że ja nim jestem, po prostu o nim pomyśl. O czymś, co rzeczywiście miało miejsce.

- Na przykład gdy zeszedł Nocy Zimowej został kacykiem? To prawda. Pomyśleć o tym?

Jej ciepły oddech owionął mój policzek. Długie włosy przesycone były słodką wonią kwiatowego mydła, na skórze błąkał się jeszcze ciepły zapach dzieciństwa. Zakręciło mi się w głowie na myśl, że on też tak z nią siedział, że to drżące ciało wspierało się o jego uda, a rączki pieściły jego policzki...

- Tak. - Chwyciłam ją za rękę i zacisnęłam oczy, przygotowując umysł, żeby się do niej przysnąć. Możliwe, że Justice miał rację, lecz niebezpieczeństwo groziło nie dziecku (zresztą, była tylko zwykłą kurtyzaną), ale mnie samej.

Chciałam jednak, musiałam się o nim czegoś dowiedzieć...

Gdy usłyszałam opowieść Miramara, odkryłam w sobie podrzutka, obiekt wymiany w rękach jakiejś złowrogiej mocy. Jednocześnie czułam się tak, jakbym zapomniała wszystko, co wiedziałam na temat Błędnej Wendy; i tylko on mógł jakimś sposobem przywrócić mi jedność, Rafael Miramar, mój piękny brat...

- Czy wygląda tak jak ja? - zapytałam cicho.

- Hm. - Przymknęła jedno oko i przyjrzała się mojej twarzy. - Ma dłuższe włosy i truskawkowe znamię. O, tutaj. I częściej się uśmiecha. Nie ma też zęba. - Pogładziła palcem czoło. - I tyłu siniaków.

- Pokaż - szepnęłam, przyciągając ją do siebie. - Myśl o nim, o niczym innym. Pocałuj mnie.

Usta miała takie malutkie, że musiałam przytrzymać ją za podbródek, by je odnaleźć i delikatnie zagłębić się w nie językiem. Czułam się bardzo niezręcznie wobec jej spokojnego oddania. Przypomniałam sobie kąśliwą uwagę Miramara, rzuconą na boku do Justice'a:

„Całuje jak Kurator... To nie Rafael Miramar”.

„Pomyśl o Melisandzie” - upomniałam się, chcąc powstrzymać drżączkę. - „To zwykłe dziecko, jedna z wielu dziewczynek, a na dodatek kurwa...”

Sen niczym miękkie futerko na języku. Mleczne ząbki małe i ostre jak u kotki. Zadrzałam, gdy ugryzła mnie w dolną wargę, szepcząc: „Nie”, nie chcąc, żeby przebiła się przez skórę.

- Myślę o Rafaelu - oświadczyła.

- Grzeczna dziewczynka. Ale cicho sza.

Zakryłam jej usta ręką. Drugą ujęłam ją w nadgarstku i przysunęłam go do ust. Chichotała, gdy lizałam szorstką skórę, potem zmarszczyła brwi, gdy bardzo delikatnie ugryzłam w miejscu, gdzie został ślad po chłodnym pocałunku skrzydła Konstancji.

- Auu.

Zasłoniłam jej ręką oczy. Nie chciałam jej niepokoić, nie chciałam, by fala paniki zalała subtelniejsze wrażenia, których tu szukałam. Z gwiazdy na nadgarstku wypłynęła krew.

- Rafael, przypomnij sobie Rafaela - mruczałam. Schyliłam się i zlizalam z jej ręki krew, jednocześnie masując ramię, by płynęła szybciej. - Rafaela.

Z takiej odrobiny trudno było wydobyć choć trochę smaku, ale była słodka, w jej skórze nie znalazłam ani śladu soli, potu albo łez. Zajączałam i mocniej ścisnęłam ją w nadgarstku, aż krzyknęła i zaczęła wymachiwać rękami.

Wystarczy.

Noc Zimowa...

Świece, dwanaście świec lśni na wysokiej, kamiennej półce. Jada podaje mi srebrną tacę, błękitną od płomyka negusa, i usiłuję złapać lwią paszczę. Serca strzyżyków, płonące czerwono na łożu z zielonego ostrokrzewu. Błękitny płomień muska mnie w palce. Krzyczę i je oblizują, a Jada robi złośliwą miną. Nie znoszą jej. Miramar obserwuje mnie ze swojego wielkiego krzesła, śmieje się tak szeroko, że ukazuje dziąsła i wygląda naprawdę brzydko.

- Fancy, daj spokój, nie płacz!

Łapie Jadą za nadgarstek, potem bierze z tacy Iwiąpaszczą i rzuca ją na swoją dłoń, dopóki nie ostygnie i nie będzie mógł włożyć mi jej do ust. Najbardziej lubię spalone. Gdzie Rafael? Sukienka drażni mi skórę na brzuchu. Wybrała ją Quistana Iliria. Nie cierpię jej. Konstancja dała jej z okazji Nocy Zimowej elektryczną lampę z węgorza i siedemnaście gramów tristainu, ale pocałowała mnie pod nieobecność Miramara i opowiedziałam o wszystkim Rafaelowi. Konstancja bez przerwy się do mnie uśmiecha, Quistana jest wściekła, obydwie z Jadą siedzą na kolanach Konstancji, ale ona uśmiecha się do mnie. Gdzie on jest?

Puk puk puk. Mały Thomas i Benedick wrzeszczą:

- Witamy Burmistrza!

Gnąją do drzwi. Benedick przewraca tego wielkiego stwora ze wszystkimi prezentami,

Ketura je podnosi, taka smutna od czasu powrotu. Ten opakowany w błękitne srebro z bombkami jest dla mnie od Rafaela. Jest to zwierciadło sporządzone z jaj ptaka faero. Zglądałam do środka.

- Burmistrz! Stary, Siwy Burmistrz! - ryczy Benedick. Chce otworzyć drzwi, lecz powstrzymuje go Neville Warnick.

- Hola, hola, mój mały, lepiej tego nie rób!

Benedick płacze, bo Neville zabiera go do Lśniącej Komnaty i nie zobaczy przebrania. Mnie też zbiera się na płacz, bo ciągle nie ma Rafaela. Tymczasem drzwi otwiera Mały Thomas.

Stoją tam wszyscy biesiadnicy, przebrani na Maską Nocy Zimowej. Doktor Foster nałożył wielki kapelusz, ale go poznają. Jeden z Kuratorów udaje, że się go boi, lecz Miramar upomina go, żeby zamilkł i słuchał.

- Który z mieszkańców tego Domu wpuści Zimą?

To Galatea Święty Alaban, przebrana za Starego, Siwego Burmistrza. Ma na sobie czarny frak i koński leb od Zoologów. Mandola Persja pokazywała mi kiedyś miejsce, gdzie trzymają kości.

- Kto mnie wpuści?

- Ja nie - odzywa się bardzo głośno Miramar.

- Kto wpuści Zimą? - To Doktor Foster, świetnie przebrany za Umarłego Chłopca.

- Ja nie! Ja nie!

Dołączam się do wrzasków, śmieję się razem z Jadą i Quistaną, ta sukienka w końcu okazuje się nie najgorsza. Malwa Persja ubrała się identycznie jak Aspazja, a na widok doktora wszyscy wybuchają śmiechem. Taki zabawny! Unosi sukienkę, nałożył dzwony, Burmistrz udaje, że chce go ugryźć, a ten wyje zupełnie jak Aspazja.

- Kto wpuści Zimą, kto wpuści Zimą?

Nikt się do tego nie kwapi. Wchodzi Stary Nick, stał wcześniej za Malwą. Całuje Keturę i daje jej złoty kapelusz, a mnie daje pawią maskę i rzuca w powietrze konfetti.

- Niech idzie dalej, niech idzie dalej, my jej tu nie chcemy! - krzyczą wszyscy na Zimą, Starego, Siwego Burmistrza.

- Zabierzcie ją do Persji, zabierzcie do Ilirii, do Świętego Alabana!

- Zabierzcie ją do łazarzy! - woła Mały Thomas. - Zabierzcie ją do la...

Konstancja Buczyna zamyka mu usta pocałunkiem.

- Jeszcze tu wróć! - odgraża się Burmistrz. Kości trzeszczą zdejmując cylinder i wysypuje biały śnieg, otwiera usta i szczękającej zęby. Wiem, że to Galatea Święty Alaban, ale

i tak się boję. Chciałabym, żeby był tu Rafael. Tak mocno tego pragnę, że zamykam oczy. Otwieram i oto mam go przed sobą.

- Fancy! - Pachnie opium i srebrnym pudrem. - Wybrali mnie kacykiem. Nie mogę dłużej, zostałem złączony z Whitlockiem. Miramar też się spóźnia, a w ogóle dlaczego wszyscy jeszcze nie są na Masce?

Łapie mnie i podnosi do góry, siadam mu na ramionach i pociągam za włosy. Wszyscy patrzą na mnie, bo jestem jego ulubienicą a on jest ulubieńcem wszystkich. Rafael, mówią Rafael! Burmistrz kłapie zębami i chwyta jego włosy, on krzyczy, bo niszczą mu kostium.

- Czekają na was na Nocy Zimowej - mówi. - Pośpieszcie się! Ja muszę już wracać...

Jego głos tonie w ogólnym śpiewie. Doktor Foster łapie za biały sznur Burmistrza, bije, ale nie za mocno. Spieszno im, bo muszą jeszcze obejść Ilirię, Persję i Świętego Alabana, Noc Zimowa jest ostatnim miejscem na trasie ich wędrówki. Wszyscy śpiewają.

Będziemy szli, błędzili Bez wytchnienia chwili Ani słowa ani nuty Nikt już nic nie mówi Wieszac chłopca Wskrzesić dziewczyną Na koniec Zimowej Nocy

- Rafaelu, nie odchodź.

- Nie mogę, czeka na mnie Whitlock! Miramar, pośpiesz się!

- Ja też chcę!

- Jesteś za mała.

Konstancja Buczyna posyła mi groźne spojrzenie.

- Ja też chcę, ja też!

- Niech idzie! - Rafael uśmiecha się, bierze mnie na ręce, całuje i kołuje w powietrzu, jego włosy opadają mi na oczy, widzę, jak na mnie patrzy szarozielonymi oczyma, jego płomienne włosy zakrywają moją twarz, to on, Rafael Miramar, widzę go w tej chwili i to ja, ja widzę swojego brata...

Wrzeszczę, wymachuję ramionami i odłączam przewody, których tak naprawdę nie ma.

- Odejdź! - krzyczy Justice. Coś opada z moich rąk, słyszę czyjeś wołanie, ale już za późno, nie ma go...

Drzwi się zatrząskują. Po chwili jeszcze raz.

- Poszła. Poleciałem Doktorowi, żeby jej coś dał. Może zapomni. - Twarz Justice'a pociemniała z gniewu. - Jak mogłaś być tak nieuwważna? Nie słyszałaś, co mówił Miramar? Ascendenci szukają kogoś, być może ciągle chodzi im o ciebie. Jeżeli to dojdzie do ich uszu...

- Sam mówiłeś, że są pewni, iż nie żyję. Daj mi spokój. - Zatoczyłam się w stronę łóżka. Nie zdążyłam na nie opaść, bo już był za mną i chciał do siebie przyciągnąć, mimo że

go odpychałam.

- Dlaczego nie ja, Wendy? Ona, a ja nie? - Głos mu się załamał, próbował mnie pogłaskać.

- Justice, nie... - Potoczyłam się po łóżku.

Zamknęłam oczy i z całych sił próbowałam zachować obraz twarzy tak bardzo podobnej do mojej własnej. Tysiące rozwieszonych pomiędzy drzewami świec oświetlało jego włosy, gdy odwracał się ode mnie, od małej Fancy, jego zapach, mieszanina jaśminu i opium, płonącego wosku i balsamu, bladoszara skóra, oczy...

- Tak, Wendy! - zamruczał mi do ucha Justice, biorąc milczenie za zgodę.

Za późno. Metaliczny smak zalał już moje usta, serce waliło mi jak młotem, jak tamtym razem, gdy zbliżał się do mnie za kulisami. Wszystko odbywało się skrycie, ukradkowa wymiana odrobiny krwi; opuchnięte usta nie potrzebowały różu, bo dzięki mnie co wieczór krwawiły, ale powoli, tak bym mogła posmakować jego żądy i poczuć, gdy przyciska się do mnie i szczytuje.

Teraz jednak, gdy zajrzałam w serce i przeszłość mojego brata tylko mnie to rozwścieczyło. Walnęłam go w żebra.

- Zostaw mnie! - ryknęłam. - Odejdź!

Zaczerpnął tchu. Złapał się za brzuch i wstał, w jego oczach błyszczały łzy.

- Dlaczego? - Zaczął kaszleć. - Dlaczego mi nie pozwoliłeś? Rozumiem...

- Gdybyś rozumiał dałbyś mi spokój. - Kopnęłam na bok poduszkę, żeby łatwiej wśliznąć się pod koce. - Emma, Morgan i tamta kobieta nie żyją, Justice. To je zabiło, ja je zabiłam...

- Ale spałeś też w LIL z innymi pustkami - zaoponował, odrzucając narzuty. - Nie umarły. A tę dziewczynę po prostu wzięłaś...

- Wiedziała coś - oświadczyłam - o mnie, o moim bracie.

Na niej mi nie zależy, w ogóle mi nie zależy. A ty niczego nie rozumiesz, Justice, bo inaczej bałbyś się mnie nawet dotknąć.

Splatał węzeł z koców, unikając mojego spojrzenia. Poczulałam nagłe ukłucie, jakby litości zmieszanej z gniewem.

- Nie pojmujesz tego? To je czasami zabija... to, kim jestem, to, co widzę... a... nie chcę zrobić ci krzywdy.

Ciągle unikał mojego wzroku. Odczekałam chwilę, by spytać:

- Co jest we mnie takiego niezwykłego? Mógłbyś mieć każdego w tym Domu, w tym całym zapomnianym przez boga i ludzi Mieście. Dlaczego zależy ci na mnie?

Odsunął koc i podniósł głowę, włosy opadały mu na oczy.

- Bo jesteś piękna. Bo w LIL cię skrzywdzili. Bo cię kocham. Przypomniałam sobie, jak mnie uratował; jak stał nade mną w Pokoju Horne'a, czuwał całą noc, gdy rzucałam się na łóżku, a urządzenia Ascendentów były podłączone do mojego mózgu. Przypomniałam sobie chwilę, gdy przyssałam się do Fancy, jej radość na widok Rafaela; jej uciechę, gdy mnie ujrzała i wzięła za niego. Rafael Miramar, ukochany Domu Miramar.

A kto kocha Błądną Wendy? Kto coś o mnie wie, poza Justice'em i Panną Scarlet?

Nie mogłam jednak odwzajemniać ich miłości; mogłam ją sobie tylko wyobrażać, bo tak naprawdę nie miałam im nic do ofiarowania. Tylko koszmary, rozpacz i samobójstwo. Zaśmiałam się chrapliwie.

- Kochasz? Twój lud to kurwy. Chcesz mnie wykorzystać, tak samo jak doktor Harrow... niczym się od nich nie różnisz! - Wiedziałam jednak, że nie mówię prawdy.

Cierpienie i tęsknota tak strasznie wykrzywiły jego twarz, że musiałam się odwrócić.

- Ach, Wendy... - Zaczerpnął tchu i potrząsnął głową. - Nie chodzi tylko o twoją urodę...

- Ale ty jesteś piękny, Justice. Tak jak cały twój lud! Każdy z nich chemie wzięłby cię sobie na kochanka!

W łagodnym świetle jego oczy płonęły żywym, szafirowym blaskiem. Kanciasta twarz, zaokrąglona na tyle, żeby nie stała się koścista, gładkie czoło okolone złotymi włosami ponad głęboko osadzonymi oczami. Widziałam, jak inni Pafianie spoglądają na niego z dumą, jakby każdy rozpoznawał w jego regularnych rysach siebie. Jak na mój gust, oni wszyscy byli do siebie zanadto podobni; Justice odróżniał się od nich jakąś cechą twarzy, bruzdami, które pozostały po czasie spędzonym w LIL, po trudzie życia z aktorami.

- Piękno jest wśród twojego ludu zbyt pospolite, by mogło mnie poruszyć - oznajmiłam na końcu.

Westchnął i owinął sobie kolana kocem.

- Mamy takie przysłowie: „Puste naczynia są najładniejsze”. Dlatego też kochamy dzieci, niewiniątka, wszystko, co młode i nowe, nim nie zmieni tego świat i nie zacznie obumierać. Może właśnie dlatego cię kocham.

- Aleja nie jestem niewinna. Czasami nawet myślę, że jestem obrazem samej Śmierci.

Pogładził mnie po włosach, które wyrosły mi przy uszach na skroniach.

- Nie jesteś śmiercią, Wendy. - Przyciągnął mnie do siebie. - Zresztą nawet gdybyś była...

Zamknęłam oczy i pozwoliłam się dotknąć, czując jakąś dziwną, przerażającą

słabość. Otworzyłam oczy i ujęłam go pod brodę, przyciągając do siebie jego twarz, pocałowałam i raz jeszcze wyssałam z popękanej wargi odrobinę krwi. Krzyknął i odsunął się, ale za późno.

Opadłam na łóżko, chichocząc, rozbawiona smakiem jego grozy. Te kilka kropli paliło mi język niczym alkohol.

- Cudownie, cudownie!

Mam przed oczami rozmazany obraz jego twarzy. Widzę, jak kręci głową, jak porusza ustami, choć nie słyszę słów. Wtedy się zaczyna...

W ustach miesza się krew ze śliną. W skroniach płonie ogień, pod skórą tańczy krew. Zamykam oczy, Żeby dokładniej widzieć, co też śpiewa tam tak czysto i wyraźnie...

Oczy, oczy, płasające oczy, zielone jak najwyższe gałęzie drzewa, takie czyste, że nie widać' w nich źrenic, tylko odbicie tego, co On widzi przede mną, białą twarz Justice' a, który próbuje mnie przytrzymać, i nagle zaczynam okładać go pięściami, z głębi gardła dobywają się stęknienia, wbijam mu w twarz paznokcie...

Justice krzyknął i przetoczył się po łóżku, ja zaczęłam wyć, żeby odpędzić sen. Drapałam się po twarzy, rozdzierałam paznokciami policzki, dopóki nie poczułam czegoś ciepłego, wsadziłam palce w usta i zaczęłam się dławić. Poczułam bowiem smak własnej krwi, płataninę związków chemicznych. Po drugiej stronie łóżka łkał Justice.

Mój żołądek się uspokoił. Uciął wrzask w głowie. Uniosłam głowę i zobaczyłam Justice'a, kucającego w przeciwległym rogu łóżka.

- Dlaczego mi nie pozwalasz? - zawołał. - Mógłbym cię uszczęśliwić!

Przycisnęłam kciuki do skroni, żeby powstrzymać szalejący tam ból. Gdy wyciągnął do mnie rękę, naplułam na niego, wskazując zwisającą z moich ust nitkę krwi.

- To mnie uszczęśliwia - warknęłam.

Z tymi słowami runęłam do tyłu, jakby ktoś mnie uderzył. Pociemniało mi w oczach, przed którymi wyrosło coś czarnego, zimnego i ogromnego. Targały mną niepowstrzymane drgawki, chciałam przytrzymać się Justice'a.

- Nie... powstrzymaj Go... Ale było już za późno.

- Baal nie żyje - zawodzi Głos. - Zabiłam brata: potężny Baal nie żyje.

Ręce opadają mi bezradnie; twarz Justice'a faluje niczym odbita w ciemnej i szybko płynącej wodzie. Chmura na jej powierzchni. Z głębin wynurza się jakieś inne oblicze, ołowiane, miękkie i blade jak u salamandry. Gdy zwraca się do mnie z uśmiechem, z jego twarzy odpada skóra. Z szyi spływa lina - nie, liana - która też opada, zmieniając się w zarys ust. Jego uśmiech się rozszerza, widać połamane białe zęby, opuchnięty język, woskowy pęd

żerującego czerwia.

- Nie. Baal zmartwychwstał. Teraz zabierzemy jego siostrę Anat - szepcze inny Głos.

Rozcinamy ją mieczem, Palimy ją ogniem, Rozsiewamy ją na polu. Ptaki jedzą jej szczątki, Pochłaniają jej szczątki, Pożerają jej szczątki. Potężny Baal umarł; Lecz oto znowu żyje. I oto zabieramy Anat.

Ohydny uśmiech. Wrzeszczę, chcę uniknąć spojrzenia tych sinych oczu, ale teraz On wyciąga do mnie rękę. Kiwa ręką i jeśli mnie nią dotknie, utracę wszystko, ten pokój i ziemię, i ciepło powietrza i krwi, zabierze mnie, jak zabrał ich wszystkich, i czuję Go, jest we mnie, mruganie Jego oczu, usta otwierają się, by mnie rozerwać, mój piękny brat w ciemności...

Jego oczy zamykają się, zęby zaciskają, wargi rozwijają się w świeże liście na drzewie, gdzie rosną bardzo dziwne owoce. Inny chłopiec, żółte włosy oplecione na skórzanym pasku, śmieje się, śmieje, jak zawsze wtedy, gdy widzi mnie w lustrze: Emma, Aidan, Rafael, mój brat, wszyscy troje...

Twarz, która unosi się, by spojrzeć na mnie okolonymi kością oczami, nie należy do Niego ani do Aidana czy roześmianego Chłopca. Krzyczę, gdyż po zsuwającym się z szyi pasie nie pozostaje żadna szrama, Żadne otarcie, tylko miękka i gładka skóra, taka jak skóra Justice'a pod moimi paznokciami. Napuchnięte oczy trupa należą do mnie.

- Wendy, wstawaj.

Głos doktor Harrow rozlega się czysto i donośnie, wrywając mnie z głębokiego odrętwienia. Leżący obok Justice jęczy, przekręca się i tuli poduszkę. Siadam z zamkniętymi oczami, żeby nie zmącić wizji.

Wiem, że nie ma jej tutaj, w komnacie Pafian, gdzie w końcu zapadłam w sen. Zmieniła się w Głos, lecz naprawdę słyszę Emmę Harrow, a nie swoje własne myśli.

- Doktor Harrow - szepczę. Drżącymi rękami naciągam na piersi kołdrę. Jeszcze czuję w ustach resztki gorzkiego smaku własnego mózgu. - Doktor Harrow, proszę mi pomóc. Wkroczyłam w fazę fugi. Proszę...

Śmieje się. Eksplozja bladożółtego światła, w miarę jak nici jej świadomości przeskakują neuronowe przepaście.

- „Ty teraz żyjesz w ciągłym stanie fugi, Wendy”. - Jej głos grzmi w moim *locus ceruleus*, aż zaczynam pocić się ze strachu. Włókna neuronowe skręcają się i tworzą jaskrawy ślad. Jej gorzki śmiech znika w absolutnej ciemności wyrzutów sumienia. - „Za wcześniej, za wcześniej” - wzdycha. - „Wessana w próżnię. Biedna Wendy błądzi teraz samotnie...”

- Nie! - Staram się nie stracić z oczu bladej iskry jej świadomości, która nurkuje poprzez niezliczone kaniony. - Nie zostawiaj mnie! Proszę mi pomóc, doktor Harrow...

- „Pomóc?” - W ustach czuję słodkawy smak starych jabłek. - „Przecież ty mnie zabiłaś, Wendy...”

- To nie ja! - Słodycz przekształca się w mdły, miodowy smak norepinefryny. Wybucho białym, oślepiającym płomieniem. Zaczynam krzyczeć, wciskam twarz w poduszkę, żeby nie widzieć pokoju, nie budzić się i jej nie utracić. - Doktor Harrow, kim jest ten Chłopiec?

- „Aaa...” - Słyszeć już dwa Głosy, dwa jasne punkty na moim firmamencie.

- „Mój brat...”

- „Moja siostra...”

Błada jak światło brzasku świadomość Chłopca dotyka krawędzi mojego płatu skroniowego. Jęczę z rozczarowania i grozy. Czuję, jak doktor Harrow wycofuje się do *corpus callosum*, w te szare góry.

Pozostaje jeszcze chwilę. Aksony wiją się przy pierwszych wyładowaniach Chłopca. Jej obecność napawa mnie bezmyślną otuchą, prostuję zaciśnięte na poduszce palce i wciągam duży haust powietrza. Coś kazało jej mnie obudzić, coś, przed czym mnie ostrzeże. Jeszcze chwila i odejdzie, a pozostanie tylko Chłopiec, który będzie mnie torturował.

- Doktor Harrow...

W szarej przepaści rozlega się westchnienie.

- „Wendy”. - Słyszeć oddech. - „Tak tu zimno. On jest taki zimny...”

Drzę na myśl o jej bólu, lecz mam pilniejsze sprawy.

- Czy mam brata, doktor Harrow?

Jej świadomość migocze. Impuls noradrenaliny. Szmaragdowe supernowe wybuchają i wyrzucają ją w mrok. W otchłani umysłu rozlega się ostatni krzyk, wrzeszczę z bólu, gdy zablokowana ścieżka neuronowa płonie szkarłatnym ogniem.

- „Jest Chłopiec” - woła. - „Nasz brat... Baal...” W głowie dudni mi od wysiłku, żeby ją zatrzymać.

- „Kim jest Baal?” - wyje mój umysł. „Aidanem? Rafaelem?” Jej świadomość to szkarłatna smuga, nurkująca w próżnię...

- „To nasz brat, umierający bóg... zbudziłyśmy Go i świat nie zazna spokoju, dopóki On nie zostanie zabity...”

A zbrodnia moja cuchnie, smród bije do nieba; Nosi na sobie najpierwotniejszą klątwę, Zabójstwo brata!

- „Znajdź go, Wendy...”

Zniknęła. Zostałam sama z Nim, tym, którego zbudziła, który drzemie w gęstwinie

moich dendrytów, neuronów i aksonów: który używa mnie jako sierpa, co zbierze Jego żniwo, daninę dusz. Bóg na Drzewie, Dionizos Dendrites. Rozdziawiony Pan. Zmagamy się ze sobą, ja walę pięściami w pościel. Moje palce zaciskają się bezradnie, potem rozwierają, gdy napływa do nich krew.

Czuję Go, zimny, żelazny ucisk Jego kończyn, moja krew zmieszana z surowymi płynami, które wpuścił mi do mózgu. Ryk niczym głos jakiegoś wypuszczonego z klatki zwierza. Krzyk, który poznaję jako wołanie Justice'a, a ja wymachuję rękami, wrzeszczę i szarpnię za pościel.

- Wendy, nie!

Nie widzę Justice'a, walczę z Nim, żeby nie schwytał Justice'a jak dzikie zwierzę, wreszcie opadam na łóżko i stękając rwę na strzępy szal.

- „Znajdź go, Wendy!”

Echo jej słów, gdy unosi się nade mną Justice, w rękę trzymajakiś ciężki przedmiot, którym wali mnie w czoło. Słyszę ryk bezsilnej furii i zapadam w nieświadomość.

Justice'owi i Pannie Scarlet jakimś sposobem udało się znaleźć lektyki, w których zaniesiono nas z powrotem do teatru. Justice tłumaczył, że jestem chora. Przypominam sobie tylko Gowera Miramara, który pochylał się nade mną w naszej małej komnacie, i pierwsze promienie słońca na minaretach Domu Miramar, gdy starsi nieśli nas w lektykach.

Spałam niespokojnie cały dzień i noc, często budząc się z okropnych koszmarów. Widziałam wtedy twarze Justice'a i Panny Scarlet, przypominające migotliwe cienie w kinematografie. Pojawiały się znienacka, gdy unosiłam z trudem głowę, by natychmiast opaść na poduszkę.

Gdy się w końcu obudziłam, było prawie południe. Blask słoneczny rozkwitał na odklejającej się tapecie w moim niewielkim pokoju. Zobaczyłam Pannę Scarlet, siedzącą skromnie na dziecięcym fotelu bujanym, który znalazła w pomieszczeniu z rekwizytami; jej wargi się poruszały, czytała *Pamiętniki* pani Fiske.

- Panno Scarlet - wyszeptałam. Gdy dotknęłam czoła, poczułam guza rozmiarów pięści panny Scarlet i przypomniałam sobie Justice'a, bijącego mnie w komnacie Miramar. Usiłowałam się podnieść i uderzyłam w wypełniony do połowy wodą dzban, który stał na nocnym stoliku. Panna Scarlet go przytrzymała, zanim zdążył spaść na ziemię. Postawiła go z powrotem na stoliku i starannie zaznaczyła czytaną stronę wystrzępionym włóknem aksamitnej tkaniny. Z westchnieniem odłożyła książkę na stolik.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Obrzydliwie. - Wzdrygnęłam się, gdy odsuwała mi z czoła włosy. Skinęła głową,

nalala mi szklankę wody i odczekała, dopóki jej nie wypiję.

- Mogłaś zabić to dziecko. I sama siebie przy okazji - odezwała się po chwili. Zamknęłam oczy i zaczęłam się od niej odwracać. - Nie! Posłuchaj mnie, Wendy!

Otworzyłam jedno oko, wzruszyłam ramionami. Jęcząc, przekręciłam się z powrotem i spojrzałam na jej zagniewaną twarz.

- Słucham.

- Może nie przejmujesz się tym, że narażasz się na niebezpieczeństwo; nie masz jednak żadnego prawa narażać również nas. Ta dziewczynka dostała ataku hysterii. Justice również. Myślał, że cię zabił. Musiał okłamać suzerena, bo Miramar mógłby wyciągnąć wobec nas wszystkich konsekwencje, jako że zrobiłaś dziecku krzywdę. To nie był dobry pomysł, Wendy. Słyszałaś słowa Miramara: Ascendenci przeprawili się przez rzekę. Możliwe, że szukają ciebie. Dziwaczny, zimny młody człowiek, podobny do pafiańskiego faworyta, doprowadzający pafiańskie dziecko na skraj obłąkania - to bardzo podobne do empata, który spowodował samobójstwo jednego z najwybitniejszych ascendenckich naukowców.

- Uznali mnie za zmarłą - zaproponowałam nieśmiało. Szympanica zatrzęsła się z oburzenia.

- To nie może być żadna wymówka. Mało jej nie zabiłaś...

- Wszystko mi jedno - powiedziałam wyczerpana. Przycisnęłam dłoń do oczu. - Daj mi spać...

- Niech cię szlag, Wendy!

Poniosło ją i weszła na malutki fotel. Bujał się niebezpiecznie, gdy dla podkreślenia kolejnych zdań wymachiwała rękami, strzępy rozpadającej się tkaniny jej szlafroka wypełniały powietrze orientalnymi cętkami zieleni i czerni.

- Nie może ci być wszystko jedno! - zawołała, szarpiąc jedną ręką za pościel. - Musi zależeć ci na wszystkim, bo w przeciwnym razie jakim cudem zostaniesz Wielką Artystką? Jak będziesz chciała zostać Prawdziwym Człowiekiem?

- Póki co nie mam ochoty zostawać kimkolwiek. W tej chwili chciałabym się przespać albo coś zjeść. Gdzie Justice?

Zamrugnęła, jakby uderzono ją w twarz.

- Nie masz ochoty? - powtórzyła, jakby nie dosłyszała. - Nie masz ochoty?

Wybałuszyłam oczy i przewróciłam się na drugi bok. Słyszałam jej głęboki oddech („przeponą”, jakby to określiła), gdy starała się uspokoić. Udawałam, że śpię, wiedząc dobrze, że nie nabiorę Panny Scarlet, która utrzymywała, że wyczuwa zapach snu i marzeń na

jawie, gdy człowiek powinien przygotowywać się do wejścia na scenę.

Być może w końcu uznała, że lepiej poczekać, aż to niedoskonałe naczynie samo się poskleja, i dopiero wtedy spróbować znowu je napełnić. Nocny stolik zatrzęsł się, gdy zawadziła o niego, sięgając po książkę. Po chwili usłyszałam szelest przewracanej strony. Odchrząknęła.

„Wielkie aktorstwo należy oczywiście do krainy ducha: polega na przenoszeniu pewnych abstrakcyjnych cech duchowych, przy czym osoba grająca pełni rolę nośnika. I właśnie tym nośnikiem zajmuje się nasza nauka, jego powolnym, cierpliwym udoskonalaniem do funkcji narzędzia. Odwieczny i niezmierny teatralny akcydens, który zwiemy Genuszem, należy do spraw Duszy”.

Słumiony pocałunek kruchych stronic, które raz jeszcze się stykają.

- Do widzenia, Wendy. - Za Panną Scarlet zamknęły się drzwi.

Tego wieczoru w domu było ciemno. Fabian wpadł na krótkie odwiedziny. Opowiedział mi, że gdy wystawialiśmy spektakl dla Miramara i jego gości, Dom Wysokiej Brazylii został oblężony przez łazarzy. Wielu Pafian i Kuratorów zginęło lub zostało wziętych do niewoli; mówiło się o różnych okropnościach, o dzieciach ścinających w ciemności głowy innym dzieciom; żywy trup, którego Święci Alabańczycy zwą Rozdziawionym, bawił się z oswojonym szakalem; zakładnicy mieli stać się ludzkimi ofiarami na Jego ołtarzu w Pochłoniętej Katedrze. Miasto okryło się żałobą.

Po jego odejściu leżałam, długo nie zasypiając, jakbym oczekiwała ponownej wizyty Panny Scarlet, Justice'a albo wręcz Toby'ego we własnej osobie. A przynajmniej Gitany lub Mehitabel. Nikt się jednak nie pojawił. Gdzieś w głębi teatru odezwał się zegar. Czekałam; nikt nie przychodził. Tak jakby mnie ignorowali lub pozwalali wyzdrowieć w samotności. Wreszcie postanowiłam wyruszyć na spacer.

Na korytarzach nie spotkałam nikogo, choć z sali gimnastycznej dobiegał świst, szcęk i okrzyki, charakterystyczne dla treningów szermierczych. Odgłos dodający otuchy, dowód, że życie toczyło się dalej pomimo masakry i mojego szaleństwa. Przemierzyłam Wielką Salę, szybko przechodząc przez leżący na środku dywan z wytartymi arabeskami. Po drodze mijałam spróchniałe szafy z teczkami tak starymi, że zawarte w nich słowa zmieniły w ciągu wieków znaczenie. Z pewną ulgą dotarłam do ciężkich dębowych drzwi, które prowadziły na zewnątrz.

Na szeroką łąkę przed teatrem kładły się cienie, gasnące przed stojącą naprzeciwko Biblioteką. Na trawie pasło się kilkanaście płochliwych owiec, własność Bibliotekarzy. Od czasu do czasu Toby wykorzystywał je jako malownicze dodatki do bardziej sielankowych

sztuk w naszym repertuarze. Najczęściej wałęsały się po prostu bez celu po łące. Skinęłam głową na młodego Bibliotekarza, usadowionego na resztkach marmurowej kolumny po drugiej stronie drogi. Na jego kolanach spoczywał odnowiony karabin maszynowy do obrony przed łazarzami i szakaludźmi. Wymieniliśmy ckliwe pozdrowienie, a ja skierowałam się ku Alei Głębinowej.

Słońce skryło się już za miedzianą kopułę Biblioteki. Idąc łąką, słyszałam trzepot skrzydeł sokołów moszczących na noc gniazda, i jęki sów zapuszczających się w półmrok na nieśmiałe eskapady. Miejsce otaczał niezaprzeczalny urok, okolice Biblioteki stanowiły chaotyczną, lecz wciąż ładną gęstwinę krzaków róży i wiśni, które pielęgnowano na tyle, by nie popadły w zupełne zapomnienie, gdy wysoko ponad nimi wyrastały magnolie i białe dęby. Z tego punktu mogłam powędrować wzrokiem Aleją Głębinową, aż do miejsca, gdzie pochłaniał ją Wąski Las. Z trudem dojrzałam pośród drzew wąski szpikulec Obelisku. Jeszcze dalej na powierzchni rzeki lśniły promienie słońca. Zdarzały się tam jeszcze miejsca, gdzie w alei utrzymywano porządek. Niewielkie sady jabłoni i wiśni, zespoły pastwisk, gdzie pasły się owce Kuratorów. Białe bryły, przypominające rozsypaną na zielonym stole sól, były drewnianymi ulami, uginającymi się pod ciężarem miodu. Dostrzegłam alejkę jesionów i tulipanów, która prowadziła do Budynku Narożnego, gdzie Regenci trzymali swoje nieliczne, wyborowe konie, i czerwone wieżyczki Zamku Regentów, wysokiego i dumnego, mimo pękniętych wież i wybitych okien.

Ze Wzgórza Biblioteki rozciągał się widok drzew pomiędzy ruinami eleganckich niegdyś budowli z białego marmuru oraz kruszejących masywów szarych budynków, które nigdy nie były zbyt piękne. Dopiero w stanie upadku zawarły swego rodzaju rozejm z niebem i deszczem, chroniąc się pod brodami z kudzu.

Westchnęłam i weszłam na sękatą sosnę, której gałęzie tworzyły dogodny punkt widokowy. Był październik, zwany przez Pafian Czasienią, lecz powietrze było wciąż ciepłe i pachniało słodyczą. Jedyne rudziejące liście dębów przypominały o jesieni i może chłodnawy północny wietrzyk, który poruszał gałęzie wiecznie zielonych iglaków.

Wsparłam się o pień sosny i stanęłam. Moje włosy poruszał wiatr. Jego dotyk kojarzył mi się z zimnym granitem, kamienną ziemią; bladą twarzą, na poły skrytą wśród świeżych liści. Otrząsnęłam się jednak z tej melancholii i spojrzałam prosto na zachód, ku rzece, czując na sobie ostatnie promienie słońca.

Ten widok nie przestawał mnie poruszać, mimo że znalazłam się tutaj dwa miesiące temu. Miasto Drzew, opuszczona stolica Senatorów, zapomniane Miasto nad rzeką. Wychodzenie na scenę sprawiało mi wielką radość; była to jednak radość pomieszana z

rozpaczą i tęsknotą, gdy czułam, jak omywają mnie fale pożądania, które rozbijają się o widownię i powracają. Po przedstawieniach nie tryumfowałam tak jak Toby; nie sprawiało mi zwykłej przyjemności, jak Gitanie, Mehitabel i całej reszcie, spędzanie wieczoru na miłosnych zapasach. Nie potrafiłam też upodobnić się do Panny Scarlet i traktować teatru jak świątyni czy laboratorium. Dla niej aktorstwo stanowiło pewną odmianę alchemii, tygiel, w którym oczyszczenia doznawały brutalne żądze, miłość i codzienna gorączka ludzkości, które stygły następnie podczas pełnych dystansu prób, tak że na koniec wstępowałam na scenę posilona eliksirem ludzkiej pamięci.

Dla mnie radość teatru polegała na tęsknocie za człowieczeństwem, które mogłam naśladować, lecz którego nigdy nie posiadę ani nie zrozumieć. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że tęsknota i poczucie straty równie dobrze czynią kogoś prawdziwym człowiekiem.

Takie spojrzenie na Miasto Drzew dawało pewien wgląd w naturę mężczyzn i kobiet, w ich dawny sposób życia, gdy aleje były drogami, białymi i ciągnącymi się bez końca, nie zarośniętymi drzewami, Obelisk stał nienaruszony, a Senatorowie rządzili ze szczytu Wzgórza Biblioteki. Odczuwałam wtedy pustkę i samotność. Tylko te uczucia przynosiły mojemu sercu ulgę, były bowiem takie rzadkie.

I przez kilka minut czułam się tak, jakby Miasto należało wyłącznie do mnie. Było moją tajemnicą i dziełem. Tak jak Głosy, wspomnienia Emmy, Aidana, poetki Morgan Yates i kurtyzany Fancy Miramar. Głosy; chaotyczne wyładowania neuronowe; wykradzione wspomnienia. Teraz były moje, tak jak wyobrażałam sobie Miasto, które będę smakować, zgromadzę i obronię przed Tym, który chciałby mi je wykraść, który chciał doprowadzić mnie do rozpacz i śmierci, jak uczynił to z innymi. Pokręciłam głową, uniosłam pięść ku wieczornemu niebu i zaśmiałam się.

- Nie dostaniesz mnie! - krzyknęłam. Odpowiedział mi tylko wiatr.

Wtedy przypomniał mi się pewien starożytny wiersz, który Panna Scarlet recytowała czasami, gdy jechaliśmy przez Miasto na spektakl. Zerkała na ruiny Wzgórza Biblioteki, jego wielkość zmienioną w pył i gruzy, zarośnięte roślinnością, i mówiła:

- Możliwe, że Ascendenci opuścili to Miasto, lecz bogowie pozostali razem z nami. Ciągłe je chronimy, Wendy, ludzie tacy jak ty i ja. Czekamy na ponowne przebudzenie się Magdaleny, gdy będzie przechadzać się tutaj, jak teraz robi to Rozdziawiony. Póki w Nią wierzymy i mamy nadzieję, Miasto jest nasze. Nigdy nam Jej nie wydrą, ani piekłem, ani deszczem, ani strachem.

Wtedy zaczynała deklamować, a później zapadało milczenie, bo uwielbiałyśmy

zwyczajność tej wizji...

Marzenie o minionym już, skromnym życiu. O świetle płonącym na zamiecionym do czysta ganku, niewielkich maszynach, przesuających się z warkotem po pylistych alejach. Zapach palonej kawy i taniego wina, unoszący się nad podejrzaną kafejką. Stukot pociągów, przejeżdżających pod starożytnymi alejami, opanowanymi teraz przez wygłodniałe dzieci i coraz bardziej rozrastające się drzewa.

Wsparłam się o pień sosny. Gdy na czystym i pustym niebie zamigotała pierwsza gwiazda, zaczęłam cicho recytować:

...I nawet teraz, pośród mroku, Na gruzach tego Miasta po erze Wergiliusza, Gdzie przeszłość jest bezładem grobów, a kolczasty Drut biegnie ku przyszłości, gdzie nie dosięga oko, Nasz smutek nie jest grecki: wiemy w głębi duszy, Grzebiąc swoich umarłych, że cierpienie nie znaczy Nas nadaremnie jak pustyni, że nie ma w nas wzrastać Litość dla siebie czy naszego miasta; Kogokolwiek złapałby reflektor, cokolwiek głośnik nam wykracze, Mamy nie poddać się rozpaczy.*

* W.H. Auden, *Pamięci miasta*, przeł. J. Spoiny.

CZEŚĆ SZÓSTA

SZKIELET TRANSCENDENTNY

1. Różnego rodzaju katastrofy

Łazarze wyrwali mnie z czarnego i pozbawionego marzeń snu na Fryzie Hagioskopowym.

- To on - odezwał się dziecięcy głos. Próżnia, która mnie pochłonęła, była tak przepastna, że przez chwilę nie mogłem dostrzec kręcących się po pomieszczeniu postaci, mimo że oczy miałem otwarte, a przez szczeliny w wielobarwnych witrażach sufitu sączyło się pierwsze światło dnia.

- Tak - dodał inny głos. - Zeszłej nocy zabił w rzece Petera. Widziałem go.

- Musimy go zabrać - podjął pierwszy z głosów, pełen wątpliwości.

- Tak - odrzekł drugi i zapadło pełne zadumy milczenie. Nie zabili mnie, choć przez wiele minut leżałem i czekałem, kiedy poczuję na gardle dotyk ich maleńkich zębów i noży. Słyszałem, jak chodzą po pokoju, kopią różne sprzęty, które toczą się po podłodze, i wyobrażałem sobie, jakimi zabawkami się bawią: kosmetykami Whitlocka, pipetkami kandykainy, pustą flaszą po absyncie. Macałem w ciemności, szukając ciała Whitlocka, lecz go nie znalazłem. Wyszptałem imię Anku i nic się nie wydarzyło.

Głosy należały chyba do bardzo młodych osobników. W końcu miałem tego dość i usiadłem, mrugając powiekami.

Przy matowych oknach wykuszu kucalo kilka sylwetek. Jedna szczoteczką do kosmetyków zmiotła z podłogi mieszaninę rozsypanego pudru i wylanych olejków. Pozostali obserwowali ją z wielkim zainteresowaniem. Głosy mieli ciche, zadziwiająco pozbawione życia, jakby już nic na świecie nie mogło ich rozbawić ni przerazić.

A już z całą pewnością nie ta pusta komnata. Trupy Nopcsy i Whitlocka zniknęły. Anku ani śladu.

- Gdzie mój sługa? - spytałem.

Wszystkie głowy jak na komendę zwróciły się ku mnie. Podbiegli z chichotem, wzajemnie się przepychając. Zbili się w kółko, szeroko się uśmiechając, każdy brudny jak nieboskie stworzenie: poplamione ręce i włosy sklezione od kurzu i krwi. Śmierdzieli gnijącym mięsem.

- Obudził się! Gdzie doktor Silverthorn? - zastanawiała się mała, pięcio - albo sześćioletnia dziewczynka. Policzki pomalowała różem i pudrem do oczu, w mysie włosy

wpięła pióra. Zwróciła się do chłopca wyższego i starszego od całej reszty, może nawet trzynastolatka. - Oleander?

- Gdzie mój sługa... biały szakal? - powtórzyłem. Najstarszy chłopiec odsunął ze swojej drogi dziewczynkę. Na twarzy i rękach miał wielkie, otwarte rany. Resztę ciała okrywał kostium jakiegoś martwego Pafianina, cały ozdobiony łzami i westchnieniami z cekinów.

- Twój pies nas tu przyprowadził - oświadczył - ale uciekł. Nic mu nie zrobiliśmy, przysięgam. - Uśmiechnął się i zaczął szarpać za rękawy kostiumu, tak że na ziemię spadł deszcz cekinów. - Mam na imię Oleander.

- A ja Bellanca - pisnęła dziewczynka, która stanęła u jego boku. Spod halki z podartego płótna barwy indygo wystawał spuchnięty brzuch. Kosmyki blond włosów, resztki wspaniałej niegdyś fryzury, wypadały z obwiązujących je kokard na zapadłe policzki. Uśmiechnęła się i, ku mojemu przerażeniu, uniosła ku poczeriałym ustom trzy palce. - Witaj, kuzynie - zasepleniła słodkim głosikiem. Załamane się; kolejne dzieci Pafian.

- Sądziłem, że to twój pies - odezwał się pewnym siebie tonem jakiś inny chłopiec. Rozpoznałem w nim jednego z łazarzy, których napotkałem przy Rocreek, przeciętnego chłopca o inteligentnych oczach, płonących w pokrytej bliznami twarzy. Pewnie był kiedyś Kuratorem. - Zabrał go jeden chłopiec...

- Chłopiec? - zawtórowałem z głupia frant.

- Taki jak ty - pokiwał głową. Chodziło mu pewnie o jakiegoś Pafianina. - Miał we włosach kwiaty i twierdził, że oczekiwałeś tu nas. Możemy już iść?

Omiatając ich tępym wzrokiem, naliczyłem pięcioro. Oleander. Dziewczyna w jego wieku, o czaszce łysej i gładkiej jak kamień, która raz po raz otwierała i zamykała usta, jakby z trudem łąpała powietrze. Bellanca i jedna dziewczynka, która bez przerwy się śliniła i milczała, i jeszcze chłopiec, którego spotkałem przy Rocreek z oddziałem Perły.

- Mam na imię Martin - oznajmił przenikliwym głosem, stukając się palcem w chudą pierś. - A to Oktawia. - Tu wskazał na milczącą dziewczynę.

Nie odzywałem się, wyobrażając sobie, że można by ich zabić albo strzalcem, albo gołymi rękami. Nie miałem jednak na to ochoty, nie chciało mi się też nic uczynić dla ratowania własnej skóry. Bo czyż to nie ja ich tu sprowadziłem, czy nie wydałem w ich ręce własnego ludu? Ilu uczestników maski zostało zabitych lub pojmanyh przez łazarzy? Wśród nich Katura, być może też Fancy...

- Chwileczkę - zwróciłem się do Martina. - Pójdę z wami, ale najpierw powiedzcie mi, czy widzieliście kobietę albo małą dziewczynkę...

- Całe mnóstwo - pośpieszył z pomocą Martin. - Trochę widziałem, wzięli ich...

Oleander zmarszczył czoło. W pokrytych cekinami łachmanach wyglądał idiotycznie. Choć wszyscy najwyraźniej mało zwracali na niego uwagi, on sam czuł się do roli przywódcy.

- Zamknij się, Martin - rozkazał. Postukał w pistolet, który przywiązał sobie skórzanym rzemieniem. Odwrócił się w moją stronę, drapiąc ranę na udzie, z której ciekła ropa. - Jesteś Rafaelem Miramarem, którego nazywają Rozdziawionym?

- Tak. - Nie miałem siły zaprzeczyć.

- Musisz pójść z nami. Tust... Pocieszenie Umarłych tak mówi. Chodź. Proszę. - Głos mu się załamał. Zakasłał i rozejrzał się, czy inni to zauważyli. Milcząca, śliniaca się Oktawia zawędrowała na koniec pokoju i oglądała Wielką Salę. Bellanca i Martin bawili się rozrzuconymi kosmetykami. Dziewczyna, która przy nas stała, ziewnęła i poruszyła bezwładnymi ustami, jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie wykrztusiła ani słowa. Przybliżyła się do mnie, szurając nogami po podłodze, i dotknęła moich włosów, zanim jeszcze zdążyłem się odsunąć.

- Ładne - orzekła grubym głosem. Opadła na kolana. Na oczach pozostałych umierała, z jej twarzy i rąk eksplodowały szkarłatne płatki.

Oleander gapił się na dziewczynę, by wreszcie zwrócić się do mnie:

- Co jej zrobiłeś? Skąd te kolory? - Inni unieśli głowy w oczekiwaniu na wyjaśnienie. Bellanca włożyła do ust kciuk i patrzyła na mnie rozszerzonymi oczami.

- Ona... nie chciałem, żeby mnie dotykała! - wyjąkałem.

- Patrzyła na twoje włosy - tłumaczył Martin. - Swoje wszystkie straciła, chciała się tylko przyjrzeć...

- Cicho bądźcie! - Obróciłem się na pięcie i uniosłem na nich pięść, żeby zobaczyli błyszczący na nadgarstku strzalec. - Zabierzcie ją... wynieście stąd! - Kopnąłem trupa i odskoczyłem, zasłaniając oczy. Po chwili usłyszałem polecenie Oleandra:

- Zróbcie, jak każe. - Mniejsze dzieci ciągnęły japo podłódze, uginając się pod ciężarem. Drzwi otworzyły się i zamknęły ze skrzypieniem. Gdy wróciły, ja stałem na środku komnaty i mierzyłem Oleandra groźnym wzrokiem, a on nerwowo dotykał pistoletu. Odchrząknął.

- Masz... my mamy... mimo wszystko musisz z nami pójść.

- Uniósł głowę i uśmiechnął się. Wyglądał na bardzo spokojnego, podczas gdy ja się rozżłościłem.

- A jeśli nie pójde? - warknąłem, gdy znad wejścia rozległ się chrapliwy głos

scholiasty:

- Umykajcie, kuzyni. Dom Wysokiej Brazylii został oblężony przez łazarzy. Umykajcie, kuzyni. Dom...

Trzask. Scholiasta zamilkł. Drzwi się otwarły i na tle bladego światła stanęła w nich wysoka, szczupła sylwetka.

- Doktor Silverthorn! - zawołała Bellanca. Wraz z Martinem wybiegli na spotkanie. Oleander zagryzł wargi, wyciągnął z zaimprovizowanej kabury pistolet i wycelował go we mnie. Z drugiego końca pokoju Oktawia mlasnęła chrapliwie i machnęła ręką. Z jej palców aż do drugiego knykcia odpadło ciało.

- Doktorze - zaczął Oleander, przekładając pistolet do drugiej ręki. - To on. Ten chłopiec, o którym nam opowiadał. Pocieszenie Umarłych.

Postać wkroczyła w obszar światła, tak że mogłem się jej lepiej przyjrzeć. Wstrzymałem oddech i odwróciłem się.

- Z tego, co wiem, Pocieszenie Umarłych pragnie, by wrócił z nami żywy, Oleandrze - odezwał się, wymawiając słowa „Pocieszenie Umarłych” z nutką pogardy, niewyraźnie - miał trudności z wymową - choć głos miał miły i inteligentny. - Może byś odłożył to cholerstwo i pozwolił mi go obejrzeć? A gdzie Angelina?

Oleander potulnie włożył broń za pas i odsunął się na bok. Słyszałem szepty innych dzieci, które otoczyły przybysza i ciągnęły go za szaty.

- On ją zabił, doktorze. Widziałem...

- On, ten, o którym on nam opowiadał...

„Jak mogą znieść jego dotyk?” - myślałem, próbując się uspokoić.

Przez mgnienie oka bowiem ujrzałem coś okropnego: szkielet, na którym ubrania trzepotały niby skrzydła zbierających się do odlotu mew, o niemal pozbawionej ciała twarzy, ściągniętej w ohydny grymas, o czaszce oczyszczonej z mięsa i ścięgien.

2. Części natury szkieletu

Wbiłem wzrok w podłogę, usiłując spowolnić szalone bicie serca. Ta okropna twarz! Słyszałem odgłosy jego nóg o podłogę, szelest jego szat, gdy lawirował pomiędzy dziećmi.

- Doktorze Silverthorn, możemy iść już do domu?

- Doktorze Silverthorn, widział pan tę zabawę?

- Doktorze Silver...

- Cii, dzieciaki - uciszył je. Przemierzył pokój, by stanąć kilka metrów ode mnie. Słyszałem jego oddech, gruby, gardłowy odgłos, jakby dławił się powietrzem. Jeżeli nie bały

się go dzieci, to ja także mogłem udawać odważnego. Zwróciłem się w jego stronę.

Stał tam niczym pokurczony strach na wróble, ubrany w białą, długą tunikę, zakurzoną i poplamioną trawą. Ręce okrywały białe rękawice, szyję biały szalik. Widać było jedynie twarz: różowobiałą i lśniąca niczym kawał mięsa, żyły i naczynia krwionośne biegły po gładkich kościach czaszki na podobieństwo pnączy. W moich oczach zakręciły się łzy.

- Aaa... - zawołałem. Mimo woli wzruszał mnie sam widok nieznanego. - Dlaczego doprowadziłeś się do tego stanu?

Pokiwał wolno głową, jakby przy zbyt szybkich poruszeniach mogły pęknąć wiotkie włókna, które go spajały.

- Czy ja cię skądś znam? - mruknął, jakby mnie w ogóle nie dosłyszał. Wyciągnął rękę i otarł mi łzy z policzka. - Błędna Wendy?

- Nie... Rafael Miramar - potrząsnąłem głową.

Moje łzy zaplamiły koniuszki palców rękawiczki. Przystawił sobie rękę do twarzy i oglądał wilgotną tkaninę, po czym ponownie spojrzał na mnie. Te orzechowe oczy mogły być kiedyś delikatne; możliwe, że nawet teraz patrzyły na mnie z litością lub zdumieniem. Ale bez ciała na czole, bez rzęs, które mogłyby zakrywać opuchnięte gałki, mógł tylko spoglądać w bezruchu przed siebie, a gdy mrugał, w górę i w dół przesuwawała się cieniutka warstwa skóry.

- Rafael - powtórzył, kręcąc głową. - No, tak... Awiator mi wspominał, dzieci opowiadały, że widziały cię nad rzeką... -

Z cichym skrzypieniem obejrzał się za siebie na czekające tam dzieci. - Zmęczone są biedactwa - wymamrotał, by na nowo odwrócić się ku mnie. - Na pewno nie masz na imię Wendy?

- Nie. - Byłem rozdarty między chęcią odwrócenia głowy i wpatrywania się w niego z mieszaniną fascynacji i litości. Wbiłem wzrok w jego ręce. Wyciekał z nich jakiś jasny płyn, plamiąc je tak samo, jak moje łzy. - A ty kim jesteś?

Westchnął, wydając z siebie nienaturalnie chrapliwy dźwięk, który przedostawał się przez jego pozbawione warg usta.

- Trzy tygodnie temu byłem doktorem Lawrence'em Silverthornem z Laboratorium Inżynierii Ludzkiej. Za trzy dni umrę. - Ubrania zaszeleściły, gdy wzruszył ramionami i wyjął spod tuniki dużą, czarną torbę skórzaną. Wyciągnął wąskąfiolkę i zaczął wcierać w twarz jakiś olejek. - Antybiotyk - wyjaśnił, rozprowadzając go po policzkach.

- Słyszeliśmy, że Wendy żyje - podjął z roztargnieniem, jakby kontynuował jakąś długą historię. - Pewien Handlarz z Miasta mówił, że widział ją na scenie z jakąś marną trupą

aktorów. My też chcieliśmy uciec, tak jak ona, szukaliśmy tu ocalenia... - Spojrzał na mnie i zaśmiał się cicho, bez cienia radości. Skuliłem się, żeby nie zacząć drżeć; ale nie potrafiłem odwrócić wzroku. - Niektórych trzymali przez miesiąc przy życiu, starając się uzyskać bioślady - ciągnął, niezgrabnie zatykając fiolkę korkiem. - Potem ich wykończyli. Podczas gdy wydłubywali im mózgi, głowy były osadzone w beczkach. Ukryłem u siebie w pokoju Gligora i Annę. W końcu zabrakło im środków znieczulających. Wszyscy twoi znajomi empaci, Wendy, z wyjątkiem Anny i Gligora, umarli; wszystkie dzieci.

Jego zęby szczęknęły, gdy skinął głową w stronę łazarzy.

- Dobrze zrobiłaś, czmychając z tym Adiutantem. Ale ty nie jesteś Wendy? - powtórzył zbity z tropu. Objął wzrokiem komnatę. - Gdzie Angelina?

- Nie żyje, doktorze Silverthorn, nie żyje - krzyknęła Bellanca. - On ją zabił. Możemy pójść do domu? - Na dźwięk jej głosu wzdrygnął się, po czym przytaknął.

- Oczywiście. Naturalnie, Bellanco. Ale najpierw się połóż i trochę odpocznij. Wszyscy sobie odpocznijcie. - Zwrócił się do mnie: - A więc ich zabiłeś: albinosa i tego drugiego mężczyznę. Jak?

Wyteżał wzrok, jakby oglądał mnie zza grubej szklanej ściany. Uniosłem pięść. Światło strzalca było teraz bladobeżowe, niemal szare.

- Tym - skłoniłem się. - Stralcem. Nie chciałem tego zrobić.

- Strzalec. - Doktor Silverthorn kiwnął głową. - Widziałem ich trochę. Zostały wytworzone podczas Drugiej Ascenzji jako prototypy niewolników genetycznych do... - Gdy się do mnie zwracał, jego szczęki układały się w obrzydliwy uśmiech. - Ale ty już wiesz, do czego one służą.

Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę. W końcu schylił się i zaczął przeglądać zawartość swojej torby. Widziałem białą kulę jego czaszki, pokrytą niebieskimi żyłami i lśniąca bladym blaskiem.

- O właśnie, masz tu, chłopcze.

Odsunąłem się od ręki, którą do mnie wyciągnął. Patrzył nieruchomo tym swoim mglistym wzrokiem, trzymając w białej rękawicy kawałek niebieskiego materiału.

- Ode mnie nie można się zarazić - szepnął. - Tak jak od nas wszystkich - ale tutaj się o tym nie wie, prawda? Padają jak muchy, a wy pozwalacie im umrzeć, pozwalacie na własną śmierć. Ignoranci. - W jego głosie nie było ani śladu złośliwości. Możliwe, że uczucie zostało pozbawiony tak samo, jak ciała i nerwów. - Masz: to łagodny środek pobudzający, dzięki któremu łatwiej zniesiesz drogę. - Drgnąłem, gdy dotknął mojej szyi, lecz tym razem się nie odsunąłem. Przycisnął materiał tuż pod uchem, by go po chwili zabrać. - Poszukaj fiolki z

przezroczystymi żółtymi kapsułkami i daj mi jedną. Proszę cię.

Podał mi torbę i czekał, gdy ja grzebałem w jej zawartości, między dziwnymi narzędziami w rodzaju pistoletów i rac, drobiazgami podobnymi do tych używanych przez doktora Fostera, ale nowymi i błyszczącymi, jakby nikt z nich jeszcze nie korzystał. Odnalazłem potrzebną butelkę i podałem mu kapsułkę.

- Dziękuję - powiedział, przełykając z trudem. - W rękawiczkach ciężko mi je wyjąć. Zostały mi tylko one; nie mam już na tyle skóry, żebym mógł stosować inne środki. Wkrótce nie będę mógł brać nawet tych... - Po chwili jego oczy jakby żywiej rozbłysły i zaczął gestykulować. - Teraz poczuję się lepiej. - Wrzucił flaszkę do torby, którą zaraz zamknął. - Możesz już iść z nami?

W głowie poczułem jakieś dudnienie, które było całkiem przyjemne.

Tunika zwisała ze mnie niczym podarty sztandar. Chłodny strzelec obciążał nadgarstek. Być może uda mi się stąd wymknąć. Może starczy mi sił, by uciec, skryć się w niezliczonych komnatach Wysokiej Brazylii i po upływie kilku dni przemknąć do Domu Miramar. Naraz przypomniałem sobie wyraz twarzy Whitlocka, gdy Perła nazwała mnie Baalem. Złośliwe oczy starszego Balfoura i okrzyk przerażenia Świętego Alabana, gdy ujrzał mnie na Balu Motylim, i jak twarz Ketury wykrzywiła groza, gdy skrzyżowały się nasze spojrzenia.

Nie mam już drogi powrotu. Powieszony Chłopiec naznaczył mnie swym piętnem, jak to działo się w opowieściach doktora Fostera. Stary nędzacz musi odejść z duchami, czarodzieje muszą szukać króla-zebraka, a metalowy chłopiec - odnaleźć swojego ludzkiego ojca w brzuchu mozozaury.

Pójdę z dziećmi Rozdziawionego na ponowne z Nim spotkanie. Może wtedy odzyskam wolność.

Włożyłem buty. Spojrzałem beczelnie na doktora Silverthorna.

- A gdzie mam iść?

Wyszczerzył zęby w uśmiechu. Odpowiedzi towarzyszył stukot szczęk.

- Tam, gdzie my wszyscy: na straszną śmierć.

3. Krótki paroksyzm

Z trudem wspominam naszą wyprawę przez Miasto. Na skraju Wąskiego Lasu rozpoczynała się ścieżka na północny zachód, na którą zapuszczali się jedynie Zoologowie i łazarze. W oddali widniały iglice naszych domów na Wzgórzu Płomiennej Magdaleny i czarny dym, unoszący się z minaretów Wysokiej Brazylii. Nieco wcześniej patrzyłem

otępiały, jak płomienie pochłaniają Wielką Salę. Doktor Silverthorn nas popędzał.

- Tak będzie lepiej, chłopcze - mówił, gdy mijaliśmy krajobraz po Balu Motyli, gdzie błękitne światło dnia zalewało wstęgi, kokardy i puste pancerze ciem, zmieniające się stopniowo w żar. - Niech się palą, niech palą! - Umykaliśmy w dół Wzgórza, wkraczając wreszcie na teren Wąskiego Lasu.

Pomimo zażycia środków pobudzających doktora dokuczała mi gorączka i czułem się zmęczony. Nakłaniał mnie do przyciśnięcia do skroni jeszcze jednego plastra i nakazał podawać sobie następne żółte kapsułki. Całymi godzinami parłem, potykając się, przez Las, poszturchiwany przez Oleandra lub podtrzymywany przez jednego z mniejszych łazarzy, gdy już nie dawałem rady. Substancje doktora Silverthorna tylko wzmagaly głód i przerażenie, aż w końcu popadłem w coś w rodzaju delirium.

- Masz, Rafaelu - mruczał ktoś. Doktor dotykał mojej brody, odchylając głowę i podając mi złamany pęd jakiegoś grubego, czerwonego pnącza. - Napij się. - Wlał mi płyn do otwartych ust: gęsty, pełen grudek ziemi i owadów, ale słodki i chłodny. - Doda ci sił i pokonasz wszystko, co cię czeka. Wypróbowałem tę wodę, gdy tu po raz pierwszy uciekliśmy: wodę w stawach, deszczówkę, wodę zbierającą się w wykrotach. Wiedziałeś, że zawiera niezwykle wysoki poziom biotoksyn? - Odrzucił pnącze i szedł powoli wijącą się pośród zieleni drogą.

- Czyli mnie podtruwasz. - Udałem się w jego ślady. - Czy martwy Rozdziawiony będzie miał jakąś wartość dla twojego pana?

Przystanął i oparł się o smukłe drzewo podobne do brzozy, z którego jednak w miejsce liści zwisały białe i zielone włókna.

Opadły mu na czaszkę, lecz natychmiast odsunęły się i zadyndały w powietrzu.

- Nie - odparł zaskoczony. - Nie truję cię. Nie umrzesz. To jest w ogóle najdziwniejsze, że po jej wypiciu nie umiera się, przynajmniej nie od razu. Przed naszym... zatrzymaniem pobrałem próbki krwi Gligora. Wykazywały wysokie, bardzo wysokie poziomy toksyn, i to go odmieniało, to wszystkich zmienia. - Spojrzał na swoje ręce w rękawiczkach, na białe szaty, zwisające z pozbawionych ciała ramion podobnych do gałęzi drzew. - Ale nie ginie się natychmiast.

- Doktorze Silverthorn - Przenikliwy głos Bellanki rozległ się gdzieś daleko przed nami, gdzie nie sięgał wzrok.

- Idziemy - odpowiedział. Zaczekał, aż go dogonię. - Nie sprawiasz wrażenia zdziwionego - stwierdził po kilku minutach marszu. Uderzyłem zieloną muchę, która gryzła mnie w nogę.

- Bo nie jestem. Nie mam pojęcia o Ascendentach i ich truciznach.

Skinął głową nieznacznie, prawie z żalem.

- No tak, naturalnie. Ale to naprawdę bardzo osobliwe. W LIL nie wiedzieliśmy nic o życiu w sektorach obłączonych.

Parsknąłem. Przez gęstwinę liści dojrzałem dzieci, uderzające w liany kijami i obrzucające się nieszkodliwymi żółtymi kwiatkami, które wyrastały z drzewnych wykrotów.

- To tak nazywacie nasze Miasto? „Sektorami obłączonymi”? Przystanął w cieniu ogromnego jaworu, otworzył czarną torbę i podsunął mi ją. Odszukałem żółtą kapsułkę, poczekałem, aż ją zażyje i ruszyliśmy w dalszą drogę.

- Zaledwie jednym z nich - odparł. - Już niedługo będzie ich jeszcze więcej - dodał po chwili.

Przygryzłem wargi, żeby się nie roześmiać. Po tych słowach zagotowała się we mnie krew. Wszystko, co słyszałem o Ascendentach, okazywało się prawdą: że byli potworami, którzy mój lud traktowali wyłącznie z pogardą, tak samo odnosząc się nawet do Kuratorów, których o niebo przewyższali wiedzą; została w nich jedynie pogarda dla Miasta, o którym zapomnieli, wdając się w swoje odległe i nie kończące się wojny. Szedłem za nim w milczeniu.

Po chwili ogarnął mnie jakiś spokój. Ciepło i słodczy popołudnia, brzęk wielkich, złoto-szkarłatnych pszczoł w kielichach kwiatów, nawet bezgłośny szelest skrzydeł motyli uwalniały mnie na moment od gniewu, a nawet strachu. Dzieci także ogarnął nastrój sennego milczenia. Raz po raz któreś z nich wybiegało do przodu, kładło się na kępie chłodnego mchu i drzemało, dopóki reszta nie doszła. Tylko na doktora Silverthorna nie działały duszne opary, unoszące się na skraju Wąskiego Lasu. Usta mu się nie zamykały. Jeżeli nikt nie słuchał, mówił sam do siebie. W miarę jak leniwe popołudnie ustępowało miejsca chłodniejszym powiewom powietrza, opowiadał swoje bezsensowne historie dzieciom, które czekały niecierpliwie na dotarcie do celu. Słyszałem od niego rzeczy równie szalone jak opowieści, którymi bawił łazarzy.

- Na koniec Emma zdradziła mi, że istnieje brat bliźniak - powiedział w pewnej chwili. Jego zęby szczękały, klepnął po głowie przebiegającego obok Martina. - Gdybyśmy tylko wcześniej się o tym dowiedzieli! - Zwrócił ku mnie ciemne, płonące oczy. - Tyle można by się było nauczyć! - I po chwili rzekł: - Gdybym tylko wiedział, zrobiłbym wszystko, żeby ją uratować. Bo wiesz, można ją było ożywić; chociaż z drugiej strony po podaniu cyjanku nie mogli obudzić jej mózgu! Była wybitną lekarką. Za życia raczej jej nie lubiłem. - Przerwał na moment, a później dodał: - Widzisz, nie mieściło mi się w głowie, że chcą się do nas

dobrac. Wysłali fugi: nasz własny lud. Przyłapały nas podczas przeprawy przez rzekę. Anna mogłaby uciec, ale wróciła po nas. A Gligor całkiem zwariował. Chciał wydłubać sobie oczy, zabić się. Szkoda, że mu nie pozwoliłem. Naprawdę szkoda. - Pogrążył się w ponurym milczeniu.

Ze zbliżaniem się nocy niepokój ogarniał nawet jego. Przyśpieszył kroku, niecierpliwie czekał na mniejsze dzieci. Znużyła mnie jego nie kończąca się gadanina i zostałem nieco z tyłu, krocząc obok rozsądnego Oleandra.

- Dokąd idziemy? - zagadnąłem, spodziewając się odpowiedzi bardziej zadowolającej niż od doktora SiWerthorna.

Popatrzył na mnie zdumiony, złożył ręce na kształt wieży i odparł:

- Do Pograżonej Katedry. Stałem jak wryty.

- Do Katedry? - powtórzyłem w osłupieniu. - To znaczy na Wzgórze Świętego Alabana?

- Właśnie. - Opuścił rękę, zerwał liść z gałęzi nad głową. Gdy go roztarł, rozniósł się przenikliwy zapach cytryny. - Tak nazywają jąPafianie. My zawsze mówiliśmy na niąPograżona Katedra. Kiedyś porastały ją pola lawendy i dyptamu.

- Ale - dopytywałem się - dlaczego akurat do Katedry?

- Bo tam mieszkamy. Musimy tam wracać. Tak każe Tast'annin.

- Tam przecież nikt nigdy nie mieszkał - rzekłem, potykając się. - Jest nawiedzona. - Złapałem się za wystrzępiony kołnierz tuniki i wyrwałem garść piór, które cisnąłem w mrok.

- Całe to Miasto jest nawiedzone - usłyszałem pusty głos. Krzyknąłem i, cofając się, wpadłem na krzew róży. Z chaszczki wyglądał doktor Silverthorn. Na widok mojego przerażenia zapał z radości, a dzieci mu zawtórowały. - Musicie się pośpieszyć, jeżeli chcecie zdążyć przed nocą - zganiał nas. - W przeciwnym wypadku stracisz całe wrażenie.

Cel naszej podróży osiągnęliśmy chyba dopiero po godzinie.

Wzgórze Świętego Alabana: zmija leżąca u stóp wszystkich zabobonów Świętych Alabanów, legendarna ruina, skąd Rozdziawiony powstanie, by rozpocząć bitwę z Magdaleną i tym samym Ostateczną Ascenzję. Przez całe siedemnaście lat życia słyszałem o Wzgórze i Katedrze tylko złe rzeczy. Modliłem się po cichu do Magdaleny, żeby miała mnie w opiece.

W mroku przed nami spomiędzy drzew zaczęły wyrastać resztki kamiennych budowli. Obok niektórych drążyły ziemię głębokie szyby, przepaściste doły wyściełane metalem i gładkimi skałami, zarośnięte dzikim winem. Łazarze i doktor przebywali te bezdrzewne miejsca w pośpiechu, lecz ja lawirowałem z ostrożnością: łatwo byłoby pomylić te zdradliwe zasłony z roślinności z ziemią i wpaść w ciemność.

Byłem już tak wyczerpany, zgłodniały i zbolały, że nadzieją napawało mnie dotarcie dokądkolwiek. Po chwili dogoniliśmy resztę. Dzieci padały z nóg. Biedna Oliwia bezgłośnie lkała i próbowała ocierać łzy połamanymi rękami. Nawet Martin miał już dość wszystkiego i klócił się z Bellaną, gdy wspinali się na czele wyprawy po długim stoku wzgórza, który wedle słów doktora zaprowadzi nas do końca podróży. Byłem tak zmęczony, że nie chciało mi się nawet myśleć o mówieniu, ale doktorowi Silverthornowi ślina nie wysychała. Już później dowiedziałem się, że to skutek działania kapsułek; z drugiej jednak strony milczenie go przerażało, podobnie jak sen.

- Już niedaleko! - zawołał, gdy Oliwia padła na kolana obok ruin wielkiego, kamiennego budynku o pękniętych kolumnach, oplecionych fioletowymi kwiatami. - Zaraz pójdziemy spać. Ale to dopiero za chwilę. - Nachylił się i przycisnął jej do karku niebieski plasterk. Gdy jęknęła i zaczęła mu go wrywać, rozgniewał się i postawił ją siłą na nogi, mimo że od tego wysiłku mało sam się nie przewrócił. - Widzisz, Oliwio? To już tam, bardzo blisko...

Szerokim ruchem ręki wskazał miejsce, gdzie zachód słońca znaczył chmury szkarłatnymi i purpurowymi smugami. Widziałem tylko drzewa i zarośnięte garby kruszących się budynków, gdzieś w dali lśnił białozłoty Obelisk, oznaczający terytorium, gdzie stały Muzea, a Kuratorzy zapewne oplakiwali zmarłych. Kiedy się odwróciłem i zacząłem iść, zauważyłem pośród chmur na szczycie Wzgórza Świętego Alabana coś jeszcze: kształt tak ogromny, ciemny i ponury, że z początku wziąłem go za część samego Wzgórza. Zdziwiłem się, jakim cudem moich snów nie nawiedzał dotąd ten cień, padający na całe Miasto Drzew.

- To jest to? - zapytałem, łapiąc doktora Silverthorna za rękaw.

Uśmiechnął się szeroko i zaklaskał.

- Warto się było męczyć, co? - wykrzyknął. Światło barwy mosiądzu zbierało się w jamach jego policzków na podobieństwo krwi. - *Etiam periere ruinae*: zniszczono nawet same ruiny. „W owych czasach ziemię zamieszkiwali olbrzymi, starożytni, mocarni mężowie, otoczeni sławą”.

- Jesteś szalony - odepchnąłem go. - To już, Oleandrze? Chłopiec dla nabrania oddechu oparł się o drzewo. Oderwał małą gałązkę i cisnął ją w stronę Wzgórza.

- To Pograżona Katedra - oznajmił. - Tam zdążamy.

Zakląłem i wydostałem się z ciernistych zarośli - Doktor i Oleander czekali, chłopiec pomagał mi wyciągać z krzaków to, co dało się uratować ze stroju. Gdy podjęliśmy wyprawę, niebo pomiędzy koronami drzew nabierało ciemnobłękitnej barwy, w stronę widnokregu blednąc ku zieleni. Pokazało się już kilka niewyraźnych gwiazd. Głowa bolała mnie od

środków pobudzających. Zerwałem ze skroni przyczepione tam plastry i rzuciłem je w chaszczę, cały czas starając się nie pozostawać w tyle. Daleko przed nami rozbrzmiewały głosy dzieci. Po chwili usłyszałem w odpowiedzi inne głosy, ciągle jednak niczego nie widziałem. Znaleźliśmy się chyba w niewielkim zagłębieniu u szczytu Wzgórza. Straciłem już z oczu wznoszącą się nad nami monstrualną sylwetę, lecz w gęstniejących ciemnościach czułem obecność Pograżonej Katedry.

Wiele opowieści słyszałem o Wąskim Lesie i trującej rzece, która oblewała Miasto. Katedra była jednak taka starożytna, pamiętała o dawno zmarłych uczestnikach takich krwawych ofiar, że nawet Święci Alabanowie wspominali o niej z gardłem ściśniętym grozą. Podobno była nawiedzona. Mieszkali tam szakał udzie i wilki, w szumiących zbiornikach wodnych pływały hydropiteki - nie było śladu istot ludzkich. Katedrę z daleka omijali nawet łazarze. Tak się przynajmniej zawsze mówiło.

Teraz zamieszkał tu kto inny: łazarze z trwogą mówili na niego Pocieszenie Umarłych, a doktor Silverthorn traktował go jakby z nieco mniejszym szacunkiem. Choć bałem się tego miejsca, jeszcze większym lękiem napawała mnie perspektywa zabłądzenia i spędzenia kolejnej nocy pośród drzew. Tęskniłem za swoim widmowym Anku, który przez kilka godzin dodawał mi odwagi, a nawet nadziei. Anku jednakże już przy mnie nie było. Pozostawało towarzystwo łazarzy.

Spostrzegłem jakąś trupa postać, snującą się niczym mgła wśród drzew.

- Doktorze Silverthorn - wydyszałem.

Przystanął, dał dzieciom znak, żeby szły naprzód. Pobiegly, Oleander obrzucił mnie wzrokiem, w którym mieszały się po równo litość i zazdrość. Doktor czekał na mnie samotnie na skraju lasu, wskazując ręką szarą łąkę przed nami.

- Jesteśmy na miejscu - obwieścił dziwnie beznamietnym głosem. Na tej twarzy szkieletu nie można było wyczytać jakichkolwiek subtelniej szych odcieni uczuć, lecz w jego głosie słyhać było rezygnację. - Przykro mi, Rafaelu Miramarze, że przyprowadziłem cię na koniec świata.

Stałem obok niego.

4. Koncepcje przestrzeni niebieskiej

Ostatni odcinek zbocza Wzgórza Świętego Alabana ciągnął się przed moimi oczami niczym jakaś okropna wizja świata podziemi.

Nic tam nie rosło. Karłowate, czarne drzewa pozbawione były liści i błagalnie wznosiły konary ku bezlitosnej strukturze ponad nami. Rozrzucone po łące drzewa w

porównaniu z Katedrą wyglądały jak karłowate krzaki. Dopiero gdy się do nich zbliżyliśmy, widać było, że są ogromne, niepomiarne stare i tym bardziej przerażające, że nie spróchniały od chwili, gdy obalił je jakiś potężny kataklizm. Przechodząc obok, słyszałem dochodzący z wnętrza ich pni cichy, lecz złowróżbny szum.

- Nie zbliżaj się do nich. - Wzdrygnąłem się na dźwięk cichego głosu doktora Silverthorna, który dotknął mojego ramienia. - Mieszkają w nich pasożyty, które odtwarzają kształty każdej żywej istoty, jakiej się dotkną.

Przysunąłem się do niego, z trudem dławiąc okrzyk przerażenia, gdy potknąłem się o kamień i przestraszyłem, że upadnę i pochłonie mnie pusta i wygłodzona ziemia.

- Dlaczego przyprowadziłeś mnie do tego nawiedzonego miejsca? - wyszeptalem.

- Muszę komuś służyć. - Wzruszył ramionami. - Tak się złożyło, że Awiator Margalis Tasfannin ostatni wydał mi rozkaz.

Jestem mu posłuszny. - Przechylił głowę w stronę Katedry. - Kiedyś oddawali tu cześć bogowi krwi i światła. Teraz Tas'tannin pragnie postawić wizerunek Powieszzonego i wskrzesić kult poczerniałych kości.

W ogóle nie słychać było jego kroków, jakby wyschnięta ziemia wysysała ze świata żywych wszystkie dźwięki, światła i barwy, pozostawiając tylko poskręcane, uschnięte drzewa i inne blade kształty, porozrzucane po kamienistym stoku. Młodzi łazarze w nieziemskiej ciszy uwijali się wokół cienia odległej Katedry. W pustce słychać było tylko suche skrzypienie drzew i syczący głos doktora Silverthorna.

- Może i nawiedzone, ale chyba tylko przez drapieżniki - mówił gwizdzącym głosem, a jego myśli zagłębiały się w ciemne szlaki, gdzie nie mogłem za nimi podążyć. Znienacka odskoczył na prawo; jego stopy zdawały się przenikać kamienie, aż dziwiłem się, że nie wrzeszczy z bólu. Deszcz róż bowiem pochłonął przede wszystkim warstwę ciała, która umożliwia odczuwanie czegokolwiek.

- Zaczekaj! - zawołałem za nim. - Nie zostawiaj mnie, doktorze...

Stanął i spojrzął na mnie jak na obłąkanego.

- Zostawić cię? Ja, złożony z samych kości, mam pozostawić ciebie, który jesteś samym ciałem? Nie, nie... - Wskazał jakiś błyszczący biały punkt na ciemnej ziemi. Leżał tam stos ludzkich czaszek, ale ułożony tak niestarannie, jak gdyby dzieci znużyła już zabawa. Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że tak właśnie wygląda prawda: przybyłem do domu łazarzy, gdzie czaszek i kości używano jako lotek do badmintona i kości do gry; gdzie bez wątplenia już wkrótce zostaną częścią biało-czarnego krajobrazu, tak jak skamieniałe drzewa i leżące wszędzie dookoła wyszczerzone szkielety.

- Byłem, jaki jesteś; będziesz, jaki jestem - odezwał się doktor Silverthorn. - Kopnął jakąś niewielką czaszkę, jego śmiech rozbrzmiał jak krakanie kruka. - Nie zostawię cię, Rafaelu; będziesz moimi oczami i uszami, a ja twym przewodnikiem. Spełniłem dane Awiatorowi przyrzeczenie, a teraz postaram ci się pomóc. - Przechylił głowę i zastukał szczękami, co miało mi zapewne dodać otuchy. - I może się zdziwisz, Rafaelu, lecz nie jesteś aż tak samotny, jak ci się zdaje.

Serce podeszło mi do gardła z radości, już wyobrażałem sobie, że odnajdę tutaj któregoś z moich kuzynów lub innych mieszkańców Wzgórza Płomiennej Magdaleny. Ale żywy trup nie odpowiadał na pytania.

- Poczekaj, poczekaj - syknął i pociągnął mnie za sobą. - Musimy się pośpieszyć, żeby nie zamknął nam południowej bramy.

Olbrzymie, czarne wieże wznosiły się wysoko: były wyższe niż fortece Ilirii, niż Dom Persji i Wysokiej Brazylii, wyższe nawet od Wzgórza Biblioteki i Obelisku. Od czasu do czasu którąś z granitowych fasad omiatało migotliwe, barwne światło. Przetarłem oczy, sądząc, że od panujących tam nienaturalnych ciemności mam zaburzenia wzroku, lecz w końcu zorientowałem się, że widzę odblask ogni, odbijających się w ogromnych, kolorowych oknach, podobnych do tych w Wysokiej Brazylii.

Im bliżej byliśmy, tym coraz dziwniejsze wzory rysowały się na żelaznej ziemi. Zaznaczone kośćmi i czaszkami ścieżki wiły się serpentynami, proste, wąskie szlaki wychodziły na północ, wschód i zachód. W półmroku świeciły osobliwym blaskiem, jakby kości wchłonęły ślady słońca. W tym widoku znajdowałem jakąś przyjemność, ściśle ułożenie części szkieletów rozpadło się i można było wydzielić: kadłub, golenie, ręce i żebra takie czyste i lśniące, niewinne niczym wyrzucone na brzeg rzeki drewno.

- Labirynty - wyjaśniał doktor Silverthorn. - Starożytne trakty. Robią większe wrażenie. - Przystanął na widok kości udowych i delikatnych kostek rąk, z ustawioną na samym środku figurą z patyków. - Stare - stwierdził, przerzucając czarną torbę na drugie ramię. - Jest tu wiele starych rzeczy, a on niepotrzebnie je budzi.

Szumujące drzewa zostały za nami. Pomiędzy ruinami wież widniało granatowe niebo. Nad widnokregiem na wschodzie blada poświata zapowiadała rychłe wzejście księżyca. Zbliżyliśmy się do bram Katedry na tyle, że słyszałem już głosy bawiących się dzieci, przenikliwe salwy śmiechu i krzyków, które rozchodziły się echem po przepastnym wnętrzu, gdy dzieciaki przebiegały przez liczne drzwi i korytarze. Ktoś zawołał na mojego towarzysza. Uniósł pajęczą rękę w geście słabego pozdrowienia, uśmiechając się, gdy jedni po drugich podejmowali jego imię i śpiewali:

Człowiek ze skóry oraz kości Jest niczym ryba pełna ości!

Doktor wskazał szerszą ścieżkę, mroczną aleję wysadzaną większymi kośćmi, strzępami wstążek i wykwintnych tkanin. Podążałem za nim tą główną drogą, starając się nie zwracać uwagi na pozbawione melodii śpiewy łazarzy:

*A gdy zaczyna pękać skóra,
To jakbyś leżał plackiem na torturach;
Gdy zaczynają boleć plecy,
To jak pociski prosto w serce;
Gdy serce krwawić ci zaczyna,
Idzie ostatnia, ostatnia twa godzina!*

Wtem ścieżka skończyła się, czy też raczej znaczące ją kości leżały porzrzucone tak, jakby ktoś kopał je w trakcie bezmyślnej kłótni lub zabawy. Za ich kręgiem widać było zdeptaną ziemię. Trochę dalej granitowe schody wiodły ku olbrzymiej bramie, wysadzonej żelaznymi obręczami. Ponad dębowymi odrzwiami i pomiędzy nimi, po obu ich stronach, widniały płaskorzeźby mężczyzn i kobiet oraz postacie surowych, choć promiennie uśmiechniętych mężów o skrzydłach czapli.

- Transept Południowy - szepnął doktor Silverthorn. Uniósł roziskrzony oczy. - Kościół Katedralny Archaniołów Michała i Gabriela.

Przystanąłem niezdecydowany, podczas gdy on wkroczył na schody. Opanował mnie nedorzeczny lęk: nie przed Katedrą i jej wnętrzem, lecz przed tymi rzeźbionymi stworami. Eterycznie piękne, zwracały twarze ku niebu, jakby przeczuwały, że istnieje tam jakaś potęga. Wyglądały na starsze niż wszystko, co do tej pory widziałem, nawet niż archozaury, choć wiedziałem, że to nie może być prawda. I coś w wyrazie ich twarzy, bezlitosne oczy wpatrzone w niebo, przypominało Powieszzonego Chłopca.

- Kim one są? - zapytałem.

Doktor oparł torbę na stopniu schodów. Trząśnięty z wysiłku, kaszlał i próbował złapać oddech.

- To Święci i Aniołowie. Święci, Aniołowie i zwykli ludzie. Stałem przy nim. Kamienne schody emanowały przenikliwym chłodem, jakby przez całe wieki granit pokrywał tylko śnieg. Gdy dotknąłem podstawy jednej z kolumn, znalazłem na niej warstewkę lodu.

- To jakaś anomalia - wyznał doktor SiWerthorn. Cofnąłem rękę i popatrzyłem na oblicze jednego z uskrzydłonych stworzeń.

- Czy były prawdziwe? Były Ascendentami?

Spojrział na mnie opuchniętymi, wytrzeszczonymi oczami. Po chwili się roześmiał.

- Ascendentami?! Czy były Ascendentami?! - Zaczął się dławić i oparł o kolumnę. Odwróciłem się zakłopotany. Po chwili opanował się. - Wybacz, Rafaelu! Tylko... co za pomysł! W sumie bardzo miły. Na przykład twoja siostra nigdy w życiu nie pomyliłaby Anioła z Ascendentem. - Przypatrzył mi się zaciekawiony. - Nigdy nie słyszałeś o Aniołach?

- Słyszałem to słowo, myślałem, że odnosi się do ładnych dzieci. - Wzruszyłem ramionami. - Nie do mężczyzn ze skrzydłami.

Wbijał we mnie zdumiony wzrok. Czułem, jak ogarnia nim długie włosy i podartą tunikę, resztki cekinów i paciorków, będących jakby wspomnieniem wielkiej orgii.

- Zdaje mi się jednak, że tak właśnie jest. Skrzydła: tak je zazwyczaj przedstawiano w sztuce. Ale to w ostateczności tylko... jedno z wierzeń starej religii. To była Katedra Archaniołów, najpotężniejszych spośród Aniołów, można by ich określić mianem Aniołów rządzących. To miejsce wzniesiono ku czci dwóch z nich, Michała i Gabriela. - Po chwili ciszy podjął: - „W niebie szalała wojna: Michał i jego aniołowie walczyli ze smokiem; i walczył z nimi smok i jego aniołowie, i nie zwyciężyli”. - Poglądził ze smutkiem kolumnę. - Katedrę tę ukończono sto lat przed Pierwszą Ascencją.

W ciszy słyhać było tylko jego ciężki oddech. Zapadła już noc. Niemalże ucichły głosy bawiących się dzieci; pewnie schroniły się do środka. Stałem przy doktorze Silverthornie i obydwaj wpatrywaliśmy się w nieubłagane kamienne oblicza. W końcu westchnął i przebył kilka stopni oddzielających nas od bramy transeptu. Położył jedną rękę na drzwiach, odwrócił się do mnie i powiedział:

- Gdy ludzie po raz pierwszy wykopali z klifów skamieliny dinozaurów, wzięli je za szczątki Aniołów i smoków.

Odczekał, aż pchnę masywne odrzwia. Przystanąłem, poczułem przenikliwe zimno żelaznej obręczy.

- Widziałem jednego - oznajmiłem. - Gdy chodziłem po Wąskim Lesie, jeden z nich do mnie przemówił. Nie miał jednak skrzydeł.

- Tak - kiwnął głową doktor - być może jakiegoś widziałeś. Żelazne drzwi otwały się ze skrzypieniem i wstąpiliśmy do Katedry.

5. Niezwykłe barbarzyńska kondycja gatunku ludzkiego

Na początku poczułem smród: gorzki dym z niesezonowanego drewna, pieczone mięso, ludzkie odchody, palony wosk. Wszystko spowijał odór terpentynowego kadzidła, które paliło się w niezliczonych kozach, przewróconych na marmurową podłogę, tak że wciąż się tliły, a od nich zajmowały się leżące w pobliżu materiały: tkaniny, włosy, gałązki.

Zamrugałem powiekami, zasłoniłem oczy przed dymem, a nos przed smrodem. Marmur pod nogami był śliski od cuchnącej wody. Otworzyłem, oczy, nie chcąc narażać się na poślizgnięcie i upadek na obrzydliwej podłodze.

Jak okiem sięgnąć, pogrążona w półmroku przestrzeń. W górę ciągnęła się do samych gwiazd, ponieważ kawałki sufitu odpadły, otwierając wewnątrz na chłodne niebo. Pewnie dzięki temu mieszkańcy Katedry nie udusili się od dymu i smrodu. Wszędzie paliły się ogniska, otoczone koliskami szczebioczących dzieci, które dokładały do szarzejącego żaru lub sinych płomieni zieloną korę i chrust. W niezemskim świetle przypominały dioramy w Muzeach: nagie, rozczochrane postacie, które siedzą przykucnięte przy zaniedbanym ogniu, kołyszą się na piętach, rozmawiają, śpiewają lub jedzą. Wiele dzieci leżało na brudnej podłodze, z trudem dysząc, a może zupełnie nie oddychając: śmierć przyjdzie najpierw po nie. Na widok jedzących zrobiło mi się niedobrze, i to wcale nie dlatego, że porządnego posiłku nie jadłem już od prawie dwóch dni.

- Tylko na nich spójrz - odezwał się cicho doktor SiWerthorn. - Umierają wskutek gangreny, złych humorów, mięsaków i najzwyczajszej ignorancji, zupełnie jak przed tysiącem lat. Uciekinierzy z wojny na kamienie, kije i deszcz, wojny, o której nawet nigdy nie słyszeli.

Od strony ognisk doleciały nas donośne głosy. Witali doktora po imieniu, lecz umilkli, gdy wszedłem jego śladem w puste miejsce na środku, wokół którego skupiła się większa część ognisk. Gdzieniedzie stały marmurowe ławy, niektóre wyrwane z posadzki, przechylone lub przewrócone. Zachodziłem w głowę, czyja to może być sprawka; bo chyba nie zzeranych chorobami dzieci. Ławy czekały na uprzywilejowanych gości. Zajmowali je najstarsi łazarze, ze skrzyżowanymi nogami, koronami z gałązek i zeschniętych liści na głowie. Warczeli na dzieci, każąc przynosić sobie upieczone kąski i wodę (taką miałem przynajmniej nadzieję) z wielkiej misy na środku hali. W miarę jak się zbliżaliśmy, przerywali klótnie i rozmowy, by wbić w nas wzrok. Najstarsi stawali na ławkach i pozwalali na to samo swoim młodszym ulubieńcom. Otuliłem się wystrzępioną szatą, zadarłem głowę i starałem się wyglądać lepiej niż oni, chociaż wiedziałem, że jestem równie brudny. Szeptali, pokazywali rękami i nawoływali się w przepelnionym dymem powietrzu.

- Patrz... patrz...

- Przybył, znalazł go doktor, ten, o którym opowiadała Perła, ten...

- On tu jest, patrz...

Chichoty i przekleństwa; tupot nóg tych, którzy przybiegali, by nas obejrzyć. Czulem małe ręce, które dotykały mojej kostki u nogi lub ręki, okrężyły mnie jak zgłodniałe koty.

- Rafaelu! To ja!

W smudze pomarańczowego światła wychynął uśmiechnięty Oleander. Odwzajemniłem uśmiech.

- Oleander! Cieszę się, że cię widzę... - I urwałem, bo rzeczywiście jego widok sprawił mi radość.

- Mówiłem mu, doktorze Silverthorn, Tast... - ściszył głos - Pocieszeniu Umarłych - ciągnął, idąc między doktorem a mną i obrzucając pozostałe dzieci pogardliwym spojrzeniem. - Mówiłem, że go znaleźliśmy, że znaleźliśmy Rafaela Miramara, chłopca zwanego Rozdziawionym.

Doktor Silverthorn znużony kiwał głową. Podał Oleandrowi torbę.

- Czy odbędziemy audiencję? Oleander pokręcił głową.

- Nie. Wziął bardzo dużo tych pigułek od doktora i kazał dzieciom od Świętego Alabana wykonywać *Maskaradę Baala i Anat*. Zdaje się, że zapomniał, iż kazał nam go przyprowadzić.

Doktor parsknął gniewem, potem dał Oleandrowi ręką znak, żeby otworzył torbę.

- Poproszę jedną żółtą i jedną zieloną.

Przeszliśmy już przez centralną część Katedry i stanęliśmy przed drzwiami, za którymi zaczynało się pogrążone w mroku przejście. Od portalu powiało świeższym powietrzem. Zacerpnałem go zachłannie, oglądając się na przemykające boczną nawą dzieci. Już o nas zapomniały, wszystkie, z wyjątkiem Oleandra.

- Tast'annin przypomni sobie Miramara - stwierdził doktor Silverthorn, biorąc tabletkę. - Ma pewien plan. Co gorsza, ma wizję. Strzeż się ludzi obdarzonych wizją. - Wypowiadając te słowa, szeroko się uśmiechnął, stojąca w mroku czaszka obrzuciła nas szyderczym spojrzeniem. - Chodź, Oleandrze, zaprowadzimy Rafaela do jego komnaty.

Korytarz okrążał zewnętrzną ścianę Katedry, często się rozgałęziając. Z ciemności wynurzały się kamienne klatki schodowe, ciemniejsze w miejscach, gdzie opadały lub wspinały się do tajemnych wnęk albo kaplic. Gdzieś wysoko w gładkich murach wykuto nisze i wąskie okna. Niektóre były wybite, w pozostałych widniały czarne maswerki, które z nastaniem brzasku z pewnością przedstawią wyszukane sceny; jeśli tu w ogóle dochodziło słońce. Oleander kopnął kupę śmieci, znalazł stoczek i odpalił go od dymiącego stosu, który ktoś pozostawił koło drzwi. Pod jego przewodnictwem zeszliśmy do Kościoła Kryptowego.

Powietrze było tu rześkie; co prawda bez zapachu drzew i słońca. Panował wilgotny chłód przesycony zapachem starego kamienia i ukrytej wody. Nie napotkaliśmy nikogo.

- Dzieciom nie wolno wchodzić do kościoła bez zezwolenia - poinformował mnie doktor Silverthorn. Skinął na Oleandra. - Bystry z niego chłopak, ktoś w rodzaju faworyta

Awiatora, spełnia różne misje i chodzi, gdzie mu się podoba. Tak jak ja. Mnie niedługo już nic nie powstrzyma i będę mógł dotrzeć wszędzie. - Cichy, gwizdzący śmiech, uwalniający powietrze z gardła, piersi i ust. - Ale Oleander biega po Katedrze jak mysz po ścianach. Można tu też spotkać myszy w łapkach, szczury w klatkach.

Wzdrygnąłem się; widziałem jakieś małe stworzenia, które przemykały po podłodze, rozbudzone migoczącym blaskiem świeczki. Wolałem jednak nie zastanawiać się, co kryje się pod słowami „myszy w łapkach, szczury w klatkach”. Zewsząd wpatrywały się we mnie groźne twarze, białe figury z kamienia, kwieciste kolumny i osobliwe zwierzęta, bazy, na których stali ci, których doktor określił mianem Świętych, Aniołów i zwykłych śmiertelników. Patrzyli na nas obojętnie, pełni godności, chociaż nadgryzieni zębem czasu i gdzieniegdzie z twarzami pokrytymi falującymi graffiti. Oleander wyprzedzał nas o kilka kroków, jego pokiereszowana, młodzieńcza twarz wzbudzała współczucie. Być może przed deszczem róż był przystojnym chłopcem; zapewne Botanikiem, chociaż ojcem musiał być Pafian.

- Jak długo już tu jesteś? - spytałem go.

Przełożył świeczkę do drugiej ręki i strzepnął z palców wosk.

- Sam nie wiem. Może parę tygodni? Złapano nas na dworze, gdy strzygliśmy bukszpanowe żywopłoty wokół Ogrodów Botanicznych. Starsi uciekli, pozostawiając mnie i kilku młodszych, którzy nie nadążali.

- Próbowałem zaopiekować się maluchami, lecz wszyscy zmarli, z wyjątkiem Lily. Mojej przyjaciółki Lily. - Umilkł, podrapał się w stopę. Westchnął. - Później ona także umarła. I odszedłem samotnie. Odnalazłem w lesie kilku takich jak ja. Znam się na roślinach, więc udało nam się przeżyć. Potem przyszliśmy tutaj, słyszeliśmy, że mieszka tu człowiek, który się nimi zajmuje, to znaczy nami, ludźmi takimi jak ja, łazarzami. Był tu niewiele dłużej ode mnie.

Szliśmy przez kilka minut w milczeniu. Potem odwrócił się do nas z uśmiechem.

- Ale wtedy jeszcze nie było z nami doktora Silverthorna. Teraz sytuacja się poprawiła, prawda? Ma potrzebne lekarstwa, dzięki którym czuję się lepiej. Mówi, że wyzdrowiejemy, jeżeli będziemy zażywać lekarstwa i jeść to, co trzeba.

- To prawda - potwierdził doktor. Na mnie skierował pusty wzrok, który wydał mi się pełen wyrzutu. Przypomniały mi się jego słowa: „Pozwalacie im umrzeć, pozwalacie umrzeć sobie...”

Oleander wyrwał mnie z zamyślenia, pociągając za łokieć.

- Tędy.

Weszliśmy do następnego korytarza. Otwierał się na obszerniejsze pomieszczenie, z którego, Bóg wie dokąd, prowadziły niezliczone łuki, rzeźbione kolumny przypominające kamienne drzewa, żelazne bramy, uformowane w altany winorośli i żardyniery, posągi, które spadły z postumentów i spoglądały na mnie pękniętymi twarzami. W oddali dostrzegłem widmowe światła, które jakby płąsały w powietrzu. Gdy podeszliśmy bliżej, zamieniły się w rzędy barwnych świec, niebieskich, czerwonych i białych, migoczących na ustawionych przy ścianach żelaznych stołach.

- To właśnie Kościół Krypty - wyjaśnił doktor Silverthorn. - Tutaj on składa ofiary. Można tu jednak spokojnie wypocząć i zjeść coś, Oleander miał przynieść coś do jedzenia.

Zwrócił się do zakłopotanego chłopca, który stanął i zaczął grzebać w kieszeniach.

- Zapomniałem - wymamrotał - ale... mam coś takiego... Wziąłem od niego garść suszonych owoców, chyba jabłek, i przełknąłem je tak szybko, że mało się nie udławiłem. Po kilku minutach organizm pokarał mnie za łakomstwo bolesnymi skurczami jelit; wtedy już staliśmy w miejscu.

- Prześpij się tutaj - odezwał się doktor Silverthorn, odmykając żelazną kratę, za którą ukazała się izba. Przy mdłym świetle stoczka nie potrafiłem ocenić jej rozmiarów. Oleander przepuścił mnie do środka: wszedłem z ciężkim sercem, czułem się tu jak w więzieniu.

- Mam tu umrzeć w samotności? - zapytałem z goryczą. Uderzyłem kolaniem w jakiś twardy przedmiot i zakląłem. - Bez światła, jedzenia i wody?

Doktor pokręcił głową.

- Na razie, tylko tyle możemy dla ciebie zrobić; on nas niedługo wezwie, a i dla ciebie samego lepiej będzie, jeżeli na spotkanie z nim pójdziesz wypoczęty. Później przyniosę ci coś do jedzenia i picia i może jakieś światło. Ale teraz się prześpij... - Wskazał ręką podłogę, gdzie coś długiego i białego miało najwyraźniej posłużyć za materac. - Tam. I dam ci coś, co ulży we śnie.

Kiwnął na mnie. Czekałem, powstrzymując łzy strachu i wyczerpania. Wziąłem od Oleandra kapsułkę i patrzyłem bezradny, jak odchodzą, a chłopiec zamyka za sobą ciężką żelazną bramę.

- To do jutra rana - rzekł doktor Silverthorn. Oleander machnął ręką. Odeszli, płomień świeczki migotał pośród łuków i kolumn, aż wreszcie ciemność zupełnie go wchłonęła i pozostałem w Kościele Krypty sam.

6. „Mroczne tło i przepaść czasu„

Kiedy się obudziłem, nie wiedziałem, czy to był ranek czy północ. W tym miejscu

panował bowiem wieczny mrok. Zobaczyłem, że ktoś obstawił mnie żółtymi świecami, które śmierdziały, mimo że do siarczanego łożu dodano olejków aromatycznych. W ich żółtawym blasku mogłem sobie wreszcie obejrzeć pomieszczenie, a raczej loch o niskim marmurowym sklepieniu. Widniejące na nim żłobki i kwieciste wzory, poczerniały od dymu i starości, zdawały się drzeć w świetle. Poza materacem całe umeblowanie stanowiły niewielkie krzesła przy ścianie. Były bardzo stare, nakryte poduszkami z haftem przedstawiającym dziwaczne rzeczy: brodatego mężczyznę w otoczeniu chmary ptaków i śpiących u jego stóp dzikich zwierząt; pełen zwierząt okręt, rzucany po wzburzonym morzu; postać w białej szacie w otoczeniu bawiących się dzieci; wiekowego człowieka, który wyjmował coś z worka. Krzesła i poduszki, choć bardzo stare, były czyste i, wbrew oczekiwaniom, nie pokryte kurzem czy pleśnią. Odłożyłem ostatnią poduszkę i przeszedłem do końca izby. Nie wierząc zbytnio w powodzenie, potrząsnąłem żelazną kratą, która mnie tu więziła, po czym przemierzyłem komnatę do przeciwległego końca.

W wysokiej, pokrytej płaskorzeźbami wnęce stał ołtarz. Na wyciętych w luksusowym marmurze półkach stały zapewne niegdyś jakieś posążki, podobne do tych, które widziałem w innych częściach Kościoła Krypty. Jednakże nie pozostał po nich żaden ślad. Na ich miejsce ustawiono niezgrabne lalki z futra i kości, wsparte niepewnie na ciężkich lichtarzach. Ociekający łój groził podpaleniem którejs z tych żalosnych postaci. Wziąłem do jednej ręki świecę, do drugiej figurkę, chcąc się jej uważniej przyjrzeć. Przedstawiała jakieś zwierzę lub człowieka o głowie zwierzęcia. Puste oczy, wydrapane w gładkiej kości i pomalowane brudem lub krwią. Wszystko trzymało się dzięki włóknom słomy, futra i włosów. Zadrzałem i postawiłem ją w płytkiej niszy, gdzie nic jej nie groziło.

Obok tych stworzeń znalazłem ofiary z kości, zawinięte w schludne paczuski, i mniejsze figurki, sporządzone z plecionych ludzkich włosów. Jeszcze jakieś drobiazgi, fałszywe klejnoty, które wypadły z czyjejś kieszeni. Spleciona wstążka, płowy i srebrny brokat zdradzały, że jest to dar od Kuratora dla Pafianina. Gładka, marmurowa kulka, która po bliższym zbadaniu okazała się protezą oka: czarne centrum zareagowało na ciepło dłoni i rozszerzyło się, chcąc się na mnie skupić. Znalazłem nawet wiecheć kwiatów, które przypominały uschnięte ludzkie ręce - kto wie, gdzie je zebrano: pod szklanymi kopułami Botaników, w mroku Wąskiego Lasu czy nad wilgotnymi, zielonymi brzegami rzeki. Możliwe, że kwiaty broniły się przed wyrwaniem z ziemi, po czym zostały przyniesione tutaj i zapomniane. Wszystko to było dziecinnie małe, jak zabawki, włącznie z bukietem kwiatów: ostatnim razem musiała ujmować je jakaś mała piąstka. Nagle odwróciłem się, ból żołądka z powodu głodu teraz zmienił się w mdłości. Ogarnął mnie czarny lęk: że przyprawiono

mnie tutaj w charakterze ofiary, jeszcze jednej ciekawostki, wykradzonej zmarłym i pozostawionej tu własnemu losowi.

- Rafael. Obudziłeś się...

Odwróciłem się i ujrzałem stojącą z drugiej strony kraty pająkowatą postać. Członki okrywała mu czysta biała szata, nad głową trzymał latarnię. Koło niego czaiła się jakaś zgarbiona sylwetka. Usłyszałem brzęk kluczy i polecenia doktora Silverthorna:

- Postaw jedzenie i odejdz.

Brama otwarła się do wewnątrz. Zgarbiony człowiek postawił coś na podłodze. Wydał z siebie cichy, gardłowy odgłos i umknął. Gdy doktor zawiesił latarnię w rogu kraty, zorientowałem się, iż drzwi pozostały otwarte.

- Nie siedzisz w więzieniu. - Skłonił głowę na znak powitania. Nie widziałem go co najwyżej jeden dzień, lecz zakażenie zrobiło postępy. Delikatne olejki służyły już właściwie tylko do pokrywania skóry i czaszki złocistym połyskiem. - Przyprawiliśmy cię tutaj, żeby lekarze nie zakłócili twego snu. Boją się tego miejsca i odważą się tu wejść dopiero na wyraźny rozkaz Tast'annina. - Usta rozwarły mu się w upiornym uśmiechu. - Kiedyś zwano je Kaplicą Dzieci. - Wskazał przedmioty na podłodze. - To jedzenie: zaledwie chleb, woda i trochę rodzynek. Tutaj jada się głównie ludzkie mięso, ale od niego się umiera: nie jest to właściwe pożywienie, więc nie będę ci go proponował.

Zabrałem się do więcej niż skromnego posiłku jak wygłodzone zwierzę. Gdy skończyłem, odwróciłem się do gościa. Stał w bramie i niemal nieśmiało oczekiwał zaproszenia do środka.

- Może usiądziesz? - spytałem, wskazując najpierw krzesło, potem materac.

- Nie, dziękuję. - Głos miał świszczący i chrapliwy, dźwięk zgrzytał o kości w poszukiwaniu drogi ucieczki na zewnątrz. Białe szaty poruszały się od wydmuchiwanego z płuc powietrza. -■ Kiedy siedzę, czuję potworny ból. Choroba przeniknęła do szpiku. Wolę chodzić, żeby wirus poruszał się wraz ze mną, zmęczył się i zasnął, a będę miał trochę spokoju. - Oddech zmienił mu się w czkawkę, sapanie; opuścił na podłogę czarną torbę. - Gdybyś mógł z łaski swojej...

Znalazłem fiolkę i podałem mu środek regenerujący. Zostało bardzo niewiele żółtych kapsulek. Odwróciłem wzrok, nie chcąc patrzeć, jak ten szkielet usiłuje połknąć tabletkę, odczekałem kilka minut, aż jego oddech się uspokoił i usłyszałem odgłos kroków.

- Dziękuję - powiedział chrapliwie.

- Mam audiencję z Pocieszeniem Umarłych? - zapytałem gorzko. - A może przyszedłeś mi powiedzieć, że oczekuje mnie sama Śmierć?

- Nie zabije cię, przynajmniej nie od razu, Rafaelu. Istotnie, masz się z nim spotkać dziś do południa.

W oczodołach zapłonął mu blask migoczącej świecy. Przez chwilę cienie wypełniały dostojne jamy jego twarzy, tak że mogłem sobie wyobrazić, jak wyglądał miesiąc temu: młody, szczupły, o żwawych ruchach i oczach głęboko osadzonych, ale nie tak zapadłych jak teraz w głębokie doły. Gdy postąpił ku ołtarzowi, ten obraz zniknął; prowadziłem rozmowę z odzianym w bładny całun upiorem.

- Przyszedłem zabrać cię do niego, a poza tym dręczą mnie samotność i ciekawość - widzisz, wciąż jeszcze jestem człowiekiem! - chciałbym przed śmiercią dowiedzieć się czegoś więcej, i chcę cię ostrzec.

Skinąłem głową i usadowiłem się na krześle, pozwalając mu chodzić po izbie. Od czasu do czasu przystawał i przesuwając drżącymi palcami po twarzy Jakby chciał się upewnić, że pozostała mu jeszcze odrobina cielesności.

- Mówiłeś, że wiesz o istnieniu siostry? Błędnej Wendy?

- Nie, wiem tylko, że miałem siostrę; powiedzieli mi o tym doktor Foster i Gower Miramar. Nie trzymali tego w tajemnicy. Zakładałem, że nie żyje.

- Ale żyje; przynajmniej tak było dwa miesiące temu, gdy uciekła z Laboratorium Inżynierii Ludzkiej przy pomocy Adiutanta Medycyny o nazwisku Justice Święty Aiaban. To Pafianin: znasz go?

Oderwałem od spodu krzesła drzazgę i zacząłem czyścić nią paznokcie. Choć moim zdaniem plół bzdury, jego słowa wzbudzały we mnie niepokój. Przypominały opowieści doktora Fostera, historie opowiadane podczas Semhany, Chwalebnej i Nocy Zimowej, gdzie między ostrymi ogonami szakaludzi i zmrużonymi oczami Siwego Burmistrza przewijał się jeszcze jeden kształt, mały, wyjący, z krwią płynącą ze skroni: bezimienna siostra bliźniaczka, sprzedana Ascendentom.

- Mój Dom nie ma zbyt wielu kontaktów ze Świętym Alabanem. To heretycy. Nie dziwi mnie, że ktoś od nich służył Ascendentom.

- I służył całkiem przyzwoicie, dopóki nie uciekł z naszą najcenniejszą wariatką. - Pohukiwanie, które można by wziąć za śmiech, gdy stanął przed ołtarzem i przyjrzał się ofiarom.

- Złodziejski Święty Aiaban. To mnie również nie dziwi - oświadczyłem. Dziwny był obraz Świętego Alabana pośród Ascendentów; wystarczy wyobrazić sobie jakiegoś Pafianina w ich towarzystwie. Zaczynałem żałować, że nie wybadałem dokładniej Ketury na okoliczność jej częstych spotkań z Ascendentami. - Ale pewnie już zginęli...

- Już ci mówiłem, że żyją. - Stukot kościstych nóg o podłogę. Przystanął i wsparł się o jedno ze starożytnych krzesel. - Słyszałeś o występującej w Mieście trupie aktorów?

- Liczni Pafianie występują na scenie. Ja też całe życie występowałem w maskach. - Skrzywiłem się, gdy drzazga weszła mi za głęboko w kciuk, odrzuciłem ją i spojrzałem na gościa. - Nasze wielkie święta to maski...

Zniecierpliwiony tupnął nogą.

- Nie. To byli wędrowni aktorzy, mieszkali w ruinach biblioteki teatru i odgrywali starożytne sztuki. Występowała z nimi tresowana małpa, która umiała mówić...

Skinąłem głową i oparłem się mocno o krzesło, ożywiony na nagłe wspomnienie jasnych, archaicznych kostiumów i zwierzęcia, które deklamowało poezję niczym kurtyzana.

- Toby Rhymer! Oczywiście, że ich znam. Toby Rhymer i gadająca troglodytka, Panna Scarlet Pan. Kiedyś płakałem na jej występie; to było cudowne! - Zawahałem się. - Przystąpił do nich chłopiec z Persji, Fabian...

Fałdy szaty szkieletu zatrzepotały, gdy przerwał mi machnięciem ręki.

- Jest z nimi twoja siostra! Jestem tego pewien. Zmarszczyłem czoło.

- Ale jak na nich trafiła? Przecież sami w Mieście szybko by zginęli: złapaliby ich łazarze, deszcz róż albo... - Nie chciałem przyznać się przed tym uczonym Ascendentem, że boję się również szakaludzi, więc ograniczyłem się do niejasnego gestu w zadymionym powietrzu. Potrząsnął głową, a oczy zaiskrzyły mu chytrze w blasku świec.

- Nie zginęli. Nie wiem nawet, czy Błędna Wendy w ogóle może umrzeć: chociaż w LIL od jej dotyku ginęło wielu pacjentów. Bardzo możliwe, że jej pafiański wybawiciel już nie żyje. - Wciągnął oddech i chrapliwie się zaśmiał. - Ale wiem, że ona żyje. Po jej ucieczce zaczęły dochodzić nas pogłoski o pewnym chłopcu na terenie Miasta, aktorze, który rzuca urok na publiczność. Nazywa się Aidan Arent. - Urwał, czekając na jakąś reakcję.

- Wybacz - odparłem - lecz kilka ostatnich miesięcy przebywałem u Naturalistów, którzy niezbyt interesują się Aktorami... i Pafianami - dorzuciłem z goryczą. - To imię nic mi nie mówi.

- Podobno ma siedemnaście lat, płowe włosy, kiedyś krótko ostrzyżone, lecz z czasem odrastające, szare oczy oraz niezwykle piękną twarz i głos. Posiada nadludzką umiejętność czarowania i przerażania widowni. I mimo że w sztukach zazwyczaj odgrywa role kobiece, liczni Pafianie zauważyli uderzające podobieństwo do zaginionej i najprawdopodobniej nieżyjącej męskiej prostytutki, niejakiego Rafaela Miramara. Znając Wendy i ciebie, mogę co najmniej potwierdzić, że jesteście podobni jak dwie krople wody.

Siedziałem cicho, dziwnie obojętny. Jakby mówił o kimś obcym. I tak rzeczywiście

było: chociaż może łatwiej było uwierzyć w tego aktora, Aidana Arenta, niż w Rafaela Miramara. Pokręciłem głową, lecz nie powiedziałem ani słowa.

Świece za plecami doktora SiWerthorna płonęły coraz jaśniej. Łój tworzył na ołtarzu dymiące kałuże. Jego marmurową fasadę lizały strużki ognia, w miarę jak topiący się tłuszcz skapywał na podłogę. Na takim migotliwym tle doktor sam błyszczał niczym świeca, jaskrawe światło prześwietlało jego szaty, ukazując czarne kości; w piersi dostrzegłem mały kształt, rozwierający się i zaciskający jak pięść. Gdy zaczął mówić, jego głos rozbrzmiewał bardzo donośnie, choć nieco chrapliwie, jakby mu gardło przerzynała piła.

- Niektórzy z tych, co widzieli Aidana Arenta na scenie, utrzymują, że to Rozdziawiony.

- To niemożliwe - pokręciłem głową, wytrzeszczając na niego oczy.

- Czemu? Bo ty Nim jesteś? - Wyszczrzył w uśmiechu zęby, na których pląsało karminowe światło.

- Ależ skąd!

- Takiego zdania jest Szalony Awiator! Dlatego cię tu w ogóle sprowadził - ciągnął swoje, jakby mnie w ogóle nie słyszał.

Wstałem, równie oszołomiony co zagniewany, i wielkimi krokami podszedłem do kraty. W oddali widać było świece i zakurzone szklane pojemniki, w których je ustawiono. Ruchliwe cienie sprawiały wrażenie, iż w przyćmionym świetle kręcą się jakieś postacie; ale nie było nic słychać.

- Dlaczego mnie obrażasz? - zapytałem stanowczym i szorstkim głosem. - Nie wystarczy, że przyprowadziłeś mnie do tej krypty...

- Gdyby Tast'annin nie nakazał dzieciom cię schwytać, już byś nie żył.

- Może tak by było lepiej! - Chwyciłem za żelazną kratę i spuściłem głowę. Smutek uderzył mnie jak kamień. - Trzeba mnie było zabić!

- Powinienem był umrzeć zaraz po ataku wirusowym, tak jak Gligor. Ale tak się nie stało, również z tobą. Zostało mi tylko trochę czasu; ty masz go przed sobą może więcej, może mniej. Ale jesteś obdarzony mocą; i nie wszyscy twoi przyjaciele zginęli. Wieczorami chodzę wśród więźniów i tym, którym mogę, niosę ulgę w konaniu. Tak przynajmniej widzi to Pocieszenie Umarłych. - Uśmiechnął się ironicznie.

Podszedł do mnie. Oparłem się plecami o bramę, przerażony żwawością jego kroków i złośliwym cieniem w jego oczach.

- Uwięziono tu jedną małą dziewczynkę. Złapano ją wczoraj wraz z grupą żałobników koło Domu Miramar. Gdy usłyszała, gdzie byłem, opisała, jak wyglądasz i zapytała, czy na

Balu Motyli widziałem trupa Rafaela Miramara. Powiedziałem, że jesteś tu, cały i zdrowy.

- Fancy - wyszeptalem. Nie zapomniałem jej; raczej w ciągu ostatnich godzin wołałem o niej nie myśleć, składając ze wspomnień o niej dar pomniejszym bożkom, Żalowi i Znużeniu. - Gdzie ona jest?

- Tutaj. Więcej nie mogę powiedzieć. Jak już wspomniałem, jestem wierny Awiatorowi. Jeżeli będzie z ciebie zadowolony; jeżeli ona nie ulegnie obłędowi, chorobie lub łazarzom; jeśli nie padniesz ofiarą tego miejsca, może wtedy potraktować was życzliwe, zwłaszcza że jest twoją przyjaciółką. Dzieci opowiedziały mu o spotkaniu z tobą nad rzeką. Perła była jeszcze jedną... z jego ulubienic. - Skrzywił się na jakieś niemiłe wspomnienie. - Jej też się zdawało, że widziała w Wąskim Lesie anioła; i to zainspirowało Szaleńca.

- On ma chyba wiele ciekawych pomysłów.

Stał tak blisko, że czułem słodki zapach jego rozpadającego się ciała, gorzki, chemiczny odór resztek antybiotycznego olejku. Ujął mnie zimną i wilgotną ręką w rękawicze za podbródek, mocno, jak w kleszcze.

- Jakie to dziwne - mruknął. Przez wilgotne rękawice, rozpadające się już na włókna bawełny, wbijały się we mnie ostrza jego palców. Bałem się zakażenia, lecz jeszcze większym lękiem nappełniała mnie perspektywa jego gniewu i samotności, gdyby odszedł. - Wyglądasz dokładnie tak jak ona...

- Nasza Wendy była taka piękna, ale szalona. Wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Zresztą oni wszyscy tak kończyli. To był jeden z efektów ubocznych Projektu Harrow, bo naturalnie już od początku brały w nim udział dzieci z poważnymi wadami; zresztą kto by zniósł takie życie, dzień w dzień tylko koszmary i halucynacje innych. Nigdy nie budzili się po własnych snach. Uczyniliśmy z nich chodzące naczynia naszych szaleństw, co dodawało im urody, a później deformowało: obojnakowi Merle wyrosło więcej piersi, oczy Taylora zmieniły kolor z szarego na biały, by w końcu zastygnąć w granitowe perły, Gligor zaczął śmierdzieć padliną i wokół niego gromadziły się w ogrodzie motyle, Anna zbudziła się pewnego dnia i odnalazła w łóżku homunkulusa o swojej twarzy i pomarszczonych genitaliach...

- Za to Wendy tylko piękniała i stawała się coraz bardziej śmiertelna, choć, rzecz jasna, w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy, znała jedynie ból, grozę i lęk, za którymi przepadała, i to jak namiętnie. Emma Harrow w swej głupocie nie zauważała, co dzieje się z jej ulubienicą, tym porwanym dzieckiem, które kradło z kolei fantazje, pragnienia, a w końcu i nadzieje tych, z którymi się stykało, pozostawiając im samą rozpacz...

Słuchałem jego bełkotu zafascynowany. Wysforował się przede mną, puścił w

wędrówkę po lochu, trzy kroki w tę i z powrotem, trzy w tę i z powrotem, jakby jakaś niewidzialna klatka kurczyła się do rozmiarów jego żeber. W mojej głowie rodził się dziwny obraz, wizja Błędnej Wendy: dziewczyny tak bardzo podobnej do chłopca, iż mogła przekonać nawet mój lud, że na zakurzonej scenie pojawiam się ja sam. Towarzyszyło temu inne uczucie: twarde i kwaśne niczym niedojrzały owoc, który przełknąłem, by już we mnie zgnił, myśl, że wszystkie okropności, które mi się przytrafiły, zdarzyły się przez pomyłkę. To nie Rafael powinien być ujrzyć śmierć, hańbę i opuszczenie, lecz ta druga istota, ta straszna podobizna zwana Błędną Wendy, która wymknęła się z więzienia Ascendentów, przez co na Miasto spadła furia i ponura radość Rozdziawionego.

Wtedy poczułem narastającą wściekłość, żądzę krwi i zniszczenia, podobną do tej, jaka opanowała mnie w Wąskim Lesie, gdy w towarzystwie białego szakala gnałem, by zadać śmierć swojemu Patronowi. Przed doktorem Silverthornem nie okazałem jednak żadnych uczuć; kiwałem tylko głową i wodziłem za nim wzrokiem, gdy świece wokół nas zamieniały się stopniowo w tłuste smugi na ołtarzu.

- Rozumiesz? Czy wreszcie rozumiesz, Rafaelu? Jest jakiś powód, musi być jakiś powód tego wszystkiego...

Po raz pierwszy usłyszałem w jego głosie dziką rozpacz i ujrzałem zniszczonego człowieka, który w swej celi z ciała i kości szukał promyka nadziei. Popatrzyłem na jego oczy, które płonęły jak wyrastające z marmuru, blade irysy ognia. Zacząłem kiwać potakująco głową, sądząc, że potrzebuje tylko utwierdzenia w swoich przekonaniach. Po chwili zorientowałem się jednak, że oczekuje ode mnie odpowiedzi, wyjaśnienia, jak gdybym w otaczających nas zgłiszczach dostrzegał jakieś czarodziejskie wrzeciono, dzięki któremu zawrócę całe to przerażające widowisko ku dobremu zakończeniu.

„Rozumiesz, Rafaelu?”

- Chyba... chyba tak - wydukałem. - Przynajmniej bardzo bym chciał. Tylko czuję się jakoś dziwnie na myśl, że ona żyje sobie gdzieś tam, jakby...

„Jakby mnie nie było - dokończyłem w myślach. - Jakby tylko jedno z nas mogło przebywać w Mieście Drzew”.

Ale ona cały czas żyła! Nie umarła, jak mówili doktor Foster i Gower Miramar. Doktor SiWerthorn czekał na ciąg dalszy. Wzruszyłem ramionami i rozłożyłem ręce w bezradnym geście.

- Czego pan ode mnie chce, doktorze?

Uniósł jedną rękę, a rękaw zwisał z niej jak prześcieradło z kija szczotki.

- Przyrowadzisz ją do nas - oświadczył i opuścił rękę. Zadrzałem, jakbym spodziewał

się, że spadnie z grzechotem na ziemię, lecz on tylko przyglądał mi się badawczo, jakby czytał w moich myślach, wreszcie się roześmiał. - Wspomniałeś, że grywasz w sztukach teatralnych; prawdę mówiąc, Pocieszenie Umarłych chciałby zobaczyć cię w roli Rozdziawionego. I musisz posłuchać, musisz! Usłyszysz o tym całe Miasto, Aktorzy - i ona przyjdzie cię zobaczyć. Wtedy będziesz mógł wykorzystać ją, żeby go zniszczyć...

- Jak to?

- Bo ona jest Śmiercią. Widziałem, jak ci, których dotknęła, umierają!

Pokręciłem głową.

- Nie mieści mi się to w głowie! Moja siostra żyje, a mówisz mi, że jest potworem; rządzi tu maniak, chociaż nie widziałem jeszcze nikogo oprócz ciebie i łazarzy! A w ogóle dlaczego chce, żebym zagrał Rozdziawionego?

- Dla zabawy; żeby rozdać jego dumę i chorobę; żeby sprowadzić tu twój lud i innych mieszkańców Miasta: bo któż oparłby się pokusie obejrzenia pięknego demona w ruinach Katedry? Płonie szaleńczą żądzą sławy.

- Przyobiecano mu wpływowe stanowisko, tutaj, w Mieście. Marionetkowy Rządca, który włada opuszczonym królestwem! Ascendenci mu to przyrzekli, bo był Bohaterem; mieli też po temu inne powody, chcieli się przekonać, czy zostało tutaj coś wartego pożarcia: jak psy, co obwąchują trupy i śmiecie.

- Planują atak na Wspólnotę. Chcieli odzyskać Miasto, ustanowić w nim garnizon i odnaleźć zagubiony arsenał. Margalis TASFANNIN był błyskotliwym strategiem, dowódcą w Konflikcie Archipelagu. Miał zamiar wycofać się ze służby, a NASNA obiecało mu to Miasto głupców i kurew; jakie jeszcze w ogóle zostały miasta?

- Ale Kuratorzy go zdradzili - nie wiem, czy w porozumieniu z buntownikami, czy nie. Moim zdaniem Kuratorzy naprawdę się go bali. Wydali go szakaludziom. Ci go torturowali, pozbawili męskości, ale nie zabili.

- W końcu się nad nim zlitowali. - Potrząsnął głową. - Głupcy! Tylko że oni, tak jak ja, mają wrodzone posłuszeństwo wobec ludzi. Rozkazał im puścić go wolno, i posłuchali.

- Teraz zemści się na Mieście. Twierdzi, że odnalazł starożytną broń, ukrytą pod Wzgórzem Świętego Alabana. Był bohaterem wojennym. Chce wywołać Ostateczną Ascenzję.

- Czyste szaleństwo - potrząsnąłem głową. - Jeden człowiek przeciw Miastu... i za jaką sprawę? Nigdy o nim wcześniej nie słyszałem.

- Był Ascendentem, tak jak ja.

- Znałeś go?

- Słyszałem. Margalis Tasfannin był Awiatorem NASNA, Bohaterem Konfliktu Archipelagu i licznych pomniejszych utarczek ze Wspólnotą Bałkańską. Po spowodowanych przez Wendy samobójstwach zjawiał się w LIL w towarzystwie Odolfa Lesliego. To oni wprowadzili nową diagnostykę, nowe... metody. Widziałem się z nim przez chwilę. Interesowały go nowe biosyntezy z empatów, rezonatory agresji w złożonych osobowościach... Widzisz, Rządcy mieli szeroko zakrojone plany. Świeże pomysły, alembiki, chcieli ze starych rzeczy zrobić coś nowego. Dokonali już wielu odkryć, z każdą potyczką zwiększa się gama okropności, chemikaliów i mikroorganizmów...

- Czyli naprawdę toczy się wojna?

Wbił we mnie gniewny wzrok, poruszając bezgłośnie szczękami.

- Nie - odpowiedział. - Nie ma żadnej prawdziwej wojny, bo nie ma już kto prowadzić takich konfliktów. Tylko szaleńcy na terytoriach centralnych i naukowcy na obrzeżach miast, które jeszcze istnieją. Poza tym jedynie piechurzy i świry: partyzanci i goryle.

Znowu się roześmiał, miał coraz cięższy oddech. Zauważyłem, jak trzęsą mu się ręce, i przeraziłem się, że umrze tu na moich oczach. On jednak wymachiwał rękami, dopóki nie zorientowałem się, że prosi o torbę. Pośpiesznie mu ją podałem. Wysypał zawartość na podłogę i zaczął przebierać wśród fiolek i srebrnych prętów, rozrzucając po pomieszczeniu butelki, aż znalazł metalowy pojemnik, spray, którym popsikał sobie jamę gardła.

- Aaar - zacharczał, nie zwracając uwagi na spadający na podłogę spray. - Tak szybko, tak szybko...

Żał było patrzeć, jak czyjeś ciało błyskawicznie się rozpada!

- Czy to przez nich, doktorze Silverthorn? Czy to nowi Rządcy? - mówił pozbawionym wyrazu głosem, być może na skutek działania sprayu.

- Nie. To przez moich współpracowników. Lekarzy, z którymi pracowałem w LIL. Gdy uciekłem z Anną i Gligorem, posłali za nami fugę NASNA, zaalarmowali janczarów awernejskich, a Gligor, oni...

- O Boże, patrzeć, jak ktoś tak umiera! I pomyśleć, że ktokolwiek może umrzeć w taki sposób...

Dotknął rękami twarzy w geście żalu, cierpienia i beznadziei. I wtedy się rozplakałem, tak wyczerpało mnie to, co tu widziałem; w końcu był dla mnie dobry, choć jednocześnie przywiódł tu na śmierć; bo jemu nie zostało już leż.

Nie mam pojęcia, ile czasu siedziałem w tym lochu, otoczony żalonymi ofiarami niewolników genetycznych i dzieci. Po pewnym czasie szlochy ustąpiły miejsca ciszy, zimnemu bólowi w piersiach, straszemu, bo oznaczał zupełną pustkę i rozpacz. Uniosłem

głowę i zobaczyłem stojącego nade mną doktora Silverthorna. Zgasły ostatnie grudki palącego się łożu. Gdzieś z głębin Kościoła Krypty przypełzło do Dziecięcej Kaplicy błękitne światło, które nadało jego całunowi bladej, spopielałej barwy. Jego widok napelniał mnie grozą: milczący szkielet, przesywający pustym wzrokiem kręte labirynty Pograżonej Katedry, jego biała szata poruszana była jakimś podziemnym powiewem. Wiedziałem, że mnie nie skrzywdzi; chciał mi pomóc, a przynajmniej przestrzegł, iż moja siostra chodzi ulicami Miasta Drzew. Jednak sama jego obecność była przerażająca. Oddychałem możliwie najciszej i nie odzywałem się w nadziei, że sobie pójdzie. Ale stał czujny i milczący, aż zacząłem zadawać sobie pytanie, czy on przypadkiem na kogoś nie czeka.

- Idzie - przerwał długą chwilę ciszy.

Zerwałem się na równe nogi i przez otwartą kratę popatrzyłem na Kościół Krypty. Doktor SiWerthorn, milcząc, tylko patrzył w ciemność tymi swoimi wielkimi, martwymi oczami. Wstrzymałem oddech i starałem się dosłyszeć kroki lub głosy. Cisza. W korytarzu równym, niebieskim blaskiem płonęły świece w szklanych pojemnikach, unoszące się nad nimi smugi czarnego dymu rozwiewały się gdzieś wysoko w górze. Szare krzywizny ścian uciekały w nieskończoność niczym nieruchome wewnętrzne serce nautilusa. Doktor Silverthorn stał cichy i milczący jak jedna ze zgwałconych kariatyd w transepcie nad nami. Uznałem, że znowu coś sobie wyobraża, i skierowałem się w stronę ołtarza, gdy złapał mnie za nadgarstek zdumiewająco silnymi i zimnymi palcami.

- Czekaj. Nie słyszysz go?

- Nic nie słyszę. - Pokręcił głową, nie spuszczać oczu z korytarza.

- Kamienie krzyczą, gdy on koło nich przechodzi, kości zmarłych w kryptach drżą i zmieniają się w błądę proch; za to dla żywych jest wcieloną ciszą! Cud.

Zamyślił się na chwilę, jego palce coraz bardziej wbijały mi się w rękę, aż wreszcie nie mogłem już tego dłużej znieść i odsunąłem się.

- Przepraszam, Rafaelu - wymamrotał. Ciągłe nie patrzył w moją stronę. W ogóle nie zwracał na mnie uwagi, z wyjątkiem chwili, gdy trzymał mnie za rękę. - Myślałem, że będę miał więcej czasu, ale on posuwa się już bardzo szybko... - odezwał się po chwili.

- Co?

- Obraz zamazuje mi się przed oczami - obwieścił, jakby mnie nie słyszał. - Dziwne, że trwało to aż tak długo - dorzucił obojętnie. - ale widzę coś jeszcze. Chodź ze mną...

Raptem wstał i zamachał rękami w powietrzu. Jego twarz mnie przeraziła. Oczy zapadły się w końcu, wyglądały jak roztopiony воск. Już nic nie widział. Niedługo umrze.

Zaczerpnąłem tchu, żeby się uspokoić. Ująłem go za rękę, wzdrygając się na myśl o

nagiej kości pod tkaniną.

- Dokąd idziemy?

- Na mały spacer, zanim on po ciebie przyjdzie. Moje materialne oczy zgasty, ale widzę też na inne sposoby. Poprowadź mnie, a ja opowiem ci, co widzę; może to doda ci otuchy po mojej śmierci.

7. Delikatne szczegóły budowy wewnętrznej

Wkroczyliśmy w ciemne korytarze Kościoła Krypty. Niosłem latarnię i czarną torbę doktora Silverthorna, lżejszą niżli dzień przedtem. Mój towarzysz wspierał się na mnie ręką, która ważyła tyle co drzazga drewna. Szliśmy powoli, moich kroków niemal nie było słyhać na kamiennej podłodze, stawy doktora przerażająco skrzypiały, tak że wielokrotnie widziałem cienie szczurów, umykające przed nami. Doktor Silverthorn się z tego śmiał, a ja zastanawiałem się głośno, jakim cudem to widzi, skoro odebrało mu wzrok.

- Między mną a światem nie rozpościera się już zasłona ciała - oznajmił. Przystanął i wyciągnął rękę w bok. - Co tam jest?

- Nic - wzruszyłem ramionami. - Szara ściana, złożona z wielu kamieni. Ciągnie się tam wąski korytarz i... - Zmrużyłem oczy. - Dalej stoją jakieś figury, ale tutaj ściana jest pusta.

Nachylił ku mnie głowę. W oczodołach pływała już tylko galareta, podobna do łożu na dziecięcym ołtarzu. Jeszcze chwila, a zniknie również ona.

- Jakie piękne! - szepnął i puścił mnie, by móc wskazać ręką pustą płaszczyznę granitu, przerwana jedynie wyrytymi na niej imionami, tysiącami imion. - Nie widzisz ich?

Przyjrzałem się ścianie, wyciągnąłem ku niej rękę i dotknąłem zimnej i lekko wilgotnej powierzchni, jakbym chciał znaleźć tam odciski tego, co on widział. Czułem tylko wyryte litery i zbierający się w nich piach.

- Ja nic nie widzę - wyznałem z żalem. - A ty?

- Cudowności - szepnął. - Wiele śpiących twarzy, starożytni mężczyźni i kobiety, którzy śnią o poranku. Zdaje mi się, że niektórych z nich poznaję. Może znajdę tu Gligora... - Głos mu się załamał, a ręce opadły.

Zorientowałem się, że chodzi mu o zmarłych pogrzebanych w ścianach Katedry.

- Widzisz upiory. - Wpatrywałem się drżący w ścianę, jakby mogli przeniknąć przez nią jak dym.

- Nie - zaoponował - to nie są żadne upiory. Tylko śpią, to zwyczajny, długi sen, nie ma się czego obawiać. Gdybym tylko wiedział...

Nie ustawał. Czulem, jak z każdym krokiem coraz bardziej się ode mnie oddala. Wydawało się, że przejrzał zaslonę oddzielającą nas od świata niematerialnego, że szedł pomiędzy dwiema rzeczywistościami. Mówił o rosnących w ścianach kwiatach, o twarzach wyglądających z pustych wnęk; o wielu głosach, wznoszących pieśń w nawie ponad nami, o wielkich silnikach zakopanych w jałowej ziemi. Minuty mijały jak we śnie: jedynym dowodem, że nie szedłem samotnie, był szelest tkaniny ocierającej się o moją skórę i cichy głos, który sęczył mi do ucha wieści o cudach.

Skręciliśmy za róg. Gdzieś daleko w mroku rozkwitły bladożółte światła. Już nie słyszałem chrapliwego oddechu doktora Silverthorna. Jego głos zmienił się w ledwo słyszalny, coś jak głos w mojej głowie.

- Nadchodzi - szepnął mój przewodnik. Rękaw jego szaty drżał, gdy usiłował na coś wskazać. - Tam... niosą go na twoje spotkanie.

Wyteżyłem wzrok. Oczy cały czas ze mną igrały, ożywiając kamienie i umieszczając w każdej szczelinie ukryte drzwi. Dopiero po kilku minutach uświadomiłem sobie, że przymgłone światła stają się coraz wyraźniejsze, że zmieniają się w migotliwe kule. Zbliżały się. Jeszcze chwila i zdałem sobie sprawę, że są to pochodnie niesione przez jakieś postacie; że postacie uginają się pod ciężarem czegoś dużego i czarnego; że naprawdę coś niosą, coś albo kogoś; że idą mi na spotkanie.

- Doktorze Silverthorn! - Upuściłem jego torbę. Głos mi się załamał; kark zalał mi pot, gdy nie znalazłem jego ręki. - Czy to on? Powiedz!

Doktor odsunął się kilka kroków, stał pomiędzy czerwonym blaskiem mojej latarni a dymiącym światłem pochodni. Kołysał się na nogach.

- Witam, Margalisie. - Jego głos rozniósł się w otaczającym nas pomieszczeniu zadziwiająco mocno i głośno. - Przybyłeś na czas. Właśnie zbierałem się do odejścia.

Cichy tupot miękkich stóp na kamieniu, smród pochodni i karawanu. Z trudem uniosłem latarnię, żeby jej światło na nich padało.

Szakaludzie.

Nieśli kilka związanych sznurkami i tkaniną drewnianych belek, na których leżał człowiek. Widziałem tylko ich: sześciu, grzbiety wygięte w łuk, tak że zdawało się, że przemykają chyłkiem, chociaż naprawdę stąpali powoli, szczątki ogonów poruszały się nerwowo, gdy nieśli swego rannego pana. Duże oczy pod głębokim czołem, szczęki wystające z nieco zbyt dużych lub za małych twarzy; długie, zakrzywione żółte zęby, wyrastające z niebieskich dziąseł. Uszy przytulone do gładkich, ciemnych czaszek, nastawiane, w miarę jak się zbliżali. Ich nozdrza się rozszerzały. Gdy mnie wyczuwali,

niespokojnie kręcili ogonami.

- Stańcie - rozkazał wyraźny głos. Zatrzymali się, cicho warcząc, kiwając głowami i świdrując mnie błyszczącymi oczami. - Lawrence, czy to on?

- To pafiański chłopiec Rafael Miramar, o którego przyrowadzenie prosileś.

Doktor Silverthorn stanął obok mnie.

- Ale czy to ten, o którym opowiadała dziewczyna? - nie ustępował głos. - Ten, którego spotkała nad rzeką i nazywała Rozdziawionym? Chłopcze!

Odwrócił się i machnął ręką w ciemność za plecami. W blasku pochodni pojawił się ktoś jeszcze; nie jedna, lecz dwie postaci... Oleander i kręcący się u jego nóg mój szakał.

- Anku! - zawołałem. Usiadł, przechylił głowę i przyjrzał mi się lśnącymi oczami. Po chwili uniósł pysk i zaskomlał, raz, przenikliwie. Stojący obok Oleander przestępował z nogi na nogę i starał się trzymać poza zasięgiem ręki człowieka na marach.

- To on - oświadczył chłopiec. Stanął niespokojnie w smudze światła barwy ochry. - Niech pan mu powie, doktorze Silverthorn.

Tamten wsparł się na łokciach i wbił we mnie wzrok. Gdyby stał, byłby bardzo wysoki: o dużych kościach, lecz szczupły, o piaskowych włosach, które rzedły nad czołem, i oczach przenikliwej jasności, płonących nawet w tym wiecznym mroku: niemal przezroczystych. Później zorientowałem się, że są niezwykle bladobłękitne, koloru barwinków zmytych ciemną wodą. Twarz pokiereszowali mu szakałudzie. Szwy ciągnęły się po napiętej skórze, od brody przez policzki aż po czoło, postrzępione blizny jak pęknięcia w zeschniętej ziemi. Jedno oko przesunęło się za blisko nasady nosa i było nieco wyłupiaste, a kącik ust bez przerwy się unosił, jakby cały czas tłumił uśmiech.

Teraz się nawet uśmiechnął.

- Widzę go - zganił Oleandra. - To on. Piękny chłopiec. - Dał szakałudziom znak, żeby postawili go na ziemi. Wysłuchali, nie przestając warczeć. Awiator uniósł się i wstał niepewnie, jedną ręką machając w powietrzu, dopóki Oleander nie pośpieszył mu z pomocą. Anku się nie poruszył, obserwując szakałudzi czerwonymi szparkami oczu.

U mego boku trząsał się doktor Silverthorn. Chętnie bym go objął, pocieszył lub sam nabrał otuchy; ale wiedziałem, że w tej chwili przewróciłby go najłżejszy powiew wiatru. Zacerpnałem tchu, wyprostowałem się i zwróciłem do Pocieszenia Umarłych:

- Jestem Rafael Miramar; niektórzy nazywają mnie Rozdziawionym.

Te słowa zabrzmiały idiotycznie. Odchrząknąłem i skłoniłem się, zastanawiając się, co jeszcze można powiedzieć, żeby wyrzucić na nich jakieś wrażenie. Nic mi nie przychodziło do głowy. Dodałem tylko:

- Możesz już odesłać tego człowieka, wykonał powierzone mu zadanie.

Awiator pokręcił głową i wskazał na doktora Silverthorna.

- Nigdy nie zatrzymywałem go wbrew woli. Prawda, Lawrence?

Doktor uniósł głowę. Właściwie była to tylko naga czaszka.

- Prawda - odparł znużonym głosem. Ale gdy na mnie spojrział, jego wzrok był pełen uniesienia; i zrozumiałem, że patrzył dalej, dalej niż my wszyscy, widział cienie, które go wreszcie pochłonęły.

- Rafaelu, pamiętaj, że to tylko człowiek... - powiedział. -

Pamiętaj, że umarli tylko śpią... - Szczęki mu zadygotały, tnąc zdania na chrapliwe fragmenty: - Przyszli tu! Gligor... Emma...

Grzechot kości w pustym strąku. Pozostali patrzyli, milcząc, jak szkielet chwieje się koło mnie w posadach.

- Czy tak wygląda tamto królestwo? Tak? - pytał. Zadrzałem, gdy złapał mnie za rękę.

- Nie wiem - szepnąłem. - Nie wiem.

Ale nie mógł mnie już słyszeć. Te czarne doły wpatrywały się w ciemność i wskazywały puste powietrze.

- Wendy - zaszczekał - to im pokazałaś? Emma i cała reszta, czy widzieli coś takiego? Mów, szybko mów...

Krzyknął tak głośno, że wrzasnąłem i puściłem jego rękę. Gdy uniósł pustą twarz, pochodnie na moment ją rozpały, zmieniając w płonącą maskę, jednocześnie przerażającą i promienną, przemieniały go tak, że patrzyłem tam, gdzie mi wskazywał...

I ja dojrzałem w pustym powietrzu to, co widział: cienie, które czekały za zasłoną, szczelinę, ukazującą rozświetlone niebo i rzędy śpiących umarłych: szkielet transcendentny, pod jego czaszką rozpościerała się ziemia obiecana, śpiąca przed wiecznym, wiosennym świtem.

- Patrzcie na gwiazdy! - zawołał. - Spójrzcie na niebo!

I wtedy padł. Gdy ukląknęłam i wyciągnęłam do niego rękę, nie napotkałam niczego, jedynie kruchą garść kości i tkaniny.

- O, nie. - Skryłem twarz w rąbku jego szaty. - Nie zostawiaj mnie...

Łkałem długo, z żalu za moim cierpliwym przewodnikiem, który dołączył do zastępów widm w przepaści Katedry. W końcu przestały mi płynąć łzy. Otarłem twarz jego szatą, znalazłem wśród kości jedną gładką i dłuższą od mojej ręki; wetknąłem ją do kieszeni swojej szaty, chcąc ją potem pogrzebać, jak przystało człowiekowi pełnemu wiedzy i miłosierdzia.

Uniosłem wzrok na resztę zebranych. Obok niego stali milczący Oleander i Anku.

- Teraz jesteś mój, Rafaelu Miramarze - odezwał się cicho. Trącił nogą kupkę kości i ubrań przede mną. Przez chwilę spodziewałem się, że też weźmie sobie stamtąd coś, co mu będzie przypominać o tamtym, jakąś piszczel, zebro lub fragment czaszki naukowca, który krótko, lecz z oddaniem mu służył. Ale cofnął stopę. Palce zacisnął na karku Oleandra i delikatnym ruchem sybaryty pchnął chłopca w moją stronę.

- Przygotuj go, Oleandrze. Potem przyprowadź do Wieży Gabriela.

Odwrócił się i ruchem ręki nakazał szakaludziom, by zniżyli nosze. Anku płaszał u jego boku, wskoczył za nim na mury i ułożył się między jego nogami. Awiatorowi wymknął się jęk, może bólu, a może żalu. Potem zaklął i usłyszałem, jak bije jednego z szakaludzi, którzy raz jeszcze go unosili. Jego ostatnie słowa dobiegły nas z czeluści Pograżonej Katedry:

- Nakarm go, wykąp i namaść, jak przystoi temu, który posłuży Pocieszeniu Umarłych do wskrzeszenia Rozdziawionego.

Gdy zniknął w ciemnościach, szakaludzie zaczęli wyc.

CZEŚĆ SIÓDMA

MASKA SÓW

Od tego czasu nie spotykaliśmy już domów, w których byłoby ciemno.

- Aidanie, jeszcze nigdy nie mieliśmy takiego powodzenia - zawołała pewnego ranka Mehitabel. Od masakry w Wysokiej Brazylii upłynęło kilka tygodni. Pafianie i Kuratorzy chcieli jak najszybciej zapomnieć o tragicznym Balu Motylim, o wołających o pomstę do nieba, coraz bezczelniejszych wyprawach łazarzy i szakaludzi, którzy łapali dzieci i starszych, o plotkach o demonicznym Ascendencie, który objął władzę w Pograżonej Katedrze. Prawie każdego dnia wystawialiśmy przedstawienie. Nie było nocy, żeby nie odbywała się jakaś maska, burleska lub prywatny występ wieczorny.

- Może podobnie działo się, gdy dołączyła do trupy Panna Scarlet-Mehitabel przeczesywała w zamyśleniu włosy - ale mnie tu wtedy jeszcze nie było.

- To wtedy ich pierwszy raz zobaczyłaś?

- Tak, tak! - Ugryzła kawałek bezy, którą zachowała po oglądaniu księżycy w Ilirii przed kilkoma dniami. - Była cudowna, po prostu cudowna. To wtedy postanowiłam zostać aktorką.

- Naprawdę? - Uniosłam brew. - Co skłoniło cię do zmiany powołania?

Przelknęła kęs i zapatrzyła się na mnie z otwartymi ustami. Po chwili wybuchnęła śmiechem, zakrywając usta i kołyszając się na krześle.

- Oj, Aidanie! - zachichotała. - Przecież wiesz, jak bardzo się staram.

Niemądra Mehitabel! Rzeczywiście była kiepską aktorką. Nadrabiała wyglądem i specyficznym spojrzeniem: przechylała głowę, a włosy opadały jej na twarz w taki sposób, że miało się ochotę odgarnąć je i wymierzyć jej policzek. Zwierzała się wszystkim Aktorom, głównie dlatego, że bez tego by nie wytrzymała: wyjawiała nam wszystkie swoje tajemnice, rozkładając je jak ładne kamyki, które mieliśmy podziwiać. Nikt nie miał serca, żeby ją odrzucić.

Ja też. Mimo że mnie drażniła, męczyła jej paplanina i przysysanie się do tych wspomnień, wyobrażałam sobie jako łączenie się z kłodą drewna; jednak nie mogłabym jej ignorować ani się nad nią znęcać, tak jak kiedyś.

- Nie wiem, co się dzieje - zwierzałam się tego popołudnia Pannie Scarlet. - Wiem, że jest skończoną kretynką, ale nic nie poradzę, że nie potrafię jej już tak po prostu odesłać z

kwitkiem, bez względu na to, czego potrzebuje... pomocy przy kwestiach albo kostiumie.

Panna Scarlet nie podnosiła głowy znad strony. Tupalam nogą w oczekiwaniu na odpowiedź. Gdy się nie doczekałam, podeszłam do okna.

- Co dziwniejsze, Justice zaczął spędzać z nią całe dnie, „czytając kwestie”. Czyta kwestie z Mehitabel! Wie, że jest okropna, że wszyscy przychodzą dla mnie...

Urwałam, nie chcąc urazić Panny Scarlet, niegdysiejszego Geniusza Genialnej Epoki; ostatnio zajętego jednak głównie odgrywaniem roli mentorki i doradczyni Aidana Arenta, najnowszej sensacji Miasta. Podniosła głowę i uśmiechnęła się, ciemne oczy w pomarszczonej twarzy nabrały jakiegoś dziwnego wyrazu.

- Jakie to ma znaczenie, z kim on próbuje? Może przy tobie czuje się zagrożony, bo tak bardzo przewyższasz go talentem. - Znowu popatrzyła na książkę, po chwili jednak uniosła wzrok i dodała: - Być może jesteś zazdrosna, Wendy. Może zaczyna rosnać ci serce.

Zbyłam te uwagi milczeniem, nie przestając bębnić palcami w parapet. Ziemia za oknem była szara i ruda. Owce Bibliotekarzy pasły się na bezładnie rozrzuconych snopkach słomy na łące, pastuch trząśł się z zimna w kurtce. Dzisiaj Benedick dla Historyków (uwielbiali bitwy; w razie czego wystarczały im zapasy miłosne); jutro mniejsza rola w *Wacie lokaju*, za tydzień *Tytus Andronicus*, jeszcze później Julia; następnie *Sen nocy letniej* dla Zoologów, rządzących Iliryjczykom Maskę Sów. Wreszcie krótka przerwa, podczas której Pafianie będą przygotowywać się na wielką uroczystość Nocy Zimowej, dwanaście dni i nocy zabawy, których kulminacja nastąpi w przeddzień samej Nocy Zimowej, najkrótszego dnia w roku, wtedy to wystąpimy - Toby nie posiadał się z radości na samą myśl o tym - w Maskaradzie Widm u Świętego Alabana.

- Pafianie jeszcze nigdy nie prosili nas o występ podczas Nocy Zimowej! Nigdy! - puszył się. Oczyma wyobraźni widział już bogactwa, które wtedy zdobędziemy, przedmioty z plastiku, wełniane materiały i skomplikowane kawałki metalu, których Pafianie używali jako ozdób, ja zaś rozpoznawałam w nich części archaicznych komputerów. Wyglądając tego popołudnia na przygnębiającą łąkę, dziwiłam się optymizmowi Toby'ego: postępowaniu tych, którzy kontynuowali swoje bezsensowne badania i zabawy, podczas gdy po Wzgórzu Płomiennej Magdaleny niesły się pogłoski o ofiarach z ludzi i odnalezieniu ukrytej broni.

W ciągu kilku ostatnich tygodni na Miasto spadło wiele plag. Nie wyjaśnione morderstwo młodej dziewczyny w Muzeum Historii Naturalnej; jego Regent zabity w czasie Balu Motyli w Wysokiej Brazylii, która doszczętnie spłonęła. Na balu widziano pewną postać, pięknego chłopca odzianego w podartą czerwoną tunikę, z wiszącymi na szyi pnączami; tego, którego Święci Alabanowie zwą Rozdziawionym lub Nagim Panem.

Gwiazda płonąca na północnej połaci nieba, zapowiadająca Ostateczną Ascenzję. Ale karuzela masek i balów nie ustawała, tyle że przy akompaniamencie bardziej ponurej muzyki, dostojnej pawany w miejsce żwawego reela.

- I po Fancy - wymamrotał Justice, gdy przekazałam mu wieści zdobyte przez Fabiana. Zakrył twarz rękami. - Co do twojego brata - spotkałem iliryjskiego kastrata, który utrzymuje, że widział go na Balu Motyli. Nie żyje; tyłu spośród nas już nie żyje.

Przeszły mnie ciarki. Zamknęłam oczy, usiłowałam przeniknąć ciemność w swoim wnętrzu, znaleźć coś na potwierdzenie lub zaprzeczenie jego słów. Nic nie przychodziło mi do głowy, ale i tak nie mogłam uwierzyć.

- On żyje - odezwał się w końcu.

- Skąd wiesz? - Justice podniósł głowę.

- Nie wiem. Ale...

- Zresztą nieważne - dorzucił ponuro. - Tyłu zginęło; jakie to ma teraz znaczenie?

Kilka dni później miał miejsce atak wirusowy; potem jeszcze jeden.

- Szukają kogoś - burknął Justice. Staliśmy na wyższej kondygnacji teatru, obserwując, jak reflektory fug przebijają ciemność zmierzchu.

- Awiatora - szepnęłam. Na Alei Głębinowej rozległy się wrzaski: na grupę biesiadników spadł deszcz róż. Wzdrygnęłam się. Justice objął mnie ramieniem. Po zaciętej minie poznałam, że myśli nie o Awiatorze, lecz o mnie. Zastanawia się, czy mogą wciąż jeszcze szukać empatki, której sny mają moc zabijania.

Po tych dwóch atakach fugi zniknęły; wielu zginęło jednak na ulicach, a radosne wycie łazarzy jeszcze przez kilka godzin nie dawało nam spać. Po Mieście Drzew krążyło coraz więcej plotek. Życie codzienne upodobniło się do życia z wstrząsających i przerażających opowieści, które odgrywaliśmy na scenie.

Przez te ostatnie nieszczęścia Dom Świętego Alabana, znany ze swych ponurych przesądów, zyskał niesłychaną popularność. Na maskaradach Śmierć stała się modnym tematem rozmów. Czerwień, pafiański kolor żałoby, zdołała wszystko, od włosów po kaptur władczyni. Botanicy nie byli w stanie zaspokoić popytu na pewien szczególny ocień szkarłatnej henny. Purpurowe jabłuszka zdołały przez dwa tygodnie każdy spożywany posiłek, każde zaproszenie na bal wypisywano krwawym atramentem. Pewien iliryjski eunuch natchnął swego Patrona - Bibliotekarza - do napisania długiego poematu pod tytułem *Nadejście Rozdziawionego*. W czasie jego deklamacji na Iliryjskiej Masce Semhany zemdlało trzech Świętych Alabanów. Czwartego znaleziono wkrótce potem wiszącego na jabłoni.

Te makabryczne zjawiska znalazły odzwierciedlenie w modzie. Pafianie w moim

wieku i jeszcze młodszy zaczęli naśladować przerażający dezabil nieszczęsnego Rafaela Miramara z ostatniego Balu Motyli: trupa bladość podkreślano ołowiowym pudrem, starannie rozdierano purpurowe tuniki; na czołach zjawiały się przepaski z gałązek i lian, na szyjach konopne sznury, w miejsce zwyczajnych wieńców z kwiatów lub sztucznych kamieni szlachetnych. Sam Rafael Miramar stał się swego rodzaju romantykiem śmierci, oplakiwanym przez licznych znajomych i kochanków. Pamięć o nim otoczono żarliwym kultem: jego imieniem nazwano gwałtowne tango i niebezpieczne osiągnięcie rozkoszy seksualnej za pomocą sznura.

Renomowany Bibliotekarz ochrzcił to zjawisko myśleniem findesieciowym. Pafianie powtarzali to wyrażenie niczym papugi, chociaż bardzo niewiele znało źródeł; a już naprawdę nikt nie miał pojęcia, w jakim żyjemy stuleciu i czy zbliża się ono do końca.

Pośród tego całego zamieszania moja gwiazda świeciła coraz jaśniej. Naturalnie spostrzeżono już moje zdumiewające podobieństwo do Rafaela Miramara. Stało się wręcz naszym znakiem firmowym. Pafianie z pozostałych Domów tłumnie schodzili się na nasze przedstawienia. Warunkiem powodzenia maski stała się nasza obecność, odrzucaliśmy też niezliczone zaproszenia.

Napawałam się podziwem licznych wielbicieli. Strój a la Rafael wkładałam wyłącznie na scenę, na przykład gdy grałam Learowego Błazna. Nadal wolałam swój skromny gust, chociaż z chęcią przyjmowałam pierzaste czapki i przepaski od Zoologów, którzy dowiedzieli się o mojej do nich predylekcji. Moda na Rafaela wiązała się z pewnym ryzykiem, gdyż wymagała odsłaniania ciała.

- Powinnaś bardziej uważać, Wendy - upominał mnie owej nocy Justice. Występ dla Historyków zakończył się niebotycznym sukcesem, ale po jego zakończeniu, gdy czekałam na wywołanie przed kurtynę, pozwoliłam sobie na zbyt dużo. Zaimprovizowaliśmy z Fabianem udawany pojedynek. Niechcący rozdarł mi szpadą bluzkę. Składałam ukłon w podartym ubraniu, z rozczochranymi włosami, zarumieniona i szeroko uśmiechnięta. Pafianie na widowni oklaskiwali mnie jak szaleni. Niektórzy wbiegli nawet na scenę. W porę wycofałam się przez zapadnię w podłódze, żeby nie zdążyli poczynić dalszych zniszczeń w moim kostiumie. Panna Scarlet nie posiadała się z oburzenia na widok takiego braku profesjonalizmu...

- To zupełnie do ciebie niepodobne, Aidanie - stwierdziła surowo... a Fabian i reszta trupy cieszyła się, iż Aidan choć na chwilę zrzucił swoją skromną, a jednak znaczącą maskę.

- A gdyby cię złapali? - pytał Justice, który oczywiście stanął po stronie Panny Scarlet.

Mieszkaliśmy w jednym pokoju, nasze łóżka stały przy przeciwległych ścianach, pod

starymi fotografiami aktorów w mało przekonujących scenach. Dzięki temu nie narzucali mi się wielbiciele, a i członkowie trupy przestali dziwić się moim miłosnym upodobaniom. Od wizyty w Domu Miramar Toby Rhymer patrzył na mnie spode łba: być może i z większym szacunkiem, lecz także sceptycyzmem, podsycanym zazdrością o powodzenie.

- Nasz drogi Aidan ukrywa coś w zanadru - mawiał, a ton jego głosu był mieszanką sympatii i złośliwości.

Jako współmieszkaniec Justice, tak samo jak Panna Scarlet, był bez zarzutu. Chciał być moim przyjacielem i sumieniem (choć wciąż liczył, że zostanę jego kochanką). Spodobało mi się jego towarzystwo: jak na Pafiana, rozsądny i inteligentny, dość zrównoważony. Po tamtym wieczorze w Domu Miramar już się do mnie nie dobierał. Romanse miewał raczej krótkie: z młodą uciekinierką z Miramar o tarninowych oczach; iliryjskim obojnakim, którego Patron był zazdrosny; i ten długotrwały flirt z Mehitabel, pod nieprzychylnym okiem Gitany.

Siedział teraz na łóżku i wplatał sobie w warkocze barwne druciki i żarówki.

- Mógłbyś zająć się też moimi? - zwróciłam się do niego. Jeden Historyk podarował mi po przedstawieniu broszkę, płaski kawałek plastyku z literami i liczbami. - Dam ci ją za to...

- Nie. - Pokręcił głową. - Masz jeszcze za krótkie włosy. Ty mnie w ogóle nie słuchasz! Co by się stało, gdyby cię złapali i odkryli, że przez cały ten czas ich nabierałaś?

Trzymałam broszkę przy piersiach. Uznałam, że mi się nie podoba, i cisnęłam ją na podłogę.

- Nie wiem. Czy to ważne?

- Raczej tak. Możesz mi wierzyć, że nie uszłoby nam to na sucho. Ludzie nie lubią, jak robi się z nich durniów.

Moją twarz ciągle pokrywał rumieniec radości, którą zawsze odczuwałam po dobrym występie: to było lepsze od acetylenu, lepsze od wszystkiego, może z wyjątkiem ssania nowej krwi.

- Ale to nie byłaby moja wina, Justice, lecz Aidana! Nie odpowiadam za to... Wendy nie może za nic odpowiadać.

Zerknął na mnie, owijając palec drutem.

- Tak sądzisz? Naprawdę wierzysz w to, co mówisz... że możesz żyć jak w Laboratorium Inżynierii Ludzkiej, że gdzieś tam czeka doktor Harrow, która obroni i uratuje cię, jeżeli posuniesz się za daleko? Mylisz się. Dzieją się rzeczy straszne. Jeżeli Ascendenci rzeczywiście cię szukają, to cały czas zagraża nam wielkie niebezpieczeństwo, tobie, mnie,

Pannie Scarlet i pewnie każdemu mieszkańcowi tego przeklętego Miasta. A jeśli ten człowiek w Katedrze jest tym samym, który zarządził czystkę w LIL...

Uklękłam i schyliłam się po broszkę, żeby nie zobaczył wyrazu mojej twarzy.

- Przynajmniej nie powinnaś utrudniać życia ludziom, którzy cię kochają i stanowią jedyną barierę, chroniącą cię przed ciemnością.

Włożyłam broszkę do kieszeni. Przez chwilę siedziałam na podłodze, by potem sięgnąć do najniższej szuflady swojego biurka. Wyciągnęłam pierzastą przepaskę, którą Andrew dał mi w LIL. Wpatrywałam się w nią dłuższy czas bez słowa; czułam wstyd, gniew i przerażenie.

W Mieście rzeczywiście działy się okropne rzeczy: ze mną też działo się coś strasznego, ale coś, czego w najbardziej krwawych koszmarach nie potrafiłby wyobrazić sobie ani Justice, ani nikt inny. Czułam, jak w głowie wyrasta mi coś nowego, raz zazdrosnego, następnie nieubłaganego, łagodnego i zadziwiającego. Zmiana zaszła nawet w moich snach. Pojawiały się w nich nie twarze doktor Harrow, Morgan Yates lub innych znajomych z LIL, lecz moja, Justice' a, Panny Scarlet i innych osób, które napotykałam codziennie w Mieście. I gdy tak wbijałam wzrok w przepaskę, przyszła mi do głowy okropna myśl: że po siedemnastu latach zmieniam się, że coś mnie odmieniło - coś, czego dla swojego świętego potwora w najśmielszych snach nie zaplanowała nawet Emma Harrow.

Kilka tygodni później, rankiem przed naszym występem na Masce Sów przybył wysłannik Zoologów. Siedzieliśmy przy śniadaniu w wyłożonej dębową boazerią jadalnią, dojadając pieprzne frytki Gitany.

- Ktoś stoi za drzwiami - obwieściła Mehitabel.

Przez brudne szybki z ołowiowego szkła zauważyłam, jak coś - zbyt wielkiego na człowieka - się porusza. Być może lektyka albo furmanka, wioząca towary w zamian za niedawne występy na Wzgórzu Płomiennej Magdaleny.

- Może byś ich wpuściła? - wydusiła przez zaciśnięte zęby Gitana. Szturchnęła Mehitabel tasakiem, aż pulchna dziewczyna wrzasnęła i oparła się ze śmiechem o Justice'a.

- Już dobrze, dobrze. Przepraszam - zwróciła się do Justice'a, mrugając okiem. Zadarła spódnice i wyszła na korytarz. Pozostali gwarzyli sennie, kończąc śniadanie. Toby mruczał (najwyraźniej do siebie) na temat zalet występowania przed łazarzami.

Zobaczyłam, jak wyglądająca przez okno Mehitabel wytrzeszcza oczy.

- Toby..?". - wydukała. Tylko ja spojrzałam na nią, gdy odwróciła się w stronę jadalni.
- Aidan? - Patrzyła na mnie pytającym wzrokiem, trzymając rękę na klamce. Skinęłam. Zamaszystym ruchem otworzyła drzwi.

- Cześć, mała! - zadudnił czyjś głos.

- Cześć - odparła cicho. - Aidanie - wymamrotała. Skierowałam się do drzwi. Przez chwilę oślepiło mnie poranne słońce.

- Cześć, mały - ryknął ten sam głos. - Przyszłam zobaczyć się ze Scarlet Pan i Tobym. Zastałam ich?

Zamrugałam i nareszcie zobaczyłam na łące jakąś potworną istotę, dwugłową i obdarzoną czworgiem płonących oczu. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, że mam przed sobą wysoką dziewczynę na jakimś rogatym zwierzęciu, dziewczynę, która zaczyna się niecierpliwić.

- O! - krzyknęła i zeskoczyła z wierzchowca. Zwierzę potrząsnęło ciemną głową, tak że rozległo się brzęczenie licznych dzwoneczków. - Czy mieszkają tu sami kretyni? Scarlet!

- Jane? - dobiegł mnie z tyłu łagodny głos.

- Cześć, mała!

Obejrzałam się na stojącą w progu Pannę Scarlet, trzymającą jeszcze filiżankę. Wyraz twarzy zmienił jej się od niedowierzania do radości; wcisnęła Mehitabel do rąk filiżankę i rzuciła się w objęcia nieznajomej dziewczyny.

- Jane!

Patrzyłam zbита z tropu, jak Jane bierze ją na ręce i buja w powietrzu jak dziecko. Panna Scarlet otoczyła jej szyję pałakowatymi rękami, a tamta ze śmiechem uniosła ją w górę.

- Scarlet! Tęskniłaś?

Dołączyli już do nas inni. Mehitabel wyglądała zza ramienia ustice'a. Gitana dopijała herbatę, a stojący obok Toby kręcił głową powodu tego całego zamieszania.

Fabian zbliżył się do zwierzęcia Jane i dał znak, żeby poszła azem z nim.

- Nie zrobi ci krzywdy - zapewniał. - Widzisz? - Pociągnął za uzdę, a wierzchowiec pokiwał przyjaźnie łbem.

- Co to jest? - Stałam obok.

- Sambar. - Poglądził stworzenie po pysku: podobne do herbowego jelenia, płowe, z ciemniejszymi, czekoladowymi znakami na nogach i grzbiecie, z niemal czarną, sztywną grzywą na gardzieli.

Pogłaskałam go nieśmiało jedną ręką. Popatrzył inteligentnymi, szklistymi oczyma i zniżył głowę. Znowu usłyszałam ciche brzęczenie i spostrzegłam, że poroże okręcone miał aluminiowymi drucikami, na których rozpięto liczne dzwoneczki. Za siodło służyła prosta poduszka z jakiejś jaskrawoczerwonej i zielonej tkaniny, startej już i połatannej, chociaż

ozdobionej po brzegach błyszczącymi dzwonekami.

- Czyż nie jest piękny? - zamruczał Fabian, głaskając go po pysku. Sambar parsknął cicho. - Troskliwie się nimi opiekują.

- Kto? - spytałam zdawkowo. Patrzyłam zdeglustowana, jak Panna Scarlet wspina się Jane na ramiona i na oczach wszystkich zachowuje się jak tresowana małpka, a nie Geniusz Genialnej Epoki.

- Zoologowie - odparł Fabian. Jego zimny oddech mieszał się z oddechem sambara, gdy grzejący w jego gęstej sierści ręce mężczyzna uniósł głowę. - A kim miałyby być Jane?

- Nie mam pojęcia - odrzekłam i odwróciłam się w stronę drzwi.

- Aidanie! - zawołała na mnie Panna Scarlet. - Poznaj moją dawną Opiekunkę!

Przez chwilę udawałam, że nie dosłyszałam, lecz w końcu wycedziłam chłodno:

- Już.

- To Aidan Arent. - Uśmiechnęła się, ukazując przy tym wszystkie zęby. - Mój nowy przyjaciel. - Jane przesunęła Pannę Scarlet na barki i wyciągnęła rękę.

- Jane Alopex - przedstawiła się. Obrzuciła mnie chłodnym, taksującym spojrzeniem niczym interesujący przypadek zwierzęcia. Odwzajemniłam się takim samym. Była wysoką dziewczyną w moim wieku, przysadzistą, o gęstych, prostych, krótko przyciętych włosach, okalających piwne oczy i pyzată, piegowatą twarz, Kuratorzy rzadko wyglądali tak, jakby kiedykolwiek w życiu oglądali słońce. Równie dziwny był jej wyzywający śmiech. Było jej do twarzy w tych ubraniach: długiej zielonej tunice, obrębionej złotą plecionką, lśniącobłękitnych bryczesach o nogawkach wpuszczonych w cholewy czarnych butów, tak doskonale wyglansowanych, pomimo wyraźnie długiego używania, że przy każdym ruchu skrzypiały. Nie puszczała mojej ręki i przez dłuższą chwilę, mrużąc oczy, spoglądała na mnie. W tym momencie przypomniałam sobie pierwsze spotkanie z Panną Scarlet - „Monsieur, to kobieta...” - zaczęłam zastanawiać się, czy ci Zoologowie i ich podopieczni nie są przypadkiem obdarzeni jakimś specjalnym rodzajem wzroku, który umożliwi Jane Alopex przejrzanie mojego męskiego kostiumu.

- „Błądny Aidan” - komentowała z sardonicznym uśmiechem. - Ten, który błądzi. Słyszeliśmy o tobie i twoich podróżach.

Uśmiech zamarł mi na ustach. Popatrzyłam na Pannę Scarlet, usadowioną na barkach tej dziewczyny; moja przyjaciółka śmiała się i machała ręką Fabianowi, nie zwracając uwagi na moje zakłopotanie.

- Podróże już mnie nie pociągają. Mieszkam tutaj - odparowałam. Wysunęłam dłoń z uścisku Jane i wzruszyłam ramionami z chłopięcą bez troską (taką miałam przynajmniej

nadzieję). - Może znasz mojego kolegę, Justice'a Świętego Alabana?

Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

- W piekle będzie musiało się ochłodzić, zanim poznam jakiegoś Świętego Albana - oświadczyła, jednak bez szczególnej zjadliwości. - Jesteś więc kurtyzaną, młody wędrowcze?

- Jestem tym, kogo widzisz: Aktorem. W jej oczach pojawił się cień szacunku.

- Aha - mruknęła i omiotła spojrzeniem pozostałych. - Właściwie przyjechałam w związku ze sztuką z okazji urodzin Rufusa Lynxa, naszego Regenta - wyjaśniła, ciągnąc Pannę Scarlet za pantofel. - Scarlet, słyszałaś? Zaszła pewna zmiana: chce obejrzeć tę drugą sztukę, o rozbiciu statku i czarodzieju. *Sztorm...*

- *Burzę* - poprawił Toby. Odepchnął mnie łokciem i stanął przed Jane, która nie dała się jednak zbić z pantofelka i uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Nie mieliśmy przecież żadnych prób: umawialiśmy się na *Sen nocy letniej*.

- No i co z tego, Toby. - Postawiła Pannę Scarlet na ziemię. - Regent mówi, że i bez Aktorów starczy w Mieście baśniowego pyłu. Ta druga historia bardziej mu się podoba. „To nie lato - mówi.

- Nadciąga burza i powinniśmy się na nią przygotować”. Dlatego mam zapytać, czy możecie pokazać tę drugą sztukę, *Grzmoty...*

- *Burzę* - powtórzył z gniewem Toby, nie zwracając uwagi na stojącą obok, roześmianą jak dziecko Pannę Scarlet. Zapytał mnie:

- Jak tam, Aidanie? Dasz radę z rolami Ariela i Kalibana?

- Naturalnie - wzruszyłam ramionami.

Prychnął. Tak zaadaptował sztukę, że mogłam podjąć się obydwu ról, moich ulubionych zresztą: Ariela i Kalibana. Jego rola alchemika Prospero i Mirandy dla Panny Scarlet również były rozkoszą dla oka. Chodziło mu bardziej o pomniejsze, nie przećwiczone role.

- Hm - chrząknął i pogładził po głowie Pannę Scarlet, która wzięła go za rękę i zapytała:

- No i co, Toby?

Spojrzał na resztę trupy, po kolei na każdym zatrzymując wzrok, a potem westchnął:

- Przekaż Rufusowi, że zagramy. Ale sztuka nie jest najlepiej przygotowana. Nie życzymy sobie żadnych zażaleń...

Jane Alopex machnęła ręką.

- Nie ma mowy o zażaleniach. To zwykła Maska urodzinowa dla dodania otuchy jemu i nam wszystkim, po mrocznych dniach za nami i jeszcze mroczniej szych dniach, które nas

czekają. Scarlet! - Znowu warkliwie się roześmiała, przechyliła głowę i mrugnęła do mnie.

Wsadziłam ręce do kieszeni i odeszłam niespokojna.

Szukałam Justice'a. Prowadził jakąś pełną śmiechów rozmowę z Gitaną i Mehitabel. Czekałam więc, podczas gdy Fabian gruchał z sambarem Zoologów, Mehitabel zaś i Gitana naśmiewały się z gościa, który dobijał z Tobym targu co do występu na zamówienie Rufusa Lynxa. Po futrze z karakuł dla niego, Panny Scarlet i mnie, wytargował futra mniejszej wartości - z kojotów i szopów - dla pozostałych, ponadto fiolkę cy wotowego piżma, które będzie można później wymienić z Botanikami na perfumy. Wszyscy mają potem wziąć udział w uczcie, Toby otrzyma dodatkową parę wężowych skórek. Mamy też nie martwić się o jakieś pominięte kwestie albo wersy...

- Nawet się nie spostrzeżemy - zapewniała Jane Alopex. Toby krzywił się. - No, to świetnie! - wykrzyknęła w końcu, klepiąc się po bryczesach. - Muszę wracać, bo pomyślą, że dopadli mnie szakaludzie. - Zaśmiała się, przemierzyła łąkę i w jedną mocną dłoń ujęła pysk swojego wierzchowca. - No, jak tam, Sally, gotowa do drogi? - Sambar potrząsnął głową i srebrnymi dzwoneczkami. Fabian uśmiechnął się od ucha do ucha. - Toby, po południu dojedzie do was cyrkowa buda. Nie boicie się chyba naszych zwierząt? - zawołała do Mehitabel, która zachichotała i skryła twarz w rękawie. - Co powiecie na to, żeby pojechać już teraz ze mną? Scarlet?

- Z wielką przyjemnością - odpowiedziała tamta, gładząc się po głowie. - Ale jeszcze się nawet nie ubrałam!

- To się pośpiesz! - Dmuchnęła sambarowi w ucho i podrapała go po pysku.

Scarlet ruszyła biegiem do środka, po drodze przypominając Gitanie, żeby przygotowała inne kostiumy.

- Weź niebieską suknię, zamiast srebrnej. Toby?... - Poklepała go po kolanie. - Nie masz chyba nic przeciwko? Już tak dawno ich nie odwiedzałam!

- Oczywiście, że nie, Panno Scarlet! - Wyobraziłam sobie, że ciągle myśli o swoim udziale w wieczornych zyskach. - Tylko nie zapomnij się zdrzemnąć.

- Ktoś jeszcze? - zapytała Jane Alopex. Fabian wyrwał się natychmiast do przodu, ale nie zdążył powiedzieć ani słowa, gdy wskazała na mnie. - A ty, wędrowcze? Założę się, że nigdy w życiu nie byłeś w zoo?

- Tak, tak, Aidanie! - zawołała Panna Scarlet. - Pojedź z nami... na pewno ci się spodoba! Drzewa i śpiew ptaków! - Złożyła ręce i zamrugnęła.

- Jeśli Toby pozwoli. - Spojrzałam na niego pytająco. Kątem oka zauważyłam, jak Justice i Mehitabel wracają do środka, trzymając się za ręce. Toby podrapał się palcem po

nosie, wreszcie skinał głową.

- Niech będzie, Aidan może towarzyszyć Pannie Scarlet. Ty, Fabianie, i Justice będziecie mi potrzebni do rozbierania dekoracji *Burzy*.

Fabian skrył rozczarowanie i wzruszył ramionami. Pożegnał się z sambarem, obrócił na pięcie i wszedł do środka.

Tym sposobem ruszyliśmy w drogę: Jane Alopex, Panna Scarlet i ja. Panna Scarlet siedziała na sambarze, dla równowagi trzymając za brzegi siodła. Ja i Jane szliśmy obok; kilka razy oglądałam się, czy Justice nie wyszedł przypadkiem na moje pożegnanie; nie wyszedł. Było to dla Jane Alopex powodem do niezmiernej radości.

- Takie z ciebie ładne stworzenie, Aidanie Arent, i marnujesz urodę dla jakiegoś głupiego Świętego Alabana. Mogłabym znaleźć ci lepszego chłopaka u siebie!

Jej śmiech był udawany: Zoologowie ponad wszystko na świecie kochali swoich podopiecznych. Żaden Pafianin nie miałby dla niej tyle uroku co Panna Scarlet Pan. Po jej opowieściach z dzieciństwa - długie, deszczowe popołudnia w Lecznicy, spędzone na oglądaniu starożytnych filmów i kaset wideo; nauka ludzkiego języka od szakaludzi, których schwytano wyłącznie w tym celu; dramatyczna decyzja odejścia od Zoologów i dołączenia do trupy Toby'ego - nie spodziewałam się po Pannie Scarlet takiego niewolniczego przywiązania ani protekcyjności, z jaką Jane Alopex traktowała swoją dawną podopieczną.

- Scarlet, nie ciągnij za mocno - upominała. Albo: - Przesuń się na tył siodła, to nie będzie tak kołysało. - Potem: - Wiesz co, ten żółty jest trochę za jasny do twoich oczu, powinnaś używać czerwonego, bardzo teraz modnego. - Po każdej naganie puszczała do mnie oko. Mimo to podróż przez Miasto w towarzystwie Jane Alopex i szczebioczącej Panny Scarlet była dość przyjemna.

Światło padało na nas poprzez bezlistne konary drzew, gdy schodziłyśmy aleją po stoku Wzgórza Biblioteki. Okolicę rozjaśniały tu i ówdzie kwitnące krzaki dzikiej róży, słońce rozweselało odrobinę chłodny poranek, powietrze przesycone było dymem z drewna palonego gdzieś w piecach. Nadchodziła prawdziwa zima. Jane starała się wciągnąć mnie do rozmowy, lecz milczałam, myśląc o Justisie, który szedł pod rękę z Mehitabel.

- Jakież wieści o Katedrze? - zagaiła po pewnym czasie Panna Scarlet. Dotarliśmy do punktu, gdzie Aleja Głębinowa prowadziła do Muzeów, i miałyśmy chyba zaraz skręcić. Jane pociągnęła sambara za uzdę i poprowadziła go na prawo. Przez gęstwinę kudzu biegła ścieżka, z ledwością wystarczająca dla naszego zwierzęcia. Jane położyła mu rękę na parującym boku. Panna Scarlet sprawiała wrażenie przejętej, choć nie wystraszonej: jakby zdawała sobie sprawę, że sytuacja wymaga zmiany zachowania, lecz nie wiedziała jakiej.

Jane wyjęła z przepastnej kieszeni pistolet, ciężki i stary, ale błyszczący od niedawnego oliwienia. Podniosła go i zajrzała do lufy, po czym zatknęła go za pasek.

- Będzie go można szybciej użyć - tłumaczyła. - Nie ma niebezpieczeństwa, ale takie przyszły czasy... - Pokręciła głową. - W naszej części Miasta dzieją się dziwne rzeczy.

- Katedra? - powtórzyła Panna Scarlet. Jane przytaknęła.

- Co słyszeliście?

- Tylko pogłoski, że rządzi w niej jakiś szalony Ascendent, który rozkazuje łazarzom chwycić dla siebie ofiary.

Jane zagryzła wargi. Po chwili klepnęła sambara w bok i zwierzę ruszyło, uwalniając poroże od zaplątanych w nie pnączy. Panna Scarlet runęła do przodu, złapała równowagę i wbiła palce w grzywę wierzchowca. Poprawiła sztywne fałdy spódnic i świdrowała Jane spojrzeniem. Dziewczyna westchnęła i odwróciła głowę.

- Czyli to prawda! - zawołała Panna Scarlet. - Widziałas go? Jane potrząsnęła głową i odsunęła się, przepuszczając sambara do przodu. Nie spuszczała oczu z żółtej liany, której ząbkowane liście nieznacznie się poruszyły, gdy zwierzę przechodziło obok.

- Nie, miałam dyżur w Laboratorium: anakondy zrzucają skóry i trzeba je zachować. Ale niektórzy z nas widzieli to i owo...

- Gwiazdę, coś w rodzaju wybuchu na niebie w noc Balu Motyli. Pewnie słyszałyście; Pafianie twierdzili, że to zapowiedź kolejnej Ascenzji. Świadkiem był Izydor Myotis, który odbierał poród latających lisów. Mówi, że to supernowa; ale są też inne opinie...

Niedbałym ruchem wskazała uschniętą gałąź i wystrzeliła. Eksplozja: konar runął z trzaskiem na ziemię. Sambar parsknął i cofnął się przerażony. Jane pogładziła go po pysku.

- Już dobrze, Sally, przepraszam.

Dotknęłam osmalonego kawałka drewna. Scarlet tarła sobie brodę.

- A ty co o tym myślisz? - zapytałam.

- To dość niegrzeczne pytanie, Mistrzu Aidanie. - Odęła wargi. Omiotła mnie tym swoim protekcyjnym spojrzeniem, jakim obdarzała przedtem szympansię. - Coś mi się zdaje, że nie poznałeś jeszcze za dobrze naszego Miasta i panujących w nim zwyczajów. - Zarumieniłam się, lecz nie dopuściła mnie do słowa.

- Nieważne; wystarczy mi, że lubi cię Scarlet. Nie przejmuję się za bardzo ambitnymi aktorami. Rzecz jasna słyszałam o Aidanie Arendę. Pafianie za tobą szaleją. - Uśmiechnęła się szeroko i przegarnęła moje włosy, lecz w jej oczach dostrzegłam przebiegłość.

Szłam za nią, a ona prowadziła Sally. Panna Scarlet szczelniej otuliła się szalem i popatrzyła na mnie.

- Coś się dzieje na świecie - odezwała się po chwili do Jane.

- Rozmawialiśmy o tym z Aidanem przy pierwszym spotkaniu. Może wy, Zoologowie, uważacie, że to bzdury, ale Święci Alabanowie mogą mieć rację: może niekoniecznie Ostateczna Ascenzja, ale coś się szykuje.

- Nie jest to wykluczone, Scarlet. - Jane zmrużyła oczy, raziło ją słońce. - W zeszłym tygodniu słyszeliśmy, że renegaci z Cytadeli zbiegli na teren Miasta.

Stałam w bezruchu. Wyrwał mi się okrzyk zdumienia. Popatrzyłam na Pannę Scarlet, w której oczach dostrzegłam zaskoczenie. Szybko się jednak uspokoiła, łapiąc za grzywę sambara.

- Kiedy? - zapytała absolutnie niewinnie, kołysząc się na grzbiecie wierzchowca. - Ilu?

Jane wzruszyła ramionami.

- Dwa lub trzy tygodnie temu. Określono ich jako „obiekty badań”.

Dwa lub trzy tygodnie temu. Czyli nie Justice i ja... Ale kto? Utkwione we mnie spojrzenie Jane uświadomiło mi, że wymamrotałam na głos:

- Kto ci powiedział?

Udałam, że kłopot sprawia mi przełazenie przez porośniętą bluszczem kłodę, i przystanęłam, żeby zebrać myśli. Jane zmarszczyła brwi.

- A dlaczego pytasz? Po co ci ta informacja. Może jesteś szpiegiem Ascendentów?

Z wyrazu jej twarzy widać było, że mnie ocenia, zastanawia się, czy istnieje możliwość, żeby Ascendenci wybrali sobie takiego mało ostrożnego donosiciela. W końcu pokręciła głową.

- Nie, jak na szpiega jesteś za głupi. I zbyt bezczelny: któż by ci zawierzył? - Na tę myśl jakby się rozpromieniła. - No, skoro nie boisz się pytać, Aidanie Arencie, to ci odpowiem: opowiedzieli mi o tym szakał udzie. Przyłapałam ich na kłusowaniu w zoo; jednego puściłam w zamian za wieści: szakałudzie są najlepszymi informatorami. Mówił, że z Cytadeli czmychnęły trzy osoby. Goniły ich fugi i jedna zginęła podczas ataku. Dwie pozostałe umknęły do Wąskiego Lasu. Opiekowali się chłopcem, ale zginął, jeszcze zanim schwytali ich szakałudzie. Mężczyzna i dziewczyna. Jego wzięli za Naukowca, o niej mówili jako o czarownicy. Czarownicy! - Roześmiała się nieco zbyt głośno. - Szakałudzie uznają teraz za pana tego człowieka w Katedrze. Kazał im przynosić sobie wszystkich, których wezmą żywcem w Mieście. Przyprawdzili mu Naukowca i dziewczynę. Mówią, że Naukowiec z pewnością nie wyliże się z zadanych ran. O dziewczynie wiem tylko tyle, że zabrali ją do Katedry. Mówił, że drapała i gryzła jak wilczyca.

- Anna! - krzyknęłam i nieco za późno ugryzłam się w język.

Jane wydała sambarowi jakieś polecenie. Ten zatrzymał się i zaczął paść na żółknącej trawie. Panna Scarlet raptem zainteresowała się rąbkiem szala.

- Scarlet - zaczęła wyważonym tonem Jane - co ci o tym wiadomo? - Złapała mnie za ramię i przysunęła do szympansicy.

- Tylko tyle, co nam sama opowiedziałaś - odparła z zachmurzoną miną tamta. - No i co nieco plotek. To, co mówił suzeren Miramar: spadająca gwiazda na północy, pafiański uciekinier, którego Święci Alabanowie biorą za diabła wcielonego. Nic więcej, przysięgam...

- Tylko że pana Aidana moje nowiny jakoś dziwnie poruszyły. Co więcej, wcale nie zdaje się zdziwiony.

Zacisnęła rękę na moim ramieniu, czekając na wyjaśnienia. Była blada jak płótno: zaskoczyłam ją. Stukała niespokojnie w pistolet. Zachodziłam w głowę, czy wie coś jeszcze, coś gorszego. Zamknęłam oczy, kręciło mi się w głowie, próbowałam wyobrazić sobie, że jestem gdzieś daleko: w Pokoju Horne'a lub w maleńkiej izbie w teatrze. Gdy tak milczałam, Jane warknęła:

- Powiedz coś, do jasnej cholery!

- Anna - wykrztusiłam w końcu. - Dziewczyna ma na imię Anna. Albo Andrew.

Panna Scarlet wachlowała się szalem. Jane gapiała się na mnie, jakbym mówiła w obcym języku.

- Skąd wiesz? - zapytała w końcu.

Zamilkłam, otworzyłam tylko oczy i wbiłam wzrok we własne ręce. Gdy zorientowała się, że już nic więcej ze mnie nie wydobędzie, puściła moje ramię. Sambar potrząsnął łbem i w zimnym powietrzu wesoło zadźwięczały dzwonki. Poza tym panowała cisza.

- No cóż, Scarlet - przerwała milczenie Jane - tym razem wpadłaś naprawdę w złe towarzystwo. Aktorzy! Zawsze powtarzałam: jak odejdzie z Aktorami, źle się to dla niej skończy. I miałam rację: nie najlepiej się to wszystko zapowiada. - Odwróciła się do mnie i wycelowała w moje nogi pistolet. - A ty, skarbie, albo wpadłeś w to bagno po uszy, albo jesteś głupi.

- Szakaludzie przyprowadzili Naukowca i dziewczynę do Szaleńca w Katedrze. - Splunęła. - Ech! Szakaludzie to kretyni, a Historycy są tchórzliwymi głupcami, którym brak odwagi, by samemu zabić Awiatora; i oto, czym skończyło się to dla Miasta! Wydali go szakaludziom, żeby w razie śledztwa wszystko wskazywało na to, że to oni go pożarli. No i szakaludzie spartaczyli robotę. Więzili go, torturowali i wykastrowali... - Panna Scarlet sapnęła. - Ale potem namówił ich, żeby go puścili. Że w gruncie rzeczy jest wysłannikiem

powieszzonego boga, że posłali go nie Asendenci, lecz Rozdziawiony, Bóg Psów; i że jeśli nie puszczą go wolno, zostaną srodze ukarani.

Wypuścili go; zaprowadzili pod obstawą do Katedry, a teraz oddają mu cześć. Wszystko to wiem od szakaludzi, których przyłapałam, gdy węszyli przy klatkach cybetów. Zabiłam jednego, żeby przekonali się, że nie żartuję. Wtedy skomląc, opowiedzieli mi wszystko do końca.

„Szuka kogoś” - wyznał jeden z szakaludzi. Bał się powiedzieć więcej, żeby Awiator go nie odnalazł i nie zabił. „Szuka jednego z obiektów, dziewczyny porwanej z Cytadeli. Chce ją znaleźć i sprowadzić do Katedry. Do dalszej obróbki” - jak wyrazili się szakaludzie.

„Ta dziewczyna jest obdarzona różnymi umiejętnościami, zabija umysłem, zniekształca ludziom sny, tak że potem wpadają w obłąd. Bali się jej nawet Ascendenci; a teraz obawiają się, że znajdzie w Mieście zwolenników, zaatakuje i zniszczy Cytadelę”.

„Ale ten Awiator sam jest szalony i nikogo się nie boi. Chce zemścić się na Mieście, na Ascendentach, na wszystkich, którzy go rzekomo zdradzili. Do tego potrzebna mu jest dziewczyna. Chce wykorzystać jej moc do zniszczenia każdego, kto mu się przeciwstawi. Żeruje na słabości Pafian, twierdząc, że wskrzesi boga, którego nazywają Rozdziawionym. Szakaludzie mówili, że mający coś o ukrytej pod ziemią broni, którą wykorzysta przeciwko Miastu. Łazarzy używa do przeszukiwania ziemi pod Katedrą, gdzie po Pierwszej Ascenzji miała zostać ukryta broń. A mimo to łazarze i szakaludzie bez przerwy się do niego garną. Sporządzi podobiznę powieszzonego chłopca i pokaże ją waszym kurwom, które zaczną go czcić”.

To opowiedzieli mi szakaludzie.

Urwała, ocierając czoło. Sprawiała wrażenie zdziwionej, że słońce wciąż świeci, a ja i Panna Scarlet ciągle stoimy koło niej pod drzewami. W trakcie opowieści Jane Alopex zaczęłam się trząść. Słyszałam cichutkie głosy, jakby w moje uszy wwiercały się robaki. Złożyłam ręce i zaczęłam chodzić w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, szukając dróg wyjścia z tej sytuacji, próbując to wszystko zagłuszyć.

- Dlaczego nikt go nie zabije? - spytałam.

- Kto? W Mieście nie ma już żadnych wojowników! - wybuchnęła Jane. Wycelowała pistolet w spróchniały pień, nacisnę spust. I nic. - Widzisz? Wszystko jest strasznie stare i nie działa wtedy, kiedy powinno! Musiałam poderznąć jednemu z tych szakaludzi gardło, bo wszystkie bronie zawiodły; i myślisz, że w takiej sytuacji przekradnę się do Katedry, przedrę przez tysiące łazarzy i szakaludzi i gołymi rękami zabiję Awiatora NASNA? - Zamachała pistoletem nad głową. Wypalił i spadło na nas mnóstwo kory.

- No tak, naturalnie, rozumiem. - Popatrzyłam na Pannę Scarlet, oczekując od niej jakiejś sensacji, słowa, które podważy wszystko, co powiedziała nam Jane Alopex. Ale kręciła tylko głową, jakby od dawna wszystko to przeczuwała. Jane wpatrywała się we mnie błyszczącymi oczami.

- Jeżeli znajdzie ten starożytny arsenał, wszystkich nas wykończy - odezwała się w końcu. - Święci Alabanie i łazarze mają rację. To Ostateczna Ascenzja. - Wsunęła pistolet z powrotem do kieszeni i odwróciła się ku wierzchowcowi.

Patrzyłam, jak gładzi go po ciemnym boku. Panna Scarlet żuła rąbek szala. Pomyślałam o Justisie i innych, którzy zostali w teatrze. Wydawali mi się w tej chwili tacy malutcy: jaskrawe postacie, które poruszały się powoli, lecz chaotycznie, jakby jakaś niewidzialna ręka poruszała wiążące ich sznurki. W głowie rozbrzmiewały słowa, Ciche Głosy wznosiły się niczym powietrzna trąba:

Nie mogę odpowiadać, nie odpowiadam...

Znajdź go, Wendy!

Coś się stało, coś dzieje się.

W Mieście...

Zagłuszał je wszystkie delikatny, jakby dziecinny zaśpiew:

Powieś chłopca, wskrześ dziewczynę, aż Zimowa Noc nie zginie...

Ryk narastał, stawał się odgłosem jakiejś wielkiej i czarnej istoty, napierającej na skronie, aż myślałam, że tryśnie mi z nich krew.

Wtem zapanowała cisza, niezmacona cisza.

I nadeszło: przerażające pulsowanie w głowie, które zapowiadało atak. Upadłam na kolana; złapałam się za głowę, a powietrze zawiroowało szarymi i czarnymi płatkami, zaczęłam uderzać w ziemię, chcąc Go rozwalić, rozedrzeć, odepchnąć. Jego białe ręce sięgały po mnie, oczy błyszczały niczym kwiaty, gwiazdy, jak wielkie słońca, wybuchające nad zrujnowanymi wieżycami Miasta...

- Scarlet! Powstrzymaj go! Co to jest?

Inne krzyki, ale nie mogłam się zatrzymać, odwrócić; jest dla mnie za silny, czuję go w sobie, ta furia przepala mi oczy, przyszedł nareszcie, tak, chodź, chodź do mnie...

- Aidanie!

Szkarłatna błyskawica. I nic.

Stopniowo zaczynałam słyszeć czyjeś głosy i szum wiatru. To dzięki niemu miałam pewność, że to nie halucynacje. Zamrugałam i wstałam; kręciło mi się w głowie, wymacałam guza, którego nabiłam sobie podczas upadku, gdy straciłam przytomność. Jane i Panna Scarlet

kucaly nieopodal, przypatrując mi się ze ściągniętymi twarzami. Za nimi sambar przeżuwał jakieś fioletowe ostry.

- Aidanie! - zawołała Jane. - Co się stało? Dobrze się czujesz?

Potarłam czoło, niemilośnie się przy tym krzywiąc.

- Chyba tak.

Panna Scarlet podbiegła do mnie z ulgą.

- Biedna Wendy - wymknęły jej się te słowa i doszły do uszu Jane. - Tak się zapracowuje. Tobie za nic nie chce mnie słuchać, gdy...

- Wendy? - zawtórowała Jane, wstając. Z bryczesów spadały jej uschłe liście. - Wendy?

Panna Scarlet westchnęła i zakryła usta łapami, po czym uniosła spódnice i schowała w nich twarz.

Jane wpatrywała się we mnie wytrzeszczonymi ze zdumienia oczyma. Przypadła do mnie i rozdarła mi koszulę. Na szczęście natychmiast oprzytomniałam, dałam jej po twarzy i zakryłam nagie ciało, ale zdążyła je zobaczyć. Opadła na ziemię i zaklęła tak głośno, że sambar aż się wzdrygnął i obejrzał na nas łagodnym, pytającym wzrokiem.

- Matko święta! To ciebie szukają!

- Nie rób jej krzywdy, Jane - błagała Scarlet, rzucając się na opiekunkę. - Tak bardzo cię proszę...

Jane wpatrywała się we mnie nieruchomym, pełnym zdumienia wzrokiem. Stałam kilka metrów od niej, przyciskając ręce do boków.

- Nie byłaby w stanie! - zadrwiłam i żeby dowieść prawdziwości swoich słów, raz jeszcze zamknęłam oczy i przywołałam tamte obrazy, upiornie bladego i roześmianego Chłopca, przyływ rozkoszy i grozy, gdy się do mnie odwraca i...

- Jane, nie!

Nagle znalazłam się z powrotem na ziemi. Stęknęłam i otworzyłam oczy. Jane siedziała okrakiem na moich piersiach i niczym pałkę trzymała w ręku pistolet. Syknęłam zawiedziona; czy to ona przerwała moją koncentrację, czy też gubiła się gdzieś nić, która mnie z Nim łączyła, zależna już nie od moich, lecz Jego kaprysów i pragnień?

- Mów, jak masz na imię - zażądała Jane, szturchając mnie w policzek kolbą pistoletu. - Ale naprawdę.

Spostrzegłam, że Scarlet ciągnie ją za rękaw. Zerkała w moją stronę. Wreszcie dała za wygraną, opadła na ziemię i złożyła łapy. Odwróciłam się do Jane i wyrecytowałam:

- Jestem Błędna Wendy, Obiekt 117, neurologicznie intensyfikowany empat

specjalizujący się w emocyjnej terapii engramowej. - Wraz z ostatnim wyrzuconym z siebie słowem zepchnęłam Jane z piersi i usiadłam. Skrzyżowały się nasze groźne spojrzenia.

- Przestańcie, proszę was - błagała Scarlet. Klęczała przy Jane, żalosne stworzonko w krynolinie i koronkach. Jane wydała z siebie zdesperowane westchnienie i wetknęła za pasek pistolet.

- Dobrze już. Ale powiedzcie mi...

Powiedziałyśmy. Zrobiła to Scarlet, upiększając swą opowieść tak, że w niektórych momentach sama wstrzymywałam oddech i zastanawiałam się, czy to wszystko naprawę toczyło się tak dramatycznie: okropny pobyt w LIL, potem niebezpieczna ucieczka i pościg, wreszcie powodzenie u boku Aktorów Toby'ego Rhymera, że nie wspomnę o zażyłości z ową sławną aktorką, Panną Scarlet Pan. Jane przysłuchiwała się temu z powątpiewaniem.

- No, cóż - odezwała się, gdy Scarlet skończyła opowieść i ze złożonymi łapami poprosiła ją, by mnie nie zdradziła - trochę trudno w to uwierzyć, nieprawdaż? - Widząc obrażoną minę Panny Scarlet, pośpiesznie dodała: - Ale bardzo ładnie ujęte, Scarlet, bardzo! Więc załóżmy, że to właśnie jej szukają.

Skinęła głową w moim kierunku. Na chwilę stałam się nie uczestniczką rozmowy, ale stereotypową postacią w pikaresce Scarlet.

- Skąd mam wiedzieć? Co ona ze sobą pocnie? Jeżeli ten Awiator posługuje się łażarzami i szakaludzi... Aidan Arent jest aż za dobrze znany na terenie Miasta. Nawet jeśli nie pisnę słowa - a nie pisnę - raz zdradzonej tajemnicy nie da się utrzymać, wiecie chyba, o co mi chodzi. Wcześniej czy później ktoś cię zdemaskuje, a wtedy... - Wykonała ręką okrężny ruch wokół gardła i wydała dźwięk, jakby się krztusiła.

Przez kilka minut siedziałyśmy w milczeniu. Sambar parsknął i żuł trawę. Białe słońce przeświecało przez gałęzie drzew. Zbudzony przez nikłe ciepło świerszcz cykał w zaroślach. Panna Scarlet z cierpieniem w oczach spoglądała w las, ja rozmyślałam o Ascendencie w Katedrze, który poprzysiągł sobie, że mnie odnajdzie, przeklinałam los i niedbałe badania naukowe, wskutek których tu się znalazłam.

- Co ty właściwie wyprawiasz z ludźmi, Wendy? - zagadnęła wreszcie Jane.

Przyszedł mi do głowy chytry sposób ucieczki.

- Może chcesz, żebym ci pokazała? - zwróciłam się do niej.

- Wendy! - zawołała Scarlet, lecz Jane już kiwnęła głową na zgodę.

- To chodź. - Przyciągnęłam ją do siebie. Uniosła twarz. Odgarnęłam jej włosy z oczu i wbiłam w nie wzrok. Jeszcze co nieco podejrzliwa (i słusznie, Jane!), lecz bezczelna i bez lęku. Pocałowałam ją. Chciała się odsunąć, zakłopotana, lecz przytrzymałam ją za brodę i

przysunęłam usta, aż westchnęła i zamknęła oczy. Oczekałam, aż zacznę szybciej oddychać, by ugryźć ją w wargę, raz i drugi, żeby krew zmieszała się ze smakiem soli w jej ustach.

Była zdezorientowana; gwałtowny wybuch zdumienia i widzę niewyraźne widmo jej lęku i pożądania, wybałuszone oczy i zapach stajni. Świadomość Jane jest zadziwiająco potężna, jak płonące centrum, które przewierca się przeze mnie, aż jęczę z rozkoszy, padam, gdy zalewa mnie jej fala, ciepło słońca i gęsta sierść pod opuszkami jej palców, nabożna wręcz cześć, gdy patrzy na narodziny cynobrowego liska, wilgotną, rudą wykluwającą się ziębę, demoniczną twarz żmii, przebijającą się przez skórzastą skorupę...

Reflektuję się, narzucam swoją wolę trójkątnej głowie węża, aż czarne, agatowe szparki jego oczu wykrzywają się, bledną, zielenieją i zaczynają błyszczeć, a lśniące łuski przeradzają się w szeleszczące liście. Przed moimi oczami pojawia się Chłopiec. Jego twarz i ciało falują, jakbym oglądała je przez rozżarzone powietrze, tylko oczy pozostają niewzruszonymi, zielonymi tunelami w mrok.

Odzyskuję świadomość, siadam chwiejnie i rzucam okiem na Jane, która krzywi twarz w wyrazie głębokiego, choć bezprzedmiotowego skupienia. Zamrugła i otworzyła oczy, starając się na mnie spojrzeć.

- To jest, jak to, co... - wydukała, chwiejąc się. Panna Scarlet złapała Jane za rękę, gdy ona chciała chwycić coś nie do końca namacalnego, opadający w jesiennym blasku liść lub bzykającego, szmaragdowego żuka. W zdumieniu przysunęła rękę do twarzy i zgięła się wpół, jakby ktoś ją uderzył. - Aaa - zajęczała. Odwróciła się w moją stronę i wycharczała: - Zabierz go!... niech sobie idzie!...

Obrzuciłam ją chłodnym spojrzeniem: była jedną z wielu jaskrawych postaci, które przesuwały się w szarym krajobrazie. Błagania przemieniły się w szept rozpacz, szelest wiatru w bezlistnych gałęziach drzew. Potem usłyszałam przenikliwy głos Panny Scarlet, która zaczęła ćwierkać i śpiewać, czego w końcu nie mogłam znieść i co sprawiło, że musiałam się cofnąć...

- Pomóż jej, Wendy! Proszę...

Odwróciłam się od niej i spuściłam głowę, chcąc zająrzeć w oczy Jane. Były puste i znużone, ich zapal zgasł na widok tego, co On jej proponował, jałowych pól i kamienistej ziemi, która nie zrodzi już ptaków, węży, sambarów czy czarnookich lisic. Tylko sine niebo i smak popiołu na wieki, to i nic więcej.

- Spójrz na mnie - rozkazałam. Tak mocno zacisnęłam oczy, że stanęły w nich łzy. Wezwałam Go i zmusiłam, żeby odwrócił ten nieubłagany wzrok od Jane ku mnie, te swoje lśniące oczy, które patrzą bez gniewu i zdziwienia, chociaż ich obojętność zniknęła, gdy

spojrzały na mnie.

-, „Zostaw ją” - poleciłam.

Patrzył zimno i bezlitośnie niczym kot, któremu przerwano posiłek. Po chwili uśmiechnął się i zazgrzytał białymi zębami, przyznając mi to niewielkie zwycięstwo, po czym rozpląnął się w niebycie.

Reszta naszej podróży do zoo przebiegała w pełnym przygnębienia spokoju. Jane powoli odzyskała przytomność, wstrząśnięta niby zbudzone z koszmaru dziecko. I podobnie jak dziecko, szybko doszła do siebie, chociaż idąc obok, raz po raz rzucała mi pełne nieufności spojrzenia, na dystans trzymała nawet Pannę Scarlet. Ta siedziała spokojnie na sambarze, którego jako jedyne nic nie poruszyło, mimo to milczał, tak jak cała reszta.

Moje myśli krążyły wokół ponurych spraw. Narastał we mnie wstyd za to, co zrobiłam, i osobliwa dezorientacja: bo jakim cudem mogłam odczuwać wstyd? Jakim sposobem w ogóle cokolwiek odczuwałam, upodabniając się do kotła, który wrze od radości i grozy, a to, co się z niego wyleje, parzy najbliższych, tych, których Justice nazwał jedyną przegrodą między mną a ciemnością?

Czy to dzięki temu zdołałam Go odepchnąć, tego Chłopca na drzewie? Czy spełniały się marzenia doktor Harrow: styczność z wrażeniami, z prawdziwymi ludzkimi uczuciami, a nie tylko wydestylowanymi związkami chemicznymi w LIL, wykuła w pokrytym bliznami mózgu nowe kanały, tak że zaczynałam czuć to, co przez tyle lat wysysałam z cudzych serc?

I czy odczuwanie tego tak mnie umacniało, że przestawałam być słaba i głupia? Czyniło na tyle mocną, że pewnego dnia zagłuszę Ciche Głosy, skrzyżuję wzrok z Chłopcem i wypnę Go na te pustynie poza snem?

Nie miałam pojęcia, czy tak się stanie; znałam jedynie poczucie winy, smutek i lęk przed nadchodzącą długą nocą. Dla zabicia czasu powtarzałam swoje kwestie, aż przyszedł mi do głowy wersy, które Panna Scarlet wyrecytowała przy pierwszym spotkaniu:

*Kto mogąc gardzić, nie okaże wgardy I kto nie czyni, co się czynić zdaje... **

* W. Shakespeare, *Sonet XCIV*, op. cit.

Zastanawiając się nad tymi słowami, dotarłam do północno-zachodniego krańca Miasta, gdzie nigdy wcześniej się nie zapuszczałam: spośród drzew i ruin wyrastały starożytne bramy, które okalały Ogrody Zoologiczne, a stojąc na żółknącej trawie pod dębem Regenta, można było dostrzec groźnie wzniesioną ku niebu wieżę Pograżonej Katedry.

Na miejscu panowało zamieszanie. Uciekł cętkowany kot, imiennik Rufusa Lynxa. Bardzo młodej Pafiance (której obrót wydarzeń zdawał się sprawiać ogromną ulgę) polecono wyprowadzić go na środek amfiteatru, gdzie będzie odbywać się nasz spektakl; następnie miał

być uroczyście sprezentowany Regentowi.

- Mmm! Jane Alopex! Mmm, szukali cię w Rajskiej Ptaszarni, mm...

Niski, barczysty i zdyszany mężczyzna wybiegł nam na spotkanie, gdy dochodziliśmy do barykad zoo; ruchem ręki odprawił dwóch strażników, którzy śpieszyli w jego stronę.

- Rufus! - zawołała Jane Alopex, wypuszczając uzdę sambara i wycierając ręce w bryczesy.

- Mm, mmm, tak, tak, witam Rufus Ryś, mm, Scarlet Pan, mm, mm, Aidan, tak, tak...

Kiwając głową, uściśniętą nam wszystkim dłonią, nie wyłączając zawstydzonej Jane. Regent był prawie całkiem łysy, ciemna grzywka, która była może kiedyś ruda, okalała mu w nierównych odstępach różową czaszkę. Jego fryzura, zwyczaj mruczenia do siebie i szafranowa tunika upodabniały go do podekscytowanej kakadu. Włożył uwalane błotem buty z cholewami, jasne spodnie, brudne od karmy dla ptaków. Ledwie sięgał mi do brody. Mruknął niewyraźnie, że bardzo cieszy się z ponownego spotkania z Panną Scarlet, mnie natomiast jakby w ogóle nie zauważał. Całą uwagę skupiał na schwytaniu swojego rysia.

- Chodź, Jane, mm, pomożesz mi, wypłoszył z gniazd dudki i Fauna Avis uważa cię za jedyną osobę, która może sprowadzić je z powrotem. Tkwią na belkach pod dachem.

Ujął Jane pod rękę i odeszli, pozostawiając sambara pod opieką dwóch strażników. Jane poklepała go po boku, pomachała na pożegnanie Pannie Scarlet i zmierzyła mnie zimnym wzrokiem. Po chwili jednak uśmiechnęła się oschle.

- Spotkamy się później - dodała na odchodnym. Zostawiła mnie w towarzystwie Panny Scarlet. Chłodny, popołudniowy wietrzyk musnął mój kark, aż się wzdrygnęłam.

- Chodź, Wendy - odezwała się Panna Scarlet, ujmując mnie za rękę. - Pokażę ci, gdzie się wychowałam.

Ruszyliśmy wypieloną ścieżką, pokrytą skruszałym asfaltem. Nieopodal ponad bezlistnymi drzewami i wysokimi trawami wyrastało kilka osobliwych budowli. Biegały między nimi postacie w strojach równie jaskrawych co ubiór Jane Alopex, z wiadrami, tacami i szczotkami, uwijając się jak w ukropie.

Minęłyśmy nakrytą czerwonym dachem pagodę z bocianami z kutego żelaza, stojącymi na jednej nodze u każdego z jej szczytów. Pomiędzy tymi figurami chodziły dwa zblazowane prawdziwe bociany, brzydkie, łyse i o oczach przekrwionych niczym u Senatorów. Spotykały się w połowie dachu, melancholijnie stukały dziobami i podejmowały pełną zadumy wędrówkę.

- Dom Ptaków - wyjaśniła Panna Scarlet. Pomachała bocianom, które spojrzały na nią pełnym dezaprobaty wzrokiem.

Dalej napotkaliśmy przezroczystą konstrukcję z zimnego szkła i stali, błyszczącą na słońcu. Za niektórymi oknami trzepotały jakieś bezkształtne stworzenia. Do innych przyciśnięte były niewielkie, obrośnięte sierścią twarze, które wbijały w nas oszalałe spojrzenia, szczerząc zęby i drapiąc w szkło. Na ich widok Panna Scarlet zamilkła i przyspieszyła kroku, spuszczać głowę. Następnie wyrosło przed nami łagodne zbocze wzgórza, na którego szczycie stała pseudogotycka katedra z okapami zdobionymi kamiennymi figurami gekonów i kameleonów w miejsce zwyczajowych gargulców.

- Wyglądasz na niespokojną - zagadnęła Panna Scarlet, kiwając głową chłopcu, który pchał przed sobą pełne kamieni taczki - co jest raczej zrozumiałe.

Skrzywiłam się. Nie byłam przyzwyczajona do tego, żeby inni czytali w moich myślach. Panna Scarlet roześmiała się i uścisnęła mi rękę.

- Za pierwszym razem miałąś twarz pustą jak kawał drewna. Za to teraz! - Stanęła i zaczęła wykrzywiać swoją ruchliwą, ciemną twarz, naśladując moje miny: popłoch, strach, zdumienie, złość, radość.

- Wcale tak nie wyglądam - zaoponowałam urażona.

- Sama zobacz. - Z maleńkiej, satynowej siateczki u pasa wyjęła lusterko w aluminiowym futerale. Złapałam je i przystawiłam do twarzy.

- Wyglądam tak samo, jak zawsze - orzekłam. Przyglądając się badawczo swojej twarzy, zauważyłam jednak nowe skupiska piegów, które pojawiły mi się na policzkach. Odgarnęłam ze skroni kosmyk włosów i obejrzałam skryty pod nim, mięsisty guzek. Jakby stęchł. Gdy przechyliłam ku niemu lusterko, widziałam wyraźnie, że blizny zarosły gładszą tkanką. Sam guz jakby się kurczył. Z kolei ten drugi na przeciwnej skroni był mniejszy od paznokcia mojego kciuka. Opuściłam włosy i oddałam lusterko Pannie Scarlet. Włożyła je do siatki i w zamyśleniu pogładziła się po szyi.

- Moje już chyba nigdy nie znikną - stwierdziła. Wskazała łuk zarośniętej trawą ścieżki, która biegła wzgórzem. Szłam za nią, a ona unosiła spódnicę, żeby nie zamiataty wysokiej, żółtej trawy. - Zoologowie nie mają do dyspozycji tych wymyślnych urządzeń, których wypróbowywali Ascendenci. Te blizny będą towarzyszyć mi do grobowej deski.

Odkoczyłam, gdy w twarz uderzyło mnie długie, kolczaste pnącze.

- Miały się nigdy nie zagoić. - Gdy dotarliśmy na szczyt niewielkiego wzniesienia, otrzepałam spodnie z piachu i przyczepionych do nich strąków, prostując się. - Zresztą zdaje mi się, że w ogóle się nie goją. Już od kilku miesięcy nie dostawałam żadnych lekarstw. Może się to źle skończyć. Być może w ogóle się z tego nie wygrzebię.

Przystawiłam palce do skroni i przygryzłam wargi, nie czując tego co zwykle bólu, nie

przebiegł mnie dreszcz cierpienia albo tęsknoty, wywołany wyładowaniami końcówek nerwowych. Przestraszyłam się, że tracę jedyny znany mi kanał przewodzenia emocji wpojonych mi w LIL przez Emmę Harrow.

- Ale równie dobrze może wyjdzie ci to na dobre. - Odczepiła od spódnicy rzep i włożyła go sobie do ust. - Możliwe, że chorowałeś przez lekarstwa, a teraz zaczniesz dobrze.

Na myśl, że mogę zostać wystawiona na działanie bezpośrednich wrażeń, przeszły mnie ciarki.

- Nie! Słyszę Głosy, w powietrzu widzę różne twarze. Do południa miałam atak i mało nie zabiłam twojej przyjaciółki Jane. Nigdy nie wyzdrowieję, Panno Scarlet - uśmiechnęłam się z goryczą. - Jestem taka, jaką mnie widzisz: zaledwie Aktorką.

Pokiwała głową. Podniosła palec, jakby zamierzała powiedzieć coś ważnego, ale zrezygnowała.

- Być może. Tymczasem coś ci pokażę. Tylko nie mów Toby'emu, że się nie zdrzemnęłam.

Uśmiechnęłam się i dałam znak, żeby prowadziła dalej. Przed nami unosiły się łukowate przypory neogotyckiego Domu Gadów. Węże i pokryte jakby łuszczącą się, zieloną emalią jaszczurki tkwiły przyczepione do kruszących się ścian, skrytych pod płaszczem dzikiego wina, które po pierwszych mrozach nabrało koloru purpury. Nad głównym wejściem stał stegozaurus z czerwonego piaskowca, którego niezgrabne poruszenia uchwyciła ręka rzemieślnika sprzed stuleci. Obok siedziała rzeźbiona mysz, mrugająca chytrze do przechodniów.

- Tu przynajmniej zawsze jest ciepło - zauważyła Panna Scarlet, gdy wchodziłyśmy.

Westchnęłam z wdzięcznością, gdy przetoczyła się nad nami fala podgrzewanego powietrza. W środku było ciemno, jedyne oświetlenie stanowiły kwadraty zielonego światła, dochodzącego z wbudowanych w ściany klatek. Wszystko przenikał gryzący smród gnijącego mięsa i roślinności; podłoga była jednak dokładnie zamieciona, a szkło przednich ścian klatek takie czyste, że parę razy musiałam dotknąć go palcem, chcąc upewnić się, że coś oddziela mnie od ich leniwych mieszkańców. Nie widziałyśmy żywej duszy, chociaż poukładane w kątach szczotki i siatki sugerowały, że Opiekunowie niedługo wrócą.

- Zajmują się przygotowaniami do wieczoru - oznajmiła Panna Scarlet. Zatrzymała się przed dużą klatką. Wpatrywała się w jej lokatora z odrazą: wokół pnia drzewa owinał się jakiś wąż. - Ciepło ci już, Wendy?

Skinęłam głową i pochyliłam się, żeby lepiej przyjrzeć się cętkowanej żmii. Ta obrzucała mnie złowrogim spojrzeniem, czarny język raz po raz wysuwając z gęby; wtem,

bez uprzedzenia, rzuciła się w naszą stronę i uderzyła w szkło. Odskokczyłam, przewróciłam Pannę Scarlet i roześmiałam się, dysząc ciężko i pomagając jej wstać. Na szkłe pojawiła się smużka krwi. Żmija miotła się po klatce, próbując nas odnaleźć.

- Widziałas? - zawołałam, odgarniając włosy. - Nigdy jeszcze... - Dostrzegłam, że moja przyjaciółka opadła na ziemię, wsparta o ścianę i nie zważając na szczotki, które mogły się na nią przewrócić. - Co ci jest, Panno Scarlet?

- Ten wąż - odparła słabym głosem. - Nie znoszę ich. Pomogłam jej wstać i zaczęłam rozglądać się z jakimś miejscem, gdzie można by usiąść.

- Nic mi nie jest, Wendy, mówię serio. Skręcimy teraz za ten róg, chcę ci coś pokazać.

Przemierzyłyśmy ogromne pomieszczenie wystawowe ze szklanym dachem, gdzie podobne do wielkich i odpoczywających maszyn krokodyl dryfowały w nieruchomych sadzawkach. Ozdobione czubami białe czaple zwinnie przechodziły od jednego łuskowanego grzbietu do drugiego, wyławiając z mętnej wody ryby. Panna Scarlet odwróciła głowę, wstrzymała oddech i czym prędzej przeszła dalej, lecz ja nie mogłam się nadziwić, jak te gady mogą tkwić w takim bezruchu.

- Laboratorium - wymamrotała pod nosem Panna Scarlet. - Tędy, o ile pamiętam.

Przystanęła przed szklaną gablotą z dwiema złocistymi ropuchami, nadętymi i większymi od mojej głowy, za to oczy miały błyszczące niczym szlachetne kamienie, łagodne i mądre jak u starzejącej się kurtyzany.

- Tak, tędy musimy iść.

Minęłyśmy jakiś róg i zanurzyłyśmy się w mrok. Żadnych klatek. Jedyne światło przedostawało się przez szpary w pułapie.

- Zazwyczaj były otwarte, często przychodziłyśmy tu z Jane... była zdolnym dzieckiem, nauczyła mnie, jak obsługiwać te stare maszyny...

Przystanęła zdyszana i ruchem ręki wskazała ciężkie dębowe drzwi z witrażami. Metalowe litery o starym kroju tworzyły napis: LAB/POMI NIE AUDI WIZ ALNE. Zdziwiłam się, gdy klamka bez trudu ustąpiła pod moim naciskiem, a Panna Scarlet roześmiała się z widoczną ulgą.

- Tak się bałam, że będzie zamknięte na klucz... nie, żeby ktoś chciał kraść... ale wiesz, jak to jest, administracja się zmienia.

Skinęłam głowę; weszłyśmy. Drzwi zamknęły się za nami z głośnym skrzypieniem. Jakby w odpowiedzi z kąta pokoju rozległ się chór dźwięcznych głosów.

- Ropuchy - orzekła Panna Scarlet. W tej części pomieszczenia pełno było klatek, szklanych, metalowych lub plastikowych, niektóre były prymitywne, wykonane z drewna i

siatki. Suche powietrze przenikała słodycz, ciepło zmieniło się w żar. Otarłam czoło i dmuchnęłam sobie pod koszulę. Pannie Scarlet chyba nie przeszkadzały nawet ciężkie krynoliny. Uniosła spódnicę i przemierzyła pokój, nie spoglądając nawet w stronę klutek. Przy pozbawionej okien ścianie stały metalowe półki, a na nich jakieś stare maszyny, w większości opakowane w aluminium albo metal, chociaż kilka z odsłoniętym mechanizmem, pełnym lśniących kółek, przekładni i dźwigni.

- Jesteśmy w Żłobku - zawołała, machając, żebym do niej podeszła. - Trzymają tu również rzutniki, odtwarzacze wideo i projektory kinowe. Chodź, zobaczysz.

Szłam powoli, często przystając i zaglądając do klutek, gdzie po białych pędach bambusów ganiały się iguany, agamy zaś mrugały ślepiami, pilnując pod lampami ogrzewającymi swoich skórzastych jaj. W ciemnym, chłodnym kącie obdarzone donośnymi głosami ropuchy okazały się zaledwie trzema żabkami, które na mój widok umilkły: opadły im przezroczyste gardziele, na cętkowanych, płowych grzbietach widniały czerwone krzyżyki, jakby ktoś przeorał je paznokciem. Minęłam je i stanęłam przed klatką z napisem: „Wąż ryjonos”. W jamce w piachu leżało kilka jaj barwy zsiadłego mleka, wielkości i kształtu kciuka. Na moich oczach jedno nieznacznie się poruszyło. Przypomniała mi się Jane i radość z narodzin żmij. I zniemacka ogarnęła mnie chęć, by przy nich zostać i złączyć się z tymi nowymi istnieniami. Z bólem serca przypominałam sobie oskarżycielskie spojrzenie Jane i jaszczurkę, którą zabiłam w dzień ucieczki z LIL.

- Wendy! - Wzdrygnęłam się. Panna Scarlet stała na metalowym krześle i kiwała na mnie ręką, marszcząc czoło. - Nie możesz przecież pożerać oczami tych stworów! Jesteś gorsza od Jane.

Wzruszyłam ramionami i przemierzyłam laboratorium. Między nim a miejscem, gdzie zgromadzono maszyny, rozciągała się kilkumetrowa pusta przestrzeń. Z sufitu zwisała jedna jedyna okrzemkowa latarnia, a utrzymujące ją łańcuchy zalewały urządzenia błękitnawym blaskiem. W powietrzu unosił się przyjemny aromat cedru.

- Wężę ryjonosy - stwierdziłam. - A właściwie ich jaja.

- Obrzydlistwo! - Panna Scarlet wybałuszyła oczy - Gardzę wężami... pewnie nie czujesz ich odoru, bo też byś się do nich tak odnosiła.

- Nigdy ich nie widziałam, tylko na obrazkach. Tyle rzeczy... Pokiwała głową i klepnęła mnie po ramieniu.

- No nic, nie zostało nam za dużo czasu, reszta trupy niedługo przybędzie. - Dyskretnie zakasłała. Zorientowałam się, że przystawiła krzesło do projektora. Na jego krawędziach pojawiały się czerwone i zielone punkciki. Po chwili na ciemnym ekranie

zadrżały perłowe iskry. - Wendy?

Ruchem głowy wskazała mi krzesło obok siebie. W kącie pomieszczenia powtórnie rozległ się odgłos ropuch. Usadowiliśmy się na krzesłach i zapatrzyliśmy na jaśniejący ekran.

Zerknęłam na Pannę Scarlet i zauważyłam, że siedzi wyprężona jak struna, z takim wyrazem twarzy, że można by tę minę odczytać jako przerażenie. Niewielki ekran oświetlał jej ciemną twarz zielonkawym blaskiem. Z podniecenia zaczęła kołysać się w tył i w przód.

- Co to takiego, Panno Scarlet?

Odgłosy ropuch zagłuszyła słodsza muzyka. Na czarnym tle ekranu pojawiały się słowa wypisane eleganckim pismem, żółte, zielone i białe, chyba jakieś nazwiska; mnie nie kojarzyły się z niczym.

- To jedna z ich historii - wyszeptała. Złożyła ręce. - Bardzo stara opowieść. Widziałam ją dawno temu i wtedy zdałam sobie sprawę, że nie jestem pierwsza, tak samo, jak gdy spotkałam ciebie, Wendy. Zorientowałam się, że jesteś do mnie podobna...

Na ekranie tańczyły i wirowały kolory, które stworzyły najpierw niewyraźne linie, a potem przybrały określony kształt. Nocne niebo, usiane gwiazdami, niewielkie budynki w dolinie okolonej ośnieżonymi górskimi szczytami. Wysoki głos, tak boleśnie słodki, że zadrżałam i splotłam ręce. Przypominał jeden z Cichych Głosów, nasycający mnie tęsknotą, której nie sposób było ukoić. Nachyliłam się w stronę ekranu. Kwadrat żółtego światła zmienił się w okno, za nim, w pełnym zabawek i zegarów pokoju, siedział samotny mężczyzna; wśród różnych urządzeń pojawiła się mała postać, która śpiewała.

- Kto to jest? - dopytywałam się. Nie są to chyba prawdziwi Aktorzy? Widziałam już hologramy, taśmy wideo, a nawet filmy, ale nigdy czegoś takiego, takich kolorów i twarzy, martwych jak oblicza pafiańskich scholiastów, dziwnych, a zarazem uroczych; poruszały się i mówiły jak ludzie.

- To starożytna opowieść o ludziach, którzy żyli tu przed Pierwszą Ascenzją - szepnęła Panna Scarlet. - To jedna z ich zagubionych Sztuk. Przetrwiała dla ukazania nam ich dawnego świata.

Gdy zaczęłam zadawać kolejne pytanie, przyłożyła palec do ust i pokręciła głową.

- Patrz, Wendy, a zrozumiesz, dlaczego cały czas marzę, byśmy pewnego pięknego dnia stały się Prawdziwymi Ludźmi.

Oglądałam więc i słuchałam historii, jakiej nigdy przedtem nie poznałam. Znałam różne historie, a opowiadająca nam je doktor Harrow przestrzegała:

„Istnieje teraz zbyt wiele historii. Kiedyś była tylko jedna i świat był prostszy.

Obecnie jednak każdej nowej Ascenzji towarzyszy Historyk, Poeta, Zbawca, Zdrajca. - W głowie dudniły mi jej gorzkie słowa. - Bardzo uważnie wybieraj swoją historię, Wendy, bo kreśli ona świat, w którym będziesz żyła”.

Świat z projektora różnił się od tego, który wybrałam. Patrząc na przebiegające ekran dziwne obrazy, uświadamiałam sobie, że jest to świat Panny Scarlet: świat, w którym zwierzęta mówią, a okrucieństwo i dobroć ludzi zostaje karana i wynagradzana; gdzie publiczność obsypywała złotem cudownego fantosza, który tańczył i śpiewał, a mężczyzna mógł pokochać istotę z drewna. W miarę jak rozplątywałam nici tej opowieści - samolubstwo i kłamstwa, lenistwo i zarozumiałość, nadchodzącą za późno słodko-gorzka wiedzę o miłości - zdawałam sobie sprawę, dlaczego chciała pokazać mi tę historię.

„Uważa, że to podobne do moich losów” - myślałam przerażona.

Coś poruszyło się za naszymi plecami. Obejrzałam się i zobaczyłam zamykającą drzwi Jane Alopex, która potrząsała głową na znak, że mam nic nie mówić.

- Patrz - odezwała się Panna Scarlet, gdy dziewczyna wzięła krzesło i usiadła obok nas. Długie czarne włosy sierści wystawały szympancicy zza wysokiego kołnierza. Wyczułam zapach, jaki wydzielala przed każdym spektaklem, mieszaninę lęku, podniecenia i oczekiwania.

- Widzę - odparła Jane, wpuszczając szympansię na kolana. Popatrzyłam z powrotem na ekran. Unosiła się na nim kobieta w długich, błękitnych szatach. Przypominała mi wizerunki Magdaleny widziane w Domu Miramar, tyle że ta miała skrzydła. Zastanawiałam się, czy Magdalena jest aż tak stara: czy przed Pierwszą Ascenzją jej czciciele gromadzili się w Katedrze tak, jak teraz robili to inni.

Błękitna pani na ekranie odezwała się: - „Jeśli nauczysz się być odważny, uczciwy i nie będziesz egoistą, zostaniesz prawdziwym chłopcem”.

Panna Scarlet nie odrywała wzroku od tej sceny. Wiedziałam, że gdyby potrafiła płakać - co było jedną z wielu umiejętności, o których marzyła - z pewnością zalałaby się łzami. Spuściłam wzrok. Nigdy w życiu nie wybrałabym sobie takiego świata.

Po chwili historia się skończyła. Siedziałyśmy dłuższy czas w milczeniu. Wreszcie Jane pochyliła się i coś pstryknęła, tak że ekran poczerniał i ucichł szum maszyn. Panna Scarlet zsunęła się z jej kolan i odeszła kilka kroków.

- No, tak - zaczęła Jane, wstając i przeciągając się - domyśliłam się, że was tu zastanę. Widzę, że Scarlet pokazała ci swoją ulubioną historię. - Skinęłam głową, nie odrywając wzroku od pustego ekranu. - Uwielbiają. W wieku kilku zaledwie lat... po operacji... - Zniżyła głos. - Jeden z Opiekunów zainstalował jej w pokoju projektor. Ten film obejrzała pierwszy. -

Wskazała ręką urządzenie, po czym rzuciła okiem na Pannę Scarlet, stojącą tyłem do nas na końcu pokoju.

- Sądzi, że to prawda - szeptała. Zobaczyłam jej pełen litości wzrok. - Nie zniosłaby żadnej innej prawdy... zresztą nie miałam zamiaru jej uświadamiać, złamałabym jej tylko serce. Popatrz sama! Jest sławna, zna i podziwiająca całe Miasto, można by pomyśleć, że to powinno jej wystarczyć. Ale jej nigdy nie wystarczało. Jest podobna do Pafian. Marzy o tym, że pewnego dnia Magdalena przyjdzie i wszystkich ich ocali: obali Ascendentów, da Kuratorom lekcje pokory, zmieni szympansicę w kobietę. - Wzruszyła ramionami i westchnęła. - Sama chciałabym zamienić się w lisa. Nie musiałabym się wtedy przejmować dzisiejszym wieczorem. Ha! - Roześmiała się i potrząsnęła głową, odrzucając włosy zasłaniające jej oczy. - Znaleźli tego rysia - zawołała do Panny Scarlet. Szympansica odwróciła się, twarz zmarszczyła jej się w uśmiechu. - Ale wcześniej zdążył zabić ulubionego rajskiego ptaka Anatola Ekwestrisa.

- Biedny Anatol! Miałam zamiar prosić go o jeszcze jedną miotełkę z piór do odganiania much, taką, jaką wykonał dla mnie rok temu - powiedziała Panna Scarlet.

Podeszła do nas, z dezaprobatą patrząc na brudne bryczesy Jane i świeżą ranę na jej ramieniu.

- Nie wiem, jak możesz to znosić, Jane. Te... - Zawahała się, dobierając odpowiednie słowa. - Te zwierzaki to barbarzyńcy! Ty i twoi mięsożercy, a teraz na dodatek Wendy przygląda się węzom... - Pokręciła głową. - Która jest godzina? Powinnyśmy już chyba dołączyć do kolegów i zacząć przygotowania do *Burzy* - - Gdy usłyszała, która jest godzina, aż sapnęła. - A miałam jeszcze odwiedzić Koko i Effie!

- Jest jeszcze trochę czasu - zaprotestowała Jane. - Tamci są dopiero w drodze do amfiteatru.

Panna Scarlet nie bardzo wiedziała, co robić, wreszcie westchnęła:

- Pewnie pójdę; nie byłam u nich już prawie rok. Ale to takie trudne...

Poszłam za nimi, z żalem oglądając się na terrarium, gdzie przyklejone do szklanych ścian ropuchy odczekały, aż wyjdziemy z Laboratorium, by podjąć swoją pieśń.

Tymczasem trochę się ochłodziło. Ciemne chmury płynęły po błyskawicznie szarzącym niebie. Powietrze było jednak przyjemne; przeszliśmy szeroką aleję, którą przechadzali się Zoologowie w czystych zielonych, płowych i żółtych tunikach, roześmiani, pogodnie pozdrawiający Jane i Pannę Scarlet.

- Wiedzą, że należysz do trupy Toby'ego, Wendy - stwierdziła z dumą Jane, gdy mijaliśmy gromadę uśmiechniętych kobiet, które niosły nakryte kapturami sokoły,

usadowione na ich nadgarstkach niczym ponurzy mnisi. Kobiety chichotały. Jedna, bez sokoła na ręce, uniosła trzy palce do warg i mrugnęła, potem potarła palcami dłoń na znak, że się mną interesuje. Odwróciłam się. - To znaczy Aidanie - poprawiła się, sprawdzając, czy mnie nie uraziła.

- Nic nie szkodzi, pod warunkiem że nikt nie słyszy - oświadczyłam.

- Nie usłyszają. Nikt mnie tu w ogóle nie słucha. Tędy, Scarlet, to nowy skrót do Domu Naczelnych. Chodźcie.

Zoologowie wytyczyli ścieżkę, zadbaną teraz i wysypaną kamykami, wokół której rosły nagietki, a w pobliżu paliła się kupa zgrabionych dzisiaj suchych liści. Panna Scarlet zakasłała od dymu i została nieco z tyłu. Na końcu ścieżki wznosił się Dom Naczelnych. Nieduży, ale zbudowany ze szkła, żelaza i innych metali sprawiał wrażenie większego. Na przestrzeni wieków szkło zostało w wielu miejscach wybite i zastąpione deskami oraz prowizorycznymi ścianami z metalowych krat, zabranych z innych klatek. Od zarośniętych roślinnością klatek oddzielało nas coś w rodzaju suchej fosy, w której wróble i wiewiórki pracowicie szukały pod bezlistnymi dębami żołędzi.

- Na zimę przeniesiono je do środka - tłumaczyła Jane. Panna Scarlet cały czas szła trochę z tyłu, spuszczać głowę. Jane uniosła brwi. - Scarlet, jeśli nie chcesz, to nie musimy.

- Chcę, chcę - odpowiedziała szympansica. Patrzyła na niewielki, pozbawiony trawy obszar, gdzie na zrytej płowej ziemi leżały odchody i resztki zgniłych marchwi. - Nie czułabym się w porządku.

Przeszliśmy przez ciężkie, metalowe drzwi, pilnowane przez mężczyznę w starszym wieku, który ziewnął i skinął głową, gdy brama zamknęła się za nami ze szczękiem.

- Cześć, Jane - zagadnął. - Co tam u ciebie, Panno Scarlet? Kiwnęła głową, wciąż nie unosząc wzroku. Mimo że budynek był równie porządnie utrzymany jak Dom Gadów, a przy tym lepiej oświetlony, uniosła spódnice z grymasem, jakby obawiała się, że mogą dotknąć podłogi. Zmarszczyłam nos, gdy poczułam ten odór. Ciężkie, duszne powietrze, chłodne, lecz niezbyt świeże. Panował tu zgiełk, który narastał w miarę, jak podchodziliśmy korytarzem do nakrytego dachem, obszernego dziedzińca, gdzie trzymano naczelne.

- O Magdaleno - wymamrotała Scarlet. Jane przygryzła wargę.

- Naprawdę bardzo tu o nie dbamy - tłumaczyła mi. - Co można na to poradzić? Jesteśmy ich Opiekunami, bez nas już dawno temu by wyginęły.

Ze wszystkich stron otaczały nas ogromne kraty od podłogi do sufitu. Za nimi, na pochyłej betonowej podłodze, brudnej od wilgoci, pleśni i uryny, kucały stworzenia bardzo podobne do Panny Scarlet. Tyle że zwałiste, większe niż człowiek, o ociężałych twarzach i

melancholijnych czołach, które nie zwracały się w naszą stronę. Jedna kołysała dziecko, miniaturowe wielkich potworów, które kucaly lub bujały się na podłodze dokoła. Małe wpatrywało się w nas czarnymi, zaciekawionymi oczyma, za to matka obdarzyła nas tylko przelotnym spojrzeniem, natychmiast pochylając się nad niemowlęciem. Olbrzymie ramiona otuliły dziecko, palce poruszały się przed jego pomarszczoną twarzą, wykonując szereg gestów. Gdy się schyliła, zauważyłam, że z ogolonej części czaszki sterczą jakieś czarne przewody. Stojąca obok Panna Scarlet cała się zatrzęsła. Włosy stanęły mi dęba, gdy stwór w klatce wymamrotał chrapliwie:

- Ludzie, ludzie, ludzie. Idź.

- Chodź, Scarlet, nie ma po co... - zaczęła Jane Alopex.

- Ależ jest - ucięła tamta. - Jeśli mam kiedykolwiek zostać prawdziwym człowiekiem, muszę się sporo nauczyć od tych biedactw...

- Po co się męczysz? - odparowała rozzłoszczona Jane. Stała przed klatką, gdzie zwałiste zwierzę o masywnej piersi, długiej, zlepionej, kasztanowej sierści i rękach rozmiarów kiści bananów, kucalo przed spłaszczonym kawałkiem polerowanego metalu. Oglądało obojętnie swoje zniekształcone odbicie, przebierało palcami w powietrzu, marszczyło czoło, jakby usilnie chciało sobie coś przypomnieć.

- One się męczą - mówiła Panna Scarlet. Źrenice jej się rozszerzyły, włosy zjeżyły się na karku. -> To wy ich uwięziliście...

- Bez nas by zginęły! - powtórzyła Jane. Podeszłam do klatki obok, serce waliło mi jak młotem. Skakały tutaj, zmagaly się z sobą i wyły mniejsze małpy. Kilka podbiegło do krawędzi klatki i wbiło we mnie spojrzenia; wsadziły łapy między kraty i chciały poklepać mnie po kolanach, piszcząc i szczebiocząc. Ale po chwili, gdy nie zwróciłam na nie szczególnej uwagi, zaczęły się jakby skarżyć, wystawiać w złości szpony. Odsunęłam się.

W następnej klatce na kłodzie drewna leżała rodzina wysokich, rudowłosych małp człekokształtnych. Najstarsza pielęgnowała jedno z młodszych, przeczesując mu futro, przez co mogłam dojrzeć blizny w miejscach, gdzie tej także robiono wenesekcję. Odeszłam pośpiesznie i wsparłam się o krzywą metalową barierkę, oddychając tylko ustami, żeby nie czuć odoru strachu i otępiającej nudy, które sączyły się z tego miejsca.

- ...to dlaczego nigdy nie próbujecie z nimi porozmawiać, Jane, po co ta nie kończąca się gra w imię nauki?...

Jane podeszła do mnie wielkimi krokami i wyrzuciła w górę ręce, a za nią podążała głośno o czymś ją przekonująca Panna Scarlet. Przycisnęłam kciuki do oczu i zaczerpnęłam głęboko powietrza. Przenikliwy głos Panny Scarlet jakby wzbudzał popłoch wśród

mieszkańców klatek. Małe małpki zaczęły piszczeć, matka z dzieckiem stękała: gardłowym głosem, który stawał się coraz donośniejszy.

- Idź, idź.

- Scarlet, przecież wiesz, że nie cierpię tego jeszcze bardziej niż ty...

Otworzyłam oczy. Panna Scarlet z wściekłością podnosiła i opuszczała ręce, nie zwracając uwagi, że za każdym razem rozdziera sobie sztywne ubrania.

- Po co je w ogóle uczyliście, nie widzicie, że próbują sobie przypomnieć?...

- Co przypomnieć? - włączyłam się, wypuszczając powietrze z płuc.

- Mowę! - zawołała, zgrzytając zębami, Panna Scarlet. - To potomkowie niewolników genetycznych, kiedyś oni nauczyli ich mówić rękami...

- Setki lat temu! - wybuchła Jane. - Teraz same nie wiedzą, co robią, to...

- To ich nauczcie! - krzyknęła Panna Scarlet. Wśród małp wybuchały okrzyki i piski przerażenia. Panna Scarlet przykucnęła i uniosła się na tylnych nogach, jakby czaiła się do skoku na Jane, która przysunęła się w moją stronę i zaczęła za pazuchą poszukiwać broni. Potem Panna Scarlet gwałtownie obróciła się i popędziła do klatki umieszczonej najbliżej drzwi wyjściowych. Tam zatrzymała się w bezruchu, opuszczając ramiona, tak że rękami włóczyła po ziemi, obcierając sobie knykcie. Jane zwróciła na mnie pełne łez oczy.

- Tak jest przy każdych odwiedzinach - mówiła, przestając ścisnąć pistolet. Ruchem ręki dała mi znak, żebyśmy podeszły do stojącej przy ostatniej klatce Panny Scarlet.

Kucały w niej dwie żalosalne postacie. Wpatrywały się tępo w strumyk moczu, płynący do zamontowanej w podłodze zardzewiałej kratki. Siwe, nagie, o czerwonych i pozbawionych wyrazu oczach, należały jednak bez wątpienia do tego samego co Panna Scarlet gatunku. Skuliła się przed nimi, objęła głowę rękami, zamknęła oczy i zaczęła się kołysać, wydając z siebie cichy odgłos „hu-huu”. Złapałam się za gardło - piekły mnie oczy. Nie zdobyłam się jednak na płacz: zwłaszcza że łez pozbawiona była moja ukochana przewodniczka, która kuciała przed klatką i jęczała na znak zwierzęcego, ponadczasowego bólu. Stałam przy Jane Alopex, która wbiła wzrok w podłogę i przycisnęła ręce do boków. Jeden z szympanсів w klatce drapał w podłogę, a drugi uniósł wzrok na Pannę Scarlet. W bruzdach wokół oczu utworzyły się skorupy brudu, na policzku usiadła mucha; wreszcie zwierzę spuściło wzrok na beton. Panna Scarlet skryła twarz w łapach.

- Scarlet, idziemy - odezwała się po kilku minutach Jane. - Niedługo zjawią się tu twoi przyjaciele.

- Tak, tak, już idę - odpowiedziała tamta ściszym głosem. Odwróciła się od klatki i ujęła mnie za rękę. - Wybaczcie, Jane, Wendy.

Gdy przemierzałyśmy dziedziniec, mały wyły, a jedna z człekokształtnych wyszczerzyła na nasz widok zęby. Stróż przy bramie powiadomił nas, że Toby z resztą aktorów przybyli już budą na kółkach i ustawiają dekoracje w amfiteatrze.

- Pośpieszcie się. - Poklepał Pannę Scarlet po głowie. - Zajrzyj tu jeszcze, Scarlet. Tęsknimy za tobą.

Panna Scarlet, już spokojna uśmiechała się teraz blado. Gdy znalazłyśmy się na ścieżce do amfiteatru, na zimno rozważała wieczorne przedstawienie; ale odwracała wzrok od klatek.

Popołudnie przeszło w zachmurzony, lecz obiecujący wieczór. Czułam się tak, jakby wszystkie zdarzenia tego dnia, jego osobliwość i lęki, wiodły do tego właśnie występu i tego miejsca: starożytnego, wykopanego w ziemi amfiteatru, gdzie gromadziły się już pierwsze lektyki biesiadników, a Toby i reszta trupy usiłowali rozładować paskowany wóz cyrkowy.

Amfiteatr wbudowano w zbocze naprzeciwko Pogrążonej Katedry, tego palca złowieszczo i groźnie wyciągniętego przeciw zachodzącemu słońcu. Między rzędami kamiennych siedzeń, zanurzonych w wilgotną trawę, płonęły pochodnie i biegało kilkoro rozwrzeszczanych dzieciaków. Gromadka Zoologów zebrała się, aby obejrzeć, jak Toby, Fabian i Justice zmagają się z dekoracjami do *Burzy*. Do kolorowo pomalowanego wozu, załadowanego stertami kostiumów i rekwizytów, zaprzęgnięto dwójkę pasiastych koni, które rżały i chciały kopnąć Fabiana, ściągającego z wozu kolumnę z masy papierowej.

- Jak to miło, że wpadliście - zawołał, gdy wysunęliśmy się zza tłumu gapiów. Cisnął mi kosz, po czym zwrócił się w stronę ciężko dyszącego Justice'a.

- Świetnie to rozplanowałaś, Aidan. Cała ciężka robota już odwalona - stwierdził Justice, ocierając czoło i przebywając kilka ostatnich stopni, które go od nas dzieliły. - Szukał cię Toby.

Jego ciężki warkocz rozplótł się i opadł na ciemnoniebieski kombinezon z rodzaju tych, jakie zakładaliśmy przy stawianiu lub rozmontowaniu dekoracji, znoszony i poplamiony: prawdziwy Aktor, a nie Dziecię Magdaleny. Mimo wszystko na jego widok uśmiechnęłam się od ucha do ucha. Rozglądałam się za Gitaną i Mehitabel, wreszcie wypatrzyłam je u stóp wzgórza, jak razem z Tobym rozwieszały kuliste latarnie wokół kawałka łąki, który miał stać się naszą sceną. Schwyciłam rzucony przez Fabiana kosz i zaczęłam z nim schodzić. Justice wziął kolejny i pognał za mną, ślizgając się na trawie.

- Szkoda, że Toby nie pozwolił ci z nami pójść - zaczęłam. Z tyłu dobiegł mnie chrapliwy śmiech Jane i ożywione głosy innych Zoologów, którzy witali się z Panną Scarlet. - Panna Scarlet pokazała mi projektor...

- Było dużo roboty. - Wzruszył ramionami. - I musiałem przećwiczyć swoje kwestie...

- Z Mehitabel! - sapnęłam.

Justice spojrzał na mnie z szerokim uśmiechem.

- Istotnie, razem z nią. W sumie jest dość utalentowana. Postawiłam kosz, udając, że poprawiam zamocowanie.

- Gdybyś chciał, to bym ci pomogła.

Z boku dobiegły chichoty i donośny głos Toby'ego:

- Nie tę! Matko święta, ta dziewczucha nie ma kropli oleju w głowie! - Toby uniósł głowę i machnął na mnie zniecierpliwiony.

- Najwyższy czas, Aidanie! Ta idiotka wzięła zły kostium dla Kalibana. - Justice zaśmiał się i pomógł mi zarzucić kosz na plecy. - Może ludzie Rufusa Lynxa pomogą nam coś znaleźć - dorzucił, widząc, jak Toby rzuca się na chichoczącą Mehitabel. Zbiegliśmy po kilku ostatnich schodkach i postawiliśmy kosze na trawie. - Jest jeszcze trochę czasu.

- Namąciłeś jej w głowie, Justice. Toby jest bardzo zły. - Mehitabel poprawiła okulary i wbiła w niego gniewny wzrok.

Zza kolumny z papier-mache dobiegł wrzask, a po nim miękki odgłos wymierzanego policzka. Kolumna przewróciła się i wyłoniła się zza niej rozplakana Mehitabel i trący się po twarzy Toby.

- Sądzę, że Aidan potrafi sam zaimprovizować kostium - orzekł Toby, podchodząc do nas wielkimi krokami. Gitana rzuciła na niego złym okiem, potem wzięła Mehitabel za rękę i zaprowadziła ją na szczyt wzgórza. Toby z ulgą śledził je wzrokiem.

Dziewczęta zniknęły nam z oczu. Na wzgórzu Panna Scarlet i Jane siedziały na wozie i z ożywieniem rozmawiały z grupą Zoologów. Kuratorzy odeszli już przeważnie w mrok, a towarzyszyli im Pafianie w pierzastych maskach i dziobach ze złocistego papieru, nawiązujących do głównego punktu wieczoru, Maski Sów. Na ciemniejszym niebie pokazywały się pierwsze gwiazdy. Z oddali dolatywała niewyraźna muzyka.

- Najpierw zjedzą kolację - stwierdził Toby. - Proszę nie zapominać, że jak zwykle po przedstawieniu jesteśmy zaproszeni na ucztę w towarzystwie gospodarzy. - Podniósł szalik, który wypadł z kosza. - Ci zaszrani Kuratorzy myślą chyba, że Aktorzy lepiej grają o pustych żołądkach. No dobra, chodź, Kalibanie, wymyślimy ci jakiś kostium. Czy Panna Scarlet odbyła codzienną drzemkę?

Przy akompaniamencie płynącej z maski muzyki przygotowaliśmy swoją małą scenę. Nie odstępowałam Justice'a, proponując pomoc przy nauce kwestii. Odmawiał, ale moje towarzystwo było mu widocznie miłe. Gdy wszyscy inni zajęli się szykowaniem

dzbaną, który miał zapłonąć i dać dużo dymu na czas jednej ze scen z moim udziałem, pociągnął mnie za drzewo.

- Mówiłaś serio, Wendy? - dopytywał się. - Że jest ci żal, że z wami nie poszedłem?

- Tak. - Ujęłam go pod brodę i przechyliłam twarz w kierunku pochodni. Wpatrywałam się w nią przez chwilę, potem pocałowałam, nie gryząc (choć miałam ochotę) i nie próbując odczytać jego pragnień. Zresztą było je widać jak na dłoni.

- Nie pora na to - warknął przechodzący z rekwizytami Fabian. - Przygotowałeś sobie kostium, Kalibanie? - Szturchnął mnie tępym końcem miecza. Odepchnęłam Justice'a i skryłam się za krzaki miłorzębu, jakbym tam czegoś szukała; zdążyłam jednak dostrzec, jak Fabian mruga do Justice'a, a ten spogląda za mną uradowany.

Wkrótce z kolacji wróciły Gitana i Mehitabel. Zarumieniona Mehitabel sprawiała wrażenie szczęśliwej, co miało bez wątpienia związek z zawartością srebrnej karafki, którą wyjęła spod spódnic. Na stosie poduszek, otoczona kilkoma prześcieradłami, które rozwieszono na drzewkach miłorzębu, wreszcie zapadła w sen Panna Scarlet. Jej ciche chrapanie mieszało się z cykaniem świerszczy i okrzykami, które od czasu do czasu dochodziły od miejsca, gdzie odbywała się biesiada urodzinowa Regenta.

Po mniej więcej godzinie do amfiteatru zaczęli schodzić się Zoologowie i ich pafiańscy goście. Tych ostatnich trudno było rozpoznać ze względu na wymyślne fryzury i błyszczące maski, lecz niektórzy kpiąco się nam kłaniali i unosili palce w rękawiczkach do ust. Szczególnie jeden z wielką radością wypatrzył Mehitabel, skrytą nieśmiało za drzewem rozjaśnionym białymi świecami. Starsze dzieci Zoologów zbiegały wesoło po zboczu, niosąc pochodnie i kuliste *ignis flora* dla starszych, z których wielu poddało się już urokowi żądzy lub alkoholu. Wspierali się ociężale na ramionach pafiańskich towarzyszy albo hałaśliwie się nawoływali, naśladując ryki i skamlania swoich podopiecznych, co skłaniało niewidocznych mieszkańców zoo, skrytych wśród drzew, do gwałtownych reakcji. Wypatrzyłam dziewczynę, która miała podarować Regentowi cętkowanego rysia. Ubrana w gołębioszarą szatę, z ukształtowaną w łuk fryzurą ze szmaragdowych piór, trąkotała radośnie u boku Rufusa. Wszystko wskazywało na to, że tego wieczoru nie przewidywano pojawienia się samego rysia. Kolejny punkt programu uroczystości stanowiła nasza sztuka.

Za zasłonami, które oddzielały „kulisy”, Aktorzy gromadzili rekwizyty. Panna Scarlet skończyła drzemkę. Pomogłam jej nałożyć suknię, głaskałam dla ukojenia tremy i wytrzepałam blond perukę Mirandy.

- A gdzie twój kostium Kalibana, Wendy? - pytała. - Nie możesz odgrywać podwójnej roli w czymś takim...

Pokazała palcem białą halkę ze srebrnymi gwiazdami, którą nosiłam jako Ariel.

Z przewróconego kosza wydobyłam podartą szkarłatną tunikę, tę samą, którą miał na sobie Fabian podczas żartobliwych przekomarzań za kulisami. Narzuciłam ją na strój Ariela i roztarłam na twarzy błoto. Włosy potargałam, a na koniec wsadziłam za uszy parę suchych liści.

- Proszę bardzo - oświadczyłam, wykrzywiając twarz w uśmiechu. - Kaliban: Rozdziawiony we własnej osobie.

Pokręciła głową. Zatupała nogą, zdjęła z wysokiego obcasu zapinanych na guziki butów jakąś gałązkę i spojrzała na mnie zamglonym wzrokiem.

- Tak dłużej być nie może, Wendy. Czeka na ciebie cała sala Pafian. Wywołasz tylko zamieszki. To wcale nie jest dobry pomysł.

- Za późno; nie mam nic innego. Na stokach amfiteatru rozległ się chór zachrypniętych głosów, śpiewających *Pieśń Świętego Alabana*. Należało zaraz zaczynać, żeby widzowie nie poczuli się zbyt swobodnie. Zamknęłam oczy i przywołałam obraz Chłopca, aż zalała mnie fala powstrzymywanej wściekłości, co pomogło mi w jasnym wyobrażeniu sobie roli Kalibana. Ten metaliczny posmak w głębi gardła; pieczenie w oczach. Zacerpnęłam tchu i odepchnęłam postać, która szukała mnie po omacku. Skłoniłam się Pannie Scarlet. Odsłoniłam trochę zasłonę i poszłam, zabierając niewielką kosmetyczkę i kryjąc się za największym drzewem na skraju sceny.

Na środku stał Fabian, który odchrząknął i zaanonsował:

- Z okazji urodzin Regenta Zoologów, Rufusa Lynxa, zostanie teraz zaprezentowana sztuka pod tytułem *Burza* w adaptacji Tobiasza Rhymera i wykonaniu jego trupy.

Gwizdy podchmielonych Zoologów. Na ławce naprzeciw sceny siedział rozpromieniony Rufus, otoczony kilkoma Iliryjczykami, którzy trzymali na kolanach maski z piór. Na końcu tego rzędu siedziała Jane Alopex. Dojrzała mnie i zamachała ręką. Pokiwałam palcem (bardzo nieprofesjonalnie) i skryłam się w cieniu.

Moje pierwsze pojawienie się w roli Ariela wywołało oklaski Pafian. Był to dopiero przedsmak tego, co spotkało mnie chwilę później, gdy wystąpiłam jako Kaliban, z czerwoną tuniką narzuconą niestarannie na powiewny strój Ariela. Z włosów spadały mi liście, gdy parłam ku Toby'emu, wspianemu w szatach czarodzieja i turbanie. Bezczelnie go skląłam i zaczęłam warczeć na skrytą za ojcem Mirandę.

- Witam, kuzynie! - wrzasnęła jakaś kobieta ze stoku wzgórze. Kątem oka zobaczyłam wstającą z trudem Pafiankę z wieńcem papuzich piór, po łotrowsku nasuniętych na czoło. Zdążyła przesłać mi pafiańskie pozdrowienie, zanim siedzący obok mężczyzna ściągnął ją z

powrotem na siedzenie. Inni obecni Pafianie podchwycili jej okrzyk i witali mnie jako Aidana, Rafaela i Baala-Flegora, demona, którego zwali Nagim Panem. Zoologowie na próżno usiłowali uciszyć gości.

Toby świdrował mnie groźnym spojrzeniem, które skupiało się szczególnie na kostiumie. Pośpiesznie zeszedłam ze sceny z drugiej strony, woląc nie stawać z nim twarzą w twarz. Fabian, cicho pogwizdując, przeszedł koło mnie w stronę sceny, kręcąc głową. W cieniu za jedną z pochodni czekał Justice, który przyciągnął mnie do siebie.

- Słyszałeś? - wyszeptalam z uniesieniem. - „Pan Śmierci, Baal”!

Z drugiej strony sceny dobiegł mnie głos Toby’ego, przypominającego mi o mojej kwestii. Dałam Justice’owi znak, żeby zaczekał, po czym zaczęłam śpiewać głosem Ariela:

Już nie straszne mu cierpienia:

*W klejnot morza się przemienia (...)**

* W. Shakespeare, *Burza*, przeł. S. Barańczak, Wyd. „W drodze”, Poznań 1991, akt I, scena 2.

Śpiewając, zdierałam z siebie czerwoną tunikę, naplułam sobie na ręce i próbowałam zmyć z twarzy brud. Cała trzęsłam się z emocji i dla ukojenia rozdygotanych nerwów wsparłam się na ramieniu Justice’a.

- Cii! - Obejrzał się za siebie, po czym spojrzał na bok, gdzie za ostatnim rzędem siedzeń wyrastała kępa drzew. - Wendy, widzisz łazarzy?

Wyteżałam wzrok, nie dowierzając. Poprawiłam niemal przezroczystą suknię Ariela i straciłam z czoła liść.

- Gdzie?

- Na stoku wzgórza, wśród drzew.

Toby dobitnie powtórzył jakąś swoją linijkę. Justice skrzywił się i pognął na scenę, żeby wypowiedzieć parę krótkich kwestii. Po chwili wrócił i szepnął:

- Gdy wyjdiesz teraz na scenę, patrz w lewo: w krzakach pod tym wielkim dębem. Doliczyłem się pięciu, mają jeszcze jakieś towarzystwo, pewnie szakaludzi. - Twarz pod łuszczącym się pudrem spopieliała, trząsł mu się głos. - Tak jak na Balu Motyli, Wendy... zabiorą nas...

- Nie - odparłam, wbijając wzrok w niewyraźne sylwetki, jakbym chciała je w ten sposób zniszczyć. - Nie wezmą. Nie pozwolę.

- Wendy! Jak...

Oto i na mnie przyszła pora. Uścisnęłam mu rękę, pospieszyłam na scenę, wygłosiłam mowę Ariela i szybko zbiegłam. Za kilka minut miałam pojawić się tam jako Kaliban. Za

sceną rosła mała kępa brzoź. Schwyciłam tunikę i zakradłam się do niej nie zauważona. Przywarłam do jednego z większych pni i zaczęłam omiatać wzrokiem zbocza wzgórze w poszukiwaniu łazarzy.

Znalazłam. Serce zamarło mi w piersi, gdy zorientowałam się, jak blisko stali. Czekali kołem na krawędzi amfiteatru, skryci za krzakami i w wysokiej trawie. Poczynali sobie coraz śmielej. Kilku wyprostowało się, by lepiej widzieć przebieg sztuki - chyba z ogromnym zainteresowaniem, bo w przyćmionym świetle pochodni widać było, jak zakrywają usta, żeby stłumić śmiech. Szybko naliczyłam dziesięciu. I to nie tylko dzieci. Zauważyłam cztery wyższe postacie, zbite w gromadkę, o długich, zlepionych włosach i brudnych twarzach. Ale nawet z tej odległości widać było śniadą cerę i okrągłe oczy, co oznaczało, że pochodzą z Domu Wysokiej Brazylii. Oglądali przedstawienie łapczywie, jakby zazdrościli żywym udziału w uczcie życia.

Kilka kroków dalej stała jeszcze jedna wyniosła postać: żyłasta, o długich, zmierzwionych włosach i znajomej sylwetce. Wpatrywałam się w nią przez dłuższy czas, usiłując sobie przypomnieć: zapewne wielbicielka z jakiejś poprzedniej maski. Na koniec zwróciłam uwagę na inne, jeszcze osobliwsze stwory, które przechadzały się wśród Pafian. Z początku myślałam, że z ogrodów zoologicznych zbiegło więcej zwierząt. Duże, potężne stworzenia, nachylone jak małpy człekokształtne, które widziałam w Domu Naczelnych, z krzywymi grzbietami, jakby nie przyzwyczajonymi do chodzenia prosto. Rzuciłam okiem na scenę, sprawdzając, czy nie przepuściłam swojej kwestii, po czym zafascynowana wróciłam wzrokiem do nich. Przemykały między łazarzami, długie i cienkie ogony niespokojnie uderzały w wysoką trawę. Co kilka minut przybliżały się do wyższych Pafian. Nastawiały szpiczaste uszy, chcąc lepiej dosłyszeć głosy z amfiteatru. Pod ciężkim czołem lśniły inteligentne oczy, mocarne kończyny przednie kończyły się sękatymi dłońmi. Wciągnęłam nosem powietrze i wychwyciłam ich cuchnący odór: psia wiernopoddańczość i wilcza żądza krwi, z trudem trzymana na wodzy w obecności ludzkich łazarzy.

Szakałudzie i schwytni Pafianie, którzy służyli Szaleńcowi w Pograżonej Katedrze. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, jak odważni (lub lekkomyślni) muszą być Zoologowie, którzy mają ich właściwie pod bokiem.

Zerknęłam na Aktorów i publiczność. Zarówno Zoologowie, jak i Pafianie wpatrywali się urzeczeni, jak Toby rzuca czary, a Panna Scarlet Pan mu się opiera. Przez chwilę widzowie na wzgórzu również znaleźli się pod urokiem widowiska. Łazarze i szakałudzie, oswojeni za pomocą starożytniej sztuki scenicznej: taką opowieść Toby Rhymer mógłby przekazywać z dumą, tylko czy pozostałoby na świecie jeszcze jacyś słuchacze? Kilkadziesiąt

oszałałych, piszczących małąp i niezliczone dzikie zwierzęta w klatkach. Mogłabym teraz czmychnąć, nawet ostrzec Justice'a i innych Aktorów poza sceną, żeby ratowali skórę, pozostawiając innych, Aktorów i publiczność, na łaskę i niełaskę Królewskiego Motłochu.

Nie mogłam jednak ich tak po prostu porzucić. Próbowałam wyobrazić sobie, jak uciekam, jak przyjmują mnie w jakimś Domu Pafianie, Kuratorzy, może nawet z powrotem w LIL. Gdy tylko wyobraziłam sobie siebie bezpieczną w Pokoju Horne'a czy którymś z serajów Domu Miramar, pojawiał się natychmiast jakiś cień, który rozpraszał ten obraz. Panna Scarlet z wygoloną głową i wystającymi z czaszki elektrodami, głodzona za żelaznymi kratami. Toby Rhymer rozrywany drapieżnymi szczękami szakaludzi. Walcząca dzielnie Jane Alopex, przebita w końcu strzałami szakaludzi. I najgorsza ze wszystkich myśl o nieżyjącym Justisie, jego sklejonych od krwi złotych włosach, pustych i martwych niebieskich oczach.

Przeszył mnie nagły paroksyzm gniewu, furii, że zostałam w ten sposób zniewolona. Zakręciło mi się w głowie, gdy patrzyłam na Toby'ego, który miotał się po scenie i rzucał garściami złoty pył. Powietrze przecięły gorzkie słowa Prospera:

Marny robaku! Toczy cię choroba; Dowodzi tego twoje tu zjawienie!

Ponuro skinęłam głową. Nie mogłam skazać ich na pewną śmierć. Coś łączyło mnie z nimi wszystkimi, z Justisem, Panną Scarlet i gorzką Gitaną, z Jane Alopex i wszystkimi bezimiennymi, buńczucznymi Zoologami i wykwinnymi Pafianami, nawet z bezmyślnymi małąpami, które przekazywały sobie między klatkami jakieś sygnały. W uszach jęczały głosy: już nie Głosy umarłych, lecz zapamiętane słowa tych, którzy oglądali sztukę lub przechadzali się w pobliżu dumnym krokiem. Panna Scarlet recytująca wiersze, Justice wyznający ze łzami w oczach, że mnie kocha, chrapliwy śmiech Jane Alopex. Zaciśnęłam zęby i całą siłą woli starałam się zmusić do ucieczki. Nic z tego nie wyszło. Mój los na dobre i złe złączył się z tymi Aktorami, Kurwami i Kuratorami. Kiedy będzie trzeba, umrę razem z nimi.

Na scenie rozległ się słodki tenor Fabiana, znak, że za kilka chwili mam się tam znowu pojawić. Poprawiłam tunikę, zastanawiając się, jak tu powstrzymać atak pafiańskich renegatów i szakaludzi. Śmiałe słowa, jakie wypowiedziałam do Justice'a, były tylko czczymi przechwałkami. Czułam już jednak zew radosnej trwogi i wyczekiwania, kotłowała się we mnie hipostaza Chłopca: lewiatan skryty pod spokojną powierzchnią wód. Przypomniał mi się wierszyk Panny Scarlet:

*Kto mogąc wzgardzić, nie okaże wzgardy I kto nie czyni, co się czynie zdaje **

* W. Shakespeare, *Sonet XCIV*, op. cit.

I poczułam jednocześnie grozę, siłę i pożądanie, wiedząc, że zrobię dokładnie to, czego nie powinnam.

- Witam, młody Panie Śmierci - szepczę i wybucham śmiechem.

Staję na brzegu sceny, koncentruję się na obrazie drzewa, świeżych liści i powiewów łagodniejszych niż w ten późnojesienny wieczór. Zaciskam ręce i wzywam Go, słyszę niewyraźne przestrogi Cichych Głosów...

„Wendy, nie! Jest za mocny, za zimny, taki zimny!”

Zagłuszam je i przywołuję obraz skazanych na zagładę bliźniaków, skrytych pośród kwiatów jabłoni; lśnią w słońcu wśród okruchów liści i kwiatów, śpiewają wysokimi głosami:

Oto stoimy

Oko przy dłoni i serce przy głowie,

Głęboko w mroku z umarłymi.

Serce wali jak młotem, jakby wstrzyknięto mi kryształową adrenalinę. Wchodząc na scenę, słyszę pieśń zabek, szeptane bezsensowne słowa: trzask gałęzi, łamiącej się pod jakimś kształtem, gdy wahadło przechodzi w inny wymiar czasowy. Usta wypełnia mi gorzki płyn, smakujący niczym rozgrzana miedź. W powietrzu roznosi się zapach kwiatów jabłoni.

I oto jest, Jego zielone oczy rozbłyskują złośliwie na mój widok: drżąca postać, jakby utworzona przez drobinki światła. Prześwieca przez Niego blask pochodni. Wypuszczam powietrze i mrugam, próbuję ujrzeć scenę i Aktorów, oświetlonych od tyłu kapiącymi pochodniami. Światło faluje w powietrzu przed moją twarzą. Fabian unosi głowę na powitanie:

(...) Proszę!

Znów któryś z duchów przychodzi mnie dręczyć (...)

Końcówka ostatniej linijki utyka mu w gardle, gdyż nagle dostrzega między nami jakąś widmową postać o włosach z przezroczystej wody i oczach, które blaskiem przewyższają dogasające latarnie, piękną twarz i ciało chłopca, który odwraca się ode mnie i wyciąga białą rękę ku przerażonemu Aktorowi. Z widowni dobiegają westchnienia i zduszone okrzyki. Zakłęcia Toby'ego zmieniają się w absolutne zdumienie, słyszę, jak Panna Scarlet wykrzykuje moje imię.

Śmieję się i robię krok w stronę promienistego widma, które zajmuje środek sceny. Zoologowie uciszają pafiańskich gości. Bardzo się cieszą, przekonani, że widzą cud sztuki scenicznej, dokonany specjalnie na urodziny ich Regenta.

Wszystko na chwilę zamiera: Aktorzy zapomnieli kwestii, publiczność czeka niecierpliwie. Trawa na stoku wzgórze szeleści pod nogami zbliżających się łazarzy, słyszę głębokie kaszlnięcia, towarzyszące oddechom szakaludzi. Chłopiec także czeka, ujmując się pod brodę i mrugając szmaragdowymi oczami.

I gdy już wszystkim wydaje się, że zdarzy się coś okropnego: szakaludzie wyskoczą z chaszczy i podgryzą Rufusowi Lurixowi gardło; Chłopiec weźmie za rękę Fabiana i doprowadzi go do samobójczej rozpacz; Mehitabel wrzaśnie i zepsuje następne wejście Panny Scarlet - gdy już myślę, że dostanę ataku i wszystko skończy się strasznym finałem...

Justice wkracza na scenę, jasne włosy jakby pociemniały mu ze strachu i nabrały w blasku płomieni koloru krwi. Krzyczy trzęsącym się głosem: „Co się dzieje? Co to? Diabły?”

Westchnienie ulgi ze strony publiczności. Skryte pośród drzew postacie zastygają. Rozbrzmiewa mój głos, gdy idę chwiejnie w stronę błyszczącego widma: „Ten duch nie daje mi spokoju”.

Pojedyncze oklaski Zoologów. Pafianie niewyraźnym szeptem wzywają Magdaleny. Próbuję zajrzeć w oczy Fabianowi. Beznadziejne przedsięwzięcie. Stoi jak sparalizowany, uniósł ręce, jakby chciał odeprzeć eteryczną istotę, wiszącą przed nim w powietrzu, która spogląda na widzów zimnym, lecz spokojnym wzrokiem właściciela.

Wtedy Justice deklamuje kwestię Fabiana, z trudem docierając do jej końca. Kucam i zamierzam się na powietrze, jakby czaiły się w nim demony, i odpowiadam:

(...)jego duchy podstuchują (...)

Ale wystarczy byle co, by pan mój

Poszczuł je na mnie. (...) czasem

Wiją się po mnie jak oślizle żmije

Z rozwidłonymi językami, sykiem

Doprowadzając mnie do szału. (...)

Czy ty się boisz?

- „Ja, skądże znowu”. - odpowiada niepewnie Justice. Chłopiec zwraca ku mnie wzrok. Oczy lśnią mu bezlitosną rozkoszą, gdy ja ciągnę:

Nie bój się, wyspa jest pełna przyjemnych

Dźwięków i śpiewów. (...)

a czasem się budzę

I jakieś głosy znów mnie usypiają.

(...) wtedy się budzę

*Z płaczem, bo pragnę, by śniło się dalej**

* Cytaty pochodzą z *Burzy* W. Shakespeare'a, op. cit., akt II i III.

W tym czasie Kaliban krzyczy i szamocze się, a Fabian nareszcie wtrąca liniijkę (zresztą niewłaściwą), Chłopiec wbija we mnie wzrok i powoli rozpływa się w powietrzu.

Wśród publiczności wybuchają aplauz. Harmider trwa przez cały kwadrans. Toby i

Panna Scarlet wkroczyli na scenę i usiłowali przywrócić odrobinę porządku. Ukłoniłam się i zbiegłam pędem ze sceny, zajmując miejsce, z którego mogłam ogarnąć wzrokiem cały amfiteatr. Łazarze i szakaludzie uciekli, chcąc zapewne zanieść wieści o tym cudzie swojemu panu w Katedrze.

Tylko jedna z nich się nie ruszyła. Stała bezczelnie przed wszystkimi widzami, blond włosy płonęły w blasku pochodni, twarz przeorały blizny, które jednak nie utrudniały rozpoznania. Zaśmiała się cicho i pomachała ręką, wołając ściszym głosem:

- Cześć, Wendy. Zabili Andrew, Merle, Gligora, doktora Lesliego i doktora Silverthorna, i w ogóle wszystkich, z wyjątkiem Anny! - Obejrzała się przez ramię, po czym dodała: - Cieszę się, że zginęli. Wszyscy mnie okłamali, doktor Leslie, Andrew, a teraz nie żyją, i ja niedługo do nich dołączę.

Powiew wiatru przyniósł jej słodki, zimny śmiech; zadrżałam. Uderzyła się po twarzy, jakby ukąsił ją jakiś owad, zapatrzyła się w puste powietrze, wreszcie przypomniała sobie o mojej obecności i spojrzała ku mnie.

- Słuchaj, Wendy! Powinnaś uważać. Koniec końców ci Doktorzy nie okazali się tacy znowu mili. Ten człowiek, Awiator, cię szuka. Jest bardziej obłąkany od doktora Lesliego. Wie, że występujesz z Aktorami...

- Uważaj, Wendy, trzymaj się z dala od Maski w Noc Zimową...

Skrzywiła się i przyłożyła ręce do skroni, jakby miała ochotę wrzasnąć z bólu; ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, odwróciła się i ruszyła w ciemność.

Oślupiała wróciłam do amfiteatru. Toby'emu udało się na tyle uspokoić tłumy, że mogliśmy dokończyć przedstawienie, z którego niewiele jednak pamiętam. Pominęliśmy kilka pomniejszych scen, gdyż Mehitabel nie chciała przebywać ze mną na scenie; ale - jak zapewniała rano Jane - nikt niczego nie zauważył. I mimo że po ostatnim ukłonie zęgnęły mnie huczne brawa, wyczuwało się lekkie rozczarowanie. Po Rozdziawionym nie zostało ani śladu. Zoologowie przetrząsnęli scenę w poszukiwaniu jakichś kabli lub innych dowodów technicznej magii, ale nic nie znaleźli. Ja też czułam się zawiedziona. Ostatnia kwestia wyszła mi kiepsko, bolała mnie głowa. Najbardziej męczyło mnie wspomnienie nagłego pojawienia się Anny, ale nie powiedziałam o tym ani słowa. Kilka najbliższych godzin mogłam znieść tylko dzięki zachwytowi Justice'a, że udało mu się wyratować Fabiana z opresji.

Z małego przyjęcia po spektaklu wyszłam, najwcześniej jak się tylko dało. Uczestniczyli w nim jedynie członkowie trupy Toby'ego oraz kilku Zoologów i Pafian, ale i ci bez przerwy zamęczali mnie pytaniami. Szczególnie Toby'emu zależało na zachowaniu wrażenia, że to on sam starannie zaplanował pojawienie się widma w Akcie II. Ja sama nie

zdradzałam się przed nikim. Zirytowany moją opryskliwością Justice, zwrócił się w końcu do Mehitabel. Ja zachowywałam ponure milczenie, by sobie w końcu pójść. Gonił mnie zgiewk biesiadników. Chodziłam zła i samotna po terenie zoo.

Ochłodziło się. Większość obecnych udała się już do Domu Lwów na właściwą maskę, skąd dobiegała muzyka, jaskrawy blask świec i odgłos śmiechów. Obeszłam tę część zoo z daleka i skierowałam się na jakąś wąską drogę. Na niebie świecił księżyc w trzeciej kwadrze, pokrywając ziemię białymi i szarymi plamami. Bezsilnie kopałam kupy zeschniętych liści i piór, które opadły z ptasich kostiumów. Nie wiedziałam, dlaczego - skoro już dane zostały mi uczucia - odczuwałam tylko smutek.

Zawędrowałam w końcu do olbrzymich bram ogrodów, zamkniętych teraz na łańcuchy. Przed nimi wznosił się masywny, wielowiekowy Dąb Regenta, ukazując w księżycowej poświacie swe złowieszcze, sękate konary. Za żelazną przegrodą widziałam Pograżoną Katedrę na szczycie Wzgórza Świętego Alabana: posępna, czarna budowla, migocząca różnymi kolorami, jakby stała skąpana w blasku innego, starszego księżyca. Odwróciłam się od tego niepokojącego widoku i oparłam o Dąb Regenta. Dotknęłam policzkiem szorstkiej kory i westchnęłam.

Z chęcią bym się stąd wydostała. Łatwo byłoby przejść przez bramy i pójść do Katedry na pewną śmierć. Pannie Scarlet pękłoby serce, Toby nie posiadałby się z gniewu, że oto stracił najcenniejszego aktora. Być może Justice miałby wyrzuty sumienia, że zmarnował ostatni wieczór z Mehitabel...

Zza pleców dobiegł mnie cichy odgłos, podobny do tłumionego śmiechu. Obróciłam się na pięcie, niemal spodziewając się ujrzeć Justice'a. Ale to nie był on.

Pod zimnym księżycem stał Chłopiec: w koronie z liści, nagi, o lśniącym białej skórze. Zdawało się, że nie zwraca uwagi na otoczenie, jakby na podobieństwo kolibrów przemieszczał się w powietrzu subtelniejszym niż to, które otaczało księżyc, drzewa i żelazne bramy, tak że jego oczom jawiły się one jako swego rodzaju mgiełka. Mnie jednak widział i przywitał ukłonem. Miał kpiący wyraz twarzy, ale gdy uniósł głowę, w Jego szmaragdowych oczach widziałam szacunek.

- Witam, o Pani - zagaił. Mimo powagi, którą starał się zachować, w jego głosie można było wyczuć rozbawienie. I coś na podobieństwo litości, gdyby był w stanie ją odczuwać. A nie był.

- Nazywam się Aidan Arent. - Odsunęłam się od dębu, przyglądałam włosy i spojrzałam w dół wzgórza, skąd dolatywała muzyka Maski Sów.

- Nie usłyszają nas, Wendy. - Chłopiec potrząsnął głową. - Ja przecież wiem, kim jesteś

naprawdę.

- Po co tu przyszedłeś? - Przysunęłam się do drzewa.

- Bo mnie wezwałaś. Zawsze przychodzę na wezwania.

- Skąd znasz moje imię? Roześmiał się.

- Znam cię od zawsze i znam twoje imię, Pani. Aidana Harrow eż znałem, chociaż on teraz już by mnie nie poznał.

- A to dlaczego? - Przezornie odstałam od Niego o krok.

- Bo jestem dla niego wcieleniem grozy i zepsucia i nazywa mnie imieniem, które jest jednym z moich wielu.

- A jakie to imię? - Nie wiedzieć czemu, poczułam uniesienie, niemal jakbym wyzbyła się ciała. Jak w cudownym śnie, gdy przysysam się do jakiegoś więźnia LIL i odkrywam w jego duszy nie zasmakowane dotąd włókno pożądania. Uśmiechnęłam się od ucha do ucha, On odwzajemnił uśmiech. - Powiedz, Chłopcze.

- A jak sądzisz, Pani? - zripostował.

Zmarszczyłam czoło na dźwięk słowa „Pani”. Może jednak sobie ze mnie pokpiwa.

- Pafianie nazywają Cię Rozdziawionym.

Zmrużył oczy i nieznacznie skinął głową, jak gdyby był ascendenckim rektorem, który otrzymał zaledwie częściową odpowiedź na skomplikowane pytanie.

- Pafianie z reguły nie nazywają rzeczy po imieniu - stwierdził. - Mówią: Rozdziawiony, Nagi Pan, Władca Psów. Inni określali mnie podobnie: Baal-Zebub, Władca Much, i Baal-Fegor, czyli Rozdziawiony Pan. Zwą mnie również po prostu Baalem, co znaczy Pan; i Ozyrysem, Orfeuszem i Hermesem Chthoniusem; na Wschodzie dali mi imię Joshua i Judasz; w Beocji Dionizos Dendrytos, czyli Bóg na Drzewie. - Urwał i spojrzał na mnie wyczekująco.

- Jak nazywała cię Morgan Yates? - zaczęłam wolno.

- Ekstazą Poetycką.

- A ta kobieta w laboratoriach snu?

- Żądzą.

Po chwili zastanowienia spytałam:

- AMelisanda?

- Piotrusiem Panem.

- Doktor Harrow?

- Bezrozumem.

- A jej brat Aidan?

- Rozpaczą.

Zamilkłam. W chłodnym powietrzu harmider dobiegający z maski rozlegał się jeszcze donośniej. Nawet stąd czułam pragnienia biesiadników, szarpiące mnie uparcie i proszące o wyzwolenie. Z jaką łatwością mogłabym pójść do nich i przejąć od każdego wrażenia, jakie tylko bym chciała. Mogłabym zapomnieć o tym śnie; ale groziło to niebezpieczeństwem. Skoro bowiem inni Go już zobaczyli, tego Chłopca na Drzewie i Rozdziawionego, jego moc urosła ponad czyjekolwiek wyobrażenia; Awiator mógłby z łatwością wykorzystać go przeciwko Miastu. Zadrżałam i mocno ugryzłam się w opuszek kciuka. W ten sposób budziłam się z koszmarów pacjentów w LIL.

To nie był sen i Chłopiec nie zniknął, odzyskałam jednak jasność myśli.

- Czyli tak się nazywasz? Wyszczerył w uśmiechu małe, białe ząbki.

- Tak, to wszystko moje imiona. Zawahałam się.

- Wydaje mi się, że jesteś Śmiercią.

- Jestem. - Wpijał we mnie spojrzenie tych swoich nieprzeniknionych oczu barwy lata.

- Czyli Aidan miał rację, nazywając cię Rozpaczą. - Wyciągnęłam rękę, jakby po nagrodę.

- Nie - zaprzeczył. - Mylił się. Nie chciał poznać całej prawdy. Leniuch.

Wtem roześmiał się i potrząsnął głową, tak że korona liści rozplotła się i rozwinęła w powietrzu, ukazując pienistą gamę kwiecica, białego, złotego i błękitnego. Chwyciłam je i obejrzałam: takich liści jeszcze nigdy w życiu nie widziałam, były podobne do zielonych gwiazd, srebrnawych ostrzy i rozłożonych dłoni, oplecionych kwiatami, które pachniały wiosną, o jakiej marzy skurczone serce w środku zimy.

- Musisz nauczyć ich moich imion, Pani! - Zaśmiał się i skoczył na równe nogi, jakby wcześniej powstrzymywał się tylko od podskoczenia do góry. - Musisz opowiadać im bajki, kłaść do łóżka, musisz zostać ich Matką!

Przypatrywałam się jego wyglupom, nakładając na głowę liściastą koronę.

- A ty kim dla nich będziesz, Chłopcze? Ojcem?

- Naturalnie! I twoim kochankiem, bratem, ofiarą, wszystkim jednocześnie! Jak dawniej. Dokładnie tak samo! Śpiew, taniec i umieranie!

- Sprawiasz wrażenie obłąkanego, jak ten Awiator, o którym wszyscy mówią, którego Anna nazwała Pocieszeniem Umarłych.

- To głupiec, neofita. - Zmarszczył brwi. - Nie rozumie, że pewne rzeczy są konieczne. Zresztą sama się przekonasz, kiedy go spotkasz.

Odwrócił się, po raz pierwszy spojrzął na księżyc i złożył mu drwiący pokłon, tak jak

wcześniej przede mną.

- Już idę, Wendy, siostrze moja. Jeszcze się spotkamy; ale nieprędko, i bardzo możliwe, że mnie nie poznasz i nie będziesz pamiętała, jak się nazywam. Choć z drugiej strony może zdążysz przypomnieć sobie swoje własne imię. - Wzruszył ramionami i odrzucił w tył głowy swoje blond kędziory, jakby zmęczyła go cała ta zabawa.

- Kiedy się spotkamy? - Niespodziewanie przestraszyłam się, że odejdzie, ale gdy wyciągnęłam rękę w Jego stronę, odskoczył, kręcąc głową.

- Jak to? Rzecz jasna podczas Nocy Zimowej. - Zaśmiał się i skoczył w górę, jakby chciał schwycić księżyc. Zasłoniłam oczy przed jego złotym blaskiem, a kiedy znowu spojrzałam w Jego stronę, już Go nie było.

Cichy dźwięk przy Dębie Regenta. Odwróciłam się. Tym razem jednak ujrzałam Justice'a, nieśmiało wynurzającego się zza pnia.

- Słyszałem twój głos - zaczął, zdziwiony, że jestem sama. - Przepraszam, już sobie pójdę...

Moje rozczarowanie po odejściu Chłopca złagodniało.

- Nie - zaprotestowałam i postąpiłam krok w jego stronę. - Czekałam na ciebie.

Uśmiechnął się, spojrzał najpierw na księżyc, potem na mnie. Dotknął wieńca kwiatów na moim czole.

- Nie żartujesz?

- Nie. - I ujęłam go za rękę. Poszliśmy razem w stronę Maski Sów.

CZEŚĆ ÓSMA

BUDZI SIĘ ROZDZIAWIONY

1. Ogień w centrum i deszcz z niebios

Stali u stóp ołtarza przy kamiennej misie: trzech chłopcy, wszyscy Pafianie. Dwaj o śniadej skórze i ciemnych oczach charakterystycznych dla Domu Wysokiej Brazylii, smukli i długonodzy. Przez uszy mieli jeszcze przewleczone delikatne, złote sznury, a ciemne warkocze opadały na plecy. Trzeci był Świętym Alabanem, niebieskookim blondynem, najmłodszym z całej trójki. Na mój widok splunął i skrzyżował ręce na nagiej piersi, rozkładając dłonie w geście mającym chronić przed Rozdziawionym. Za nakrycie ciała służyły im tylko bezlistne pnącza na szyi. Jeszcze tego dnia przed świtem zmuszono ich, żeby sami zebrali te liany. Szakaludzie zaprowadzili ich nad rzekę i patrzyli, ciężko dysząc, z jej brzegów, podczas gdy chłopcy wrywali rośliny. Ręce jeszcze im krwawiły od tej pracy, a na piersi Świętego Alabana widniały sine rany niczym od uderzeń biczem. Teraz odpowiadali na pytania Pocieszenia Umarłych, dotyczące miejsca pobytu pewnego empaty o imieniu Wendy.

Wpatrywałem się chłodno w Świętego Alabana, a następnie usiadłem na swojej marmurowej ławie. Obok mnie przestępował z nogi na nogę Oleander, który cichutko syknął, gdy z ręki wypadł mu nóż. Rzucił mi pełne popłochu spojrzenie. Kiedy pokręciłem głową, odwrócił wzrok.

Po obu stronach ołtarza stały marmurowe fontanny. Zamiast wody były w nich gałązki i pokruszone cegiełki opium, odebrane schwytanym Botanikom. Dobywał się z nich czarny dym, spoza którego ledwie było widać płonące pod spodem małe ogniska, podtrzymywane przez inne dzieci, nagie i brudne od leżenia i walania się po podłodze nawy. Między nimi kręcili się też szakaludzie, drapiąc i gryząc maluchy w boki. Powietrze przenikał trzask płonących ogni, odgłosy kapiącego przez szpary w sklepieniu deszczu, niespokojne ruchy łazarzy i nieustający, łagodny głos Awiatora.

- Widzieliście ją? Dziewczynę podobną do niego, wcielenie samego Rozdziawionego Pana? Zaczny doktor SiWerthorn zarzekał się, że są podobni jak dwie krople wody...

Pafianie przysięgali, że nigdy, przenigdy w życiu jej nie widzieli. Tylko Święty Alaban cały czas się we mnie wpatrywał, Awiator zaś nie ustawał w swoich nużących pytaniach. Wreszcie Święty Alaban zawołał:

- Widziałem ją. Przebiera się za chłopca i nazywa Aidan Arent. Wziąłem ją za niego...

- Pokazał na mnie i ciągnął: - Była z naszym kuzynem, Justice'em Świętym Alabanem, nikczemnikiem, który nas zdradził, Oby przeklęła go nasza Matka!

- Gdzie to było, mój drogi? - Awiator pokiwał głową. Święty Alaban spojrzał na mnie z taką nienawiścią, że spuściłem wzrok na swoje ręce, gdzie kamienna obręcz strzalca lśniła bladofioletowym światłem.

- Była w grupie wędrownych Aktorów, którzy występowali w Domu Ilirii. Stroi się w bezbożne kostiumy. Zdaniem mojego ludu uosabia mordercę Rafaela Miramara. Zjawia się na Masce Nocy Zimowej... - Głos tak bardzo trząsnął mu się z wściekłości, że nie mógł mówić dalej.

Awiator jeszcze raz skinął głową.

- O tym wszystkim to ja już wiem - oświadczył zniecierpliwiony. - Chcę znaleźć ją w tej chwili. Gdzie jest teraz?

- *Przecież* my nic nie wiemy. Puść nas, to ci pomożemy, prosimy... - zawołał jeden z Persów.

Awiator już się jednak od nich odwrócił i sięgnął po książkę, którą odłożył na początku przesłuchania.

- „...Jam jest rykiem dzikiego zwierza w nocy, kto daje się zwieść...”

Margalis Tasfannin, Szalony Awiator, leżał naprzeciw mnie na materacu w głębi Krużganka Północnego. U jego stóp siedział szakał Anku, biały i nieruchomy niczym rzeźbiony cenotaf. Nawet z tak niewielkiej odległości widok przesłaniał klębiący się dym i para. Tylko głos Tast'annina dosięgał mnie z niezmienną siłą. Rozcinał narkotyczne opary opium, gęsty swąd strachu i beznadziei, tak że chociaż znałem leżącego tam mężczyznę - każdą bliźnę na jego ciele, ton nocnych jęków, gdy dręczyły go koszmary, znałem to miejsce jak tajemne źródło, co krwawi wolno, lecz bez przerwy, i odór przesiąkniętego krwią ubrania - mimo całej tej świadomości mogłem sobie wyobrazić, że w mroku naprzeciwko siedzi ktoś zupełnie inny. Wysoki i silny, bez blizn, o krótko obciętych, pszenicznych włosach, w skrzypiącym, metalowym pancerzu, pachnący osmalonym metalem, ozonem i nadpalonym ciałem.

- Władco Baalu.

Wzdrygnąłem się, uświadamiając sobie, że woła mnie już od dłuższej chwili. Uniosłem głowę, długie włosy opadły mi na ramiona i zakryły konopny sznur, który nosiłem uwiązany na szyi.

- Tak? - Nie zwracając uwagi na małych Pafian, spojrzałem na Awiatora i te jego przezroczyście oczy.

- ...przyjmij te ofiary...

Schyliłem głowę, nie chcąc widzieć ani ich, ani blasku pełgającego na nożu Oleandra. Słyszałem jednak ich szybkie i płytkie oddechy, czułem amoniakowy zapach przerażenia.

Awiator urwał. Nastąpiła chwila, w której słyhać było jedynie szum deszczu i zdławiony oddech Pafian. Potem rozległ się cichy rozkaz:

- Oleandrze, do dzieła.

Oleander głośno wciągnął powietrze. Zanim zamknąłem oczy, zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak dwóch chłopców z Persji obejmuje się z płaczem. Skuliłem się i zacisnąłem powieki, jakbym w ten sposób mógł zagłuszyć odgłosy tego, co miało nastąpić.

Słyszałem, jak Oleander niezdarnie obchodzi się z nożem i przeklina na głos. Szakaludzie warczeli: pewnie jeden z Pafian chciał zbiec. Próbowałem skupić się na własnym oddechu i biciu serca, które stanowiło kontrapunkt dla rozpaczliwych chłopców.

Wtem Oleander krzyknął. Odgłos darcia czegoś i wrzask; nóż pada na ziemię. Oleander podnosi go z płaczem. Złożyłem ręce i jeszcze mocniej zacisnąłem oczy, usiłując powtarzać głośno słowa *Obowiązków rozkoszy* i *Pieśni Świętego Alabana*.

Na nic się to nie przydało. Krzyki i jęki rozlegały się bez końca, zdawało się, że trwało to wiele godzin. Moje nagie ręce i nogi zalała fala ciepła. Oleander szlochał i raz po raz uderzał, ja kołysałem się na marmurowej ławie i nie otwierałem oczu.

Stopniowo wycia i ich bulgoczące oddechy cichły. Coś śliskiego otarło się o moją nogę i padło na podłogę obok. Słyszałem ciężki oddech Oleandra i skamlanie szakaludzi. Otworzyłem na chwilę oczy, ujrzałem u swoich stóp kałużę krwi, krwawe wstęgi oblewały kamienną misę, pozbawione kończyn kadłuby walały się po ołtarzu. Pod moim butem leżał koniuszek palca i kępka złotych włosów.

Jeden z nich umierał bardzo długo. Zagulgotał jak ktoś, kto płucze gardło, i znieruchomiał. W ciszy słyhać było tylko płacz innych dzieci i Oleandra, który wolno i spokojnie coś do siebie mówił, a ja słuchałem tylko powtarzane często słowa: „Wybaw ich”. Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem swoje obryzane nogi i czułem zapach krwi, która niczym jakaś ciepła fala przelewała się przez ołtarz. Jeden z szakaludzi chleptał ją głośno z podłogi. Strzalec na nadgarstku lśnił jaskrawofioletowym światłem. Powoli uniosłem rękę, jego promienie rozeszły się po całym pomieszczeniu. Łazarze krzyknęli, Oleander cisnął nóż i padł na kolana, wymiotując. Pocieszenie Umarłych deklamował jakieś niesłyszalne słowa, ja wpatrywałem się w sufit krużganka, który strzalec zalewał ametystową poświatą, na ręce spadały mi krople zimnego deszczu.

2. Unicestwione zostają wszelkie ślady pozostałości organicznych

Owej nocy Oleander krzyczał przez sen i wymachiwał rękami, aż uderzył mnie w policzek i zbudził.

- Cii... to tylko sen, Oleandrze, tylko sen.

Przytuliłem go. Z korytarza za żelazną bramą Dziecięcej Kaplicy dobiegało chrapanie pilnujących nas szakaludzi.

- Nie! O nie... Zakryłem mu usta.

- Cicho bądź, bo obudzisz Furię...

Wtedy zamilkł i przywarł do mnie, jakby chciał wniknąć w moją skórę. Przez wiele godzin leżeliśmy i wpatrywaliśmy się w otaczającą nas ciemność, wszechobecną niby trucizna, w której byliśmy zanurzeni; ze świadomością, że koszmar, który czeka po przebudzeniu, jest gorszy od wszystkich złych snów i że nie będzie miał końca.

3. Najbardziej zdumiewający spośród drapieżników.

- Wzywa cię, Rafaelu. Biją dzwony. A to oznacza zmianę.

W mroku dojrzałem postać Oleandra, wątlego i poźółkłego niczym jedna z niewielu świec, płonących jeszcze na ołtarzu za nim. Zaklął, gdy uderzył się o krzesło, masował ręce, żeby się rozgrzać, wreszcie stanął na stosie poduszek, który ułożyłem obok swojego materaca. Zamrugałem, usiadłem i naciągnąłem pościel - wełnianą pelerynę, zabraną martwemu Świętemu Alabanowi - na ramiona.

- Tak szybko? - zdziwiłem się, drżąc mimo okrywającej mnie peleryny. Liczba wypalonych w Kaplicy Dziecięcej świec wskazywała, że spałem około dwóch lub trzech godzin. Już nie udawało się przespać całego dnia - ani nocy. Margalis Tasfannin mordował sen równie skutecznie jak jeńców, których nieustannie wypytywał, poszukując empatki Błędnej Wendy.

„Moja siostra” - myślałem. - „To przez nią umierali wszyscy więźniowie, bez różnicy, Kuratorzy czy Pafianie”. Chociaż to przede wszystkim mój lud padał ofiarą niewiernych towarzyszy łoża.

- Pośpiesz się, Rafaelu - ponaglił mnie Oleander. Szczękał zębami. Opadł na materac koło mnie. Miał na sobie jedynie luźne białe spodnie, w szczupłym pasie przewiązane kawałkiem sznurka. Przytuliłem go mocno i okryłem peleryną, czując jego żebra, gdy trząsł się z zimna i strachu. - Nie cierpię, nie cierpię patrzeć, jak giną...

- Cii... - Gładziłem go po blond włosach i pokrytych bliznami ramionach, które przed

kilkoma dniami wychłostał Szaleniec. - Nie płacz, kuzynie, proszę cię.

Pociągnął nosem i wtulił twarz w moje ramię. Ręką osłoniłem go przed stralcem, mimo że ten drzemał. Budził go jedynie mój lęk przed Awiatorem, który o tym wiedział i bardzo go to cieszyło - i czasami jeszcze widok bladych trupów, leżących w nawach, jakby spały.

Głęboki dźwięk dzwonu, wysoko nad nami, w Dzwonnicy Gloria. Słabszy pogłos, jakby echo pierwszego, wreszcie cisza. Oleander skubał mnie po ramieniu.

- Chodźmy już, Rafaelu! Zanim pośle po nas innych... Kiwnąłem głową i wymacałem na podłodze buty. Były na mnie za duże. Mimo że owijałem stopy onucami, kostki codziennie ocierały się i krwawiły bez nadziei na wygojenie. Wstrzymywałem łzy bólu, gdy naciągałem je na swoje nieszczęsne nogi, odczekałem, aż pulsowanie ustanie. Wtedy wstałem i zacząłem szukać szaty: bezkształtnego, szarego worka z długimi rękawami, sięgającego mi za kolana, ze zzartym przez mole kapturem. Miała przetarte łokcie, z mankietów zwisały pojedyncze nitki; ohydna, ale i tak najcieplejsza spośród ubrań, jakie mogłem znaleźć na leżących w nawie stosach rzeczy po zmarłych. Awiator codziennie posyłał grupy rozwydrzonych dzieciaków, które przetrząsały te sterty i przynosiły nam dwóm to, co według nich było coś warte. Połamane naszyjniki i opaski na ramiona, brudne wstążki i brokatowe obrąbki szat pafiańskich; od czasu do czasu jakieś odłamki maszyn, zegarków, lup albo monitorów, zagrzebane pod stertami ubrań Kuratorów. Resztę się paliło; swąd palonych ubrań mieszał się z gęstym odorem wiszącym w powietrzu. Głęboki kaszel dzieci stał się równie monotony co wycie zimowego wiatru w ruinach wież zachodnich. Szata ta była pierwszą i ostatnią zdobyczą, jaką znalazłem wśród rzeczy łazarzy, zanim Awiator nie zabronił mi pokazywania się wśród nich, chyba że na jego wyraźny rozkaz. Teraz wyznaczono mi tę izbę, po trosze więzienie, po trosze sanktuarium Rozdziawionego.

Wzdychając, dałem Oleandrowi znak, że jestem gotów. Przemierzyliśmy Kościół Krypty, ja utykając, Oleander podskakując obok. Był boso i starając się jak najmniej dotykać odmrożonymi stopami lodowatej podłogi, truchtał i klął, jakby szedł po rozżarzonym piachu. Poszliśmy korytarzem w kierunku Dzwonnicy. Samotna świeca, umieszczona w jakiejś niszy, rzucała blade światło na schody. Dobiegł nas kolejny donośny gong, nagle przerwany, tak że nastawiliśmy uszu w oczekiwaniu na następny. Oleander w przyćmionym blasku do złudzenia przypominał doktora Silverthorna, z zapadniętymi oczami i policzkami. Wypadły mu prawie wszystkie włosy. Odwróciłem się i spojrzałem na łuki sklepienia, jakbym chciał przebić je wzrokiem na wylot. Z wysokości Dzwonnicy Gloria rozległ się cichy dźwięk, coś w rodzaju pisku nietoperza lub wycia dziecka. Po chwili odgłos miękkiego upadku. Oleander nerwowo

zachichotał.

- Przestań! - nakazałem i uderzyłem go po twarzy. Zakrył usta i przebiegł kilka stopni, jego śmiech zmienił się w coś w rodzaju dławionej czkawki. Polizałem palec i zgasilem jedyną świecę w korytarzu. Zdrapałem ją z kamienia i zjadłem, dławiąc się od oleistego smaku. Potem dogoniłem Oleandra.

Na pierwszy rzut oka obszerny przestwór Katedry sprawiał wrażenie pustego, w niszach i transeptach znajdowały się tylko sterty śmieci i nie pilnowane przez nikogo ogniska. Trzaskające płomienie i szum wiatru niemal zagłuszały inne dźwięki, zdławiony kaszel i głosy, rozlegające się gdzieś na niewyobrażalnych wysokościach. Po pewnym czasie sączące się przez okna szare światło odsłaniało niesłychane szczegóły.

Jakiś biały kształt jęczał i zakrywał rękami coś, co przypominało gnijący strąk lub kapelusz muchomora, choć okazało się w końcu twarzą. Ciemne formy, leżące niczym kłody przy dogasającym ognisku, były nie kłodami, lecz tymi, którzy nie żyli od świtu (czyli od niedawna, sądząc po niezbyt jasnym świetle) i czekali na swojákolej, by znaleźć się na płonących stosach. Wielu z nich było łazarzami, którym Tast'annin kazał pracować na zewnątrz: szukali zaginionego arsenału Ascendentów, rozkuwali zamrożoną ziemię wszelkimi możliwymi narzędziami - listwami i kamieniami, częściami samochodów - dopóki nie zwały ich choroba lub znużenie. Od jednej z ogromnych kolumn, które podtrzymywały Dzwonnicę Gloria, odpadły dwa rzygacze. Jednak na nasz widok uniosły groteskowe głowy i wystawiły różowe języki, mamrocząc słowa powitania.

- On czeka, panie - odezwał się jeden. Język mu się plątał, tak że z trudem go rozumiałem. Mierzył skośnymi oczami Oleandra, po czym opadł na pośladki, drapiąc się jedną z sękatych rąk po szczęce. - Mały panie, on krzyczy.

- Mówiłem, żebyśmy się pośpieszyli! - Oleander prześwidrował mnie wzrokiem.

Drugi z szakaludzi stał i skupiał całą swoją uwagę na wznoszącej się ponad nami kolumnie. Poszedłem za jego spojrzeniem, które spoczywało na kłębowisku lin, desek i rusztowań pod dzwonami. Z trudem ich dostrzegałem: postacie nie większe od Świętych i Aniołów, zerkające na nas nieruchomymi, kamiennymi oczyma. Figury na rusztowaniu poruszały się. W niewyraźnym zgiełku, który do nas dobiegał, zacząłem rozróżniać pojedyncze głosy. Niektórzy krzyczeli, ryczeli albo wręcz przenikliwie się śmiali. Inni błagali, kilka głosów śpiewało *Pieśń Świętego Alabana*.

Rozlegał się jeszcze jeden, spokojny i dodający otuchy głos. Donośny, wolny i bardzo wyraźny, przeciągający zgłoski, czego nie słyszało się w Mieście Drzew. Pocieszenie Umarłych biciem dzwonów przesądzał losy.

Krzyk wniebogłosy. Uszy przywarły szakaludziom do czaszek. Wzdrygnęli się, spojrzeli na mnie i powtórnie wyciągnęli pyski do góry.

- On krzyczy. - Pierwszy podpełzł do mnie i warcząc, oparł swoją głowę o moje udo. - On krzyczy, panie.

- Wiem, Furio - odparłem, przeczesując szorstką sierść pomiędzy uszami. - Już dobrze.

Furia nie przestawał warczeć, nozdrza rozszerzały mu się, gdy patrzył w ciemność ponad nami. Oleander czekał niespokojnie przy wpółotwartych drzwiach w kolumnie, jedynym wejściu do Dzwonnicy Gloria.

- Rafaelu - powtórzył.

- Cicho - zganilem go. - Chcę posłuchać...

Gdy wyteżyłem wzrok, mogłem dojrzeć ich poprzez ten przyprawiający o zawrót głowy przestwór. Czarne postacie, które zdawały się wymachiwać jak oszalałe rękami, gdy szły po kładkach z lin i desek, przeciągniętych pod dwudziestoma czterema dzwonami, po resztkach podłogi, która próchniała przez tyle stuleci. Rozpaczliwie czepiali się chaotycznej płataniny lin, niewidocznych z naszej nawy.

U wejścia do Dzwonnicy skupiła się ciżba cieni. Omiatałem ją wzrokiem, szukając małej sylwetki Fancy, jej wspaniałych złotych włosów.

Ale jej nie widziałem. Gdyby nie uparte twierdzenia doktora SiWerthorna, że ona tu jest, nie miałbym powodów, żeby sądzić, iż w ogóle jeszcze żyje. Szukałem jej wszędzie. Zmuszałem się do poszukiwań pośród trupów przy ogniskach, do przyglądania się twarzom tych, którzy przemykali z odwróconymi głowami za żelazną bramą Kaplicy Dziecięcej, gdzie siedziałem przez pogrążone w półmroku całe dni i noce. Bez skutku.

Furia bez ustanku jęczał. Pogłaskałem go po czole, czułem, jak jego sierść się jeży, a w głosie pobrzmiwa groźniejsza nutka. Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, co go drażni.

Na krawędzi rusztowania stały trzy czarne i nieprzystępne postacie. Ulubieni lokaje Tast'annina, szakaludzie, których nazwał Blanche i Trójką. Między nimi na sporządzonych naprędcie noszach leżał sam Awiator. U stóp widoczny był jakiś mniejszy kształt, lśniący bielą trującej lilii: zdradliwy szakal, którzy zaprowadził tych, którzy mnie schwyтали, na Bal Motyli, po czym uciekł do Szaleńca. Patrzyli na dwie małe sylwetki szamoczące się na rusztowaniu. Jedno dziecko zakołysało się i wydawało się, że zaraz runie z wąskiego pomostu. Dziewczynka uchwyciła się jednak niewidocznej liny, skoczyła w dół, aż sznur cały się naprężył, tak że odnosiłmy wrażenie, iż miota się i skręca w pustym powietrzu. Wisiała pod czarną paszczą dzwonu, okręciła się i, tłumiąc szlochanie, coś zawołała.

- Nie mogę na to patrzeć - odezwał się Oleander. Jego nogi zatupały po spiralnych schodach prowadzących na Dzwonnicę. Obok mnie Furia zaskomlał i zmarszczył czoło, wpatrując się w postać, która wisiała bezwładnie na linie.

- Panie, panie - jęczał, tłukąc ogonem w ziemię. - Dlaczego, dlaczego?

- Nie wiem - odparłem i kucnąłem przy nim.

Mimo chłodu po barkach spływał mi pot, cały drżałem. Drugie z dzieci także zdążyło już złapać się liny. Oboje zwisali tak z poczerniałych, starożytnych dzwonów. Na naszych oczach zaczęli wierzgać i bujać się w powietrzu, dopóki serca dzwonów nie uderzyły w metal i po Katedrze nie rozniosło się chrapliwe bicie, najpierw jedno jazgotliwe uderzenie, zaraz po nim następne. Postać siedząca wśród ruin Dzwonnicy Gloria zaczęła deklamować, urywając na uderzenia dzwonów.

- Panie? - Furia spojrział na mnie pytającym wzrokiem. W całej nawie ze stert śmieci podnosiły się jakieś postacie, które zadzierały głowy, by obejrzeć rozgrywający się w górze dramat.

- To nic nie znaczy - oświadczyłem. - Belkot, który sam wymyślił, coś w rodzaju inwokacji do Władcy Psów.

- Źle, panie.

Przytaknąłem i na powrót uniosłem głowę. Awiator mruczał swoje, dzwony dzwoniły. W ciągu ostatnich tygodni serce znacznie mi stwardniało, lecz mimo wszystko żałowałem tych dzieci.

- Na mnie czas, Furio - oznajmiłem i wszedłem do wnętrza kolumny. Szakaludzie podnieśli swoje dziwaczne głowy: szczęki, zęby i sierść jak u zwierząt, a przy tym ludzkie oczy, które odprowadzały mnie wzrokiem, i ludzkie języki, wypowiadające słowa pożegnania.

W środku kolumny panowała cisza, duszne powietrze przenikał palony wosk. Szedłem powoli w górę spirali, czułem lodowaty chłód stopni. Na nierównej powierzchni ścian nagryzmołono gdzieś imiona i liczby. Wypisano oleistym dymem lub spalonym końcem patyka: „Umarł tutaj Baltazar Persja”, „śmierć Baalowi śmierć Miramarowi”, „kochałem Półksiężyc Ilirię powiedzcie Jej”. W jednym punkcie wydrapano patykiem pokraczną postać o patykowatych kończynach i kółkach w miejsce oczu i ust, wiszącą na drzewie. Nie przyglądałem się jej zbyt uważnie.

Schody skończyły się. W tym miejscu zwała się część ściany, tworząc nierówną dziurę, przez którą zobaczyłem zbite w gromadkę nieszczęsne postacie, widziane przedtem z dołu. Tylko dzieci, z dwoma wyjątkami: nie znanej mi dziewczyny, wysokiej, o kanciastych

rysach twarzy, długich, prostych blond włosach i w krótkiej, błękitnej tunice, przypominającej stroje Kuratorów, lecz odmiennego kroju. Drugą była młoda Pafianka pojmana przed kilku dniami nad brzegami Rocreek. Rzęsy ufarbowała kornaliną, na policzkach wymalowała maki; chodziła kiedyś z Naturalistą, który leżał teraz przed Katedrą: potknął się o jedno ze śmiercionośnych pasożytniczych drzew. Jego twarz ciągle jeszcze wykrzywiała mieszanina zdumienia i paniki, oczy miał wbite w poczerniałą ziemię. Widziałem go i ominąłem z daleka. Ciche brzęczenie, jakie dochodziło z jego wnętrzości, dowodziło, że dobrały się już do niego stwory w drzewach.

Jego nieszczęsna towarzyszka wpatrywała się obłądnym wzrokiem w przepaść, trzymając się ramienia zawszonego dzieciaka. Pomyślałem ze złośliwą satysfakcją, że jeszcze tydzień temu uciekłaby przed tym chłopcem z krzykiem. Teraz stanowił dla niej ostatnią ostoję człowieczeństwa, jakiej miała zaznać. Naciągnąłem na głowę kaptur wełnianej peleryny, chcąc skryć twarz w cieniu.

Nad nami wznosiła się pęknięta iglica Dzwonnicy Gloria. Kamienie sklepienia już dawno spadły, tak że wewnątrz wystawione było na działanie deszczu, śniegu i ataków wirusowych. Po cynowym niebie pędziły chmury, tak blisko, że zdawało się, iż zaczepią o wieżę. Wiatr wył, szarpiąc za moją pelerynę i łachmany dzieci. Kilku łazarzy zerknęło na mnie, gdy między nimi lawirowałem, by na nowo odwrócić się do dwojga dzieci, które cały czas wisiały na linach dzwonów. Na czele niewielkiej gromady stał TASFANNIN i dwaj jego lokaje, tuż obok znajdował się OLEANDER, obrzucający szkaludzi pełnym obrzydzenia wzrokiem.

Awiator umilkł. Wpatrywał się w dzwony, w deski, które wiodły do żalonych resztek podłogi. Ni stąd, ni zowąd obrócił się i wskazał na stojącą przy dzieciach Pafiankę. Ta zawyla i złapała za ramię jeszcze jedno dziecko, jakby chciała zasłonić się nim przed Awiatorem. Stojąca nieopodal blondynka przyglądała się temu z rozbawieniem, skubiąc obrąbek tuniki. TAST'ANNIN skinął głową i przypatrywał się jej z niemal łagodnym wyrazem twarzy, wreszcie nachylił się i pogłaskał ANKU.

- Gelazja Persja - zamruczał. - No, proszę, nawet zapamiętałem, jak masz na imię! Podejdz tutaj, Gelazjo. - Jeszcze raz przecesał sierść Anku i wyciągnął ku niej rękę.

Gelazja Persja pokręciła głową. Starannie uplecione warkocze chłostały powietrze niczym harapy Awiatora. Wypchnęła do przodu jedno z dzieci. Chłopiec zapiszczał i zamachał rękami, by wreszcie runąć z krawędzi platformy. Pocieszenie Umarłych patrzył, zdaje się, z lekkim rozczarowaniem. Szkaludzie zawarczeli, a Anku zaczął skamlać. Blondynka zakryła usta, drwiąco chichocząc. Dzieci zaszeptaly między sobą i zakołysaly się,

kilkoro zerknęło w dół za nieszczęsnym chłopcem.

Gelazja Persja spuściła ogłupiały wzrok na podłogę nawy w dole. Po chwili przepchnęła się przez cizbę dzieci i stanęła na przedzie. Jej wzrok spoczął na moim szarym płaszczu kuratorskim.

- Pomocy, monsieur! - zawołała, chwytając mnie za rękę. - Moim kochankiem był Friedrich Durrell, Naturalista, proszę o pomoc...

Awiator rzucił Blanche i Trójce jakieś polecenie. Łazarze zbili się w ciaśniejszą gromadę, gdy szakaludzie biegli po rozchwierutanej podłodze. Persyjka bacznie ich obserwowała, wbijając w moje ramię paznokcie.

Szakaludzie przystanęli na odległość ramienia od nas. Unieśli się na tylnych nogach. Jeden podrapał się, zdezorientowany, po szczęce, drugi lustrował mnie pozbawionymi emocji, złotymi oczami.

- Dziewczyna, panie - warknął, wskazując Gelazję Persję. Wzruszyłem ramionami i chciałem ją od siebie odepchnąć. Zdjęta trwogą wpatrywała się w szakaludzi i ciężko dyszała. Kaptur zsunął się z mojej głowy. Szakaludzie opadli na cztery nogi i zaczęli się do nas ostrożnie zbliżać. Gelazja zwróciła w moją stronę obłąkańczo wytrzeszczone oczy, jej wzrok zatrzymał się na matowoszarym strzalcu.

- Miramar - sapnęła i zabrała rękę. - Matko moja, to prawda...

Naciągnąłem kaptur na głowę. Szakaludzie schwyтали kobietę i zaczęli wlec ją ku krawędzi pomostu. Łazarze usuwali się w popłochu. Niektórzy patrzyli na mnie, nareszcie mnie poznając: jeden chłopiec skrzyżował ręce na piersi. Blondynka koło niego gapiała się jednak na mnie bezczelnie, by w końcu ku mojemu zaskoczeniu wybuchnąć śmiechem. Nie zdążyłem jej się przyjrzeć, gdyż odwróciła się i - sprawdzając, czy Awiator nie patrzy - zniknęła na spiralnych schodach.

Gelazja Persja tylko wbijała we mnie spojrzenie przepełnione nienawiścią, jej usta poruszały się bezgłośnie, nie była w stanie wykrztusić nawet przekleństwa.

Szakaludzie zatrzymali się na końcu rusztowania. Dzieci czepiały się lin ostatkiem sił, dyndając wiele metrów nad podłogą nawy. Głowę chłopca zasłaniał dzwon. Dziewczynka zsunęła się już niemal do końca liny. Oczy miała zaciśnięte, krwawiące ręce cal po calu zsuwały się po konopnym sznurze.

Tast'annin odął wargi, jego blade oczy przenosiły się z dzwonu na dzwon. W końcu wskazał jeden z nich, olbrzymi, czarny kształt z przeświecającymi miejscami punkcikami złota, które przebijały się spod patyny, dymu i brudu. Wisiał co najmniej dziesięć metrów nad płataniną sznurów i desek i co najmniej dwadzieścia od punktu, w którym szakaludzie

trzymali uwięzioną.

- Ten - orzekł.

Gelazja Persja patrzyła z niedowierzaniem.

- Nie dostanę! - wrzasnęła. Wymalowane maki płonęły na tle białej skóry.

Awiator pokręcił głową i powtórzył:

- Ten. - Pochylił się, siedząc na noszach, i złożył ohydne, pokryte bliznami usta w uśmiech.

Spostrzegłem, że łązarze na dole usunęli już zwłoki tamtego dziecka. Mała ich grupa stała i wyczekująco zadzierała głowy.

- Umrę. - Gelazja Persja potrząsnęła głową.

- Nie ma powodów do obaw przed śmiercią, najdroższe dziecko. Taka piękna dziewczynka, Rozdziawiony ucieszy się z ofiary. - Rozciągnął usta w obrzydliwym uśmiechu, jakby pozwolił sobie właśnie na sprośny żart. Wskazał mnie ręką: - Oto jego wysłannik, poświęcony Baalowi Fegorowi, Władcy Psów.

- Jaki z niego władca! - oburzyła się Gelazja. - Ja go znam... to Rafael Miramar, zdrajca, potwór i morderca! - Jego oczy zabłyśły od purpurowymi rzęsami. - Zamordował swojego Patrona i jeszcze jedną Naturalistkę, a także mojego kuzyna Whitlocka Wysoką Brazylię, oby znalazł pociechę w objęciach naszej Matki...

- Ale jeżeli wasza Matka ma cię przytulić, to nie ma się czego bać, kochana kuzynko? - Awiator wpatrywał się w nią z tym samym obrzydliwym uśmiechem.

- Proszę... nie chcę ginąć - błagała. - Jestem z Domu Persji... mogłabym ci się dobrze przysłużyć...

- Nie widziałas jeszcze wszystkich moich sług? - Awiator potrząsnął głową. Gestem ręki wskazał niespokojnych łązarzy, czujnego Anku, szakaludzi Blanche i Trójkę, wreszcie mnie, jak stałem niewzruszony. - Nie, Gelazjo, pójdiesz służyć potężniejszemu Panu. Ja sam jestem zaledwie Jego lokajem, ty mogłabyś zostać podnóżkiem Jego stóp.

Powietrze przeszył wrzask. Zobaczyłem zsuwającą się z liny dziewczynkę o twarzy spurpurowiałej od łkania. Paru łązarzy krzyknęło. Chłopiec ryknął, puścił linę i poszedł w jej ślady.

Gelazja Persja krzyknęła wniebogłosy i odwróciła się, próbując ukryć twarz w ramieniu. Awiator przestał żartować. Jego głos grzmiał, gdy pokazywał zamocowane na brzegu rusztowania liny.

- Niech przeważą się losy, Gelazjo. Ja pocieszę cię w tej trudnej sytuacji.

Szakaludzie pchnęli ją w stronę krawędzi platformy. Chciałem się odwrócić, lecz

Pocieszenie Umarłych nakazał:

- Patrz na nią, młody Baalu. Powiedz jej, że nie ma się czego bać. Że idzie na spotkanie Rozdziawionego.

Gdy uniosłem wzrok, wymachiwała rozpaczliwie rękami i kopała strażników. Szakaludzie odstępili, warcząc. Blanche puściła jej rękę. Gelazja nie zdążyła nawet schwycić jednej z lin, potknęła się i z rykiem runęła w przepaść. Mignęły mi jej sine oczy i wykrzywiona twarz. Jej wrzask zagłuszał wycie wiatru:

- Ona cię zniszczy, Miramarze!

4. Cofamy się, przerażeni ogromem koncepcji.

- Rzecz jasna miała na myśli twoją siostrę - stwierdził cicho Awiator.

Od tamtej sceny minęło już kilka dni. Wszystko wskazywało na to, że jest wieczór. Gdy otrzymałem wezwanie Awiatora, podobne do rozciętej rany okno w Kościele Krypty ukazywało kobaltowe niebo, usiane gwiazdami. Po wizycie w Dzwonnicy Gloria wróciłem do Kaplicy Dziecięcej i przespałem parę godzin; obudziłem się, znowu zapadłem w sen i tak jeszcze kilkakrotnie, aż wreszcie w pomieszczeniu zjawił się Oleander, by przyprrowadzić mnie tutaj, do samego serca twierdzy Tasfannina: Kaplicy Zmartwychwstania Kościoła Katedralnego Archaniołów Michała i Gabriela.

- Mówiła o Magdalenie - powtórzyłem trzeci lub czwarty raz i zakasłałem.

Leżał na postumencie, stanowiącym swego czasu część ołtarza, otoczony blokami granitu, które spadły ze sklepienia i wyglądały teraz jak nagrobki. U boku miał czarną torbę doktora Silverthorna. Podłogę zaścielały złamane ampułki, rozdarte plastry samoprzylepne, do połowy puste tubki z morfą, oktyną i frilitem. Wszędzie walały się stosy drobiazgów, które znosili mu łazarze - lalki, szlafroki i zwiędłe kwiaty, kamienie i pęki gałązek, proteza ręki i głowa scholiasty. Gdzieś stały kozy, w których paliło się zielone, wilgotne drewno i tkaniny.

Pod każdym z trójnogów starannie ułożono trzy przedmioty, częściowo zabarwione, jakby obrósł je mech lub porosty. Za pierwszym razem wziąłem je za kamienie. Myliłem się. Coś bladeżółtego, co z nich zwisało, podobnego do sieczki, było tak naprawdę nie zeschniętym mchem, lecz włosami; srebrne błyski dochodziły z wciśniętych w oczodoły odłamków szkła i metalu. Na ten widok nie robiło mi się już niedobrze. Oni nie żyli i bawili się w owej zielonej krainie, którą dojrzałem w oczach umierającego doktora Silverthorna.

Na środku spoczywał Margalis Tasfannin, przypominający wizerunek z którejś z dioram w Muzeach: skórę miał bladeżółtą, woskowatą i błyszczącą od trapiącej go gorączki;

od palenia surowego opium oczy zmieniły mu się w czarne jamy. Wydawało się, że w blasku ognisk blizny na twarzy przybrały ciemniejszy odcień i układają się w jakiś niepojęty dla mnie wzór; jakby wryto je tam w jakimś określonym celu. Od czasu do czasu można było odnieść wrażenie, że się poruszają niczym wytrawione na skórze, wijące się w konwulsjach litery.

W ścianie za jego plecami znajdowało się okno z barwnego szkła, w którym brakowało części szybek. Te, które pozostały w ramach, tworzyły obraz kobiety w niebieskiej tunice, niosącej zapaloną pochodnię. W lodowatym blasku zimowego słońca lśniła białoniebiesko. Teraz była matowoszara, ledwie odróżniała się od przypadkowego układu szkła i powietrza. Z trwogą przypatrywałem się tej podobiznie Magdaleny w takim okropnym miejscu; zachodziłem w głowę, kto mógł ją tu umieścić, gdy przed eonami wznoszono na Wzgórzu Świętego Alabana Katedrę.

U stóp Tassannina dyszał biały szakal, jak zwykle błyszczały jego czujne rubinowe ślepia. Niedawno zdałem sobie sprawę, że nigdy nie widziałem, żeby Anku spał. Byłem święcie przekonany, że nie potrzebował snu, że był jednym z nieśmiertelnych demonów Egipcjan, jakimś cudem zbudzonym przez Awiatora albo - strzeż mnie, Magdaleno - przeze mnie. Cień Awiatora padł na chytry, lisi pysk szakala, gdy mężczyzna nachylał się, by pogrzebać w koksowniku długą, białą kością, niezgrabnie ociosaną i owiniętą pasmami skóry. Tassannin nałożył strzępy munduru Awiatora: ciężkie bryczesy i kurtkę z czerwonego, metalicznego materiału, ozdobioną złotym trójkątem ostatniej Ascenzji. Kurtkę obwieszono zębami i niewielkimi kośćmi, w jej skórę zgrabnie wszyto złamane ostrza noży i sznureczki szklanych paciorków; była to zasługa Oleandra. Oleandra, który siedział obok Tassannina i przebijał parę skórzanych spodni igłą z kości palca, wszywając w nogawki złote, niebieskie i zielone wstążki, wyciągnięte z warkoczy zmarłych Pafian...

- Czyli ta Magdalena... - Awiator urwał, kość zawisła w powietrzu. Uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo: podejmie inny wątek. - Możliwe, że twoja siostra to żywy obraz Magdaleny, tak jak ty przedstawiasz Rozdziawionego. - Kość stuknęła o podłogę. Wymierzył palec we mnie, potem odgarnął sobie z ust kosmyk bladożółtych włosów. Podjął: - W ten sposób uzyskalibyśmy niejaką symetrię; jak w masce, którą pokazywały mi te blond dzieci. *Baal i Anat*. Nawet mi się podobała.

Ucichł. Uszczypnął Oleandra w ramię, zaczął ugniatać obwisłą skórę, jakby sprawdzał jakość beli delikatnego jedwabiu.

- To całkiem możliwe - odezwałem się - tyle że wychowała się u Ascendentów, a oni nie wierzą. A ta maska to bzdura, wpojona Świętym Alabanom przez Historyków. Ja

osobiście nie wierzę ani w Magdalenę, ani w Rozdziawionego.

To nie było do końca prawdą, jako że widziałem w Wąskim Lesie widmo Chłopca, który dla doktora Silverthorna mógł być Aniołem, ja natomiast uważałem go za Powieszzonego Chłopca. Służący mu szakał natomiast siedział na wyciągnięcie ręki. Tylko nie bardzo wiedziałem, po co jakiś Ascendent się tym wszystkim interesuje. Nie mieściło mi się w głowie, że mogłby wierzyć w takie rzeczy.

Tasfannin zmierzył mnie tym swoim spojrzeniem wilka. Jego oczy płonęły pomarańczowo, jakby za kratą twarzy palił się ogień.

- Nie byłem zanadto religijny. - Głos przeszedł mu w szept. Zza jego pleców dobiegło mnie miękkie stuknięcie. To na kamienną podłogę opadła czyjaś noga. Trójka przewrócił się we śnie. - Widziałem zbyt wiele rzeczy, w które ty byś nie uwierzył, moje drogie dziecko...

Dał mi ręką znak, żebym się przysunął. Powlokłem się po podłodze, pot mnie oblał, gdy znalazłem się w zasięgu przyćmionego ogniska. Zrezygowany zacząłem ściągać wełnianą pelerynę. Zostałbym w cienkiej koszuli, a wtedy Awiatorowi łatwiej byłoby obmacywać mnie kościstymi paluchami. Jak w przypadku wielu eunuchów, okaleczenie zaostrzyło jego nienawiść; bił w każdym przyływie złego humoru.

Tym razem jednak tylko zmierzwił moje rozpuszczone włosy, po czym przejechał ręką po konopnym sznurze, który na jego polecenie założyłem na szyję.

- Tak, kochany chłopcze: wierzyć przestałem, gdy zobaczyłem, jak całe miasta wybuchają płynnym ogniem, i usłyszałem odgłos miliona umierających jednocześnie ludzi. Był to wrzask tak głośny, że później moje uszy długo krwawiły. Przez wiele dni słyszałem w głowie tępy jęk, jakby o czaszkę obijało się tysiące bzyczących much. Słyszałem go tak często, że ogłuchłem na jedno ucho...

Z jednej z krat w podłodze poczułem lodowaty powiew. Awiator dotknął ucha długim paznokciem koloru kości słoniowej, następnie machnął ręką, chcąc rozgonić kłębiący się dookoła dym.

- Rządcy mnie wyleczyli. Było to wówczas, gdy wycofałem się z czynnej służby i poddałem rehabilitacji; kiedy posłali mnie do tego przeklętego Miasta.

Zamilkł; tarł zębami o górną wargę, jakby chciał zedrzeć z niej skórę. Wbiłem wzrok w swoje złożone na kolanach ręce. Strzalec lśnił bladym, beżowym światłem, jakby czerpał siły z odoru zła, który panował w Kaplicy. Gdy milczenie trwało już kilka minut, Oleander uniósł głowę. Jego oczy błyszczały w zapadniętej twarzy. Widząc wystające kości policzkowe i nienaturalny błysk oczu, uświadomiłem sobie, że naprawdę jest głodny jak wilk. Bawełniane spodnie ledwie wisały na biodrach, więc zamienił je na wielobarwne bryczesy, maskaradowy

kostium jakiegoś dziecka z Wysokiej Brazylii: radosne odcienie złota i zieleni, podarte i zakrwawione na kolanach (konając, również bił w dzwony), lecz pasujące do osobowości Oleandra, do jego melancholijnej wesołości.

- Ale latałeś w powietrzu! - zawołał. - Mieszkałeś w stacji NASNA!

Ta myśl niezmiernie go ucieszyła. Mnie już dawno temu znużyły wyczyny Awiatora, Oleandrowi ciągle było ich mało.

Tast'annin powoli wsunął wargę pomiędzy zęby, tak że na jego twarzy pojawił się typowy, pozbawiony uczucia uśmiech.

- Tak, latałem w powietrzu. - Odwrócił się w stronę Oleandra tak wolno, że sprawiał wrażenie jakiegoś olbrzymiego automatu z metalu i kości. - Byłem jednym z ostatnich Awiatorów NASNA, zdumiewających żołnierzy firmamentu; jednym z tych, którzy ocalały świat i wywołują wspaniałą Ostateczną Ascenzję, ale nie tę, o której marzy twój lud, Oleandrze, ani twój, Rafaelu...

Jego śmiech był pozbawiony radości. Jedną ręką zaczął grzebać w stosie kolorowych śmieci przy jednej z kóz. Wydobył z niego starą książkę, powiazaną sznurkiem, żeby nie wypadały strony. Wyciągnąłem szyję, chcąc odczytać na zaplamionej okładce niewyraźny tytuł: *Rozważania na temat pewnych etycznych aspektów żeglugi niebieskiej*. Rzucił na nią okiem, zmarszczył czoło i cisnął tom na płonący żar. Jeszcze raz zanurzył rękę w stercie rupieci i wyjął kolejną książkę. Była bez okładki, brakowało też chyba wielu stron, ale to mu widocznie nie przeszkadzało. Przerzucał zlepione karty, rozklejając je z wielką uwagą, aż natrafił na odpowiednie miejsce. Zaczął czytać. Echo jego słów, puste i nie wiedzieć czemu groźne, rozlegało się w ciężkim powietrzu.

Była to okropna historia, trwająca całą wieczność. Przysunąłem się do Oleandra. Słuchał, nie podnosząc głowy, szwy stawały się coraz luźniejsze i bardziej nierówne, aż w końcu szarpnęła nitkę, która pękła, a kościana igła poleciała do ognia. Wtedy przestał udawać, że coś robi. Przywarł do mnie, wsunął rękę pod moją pelerynę, zacisnął ją na udach, podczas gdy nieuchronnie zalewały nas fale głosu Awiatora, za naszymi plecami monotonicznie chrapali szakaludzie, a Anku patrzył przed siebie niezmaconym wzrokiem, jakby czekał, aż coś nabierze kształtu i wyłoni się z ciemności w Kaplicy Zmartwychwstania.

Gdy się mu zbyt blisko przyjrzeć, podbój Ziemi nie jest niczym przyjemnym. Ocala go wyłącznie idea, stanowiąca jego podwaliny; nie sentymentalna sztampa, lecz idea - coś, co można zbudować, przed czym można bić pokłony i składać ofiary...

Ton głosu Tasfannina stawał się rozmarzony, niemalże łagodny. Uniósł głowę znad książki.

- Właśnie to utraciliśmy. Prymat idei, za którą warto umrzeć, czegoś większego od nas i zasługującego na ofiarę...

- Ale ty o tym nie zapomniałeś, Rafaelu, i twoi ludzie też nie, prawda? A ci inni... - Wskazał chrapiącego słodko Trójkę. - Niewolnicy genetyczni od zawsze szukali kogoś, komu można byłoby się kłaniać: ich natura kundli, jak też upadłych ludzi, nakazuje im znaleźć kogoś, kogo można nazywać panem.

- I to chyba jest powodem, dla którego nie byłem wierzący: nie znalazłem nikogo i niczego, przed czym mógłbym bić pokłony. Słabi mężczyźni i kobiety bez charakteru, klękający przed bogami bez wyrazu, o ranach wypłukanych z krwi, bogami, którzy ginęli bez walki - bo w przeciwnym wypadku nadal cieszyliby się chwałą, ofiarami i krwią... dobrze mówię, Rafaelu?

Zgubiłem wątek tego myśli. Słowa tej przerażającej historii wprawiły mnie w rodzaj transu, tak że gdy zimne palce Awiatora złapały za linkę na mojej szyi, krzyknąłem, a Oleander skoczył na równe nogi.

Myślałem, że Tasfannin mnie wtedy zabije, choćby dlatego, że okazałem przed nim lęk. Po chwili jednak puścił sznurek i z powrotem się położył.

- Ten chłopak nie ma pojęcia, o czym ja mówię - szepnął. W blasku dogasającego ogniska jeszcze bardziej upodobił się do starożytnego posągu. Upiora, zbudzonego z długiego i niespokojnego snu. Ale najbardziej przerażające były nie oczywiste oznaki jego szaleństwa: kości, warkocze i złamane noże, nawet nie sznur, który kazał mi założyć. Nie, coraz większym niepokojem napełniały mnie subtelniejsze elementy znaczące świata zewnętrznego: lśniący trójkąt materiału na jego piersi, sporządzony z tak błyszczącej tkaniny, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie widziałem; małe symbole na jego kurtce Awiatora, gwiazdy, księżycy i kształty podobne do strzał lub dziobów łodzi. Pierścień na gruzłowatym palcu, krążek z ciężkiego złota, z osadzonym pośrodku błękitnym kamieniem i nazwą NASNA dookoła. Jego lud z pewnością nie miał słabych bogów. Odnosiłem wrażenie, że w ogóle ich nie miał, co też mu oznajmiłem.

- Czyli rozumiesz, Miramarze, przynajmniej trochę. Mieli bogów, mieli, ale nie takich jak wy tu w Mieście: trupa i kurwę!

Roześmiał się chrapliwie. Anku uniósł na niego wzrok, by zaraz złożyć głowę z powrotem na łapach. Awiator umilkł, jakby szakał przypomniał mu o poważniejszych sprawach.

- Rozdziawiony - zaczął cicho. - Oto bóg, którego czas wreszcie nadszedł: bóg śmierci, zniszczenia i rozpacz. Jakież bowiem pozostał nam sens życia, jaka nadzieja, że

jeszcze można coś uratować?

Pochylił się; poczułem na policzkach jego oddech, naznaczony zapachem opium. Oleander poczołgał się do koksownika. Przełknąłem ślinę, nieco się odsunąłem i oświadczyłem:

- Ja nie wierzę w Rozdziawionego... mój lud też nie; to naszym zdaniem starożytny przesąd, któremu wiarę dają wyłącznie Święci Alabanowie.

Tast'annin uśmiechnął się; jego górna warga uniosła się jak zwierzęciu, zaczeplając o przednie zęby.

- Ależ twój lud, Rafaelu, wierzy. Mądrze wykorzystałem swój pobyt w Mieście Drzew. Posłużyłem się niewolnikami genetycznymi, dziećmi zarazy, a ostatnio dziećmi Magdaleny, i dowiedziałem się od nich wielu ciekawych rzeczy. Około sześciu tygodni temu wystąpiły pewne zaburzenia atmosferyczne. Utraciliśmy jedną ze stacji na rzecz Wspólnoty Bałkańskiej. Zdaniem twojego ludu wybuch był zwiastunem nowej Ascenzji; wielu sądziło, że będzie to Ostateczna Ascenzja.

- Widziałem - wymknęło mi się. - To było... - w porę powstrzymałem się od opowiedzenia o spotkaniu z Powieszonym Chłopcem - ...bardzo niezwykle.

Awiator zaczął świdrować mnie wzrokiem.

- Zgadza się. Traf chciał, że oglądałem niebo z Wieży Gloria. Równie szczęśliwie się złożyło, że miałem przy sobie inteligentną dziewczynę, która stała się niedawno członkiem mojej małej rodziny; było to dziecko o imieniu Perła, którą lud usunął, jak wyrzuca się zepsuty owoc, tylko dlatego, że nie zdążyła uciec przed fugami. - Twarz mu się wykrzywiła. Rozwarł dłonie, jakby chciał w tym geście odtrącić wszystko, co znajdowało się w Kaplicy: zabawki, szakaludzi i skulonego w mroku Oleandra. - Prawdziwe z was, z Pafian i Kuratorów, zwierzęta. Zostawiacie swoje dzieci na pewną śmierć i zabijacie te nieszczęsne, zniekształcone istoty, zdolne się wam tak dobrze przysłużyć, gdyby nie wasz strach! Na szczęście znalazły sobie lepszego pana, człowieka szczerego, choć może nie do końca łagodnego; bo w dzisiejszych czasach lepiej pójść na spotkanie śmierci, niż jej unikać, pocieszając się przy tym tak, jak umiemy, albowiem nikt się jej nie wymknie.

Zaczął szperać w torbie doktora Silverthorna, wyjął z niej kapsułkę. Bez wahania włożył ją sobie do ust.

- Perła widziała cię nad rzeką, w podartym ubraniu i z lianą na szyi, pod ochroną tego cyrkowego zwierzaka. - Zmierzył sierść Anku. - Gdy tego wieczoru wróciła, obwieściła: „Widziałam Władcę Psów, panie. Tego, o którym rozpowiadają Pafianie, nad rzeką”. Kazałem jej opisać tę osobliwą postać, bo, jak wiesz, szukałem pewnej zaginionej empatki.

Wtedy jeszcze łudziłem się, że jeżeli ją znajdę i odstawię przełożonym, to wybaczą mi, że nie zdołałem zapanować nad Miastem. Kiedy jednak zobaczyłem eksplozję stacji NASNA, wiedziałem, że nie mam już przełożonych.

Urwał i popatrzył zdezorientowany na trzymaną na kolanach książkę, jakby nie miał pojęcia, jakim sposobem się tam znalazła. Po chwili zamknął ją i spojrzął na mnie. W czarnych dziurach jego oczu było tyle rozpaczy, że musiałem się odwrócić.

- W pewnym sensie była to Ostateczna Ascenzja, przynajmniej dla mnie. Wielokrotnie umierałem, w atakach wirusowych i potyczkach, odradzałem się i podlegałem rehabilitacji Rządców częściej, niż mógłbyś to sobie wyobrazić, mój śliczny. I nawet gdy zdradzili mnie Kuratorzy, a szakaludzie pojmali i pozbawili męskości, nawet wtedy przetrwałem, a gdy przybył Lawrence Silverthorn ze swą lekarską torbą, zacząłem nawet nabierać sił. Kiedy jednak tamtego wieczoru ujrzałem wybuch, domyśliłem się, że to moje ostatnie życie. Wtedy zginęli wszyscy i wszystko, co stanowiło dla mnie sens życia. Tam był mój świat i dom, nie tutaj...

Ruchem ręki ogarnął płonące ogniska i bloki granitu, otaczające ołtarz. Ja byłem pewien, że dla niego „tutaj” to nie tylko Kaplica Zmartwychwstania, Katedra czy nawet całe Miasto Drzew. Tym jednym gestem odrzucał cały świat zewnętrzny, ogromny świat, którego nie poznałem i którego nie będzie mi dane poznać, świat obejmujący jednak mnie, mój lud i Miasto.

I gdy tak patrzyłem na niego z rosnącym niepokojem, uśmiechnął się; był to uśmiech pełen mądrości.

I domyśliłem się, że ma zamiar nas zabić, unicestwić cały świat tak, jak zniszczeniu uległ jego mały światek. Znał się bowiem tylko na jednym, tylko jedno pojmował. Dlatego podobał mu się obraz Powieszzonego Chłopca; dlatego uparcie poszukiwał dziewczyny, która zadawała śmierć umysłem.

Wtedy jeszcze miałem nadzieję na ocalenie, pokładałem ufność w wyższość łagodnej bogini, w którą nigdy tak naprawdę nie wierzyłem. Nie pojmowałem jednak, że prawda Awiatora może być jedyną prawdą warta poznania, dlatego też jego uśmiech nappełnił mnie większą trwogą niż widok dzieci, które składał w ofierze.

- Tu jest arsenał - mówił. - Na zboczu wzgórza pod Katedrą. Skład broni, który NASNA założyła tu dwieście lat temu. Moje obowiązki Rządcy obejmowały między innymi ustanowienie tutaj posterunku janczarów. - Zagryzł wargę. - Rzecz jasna, teraz nie ma już żadnych powodów, dla których warto byłoby go pilnować: nie ma zresztą kto tego robić. W ogóle nic już nie ma sensu.

- Przecież tu jesteśmy - zaproponowałem - a Kuratorzy...

- Oni wszyscy już nie żyją, mój drogi. Wszyscy. Nie ma szansy, żeby któryś przeżył.

Oleander patrzył na Awiatora nie rozumiejącym wzrokiem.

- Oni żyją. Wiem, że ży...

Awiator uderzył chłopca tak mocno, że rozciął mu wargę, z której krew trysnęła mi na policzek, gdy Oleander leciał na ziemię. Tast'annin nawet na niego nie spojrział. Nie odrywał wzroku ode mnie, do jego ust przyrósł uśmiech; wytarł krew z ręki o moją szatę.

- Wszyscy nie żyją - powtórzył. - Jeśli któryś przetrwał atak buntowników, to zdążyli go już dobić. Jestem jedynym, moje drogie dziecko, który może kogokolwiek osądzać.

Siedziałem wyprężony jak struna, czekając, aż mnie uderzy albo będzie ciągnął swój chaotyczny monolog. Milczał teraz i przygważdżał mnie tym swoim upiornym uśmiechem. Odwzajemniałem spojrzenie ze strachu, że jeśli się odwrócę, to mnie zabije, dopóki widok nie rozmazał się, pozostawiając jedynie ten jego idiotyczny grymas, który unosił się w mroku.

Stopniowo tracił przytomność. Jego źrenice się kurczyły, po chwili rozpląnęły się w wodnistych oczach. Wpatrywał się pustym wzrokiem w ciemność. Zerknąłem na Oleandra, który pociągał cicho nosem i ssał krwawiącą wargę. Gdy po pewnym czasie wszystko wskazywało na to, że Awiator zapadł w coś w rodzaju transu i nie powie już ani słowa, czmychnąłem z Kaplicy, pozostawiając biednego Oleandra na straży u boku Szaleńca.

5. Uptyw niewłaściwie przedstawionego czasu

Nie bardzo wiedziałem, dokąd idę, chciałem uciec jak najdalej od Tasfannina. Nie śmiałem wychodzić poza obręb Katedry. Nikt nie odważyłby się mnie powstrzymać, lecz sam pejzaż tej części Miasta wystarczał, żeby mnie odstraszyć.

Nadeszła zima. Śnieg napadał przez dziury w dachu Katedry i tworzył szarobiałe zaspę. Dzieci lepiły z niego figury - mężczyzn, kobiety i zwierzęta (może szakaludzi?) - poczerniając je sadzą i formując groteskowe kształty. Przez okna widać było powleczone białym pyłem Miasto, zalaną słabym blaskiem księżycy w nowiu rzekę skuwał szary pancerz lodu. Śnieg nie tknął jedynie popielistego stoku naprzeciw Katedry. Jakaś trucizna, którą nasiąkła ziemia, stopiła śnieg, przez co grunt wyglądał tam jak pozostałości lodu przemieszane z trupami ofiar pasożytniczych drzew. Teren Katedry omijały nawet kruki, skrzeczące w mroźnym powietrzu. Woląłem się tam nie zapuszczać.

Błąkałem się więc po krętych korytarzach i zakamarkach starożytnego Kościoła, zastanawiając się, jakim osobliwym trafem wszystkie drogi z Miasta prowadziły właśnie tutaj. Jakim cudem korytarze w Domu Miramar i innych Pafiańskich Domach zawiodły mnie do

labiryntów Muzeum Historii Naturalnej, skąd zabłądziłem do Wąskiego Lasu i Domu Wysoka Brazylia, aż w końcu zagmatwana ścieżka skończyła się na Wzgórzu Świętego Alabana. Te drogi były niczym rowki i spirale na powierzchni strzalca, przyprawiające o zawrót głowy zawilości na tak niewielkiej przestrzeni. O ile bardziej skomplikowane były kręte drogi Miasta Drzew - które, jeśli wierzyć słowom doktora Silverthorna, stanowiło zaledwie jeden z sektorów oblężonych na świecie.

Awiator wezwał mnie nocą; ciągle trwała jeszcze noc. Zaczynałem nabierać przekonania, że Szaleniec mógł mieć mimo wszystko rację. Możliwe, że zmieniła się sama natura świata, przygotowana teraz na przyście Rozdziawionego, i już nigdy nie wstanie jasny świt. Nie byłem w stanie przypomnieć sobie chwili, kiedy ostatni raz widziałem słońce: być może podczas ucieczki z Balu Motyli.

Oparłem się o balustradę ponad nawą. Jediną zauważalną tam oznaką życia był dym unoszący się znad kilku pozostawionych na noc ognisk. Pomimo codziennego przybywania jeńców, głównie pafiańskich dzieci, odnosiłem wrażenie, że liczba mieszkańców Katedry stale maleje. Tych, którzy nie poddali się chorobom, mordował Awiator. W lodowatym powietrzu unosił się zgniły swąd krwi i rozkładu, fetor nie spalonych i nie pochowanych ciał, leżących za murami. Zadrzałem na widok postaci, która buszowała wśród leżących nieruchomo w dole ciał. Był to jeden z szakaludzi, zgłodniały jak my wszyscy, szukający pożywienia.

Odwrociłem głowę. Zaczynałem żałować, że zostawiłem tam Oleandra samego; że nie mogłem nic zrobić, by uratować Persyjkę, chłopców z Ilirii czy choćby tamtego Świętego Alabana. Największą siłą Awiatora była właśnie moc wydawania rozkazów. Tak jak mówił doktor Silverthorn. Trzeba czemuś służyć, a jedyną władzę uosabiał Margalis Tast'annin. Nie byłem wojownikiem. Potrafiłem tylko wzbudzać cześć dzięki swojej urodzie. Zajmowałem przydzielone mi miejsce biernie, jak na Wzgórzu Płomiennej Magdaleny, przyjmując to, co dał mi Awiator: deszcz krwi zamiast kwiatów, obelgi i przekleństwa w miejsce pożądlivych spojrzeń, konopny sznur, ocierający szyję, zamiast wieńca kwiatów na czoło. Pociągnąłem niecierpliwie za sznur. Zawiązał go tak mocno, że musiałbym go przeciąć; Tast'annin jednak uważnie strzegł broni, a poproszony kiedyś o pomoc Oleander odmówił.

Z głębi korytarza doleciał jakiś dźwięk. Być może któryś z szakaludzi zakradł się na górę i chciał nastraszyć mnie jak niczego nie podejrzewającego łazarza. Stałem w smudze wpadającego przez okno światła księżycy.

Z mroku nie wyszedł żaden z szakaludzi.

- Cześć, Wendy.

Włosy zjeżyły mi się na dźwięk tego chrapliwego głosu i wypowiedzianego przezeń imienia. Cofnąłem się do balustrady i naciągnąłem kaptur na twarz. Stała w jednej z nisz, z dwoma Aniołami z obłupanego kamienia po bokach, zylasta dziewczyna, która przypatrywała mi się rozbawiona.

- Nie bój się - szepnęła - on o mnie zupełnie zapomniał. Chyba po śmierci doktora SiWerthorna. Nikt nie dba o Annę, nikt o niej nie pamięta. Tylko ja tęsknię za Andrew.

Stanęła na korytarzu; dziewczyna, którą widziałem przed kilkoma dniami w Dzwonnicy Gloria, blondynka, która puściła do mnie oko. Śmiech był jedynym jej urokiem. Miała strasznie pokiereszowaną twarz.

- Kim jesteś? - odezwałem się, próbując nie okazywać po sobie strachu.

- Kim jestem? - zawtórowała drwiąco. - A ty?

- Rafael Miramar. - Gdy nie zrobiła ani kroku w przód, zdjąłem kaptur i przyjrzałem się jej twarzy. - Ale ty bierzesz mnie za Błądną Wendy.

- Zdaje się, że doktor Silverthorn mi o tobie wspominał. -

Wzruszyła ramionami. - W sumie okazał się dobrym lekarzem. Próbował uratować Gligora...

Wtem zgięła się w pół, targana atakiem kaszlu. Kiedy się wyprostowała, twarz miała pokrytą łzami; gdy je wytarła, pojawiły się ślady krwi. Po deszczu róż na twarzy, rękach i nogach zostały jej ropiejące rany, wszędzie, gdzie nie chroniła jej krótka tunika.

- Sprytnie zrobiłaś, że uciekłaś w tamtej chwili - powiedziała ochryple. - Wszystkich nas zabili.

- Jak masz na imię? - Próbowałem wyobrazić sobie tę młodą Ascendentkę przed deszczem róż, lecz okazało się to niemożliwe. Jej skóra szerniała i popękała niby spalona kora; ciało wisiało na rękach w niewielkich wałkach. Tylko w oczach błyszczała inteligencja.

- Anna. - Uśmiechnęła się, błyskając bielą. - Ja też miałam brata. Odrębną osobowość. Andrew. Przepuścili go przez NET. Teraz jestem sama, Wendy.

Skinąłem głową; sprawiała wrażenie niegroźnej, a mnie doskwierała samotność.

- Tak, ja też jestem sam, Anno.

Znowu zakasłała, zakrywając usta ręką, po czym spojrzała zdumiona na krwawą ślinę na dłoni. Gdy uniosła głowę, wzrok miała niewyraźny i plątał jej się język.

- Szukałam cię, Wendy. Chciałam cię ostrzec: on chce cię schwytać. Zabiją cię jak Andrew i Gligora, tak jak mnie...

Postąpiła krok, zataczając się jak pijana. Zatrzymała się. Z uśmiechem włożyła rękę do kieszeni. Gwałtownie wciągnąłem powietrze: myliłem się co do jej osoby, miała ukrytą

broń. Rozglądałem się w poszukiwaniu dróg ucieczki, lecz gdy na nią z powrotem spojrzałem, wyciągała raz jedną, raz drugą rękę i śpiewała dziecinnym głosem:

- Ence pence, w której ręce?

Nie było mowy o broni: jedna z posiniaczonych dłoni trzymała kobaltową kapsułkę w matowej obudowie, jakby wytartej od długiego noszenia. W drugiej ręce była jakaś ozdóbka, kawałek tkaniny lub kilka piór, zgniecione i zmieszane z błotem. Gapilem się, niczego nie rozumiejąc, aż w końcu przysunęła rękę z brudną szmatą.

- Weź - nakazała.

Podniosłem ostrożnie, trzymając na wyciągnięcie ręki. Wąska przepaska na głowę, sporządzona z piór, zlepiona brudem i wyprana z barw.

- Zrobiliśmy to z Andrew dla ciebie po twoim odejściu - oznajmiła cicho. - Dokończyłam ją już po jego śmierci. Dlatego szłam za doktorem Silverthornem i Gligorem. Obawiałam się, że zapomną ci ją dać. - Wpatrywałem się tępo w tę błyskotkę. - Nie podoba ci się? - spytała, a w jej głosie drżał niepokój.

Kiwnąłem głową.

- Przebyłaś taki kawał drogi tylko po to, żeby jej to dać?

- I tak by mnie wykończyli. - Wzruszyła ramionami. - Silverthorn z początku zwariował, ale nie zostało mu za dużo czasu na szaleństwo. Poza tym pamiętałam, jak strasznie podobała ci się tamta. - Na jej ustach pojawił się uśmiech pełen niewymownej słodyczy. - Dziwne to wszystko; po śmierci Andrew czułam się okropnie, ale inaczej niż przedtem, gdy się do nich przysysaliśmy. Miałam zapytać cię o to i o Chłopca, którego mi pokazywałaś...

Przebiegł ją skurcz. Machnęła przed twarzą pustą ręką, po czym spojrzała na kapsułkę, jakby o niej zapomniiała.

- Ale nie starczy mi już chyba czasu.

Nie zdążyłem jej powstrzymać, połknęła kapsułkę i skrzywiła się. Odczekała chwilę, by potrząsnąć przepraszająco głową.

- To ja wydałam cię Awiatorowi, Wendy. Byłam na ciebie wściekła. Jedno z blond dzieci opowiedziało mi o Masce Nocy Zimowej. To ja powiedziałam Szaleńcowi. Teraz żałuję. Miałam potem wyrzuty sumienia i dlatego chciałam cię przestrzec, dać ci szansę ucieczki. - Czknęła, skrzywiła się. - Doktor Silverthorn uprzedzał, że ma ohydny smak, i nie mylił się. Już się bałam, że nigdy cię nie zobaczę, Wendy. Cieszę się, że zdążyłam dać ci przepaskę...

Okręciła się, zrobiła kilka kroków, potknęła się i upadła, chowając w ciemnościach

niszy.

- Anno, zaczekaj! - krzyknąłem. Wcisnąłem opaskę do kieszeni i podbiegłem do niej. Przykląknęłam i obróciłam ją twarzą do siebie. Przez okienko w granitowej ścianie nad nami na jej twarz padała biała smuga księżycowego blasku.

Nie była to już twarz, którą widziałem przed chwilą. Na moich oczach biała skóra zafalowała, po czym wygładziła się i zbladła, otwarte oczy popatrzyły na mnie z wyrazem lekkiego szyderstwa.

- Franca! - krzyknąłem.

Uniosła się i pokręciła głową, włosy opadały na twarz nie śniadą już, lecz srebrnobiałą. Oczy, które patrzyły na mnie zza tej delikatnej siateczki, były zielone jak niedojrzałe jabłka.

Cofnąłem się. Bez namysłu skrzyżowałam przed sobą ręce, ale On tylko się roześmiał.

- Rafaelu Miramarze! - szydził. Chwycił za sznur na szyi i przyciągnął mnie ku sobie.
- Widziałeś przecież, na co się to zdało Świętemu Alabanowi w krużganku.

- Ale ciebie tam przecież nie było - wyjąkałem. Opadły mi ręce.

- Ależ byłem - odparł. Spojrzał na kawałek sznurka, puścił go i przykucnął na piętach. Mimo nagości w ogóle nie zwracał uwagi na lodowato zimną, kamienną podłogę. - Zawsze jestem przy tobie, Rafaelu. Z nimi wszystkimi: Franca, Anną i doktorem Silverthornem, Margalisem, Oleandrem i, tak, tak, z twoją przyjaciółką Fancy...

- Fancy? Ona żyje, wiesz, gdzie jest?

Próbowałam go złapać, targany między wściekłością a nadzieją. Między chęcią rozerwania Go na strzępy a uściskania, jeżeli mówi prawdę. Jednak gdy zacisnąłem na Nim dłoń, przeszył ją piekący ból. Cofnąłem ją raptownie.

- Jeszcze nie, Rafaelu - mruknął Chłopiec, a w Jego głosie słychać było ton groźby. - Powinieneś poczekać na zaproszenie. Już niedługo, mój drogi, już niedługo.

Jego głos zmienił się w cichy, przeciągły ton Awiatora. Uniosłem głowę i zerwałem się na równe nogi, bo oto nade mną stał Margalis, taksując mnie spojrzeniem bladych obłąkanych oczu.

- Zabieles ją? - zapytał. Wziął Annę za włosy i szarpnął, tak że głowa odchyliła się w tył, a oczy spojrzwały ślepo. Patrzyłem na to z niedowierzaniem, wreszcie rozejrzałem się po niewielkiej wnęce. Nie zagoiły się jej rany, ponad wszelką wątpliwość nie żyła. I ani śladu Chłopca. Przez szparę w ścianie wpadała smuzka bladoszarego światła, na tyle jasna, że zdałem sobie sprawę, iż się rozwidnia.

Puścił dziewczynę. Ciało spadło na podłogę z głuchym łoskotem. Wpatrywał się we

mnie z tym wszytkowiedzącym uśmiechem i wybałuszonymi oczami.

- Twoja przyjaciółeczka Fancy.

Czułem się tak, jakby przebił mi żołądek nożem.

- Tak - odezwałem się w końcu.

Pocieszenie Umarłych pociągnął za koniec sznurka na mojej szyi.

- Chodź - nakazał, jakby obiecywał mi złote góry. - Czeka na ciebie w krużgankach.

Wstałem bez słowa i poszedłem za nim. Dopiero w krużganku zauważyłem, że wokół konopnego sznura oplotło się zielone pnącze.

6. Najstraszliwszy z niezliczonych tyranów

Wisiała na metalowym kolcu, który wystawał z jednej z kolumn na środku pomieszczenia. Miała poderżnięte gardło, rozcięte od brody do piersi, ostrze przecięło mięśnie i ścięgna aż do kręgosłupa, który wyglądał niby naszyjnik ze skręconych koralu. Kamienną misę, którą pod nią przyciągnięto, do połowy wypełniała krew. Twarz przybrała barwę, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie widziałem: kolor pozbawionego słońca, zimowego nieba; krew odpłynęła z niej na tyle, że białka oczu sprawiały wrażenie błękitnych. Usta wykrzywiały się, jakby chciała krzyknąć, wyrażając taką nieskończoną mękę, że można sobie było tylko wyobrazić, jak nóż rozdzierał żywe jeszcze ciało.

Podszedłem do misy i dotknąłem jednej z bosych stóp. Krew spływająca z palców nóg zakrzepła, tworząc poczerniały stalaktyt. Pająk zaczynał więc pomiędzy stopami sieć. Poglądziłem palcem jej stopę, białą i błyszczącą skórę, zarysowaną szkarłatnymi smużkami na podobieństwo przejrzałej figi. Gdy wbiłem paznokiec w stopę, ciało rozstało się jak płachta pergaminu. Pająk umknął, gdy wyciągałem palec. Odwróciłem się i padłem na ziemię.

Oczy otworzyłem po wielu minutach. Wokół mnie kłębiły się czarne i purpurowe fale mroku. Co chwila wymiotowałem; wnętrzności paliły, aż wreszcie kucnąłem i oddałem stolec na kamienie, następnie wstałem i zatoczyłem się do kolejnej kolumny, którą objąłem, i zwałem się na ziemię. Leżałem z twarzą przyciśniętą do zimnej posadzki, nie czując własnego ciała, tylko ciemność i chłód, jakby zdarto ze mnie skórę, a kości zrosły się z kamiennymi blokami Katedry. Ogarnęła mnie wielka ulga, pustka kojąca skuteczniej niż oddech jakiegokolwiek kochanka, próżnia na jawie, która obiecywała więcej niż eony niezmaconego snu. Czułem, jak topią się głązy Katedry; widziałem niebo, jasne, bez granic, roziskrzone rojami gwiazd. Potem gwiazdy zaczynały jedna po drugiej gasnąć, aż całe obszary firmamentu zmieniły się w martwą czerń, zniknął też widnokrąg. Tkwiłem zawieszony w tej pustce, dopóki ostatnie punkciki światła nie zamrugały i nie zgasły, a w

końcu nie było już niczego, zupełnie niczego.

I wtedy odezwał się Głos.

- Ujrzałeś mnie - powiedział.

- Nic nie widzę - odrzekłem. Próbowałem przesunąć ręką przed oczami. Nie ma ręki ani oczu, które by ją zobaczyły. Pomyślałem, że umarłem; i myśl ta przyniosła mi ulgę.

- Ale to Ja - mówił. - Nic. Przekonałeś się, że nie ma nic poza tym.

Czekałem, ale teraz milczał. W końcu do głowy przyszła mi jedna myśl.

- Jest coś - oświadczyłem. - Jest Nieprzyjaciel.

- To prawda.

- Jak się nazywa? - spytałem.

Wtedy coś zobaczyłem. Rękę lub coś do niej podobnego; z dłoni wyrastał mały język błękitnego lodu.

- Ona nazywa się Anat - odparł. - I nazywa się Tiamet, i Asztarte, Izyda, Maria, Ariadna i Afrodyta. Ona nazywa się - mówił, a błękitny język pełgał - Wendy. Nazywa się - ciągnął po chwili milczenia - Nadzieja.

Wtedy Głos zamilkł. Płomień lizał pustkę, by zniknąć. Echo ostatniego słowa rozbrzmiewało przez wiele jeszcze godzin jak jadowity syk, który chciał mnie zgasić, jak odgłos gasnących jedna po drugiej gwiazd.

Później stopniowo zacząłem coś odczuwać, było mi zimno, jakby atomy mojego ciała kolejno zmieniały się w okruchy lodu. Bolała mnie głowa; na policzkach piekły siniaki. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem już nie czarną, lecz szarą posadzkę Katedry, w której granitowe płyty dopasowano tak starannie, że szczeliny między nimi miały szerokość włosa. Podniosłem się na nogi, krztusząc się od własnego odoru, brudu mojego ciała i całego otoczenia.

- Zbudził się - wyszeptał Pocieszenie Umarłych. Leżał na drugim krańcu krużganka na usłanym szmatami materacu. U stóp warował biały szakał oraz szakałudzie Blanche i Trójka; za nimi w ukryciu przykucnął Oleander.

Było mi słabo, ale mdłości przeszły. Jakbym wypełził ze skorupy, którą pozostawiłem za sobą, bezkształtną istotę o szarych oczach, kasztanowych włosach i sercu, które przestało bić. Obejrzałem się, ale leżała tam tylko moja szara szata. Zorientowałem się, że jestem nagi, że z szyi aż po uda zwisa mi pnącze o barwie żywej zieleni.

Na środku pomieszczenia ciągle wisiało ciało dziecka. Podeszedłem do niego i położyłem na nim rękę, zdjąłem z metalowego kolca, aż upadło na ziemię; zmierzwiłone, złote włosy wpadły do napełnionej krwią misy, kadłub legł tuż obok. Kopnąłem go, tak że całe

ciało zanurzyło się w misie.

Uniosłem wzrok na obserwującego mnie Pocieszenie Umarłych. Ruchem ręki wskazałem najpierw Oleandra, potem szakaludzi.

- Przyprowadzić mi wszystkie jeszcze żyjące dziewczynki. Podeszedłem do postumentu i zasiadłem tam na marmurowej ławie.

Pocieszenie Umarłych przyglądał mi się dłuższą chwilę, wreszcie jego twarz powoli zaczął rozjaśniać uśmiech.

- Wedle życzenia, Baalu - odparł.

Czekałem na ich powrót, nie ruszając się z ławy. Bez zmrużenia oka oglądałem wszystko, co następowało, a co sam spowodowałem. Nie czułem potrzeby snu ani pożywienia poza tym, co z kamiennej misy podawał mi Pocieszenie Umarłych. Nie czułem nic, zupełnie nic.

CZEŚĆ DZIEWIĄTA

NOC ZIMOWA

Jane Alopex pojawiła się w teatrze rankiem w przeddzień Nocy Zimowej. Jedliśmy bardziej niż zwykle wykwintne i uroczyste śniadanie: suszone owoce i chleb, popijane resztą whisky z owoców miłorzębu Toby'ego i moją własną herbatą miętową, przechowywaną przez wszystkie te tygodnie, marynowanego karpia i wędzoną szynkę od Zoologów, które Toby trzymał na specjalne okazje. Nikt nie wyraził obawy, którą wszyscy podzielaliśmy: że ostatni raz jemy wspólnie posiłek.

- Może lepiej byłoby nie iść - rzuciła po raz dziesiąty Mehitabel. - Aidan mówił, że ten łazarz ostrzegał go przed Maską Nocy Zimowej.

- Ależ trzeba - zaproponowała Panna Scarlet, sącząc z filiżanki. - Przedstawienie musi trwać.

Nawet w jej głosie słychać było powątpiewanie. Choć był wczesny ranek - niebo bez słońca, drzewa obielone śniegiem i szadzią - wyglądaliśmy na żołnierzy w trakcie nocnego marszu lub biesiadników, którzy nie mają ochoty na kończenie pijackiego wieczoru. Pokój przesiąknięty był brandy i dymem z drewna. Kilka opróżnionych butelek i złamanych pipetek po kandykainie uzupełniało scenę wyczerpującej, choć rozpaczliwej wesołości. Tylko na Jane nie robiło to większego wrażenia. Siedziała obok Panny Scarlet i czyściła tasakiem paznokcie.

- Niech Bóg broni Pafian przed opuszczeniem jakiejś zabawy - odezwała się sucho. - Gdyby to zależało ode mnie, nie ruszałabym się z łóżka. Ale zeszłej nocy wokół zoo płatali się szakaludzie. Zwierzęta oszalały i noc zeszła mi na próbach ich uspokojenia. Kiedy rano zobaczyłam, jaka jest pogoda, pomyślałam sobie, że może wam być potrzebna eskorta do Domu Świętego Alabana.

Spojrzała na ciężkie, wilgotne płatki śniegu, osiadające z sykiem na szybach okna. Śnieg widziałam zaledwie kilka razy w życiu i zachodziłam w głowę, co zwiastuje ta burza.

- Tak czy inaczej, dzięki, że przyszedłeś - odezwał się Toby, nalewając jej resztę brandy z gingko.

Nocą długo rozmawialiśmy, Jane, Panna Scarlet, Justice i ja, stłoczeni w niewielkiej izbie, którą zajmowałam z pafiańskim towarzyszem. Pozostali Aktorzy też raczej nie spali, Gitana i Mehitabel szeptały w swoim pokoju, Toby i Fabian radzili sobie z lękiem, ćwicząc w sali gimnastycznej szermierkę. Leżałam z Justice'em na jednym łóżku, ciesząc się bliskością

zaufanych przyjaciół. W piecyku palił się ogień. Z opartych o kratę butów Jane unosiła się para i mulisty zapach.

- Jak myślicie, będzie ta Ostateczna Ascenzja? - zastanawiała się na głos. Przez wąskie okienka z diamentowego szkła ciągle widać było siekące płatki śniegu. Od czasu do czasu silniejszy powiew wiatru wstrząsał szybami, a Jane i Panna Scarlet przysunęły swoje podnóżki do pieca.

- Mój lud tak uważa - mówił cicho Justice. Gładził mnie po karku, wbijając we mnie szerokie, lecz pozbawione strachu oczy. - Potwierdzają to wszystkie znaki: jasność na niebie w noc Balu Motyli; masakra w Wysokiej Brazylii; szakaludzie i łazarze polujący razem w Wąskim Lesie; chłopiec, który uosabia Rozdziawionego; i Szaleniec w Pograżonej Katedrze. Poczekamy i zobaczymy, czy Magdalena obudzi się tak, jak mówią, i stanie twarzą w twarz z Rozdziawionym.

- Jeden mężczyzna - parsknęła Jane. - Nie wolno wam zapominać, że Awiator jest tylko mężczyzną, chociaż z tej jego męskości niewiele pozostało, co, Scarlet?

Stuknęła w podnóżek szympancicy, która pokiwała głową, nie odrywając wzroku od żaru w piecu.

- Coś się kończy - mruknęła cicho. - Przynajmniej świat w takiej postaci, jaką znamy. Jane wsunęła nogi pod podnóżek i rzuciła okiem na mnie.

- A zarazem coś się chyba zaczyna. - Pociągnęła nosem, nie spuszczać wzroku z Justice'a, który bawił się kosmykiem moich włosów. - I już po cnotliwym monsieur Aidanie. - Skrzywiła się i zwróciła do Panny Scarlet: - Nie przesadzaj, Scarlet, to po prostu kolejna maskarada. - Skubnęła opadające jej na oczy włosy, po czym poklepała szympancicę.

Tamta westchnęła, poprawiła kołnierz i wydeła wargi.

- Gdy tydzień temu wystawialiśmy *Arlekinadą widma*, udałam się do mima Zuriela Persji.

- Tego oszusta! - wybuchnął Justice. Wziął kolejną pipetkę kandykainy.

Podparłam ręką brodę.

- To dlatego nie było cię potem na kolacji - stwierdziłam. - Nie miałam pojęcia, gdzie się podziałaś.

Justice złamał mi pod nosem pipetkę. Zamknęłam oczy i zastanawiałam się, co przypomina mi ten chłodny strumień rozkoszy, ale jedynym wspomnieniem był obraz wieszki w Domu Persji, gdzie ja i Justice siedzieliśmy z suzerenem dłużej przy kandykainie i tubkach morfy. Ostatnimi czasy Justice zawładnął wszystkimi moimi myślami, jego usta, ręce i smak skóry, włosy miękkie jak pierze. Gdy próbowałam przypomnieć sobie obraz,

który prześladował mnie od opuszczenia LIL, widziałam oczy nie zielone, lecz niebieskie, o uroczym odcieniu szafiru: lśniące oczy Chłopca, a nie demona.

- Nie trzeba było tam tak długo zostawać, Wendy - upomniała Panna Scarlet. - Niezłe stworzyliście widowisko. - Zadarła spódnice i wyciągnęła włochate nogi, aż palce nóg podwinęły się koło pieca. - Choć z drugiej strony nie ma to już chyba większego znaczenia.

Westchnęła, skuliła się i przysunęła do żaru. Justice pocałował mnie w ramię. Zamknęłam oczy i mruknęłam szczęśliwa, a kiedy uniosłam wzrok, zobaczyłam Jane Alopex, która patrzyła na mnie z obrzydzeniem. Justice dotknął trzema palcami ust i puszczał oko, pozdrowił japo pafiańsku. Jane odwróciła głowę.

- I co tam powiedział ten oszust, Zuriel Persja? Nie po to szłam tu przez śnieżycę, żeby oglądać, jak Rozdziawiony przewraca oczami do Justice'a.

- Powiedział - zaczęła Panna Scarlet, prostując się i świdrując nas pełnymi powagą, brązowymi oczami - że Maska Nocy Zimowej nie odbędzie się w sposób tradycyjny.

- Cóż - wtrącił się Justice - chyba nie słysząc, żeby mieli ją zamiar zmieniać, co?

Potrząsnęłam głową i chciałam coś powiedzieć, lecz Jane uciszyła mnie groźnym wzrokiem.

- Mów, Scarlet - poleciła.

- Spotkałam go w Komnacie Boskich Proroctw. Sporządził odcisk mojej twarzy w rozgrzanym wosku. „Dla Potomności - powiedział - żebyśmy nie zapomnieli największej gwiazdy naszej Sceny”. Był naprawdę czarujący, choć głos ma jakiś taki dziwaczny.

- Nie jest to zbyt czarujący gest, Panno Scarlet. - Jane zmarszczyła brwi. - Robi ci maskę pośmiertną za życia.

Panna Scarlet wzruszyła ramionami. Śnieg uderzał o szyby, a ja tuliłam się do Justice'a.

- W sumie nie mówił niczego zachęcającego - przyznała. - Gdy zrobił maskę, zapalił kilka kadzidełek, wypalił sporo tytoniu z miodem i fajkę opium. Później zabił wiewiórkę, która i tak wyglądała jak półzywa z głodu. Tej zimy zwierzęta w ogóle nie mają się najlepiej. Następnie zlał jej krew do miski i... i...

Zawahała się. Słyszając zniecierpliwiony kaszel Jane, zerknęła na nią niezadowolona i podjęła:

- No, i wtedy ją wypił. Naprawdę wygląda na to, że barbarzyństwo jest ostatnio w modzie. Ale co mogłam na to poradzić, kiedy sama się do niego zgłosiłam? Czekałam więc, a on mlaskał i powtarzał, że mu mało: wreszcie dokonał jakiejś wróżby z ksiąg. Nazwał ją stychomancją. Zdziwiłam się, że ma książki i że w ogóle umie czytać. „Nauczyli mnie

Kuratorzy” - oznajmił tym swoim obrzydliwym głosem, nie pasującym do jego nieprzeciętnej urody. - „Te książki pochodzą z Muzeum Historii Naturalnej, dali mi je za egzorcyzmy Hali Archozaurów po śmierci Rolanda Nopcsy”. Obejrzałam niektóre - wiecie, jak lubię czytać - ale były to przeważnie bardzo stare podręczniki, zapewne historii naturalnej. Sięgnął pierwszą z brzegu, przerzucał strony i wybierał fragmenty - jak mi się zdawało - na chybił trafił. Uraczył mnie czymś takim.

Z siatki wyjęła zwinięty pergamin, rozłożyła go i zaczęła czytać:

- „...ślady istnienia pewnego ciała... co do następstwa form życia na ziemi... bieg natury będzie ciągły i nieprzerwany... otwierają się widoki na przyszłość... centralny ogień i deszcz z niebios... unicestwione zostają wszelkie ślady istot organicznych... na ziemi raz jeszcze zapanował starożytny pokój”.

Skończyła, wpiła wzrok w pergamin, zwinęła go i wsadziła z powrotem do siatki, którą zamknęła z trzaskiem, aż się wzdrygnęłam. Położyła ręce na podolku.

- To mi właśnie powiedział. I jeszcze żeby strzec się Maski Nocy Zimowej. Maski Rozdziawionego, jak to określił. Powiedział, że on sam nie weźmie w niej udziału.

- Jak na mima i oszusta, sprawia wrażenie dość inteligentnego - stwierdziła Jane Alopex. - Moim zdaniem robicie bardzo niemądrze, że tam jutro idziecie, ty, Scarlet i Wendy, którą przestrzeżono o ataku łazarzy.

- Anna była... szczerze mówiąc, nigdy nie można było na niej polegać. - Wzruszyłam ramionami i rozstawiłam dłonie przy piecyku. - Zresztą jaki mamy wybór? Miasto nie może ukrywać się w nieskończoność, a sama mówiłaś, że nie mamy żadnej broni.

Jane nic nie odpowiedziała, odwróciła się tylko w stronę okna; w końcu Panna Scarlet weszła jej na kolana i nawiązała radosną rozmowę.

Tak spędzaliśmy ostatnią noc w teatrze. Gadaliśmy niemal do świtu, wspominając dawne przedstawienia, szaleńcze, bezsenne noce prób i owacyjne przyjęcie, jakie po nich następowało. Dokładaliśmy do piecyka gałązki jabłoni, aż w końcu najpierw Justice, a potem Jane zapadli w sen, ja zaś i Panna Scarlet patrzyłyśmy, jak żar szarzeje i staje się zimny.

- To jeszcze nie wszystko, Wendy.

Wzdrygnęłam się, uderzając brodą w bark Justice’a. Sama też się zdrzemnęłam.

- Że co, Panno Scarlet? - wybełkotałam, siadając.

- To nie wszystko, co mi powiedział ten mim. Nie wszystko im opowiedziałam.

Przechyliła głowę w stronę śpiącego obok mnie Justice’a i chrapiącej na podłodze Jane, która leżała na zmiętym płaszczu podróżnym. Tęsknie się uśmiechnęła. Zdjęła koronkową czapkę, skrywającą jej niemal łysą głowę. Widniała na niej zaledwie smuga

sierści. Palcami niespokojnie ugniatała szyję.

- Zapytałam go, czy widzi dla mnie jakąś przyszłość. - Upewniła się, czy tamci naprawdę śpią. - Chciałam się dowiedzieć, czy... no wiesz, czy jeżeli dojdzie do tego wszystkiego, to czy w ogóle istnieje jakaś Magdalena... i czy ona może przemienić mnie w prawdziwego człowieka. Odłożył księgę i zamknął oczy. Siedział tak przez długi czas, myślałam więc, że usnął. Uznałam, że o mnie zapomniał, i zaczęłam zbierać się do odejścia, gdy znenacka odrzucił głowę do tyłu. „Nic!” - zawołał. Sprawiał wrażenie głęboko przerażonego. - „Nie widzę w tym Mieście ani mówiącej szympanicy, ani twojego towarzysza Aidana Arenta, ani jego pafiańskiego przyjaciela. Nic, w ogóle nic; ale dosyć już tego”.

Zamilkła. Śnieg uderzał w okna. Chrapanie Jane mieszało się z łagodniejszym oddechem Justice'a. Po chwili Scarlet przypełzła do Jane i ułożyła się do snu pod jej pachą.

Następnego dnia po południu przybył wóz cyrkowy z Domu Świętego Alabana. Aktorzy wsiedli do niego, Jane zaś jechała obok na swojej Sally, z dyndającym u boku pistoletem. Miasto ogarniał mrok, szpony Wąskiego Lasu zatopiły się w Muzeach i wspinały po Wzgórzu Biblioteki, przystając tuż przed białą łąką, gdzie nie pasły się już owce. Samotny, młody pasterz wciąż stał tam na straży, milczący, lecz czujny. Jego okrągła twarz nieco zsiniała. Odprowadzał nas wzrokiem bez słowa. Dopiero gdy buda przebyła zakręt i zaczęła zjeżdżać długą Aleją Głębinową, uniósł rękę i zawołał:

- Niech Magdalena ma was w Swej opiece w Noc Zimową! Stałam z tyłu wozu i machałam mu, otulając się peleryną, dopóki nie straciłam go z oczu.

Starsi ze Świętego Alabana zabezpieczyli się przed zimnem porcjami morelowego negusu i puszką parującej whisky, którą dzielili się z Tobym i resztą trupy. Twarze mieli zbyt stwardniałe, a ciała zbyt słabe, żeby mogli brać udział w handlu z Miastem. Byli dobroduszni, nie nosili w sobie uraz, tak jak wielu starszych Pafian. Siedziałam nieco z boku. Tego popołudnia nie mogłabym znieść nawet towarzystwa Justice'a. Uśmiechałam się blado, gdy wznosili moje zdrowie.

- Powieś chłopca, wskrześ dziewczynę, Arent!

- Przetrucimy grzbiet tej starej kurwie Zimie, co, Aidan?

Potem śpiewali jedną z bardziej lubieżnych zwrotek *Pieśni Świętego Alabana*, często przystając i powtarzając słowa, czym drażnili Jane Alopex.

W miarę jak zbliżaliśmy się do Wzgórza Płomiennej Magdaleny, z Muzeów wyłaniali się Kuratorzy w czarnych i brązowych strojach. Nieśli wysokie pale z czaszkami zwierząt na szczycie, zdobionymi zielonymi, niebieskimi i czerwonymi wstążkami. Przed Muzeum

Historii Naturalnej mała grupka zbiła się wokół nowej, smukłej Regentki, Clary Brown, starając się unieść olbrzymią czaszkę archozaura. Inni Kuratorzy przychodzili im z pomocą, pchając ich przy tym naprzód i tworząc gęstniejący tłum, który podążał za nami. Pozdrawiali nas hałaśliwie, gramoląc się przez śnieżne zasy i unosząc symbole z czaszkami, pociągając za wstążki, aż kościane szczęki grzechotały, gdy dołączali do kroczącej z tyłu defilady.

W końcu wspięliśmy się na Wzgórze Płomiennej Magdaleny i dotarliśmy do Domu Świętego Alabana.

- Matko Święta, patrzcie na nich wszystkich! - Fabian wpadł na mnie, gdy wóz zatrząsł się na lodowatej drodze. - Zeszło się chyba całe Miasto...

- Jest zresztą coraz mniejsze - wtrącił jeden ze starszych, czkając. - Pozostałe Domy postanowiły dziś przyłączyć się do nas na dobre i na złe. Będą wszystkie...

Zachwiał się i tak schwycił przesuwający się pał, że aż żałośnie zaklekotała szkieletowa ozdoba. Podszedł do mnie Justice.

- Słyszałaś, Wendy? Jest tu całe Miasto! Zdarzyło się to po raz pierwszy, zwłaszcza w Świętym Alabanie! Rzeczywiście wszystko układa się jak w dawnych historiach...

Skinęłam głową, ujęłam jego dłoń i ścisnęłam ją. Czułam się tak, jakby wyładowania następowały jednocześnie we wszystkich nerwach całego ciała. Przez głowę przebiegały mi jaskrawe obrazy, podczas gdy Kuratorzy i Pafianie śpiewali:

Powieś chłopca, wskrześ dziewczyną, I niech Noc Zimowa zginie!

Widziałam lśniące postacie, jakby namalowane na szkle. Aidan Harrow; Emma Harrow w Pokoju Horne'a, ciskająca mi na kolana złamaną łodygę hibiskusa; mała Pafianka Fancy, stojąca na palcach, by ucałować zarumienionego Rafaela Miramara, który tuli ją do piersi, zwraca się do mnie i widzę własną twarz, obejmując to dziecko. Ogarnia mnie żal, uginają się pode mną kolana. Pod powiekami wirują ciemne płatki. Justice przytrzymuje mnie, żebym nie upadła.

- Wendy...

Unoszę głowę i widzę go, jego zmartwione, niebieskie oczy. Za nim stoi wpatrzony we mnie Toby Rhymer, z gorącym kubkiem wina w rękach. Nic nie mówi, ale nie odrywa ode mnie wzroku. Domyślałam się, że słyszał, jak nazywa mnie Justice, już od pewnego czasu żywił podejrzenia, a teraz nabrał pewności. Na twarzy powoli zakwita mu uśmiech, wznosi kubek, z błyskiem w oczach.

- Do rana po Nocy Zimowej, Błędna Wendy - mamrocze i wychyla zawartość kubka. Spogląda na Dom przed nami. Pafianie niczym lśniące proporce machają do nas ze schodów, tarasów i zasypanych śniegiem balkonów Świętego Alabana.

* * *

Gdy gramoliliśmy się z budy, powitała nas Adonia Święty Alaban, suzeren Domu.

- Do rana po Zimowej Nocy, kuzyni - zawołała, schodząc ku podjazdowi.

Miała na sobie długą szkarłatną tunikę z zielonymi haftami. Pafianie hołdowali modzie nawet w żałobie. Była starsza niż wszyscy inni znani mi suzereni, starsza od wszystkich Pafianów, jakich kiedykolwiek widziałam. Drobnej budowy, ale pulchna, wciąż piękna, z tymi samymi skośnymi, niebieskimi oczami, które były znakiem szczególnym Justice'a, Lalage i innych mieszkańców Domu Świętego Alabana. Na wysoko osadzonych kościach policzkowych miała wytatuowany fioletowym i czerwonym atramentem sierp księżycy. Głos zachrypl jej od wieloletniego używania kefu i opium.

- Justice, drogi kuzynie, wszyscy nie mogą doczekać się spotkania z tobą! - Pozdrowiła go po pafiańsku i ucałowała.

Za jej plecami tłum lśniący złotem, purpurą i błękitem schodził po schodach, żeby wmieszać się w zgromadzenie na zewnątrz. Niektórzy zaczęli ściągać z wozu rekwizyty i kosze z kostiumami. Inni przynosili Kuratorom parujące czary wina i whisky, po czym pomagali im wnosić makabryczne sztandary. Jeszcze inni witali się z Aktorami, kłaniając się Toby'emu i całując urękawicznione łapy Panny Scarlet. Kilku kuzynów podniosło Justice'a. Śmiejąc się, bezbronny, pomachał mi, gdy nieśli go po schodach. Adonia Święty Alaban przywitała Toby'ego i Pannę Scarlet, po czym wzięła mnie pod rękę i wprowadziła do środka.

- Drogi monsieur Aidan, to dla naszego Domu wielki zaszczyt, że możemy pana dziś gościć, zwłaszcza w taką noc. - Wsparła się na moim ramieniu, liżąc mnie niebezpiecznie blisko ucha.

Uśmiechnęłam się niepewnie, odrzucając ciężkie poły peleryny.

- Jaki śliczny kostium! - wykrzyknęła na widok mojej purpurowej tuniki i butów z cholewami. Dłużej zatrzymała spojrzenie na prezencie od Justice'a, który zdobił moją szyję. Był to złoty naszyjnik, przypominający lianę ozdobioną kwiatami w kształcie trąbek, podobnymi do lilii, kupiony od Historyków.

Schyliłam głowę w podzięcie.

- Pomagał mi go wybierać twój kuzyn Justice. - Przystanęliśmy przed solidnymi, drewnianymi odrzwiami, zza których ukazała się Wielka Sala. Zmrużyłam oczy, oślepiena blaskiem świec i lamp gazowych, ogromnych walców ze szkła i metalu, podwieszonych pod sufitem i tak jaskrawych, że musiałam na chwilę odwrócić wzrok.

- W czasie Nocy Zimowej staramy się rozświetlić mrok, by Rozdziawiony trzymał się z daleka - oświadczyła uśmiechnięta Adonia. Omiatała niespokojnym wzrokiem

pomieszczenie, jakby sprawdzała, czy gdzieś nie pozostał nie oświetlony skrawek marmuru.

Z tęsknotą szukałam odrobiny ciemności, oczy bolały od takiego blasku. Setki biesiadników przesuwali się po polerowanej marmurowej podłodze, która lśniła równie jasno jak kandelabry. Uczestnicy maski jakby przesuwali się przez płonący las. Wszędzie stały wiecznie zielone drzewa, które zapełniłyby cały teatr, lecz tutaj tworzyły zielone i srebrne zagajniki; gałęzie ugięły się od tyłu kapiących świec, że chyba tylko cudem wytrzymały ciężar. Przy drzewach stały dzieci w przezroczystych, żółtych szatach, tak że ich smukłe sylwetki rysowały się na tle blasku. Dzieci opryskiwały się wodą z karafek, aż przemokły im kostiumy. Dziwiłam się temu mało skutecznemu sposobowi gaszenia ogni.

- Jeszcze nigdy nic się nie zdarzyło - zapewniała Adonia. - Świece znajdują się znacznie poniżej liści, a w ogóle drzewa ścięto dziś rano. Świeże drewno nie powinno się palić.

Przypadł do niej chłopiec z Ilirii. Jego czarne kędziory zdobił wieniec z sosnowych szyszek.

- Biesiadnicy z Ilirii pytają, gdzie mają zająć miejsca podczas kolacji.

Adonia machnęła ręką przy twarzy.

- Na śmierć zapomniałam i umieściłam ich przy tym kastracie z Persji... chodź, Hilary, pomożesz...

Musnęła palcami moje usta i przelotnie pocałowała, dzięki czemu pod jej pozą poczułam smak zwykłego strachu. Brokatowy rąbek jej tuniki zniknął w tłumie arlekinów, kolombin i przebranych za Rafaelów, który kłębił się po sali.

Objęłam wzrokiem podobne do ognistych wodospadów drzewa; pod sklepieniem snuł się biały dym. Wciągnęłam przyprawiający o zawrót głowy aromat wiecznie zielonych roślin, żywicy jodeł i setek róż, które Botanicy przynieśli ze szklarni i rzucili obok szemrzących fontann, skąd dzieci czerpały wodę do karafek.

„Ona się boi” - pomyślałam. „Nie może zapomnieć o łazarzach i Szaleńcu w Katedrze”.

Przypatrywałam się perskim władczyniom z tatuażami na powiekach, trzem chępliwym chłopcom z Miramar, iliryjskiemu obojnakowi, okręconemu sznurami piór, które upodabniały się do pnączy. Wiedzieli, że łazarze planują atak? Jeżeli tak, to po co tu przyszli?

Dlaczego ja tu przyszedłam?

Złapałam przechodzącą dziewczynę ze Świętego Alabana, z twarzą wymalowaną białą kredą i oczami ucharakteryzowanymi na liście ostrokrzewu. Śmiech zamarł jej na wargach, gdy zobaczyła, kto ją trzyma.

- Witam, kuzynie - odezwała się z powagą. - To dla mnie zaszczyt, monsieur Aidan.

- Jak się nazywasz? - Wciągnęłam ją do małej alkowy, gdzie szumiała wesoło fontanna, skryta za ścianą z ciemnozielonych liści ostrokrzewu i magnolii. Drżała w moich ramionach. - Nie zrobię ci krzywdy.

- Wiem. - Jej źrenice rozszerzyły się ze strachu, ale nie stawiała oporu, gdy przyciągałam jej twarz. - Tansy. Tansy Święty Alaban. W zeszłym roku na Czwartej Chwalebnej złączyło mnie z twoim towarzyszem, Justice'em.

- Tansy - powtórzyłam. Z chęcią przyssałabym się do niej i dowiedziała, co kazało jej się tu zjawić, być może ryzykując pewną śmierć. - Pocałuj mnie, Tansy.

Odwróciła głowę. W jej słonecznikowych oczach widać było łzy.

- Czego się boisz, Tansy? - Ujęłam jej podbródek i uniosłam głowę. - Jestem Aidan Arent, Aktor. Widziałas mnie?

- Tak - odparła głosem ledwie słyszalnym zza szumu fontanny. - Na Karnawale Chryzantem w Ilirii.

- To dlaczego się mnie boisz? Po co przysłaś, skoro tak bardzo się boisz?

Popatrzyła na mnie z takim smutkiem, że ją puściłam.

- To jest mój Dom - oświadczyła z godnością. - *Obowiązki rozkoszy* mówią, że spadnie nań wielka żałoba, ale jednocześnie, że jakiś Święty Alaban zbudzi Magdalenę z długiego snu. Wierzmy, że nadchodzi Ostateczna Ascenzja. Że rozpocznie się w Noc Zimową. Dlatego się boimy, my wszyscy na Wzgórzu; ale nie będziemy uciekać. Zbyt wielu nas już nie żyje; a poza tym, co komu z tego, że uciekniemy i zaczniemy służyć Władcy Psów?

Odwróciłam się do fontanny. Spryskałam sobie policzki wodą, która smakowała pomarańczą.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie - stwierdziłam w końcu, wycierając twarz w rękaw. - Boisz się mnie. Dlaczego?

Wyglądziła kostium, halkę z krwawoczerwonego jedwabiu, która ledwie sięgała ud.

- Mówią, że jesteś tym samym, który rządzi w Pogrążonej Katedrze, który rozkazuje naszym kuzynom, by zabijali nas na ofiarę dla siebie. Rozdziawiony. Powieszony Chłopiec...

- Jakże mógłbym nim być? On rządzi w Katedrze, a ja jestem zwykłym Aktorem. Nigdy nawet nie zbliżyłem się do Katedry...

Wpatrywała się we mnie wielkimi oczami, pozbawionymi wyrazu niczym oczy dziecka.

- Nie wiem, jak to możliwe, ale widziałam wielką gwiazdę w noc Balu Motyli. I przez

trzy noce pod rząd śniły mi się potworne rzeczy, wilki o ludzkich twarzach, które pędziły przez las płomieni, ja sama, gdy leżałam martwa na śniegu. Nie wiem, co to wszystko oznacza, i boję się. Ale zostanę tu dzisiaj ze swoim ludem i poczekam na przebudzenie Magdaleny. - Nim zdążyłam ją powstrzymać, odwróciła się. - A teraz muszę cię już opuścić, Aidanie Arent.

W moich skroniach pulsował gniew. Chciałam ją przyciągnąć, rzucić się na nią i odebrać jej ten sen, jakbym starała się pojąć całe to szaleństwo. Ale gdy położyłam jej rękę na ramieniu, odwróciła się, pochyliła i ucałowała mnie w usta.

- Niech Magdalena pomoże ci przetrwać Noc Zimową - powiedziała na odchodnym.

Jeszcze przez chwilę krążyłam wokół fontanny, chlapiąc się w wodzie. „Czyli po to tu są” - myślałam. Gniew ucichł. Przypomniały mi się stare religie, o których uczyła nas doktor Harrow, zniszczone przez Pierwszą Ascenzję. Zobaczyć przebudzenie Magdaleny. Nie odwidają ich od tego nawet łązary, a Justice wstydział się mi o tym powiedzieć.

Wychodząc z alkowy, roześmiałam się tak głośno, że jakaś Iliryjka, która stała przed wiecznie zielonym drzewkiem i podziwiała jego strażnika, zaskoczona wypuściła z ręki bicz. Skłoniła się i uśmiechnęła.

- Oby Ona dopomogła ci dotrzeć do jutrzejszego ranka, młody Aidanie.

- Niech dopomoże nam wszystkim - odparłam.

Nasze przedstawienie *Arlekinady widma* nie stało się gwoździem wieczornego programu. Krótka sztuka poszła dobrze, moje występy - ubranej na modłę Rafaela Miramara i noszącej szkarłatną maskę śmierci do ostatniej sceny, w której zdjęłam ją i ujawniłam się jako duch ukochanego głównej bohaterki - wywoływały nie dławione westchnienia, lecz uprzejme brawa. Pafianie w rozświetlonej sali czekali na inne rozrywki.

Ukloniliśmy się. Adonia - leżąca w towarzystwie Regentów i suzerenów innych pafiańskich domów - dała znak, żebyśmy podeszli. Siedział tam także Gower Miramar w prostej, ciemnozielonej tunice. Jediną ozdobą, jaką miał na sobie, był wieniec z liści ostrokrzewu. Przywitał się ze mną, ale się nie uśmiechał i nie pozdrowił po pafiańsku. Pomogłam Pannie Scarlet zająć miejsce na poduszce pomiędzy mną a Justice'em. Nieopodal stała Jane Alopex, obgryzająca paznokcie i patrząca na salę.

W Wielkiej Sali zapadła osobliwa cisza. Pafianie gromadzili się wokół rozświetlonych jodeł, ich jaskrawe kostiumy nie pasowały do ogólnej atmosfery, która nastąpiła po wymuszonej radości popołudnia. Obok stali Kuratorzy, dzierżąc zwieńczone czaszkami kije. Często rzucali okiem na Regentów, którzy również zachowywali milczenie. Słyszałam tylko własny oddech, syczenie świec i szemranie fontann. Zapach palonego wosku przytłumił

aromat balsamu, róż i piżma. Tylko najmniejsze dzieci czekały z pełnymi napięcia minami, posyłając sobie złośliwe uśmiešky. Panna Scarlet wsunęła dłoń w moją rękę. Nawet przez rękawiczkę czuć było, jaka jest zimna i jak drżą jej palce. Nerwowo rozglądała się po pomieszczeniu zza prostej czarnej maski.

Cisza. Potem skądś wysoko dobiegł nas głęboki dźwięk, bicie jednego jedyne dzwonu. Toksyna, ostrzegająca przed atakiem łazarzy lub fug, która co roku obwieszczała rozpoczęcie Maski Nocy Zimowej. Echo dzwonu zgasło w poszeptach świec.

Znowu bicie dzwonu. Po sali rozszedł się jakiś szelest. Głowy zadarte do góry. Spojrzałam na główne wejście, gdzie błękitni i szkarłatni strażnicy niespokojnie przestępowali z nogi na nogę, uzbrojeni w pistolety i pożyczone od Kuratorów karabiny maszynowe.

Ostatni gong. Ledwie ucichł, gdy rozległo się dudnienie, walenie kołatki w bramę do Sali Głównej. Strażnicy popatrzyli na Adonię Święty Alaban. Zobaczyłam, jak bierze za rękę siedzącego obok Regenta, a na trupio bladej twarzy widnieją tylko półksiężycy. Skinęła głową. Strażnicy otworzyli drzwi.

Do środka wpadły kłęby śniegu, porywisty wiatr zgasił wiele świec.

- Kto wpuści Zimę?! - krzyknął jakiś głos z ciemności. W pomieszczeniu słychać było tylko wiatr.

- Kto wpuści Zimę? - powtórzył głos.

Adonia wstała, wicher szarpał płatki liści w jej włosach.

- Janie!

- Kto wpuści Zimę, kto wpuści Zimę? - przyłączały się kolejne głosy.

Dojrzałam jakieś postacie uwijające się w ciemnościach na zewnątrz. Nagle wtargnęli do środka, odrzucali pokryte śniegiem płaszcze, ukazując kostiumy: halki ze złotymi i srebrnymi obrąbkami, fraki z bardzo starej czarnej satyny, szaty ozdobione mrugającymi czerwono, zielono i niebiesko światełkami. Oczy błyszczały pod wymyślnymi maskami z kwiatów i liści, maskami z ostrokrzewu, balsamu i magnolii. Czoła oplatały im pnącza: uschłe pędy winorośli, kruche bluszcze. Odepchnęli strażników i zaczęli ciskać na marmurową podłogę garście różanych płatków, które mieszały się ze śniegiem.

- Niech idzie sobie dalej! - krzyknęła przenikliwie Adonia. Gdy próbowała zerwać się na nogi, jakiś Regent ściągnął ją z powrotem na ziemię. Czekałam, aż inni przyłączą się do zabawy, tak jak wtedy, gdy przyssałam się do Fancy i obejrzałam sobie zeszłoroczną maskę: rozbawione dzieci i hałaśliwi biesiadnicy w Domu Miramar. Zapadła cisza.

- Ale nie ma już dokąd iść.

Z gromady w progu wystąpił jeden zamaskowany człowiek. Mężczyzna przebrany za kobietę, z pędami roślin wplecionymi we włosy. Obok stał chłopiec w masce ze szmaragdowego ostrokrzewu, trzymający dziecienny łuk i strzały.

- Jest tu dzisiaj całe Miasto Drzew, a Zima jest zmęczona błędzeniem.

Wszędzie rozległy się szepty przerażonych tym, że zerwano z tradycją.

- Niech idzie sobie dalej!

Obok mnie Panna Scarlet zerwała z twarzy maskę, spod której ukazały się płonące oczy i obnażone zęby.

- Niech idzie sobie dalej, jej potęga jest złamana, światłem głosimy koniec Nocy Zimowej!

Mężczyzna-kobieta skłonił się i pokazał ruchem ręki za siebie. Z cienia wychynęła wysoka postać w czerni i szkarłacie. Na głowie miała czaszkę konia z czerwonymi wstęgami. Obok siedziały dwa stworzenia podobne do wilków, lecz o ludzkich oczach, między nimi pojawił się mały biały kształt o rubinowych oczach. Uniósł głowę i zawył. Postać z końską czaszką uniosła rękę i wskazała Adonię Święty Alaban.

- Ona nie ma końca. Tym razem Władca Nierządu nie zostanie obalony...

Usłyszałam, jak Justice i Panna Scarlet dławią krzyk na dźwięk tego głosu; westchnienie rozniosło się po sali, w miarę jak wszyscy odwracali głowy w moją stronę: Aktorzy, Pafianie i Kuratorzy, znajomi i obcy; po chwili odwrócili się ku postaci w drzwiach, która zdejmowała z głowy łeb konia. Zobaczyłam go po raz pierwszy na jawie: płowe włosy przewiązane lianami, wynędzniała twarz posypana białym pudrem, tak że oczy płonęły nad upiornych policzków.

Rafael Miramar. Rozdziawiony.

Gdy runęłam do przodu, potrąciłam Pannę Scarlet.

- Nie! - zawołałam.

Omiatał wzrokiem pomieszczenie, dopóki nie natrafił na mnie. Przez chwilę wbijał we mnie wzrok, a usta poruszały się bezgłośnie, w kształcie mojego imienia.

- Scarlet, do mnie! Wendy, uciekaj!

Usłyszałam krzyk Jane, potem trzask bezskutecznie pociąganego cyngla, wreszcie rozległ się huk. Jeden z żyrandoli rozprysł się w drobny mak, zasypując nas lawiną szkła, płynnego ognia. Poczułam gaz. Ryk. Cofnęłam się, potknęłam i zasłoniłam oczy przed gorącymi oparami.

Po sali miotaly się postacie. Zobaczyłam, jak Rafael wydziera się na szkaludzi i łazarzy. Podniósł rękę, w której coś trzymał, jakąś kulę z matowego metalu. Rzucił ją na

środek Wielkiej Sali. Rozległ się gwizd, cichy odgłos uderzenia i ogłuszający wybuch. Ściana ognia eksplodowała, przygasła i ogarnęła kępę iglaków.

- Arsenał! - krzyknęła Panna Scarlet. - Znaleźli arsenał pod Katedrą...

Za nią wrzeszczał Toby, machając ręką, żeby Aktorzy szli za nim. Jane złapała Pannę Scarlet. Justice rzucił się na mnie, lecz ja szukałam wśród wyjącej ciżby Rafaela.

- Puszczaj! - Odepchnęłam Justice'a, który usiłował mnie ciągnąć. - Szukają mnie, to ja jestem im potrzebna...

- Chodź ze mną, Wendy!

Krzyknęłam, potykając się o płonąca gałąź. W ostatniej chwili umknęłam spod wielkiej choinki, która zachwiała się i runęła na ziemię.

- Wendy!

Na mgnienie oka ujrzałam twarz Justice'a, który zasłaniał Pannę Scarlet przed żarem i rozpalonymi gałęziami, spadającymi na nich z przechylającego się drzewa. Wykrzyknęłam jego imię, próbując przedrzeć się przez ścianę ognia. Bezskutecznie. Otoczyły mnie kłęby dymu. Płomienie zwęglaly pelerynę. Coś przeorało policzek; na ręce została krwawa plama. Zatkałam usta i zaczęłam przedzierać się przez otaczającą mnie ciżbę: wszyscy parli ku drzwiom przez zalewające pomieszczenie fale dymu i ognia.

Wybuch u góry. Kolejne krzyki, w miarę jak w dół leciała kaskada szkła i metalu z rozbitego okna. Napierały na mnie ciała. Jakaś miotająca się kobieta upadła, gdy pierś przebił jej odłamek szkła. Ktoś stanął chwiejnie na nogach. Jeszcze raz pchnięto mnie na podłogę. Toczyłam się na oślep, żeby mnie nie zdeptali, aż zderzyłam się ze ścianą. Chwilę leżałam oszołomiona, zakrywając twarz tuniką, kaszląc i usiłując odzyskać oddech.

Po kilku minutach uniosłam głowę i popatrzyłam na drzwi, granatowe niczym północne niebo, zasłonięte roziskrzonymi arrasami z oranżu, czerni i szkarłatu. Zaledwie rzut kamieniem od miejsca, w którym leżałam. Za sobą widziałam przerażające kłębowisko, czarne postacie gnały z wrzaskiem przez środek hekatomb, drzewa wybuchały płomieniami, wiszące lampy gazowe eksplodowały i zalewały salę płynnym żarem. Jeśli był tam Justice, Panna Scarlet i inni, to na pewno już zginęli. Czołgałam się przy ścianie w stronę drzwi, odpychając jakieś ciała, niektóre już martwe, inne szlochające lub z trudem oddychające.

Nareszcie dotarłam do miejsca na tyle oddalonego od pożaru, że mogłam stanąć na nogi i oprzeć się o ścianę, przez chwilę oddychając swobodnie. Odpoczywałam, dysząc i przecierając oczy. Wolałam nie patrzeć na rozgrywającą się za mną masakrę.

- Panie - dobiegło znienacka moich uszu: głos niczym jęk gromu. Spojrzałam na drzwi wyjściowe.

W progu stały trzy odrażające postacie, jeszcze bardziej zdeformowane wskutek gry ognia i cienia. Największa uniosła głowę, zakłapała szczękami i zaczęła chwiać się na wszystkie strony, jakby czegoś szukała.

- Panie. - Jej głęboki głos zagłuszał wrzaski Pafian i trzaskanie płomieni. Dwie pozostałe zrobiły kilka kroków do środka, warcząc i zamierzając się na biesiadników, którzy próbowali uciekać.

Jedna zeszywniała i zaczęła dotykać twarzy, sprawiając wrażenie, że chce odegnąć dym. Podniosła głowę, jakby wyczuła trop, następnie odwróciła się do mnie.

- Panie? - powtórzyła niepewnie, robiąc krok w moją stronę. Pociągnęła nosem, warknęła coś do dwóch pozostałych. Zerwałam się do ucieczki, potknęłam i upadłam, popchnięta przez któregoś z szakaludzi.

- Panie! - zawył. Usiadł na mnie okrakiem, z oddechem ohydniejszym niż swąd spalenizny. Tamci stanęli obok, opuścili głowy i z powątpiewaniem mnie obwąchiwali. Jeden przytknął nos do rany na moim policzku, uniósł głowę i zawył. Chyba nikt nie mógłby dosłyszeć go pośród ogólnej wrzawy; a jednak...

- Trójka... już idę...

Wynędniały łazarz w spodniach arlekina, obnażone piersi i twarz czarna od sadzy, pokryta czerwonymi smugami. W jednej ręce kurczowo trzymał nóż, w drugiej wystrzępiony obrąbek kostiumu jakiegoś nieszczęsnego uczestnika maski. Pilnujący mnie szakaludzie odstępili. Chłopiec wbił we mnie wzrok, kaszląc i potrząsając głową.

- Rafael - zamruczał. Rozejrzał się i ryknął uradowany: - Rafael!

- Poszedł sobie, mały panie - powiedział jeden z szakaludzi. - Ten, ten? - Badał mnie dłonią z niepokojem.

Chłopiec spoglądał na mnie uważnie, po czym opadł na jedno kolano i przystawił nóż do mojej piersi.

- To ty jesteś dziewczyną o nazwisku Błędna Wendy? Aktorką przebraną za Aidana Arenta?

Za plecami słyszałam krzyki, łoskot spadającego żyrandola gazowego, a może jakiejś wybuchającej broni Awiatora. W ruinach Wielkiej Sali Świętego Alabana wciąż płonęły drzewa. Z uporem myślałam o odzianych na żółto dzieciach, o Justisie i Pannie Scarlet, którzy uciekali przed masakrą.

- Tak - odparłam w końcu.

Podeksytowany chłopiec opuścił nóż i pośpiesznie wsadził go do pochwy.

- Istotnie, wyglądasz zupełnie tak jak on...

- Powiedz mi... - Wzięłam go za rękę, nie zwracając uwagi na warczenie szakaludzi. -
Moi przyjaciele: blondyn od Świętego Alabana i mówiąca szympansica od Zoologów...
złapaliście ich? Żyją?

Popatrzył na mnie tymi swoimi oczyma dziecka w wychudzonej twarzy.

- Nie wiem. Chyba tak... strażnicy przy bramie głównej mówili coś o jakimś
zwierzęciu...

To mi wystarczyło. Skinęłam głową i puściłam jego rękę.

- Co ze mną zrobicie? - szepnęłam.

Chłopiec wyprostował się i krzyknął na łazarzy, którzy szamotali się z grupą jeńców.

■- Ej, wy! Zostawcie ich i chodźcie mi pomóc...

Łazarze usłuchali, a ich zakładnicy wybiegli za bramę na spotkanie czekającej ich tam
wolności.

- Zwiążcie ją i zanieście do Katedry - rozkazał chłopiec.

- Pójdę z wami, żeby jej dobrze przypilnować. - Raz jeszcze machnął zawadiacko
nożem, z trwogą oglądając się na Wielką Salę.

Nie stawiałam oporu, gdy mnie wzięli i kładli na lektykę, zabraną sprzed Świętego
Alabana. Kiedy mnie nieśli, obejrzałam się na płonące rumowisko. W zimowym mroku
kłębiły się iskry i dym - tak zniknął z powierzchni ziemi najstarszy z Domów na Wzgórzu
Płomiennej Magdaleny.

W długim rzędzie, który zdążył ku Wzgórzu Świętego Alabana i Pograżonej Katedrze,
znajdowało się jeszcze wielu innych więźniów. Wypatrywałam ich przez szpary w lektyce,
przez które dostawał się również śnieg i wiatr. Pafianie szlochali, padali na kolana i błagali o
wolność; Kuratorzy kroczyli w ciszy, niektórzy nieśli jeszcze swoje trupie sztandary.
Chłopiec, który nadzorował moje uwięzienie - Oleander, jak się nieśmiało przedstawił - od
czasu do czasu wtykał głowę za tkaniny lektyki. Zaczynał mówić. Coś go jednak
powstrzymywało - strach lub ostrożność - i wtedy mnie szturchał (zawsze delikatnie),
wymachiwał nożem i odchodził do hordy szakaludzi i łazarzy. Za każdym razem, gdy
wyglądałam na zewnątrz, szukałam Justice'a, Jane Alopex i Panny Scarlet; nasłuchiwałam ich
głosów wśród płaczów, przekleństw i przenikliwych śmiechów tłumu. Niczego jednak nie
widziałam i nie słyszałam; raz tylko wydawało mi się, że dochodzi mnie głos Panny Scarlet:

*Kogokolwiek złapałby reflektor, cokolwiek głośnik nam wykracze, Mamy nie poddać
się rozpaczy.*

Ale to pewnie tylko twory wyobraźni.

Nawet oddychanie sprawiało mi trudność. Bez przerwy kasłałam, płuca przeżerał dym

i lodowate powietrze. W końcu chyba zapadłam w drzemkę, pomimo wstrząsów lektyki, wycia i jęków szakaludzi oraz żalonych lamentów Pafian.

Zbudziła mnie cisza. Staliśmy w miejscu, ale nieznaczne poruszenia zdradzały, że lektyka wciąż spoczywa na owłosionych barkach panów mojego życia. Usiadłam i odsunęłam zasłonę.

Zobaczyłam kawałek pustej, jałowej ziemi u szczytu wysokiego wzgórza. W otaczającej nas ciemności stali nieruchomi, milczący Pafianie i łazarze. Tylko od czasu do czasu wiatr niósł czyjeś kaszlnięcie. Śnieżycą ustała. Po bezgwiezdnym niebie przetaczały się ociężałe chmury, tak blisko, że niemal zawadziłyby o wieże i iglice budowli, która wynurzała się przed nami z mroku.

Z Ogrodów Zoologicznych Katedra wyglądała jak pojedyncza kolumna, niczym ciemny, pęknięty słup w rodzaju Obelisku, ale tak naprawdę na tle ołowianego nieba wyrastały tysiące wież, wieżyczek i iglic. Światło płynęło przez niezliczone witraże, których wzory rozpadły się lub zdeformowały przez mijające stulecia. Pod przepastnymi, kamiennymi sklepieniami wznosiły się wyszczerzone w uśmiechu, fantastyczne postacie, piękniejsze od Pafian i okropniejsze od niewolników genetycznych, którzy nieśli mnie swojemu panu: idole nieżyjącego boga, boga wskrzeszonego przez obłąkanego Awiatora i porwaną kurwę.

Zadrzałam. Kto wznosił tak potworną budowlę? Jak długo umieszczano te kamienie na niewyobrażalnych wysokościach ponad czarną i głodną ziemią? Czy domyślano się, że przetrwa ona całe wieki i że w jej napawającej grozą nawie ktoś na nowo zacznie składać ofiary? Nawet szakaludzie kulili się ze strachu na jej widok, a Oleander stał między nimi, przyciskając chude ręce do piersi i kręcąc głową, jakby błagał, żeby go stąd wypuszczono.

W najwyższej wieży Katedry rozległ się jakiś dźwięk - niby odgłos jednego dzwonu - powtórzony przez echo, aż łoskot rozbił w kawałki zmrożone powietrze. Jedno z wielkich okien zajaśniało, jakby oświetlone od wewnątrz ogniem. Przez chwilę na tle labiryntu wzorów na szkle pojawiła się jaśniejąca sylwetka, jedną rękę sięgająca po płonące serce, drugą obejmująca szyję białego szakala. Dzwony rozbrzmiewały donośnie, podczas gdy ten uwięziony w szkle bóg Ascendentów zanurzał spojrzenie w noc.

Rozległ się łoskot ogłuszającej eksplozji. Rozjarzone okna rozpadły się w drobny mak, biały ogień i dym buchał przez żelazne maswerki i topiące się szkło. Zatkałam uszy. Strażnicy i uwięzieni krzyczeli, zasłaniając oczy przed spadającymi odłamkami.

Słychać było coraz więcej głosów; po chwili pożar przygasł i zamienił się w regularne pełganie. Lektyka przechyliła się i ruszyliśmy ku Bramie Południowej Katedry.

Chłopca na Drzewie już przy mnie nie było, ale wiedziałam, gdzie umknął.

Szliśmy po spalonej ziemi w stronę bramy. Zaścielały ją skamieniałe drzewa, między którymi leżały trupy ze złożonymi rękami, wpatrzone w górę. W powietrzu rozlegało się coś podobnego do brzęczenia tysięcy os. Strażnicy nieśli mnie, ostrożnie omijając zwłoki.

W Katedrze błakali się osłupiali uczestnicy Maski Nocy Zimowej, wlokąc swoje podarte kostiumy po na wpół zmarzniętym błocie, które zalegało podłogę. Wielu zakrywało maskami twarze, poparzone lub pokryte bliznami po walce z łazarzami. Kilka dymiących ognisk płonęło na ołtarzach wzniesionych naprędce z kamieni i piecyków. Kłębiły się przy nich wynędzniałe dzieci i pokurczeni starcy w łachmanach. Nie zwracali na nowo przybyłych większej uwagi, obrzucając ich jedynie przelotnymi spojrzeniami. Od czasu do czasu wybuchał okrzyk rozpoznania, który gasł pośród szlochów i zbolałych wrzasków. Zdawało mi się, że po drugiej stronie ogromnego wnętrza Katedry wypatrzyłam Fabiana; nie zdążyłam jeszcze zawołać, gdy szakaludzie złożyli lektykę. Oleander gwałtownym ruchem szarpnął za zasłony.

- Idziemy. - Kiedy złapał mnie za ramię, uderzyłam go tak, że się zatoczył.

- Nie dotykaj mnie - splunęłam.

Z trudem wysiadłam z lektyki. Szakaludzie odsuwali się ode mnie. Jeden przyglądał mi się spokojnymi żółtymi oczyma, z których przebijało coś w rodzaju litości. Potarłam policzek, na którym zakrzepła krew. Musnęłam ręką szyję; wciąż miałam na sobie naszyjnik ze złotych pnączy.

- Gdzie mnie zabierasz? - zaskrzeczałam. Oleander wciągał z mlaskaniem powietrze.

- Awiator chce się z tobą widzieć - oznajmił, dotykając ręką rękę, którą zmierzyłam pogardliwym wzrokiem. - Pocieszenie Umarłych; i Baal, Bóg Rozdziawiony.

- Jest tu? Rafael Miramar? - Z mojego głosu zniknęła gdzieś pogarda. Przypomniałam sobie o przyjaciółach. - Co z tymi, o których pytałam: Justice'em Świętym Alabanem, Panną Scarlet i Jane Alopex? I z innymi Aktorami z Maski...

Oleander rzucił okiem na drugą stronę nawy, gdzie wokół ognia zbiła się gromadka skulonych jeńców.

- Już ci mówiłem, że nie wiem. Ale otrzymaliśmy polecenie, żeby nie zabijać jeńców. Chyba że to konieczne.

„Chyba że to konieczne.

Miałam taką ochotę rozedrzeć go na strzępy, poczuć jego krew, odnaleźć w niej ścieżkę, która zaprowadzi mnie do tamtych, do lubego! Złapałam go za rękę; wyrwał się, przestraszony, i nakazał szakaludziom:

- Idziemy! Do Kościoła Krypty...

Prowadzili mnie tak ciemnymi korytarzami, że jedynie szakaludzie wiedzieli, gdzie można bezpiecznie stawiać kroki; słychać było tylko nasze oddechy i ich posapywanie. Tu i ówdzie płonęły świece, ukazując kontury czaszek. Oleander gasił je po drodze. Za mną pozostawała tylko ciemność.

Nareszcie korytarz się urwał i wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Z gzymsów, wąskich okienek, a nawet pochodni padało wystarczająco dużo światła, bym mogła zorientować się, gdzie jestem. Sufit wznosił się szeregiem sklepień, łuków w kierunku północy, południa i wschodu. Przy jednej ze ścian stał rząd małych świeczek. Dobiegł mnie ich przenikliwy smród, swąd płonącego tłuszczu lub ciała.

Pomieszczenie musiał ogrzewać jakiś podziemny piec. Było zimno, ale nie aż tak mroźnie, jak w nawie ponad nami. Przypomniałam sobie czyjeś słowa o silnikach w ziemi i momentalnie ogarnęła mnie wdzięczność, że tutaj one jeszcze pracują. Moich strażników jakoś to nie cieszyło. Wyczuwałam strach szakaludzi i bezbrzeżną trwogę kroczącego obok Oleandra.

- Co on ze mną zrobi?

Na dźwięk mojego głosu chłopak aż się poderwał. Słyszałam, jak nóż wysuwa się z pochwy, by zaraz ukryć się w niej z powrotem.

- Nie wiem - odpowiedział po chwili. Przystanął u zbiegu dwóch korytarzy i wszedł w ten, w którym na podłodze ustawiono parami stoczki. - Jesteśmy już prawie na miejscu.

Korytarz miał wiele zakrętów. Otworzyły się przed nami jakieś odrzwia, żelazna krata odsunęła się, ukazując pogrążony w półmroku pokój, wypełniony kłębamii dymu z koksowników. Na końcu znajdował się postument, przed którym stała wanna lub kamienna misa o poczerńiałych brzegach. Wynędziali Pafianie, łazarze i Kuratorzy stali nieruchomo oparci o ścianę. Na środku pomieszczenia wyrastała blada kolumna z marmuru, opleciona zielonymi lianami, których liście lśniły nawet w tak przyćmionym świetle. Ktoś siedział na postumencie, u jego stóp przycupnęło coś białego.

Przeszliśmy szybko przez żelazną kratę, zagłębiając się w niewielką niszę. Stamtąd weszliśmy do sąsiedniej alkowy, gdzie nie było nas widać z izby, za to my mogliśmy widzieć wszystko, zaglądając przez wąskie drzwi. Oleander odwrócił się i nakazał szakaludziom, by mocno mnie trzymali. Oderwał kawałek mojej tuniki i zatkał mi nim usta. Chwilę spoglądał na mnie, wreszcie zerwał naszyjnik i zabrał go ze sobą.

- Pilnujcie jej tutaj.

Wyszedł. Po chwili zobaczyłam, jak lawiruje pośród łazarzy i staje przed postumentem. Stojąca tam postać zrobiła krok do przodu, a biały kształt tulił jej się do nóg

niczym kot. Twarz miała wysmarowaną popiołem, włosy związane z tyłu głowy. Gdy uniosła rękę na powitanie Oleandra, załśnił na niej bladobeżowy kształt.

Rozmawiali ściszonymi głosami. Widziałam, jak Rafael spogląda na alkwę i się uśmiecha. Potem Oleander podał mu coś, co błysnęło złotem w blasku ognia. Rafael pochylił głowę, a Oleander założył mu mój naszyjnik. Następnie młodszy z chłopców zniknął w drzwiach z boku ołtarza.

Rafael stał tam jeszcze przez chwilę, dotykając skomplikowanych zagięć liści i kwiatów naszyjnika. Spojrzał tam, gdzie kryłam się w cieniu. Trójka zaskomlał i kurczowo mnie ścisnął. Później w progu za plecami Rafaela zamajaczyła jakaś figura, zatrzymała się, tak że nie widziałam jej wyraźnie. W ciszy słychać było tylko trzaskanie ognia, syk rozstawionych na podłodze świeczek i tupot stóp łazarzy, którzy przestępowali z nogi na nogę.

Nagle Rafael popatrzył w stronę alkowy położonej naprzeciwko mojej.

- Przyprowadźcie go - zakomenderował. - Chcę go zobaczyć.

Z wnętrza wynurzyło się dwóch szakaludzi, wlekących jakąś trzecią postać. Gdy stanęli na środku pomieszczenia, w blasku ognia zabłyśły jego złote włosy. Szakaludzie pchnęli go brutalnie, aż padł na kolana przed podniesieniem. Próbowałam krzyknąć, ale przez knebel nie mogłam wydobyć z siebie głosu, więc tylko szamotałam się z Trójką i Furią.

- Nie, pani - warknął po cichu Furia.

U stóp ołtarza kucnął kaszlący Justice. Gdy podniósł głowę, zobaczyłam na jego czole wciąż krwawiące rozcięcie. Zamrugał od dymu, przetarł oczy i oszołomiony pokręcił głową. Po chwili stanął chwiejnie na nogi, jakby był pijany, i uniósł wzrok.

Na platformie stał mój brat w podartej czerwonej tunice, ze związanymi z tyłu włosami. Na jego szyi lśnił naszyjnik, prezent od Justice'a. Za nim stał w progu Awiator, wspierający się na dwóch szakaludziach, których oczy błyszczały sino w blasku ognia.

- Wendy - odezwał się Justice. Znów pokręcił głową, skrzywił się i spojrzał na Rafaela.

- Tak, Justice - odparł łagodnie Rafael. Wyciągnął ręce i skinął na Justice'a. Pod jego nadgarstkiem pojawiła się smuga fioletowego światła.

Justice postąpił krok ku ołtarzowi, przystanął. Białe zwierzę u stóp Rafaela, pies lub coś w rodzaju wilka, wpatrywało się w mojego kochanka płonącymi oczami. Przez izbę przebiegł pomruk; kilkoro dzieci odwróciło się lub zakryło oczy. Nikt się jednak nie odzywał, nie próbował go ostrzec. Chciałam krzyknąć, lecz uniemożliwiał mi to knebel.

- Nie patrz - zaskrzeczał Furia. Możliwie najdelikatniej starał się odwrócić moją

głowę. Wierzgałam, dopóki mnie nie puścił i nie mogłam swobodnie obejrzeć widowiska.

Justice przemierzał stopnie powoli, jak postać z koszmaru. Zamknęłam oczy i rozpaczliwie próbowałam wywołać jakiś obraz, zawrócić jego kroki tak, jak zawracałam niezliczonych śpiących w LIL. Ale gdy na powrót je otworzyłam, stał już na ostatnim stopniu przed Rafaelem, rozwierając ramiona.

- Wendy! Tak się bałam...

Postąpił jeszcze krok i sięgnął po rękę Rafaela. Wtedy mój brat go objął, przyciągnął do piersi i nachylił głowę, tak że ich włosy utworzyły płowozłotą powódź. Rafael gładził go z pomrukiem. Na szyję Justice'a padał osobliwy, lawendowy odblask.

Mój brat odsunął się o krok. Justice stał przez chwilę zdezorientowany. Dotknął szyi, jakby chciał rozmasować siniak. Mój brat bliźniak patrzył na niego, przebierając palcami po złotym naszyjniku.

- Teraz już jesteś mój - oświadczył.

Justice uniósł wzrok na Rafaela i wykrztusił jedno jedyne słowo. Kolana się pod nim ugięły.

- Miramar...

Opadł na podłogę i znieruchomiał.

Miramar odwrócił się, - potrząsnął uniesioną ręką, którą opinała zmatowiała już bransoleta. Skierował się w stronę sanktuarium. Biały szakał obwąchał zwłoki Justice'a i pomknął za Rafaelem. Awiator ich przepuścił, wpatrując się w punkt, w którym stałam. Zrobił gest, jakby coś przecinał.

- Wyjmijcie jej knebel i przyprowadźcie do zbrojowni. - Odwrócił się i poszedł w ślad za Rafaelem.

Furia z trudem wyszarpał mi knebel; wtedy nakazałam, żeby mnie uwolnił. Szakaludzie wpatrywali się we mnie z niepokojem, wymachując ogonami.

- Uwolnijcie mnie!

Trójka opadł, warcząc, na czworaka i pognał do sanktuarium. Furia odprowadził go wzrokiem.

- Proszę - szepnęłam.

Puścił mnie. Stałam drżąca, rozcierając ręce. Po podłodze pełgały języki ognia, liżąc kałuże stopionego łoju, zeschniętej trawy i strzępów ubrań. Wolno zbliżyłam się do stopni, na których leżał Justice. Z cienia obserwowali mnie milczący łazarze.

- Justice.

Uklękłam przy nim i odgarnęłam jego długie włosy, żeby zobaczyć na szyi znak,

maleńki jak od ukąszenia owada. Lśniła na nim kropla krwi wielkości pszczelego oka. Dotknęłam jej i ucałowałam, nie zważając na to, że może być trująca. Później schyliłam się i łagodnie, bardzo łagodnie go pocałowałam, ujmując pod ciepłą jeszcze brodę. Wsunęłam język między zęby, które po raz pierwszy nie ustępowały, pocałowałam go i niczego nie znalazłam: tylko moje własne łyzy na jego wargach; jego nie było, zniknął, odszedł bez ratunku. Justice Święty Alaban, którego kochałam, nie żył. Zabrał go Rozdziawiony.

Odsunęłam się osłupiała. Na skórze, bladej skórze, o którą tak bardzo się troszczyłam, zaczynały rozkwitać ciemne sińce. I na myśl o jego zgwałconej przez śmierć urodzie ogarnął mnie taki smutek i takie przerażenie, że oplotłam sobie jego włosy wokół palców i rozszłochałam się. Furia podkradł się do ołtarza i lawirował między płomieniami. Łazarze, mruczając, zbliżali się do mnie.

I rozplakałam się, ja, która wcześniej nie znałam łez; z tyłu w krypcie słyszałam syk ogniska, na którym mieli go złożyć - mojego przyjaciela i towarzysza, który wywiódł mnie z LIL i zdążył jeszcze nauczyć miłości.

Nie zaznam już człowieczeństwa: zarzewie miłości spłonie na stosie ułożonym przez Szaleńca. Mój mózg kipiał, jakby miał zamiar wybuchnąć, słyszałam w głowie jęki wszystkich tych, których z sobą zabrałam, których rzuciłam na pastwę Rozdziawionemu: Emmy i Aidana, Morgan Yates, Melisandy, wszystkich tych, którzy nie mogli znieść tego koszmaru na jawie, zwanego światem; ich głosy przemieniły się we wrzask, aż zaczęłam kręcić głową i odsunęłam się od trupa.

I ryknęłam, rzucając się na łazarza, który chciał dotknąć włosów Justice'a. Upadł, uderzając głową w marmurową kolumnę. Osunął się na ziemię, na jego bladej twarzy pojawiło się krwawe pęknięcie.

- Nie dotykajcie go! Nie zatrzymujcie mnie! - wołałam. - Żaden mnie nie powstrzyma!
- Jeszcze jakieś dziecko potknęło się i upadło, pospiesznie przede mną uciekając. Ruszyłam za nim, uniosłam nad głowę i cisnęłam na drugi koniec kaplicy. Zawył, a głosy innych łazarzy towarzyszyły jego ostatniej chwili.

- Rozdziawiony, Rozdziawiony! - wołali. - Budzi się, budzi...

Stałam, ciężko dysząc, a oni kulili się po kątach Kaplicy, płacząc i kaszląc od gryzącego dymu. Wtedy ktoś jeszcze zszedł z ołtarza, utykając; blask ognia odbijał się na jego purpurowych łachmanach, tak że przypominał goniący za mną płomień.

- Nie! - krzyknął, kopiąc po drodze gromadkę kucających dzieci, które rozbiegły się niczym miot polnych myszy przed łasicą. - To nie jest Rozdziawiony!

Parł chwiejnym krokiem w moją stronę: Pocieszenie Umarłych, szalony Awiator.

Margalis Tasfannin. Podarta kurtka łopotała jak skurczony bazyliśzek, który uczepił się jego ramion. Poruszał się z klekotem drobnych kości rąk.

Zastygłam w bezruchu, nie odrywałam od niego wzroku: i wreszcie domyśliłam się, dlaczego się go bali: mnie też ogarniał strach.

- Odejdź - syknęłam - bo cię zniszczę... - Wyszczrzyłam zęby i machnęłam głową przed jego twarzą.

- Nie jesteś Rozdziawionym - odparował. Jednym ciosem przewrócił mnie na podłogę, po czym wziął za barki. Czułam smród zarazy, gnijącego ciała. Opierałam się z całej siły, wywijałam, kłapałam zębami, aż wreszcie poczułam, jak wbijają się w jego skórę. Zaklął, kopnął mnie, ja poczułam smak jego krwi i mało się nie udławiłam, szukając w niej włókna, które postawi go przed całą grozą świata i obezwładni. Próbowałam się wymknąć, lecz uwolniłam tylko głowę, tak że mogłam zamknąć oczy i przywołać Tego, co we mnie mieszkał, Chłopca, który żywił się krwią...

Nie udało się.

Ani śladu myśli, ciemności, nawet czarnego widma koszmaru, którym można by go nakarmić. Dławiłam się tylko gorącą krwią. Tak samo jak wtedy, gdy próbowałam przysnąć się po śmierci do Justice'a: On zniknął, naprawdę odszedł. Byłam bezradna wobec czcicieli Rozdziawionego.

Ponownie mnie związali, zostawiając jednak swobodne nogi, żebym mogła chodzić. Trójka i Furia nie spuszczała mnie z oczu, gdy łazarze wlekli ciało Justice'a, a Awiator ich poganiał. Później zostałam z nim sam na sam w Kościele Krypty; w oddali pilnowali mnie szakaludzie.

- Błędna Wendy. Obiekt 117.

Oblizwał spękane wargi i wziął z ołtarza świeczkę. Jedną stroną jego twarzy pokrywała skorupa zakrzepłej krwi, która sprawiała wrażenie upiornej maski. Przystawił mi świecę do twarzy, aż zaczęła parzyć i odwróciłam się.

- Ulubiony obiekt Emmy. Długo kazałaś na siebie czekać, Wendy; i po co? Twoje zdolności już na nic się nie zdadzą, prawda? Nie zdołałaś uratować swojego przyjaciela ani stawić mi oporu. Co z ciebie zostało, Wendy?

Splunęłam. Roześmiał się, przystawił mi świeczkę do skroni, aż poczułam syk palących się włosów. Stojący obok Furia warknął.

- Blizny zniknęły bez śladu. Oddałbym wszystko, żeby dowiedzieć się, jak to robiłaś; ale to chyba niemożliwe, prawda?

Cofnął się, kopiąc coś po drodze: stos kości, resztki białej szaty. Czyjaś czaszka

przetoczyła się po podłodze, aż zatrzymała się przy płonącym koksowniku. Odprowadził ją wzrokiem, by po chwili zwrócić się w moją stronę.

- Pewnego razu poprosiłem, żeby mi pokazali. To Aidan Harrow wszystko mi opowiadał. Byłem jego powiernikiem, jedynym prawdziwym przyjacielem w Akademii... „Pokaż” - błagałem. - „Chcę zobaczyć, jak to wygląda”. Nie bałem się tego tak, jak on i Emma. Już wtedy zdawałem sobie sprawę, że nie należy utrzymywać tego w tajemnicy. - Aidan był jednak tchórzem i wiadomo, co mu się potem przytrafiło. - Zaśmiał się i pstryknął palcami roztopiony воск, który opryskał moją rękę. - Emma się nie bała, ale jak pierwsza naiwna wierzyła, że jest w stanie to ukryć...

- Nie wiedziała, co robi! - Próbowałam wyrwać się szakaludziom, ale ci tylko jeszcze mocniej mnie ścisnęli. - Implanty stanowiły część jej badań...

- Aż za dobrze wiedziała, co robi - rzekł cichym głosem. Ujął mnie pod brodę i odwrócił w stronę piecyka, aż zmrużyłam oczy od jaskrawego żaru. - Już nie ta uroda, co kiedyś, Błędna Wendy. - Przesunął palcem po nieregularnym nacięciu na policzku, szturchnął mnie w miejsce, gdzie oparzyłam się u Świętego Alabana. - Wiedziała o istnieniu chłopca, twojego brata bliźniaka; wyczytałem to w twojej kartotece. Chciała zbudzić tę... rzecz... chciała ją jeszcze kiedyś zobaczyć...

Zamknęłam oczy, starając się przypomnieć sobie Jego, gdy wyziera spośród wiosennego listowia, i barwę Jego oczu. Zamiast tego widziałam tylko twarz Justice'a, bladą, zalaną krwią, o martwych i szarych oczach. Odeszli: obydwaj odeszli, jakby wszystko było snem. Justice nie żyje. Tamten porzucił mnie tak, jak opuścił Aidana i Emmę. Popelnili samobójstwo, żeby na nowo się z nim spotkać. Z jego piękną twarzą, tymi oczyma...

Oczy, które się we mnie wbijały, były bladoniebieskie i nabiegłe krwią.

- Dlaczego? - spytałam. Próbowałam uwolnić się od szakaludzi. Tast'annin spojrział w ich stronę i skinął głową. Odstąpili i przyczaili się w mroku. - Jeszcze ci zależy, po tylu latach... na Emmie, na mnie, na tym wszystkim?

Uniósł wzrok, jakby szukał czegoś wśród pociemniałych od dymu postaci, obserwujących nas spod sklepienia.

- Już ci mówiłem, że byliśmy z Aidanem przyjaciółmi - odezwał się w końcu. - Nie podobał mi się jego związek z siostrą. I byłem ciekaw. Zobaczyć takiego boga czy demona; nawet jeśli to tylko przywidzenie! Coś tak potężnego, za co warto umrzeć - chyba mnie rozumiesz, Wendy?

Zamilkł na dłuższą chwilę, wpatrywał się najpierw we mnie, potem gdzieś za mnie, w mrok Kościoła Krypty, może dostrzegając coś w rozrzuconych po podłodze kościach.

- Te kurtyzany mają jedną sztukę o bliźniakach - przerwał milczenie.

- Maskę Baala i Anat - przytaknęłam, czując przebiegające mi po grzbiecie ciarki.

Kiwnął na Furię; szakaludzie stanęli obok mnie.

- Dokładnie. *Baal i Anat*. Oglądałem ją wielokrotnie, kazałem dzieciom ją wykonywać. Ale po jakimś czasie przyszło mi do głowy, że byłoby świetnie, gdyby wystąpiły w niej prawdziwe bliźniaki. To dodałoby jej siły i... - Zamachał ręką w powietrzu, dotykając palcem mojej piersi. - I głębi - dokończył.

- Ja... ja nie znam tej sztuki - wyjąkałam. - To święty tekst Pafian, Domu Świętego Alabana. Przebudzenie Magdaleny...

- Możesz mi wierzyć, że jest bardzo prosta. Rodzaj misterium. Walczą. Jedno umiera, drugie żyje. Wybrałem już miejsce na przedstawienie... - Nagle dał ręką znak szakaludziom. - Zaprowadźcie ją do zbrojowni.

Sprawiał wrażenie znużonego, a idąc wzdłuż ołtarza, kuśtykał. W drzwiach prowadzących na górę odwrócił się.

- Nawet ja muszę czemuś służyć. - I wszedł na schody.

Właściwie musieli mnie wynieść z Katedry. Wiatr ucichł, powietrze było nieruchome i ciche, tylko z oddali dobiegały jakieś głosy. Zza płynących po niebie chmur prześwitywały od czasu do czasu gwiazdy. Trójka i Furia wlekli mnie spieszenie po zamrożonej ziemi. Sami byli rozdygotani. W ciemnościach słyszałam tupot nóg, kaszel i szept.

Po kilku minutach szakaludzie gwałtownie się zatrzymali, warcząc i kłapiąc zębami. Znalazłam się pomiędzy nimi. Tuż przed nami ziemia nagle zniknęła. Trójka i Furia zgarbili się, ciężko dysząc.

Znaleźliśmy się na skalnej półce, wiszącej nad przepaścią, w której zmieściłby się cały Kościół Krypty. Z dołu napływały strumienie jaskrawych światła, na których tle widać było wiele czarnych postaci.

W ziemi wykopano wielką dziurę. Po jej brzegach wznosiły się kopce zamrożonej ziemi i żwiru, wszędzie widoczne były kupy głazów i piachu. Ruiny starożytnego arsenału. Na obwodzie rozstawiono rzędy ekranów i metalowe słupy, ogromne, lśniące kule i setki metalowych krzeseł - w ten mało przekonujący sposób usiłowano zaprowadzić tu jakiś porządek. Ze ścian jamy sterczały kolce i próchniejące belki drewna, na których zawieszono latarnie, łańcuchy i wystrzępione kostiumy.

Pośrodku dołu widniało coś w rodzaju wyrzutni: jej pustą lufę skierowano w górę, machina rozkładała połączone stalowe nogi jak modliszka. Ze środka wystawał długi srebrny pocisk. Nieopodal ustawiono niewielki generator z zabrudzonymi, czerwonymi i zielonymi

światłami, z którego prowadziły przewody do reflektorów, zawieszonych na przechylonych pod szalonym kątem słupach i rusztowaniu ze spaczonego drewna i metalowych prętów. Całość zalewało oślepiające światło, tak że nie sposób było nie zauważyć tych, co zmarli podczas wykopalisk. Teraz były to śmierdzące ciała, leżące koło ścian i pod wyrzutnią.

- Chodźmy - powiedział Furia. Szukał czegoś tuż przy ziemi, aż znalazł brzeg chwiejnej drabiny. Schodził z trudem, tylne łapy uderzały w wąskie szczelby, wreszcie zsunął się i ostatni metr przed ziemią przeleciał. Poszłam za nim, moje ręce przywierały do lodowatego metalu, w końcu zesłam ostrożnie na dół. Trójka kucnął u szczytu drabiny i przyglądał się nam błyszczącymi ślepiami. Po chwili stanęło przy nim jakieś mniejsze stworzenie o lisim pysku i przebiegłych rubinowych oczach.

- Tędy, pani - zakomenderował Furia. Poszłam za nim. Pod ścianami kucali wycieńczeni łazarze. Inni ciągnęli jeńców, uważnie nas omijając. Zasłoniłam oczy przed oślepiającym blaskiem lamp, potknęłam się o połamane krzesło i skorupę jakiegoś automatycznego serwanta. Grunt pod wyrzutnią dokładnie wymieciono, pozostało tam zaledwie parę śrub, zęb i odłamki szkła. - To tutaj.

Usłyszałam swoje imię: głos był chrapliwy, lecz wszędzie bym go rozpoznała.

Obróciłam się na pięcie i potknęłam, przytrzymując stalowej nogi wyrzutni. W mroku za wąskim rusztowaniem stała Jane Alopex, przytrzymywana mocno przez jakiegoś łazarza, który nawet nie zdjął purpurowej sukienki kolombiny. Pod jej okiem nabrzmiewał siniak, ale głowę trzymała wyprostowaną i patrzyła na mnie z wyrazem ulgi.

- Jane! - zdołałam tylko szepnąć. Potem mało się nie rozplakałam, bo zza Jane wyłoniła się mniejsza postać, wleczona przez niewiele od niej większego łazarza. W ubrudzonej tunice, a bez czepka, lekko utykająca, bo szła w jednym bucie, wyglądała załośnie - Panna Scarlet...

Wypchnięto kolejną osobę. Fabian wbił oszołomione spojrzenie w ziemię. Nawet z tej odległości widziałam, jak się trzęsie, a podarte ubranie trzepocze na chudych nadgarstkach. Ani śladu Toby'ego i innych.

- No, to mamy całą obsadę, może skromniejszą niż zwykle, lecz możemy mieć pewność, że będzie ciekawie.

U stóp drabiny chwiał się TASFANNIN, podtrzymywany przez Trójkę i Oleandra. Za nim stał Rafael Miramar, spokojny, jakby dopiero się zbudził z niezmaconego snu. Wyprostowałam się i zawołałam:

- Wypuść moich przyjaciół, TASFANNIN! Przecież nic złego ci nie uczynili... - wydukałam i urwałam.

Tasfannin pokręcił głową. Wyglądał na śmiertelnie znużonego: zapadłe oczy w wyniszczonej twarzy, z której jakby odpłynęła cała krew. Gdy spoglądał na mojego brata, przez jego twarz przemknął grymas nienawiści i coś w rodzaju olśnienia. Uniósł jedną rękę w stronę Rafaela, drugą złapał Trójkę, jakby chciał go przyciągnąć. Przez chwilę myślałam, że każe szakaludziom zanieść mojego brata do czeluści Pograżonej Katedry, gdzie zostanie złożony i będzie ostatnią ofiarą dla Nagiego Pana.

Wtedy w jego bladych oczach zgasło światło. Odwrócił się do mnie i przemówił, skrzeczając niby kruk:

- Nie. Tak być musi... - Wyciągnął rękę ku przeciwległej ścianie, gdzie obok Jane Alopex stał skulony Fabian. - Ty kurwo... Aktorze... zrób wstęp.

Tasfannin zamachał ręką w powietrzu jak wiatrak. Fabian sapnął, wypchnięty w krąg światła.

- Co... janie...

- Maska Baala i Anat - zachęcał Tasfannin. Wspierał się ociężale na ramieniu Oleandra. Chłopiec skrzywił się, przesunął pas z kaburą i wystąpił naprzód, niosąc swojego pana. Za nimi ruszył Rafael, który stanął kilka kroków przede mną.

- Maska... - zaczął niepewnym głosem Fabian. Awiator mierzył go zimnym wzrokiem, podwijając wargę pod górne zęby. - Maska Baala i Anat, przedstawiana przez... przez...

Tasfannin wyszczerzył zęby i zacisnął pięść. Okrzyk, uderzony Fabian legł na ziemi, na jego miejscu stanął blady łazarz.

- Zaczynajcie - szepnął Tasfannin. - Wendy, Rafaelu... Mój brat popatrzył na Awiatora, jakby widział go pierwszy raz w życiu. Rozwiązane włosy opadały mu na ramiona, czerwone usta odznaczały się na tle białej jak płótno twarzy. W ich kącikach widać było zakrzepłą krew, jakby ktoś go ugryzł. Na jego szyi ciągle wisiał mój naszyjnik. Odwrócił się do mnie, nareszcie wytrącony z nieludzkiego spokoju.

Absolutna cisza, jakby wszyscy przestali oddychać. Jakby uciekło gdzieś nawet mroźne powietrze; nie czułam nic, zupełnie nic.

- Wendy - zagadnął tak cicho, że ledwie go usłyszałam. Dotknął mnie, przesunął rękę od nadgarstka po ramię. Zresztą może tak naprawdę wcale go nie słyszałam, tylko wiedziałam, co powie. Może to imię tkwiło w mojej głowie i czekało, aż on je wypowie. Nie Aidan Arent, lecz Błędna Wendy. Nie samotny wędrowiec, ale siostra Rafaela; nie obiekt badań, ale dziewczyna z krwi i kości. Przyglądał się miejscom, których dotykał palcami, zamknął oczy, docierając do krzywizny łokcia. Jesteś taka sama jak ja.

Przyciągnął mnie, aż niemal zetknęły się nasze twarze. Czuć było od niego zapach

krwi i trucizny, która uśmierciła Justice'a. Chciałam się od niego odsunąć, ale nie mogłam. Widzieć go, pierwszy raz dotykać; uświadomić sobie prawdę, że przez wszystkie te lata istniała druga część mnie, ten podrzutek mieszkający w Mieście Drzew, który o niczym nie wiedział i nie znał mnie, a ja nie znałam jego. Poglaskał mnie po twarzy, podniósł moją rękę, tak że widziałam, jak splatają się nasze ręce, te same szczupłe nadgarstki, połamane paznokcie i smukłe palce. Podwinął mi rękaw, żeby zobaczyć moje ramię, jego ramię, żyły podobne do młodych pnączy, rysujące identyczne wzory. Puścił moją rękę i znów zajął mi w oczy.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał.

Nie spuszczając z niego oczu, skinęłam głową i wymruczałam jego imię: bo była to prawda. Ujrzałam piękność, której poddawało się Miasto, słodczych rysów, skrytych pod warstwą krwi; wysoko osadzone kości policzkowe i szare oczy, które - gdyby nie te żyłki zmęczenia i szaleństwa - przewyższałyby urodą wszystkie znane mi oczy, cudne oczy, których nie śmiałybym napotkać w snach, oczy Chłopca na Drzewie...

I nagle to ujrzałam, zobaczyłam Jego; wiedziałam, że właśnie to zauważyła przy pierwszym spotkaniu Panna Scarlet, poznałam to, co przeze mnie widzieli inni:

Demona, boga. Wielbione widmo, odwieczną ofiarę i Tego, który dzierży nóż. Był to chłopiec nieziemskiej piękności, inny niż Ten, który mnie dręczył, lecz zarazem ten sam, tak jak Rafael był taki sam jak ja, a jednocześnie inny; jakby ciało Rafaela zostało przemienione i przeświecał przez nie ten drugi, podobny do czary krystalicznej wody. Po wyrazie Jego oczu domyśliłam się, iż odnalazł ostateczne miejsce spoczynku i wyjście na świat. Ja okazałam się niedoskonałym naczyniem; Rafael Miramar idealnym gospodarzem.

- Wendy. Moja siostra...

Przyciągnął moją twarz i pocałował. Przez mgnienie oka wyczułam w nim iskrę czegoś, co było nie nienawiścią czy pożądaniem, lecz czymś w rodzaju ulgi, spokoju. Po chwili jęknął i odwrócił się, przyciskając policzek do mojego. Zaciśnął powieki, jakby wołał nie oglądać jakiegoś przerażającego widowiska. Wpił się palcami w mój bok, język wsunął w moje usta, przyciągając mnie do siebie.

- Nie... - krzyknęłam, próbując oderwać się od niego. Różniliśmy się jednak: był silniejszy. Szamotałam się, gryzłam, chciałam go podrapać, jak oszalała myślałam: „To on go zabił, to on zamordował Justice'a”; ale na nic mi się to nie przydało. Nie zdołałam go odtrącić ani nienawiścią, ani potęgą woli czy siłą. Mój opór tylko go podniecał, aż wreszcie udało mi się go kopnąć i na moment odtrącić. Sama upadłam, by zaraz stanąć z trudem na nogi. Rzucił się na mnie i przewrócił na ziemię, złapał za ramiona i zaczął walić głową o podłogę tak

mocno, że czułam się, jakby wbijał mi nóż w skronie. Mało nie straciłam z bólu przytomności; może nawet tak się stało...

...Bo teraz w powietrzu słyszę warkot, jakby szum wiatru w liściach albo coś innego, dźwięk, jakiego nigdy nie słyszałam, przynajmniej na jawie. Szum fal, które powracają na jakiś odległy brzeg, monotonne zawroscenie głosów. Stopniowo rozróżniam słowa:

Natrafiliśmy na Baala Leżącego na ziemi: Zabił go Mot. Zawołaliśmy: „Potężny Baal nie żyje,

Księżę i Władca Ziemi zginął”.

Nasze skargi budzą Anat.

Ona schodzi z tronu,

Posypuje głowę żalobnym popiołem.

Rozcina twarz kamieniem,

Rozorała policzki i brodę,

Wryła się w piersi jak w ogród,

Plecy uprawia jak pole.

Podnosi głos i woła:

„Baal nie żyje!... co z naszym ludem?

Co stanie się z ziemią?

Zejdę za Baalem pod ziemię”.

Anat błądzi i przebywa Każdą górę do serca ziemi, Każde wzgórze do jej wnętrzości. Dociera do Ziemi Jałowej, Straszego pola Mota. Natrafia na Baala Leżącego na ziemi. Potem zalewa się łzami; Pije swe łzy jak wino.

Woła donośnym głosem Do Matki ponad nami. „Błagam, włóż Potężnego Baala Na mnie”.

Matka się budzi. Bierze Potężnego Baala, Kładzie go na ramionach siostry.

Anat podnosi głos i woła:

„Teraz usiądę i odpocznę,

I dusza moja znajdzie ukojenie.

Bo żyje Baal Potężny,

Mój brat, król ziemi”.

Kiedy otwieram oczy, widzę go ponad sobą, zaciska ręce na moich ramionach, napiera na mnie, stęka, jego twarz wykrzywia maska takiej grozy i rozpacz, że staram się odwrócić głowę od tego widoku, nie chcąc widzieć jego twarzy, swojej twarzy na mękach, których nie mogę już ogarnąć wyobraźnią, straszliwszych nawet od jego gwałtu na mnie.

„Ale On jest zbyt silny; nie mogę się odwrócić...”

I zniemacka są tu wszyscy przy mnie: Morgan Yates przyciska twarz do zakrwawionej szyby, Emma Harrow patrzy na ciało brata, które buja się na pasie z piór, Jane Alopex odskakuje przerażona, gdy On się do niej zwraca i wyciąga Swą rękę, Fabian niczym szary upiór wije się w ciemnościach. Równie niespodziewanie wszyscy znikają. Jestem sama. To ja, to moja twarz wisi nade mną, nie Rafaela. Wtedy odrzuca głowę i krzyczy: wrzask odbity od ścian i podjęty przez widzów wypełnia powietrze; rozlega się ryk takiej grozy, nieszczęścia i nienawiści, że ogłusza; zamykam oczy, nie chcąc oglądać cierpiącej twarzy, która wydała taki odgłos.

Już po wszystkim. Stacza się ze mnie i leży na wznak na szerniałej ziemi. Przekręcam się na bok i patrzę na niego, dotykając: męża, wroga, brata. Nie rusza się; leży jak zabity.

Na jego twarz pada czyjś cień. Dobiegają mnie inne niewyraźne dźwięki; okrzyki i odgłosy walki, szczęk metalu uderzającego o metal, granitu kruszącego kość. Unosi się fetor palonego ciała. Nade mną staje Awiator. Po ręce, w której trzyma kawałek metalu wyglądający na zakrwawiony sierp, cieknie krew.

- Zabić go! - wrzasnął przenikliwy głos. Odwróciłam się i zobaczyłam Oleandra, nabitego na szpikulec koło drabiny, z wykrzywioną twarzą i wymachującego rękami. Na jego ustach pojawia się krwawa piana, usiłuje się wyswobodzić. - Pociski... zniszczy nas wszystkich... zabić go!

Jego ręce opadły na boki. Resztką sił wyciągnął z fałd spodni nóż i cisnął go przed siebie. Nóż przeleciał przez podłogę i zatrzymał się przy ciele mojego brata.

Tast'annin ryknął i runął w stronę drabiny. Uniósł rękę, światło błysnęło purpurą na sierpnie, którym wymierzył cios w szyję chłopca. Przez chwilę usta Oleandra przybrały taki sam wyraz co usta Tasfannina: zastygłej maski przerażenia i nienawiści; trysnęła krew i głowa spadła na ziemię.

- Zabić go! - krzyknął Tasfannin. Ale zdawało się, że słyszę go tylko ja. Wszędzie jak oszaleli pędzili łazarze, w popłochu wspinając się na drabiny i sznury, próbując wydostać się z jamy. - Zabić go? To niemożliwe! Mamy Ostateczną Ascenzję i on zmartwychwstanie! - Krzyk zmienił się we wrzask, pieniający mu się na ustach, tak że nie byłam pewna, co słyszę naprawdę, a co sobie wyobrażam. - On nie umarł, on tylko śpi...

Wtedy błysnęło światło. Generator eksplodował z głuchym odgłosem, zasypując mnie snopem iskier. Tasfannin zniknął w ciemnościach. W całym zamieszaniu świeciło zaledwie kilka pochodni i parę przyćmionych, migotliwych świec.

Spojrzałam tępo na leżącą obok mnie na ziemi postać: była tak podobna do mnie, że mogłabym ułożyć się obok i stworzylibyśmy bliźniacze połowy ludzkiej arabeski; szare oczy zmartwiały, kasztanowe włosy spadały na ponure żwirowisko, nasze połamane kończyny złączone w zimny i nieruchomy splot. Rafael Miramar; ani bóg, ani Rozdziawiony, po prostu mój zaprzędany ciemności brat.

- Zabić Go - szepnął jeszcze jeden Głos. Uniosłam głowę; ale Tasfannin jakby o mnie zapomniał. Słyszałam jego pomruki, gdy rzucał się na coś w mroku.

- Zabij go, Wendy...

Żółte punkciki pochodni łazarzy zamigotały i zgasły. Wraz z nimi jakby zamarły również głosy łazarzy. Ogarnęła mnie przerażająca cisza, chociaż ciągle widziałam upiorne postacie przeklętych dzieci, które krążyły bezgłośnie po przepaści, zniekształcone jak uwięzione w lampie owady. Ucichło nawet bicie mego serca. Pomyślałam przez chwilę: „Wszyscy zginęliśmy”.

Wtem ze spopielonej ziemi przede mną niczym fontanna trysnął biały płomień, pozbawiony ciepła i barwy, przesycony bolesnym srebrem. Towarzyszył mu smród gnijącego ciała. Zamrugalam, zasłaniając oczy i usta.

- Ach, Wendy - westchnął płomień. Jasne światło zadrzało i zmieniło kolor na bardziej szorstką żółć, potem zaczęło nabierać konkretniejszych kształtów. Powoli unosił się i opadał, jakby nabierał sił z mroźnego powietrza.

- Biedna Wendy! Sama, teraz już naprawdę sama...

- Ale ciągle cię słyszę, Cichy Głosie - odparłam zdumiona. - Jeśli mam być sama, musisz odejść.

- Jestem tu jeszcze przez chwilę. Zabij go, Wendy. Jest plagą tej ziemi; nie możecie oboje przeżyć. Zabij Rafaela.

Z wysiłkiem odwróciłam się od płomienia, który jakby chciał mnie zmusić, żebym na niego patrzyła, dała mu się pochłonąć. Spojrzałam na leżącego chłopca. Taki kruchy i biały. Oczy miał zamknięte, ale wiedziałam, że nawet gdyby je otworzył, nie paliloby się w nich żadne światło, żaden odbity blask, który mógłby przyprawić mnie o szaleństwo. Żaden Dionizos z bachantkami, tylko pęknięta skorupa.

- Zabij go - syknął płomień. - Weź nóż i go zabij!

Skinęłam głową i wyciągnęłam rękę po nóż, który rzucił Oleander: złoty, z zakrzywionym ostrzem, tak ostry, że odbijające się światło rozszczepiało się na białe i niebieskie. Przez dłuższą chwilę trzymałam go w dłoni. Miałam wrażenie, że w ogóle nic nie waży.

- Zabij go - powtarzał płomień. - Zabij go, Wendy. - Za każdym razem strzelał coraz wyżej.

- Milcz - rozkazałam. Staralam się przypomnieć sobie coś, co powiedział mi w zoo Chłopiec:

„Jeszcze się spotkamy... choć możliwe, że nie będziesz wtedy pamiętała moich imion. Ale z drugiej strony może przypomnisz już sobie swoje...”

- Twoje imię? - zawołał płomień. - Swoje imię? Już je znasz! Masz na imię Kali, Atena i Morgan, i Mayuel; Klitajmestra, Artemida i Hekate!

- Nie! - zaprzeczyłam raptownie. Przypomniiał mi się ten dziwny odgłos, coś jak szum fal, zawodzenie wielu kobiet. - Jestem Anat, towarzyszka mego brata Baala. Ale również Błędna Wendy, ukochana Justice’a Świętego Alabana.

- Jestem Magdaleną.

Popatrzyłam na niego, na złamaną jasność, na moją własną zbolalą i pozbawioną krwi twarz, na Rafaela Miramara, Aidana Harrow, Powieszzonego Chłopca: mojego pięknego brata w ciemności.

I wtedy dobiegł mnie wspaniały odgłos śpiewu. I zobaczyłam ich wszystkich, Emmę i Aidana, Gligora, Merle i Annę, doktora Silverthorna i Toby’ego Rhymera, białego psa o oczach z płonącego lodu i dziewczynkę, która bardzo chciała latać z żiębami. Wszyscy wyglądali jak tańczące w powietrzu płomienie. Towarzyszyły im ostre głosy łazarzy, z których pieśń wylewała się jak krew z rany. Wszyscy wołali w moją stronę. Najbardziej przeszywający był krzyk chłopca o zlepionych blond włosach i zielonych oczach, o rękach płynących w mroku niczym najczystszy blask księżycy i oczach jak dwie rozpalone gwiazdy. Ich pieśń składała się tylko z jednej nuty, jednego słowa i jednego dźwięku, a słowem tym była Śmierć; pieśń była Suplikacją, żeby zabić go na miejscu, tam, gdzie leży z białym gardłem, które czeka na nóż, z oczami nie patrzącymi na ostrze. I pieśń trwała dalej, narastała i stawała się coraz głośniejsza, aż porwała ze sobą niebo i gwiazdy zaczęły stopniowo gasnąć. Poczułam, jak kurczy się moje serce, ciśnięty przez Oleandra nóż robił się cięższy i coraz bardziej zimny, gdy zamierzałam się nim na brata.

Śpiew urwał się równie nagle, jak się rozpoczął. Słyszeć było jedynie monotony syk unoszącego się przede mną płomienia. Wbiłam wzrok w złote ostrze, rozejrzałam się. W punkcie, z którego wydobył się ogień, ukazała się ryna, przepaść, która sięgała nieskończonych głębin ziemi. Stałam niepewnie, podeszłam do czarnej jamy i zajrzałam do środka. Po chwili wyrzuciłam nóż.

Na chwilę jakby zawisł w powietrzu oślepiająco złoty sierp albo półksiężyc. Potem

spadł, zgasł jego blask. Płomień rozszerzył się z sykiem, który pogłębił się w ryk, jakby chciał nas wszystkich pochłonąć. Zasłonił całe niebo, wreszcie przygasł i zupełnie zniknął.

Zamrugałam, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, i podeszłam do leżącego na ziemi brata.

Z tyłu coś się poruszyło. Obróciłam się na pięcie i moje oczy spoczęły na Pannie Scarlet, która rozcierała zdrętwiałe od więzów ręce. Wraz z pętami jakby opadła z niej ciemna sierść, tak że jej ręce i twarz lśniły niczym gładkie, brązowe szkło; ominęła delikatnie coś, co przypominało pomarszczone futro, i skierowała się w moją stronę. I dobrze znajoma mi twarz jakby się odmieniła. Zobaczyłam oblicze pięknej kobiety, i nie wiedzieć czemu nabrałam z miejsca przekonania, że Panna Scarlet od samego początku była kobietą. To ja chodziłam po omacku jak zwierzę, moje oczy nigdy jeszcze nie widziały barw, którymi zadziwił mnie w tej chwili świat i które z radością dostrzegę teraz również Panna Scarlet.

W ziemi pod moim bratem zaczęło pełgać jakieś światełko, które nabierało jasności, aż czarne kamienie pękły i rozwarły się na podobieństwo wielkiego owocu. I ze zdumieniem zauważyłam, że mam przed sobą nie brata, lecz Justice'a, takiego, jakim go jeszcze nigdy nie znałam, który zerwał się z zamrożonej ziemi z radością, ogromną radością, że mnie widzi. Przytulił mnie. Ja sama rozplakałam się i roześmiałam na jego widok. Cieszyłam się, że żyje, ma ciepłe ręce i miękkie usta, które stykały się z moimi.

Wyciągnął też rękę do Panny Scarlet. Przyciągnął ją do siebie i tuliliśmy się do siebie wszyscy troje. Zdawało się, że świat stanął w miejscu i były w nim tylko nasze zmieszane łzy i śmiech, trzymające się ręce, mocne i małe, silne i duże. I raptem poczułam drżenie serca i oddech, który zmienił się w głośny, dogłębny szloch. Był to płacz radości, jakiej jeszcze nigdy nie zaznałam. Nie wiem, jak długo tak staliśmy. Trwało to chyba długo, bo kiedy otworzyłam oczy, musiałam je zmrużyć, raziło mnie bowiem światło wieszczące świt. Odsunęłam się od nich.

U moich stóp leżał Rafael, skąpany w złocistym blasku. Znienacka usłyszałam przeciągły świst, jakby coś spadało z nieba. Uniosłam głowę i zobaczyłam zapalające się po kolei gwiazdy, a niebo zwijało się niczym liść, który wystawia ciemną stronę na deszcz.

Wstrzymałam oddech i spojrzałam na stojących obok przyjaciół. Justice uśmiechnął się do mnie. Ujął moją głowę i pocałował w usta.

- Teraz już wiesz, Wendy. Nie wszystko sprowadza się do koszmaru i chaosu; nawet nie do śmierci.

- Tak, już wiem. - Odwzajemniłam pocałunek.

Pomógł wstać Pannie Scarlet, którą też pocałował. Wciąż ją obejmując, zwrócił się do

mnie, by się pożegnać.

- Ale to dopiero początek - zawołałam.

Skinął głową. W jego oczach widać było nie smutek, ale coś na kształt litości.

- Wiem - przytaknął - ale muszę iść dalej. Spełniłem już swój obowiązek. Poza tym nie ma mnie już na tym świecie.

Delikatnie postawił Pannę Scarlet z powrotem na ziemi i wskazał na mojego brata, na jego bladą twarz i oczy, których gałki drgały od niespokojnych snów.

- Czas naprawić brata. - Zamaszystym ruchem ręki objął całą czarną jamę, puste, szkliste od mrozu Wzgórze Świętego Alabana, blade i martwe niebo i wciąż uciekających łazarzy. - Naprawić Miasto, a może i cały świat...

Jeszcze raz objął mnie i ucałował. Rozplakałam się. Nie było już we mnie goryczy, przerażenia czy chęci zemsty, tylko smutek, że on odchodzi.

- Zostaje ci jeszcze Dobry Anioł - uśmiechnął się i wskazał Pannę Scarlet. - I obudzone sumienie. - Dotknął mojego czoła i zacytował, cicho się śmiejąc: - „Jeśli nauczysz się, jak być dzielną, uczciwą i dobrą dla innych, wyrośniesz na prawdziwądziewczynkę”.

Skłonił się przed nami, przyłożył trzy palce do ust w geście pafiańskiego pozdrowienia, po czym opuścił dwa palce, przyciskając do warg tylko wskazujący.

- Zapamiętaj, Wendy: to wszystko stanowi jedność - szepnął. - Śmierć, rozwój, pożądanie i strach; wszystko to jedno.

Już go nie było.

Oszołomiona wpatrywałam się w niebo. Za mną czała się wyrzutnia. Na moich oczach zadrzała i odskoczyła, gdy z wielkim wizgiem wyleciał z niej pocisk, który przebił chmury i wybuchł białymi i czerwonymi płomieniami. Wyrzutnia ponownie zadrzała i znieruchomiała. Po chwili z nieba jak grad zaczęły spadać odłamki, na które nie zwracałam jednak uwagi.

Eksplozja rozplynęła się w czarnym dymie, który bladł stopniowo w szare i białe smugi. W oddali rozpałał się różowy horyzont. Ciemne iglice Katedry stały wymierzone w ostatnie blade gwiazdy: jeszcze tylko jedna z nich rozbłysła, by po chwili upodobnić się do reszty i zmienić w szpilkę białego światła. Obok stała Panna Scarlet; już nie kobieta, lecz z powrotem pomarszczona szympanseca, która wpatrywała się z niedowierzaniem w swoje sękate dłonie.

- Wendy? - zwróciła się do mnie błagalnie. Ogarnęła wzrokiem Rafaela i małe postacie, rozproszone po jamie, po czym zamilkła. Odezwała się po chwili: - Właściwie nie ma to chyba większego znaczenia. Przynajmniej żyjemy...

- Tak - potwierdziłam. Ujęłam jej małą dłoń. - Coś się jednak stało.

Wpatrywałyśmy się w siebie przez moment, w końcu rozplakałam się na wspomnienie Justice'a Świętego Alabana.

Wtedy w powietrzu rozbrzmiało echo wystrzału. Pod ścianą zobaczyłyśmy czyjąś postać, która opadła na niewielkie ciało, przykryte tęczową peleryną. Leżał tam martwy Awiator, z wyniszczoną twarzą i wzrokiem utkwionym w świt. Nad nim stała Jane Alopex, z niedowierzaniem wymachując pistoletem; po chwili z okrzykiem radości rzuciła go w przepaść. Mimo smutku uśmiechnęłam się i zerknęłam w dół.

Leżał tam nieruchomy, pokonany chłopiec; jego twarz się trochę wypogodziła i jakby śniło mu się coś przyjemnego, bo jego powieki przestały drżeć, a łagodny łuk ust wygiął się nieco w górę. Spojrzałam na wschód, gdzie niebo przybrało lekko żółtą barwę. Oczekałam, aż pierwsza strzała słońca przesyje najwyższą, czarną wieżę Katedry. Nachyliłam się, odsunęłam włosy z czoła brata i lekko go ucałowałam.

- Zbudź się, Rafaelu - szepnęłam.

Zamrugał i otworzył oczy, przerażenie na jego twarzy zgasło równie szybko jak gwiazdy.

- Co... - wyrzekł, ale przyłożyłam mu palec do ust.

- Budzimy się - oznajmiłam i wstałam.

Stojąca za mną Jane Alopex zaczęła coś mówić, lecz zamilkła. Czułam, jak Panna Scarlet wzięła mnie za rękę.

- Dokąd idziemy? - zapytała. - A może to zupełnie nieważne?

- Nie wiem. - Wzruszyłam ramionami. - Ale chyba ważne. Odsunęłam włosy z oczu. Wzięłam Pannę Scarlet na ręce i razem wspięłyśmy się po drabinie, zatrzymując się na brzegu przepaści na Wzgórzu Świętego Alabana.

Słońce już wstało i widziałam w dole całe Miasto Drzew; drzewa, rumowiska i cztery piękne Domy na Wzgórzu. Gdzieś daleko za nimi dostrzegłam roziskrzony łuk rzeki.

- No cóż - zaczęłam, ściskając mocniej rękę Panny Scarlet. Spojrzałam na nią, potem na Jane. - Na nas już chyba czas.

Skinęły głowami. Schodziłyśmy Wzgórzem Świętego Alabana.

*Tędyśmy na świat wyszli, witać gwiazdy... **

* Dante Alighieri, *Boska komedia*, przeł. E. Porębowicz, PIW, Warszawa 1959, Pieśń 34, w. 139.

POSŁOWIE

Nigdy nie lubiłam przedmów autorskich. Pobrzmiwa w nich pewna nuta apodyktyzmu, rozkaz, żeby uważać, słuchać, notować, CZYTAĆ NA SAMYM POCZĄTKU.

Z kolei posłowania sprawiają wrażenie takiego nazajutrz rano, sekcji zwłok wielkiej zabawy. Czuje się, że autor podchodzi do naszego stolika jakby po godzinach, przyjacielsko mruży oczy od dymu i zaczyna pogawędkę, przyznając, że: „Tak, poncz był przyprawiany, i rzeczywiście, to chyba nie był najlepszy pomysł, żeby proponować Nigelowi granie na flecie, i racja, następnym razem ich nie zaprosimy”.

W przypadku *Długiej Nocy Zimowej*, mojej pierwszej powieści, zabawa zaczęła się bardzo dawno - niemal dwadzieścia lat temu - a niektórzy z biesiadników jeszcze nie wyszli, tylko przebrali się i nałożyli inną szminkę, by pojawić się w bardziej przyzwoitych rolach w następnych książkach. Powieść sięga korzeniami połowy lat siedemdziesiątych, gdy miałam osiemnaście, dziewiętnaście lat i pisałam coś, co mój chłopak określił pogardliwym mianem „powieści o prosty tutce-mutantce”. Niektóre z postaci trafiły koniec końców do *Przebudzenia księżycy*, za to same prostytutki-mutantki zostały Błędną Wendy i Rafaelem Miramarem, miejsce akcji zaś - okolice Waszyngtonu, opanowane przez zdziczałe dzieci i mięsożerne rośliny - pozostało nie zmienione. Pierwsze ziarna opowieści zostały posiane jeszcze wcześniej, gdy miałam około siedemnastu lat i zaczęły nawiedzać mnie koszmary, w których pojawiała się osobliwa postać, nazwana potem przeze mnie Chłopcem na Drzewie, zawsze bowiem (rzecz jasna) znajdował się na drzewie i rozprawiał z szyderczym zacięciem o śmierci, mojej własnej i innych. Te sny przytrafiały mi się przez wiele lat (od czasu do czasu jeszcze powracają) i zawsze bardzo mnie niepokoiły. W 1987 roku, gdy zbierałam materiały do *Długiej Nocy Zimowej*, naczytałam się o starożytnym kulcie Dionizosa i dowiedziałam się, że w Beocji znano go jako bardzo młodego chłopca i zwano Dionizosem Dendrytosem, „chłopcem na drzewie”.

Z początku książka nosiła tytuł *Chłopiec na Drzewie*, co stanowiło nawiązanie do klasycznego dzieła Arthura Machena, pt: *Wielki bóg Pan*, opublikowanego w antologii *Spectrum 2* przez wydawnictwo Bantam. Miała to być moja druga zaledwie publikacja. Nowelę odrzucił jednak redaktor innej antologii, pisarz, którego bardzo poważalam, a który oznajmił, że zastanowi się nad umieszczeniem mojej opowieści w antologii pod warunkiem, że zmienię pierwszoosobową narrację i w ogóle inaczej ujmę pewne zjawiska. Jego zdaniem główny chwyt konstrukcyjny - wykorzystywanie dzieci do wysoce nieetycznych badań naukowych - był bardzo niepokojący, narrator zaś, Wendy, była osobnikiem o wielce zaburzonej osobowości. Co oczywiście było moim zamiarem.

Ze złości walnęłam pięścią (na wzór Wendy) w ścianę mieszkania, tak że pozostał w niej ślad (a na ręce siniak).

Na szczęście tydzień później Bantam przyjął książkę; i tak przez kolejne dwa lata rosła jak na drożdżach, otrzymując swoje dzisiejsze, niezbyt poręczne rozmiary.

Pierwsze powieści traktuje się jako coś w rodzaju walizek. Wrzuca się do nich wszystko, niezależnie od tego, czy się jeszcze kiedyś przyda, przy całej świadomości, że walizka będzie za ciężka, że trzeba będzie ją z sobą wlec, ale i tak dochodzi się do wniosku, że trzeba zabrać wszystko. W sumie wycieczka może okazać się pierwszą i ostatnią.

Tym sposobem *Długa Noc Zimowa* stała się zlepkiem wszystkiego, co kochałam: *Wieczoru Trzech Króli*, *Pinokia*, punk rocka, *Neuromancera*, zrujnowanych budowli, gadających zwierząt, Bertolta Brechta, teatru, narkotyków halucynogennych i neurochemii, *Dhalgreny*, seksu, obrzędów katolickich i mitologii egejskiej, a przede wszystkim samego Miasta Drzew. Tytuł został zaczerpnięty z dwóch piosenek, *Winterlong* Neila Younga i *The Winter Long* The Strawbs. Błędna (Wanders) Wendy zapożyczyła swoje imię i nazwisko od Windy'ego Wandersa, mało znanego baseballisty z lat trzydziestych; Rafael wziął się od Rafaela Sa'adaha, znajomego, który tak jak ja pisywał do rodzącego się wtedy „ScienceFiction Eye”. SteveBrown, redaktor „Eye”, czytał wstęp powieści i nakłonił mnie do przyłączenia się do Vicious Circle (Błędnego Koła), starej grupy pisarskiej, do której należał wówczas sam Steve, Dave Bischoff i legendarny pisarz i redaktor Ted White. Ted przeraził mnie żądaniem, żebym pisała poprawnie i znała dokładne znaczenie każdego tajemniczego słowa, jakie wrzucam do swojego literackiego bigosu (pewnego razu Steve policzył wszystkie dziwaczne lub archaiczne słowa w stosunkowo krótkim odcinku powieści i znalazł ich 87). Kiedyś, a nie zapomnę tego nigdy, wbił we mnie zdumione, pełne niedowierzania spojrzenie i zapytał: „Ty to wszystko zmyślasz, prawda?”, potrząsając plikiem kartek.

Był to zarzut, że pracuję bez ogólnego planu (i oczywiście umowy wydawniczej) i nie mam zielonego pojęcia, jak ta książka ma się zakończyć. Tymczasem praca nad nią dobiegała końca. Trwała surowa, bardzo długa zima w Maine. Moje małżeństwo także dobiegało końca i porzuciłam ukochane Miasto Drzew, by wieść ubogi żywot na wybrzeżu Nowej Anglii. Coś okropnego; z tamtych lat dokładnie pamiętam tylko pisanie *Długiej Nocy Zimowej*, zawsze nocą, w zimnym, starym domu, gdzie w niektóre noce śnieg przedostawał się przez szpary w ścianach i leżał na podłodze. Popadnięcie Rafaela w rozpacz i szaleństwo było w pewnym stopniu odzwierciedleniem mojego własnego stanu ducha, a sceny we wnętrzach Pograżonej Katedry wspominam, jakbym sama w nich uczestniczyła - co jest poniekąd prawdą.

Zima jednak się skończyła, zresztą tak jak książka. Wyszła jesienią 1990 roku i z

miejsca stała się swego rodzaju książką kultową, plasując się gdzieś pomiędzy gotyckimi wyczynami Annę Rice i chromowym chłodem Williama Gibsona. Zawsze żałowałam kiepskiego zakończenia, i po kilku latach powróciłam do Miasta Drzew, tym razem w *Przebudzeniu księżycy*.

Jednakże dopiero w zeszłym roku, gdy skończyłam *Glimmering*, poczułam, że ostatnie duchy, które dręczyły mnie od czasu *Nocy Zimowej*, nareszcie spoczywają w pokoju. Paul Witcover zwrócił uwagę, że między tymi dwiema powieściami zachodzi mnóstwo analogii, przy czym *Glimmering* jest swego rodzaju wstępem do *Długiej Nocy Zimowej*. Akcja obydwu powieści koncentruje się w okolicach najdłuższej zimowej nocy w roku, w obydwu pojawiają się zabawy i Pan Bezrządu, w obydwu skazane na zagładę jednostki próbują odbudować coś na gruzach upadłej cywilizacji. Ostatnie słowa *Glimmering* są świadomym i ironicznym echem zakończenia *Długiej Nocy Zimowej*; sławne „Tędyśmy na świat wyszli, witać gwiazdy...” Dantego to śmiałe epitafium dla pisarki, która dopiero terminowała.

Mimo wszystko lubię *Długą Noc Zimową*, tak jak lubię swoje młodzińcze lata. Jest niezgrabna i niezręczna, czasami wywołuje rumieniec zakłopotania; lecz jest zarazem obdarzona błogosławieństwem braku samoświadomości, przesadna, nieskrępowana i ambitna. Francis Scott Fitzgerald powiedział kiedyś, że żadne z nas nie chce tak naprawdę odzyskać utraconej niewinności - chcemy tylko raz jeszcze doświadczyć przyjemności jej utraty. Dlatego wielką przyjemność sprawia mi wznowienie tej książki i mam nadzieję, że - nawet jeśli jest niezgrabna i hałaśliwa - będzie mile widzianym uczestnikiem zabawy.

Spis treści

CZEŚĆ PIERWSZA CHŁOPIEC NA DRZEWIE	3
CZEŚĆ DRUGA OPOWIEŚCI DLA CHŁOPCÓW	41
1. Pierwotna strefa Bohemii	41
2. Zbieżność oddzielnych i niezależnych prawdopodobieństw	46
3. Na scenie pojawiają się nowe formy życia	53
4. Przerwa w przekazie historycznym	57
5. Mroczny labirynt wieków	60
6. Zwierzęta wymowne	64
7. Dzieje niektórych ras sięgają niepamiętnych czasów	66
8. „Zagadka zbolalej ziemi...”	67
9. Nagie i okropne drgawki natury	69
10. Otwierają się nieskończone widoki na przyszłość	73
CZEŚĆ TRZECIA PO DESZCZU RÓŻ	75
CZEŚĆ CZWARTA KREW NA BALU MOTYLI	106

1. Odłamki raz po raz rozbijanego świata.....	106
2. Światło wyobraźni gaśnie w mrokach starożytnej historii.....	108
3. Narodziny dnia wczorajszego.....	112
4. Istoty organiczne odmiennej natury.....	115
5. Dobrze zachowane skamieliny.....	120
6. Kolory podstawowe.....	124
7. Nieco wątpliwe pokrewieństwa.....	130
8. Ślady istnienia pewnego ciała.....	136
CZEŚĆ PIĄTA KSIĘGA AKTORÓW.....	146
CZEŚĆ SZÓSTA SZKIELET TRANSCENDENTNY.....	179
1. Różnego rodzaju katastrofy.....	179
2. Części natury szkieletu.....	182
3. Krótki paroksyzm.....	185
4. Koncepcje przestrzeni niebieskiej.....	190
5. Niezwykle barbarzyńska kondycja gatunku ludzkiego.....	194
6. „Mroczne tło i przepaść czasu „.....	198
7. Delikatne szczegóły budowy wewnętrznej.....	209
CZEŚĆ SIÓDMA MASKA SÓW.....	214
CZEŚĆ ÓSMA BUDZI SIĘ ROZDZIAWIONY.....	259
1. Ogień w centrum i deszcz z niebios.....	259
2. Unicestwione zostają wszelkie ślady pozostałości organicznych.....	262
3. Najbardziej zdumiewający spośród drapieżników.....	262
4. Cofamy się, przerażeni ogromem koncepcji.....	270
5. Upływ niewłaściwie przedstawionego czasu.....	277
6. Najstraszliwszy z niezliczonych tyranów.....	282
CZEŚĆ DZIEWIĄTA NOC ZIMOWA.....	285
POSŁOWIE.....	318